

**Steve Martini**

## **SĘDZIA**

Przekład Hanna Pustuła

### PROLOG

Jest jak róża: wysoka i smukła, smagłolica, ma jasny uśmiech i pełne blasku oczy, a kiedy trzeba, potrafi wysuwać kolce.

Początki naszej przyjaźni sięgają moich występów gościnnych w Davenport, gdzie przed trzema laty pracowałem krótko jako prokurator nadzwyczajny. Jeśli nie liczyć paru przelotnych spotkań w sądzie, ostatni raz widziałem Leonorę Goya tuż po pogrzebie Nikki. Kilkakrotnie zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do niej, ale za każdym razem udawało mi się zdusić impuls w zarodku. Nigdy nie aspirowałem do roli wdowca szukającego przygód. Wiodłem spokojny, skromny żywot, konsekwentnie tłumiąc wszelkie pragnienia.

Zdaję sobie jednak jasno sprawę, iż kiedy zadzwoniła, mój głos w jednej chwili zdradził przepelniającą mnie tęsknotę.

Dzisiaj wieczorem jesteśmy umówieni na spotkanie u „Angela” nad rzeką. Powietrze pachnie wiatrem, lekka bryza porusza japońskie lampiony nad moją głową. Stoliki stoją na nadbrzeżu, nad samą wodą. Na falach kołyszą się uwiązane do betonowego mola spacerowe łódki. Ubrałem się z niedbałą elegancją, która kosztowała mnie dwie godziny pracy przed lustrem. Sądząc z tonu rozmowy, zanosি się raczej na spotkanie w

interesach, a nie dla przyjemności, jednak nie tracę nadziei.

Wreszcie ją widzę. Stoi na tarasie, po drugiej stronie alejki, i patrzy na mnie z góry. Ma na sobie odpowiednią na taką okazję plisowaną spódnicę w kwiaty, skromnie przysłaniającą kolana, i jasny sweter z wywiniętym na wierzch kołnierzykiem. Leonora w barwach wiosny.

Dostrzega mnie i macha ręką. Odwzajemniam jej gest, wkładając w to całą swobodną serdeczność, na jaką mnie stać. Zwyczajne spotkanie dwojga starych przyjaciół, mówię sobie, chociaż moje serce wali jak oszalałe.

Dzisiejszego wieczoru Leonora jest lekka i zwiewna zarówno ciałem, jak i duchem. Cudowne rysy jej twarzy przywodzą na myśl arcydzieło wykute w twardym kamieniu ręką mistrza: wystające kości policzkowe i wspaniały nos o linii prostej i wyraźnej, jak wszystko w tej kobiecie.

Idzie w moją stronę pomiędzy przeważnie wolnymi stolikami. Tłum zrejterował do środka, kryjąc się przed wieczornym chłodem. Sezon letni w mieście stołecznym jeszcze się na dobre nie zaczął.

Ci, co zostali na zewnątrz, oglądają się za przechodzącą dziewczyną.

Leonora należy do tych kobiet o uderzającej urodzie, które gdziekolwiek się pojawią, zawsze skupiają na sobie uwagę wszystkich obecnych. Po swoich hiszpańskich przodkach odziedziczyła ów egzotyczny powab nie zepsutej cywilizacją piękności, jaka musiała być udziałem Ewy, zanim zgrzeszyła.

- Cóż za urocze miejsce - powiada. Przelotne muśnięcie warg na policzku, jej dłoń na moim ramieniu i tyle mojego. - Minęło mnóstwo czasu - stwierdza.

- Owszem, całkiem sporo - przyznaję. Starannie kalkuluję swoje posunięcia w nadziei, że uda mi się zrobić na niej wrażenie faceta na luzie.

Mówię, że wygląda wspaniale, i podsuwam krzesło. W drodze powrotnej na swoje miejsce potykam się o jej torebkę.

Śmieje się zasłaniając dłonią usta. Nasze spojrzenia spotykają się, dostrzegam w jej oczach wesołe iskierki. Nawet teraz, kiedy bawi się nieco moim kosztem, jest w niej coś fascynującego.

Często widzę ją w snach, ale nie tak, jak byście sobie pomyśleli. Moje sny są inspirowane wspomnieniem: powraca w nich zwałista sylwetka Adriana Chambersa i lufa zataczająca piękny łuk w kierunku mojej klatki piersiowej, a w tle Leonora, ogień i wiatr, iskry w powietrzu, płomienny wizerunek jakiejś starożytnej bogini wojny.

Nigdy o tym nie wspominamy, lecz podskórnice w każdej rozmowie jest pamięć o tamtym straszliwym dniu i nieusuwalna świadomość, że Leonora zabiła człowieka, by ratować moje życie.

Żartujemy, wymieniamy plotki o wspólnych znajomych z dawnych czasów, obgadujemy swoje dzieci, które są mniej więcej w tym samym wieku. Leonora ma dwie córeczki, niewiele starsze od Sary.

- Pewnie zaczyna doganiać cię wzrostem - mówi, mając na myśli moją córkę.

- Z każdym dniem robi się coraz bardziej podobna do Nikki. - Z tysiąca możliwych odpowiedzi musiałem wybrać akurat najbardziej ckliwą.

Pośpiesznie odwraca wzrok. Myśl o dziecku pozbawionym matki sprawia Leonorze wyraźnie ból. Sama przecież jest uosobieniem macierzyństwa.

6

- Jak dajecie sobie radę? - pyta. Liczba mnoga odnosi się do mnie i do Sary.

- Powoli się przystosowujemy - mówię. - Oczywiście Sarze jest trudniej.
- Ty też musisz za nią tęsknić - oznajmia. - Widzę to w twoich oczach, kiedy wymawiasz jej imię.

Nie zaprzeczam, ale kieruję rozmowę na inny temat: nowa praca Leonory. Wygląda na to, że znowu wybrałem najgorsze rozwiązanie.

Niecały rok temu Leonora przeniosła się za rzekę, żeby objąć stanowisko zastępcy prokuratora okręgu stołecznego. Prawdopodobnie dlatego nie mamy ze sobą kontaktów na gruncie towarzyskim. Pędzimy życie niejako w przeciwnych narożnikach ringu, trzymając się kurczowo linek, każde po swojej stronie, niczym jakieś pijane mordoklepy. Jak dotąd nie natknęliśmy się jeszcze na siebie w sądzie; ciekawe, co się stanie z naszą przyjaźnią, kiedy wreszcie do tego dojdzie. Może zresztą nigdy się tego nie dowiem.

Jak słyszę, w jej biurze nie dzieje się najlepiej. Duane Nelson, który zatrudnił Leonorę, odszedł z prokuratury, by przywdziać sędziowską togę, a jego miejsce zajął człowiek bez porównania trudniejszy we współzyciu. Coleman Kline jest politycznym sługusem szczych z administracji.

Rozpoczął urzędowanie od wymiatania kątów, czyli - innymi słowy - od czystki.

Leonora zwierza mi się, że codziennie, zaraz po przyjściu do swojego biura, sprawdza, czy na drzwiach nie ma śladów krwi, i przygotowuje się na wizytę Anioła Śmierci pod postacią niewiasty o imieniu Wendy, do której obowiązków należy wręczanie różowych wydruków nieszczęśnikom skreślonym z listy płac.

- Wyrzucił już tylu ludzi - ubolewa Leonora.

Nie korzystając z ochrony, jaką daje status urzędnika państwowego, i

zajmując eksponowane stanowisko, Leonora ma powody, żeby obawiać się o swoją posadę. Przynajmniej tuzin politycznych karierowiczów, którzy wypłynęli na wzburzonych falach ostatnich wyborów, na wyścigi stara się wypchnąć ją za drzwi i zająć jej miejsce.

Zjawia się kelner, zamawiamy koktajle i aperitif. Kiedy zostajemy sami, przez chwilę przyglądam jej się w milczeniu, korzystając, że uwagę jej pochłania motorówka płynąca w górę rzeki. Zielone światła łodzi przesuwają się roziskrzoną smugą po powierzchni wody.

Odwraca się i przyłapuje moje spojrzenie.

- Grosik za twoje myśli - powiada.

Mam przecucie, że nie spotkała się ze mną, żeby opowiadać o kłopotach w robocie.

- Chciałbym wierzyć, że zadzwoniłaś wyłącznie ze względu na mój urok osobisty - mówię.

- Ale przypuszczasz, że kryje się za tym coś innego? - kończy moją myśl.

Uśmiecham się.

- Naprawdę jesteś uroczy. - Kiedy to mówi, jej oczy błyszczą jak ciemna toń za jej plecami. Ma dołki w policzkach.

- Ale? - pytam.

- Ale potrzebuję twojej pomocy - wyznaje. - Mam przyjaciela. Jest policjantem i wpadł w tarapaty...

Ma pan dwie możliwości do wyboru - powiada. - Albo pański przyjaciel zeznaje, albo co innego.

- Co co innego? Zrywanie paznokci? - pytam.

Patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć „nie widzę przeszkód”.

Armando Acosta powinien był urodzić się w zupełnie innym stuleciu. Jego postać przywołuje wizję ciemnych lochów z ociekającymi wilgocią murami i ciężkimi łańcuchami do przykuwania więźniów. Kopcące pochodnie, ciężki smród palonego tłuszczu i zakapturzeni mężczyźni o nagich, owłosionych, spoconych torsach, uwijający się wokół jakiegoś przesłuchiwanego nieszczęśnika i zadający mu ból według wskazówek okrutnego możnowładcy. „Kokos” wyraźnie spóźnił się o kilkaset lat, jego epoka skończyła się wraz z Wielką Inkwizycją.

Siedzimy w jego gabinecie, na tyłach Departamentu Piętnastego, wdychając martwy letni zaduch. To miejsce ma swój własny specyficzny zapach, przypominający nieco zastarzały smród przeпоconych gatek gimnastycznych, dobywający się z szafek w szatni męskiego gimnazjum. Nowe skrzydło gmachu sądu kosztowało siedem milionów dolarów, nic więc dziwnego, że w kasie okręgu zabrakło pieniędzy na wymianę filtrów w urządzeniach klimatyzacyjnych. Ale za to wszyscy mogą teraz podziwiać marmurowy pomnik głupoty rządu.

Acosta rozpięta się wygodnie na skórzanych poduszkach fotela, palcem ze starannie wypielęgnowanym paznokciem pociera górną wargę, udając głęboką rozważę.

- Potraktuję go jak zwykłego kryminalistę - oznajmia. - Żadnych specjalnych przywilejów. Ogólna cela.

Acosta sprawia wrażenie niezmiernie zachwyconego swoim pomysłem, potwierdzającym fakt, iż praca w sądownictwie wciąż jeszcze zapewnia możliwość bezkarnego nadużywania władzy i to bez konieczności porzucania zacisza gabinetu.

- Więzienie jest przepelnione. - Oświadcza to takim tonem, jakby owa smutna okoliczność stanowiła znakomitą okazję do niestosowania żadnych przywilejów.

- Zdaje pan sobie sprawę, jakie zagrożenia czyhają na glinę zamkniętego w celi ogólnej. Niektórzy z więźniów to prawdziwe zwierzęta. Bóg jeden wie, co mu się może przydarzyć... - Pewnie chętnie wyjaśniłby mi to za pomocą rysunku pogładowego, swojej własnej wersji dziecięcej „szubienicy”, tyle że przedstawiającej złożonego z patyczków ludzika w pozycji kolankowo-łokciowej, z zadartym do góry zadem.

Acosta mówi o moim kliencie. Tony Arguillo jest przystojnym policjantem tuż po trzydziestce, dopiero od czterech lat na służbie. Właśnie otrzymał wezwanie do stawienia się w charakterze oskarżonego przed sądem przysięgłych. Jest dalekim krewnym Leonory, jakimś kuzynem kuzyna czy coś w tym rodzaju, lecz wszystko wskazuje na to, że łączy ich znacznie więcej niż więzy krwi. Tony i Leonora razem dorastali na niebezpiecznych ulicach Los Angeles. Zdaje się, że w tej przyjaźni ona była mózgiem, a on pięścią.

Obecnie Arguillo pełni rolę piłeczki pingpongowej w grze pomiędzy Związkiem Policjantów i ojcami miasta. Zadawniony spór o zarobki przekształcił się nagle w brutalną przepychankę. Ostatnia zagrywka należała do miasta. Kokos pięknym strzałem z backhandu posłał mojego klienta z powrotem na związkową stronę stołu, dupą do przodu, zdobywając punkt dla burmistrza i rady miejskiej.

Miasto wystąpiło z oskarżeniem o korupcję w łonie policji. Nikt nie ma wątpliwości, że pozew zostałby natychmiast wycofany, gdyby tylko Związkowi udało się znaleźć błyskawicznie działające lekarstwo na

„niebieską” grype, epidemię masowych zwolnień lekarskich policjantów. Acosta jest gotów na wszystko, żeby wkraść się w łaski struktur władzy, czyli kliki polityków, którzy w zamian za przysługę mogliby udzielić mu poparcia podczas nadchodzących wyborów, a w wypadku niepowodzenia - znaleźć jakąś intratną, acz niezbyt fatygującą posadkę w administracji. Kokos zamierza rozprawić się ze Związkiem Policjantów. Nie dość na tym, że stróże porządku nie tylko ośmielili się postawić w nadchodzących wyborach na jego przeciwnika, ale na dodatek dają materialny wyraz swojemu poparciu, pompując we własnego kandydata ciężką forszę. To święta prawda, co mówi się o większości sędziów. Podstawowe kwalifikacje, jakich się od nich wymaga, to ukończone studia prawnicze i zażyła przyjaźń z gubernatorem. A ten tutaj, facet, którego nie cierpię z całej duszy, trzyma mojego klienta za niewymowne.

Na nieszczęście dla Tony'ego Arguillo to, co ujrzało światło dzienne jako zlepek mało precyzyjnych, bezpodstawnych oskarżeń, zaczęło niespodziewanie wyglądać bardzo prawdopodobnie. Jak grzyby po deszczu pojawiają się dowody, iż część związkowych pieniędzy, zwłaszcza z funduszu emerytalnego, w gruncie rzeczy regularnie zasilala kieszenie

nie-

10

których działaczy. Robi się coraz więcej szumu i tylko patrzeć, jak pojawiają się przecieki w prasie, a wtedy całą sprawą będzie musiała zainteresować się sama prokuratura.

Za temat pogawędki służy nam ciężar gatunkowy oskarżeń. Ja nazywam je „bezpodstawnymi plotkami i domysłami, wyssanymi z palca”. Mam nadzieję, że prokurator okręgowy nie otrzymał jeszcze raportu z kontroli



ksiąg. Acosta ze swojej strony próbuje zrobić na mnie wrażenie odegraniem pokazu świętego oburzenia. Myślałby kto, że facet stanowi wzór cnót.

- Wyobraża pan sobie? - pyta. - Policjanci rozdają na lotnisku ulotki informujące turystów, że to niebezpieczne miasto. Potrafi pan wyobrazić sobie taką bezczelność? - mówi, a właściwie szepcze, syczy przez zaciśnięte zęby zbyt cicho, by mógł to usłyszeć pełniący funkcję chłopca na posyłki urzędnik sądowy, który przez cały czas siedzi za drzwiami i z poświęceniem godnym lepszej sprawy żuje pestki słonecznika, wypluwając puste łupiny na dywan. - Jakby istniała jakakolwiek bezpośrednia zależność - powiada. - Można by pomyśleć, że gościu, co napadł na ciebie w zeszłym tygodniu, nie zrobiłby tego, gdyby gliniarze dostali z piątkową wypłatą te swoje osiem procent podwyżki. Dają do zrozumienia, że ich ochrona jest na sprzedaż. - Cóż za nieprofesjonalna postawa - stwierdza z obrzydzeniem. - Kurewskie wymuszanie - dodaje, jakby przekleństwa i zawołane groźby pod adresem mojego klienta stanowiły dowód jego najwyższej moralności. Mówię mu to.

- Nikomu nie groziłem. Czuję się dotknięty... - odpowiada

- Powiem to mojemu klientowi, kiedy wsadzi go pan do klatki z dzikimi zwierzętami.

- Pański klient robi wszystko, żeby się tam znaleźć.

Stanowczo pomniejsza swoją rolę. Próbuje przemówić mu do rozsądku.

- Mój klient jest zwykłym liczykrupą - tłumaczę. - Prowadził tylko księgi.

- Raczej je preparował - mówi Acosta. - Z tego, co słyszałem, kasa Związku zrobiła się lżejsza o pół miliona dolarów.

Udaję zdziwienie, jakby to była dla mnie zupełna nowość.

- Może powinien pan popytać działaczy związkowych? Tony nie był nawet skarbnikiem. Po prostu wypełniał po godzinach rubryczki, wie pan, w ramach pomocy koleżeńskiej.

- Jasne - stwierdza. - Prawdopodobnie był jedynym gościem w tej całej bandzie, który potrafił operować dwucyfrowymi liczbami bez zdejmowania butów. - Acosta nie ma zbyt wysokiego mniemania o glinach. Jego zdaniem, najzdolniejsi policjanci mogą co najwyżej robić za tarcze strzeleckie podczas zamieszek, podczas gdy ich mniej sprawni umysłowo koledzy potrafią jedynie czyścić do połysku swoje czarne kowbojskie buty.

11

Miałem okazję zaobserwować, do jakiej wprawy doszedł w tej odpowiedzialnej robocie jego fagas.

Mój klient nie raz i nie dwa przysięgał na wszystkie świętości, że nie wziął żadnych pieniędzy. Podejrzewam jednak, że Tony wie, gdzie i kto zakopał poważne ilości towaru. Tego właśnie - dowodów defraudacji w łonie policji - chce Acosta. Potrzebne mu jest coś, co mógłby przehandlować swoim grubym rybom, coś, co pójdzie jak świeże bułeczki. Zeznania Tony'ego przetrąciłyby kark Związkowi i posłały chłopców w niebieskich mundurkach z powrotem tam, gdzie ich miejsce, to znaczy na ulicę. Krótko mówiąc, jeden mały akt oskarżenia migiem położyłby kres dobrze zapowiadającemu się strajkowi.

- Pan wyda nakaz aresztowania - mówię - a my się postaramy o odroczenie. Sprawa trafi przed sąd apelacyjny.

- Tymczasem upłynie parę dni. - Wyraz twarzy Acosty mówi: „w czasie

których pański klient zyska całkiem nowe spojrzenie na drogi, jakimi chadzają ludzkie pożądania".

To skandal, nie omieszkać mu tego powiedzieć, potencjalna kara śmierci dla policjanta, który ledwo otarł się o całą aferę i nie ma nic wspólnego z grubymi rybami ze Związku.

W uśmiechu Acosty jest coś mrocznego, coś rodem ze świata podziemnych mocy. Patrzy na mnie zza biurka zawałonego papierami i szczególnym zestawem przedmiotów, które tylko ktoś prymitywny mógłby uznać za dzieła sztuki. Mamy tutaj odlanego z metalu Don Kichota nacierającego z pochyloną kopią na wiatrak, prezent od jakiejś naiwnej grupy obywatelskiej, która pomyliła skąpstwo i polityczne ambicje sędziego ze szlachetną walką o dobro społeczeństwa. Jedyne, co łączy Acostę z owym wizerunkiem szalonego rycerza, to twarda dupa.

- Czy się rozumiemy? - pyta. Nie zamierza się ugiąć.

- Niech pomyślę: chce pan, żeby mój klient zrezygnował ze swoich konstytucyjnych praw i złożył zeznania, które mogą okazać się obciążające dla niego samego. Jeżeli odmówimy, wsadzi go pan do klatki z dzikimi zwierzętami i odda sprawę w ręce natury.

Wyraz jego twarzy potwierdza z grubsza naszkicowaną przeze mnie alternatywę.

- Może powinniśmy zawołać protokolanta?

Szczerzy zęby w krzywym uśmiechu, jakby chciał zapytać „i co ci z tego przyjdzie?”

- Pański przyjaciel albo będzie zeznawał, albo odsiedzi swoje. A może nawet jedno i drugie - mówi. - W każdym razie, nie uda mu się wykręcić od składania zeznań. Lepiej niech pan go na to przygotuje.

- Odnoszę wrażenie, że kieruje panem osobista niechęć do mojego klienta
- zauważam.
- Nie, nie. To nic osobistego.
- Więc może raczej politycznego? - podsuwam.

12

- Ach, tu pan mnie ma - przyznaje bez cienia zażenowania. - Cóż, postawienie na niewłaściwego konia zawsze kosztuje. - Przez moment szuka w pamięci, w końcu pyta: - Jak się nazywa ten facet? Johnston? Przynajmniej jest szczery. Dla niego to czysty biznes. Nie może sobie nawet przypomnieć nazwiska swojego kontrkandydata.

- To jest... - chwila namysłu, szuka właściwego słowa - ...kwestia przetrwania. Siedzę w sądzie od dwudziestu lat. Zawsze traktowałem policję przyzwoicie. Nigdy nie skrzywdziłem mundurowego. A teraz oni robią mi taki numer - powiada.

Ignoruje fakt, że przez te wszystkie lata puszczał wolno alfonsów i prostytutki. Jedno z dwojga: albo kierowała nim zawodowa solidarność, albo zabezpieczał się na starość, trudno stwierdzić. Tak czy owak, glinom musiało się to nie podobać. Praktyki Acosty stały się powodem chronicznego rozgoryczenia szeregowych „psów gończych”, nic więc dziwnego, że w końcu postanowili postawić na innego konia.

- Zdaje się, że popadł pan w konflikt. Może tym razem powinien pan ustąpić? - powiadam.

- Doceniam pańskie wysiłki - on mi na to. - Ale pański klient nie daje pieniędzy mojemu przeciwnikowi. To Związek buli. A Związkowi nic do tego, czy pański klient będzie zeznawał, czy nie.

Z punktu widzenia prawa ma rację, ale praktycznie rzecz biorąc, jego

koncepcja rozbija się o święte braterstwo glin oraz lojalność wobec Związku Zawodowego. I Acosta znakomicie zdaje sobie sprawę, gdzie leży sedno problemu.

- Doskonale wiemy, że pański klient słyszał to i owo - mówi.

- Kto to jest „my”? Od kiedy to urząd sędziowski stał się kolektywny? - unoszę brwi.

Acosta zdaje sobie sprawę, że się trochę zagalopował.

- Po prostu staram się pomóc - wyjaśnia. - Pański klient też mógłby, na przykład składając zeznania. Jeżeli nie popełnił żadnego przestępstwa, nie ma się czego obawiać.

- Jasne. Myślałby kto, że ten pański sąd kapturowy będzie się bawił w takie subtelne rozróżnienia - powątpiewam.

- Proszę wyrażać się o sądzie okręgowym z należnym szacunkiem.

A pewnie. Jego wymarzony scenariusz to: żadnego obrońcy, nic, co przy najlepszej woli można by uznać za materiał dowodowy, wszechwładny prokurator, a nam nie pozostawić nic, tylko apelowanie do sumienia latyno-iberyjskiego, odpowiednika Władcy Much. Nie sprzeczam się jednak, bo i po co?

Skład sędziowski stołecznego sądu okręgowego znany jest wśród prawników - zmuszonych do regularnego użerania się z arbitralnymi nakazami administracyjnymi - pod niezbyt pochlebnym określeniem „Kuria”. Ostatnim kaprysem szacownego grona było postawienie na czele sądu Acosty, który miał rozpatrywać zasadność oskarżenia i decydować

13

o przekazywaniu spraw sądowi przysięgłych. Zupełnie, jakby ktoś powierzył pedofilowi prowadzenie przedszkola. Wszyscy wrogowie

Acosty mają teraz stracha.

Przez moment zastanawiam się, czy nie uderzyć w strunę etnicznej solidarności. W końcu Tony Arguillo też miał hiszpańskich przodków. Tak mi się przynajmniej wydaje. Być może, Kokos byłby skłonny okazać nieco więcej pobłażliwości jednemu ze swoich. Jednak po chwili namysłu rezygnuję. Acosta jest w takim samym stopniu zainteresowany kwestiami etnicznymi, co pasożyt życiem osobistym swojego żywiciela.

- A jeśli mój klient postanowi powołać się na Piątą Poprawkę? -pytam.

- To nie przejdzie, jeśli prokurator okręgowy zagwarantuje mu niekaralność.

- Prokurator okręgowy tego nie zrobił - zwracam mu uwagę.

- Ale zrobi — mówi.

- To pan powinien oskarżać w tej sprawie. Szkoda, że nie ubiegał się pan o stanowisko prokuratora okręgowego.

Uśmiecha się, jakby rozważał zrobienie tego w przyszłości. Coleman Kline, nasz nowy prokurator okręgowy, zasłynął swego czasu jako energiczny członek lobby domagającego się zaprowadzenia porządku. Angażował się w kampanię przeciwko pijanym kierowcom, przemocy w rodzinie, w walkę o prawa ofiar i co tam jeszcze było akurat na tapecie, czego nie omieszkał wykorzystać podczas wyjątkowo zajadłych wyborów na stanowisko prokuratora okręgowego, które odbyły się cztery miesiące temu. Przy poparciu obrońców życia poczętego i wartości chrześcijańskich, hołdujących przekonaniu, że od czasu opuszczenia Arki Noego społeczeństwo schodzi na psy, o włos wyprzedził głównego kontrkandydata, jednego z zawodowych prokuratorów. Przez ostatnie dwa miesiące Kline ostro pracował nad utrwaleniem zdobytej władzy,

nagradzając pracowników biura, którzy poparli go w wyborach, i rozganiając na cztery wiatry tych, którzy tego nie zrobili.

- Kline jest tutaj nowy - informuje mnie Acosta. - Sąd uważa, że należy mu się odrobina uprzejmości.

- Obawiam się tylko, żeby mój klient nie został rozgnieciony na miazgę przez tryby sądowej uprzejmości.

- To się zaczyna robić męczące - powiada. - Niech pan wyjaśni swojemu klientowi, że stoi przed prostym wyborem. Albo współpracuje, albo dostaje w dupę.

Spotkanie dobiega końca.

- Porozmawiam z nim - mówię.

- To nie powinno zająć panu więcej niż dwie minuty - on mi na to. Mówię mu, że mój klient znajduje się poza gmachem sądu. Drobnny środek bezpieczeństwa, którego nie omieszkałem przedsięwziąć.

14

- Daję wam czas do jutra. Chcę pana widzieć w moim biurze o czternastej razem z Arguillo. I niech mu pan powie, żeby wziął ze sobą szczoteczkę do zębów — powiada. — W przeciwnym razie, niech pan przyniesie swoją.

Wróciwszy do mojego biura, zastaję tam ożywione zebranie towarzyskie, brakuje tylko confetti i kapeluszy z kolorowej bibułki. Mój partner, Harry Hinds, wyjada cukierki ze szklanej wazy, stojącej od Bożego Narodzenia na kontuarze recepcji. Przez pół roku Harry ograniczał się do obmacywania wazy z obrzydzeniem i częstowania cukierkami innych, lecz widocznie na skutek działania jakiegoś tajemniczego prawa ewolucji

słodczy - nagle stały się jadalne.

Tony Arguillo przycupnął jednym półdupkiem na drugim końcu kontuaru. Skraca sobie oczekiwanie na wieści ożywioną rozmową z Leonorą, która siedzi na sofie z nogą założoną na nogę, dzieląc swoją uwagę pomiędzy Tony'ego i dokumenty w otwartej teczce. Kiedy zamykam za sobą drzwi, Leonora podnosi wzrok znad papierów.

- O wilku mowa - mówi Harry.

- Jak ci poszło? - pyta Leonora - uosobienie niepokoju. Tego nie da się powiedzieć o Tonym. Ktoś mógłby pomyśleć, że to ją mają wsadzić do ciupy.

- Tak, jak przypuszczałem. Jego Ekszelencja jest nieubłagany. Upiera się, że albo Tony będzie gadał, albo... - lekko wzruszam ramionami.

- Albo co? - chce wiedzieć Tony.

- Albo idziemy siedzieć.

Nie wygląda na to, żeby się przestraszył.

Natomiast Leonora zmienia się w wulkan prawniczych teorii. Same genialne pomysły. Na przykład, żeby zmusić sąd do wycofania sprawy z wokandy, oskarżając czcigodne jury o łamanie przywilejów związków zawodowych. Po moim milczeniu Tony orientuje się, że wszystkie te cwane podstępny nie mają niestety żadnych szans na powodzenie.

Tony po uszy siedzi w gównie, nie mogę więc odmówić prośbie Leonory i wbrew temu, co mówi mi rozsądek i zawodowe doświadczenie, podejmuję się prowadzenia jego sprawy. Nieczęsto reprezentuję interesy glin i gdyby nie Leonora, tym razem też bym tego nie robił.

Tony daje nam pokaz klasycznej reakcji przypartego do muru stróża prawa.



- Acosta może pocałować mnie w dupę - oświadcza butnie. Złazi z kontuaru recepcji i zaczyna maszerować po pokoju. - Jeśli myśli, że będę wrabiał kumpli, to się pomylił jak jasna cholera. Cwaniaczek z gilem w nosie.

Psioczy jak wszyscy diabli, cedzi przekleństwa, gęga coś sam do siebie, typowe zachowanie prawdziwego mężczyzny przypartego do muru.

15

- Obiło mi się o uszy, że działalność Acosty wykracza poza ramy obowiązków zawodowych - mówi Tony. - Facet traktuje obyczajówkę jak agencję towarzyską. Moralność śmietnikowego kocura - powiada.

- Z przeproszeniem kocurów - wtrąca Harry, nastawiając uszy w nadziei, że padną jakieś konkrety.

Nie pierwszy raz słyszę podobne oskarżenia. Ludzie od lat gadają, że młodym, urodziwym przestępczyniom z wyrokiem w zawieszeniu przytrafiają się obowiązkowe randki z Kokosem. To jego własna wizja kurateli sądu. Ale nigdy nie widziałem żadnych dowodów, dawno więc już przestałem tego słuchać.

- Może prokurator nie będzie naciskał - wyraża nadzieję Tony. Typowe podejście gliniarza: sędziowie są skorumpowani, ale prokurator okręgowy zasiada na taboreciku po prawicy Boga, sprawując najwyższą pieczę nad naszym systemem sądowniczym. Ostateczna wykładnia dobra i zła. Swoją osobą człowiek.

- Nie robiłbym sobie zbytnej nadziei - zauważa Harry. - Leonora powiedziała mi parę ciepłych słów o tej jaskini węzów. - Harry ma na myśli biuro prokuratora okręgowego. Pod moją nieobecność Harry bez wątpienia usiłował przeciągnąć Leonorę na słuszną stronę prawa i

zwerbować ją dla dynamicznie rozwijającej się dziedziny gospodarki, bazującej na przestępstwach i tych, co je popełniają.

Leonora sprawia wrażenie, jakby życzyła sobie, żeby Harry wyszedł z biura umożliwiając nam swobodną dyskusję nad położeniem Tony'ego. Harry musi mieć niezły ubaw. Glina, postawiony przed perspektywą pójścia do pierdła, idealnie wyraża jego pojęcie sprawiedliwości społecznej. Mógłbym zaprosić ich do mojego gabinetu, ale, znając Harry'ego, wejdzie tam za nami. Zresztą niewykluczone, że będę go potrzebował.

- Myślałem, że poczekasz w swoim biurze - mówię do Leonory. - Nie musiałaś z nim przychodzić. Tony jest już dużym chłopcem.

Dużym chłopcem z gorącą głową. Widzę to w jej oczach, choć myśl pozostaje nie wypowiedziana.

- Odrobina wsparcia moralnego nigdy nie zaszkodzi - powiada. Leonora matkuje Tony'emu. Przypuszczam, że to właśnie porobiło się z ich przyjaźnią. Potrzebuje mężczyzny, lecz przy Tonym, przychodzi jej odgrywać rolę matki. Są mniej więcej w jednym wieku, ale tak naprawdę Leonora jest o dwadzieścia lat starsza, jeśli wiecie, o co mi chodzi. -Poza tym - dodaje - każdy powód jest dobry, żeby urwać się z biura.

Powiedziałam, że idę do biblioteki - wyjaśnia.

- Coś nie tak? - pytam.

- Wszystko nie tak. - Podkreśla swoje słowa gestem obu dłoni, zakrzywiając palce jak szpony. Czy chce pokazać manicure, czy też pragnie dać do zrozumienia, że nadepnęła Kline'owi na odcisk i stary chce się jej dobrać do skóry -pozostaje kwestią nie wyjaśnioną. Z Leonora nigdy nie wiadomo.

- Może powinnaś pogadać ze swoim szefem. Namów go, żeby wycofał pozew - sugeruje Tony. - Mógłby wystawić Acostę do wiatru.
- Świetny pomysł. Już widzę, jak mnie posłucha — mówi Leonora.
- Przynajmniej go znasz - upiera się Tony.
- Tak, jak Mojżesz znał Pana Boga. Nie jesteśmy zbyt zaprzyjaźnieni - tłumaczy. - Zwraca się do mnie per panno Goya, a ja zdejmuję pantofle przed wejściem do jego gabinetu. Święty przybytek - powiada. - Stary kocha się w formalnościach. Etykieta władzy.

Gdyby Kline wiedział, że Leonora przesiaduje w moim biurze, nie mówiąc już o tym, że ośmieliła się skontaktować Arguillo z adwokatem, rozszarpałby ją na części. Jak dotąd udało jej się uniknąć ściągnięcia na siebie uwagi szefa. Szczęśliwie, zbyt krótko tam pracowała, żeby opowiadać się w wyborach po którejkolwiek stronie.

Kline jest łysiejącym trzydziestoosmiolatkiem, ożenionym z pieniędzmi. Z tego, co słyszałem, jego żona dziedziczy niezłą fortunę ulokowaną w ziemi, a konkretnie - w migdałach i ryżu. Mowa nie o jakichś tam groszowych sprawach, lecz o naprawdę dużej kwocie, mogącej wesprzeć najbardziej karkołomną karierę polityczną.

Każdy, nie wyłączając matki Kline'a, komu się wydaje, że wie, co się dzieje w jego zimnym, wyrachowanym umyśle, jest naiwniakiem. Facet uśmiecha się tylko wtedy, kiedy uzna, że to dobra inwestycja, a i to pod warunkiem, że na sali jest co najmniej sto osób. Słyszałem, że począwszy od dnia, kiedy zaczął myśleć, nie zrobił niczego, co nie byłoby skalkulowane na osiągnięcie konkretnego politycznego efektu. Gadają, że pan prokurator mierzy tak wysoko, iż wyżej już nie można. Leonora nie

mogła zrobić większego głupstwa zwiąawszy swoją karierę z jego biurem. Jednak wygląda na to, że z jakichś bliżej nieokreślonych przyczyn nie darzy swojego szefa zbytym zaufaniem. Być może, nie jest zachwycona jego sposobem traktowania współpracowników albo nie podoba jej się przesadny, niemal religijny fanatyzm, z jakim obnosi się pan prokurator okręgowy.

- Powinnaś postarać się o własny szyld - sugeruję. - Prywatna praktyka bywa bezpieczniejsza.

- Skończyłabym robiąc to samo, co ty. - Obdarza mnie zakłopotanym uśmiechem. Pije do sprawy Tony'ego, którą prowadzę za darmo, z dobrego serca, mój klient bowiem jest chwilowo bez grosza. Cała jego gotówka idzie dla dzieciaka i byłej żony. Facetka nieźle go spłukała.

- Co zrobimy? - zewnętrzna powłoka Tony'ego-twardziela zaczyna topnieć jak śmietanka w proszku, wsypana do gorącej kawy. Wizja stalowych drzwi celi, zatrzasnkujących się z hukiem za jego plecami, zrobiła swoje.

- Nie mamy większego wyboru - mówię.

Omawiamy ewentualną odmowę składania zeznań. Leonora i ja rozważamy powołanie się na Piątą Poprawkę. Gwarancja niekaralności,

2 - Sędzia

17

z jaką prawdopodobnie wystąpi prokurator, kruszy wszelkie nadzieje na tym polu. Jeśli Kline'owi zależy na zeznaniach, bez większych ceregieli oferuje Tony'emu zwolnienie od odpowiedzialności karnej i po krzyku.

Acosta nie omieszkał mi o tym przypomnieć. Wszystko sprowadza się do tego, ile Tony rzeczywiście wie, o czym jak dotąd nie raczył mnie

poinformować. Jak ogólnie wiadomo, zaufanie klienta do adwokata, i vice versa, to rzecz święta, ale ta reguła nie obowiązuje w przypadku mundurowych, których lojalność leży zupełnie gdzie indziej. „Służyć i chronić” może być wypisane wielkimi literami na drzwiach wszystkich wozów patrolowych w tym kraju, ale gdyby ktoś zajrzał do środka, znalazłby wytłoczone na tapicerce prawdziwe credo naszych dzielnych policjantów, świętą zasadę przetrwania na ulicach: „Nigdy nie zeznawaj przeciwko innemu glinie”. Tak więc, jeśli chodzi o zakres swojej wiedzy i nazwiska, które mógłby wymienić, Tony trzyma mnie w mrokach nieświadomości.

- Zdaje się, że powinniśmy pogadać - mówię mu.

- Taak. Pewnie - powiada. Patrzy w sufit, załamuje ręce. Rzuca szybkie spojrzenie na Leonorę, która tym razem nie może mu ofiarować niczego, poza pocieszającym uśmiechem. - Nie ma mowy - oświadcza. - Nie zamierzam stawać przed żadnym sądem i składać zeznań. Acosta szczerka nie na to drzewo, co trzeba. Nie zmusi mnie, żebym dla jego satysfakcji przejechał się po uczciwych policjantach. Dlaczego niby miałbym to zrobić? Po to, żeby pieprzony skurwysyn wyrobił sobie nazwisko, wdrapał się o kilka trupów wyżej, albo może nawet zdobył nominację do sądu apelacyjnego?

Nie odwracając się słyszę, jak za moimi plecami Harry wzdraga się na samą myśl o Kokosie w sądzie apelacyjnym.

- Wspominał coś o ogólnej celi - zaznaczam. Prawdopodobnie, kiedy my tu sobie gawędzimy, Acosta poszukuje paru bandziorów zapuszkowanych przez Tony'ego, żeby dobrać mu odpowiednie towarzystwo na długie więzienne noce.

Ale Arguillo ma właśnie przyływ natchnienia. Przypuszczam, że moja uwaga w ogóle nie przebiła się do jego mózgu. W każdym razie nie traci rozpędu.

- Nie rozumie chłopców z policji - peroruje. - Trzymamy sztamę.

Potrafiemy zadbać o nasze interesy - informuje mnie. - Jeżeli nie przestanie się do nas przypieprzać, będzie musiał kupić sobie noktowizor, żeby odnaleźć swoją głowę we własnej dupie. - W miarę, jak się rozkręca, jego styl staje się coraz bardziej soczysty. Męska sylwetka Tony'ego zdaje się pęcznieć od słusznego gniewu, gruczoły jak oszalałe pompują adrenalinę i testosteron. Nagle przerywa w pół słowa i patrzy na mnie.

- Muszę wyjść - mówi.

- Dokąd?

- Za potrzebą - wyznaje.

18

Całkiem możliwe, że doprowadził się do stanu, w którym nie obejdzie się bez pomocy lekarskiej. Na jego policzki wystąpił krwisty rumieniec, dłonie drżą.

Tony wychodzi na korytarz i kieruje się ku męskiej toalecie. Przez krótką chwilę wszyscy troje - Harry, Leonora i ja - patrzymy na siebie w milczeniu.

- Niczego nie powie - oznajmia Leonora rzeczowym tonem, jakby mówiła o czymś tak oczywistym, jak siła grawitacji.

- Lojalność? Doktryna policyjnej wierności?

- Tak, a także instynkt samozachowawczy.

- Praca?

- Życie - odpowiada.

- Teraz zaczynasz dramatyzować. Nie było żadnych pogroźek. - Pomijam uwagi Kokosa na temat praktyk seksualnych w więzieniu okręgowym.
- Niewiele trzeba, żeby postawić policjanta na patrolu w śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji. - Jej umysł lepiej dostrzega przeróżne subtelności.
- Wystarczy uliczna strzelanina bez odpowiednich posiłków, albo na przykład wezwanie do włamania, przy czym dyżurny zapomina powiedzieć, że bandzior ma broń. Miliony sposobów, żeby cię zabić, a każdy wygląda jak zwykły wypadek przy pracy - powiada.
- Ale dlaczego mieliby to zrobić? - pytam. Zastanawiam się, czy Tony nie powiedział jej czegoś więcej niż mnie.
- Jak dobrze znasz niejakiego Mendla?
- Tylko ze słyszenia - mówię. - Nigdy nie spotkałem go osobiście, a z tego, co ludzie mówią, sędzę, że niewiele tracę.

Phil Mendel stoi na czele Związku Policjantów. Facet posiada wyjątkowo rozbudowane ego oraz ogromną ambicję, wykazującą wszelkie cechy rozrastającego się nowotworu. Od czasu, kiedy cztery lata temu został przewodniczącym Związku, zdążył zapuścić swoje macki po wszystkich szparach i zakamarkach administracji okręgu. Przypomina wrzód na tyłku. Kiedy tylko pojawią się zarzuty wątpliwego prowadzenia się policjantów, wszystkie instytucje władzy ogarnia przedziwny paraliż. Poszczególne elementy wymiaru sprawiedliwości zaczynają uprawiać coś na kształt zbiorowej gimnastyki. Szeryf nie śmie kiwnąć palcem, nie skonsultowawszy tego uprzednio z Mendlem.

Panuje ogólna opinia, iż Mendel dba o swoich ludzi. Przy nim, bracie, nie zginiesz. Jego nadrzędnym celem jest rośnięcie w siłę ciężko pracujących mas stróżów prawa i porządku. Jeśli jesteś gliną i zamierzasz wystąpić o

sutą rentę na podstawie kiepsko udokumentowanego zaświadczenia o nabytej niezdolności do wykonywania obowiązków, wal do Phila.

Niejeden młody człowiek tuż po trzydziestce, śmigający po całych dniach na nartach wodnych, nie wiedząc, co to troska o kasę, zawdzięcza swój dobry los Philowi i jego kumplom z administracji.

19

Jednak nie wszystkie dobre uczynki Phila dokonały się poprzez zręczne pociąganie politycznych sznurków. Na mieście gadają, że pewien dziennikarz, notorycznie szkalujący Mendla na łamach prasy, musiał przenieść się do innego stanu, miał bowiem dosyć listów z pogrózkami. Phil oświadczył, że nie jest w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności za nieprzemyślane akty lojalnych mundurowych oburzonych nieustannym oczernianiem policji. Tyle o mrocznym cieniu rzucanym przez Phila na instytucje odpowiedzialne za przestrzeganie prawa i porządku w naszym okręgu.

- Chcesz powiedzieć, że Mendel groził mojemu klientowi?

- Jeżeli w całym tym gadaniu o brakujących pieniądzach tkwi chociaż ziarno prawdy, Mendel na pewno zrobi wszystko, żeby zatuszować sprawę. W swoim własnym, najlepiej pojętym interesie - mówi Léonora. - Nie należy do tych, co z wdziękiem przyjmują przegraną. To nie byłoby w jego stylu - powiada.

- Przypuszczasz, że przedsięwziął odpowiednie kroki, żeby skłonić Tony'ego do milczenia?

Jej mina świadczy o tym, że wreszcie zacząłem kapować, o co idzie.

Moja córka należy do dzieci z gatunku pieścuchów. Co i rusz przybiega



do mnie smutna i milcząca bez żadnej określonej przyczyny i domaga się uścisków, tak jak inne dzieci wyłudniają słodycze. Cmoknięcie w czoło albo w policzek upewniają o mojej miłości i tłumi lęk przed porzuceniem. Moja córka boi się, że mógłbym odejść, tak jak to zrobiła rok temu jej matka.

Jestem teraz dla niej ojcem i matką, a to nie byle co. Nikki nie ograniczała się do pilnowania porządku, lecz pełniła również rolę etatowej Dobrej Wróżki. W zeszłym tygodniu mityczna czarodziejka „dała plamę” zapomniawszy włożyć kieszonkowe pod poduszkę Sary. Następnego ranka przybiegła do mnie cała we łzach. Nie dość, że nie ma mamy, to jeszcze przestała odwiedzać ją Dobra Wróżka. Mógłbym się założyć, że w głębi serduszka Sary załęgło się straszliwe podejrzenie, że w dalszej kolejności wystawi ją do wiatru Święty Mikołaj.

Cały następny wieczór poświęciłem na produkowanie listu z przeprosinami. Bohatersko pokonując straszliwe skurcze w nie przyzwyczajonych do wysiłku palcach, stawiałem mozolnie małe drukowane literki, wyjaśniając w czarodziejskim języku wróżki, iż w ostatniej chwili zatrzymała mnie w domu nagła choroba zaprzyjaźnionego elfa. Mam nadzieję, że mała to zrozumie.

We wczesnym dzieciństwie, kiedy matka ukarała ją za jakąś niegrzeczność, Sara przychodziła do mnie, instynktownie wyczuwając, że ma w tatusiu wyrozumiałą instancję apelacyjną. Dzieci posiadają szósty zmysł. Doskonale wiedzą, czego mogą spodziewać się po każdym z rodziców. Sara bez trudu odgadła, że to właśnie ja, wzór idealnego ojca, jestem najlepszy do przebaczenia win i łagodzenia wyroków.

Jednak nie trwało długo, zanim oboje przekonaliśmy się, że moje próby

odwoływania zarządzeń Nikki, dotyczących kwestii wychowawczych, nie  
21

prowadzą do niczego dobrego. Moja żona stanowiła władzę, z którą lepiej było nie zadzierać. Nie żeby miała jakąś szczególną skłonność do gniewu, potrafiła jednak być surowa i uważała za niedopuszczalne, żeby dzieci manipulowały rodzicami, dzieliły, rządziły i zawsze stawiały na swoim. Wiedziała, że jedyna słuszna droga do idealnego wychowania naszej córki wiodła poprzez żelazną konsekwencję.

Sara ma zadatki na przyszłą laureatkę Pokojowej Nagrody Nobla. Zrobi wszystko, byleby tylko uniknąć konfliktu. Widok rodziców - kłócących się i nie mogących dojść do porozumienia w kwestiach dyscypliny - sprawiał jej tyle bólu, że wołała już zacisnąć zęby i z pokorą przyjąć chłostę. Zanim skończyła pięć lat, przestała zwracać się do mnie z prośbami o ułaskawienie. Raz i drugi, złowiwszy uchem odgłosy matczynego łajania, pytałem Sarę na osobności, co się stało. Za każdym razem patrzyła mi pogodnie w oczy i odpowiadała z uśmiechem: „Nic”.

Od tamtej pory zdążyłem poznać gorzki smak jakże smutnej i niewdzięcznej rodzicielskiej odpowiedzialności. Nie ma na świecie inście wymagającej więcej hartu niż powiedzenie dziecku: „Nie”. A jednak niemal codziennie przychodzi mi zaciskać zęby i spełniać ten ciężki obowiązek. Tego wieczoru podejmuję próbę odwołania się do jej inteligencji.

- Rozmawialiśmy już na ten temat - powiadam. - Pamiętasz, co ci powiedziałem?

- T-a-t-k-u. - W chwilach rozpaczy potrafi rozciągnąć to słowo do pięciu sylab.

- Żadne „tlatku”. Powiedziałem, że jeśli chcesz zostać na noc u Amber, musisz posprzątać swój^jokój. Takie są zasady - mówię. - Pamiętasz?

-Obawiam się, że w moim głosie, zamiast zdecydowania, pobrzękują nuty błagania. - Ustaliliśmy przecież zasady, prawda?

Usiłuję znaleźć jakiś wspólny punkt odniesienia.

- Ale tlatku. Amber nie pozbierała po sobie, a to ona najwięcej nabałagała. - Sara z kolei próbuje odwołać się do mojego poczucia sprawiedliwości. Tymczasem Amber i jej mama czekają w holu na dole. Sara stoi przy swoim łóżeczku, kręcąc w palcach kosmyk włosów i patrząc na mnie żałośnie swoimi brązowymi oczyma.

Jest córką prawnika, więc nic dziwnego, że wie, jak prowadzić negocjacje.

- Amber nie jest moją córką - stwierdzam.

Spojrzenie Sary informuje mnie, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby jej przyjaciółka była moją córką i żeby to ona teraz zbierała cięgi. Podłoga dzieciennego pokoju jest usiana roznegliżowanymi lalkami, niektórym z nich brakuje rąk i nóg a nawet gałek ocznych. Więcej okaleczonych zwłok niż pod Gettysburgiem. Kierując się instynktem samozachowawczym, dawno już przestałem kupować mojej córce zabawki złożone z drobnych, kanciastych elementów. Parę razy zdarzyło mi się nadepnąć bosą stopą na coś takiego. Mogę pokazać blizny.

22

- Ale co powiem Amber? Czeką na mnie -mówi z żalospną miną. Buja się trzymając jedną ręką narożnego słupka łóżeczka.

- Masz posprzątać. Teraz. — Kładę akcent na „teraz”.

Obrzuca mnie spojrzeniem pełnym bolesnej rezygnacji i zabiera się do wrzucania zmasakrowanych ciał do plastikowego kosza, w którym

mieszkają.

Wychodzę z dzieciennego pokoju i schodzę na dół. Becky Saunders, matka Amber, czeka cierpliwie przy drzwiach wejściowych. Informuję ją, że w planach Sary zaszła pewna zmiana.

- Zdaje się, że dzisiaj nie jest najlepszy dzień na nocną wizytę -mówię. -  
Może innym razem. Sara ma coś do zrobienia.

Amber patrzy na mnie tak, jak poczciwi wieśniacy musieli patrzeć na Wredną Wiedźmę.

- Nie ma sprawy. Rozumiem - stwierdza jej mama. - Dzieciaki -dodaje filozoficznie.

Amber szarpie ją za spódnicę.

- Ale mamo - pada klasyczny argument.

- Innym razem - tłumaczy jej Becky.

Mała ciągle wisi na matce, wydając z siebie błagalne pomruki.

- Musi wam być ciężko bez Nikki. - Patrzy w głąb korytarza, gdzie otwiera się widok na zawaaloną brudnymi naczyniami kuchnię. Becky znała Nikki. Od czasu do czasu zdarzało im się prowadzić do spółki coś w rodzaju serwisu taksówkowego, dowożącego dzieciaki na różne zajęcia pozalekcyjne.

- Niekiedy nawet bardzo - przyznaję.

- Próbowaleś skorzystać z pomocy organizacji „Rodzice bez Partnerów”?

Już to widzę, zbiorowe wysiłki znalezienia mi żony. Kręcę głową.

- Jesteś prawnikiem, zgadza się? - Podejrzewam, że przeprowadza w pamięci pośpieszne obliczenia, czym mógłbym się wykazać na rynku matrymonialnym. - Powinnam mieć gdzieś ich numer. Jest mnóstwo niezależnych, wykształconych kobiet, które... - Nie kończy zdania.

Wyciągam dłoń gestem policjanta zatrzymującego ruch na ulicy i energicznie potrząsam głową.

- Nie, nie. Dam sobie radę. Nie fatyguj się.

- To żaden kłopot - stwierdza. - Masz bardzo ciekawy zawód - mówi pierwszą rzecz, jaką jej ślina na język przyniosła. Myślam jest gdzie indziej. Notuje coś na odwrocie wizytówki, którą następnie wrzuca do torebki. Dostrzegam moje nazwisko i skrót R b.P.

Na tym właśnie polega dramat samotnego mężczyzny otoczonego gospodyniami domowymi. Wszystkie odczuwają nieodpartą potrzebę zaopiekowania się nim.

- To okropne. - Patrzy z roztargnieniem w jakiś punkt za moimi plecami, przez chwilę myślę, że chodzi jej o śmierć Nikki. - Wydawałoby się, że można mieć do nich zaufanie.

23

Owszem, w pierwszych miesiącach po odejściu Nikki zdarzały mi się wybuchy wściekłości, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że to ma cokolwiek wspólnego z kwestią zaufania.

- Do kogo? - upewniam się.

- Do takich ludzi, jak ten sędzia.

- Jaki sędzia?

- Ten, którego aresztowali dzisiaj wieczorem. - Wyciąga rękę w stronę przyciszonego telewizora w salonie, za moimi plecami.

Odwracam się, ale na ekranie leci reklamówka.

- Nie słyszałeś? Przed paroma godzinami aresztowali jakiegoś sędziego.

W związku z prostytutką. Wyobrażasz sobie? Człowiek myśli, że można im ufać. Chciałabym wiedzieć, co tam się wyprawia.

Słucham jej z najwyższą uwagą.

- No tak. Zatrzymali go dzisiaj, wczesnym wieczorem, w jednym z tych wielkich hoteli w śródmieściu. Był z jakąś prostytutką. Koszmar -powiada.

- Kto to był?

- Hmm?

- Jak się nazywa ten sędzia?

- Och, nie mam pojęcia. Jak mu było? - Strzela palcami, raz i drugi, szukając natchnienia na suficie. - Locata? Armada? Jakieś hiszpańskie nazwisko.

- Acosta? - podsuwam.

- Właśnie.

Becky Saunders patrzy ma mnie i idę o zakład, że się zastanawia, dlaczego, u diabła, reaguję na te ponure wieści rozanielonym uśmiechem. Pewnie myśli, że zwariowałem, ale mam to gdzieś. Świat jest jednak prawidłowo urządzony. Istnieje jeszcze Bóg na niebie.

zytam pobieżną relację w porannej gazecie, wyciągnięte z archiwum zdjęcie Kokosa zajmuje całą szerokość szpalty. Pod spodem podpis dużymi literami: „Sędzia aresztowany podczas obławy na prostytutki”.

Dokładnie to, czego nam trzeba, i to przed samymi wyborami. Z gazetą w jednej ręce, a teczką w drugiej, wysiadam z windy na czwartym piętrze biura prokuratora okręgowego, mieszczącego się wewnątrz jednej z tych nowoczesnych konstrukcji ze szkła i metalu, bez żadnych ozdób. Ta akurat została doczepiona do budynku sądu na skraju slumsów, które tylko częściowo doprowadzono do porządku przed załamaniem się planu renowacji miasta. Prokurator okręgowy dzieli przestrzeń biurową z Urzędem Stanu Cywilnego i kilkoma innymi instytucjami usytuowanymi

na parterze, zajmującymi się przekładaniem papierków.

Recepcjonista schowany za pięciocentymetrową taflą kuloodpornego szkła dzwoni do biura Leonory i po paru sekundach odzywa się brzęczyk oznajmiający, że mogę wejść do środka. Idę korytarzem, mijając komórki będące rządowym odpowiednikiem prywatnych gabinetów. "W środku tkwią prawnicy, jedni rozmawiają przez telefon, inni w milczeniu -pochyleni nad stosami papierzysk na podobieństwo klasztornych średniowiecznych skrybów - oddają się mozolnej pracy. Gdzieś tam szafki z wysuwanymi szufladami kartotek pną się pod sam sufit, a każda z nich zawiera akta będących w toku, nie rozstrzygniętych spraw.

Biuro prokuratora okręgowego w dowolnej z wielkich metropolii naszego kraju stanowi jedno z tych rzadkich miejsc, gdzie można popatrzeć na ciężką pracę ludzi opłacanych z pieniędzy podatników. Pełno tutaj młodych, zaharowanych prawników, odwalających więcej roboczogodzin w ciągu jednego dnia niż większość obywateli w ciągu całego tygodnia.

Zdarzają się wśród nich „przyszłe sumienia Ameryki”, fanatycy prawa

25

i porządku, ślepi na wszystkie kolory poza białym i czarnym, toczący świętą wojnę przeciwko zepsuciu i zgniliznie moralnej naszych czasów.

Jednak większość ogranicza się do wykonywania rutynowych obowiązków, by po zdobyciu szlifów zawodowych w sądzie zaprzedać duszę pierwszej lepszej, dostatecznie bogatej firmie prawniczej i wkroczyć w świat, gdzie zbrodnia nosi białe kołnierzyki oraz jedwabne pończochy i nierzadko bywa popełniana podczas kolacji w ekskluzywnym klubie.

Leonora zajmuje jedno z obszerniejszych biur, tuż obok kącika

okupowanego przez Jego Eminencję, Colemana Kline'a. Tutaj znajduje się

drugie stanowisko recepcyjne, obsadzone przez ekipę sekretarek zazdrośnie strzegących dostępu do gabinetu Kline'a. Zza zamkniętych drzwi dobiega moich uszu głos prokuratora rozmawiającego przez telefon. Tutejsze ścianki działowe mają grubość i wytrzymałość papieru toaletowego. Kiedy ktoś kicha, całe piętro życzy mu „na zdrowie!” Pukam w półprzezroczystą szklaną szybkę obok drzwi.

- Proszę wejść. - Zasłaniając dłonią słuchawkę telefonu Leonora wskazuje mi jeden z foteli, ustawionych dla klientów przy jej biurku.

Drugi fotel zajmuje młoda kobieta, ma najwyżej dwadzieścia parę lat, jasne włosy koloru miodu, opadające na ramiona. Oszalaniające błękitne oczy uśmiechają się do mnie. Słowem, panienka, za jakimi szaleją chłopcy w college'ach. Ładna cera, delikatne kości policzkowe. Wygląda na dziewczynę dorastającą na piaszczystych plażach Santa Monica. Mi-ni-spódniczka tylko częściowo zakrywa opalone uda. Wysportowana tyle, ile trzeba, a przy tym ponętnie miękka i apetyczna. Zastanawiam się, czy nie jest przypadkiem sekretarką Leonory, chociaż, szczerze mówiąc, nie wygląda na sekretarkę. Poza tym nie widzę w jej rękach nieodzownego bloku i długopisu.

- Zaraz się tobę zajmę - mówi Leonora, cały czas trzymając w ręku słuchawkę. - Nie, nie. To nie przejdzie. Jeśli będzie odpowiadał za pierwszy i drugi, odstąpimy od reszty zarzutów. Dostanie dwanaście miesięcy, po czym wyjdzie na zwolnienie warunkowe. - Kto powiedział, że skończy się na kurateli sądu? - Pauza, przez chwilę słucha w milczeniu. - Pan Kline mówił mi co innego. Nie, rozmawiałam z nim osobiście.

Energicznie gestykułuje, jakby usiłowała przerwać potok słów po drugiej stronie linii. Bezskutecznie.



- Niech pan posłucha, nie mamy o czym rozmawiać. Jeśli się panu nie podoba, może pan poinformować swojego klienta, że z porozumienia nici. Nie, tą sprawą zajmuje się tylko jedna osoba i właśnie z nią pan rozmawia. Słucha.

- Nie odpowiadam za to, co pan obiecał swojemu klientowi. To moje ostatnie słowo. Może mu pan powtórzyć, że krowa tak powiedziała.

26

Kolejna przerwa.

- Szkoda, że pan nie jest dyplomowanym weterynarzem. Może wtedy zdołałby mnie pan bardziej zainteresować swoimi uwagami na temat krowiej anatomii. Tymczasem przypominam, że jeśli chce pan dojść do porozumienia, jest to ostatnia szansa. W przeciwnym razie, spotkamy się na sali rozpraw.

Facet podnosi głos. Jestem w odległości dwóch metrów od słuchawki, a wyraźnie słyszę każde słowo. Wydaje mi się, że rozpoznaję głos. Jeśli Leonora przez telefon potrafi doprowadzić gościa do takiego stanu, chciałbym zobaczyć, do czego jest zdolna w sądzie.

- Świetnie. Niech pan z nim pogada, proszę bardzo. Ja już to zrobiłam. Zaaprobował warunki. Jedno pańskie słowo i po sprawie. - Nie ma o czym mówić.

Dziki wrzask po drugiej stronie słuchawki, po czym następuje kolejna próba wytargowania korzystniejszego układu. Leonora trzyma się twardo.

- Przyjmuje pan, albo nie - mówi i rzuca słuchawkę na widełki. Mruczy pod nosem jakieś łagodne przekleństwo.

- Nie możesz mieć do niego pretensji, że targuje się do upadłego -mówię.

- Tak, stary wprowadził tutaj zasady rodem z bazaru - powiada

1 nieznacznie kiwa głową w kierunku cienkiej szyby, pełniące funkcję ścianki działowej pomiędzy biurem Leonory i gabinetem Kline'a. Siedząca obok mnie kobieta nie widzi tego gestu, albo też nic ją to nie obchodzi. Trudno zgadnąć.

Zaczynam mówić, napomykam o artykule w porannej gazecie, ale Leonora przerywa mi w pół słowa.

- Paul Madriani, panna Brittany Hali - dokonuje prezentacji. - Paul jest moim przyjacielem. Przyszedł zabrać mnie na kawę - wyjaśnia.

Jestem zaskoczony. Jednak dociera do mnie, że cokolwiek Leonora ma mi do powiedzenia, nie chce tego mówić w biurze. Podejmuję grę.

- Pracuje pani tutaj? - Patrzę na niewiastę o imieniu Brittany, starając się nie przewracać zanadto oczami.

- W pewnym sensie - uprzedza ją Leonora. - Brittany pomaga od czasu do czasu organom ścigania. Robi na uniwersytecie specjalizację z policji i w razie potrzeby wykonuje specjalne zadania.

- Tajne zadania - powiada dziewczyna.

- Och.

- Być może czytałeś o jej ostatniej eskapadzie w dzisiejszej prasie porannej?

Leonora widzi, że trzymam w ręku gazetę.

- Chodzi o tego sędziego, który został aresztowany - rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie, które mówi „nic nie mów!”. -Brittany jest naszym kluczem do tej sprawy. Bardzo ważnym świadkiem - powiada.

27

- Och. - Przynęta - myślę. Żli ludzie w naszym mieście znajdują się na takich sztuczkach. Obiło mi się o uszy, że jeśli sytuacja tego wymaga, chętnie

korzystają z pomocy policyjnych groupies, panienek, które kręcą się wokół stróżów prawa, zamiast, jak ich bardziej wybredne koleżanki, snuć się za gwiazdami rocka. W przeszłości niejedna piękność z aspiracjami na Miss Ameryki spełniła swój obywatelski obowiązek odgrywając dziwkę. O ile pamiętam, mieliśmy już Miss Pomidorów i Księżniczkę Stokrotek czy coś w tym rodzaju. Dwudziestoletnie dziewczęta o kształtach, które mogłyby wstrzymać ruch na torze Formuły Pierwszej. Wystarczą koronkowe majteczki, przyćmione światło, a niejeden świętobliwiec narażony byłby na upadek moralny. Robię jeszcze jeden rzut oka na pięknie zaokrąglone kolana i splecione nogi wsparte o biurko Leonory, gwarantowane sidła na takich starych wyjadaczy, jak nasz Kokos.

- Dobra robota - mówię głosem pełnym entuzjazmu. Brittany odwdzięcza mi się olśniewającym uśmiechem.

- O rany! Dzięki! - Po krótkim namyśle ocenia faceta pod względem moralnym. - Sądzę, że to naprawdę paskudny typ. - Potem stara się podkreślić istotne znaczenie swojego wkładu w walkę ze złem. Odnoszę wrażenie, iż źle zrozumiała moją aprobatę, niesłusznie biorąc to za dowód autentycznego zainteresowania uczciwością przedstawicieli władzy.

- Zasługujący na najwyższe potępienie - przyznaję. - Po prostu kupa gnoju.

- A przecież jest sędzią - mówi. Pewnie uważa, że tylko prezydenci i gubernatorzy stoją wyżej w tym łańcuchu hierarchii etycznej. Tym razem ustrzeliła nie byle jaką zwierzynę. Stoi tak cała w uśmiechu, wyraźnie rozluźniona. W końcu nie jestem przecież żadnym bezmózgowym sztywniakiem z renomowanej kancelarii dla ważniaków, żebym uznawał jej działalność za naganną i żeby musiała mnie przekonywać, że wrabiając

faceta w toższe przyczynia się do dyskredytacji wymiaru sprawiedliwości. Mój osobisty pogląd na Kokosa nie różni się wiele od opinii, jaką musiał się cieszyć Mussolini w oczach chłopaków z ruchu oporu. Powieszenie również Kokosa za nogi na suchej gałęzi i urządzenie zawodów strzeleckich uznałbym za świetny pomysł na spędzenie sobotniego popołudnia.

- Facet posiada morale jadowitego węża. - Jej wyobraźnia pracuje, a ja chciałbym zapytać, jak wysoko nasz wąż zdołał dopełznąć w tym szczególnym przypadku. Ale widzę spojrzenie Leonory i nie pytam.

- Cóż, robiłam już takie rzeczy. Ale żeby sędzia... Nie miałam o tym najmniejszego pojęcia. Myślałam, że to jakiś biznesmen.

Brittany zachowuje się jak dzieciak, który właśnie zdał sobie sprawę, że spuścił manto postrachowi całego podwórka.

- A dzisiaj piszą o tym na pierwszych stronach gazet - mówię, a jej policzki okrył delikatny rumieniec. Na dowód podnoszę do góry trzymany w dłoni egzemplarz i mam nawet ochotę poprosić ją o autograf, ale boję się, że Leonorę trafiłby szlag.

28

- Nie wymienili mojego nazwiska. - Brittany sprawia wrażenie rozczarowanej .

- Niech pani da im trochę czasu. - Mogę sobie wyobrazić, co się zacznie dziać, kiedy pismaki zorientują się, co jest grane. Już widzę te wielkie, rozbierane zdjęcia na całą szpalnę.

- Mielśmy powody, żeby zachować pani nazwisko w tajemnicy - wtrąca Leonora. - Mam nadzieję, że pani to rozumie - dodaje.

Brittany rzeczowo kiwa głową, ale mogę się założyć, że panienka nie jest

zbytńio zadowolona ze swojej anonimowości.

- Właśnie miałyśmy skończyć wyjaśnianie kilku drobiazgów - mówi Leonora. - Nie zechciałbyś poczekać w sekretariacie?

Zechciałbym czy nie, odprowadza mnie do drzwi. Musi skończyć zbieranie materiałów, które posłużą za podstawę do skomponowania pozwu przeciwko Acoście. Mam ochotę podsłuchiwać przez dziurkę od klucza, ale obawiam się, że mogłoby to nie spodobać się sekretarkom. Po dziesięciu minutach mam zdrętwiały tyłek od siedzenia na twardej drewnianej ławce, na której trzyma mnie tylko nadzieja, że po skończonej konferencji Leonora podzieli się ze mną jakimś smakowitym kąskiem, jakimś szczegółem z nocnej eskapady Kokosa. Przez zamknięte drzwi dociera do mnie niewyraźny szmer głosów, ale nie udaje mi się wyłowić niczego konkretnego. Część uwagi przenoszę na fragment rozmowy telefonicznej, którą Kline toczy w swoim biurze. Surowy ton głosu, przedzierającego się przez dzielące nas przepierzenie, mógłby wskazywać na dumną postać męża stanu w garniturze w jodełkę. Z prowadzonego dialogu ja słyszę tylko kilka zdawkowych pytań. Jeden, jedyny raz miałem okazję gadać z nim osobiście i pamiętam, ile kłopotu sprawił mi jego skrajnie oszczędny sposób posługiwania się słowami.

- Tak. Jak mówiłem, zajrzę do akt i oddzwonię. Um-hm. Um-hm. Jak się nazywa pański klient?

Cisza, jakby coś notował.

- Karany w przeszłości? Wcześniejsze oskarżenia? - pyta. Dłuższa przerwa. Więcej notatek.

- Nic nie obiecuję, ale z nią porozmawiam. Nie, panna Goya pracuje dla mnie. To ja podejmuję ostateczne decyzje.

Czuję na sobie ciężkie spojrzenie urzędniczych oczu. Jedna z sekretarek orientuje się, że wystawiłem swoje antenki i odbieram zastrzeżony program. Uruchamia kopiarke i tracę głos Kline'a. Idę o zakład, że kobieta marnotrawi państwowe pieniądze, odbijając puste strony, ale treść dalszej rozmowy pozostała dla mnie tajemnicą.

Parę sekund później drzwi - będące obiektem mojego zainteresowania - otwierają się i wychodzi z nich Coleman Kline z twarzą ogorzałą od  
29

słońca, odziany w garnitur za tysiąc dolarów, lniane mankiety ze złotymi spinkami. Słyszałem, że w weekendy żegluje po zatoce. Mimo zbyt wysokiego czoła z powodu łysienia, jest niewątpliwie przystojnym mężczyzną, w sam raz na okładkę „Gentleman's Quarterly”.

Trzyma w dłoni żółtą kartkę z nadrukiem „nie zapomnij”, na której jest coś nabazgrane.

Sekretarka zrywa się z krzesła, obiega kontuar recepcji i przystaje w służalczej pozycji, czekając na rozkazy swojego pana. Kline podaje jej żółtą kartkę.

- Niech pani przyniesie mi akta tej sprawy. Kobieta oddala się z prędkością światła.

Zauważywszy kątem oka moją osobę, Kline pochyla się nad kontuarem i szeptem pyta dziewczynę obsługującą centralkę telefoniczną, czy aby nie czekam na niego. Dowiaduje się, że nie czekam. Uspokojony, obrzuca spojrzeniem zamknięte drzwi do gabinetu Leonory.

- Czy u panny Goya ktoś jest?

- Panna Hali.

\*••'••- Przyjmuje wyraz twarzy rozgniewanego monarchy.

- Zdawało mi się, że wyraźnie mówiłem, żeby panna Hali została wprowadzona do mojego gabinetu natychmiast, kiedy przyjdzie.
- Pan rozmawiał przez telefon, a panna Goya powiedziała...
- Nie obchodzi mnie, co powiedziała panna Goya. Życzę sobie, żeby moje polecenia były wykonywane.

Telefonistka ma minę zbitego psa.

Siedzi za swoim kontuarem, ma spuszczone oczy - wcielenie poczucia winy - nie przejawia jednak żadnej inicjatywy w naprawieniu szkody.

- Niechże pani się z nią połączy - rozkazuje Kline.
- Z panną Goya?
- Tak, z panną Goya. I niech jej pani powie, żeby przysłała pannę Hali do mojego gabinetu. Natychmiast.
- Tak, proszę pana.

Nauczony doświadczeniem stoi nad nią, pilnując, żeby znowu czegoś nie pokręciła. Tymczasem wraca druga sekretarka.

- Te akta, o które pan prosił.
- Właśnie. Ma je pani?
- Są u panny Goya.

Twarz Kline'a wyraża najwyższą irytację, której powodem bez wątpienia jest Leonora.

Słyszę brzęczyk interkomu w jej biurze, potem jej głos.

- Pan Kline chce widzieć pannę Hali w swoim biurze.

Stłumiony głos wydobywa się zza zamkniętych drzwi. Leonora nie ma pojęcia o napiętej sytuacji, jaka się tutaj wytworzyła. Prosi o parę minut.

Już prawie skończyła gromadzenie informacji potrzebnych jej do napisania pozwu.

- Pan Kline chce ją widzieć natychmiast. - Nawet obecność wiszącego nad nią Kline'a nie jest w stanie sprawić, żeby głos recepcjonistki nabrał przekonującego brzmienia.

- Proszę mi to dać. Wyrzywa kobiecie słuchawkę.

- Wydałem wyraźne instrukcje, żeby panna Hali została bezpośrednio wprowadzona do mojego gabinetu. Ma nie rozmawiać z nikim, oprócz mnie.

Chwila wahania, jakby Leonora próbowała go przekonać.

- Mam to gdzieś. Zrozumiała pani?

W biurze Leonory zapada kamienna cisza. Nagle dociera do niego, że może obyć się bez połączenia telefonicznego. Ciska słuchawką w sekretarkę i idzie ku zamkniętym drzwiom biura panny Goya. Po otwarciu jedyne uprzejme słowa kieruje do panny Hali, prosząc ją, żeby zaczekała w jego gabinecie. Dziewczyna przemyka się pomiędzy Kline'em i framugą, jak kot uciekający przed kłami rozwścieczonego psiska. Kline wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

Do moich uszu docierają gniewne słowa, wypowiedane głębokim, samczym głosem. Leonora zaczyna odpłacać pięknym za nadobne.

- Nie ma pan żadnego prawa mówić do mnie takim tonem. Nie miałam pojęcia o pańskich instrukcjach. Nie wiedziałam, że są wyryte w kamieniu.

-Oczami wyobraźni widzę Leonorę stojącą za biurkiem z rękami na biodrach.

To powoduje u Kline'a kolejną falę oburzenia, oskarża Leonorę, że podkopuje jego autorytet w oczach personelu.

- To ja muszę użerać się z dziennikarzami, którzy domagają się



konkretnych odpowiedzi - mówi. - Mamy do czynienia z niezmiernie delikatną sprawą. To nie jest robota dla pani. Urzędnik publiczny oskarżony o przestępstwo. Muszę dokładnie znać wszystkie szczegóły. Leonora próbuje oponować. Stwierdza, że oświadczenie dla prasy powinno ograniczyć się do minimum, że sprawa ma pewne określone niuanse, które nie pozostaną bez wpływu na stanowisko innych sędziów, znających osobiście Acostę. Żaden z nich nie będzie w stanie wysłuchać pozwu przeciwko Acoście, o ile w ogóle trafi to na wokandę. Poza tym, jeżeli miejscowa palestra uzna, że biuro prokuratora sprzedało jednego ze swoich żadnym sensacji pismakom, rozpęta się prawdziwe piekło, którego skutków nie da się przewidzieć. Kline wpuszcza to wszystko jednym uchem i wypuszcza drugim.

- Nie przyszło pani do głowy, że umiem poradzić sobie z prasą?
- Nie mówię, że nie. Ale gdyby zechciał pan posłuchać mojej rady, z przyjemnością...
- Jedyne, czego chcę, to osobiście porozmawiać ze świadkiem. To ja prowadzę tę sprawę - mówi.
- Świetnie. Oto akta - odpowiada Leonora.

Otwierają się drzwi i staje w nich Kline. Do piersi przyciska tekturową teczkę, z której wyzierają nierówno ułożone papierzyska. Wtem jego

31

wzrok pada na mnie, twarz mu czerwienieje, bo uświadomił sobie, że ktoś obcy był świadkiem awantury w jego biurze. Gorączkowo szuka sposobu na zachowanie twarzy i coś mu przychodzi do głowy, bo odwraca się na pięcie w stronę Leonory.

- Byłbym zapomniał - mówi. - Sprawa Bogdanowicza. Ograniczamy się

do kurateli sądu. Może pani oszczędzić sobie pracy - oznajmia.

- Co?

- Słyszała pani. Kuratela sądu.

- Przecież mówiliśmy już o tym. Wczoraj wyraził pan zgodę - protestuje Leonora.

- Właśnie rozmawiałem z jego prawnikiem.

- Co to ma do rzeczy? Czyżby dowiedział się pan od niego czegoś nowego? Pojawiła się jakaś nowa okoliczność, którą przeoczyłam?

- Zapomina pani, kto tu podejmuje decyzje. Nie zamierzam dyskutować na ten temat. Proszę wykonać moje polecenie.

Wygłosivszy tę kwestię, zatrzaskuje drzwi przed samym nosem Leonory i zwraca się do Brittany Hali czekającej przy kontuarze recepcji.

- Panno Hali. - Kline wyraźnie wraca do równowagi. Na jego twarzy maluje się zadowolenie.

Pokazał Leonorze, kto tutaj rządzi. Poprawia krawat i gestem zapraszającym wprowadza pannę Hali do swojego biura.

- Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

Brittany obdarza go uroczym uśmiechem. Mógłbym się założyć, że wyczuła obecność Alladyna, który, jeżeli tylko potrze lampę we właściwy sposób, wyczaruje dla niej upragnione kamery i flesze. Mizdrząc się wpływa do jego gabinetu.

- Co za kutas. - Leonora nie ma zwyczaju przebierać w słowach, kiedy ją ktoś wyprowadzi z równowagi.

- Podejdz do tego na spokojnie. Kryminalistom należy się wreszcie własny prokurator okręgowy. To tak, jak z burmistrzem Waszyngtonu.

Wszystko w ramach akcji propagandowej.

Ona nie widzi w tym nic zabawnego. Popijamy kawę w malutkiej knajpce przy tej samej ulicy, parę kroków od jej biura. Ja stawiam. Może uda mi się coś z niej wyciągnąć.

- Targuje się jak tania dziwka -mówi. -Wydaje mu się, że jest ciałem ustawodawczym. Lubi, jak za nim chodzą. Marzy mu się, żeby interesanci wpisywali się na listę społeczną przed jego biurem. Powiedziałam prawnikowi tego klienta, żeby poszedł do diabła, sam słyszałeś. Nie ma co, stary zrobił ze mnie idiotkę, jak się patrzy.

- Chodzi ci o Bogdanowicza? - Kiwa głową.

- A teraz zamierza dobrać się do dupy Acoście.

- Nareszcie sprawa na jego miarę - mówię.

32

- Taak. Właśnie. Materiał na pierwsze strony gazet, świetna okazja, żeby wypłynąć - zauważa. - Do diabła z prawem. Liczy się polityka.

Przechodzę do rzeczy.

- Powiedz mi, co mają na Acostę.

- Wiemy tyle, co ty. - Wskazuje gazetę.

- Akurat.

- Założę się, że dadzą spokój Tony'emu - śmieje się ze swojego optymistycznego spojrzenia na sytuację.

- Przynajmniej na razie. Jego Wysokość nie przyszedł dzisiaj do sądu.

Dzwoniłem do jego biura, wszystkie rozprawy odwołane — mówię.

Według teorii Harry'ego, po wczorajszym rozczarowaniu tak pięknie zapowiadającym się wieczorem Acosta siedzi w domu oglądając świeższyki.

- Na pewno podniesie wrzask, że został wrobiony - powiadam.

- Okrzyk wojenny wszystkich jeleni. Ale jego prawnicy będą mieli mały problem. Panienska miała przy sobie mikrofon, który zarejestrował impuls prosto z rozporka oskarżonego.

Rzucam jej pytające spojrzenie.

- Wyprowadził konia ze stajni na przejażdżkę w blasku księżyca, zanim zdążyli ustalić, ile kosztuje godzina jazdy. Przynajmniej tak utrzymuje nasz świadek - wyjaśnia.

- I to wszystko jest na taśmie? - pytam. - Macie zapis dźwiękowy jego prymitywnych żądź?

- A co chciałbyś jeszcze? Zdjęcia?

- Chciałbym mieć pewność, że to faceta położy martwym bykiem. Teraz ona na mnie patrzy pytająco.

- Mam zastrzeżenia co do sformułowań - wyjaśniam.

- Powtarzam tylko słowa świadka. Nie słyszałam jeszcze taśm. Pracują nad nimi technicy. Zdaje się, że mają jakiś problem. Kiepska jakość dźwięku czy coś w tym rodzaju.

- A jak oceniasz waszego świadka?

- Wysławia się jak królowa brytyjska. Nie notowana. Nieposzlakowana reputacja. Panienska z dobrego domu. Dobra studentka. Chce zostać policjantką. Parę razy włączała się w różne kampanie polityczne. Robiła takie tam, „podaj-przynieś-pozamiataj”. Udziela się społecznie, jej ulubiony konik to walka z przestępczością. Uwielbia akcje masowe. Ostatnio agitowała na rzecz naszego Bicza Bożego na złoczyńców i zbrodniarzy. -Ma na myśli kampanię wyborczą Kline'a.

- To on ją zaangażował? Kręci głową przecząco.

- Gliny. To od początku do końca ich robota. Kline by to spieprzył jak

amen w pacierzu. Możesz być pewien, że panienska zostawiłaby na różnych częściach ciała Acosty piękny komplet odcisków palców, co jego prawnicy zinterpretowaliby niewątpliwie jako dowód, że to ona proponowała mu pieniądze za numerek.

33

- Jakim cudem złapali właśnie jego? - pytam. - Ślepy przypadek? Dobrze wie, o co mi chodzi. Pamiętam komentarz, jaki Tony Arguillo wygłosił pod koniec wizyty w moim biurze. Że gliny potrafią zadbać o swoje interesy. Jestem ciekaw, czy wczorajsza rozbierana randka została zaplanowana i przeprowadzona pod auspicjami Phila Mendla oraz jego stowarzyszenia cnotliwych. Coś mi to wygląda na klasyczny popis jego stylu.

- Nigdy im tego nie udowodnisz - mówi.

- Hej, czy ja wyglądam na szefa komisji do walki z nadużyciami? Jeśli o mnie chodzi, dałbym im za to medal.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego - stwierdza. - Rachunek prawdopodobieństwa. Im częściej grzeszysz, tym większa szansa, że zostaniesz przyłapany in flagranti.

- Znaczy się, ślepy traf. Facet miał pecha - mówię. Dołączam do jej sposobu interpretacji.

- Myślisz, że nasz dobry sędzia będzie próbował załatwić sprawę polubownie?

- Znając zwyczaje panujące w naszym biurze - powiada - prawdopodobnie oświadczy, że myślał, iż magnetofon, za który złapał, był znakiem drogowym i wszystko sprowadzi się do przekroczenia przepisów ruchu drogowego.

Puszczam to mimo uszu.

- Rzecz w tym, że i tak nie bardzo macie go o co oskarżyć. -Nagabywanie prostytutki jest w naszym stanie traktowane jako wykroczenie przeciwko moralności, za które trudno nawet wsadzić gościa do aresztu. Zazwyczaj kończy się na wręczeniu wezwania do stawienia się w sądzie pod groźbą kary. Jeleń buli tysiąc dolarów grzywny, wysłuchuje kilku morałów na temat bezpiecznego seksu i wraca do domu. Jednak w omawianym przypadku cała przykrość dla delikwenta polega na tym, że banalne wykroczenie pozostaje czynem nagannym moralnie i nie ma na to rady. W historii naszego stanu zdarzało się już, że sędziowie stawiali przed takim zarzutem i jak dotąd, zawsze z jednakowym skutkiem. Usunięcie ze stanowiska.

Phil Mendel ma wygląd nieokrzesianego zbója. W sytuacjach konfliktowych możemy zobaczyć, jak po uzyskaniu przewagi nad przeciwnikiem zaczyna dzwonić, migać światelkami, a na czole wyświetla mu się liczba zdobytych punktów. W jednej chwili brutalny, w następnej przyjmuje pozę świętoszkowatego filistra. Jest arogancki i obłudny, jak tylko potrafi być zdemoralizowany władzą facet w średnim wieku.

Zrobiłby znakomitą karierę jako prawnik występujący w sądzie.

Dochodzi piąta, kiedy Harry i ja zostajemy wreszcie wpuszczeni do gabinetu Mendla. Przetrzymali nas w poczekalni bitą godzinę. Mendel urzęduje za biurkiem z kosztownego czerwonego drewna, delikatne żyłki rozbiegają się we wszystkich kierunkach ze środka wypolerowanego na wysoki połysk blatu - niby sieć wpływów - tworząc subtelną symboliczną aluzję do osobistych ambicji właściciela mebla.

Za plecami Mendla stoi dwóch fagasów ze słynnej armii cieni, którą on -

jak Mojżesz - prowadzi policjantów przez Morze Czerwone ku Ziemi Obiecanej. Zdolni uczniowie, wychowani w szkole negocjacji hołdującej strategii spalonej ziemi, typy z gatunku „bij! zabij!”, które nie cofną się przed niczym, żeby osiągnąć zamierzony cel. Ugrupowanie podpisujące się AWP („Armia Wyzwoleńcza Policjantów”) i bez wątpienia będące odnogą głównych sił Mendla zaczęło ostatnio publikować numery telefonów i adresy domowe wyższych oficerów policji i innych osób odpowiedzialnych za wielkość zarobków. W załączeniu -plan sytuacyjny okolicy. Zdaniem Mendla i jego zbirów, zorganizowane pochody harcerzyków z przeszłością kryminalną, zaopatrzonych w dokładne namiary twojego ogniska domowego, stanowią idealny sposób na zapewnienie ci chwili wytchnienia, jakże potrzebnej podczas męczącego sezonu negocjacji.

Jeden z goryli ćmi papierosa strząsając na ramię swojego szefa ilości popiołu, jakich nie powstydziliby się Wezuwiusz. Podaje Mendłowi jakies 35

Phil Mendel ma wygląd nieokrzesanego zbója. W sytuacjach konfliktowych możemy zobaczyć, jak po uzyskaniu przewagi nad przeciwnikiem zaczyna dzwonić, migać światelkami, a na czole wyświetla mu się liczba zdobytych punktów. W jednej chwili brutalny, w następnej przyjmuje pozę świętoszkowatego filistra. Jest arogancki i obłudny, jak tylko potrafi być zdemoralizowany władzą facet w średnim wieku. Zrobiłby znakomitą karierę jako prawnik występujący w sądzie. Dochodzi piąta, kiedy Harry i ja zostajemy wreszcie wpuszczeni do gabinetu Mendla. Przetrzymali nas w poczekalni bitą godzinę. Mendel urzęduje za biurkiem z kosztownego czerwonego drewna, delikatne żyłki

rozbiegają się we wszystkich kierunkach ze środka wypolerowanego na wysoki połysk blatu - niby sieć wpływów - tworząc subtelną symboliczną aluzję do osobistych ambicji właściciela mebla.

Za plecami Mendla stoi dwóch fagasów ze słynnej armii cieni, którą on - jak Mojżesz - prowadzi policjantów przez Morze Czerwone ku Ziemi Obiecanej. Zdolni uczniowie, wychowani w szkole negocjacji hołdującej strategii spalonej ziemi, typy z gatunku „bij! zabij!”, które nie cofną się przed niczym, żeby osiągnąć zamierzony cel. Ugrupowanie podpisujące się AWP („Armia Wyzwoleńcza Policjantów”) i bez wątpienia będące odnogą głównych sił Mendla zaczęło ostatnio publikować numery telefonów i adresy domowe wyższych oficerów policji i innych osób odpowiedzialnych za wielkość zarobków. W załączeniu -plan sytuacyjny okolicy. Zdaniem Mendla i jego zbirów, zorganizowane podchody harcerzyków z przeszłością kryminalną, zaopatrzonych w dokładne namiary twojego ogniska domowego, stanowią idealny sposób na zapewnienie ci chwili wytchnienia, jakże potrzebnej podczas męczącego sezonu negocjacji.

Jeden z goryli 6mi papierosa strząsając na ramię swojego szefa ilości popiołu, jakich nie powstydziliby się Wezuwiusz. Podaje Mendlowi jakieś

35

dokumenty i szeptem mu do ucha, podczas gdy Harry i ja czekamy cierpliwie, aż związkowy guru zechce łaskawie zamienić z nami parę słów. Cały ten cyrk odbywa się za publiczne pieniądze, stróże prawa bowiem, oddelegowani czasowo do pracy w Związku, opłacani są z kasy miasta. Faceci wyraźnie uważają się za pełnoetatowych działaczy. Wygląda na to, że władzom miejskim, zarządzającym finansami, brakuje tupetu i



pożytecznej umiejętności wykorzystywania pieniędzy dla siebie, sztuki doprowadzonej przez Mendla do maestrii.

- Na Boga! Radni trzęsą się nad tymi pieniędzmi, jakby pochodziły z ich własnej kieszeni - oznajmia Mendel.

Nie zwraca się do nikogo konkretnego, no, może do Pana Boga, którego imienia właśnie nadużył.

- Dwuprocentową rewaloryzację po zeszłorocznym zamrożeniu płac nazywają hojną ofertą - dziwi się. Skubie rękaw kaszmirowego swetra. Działacze związkowi nie chodzą w garniturach. Nie ten styl.

Bawi się wydrukami z kolumnami liczb. Z rozmowy wynika, że są to ostatnie propozycje z przewlekłych negocjacji, które padły poprzedniego dnia, grzebiąc pod gruzami nadzieje grubych ryb z administracji stanowej.

- Ten chłam nadaje się do podcierania tyłka - oto, co Mendel sądzi o ostatniej ofercie płac i zasiłków, na jaką zdobyło się miasto.

Harry dotrzymuje mi towarzystwa, ponieważ za nic w świecie nie odważyłbym się przyjść tutaj bez świadka. W razie czego potwierdzi moją wersję. Będzie jeden przeciwko zeznaniom dwóch ludzi Mendla. Nie wiem, czy otrzymali wezwanie na rozprawę wstępną, a jeśli tak, to co mogli na niej powiedzieć. Na wszelki wypadek wolę zabezpieczyć się przed zarzutem próby manipulowania świadkami. Dlatego właśnie potrzebny jest mi Harry.

- A więc, reprezentuje pan interesy Tony'ego Arguillo - powiada Mendel. - Mam nadzieję, że nie bierze pan forsy za darmo. Cóż pana do mnie sprowadza?

- Wizja lokalna miejsca przestępstwa. Robi wielkie oczy.

- Jakiego przestępstwa? - pyta.

- Myślałem, że może pan mi powie. Wszystko wskazuje na to, że kłopoty Tony'ego mają bezpośredni związek z jego działalnością związkową.

- Kłopoty? Ktoś ma kłopoty? - Powolnym hakiem odwraca się na swoim obrotowym fotelu, głowa odchylona na zagłówek, mnóstwo śmiechu i niewyszukanych dowcipów pomiędzy Mendlem i jego goryłami. Ubaw po pachy. Nie słyszeli o żadnych kłopotach.

- Nie mam pojęcia o żadnych kłopotach - wyznaje.

- Toczy się postępowanie wstępne - wyjaśniam.

- Ach, o to chodzi. -Wreszcie załapał. - Zostało wstrzymane. -Mówi to takim tonem, jakby na załatwienie sprawy wystarczył jeden telefon.

Zresztą niewykluczone, że tak właśnie było. Nie jest pewne, czy za kłopotami z prawem sędziego Kokosa rzeczywiście stoi Mendel, ale jedno

36

jest pewne: naszemu szefuniowi jest bardzo na rękę, żeby wszyscy tak właśnie myśleli. Magia iluzji.

- Nie wiadomo, na jak długo - zwracam mu uwagę.

- Och, przynajmniej dopóki nie zdrapią sędziego ze ściany. - Mendel jest w nastroju do wesołych żarcików. Dwa darmozjady za jego plecami odstawiają gwizdy, chichoty i klepanie się po plecach w stylu bysiorów z uniwersyteckiej reprezentacji koszykówki po popisowym koszu dla drużyny przeciwników.

- Ciekawe, co on nosi pod togą? - zastanawia się jeden z nich. Mendel spogląda w dół, w kierunku własnego krocza.

- O rany, aż mi się skurczył. - Kolejna salwa śmiechu. Kropelka śliny na policzku, Mendel manewruje językiem, żeby zrobić z nią porządek.

Z rozkoszą przyłączylibyśmy się do tych facecji, ale powstrzymuje nas

wzgląd na dobre obyczaje. Dziwne, lecz świadomość posiadania z Philem Mendlem wspólnego wroga sprawia, że czuję się brudny.

- Dlaczego Tony Arguillo zajmował się prowadzeniem waszych ksiąg? - pytam go. - Nie stać was na zatrudnienie dyplomowanego księgowego?

- Niby czemu mielibyśmy płacić za coś, co możemy dostać za darmo? -powiada. - Ufamy Tony'emu, czyż nie? - Spojrzenie do góry, chóralne potakiwanie.

- Nigdy w to nie wątpiłem - mówię. - A przy okazji, w ten sposób wszystko zostaje w rodzinie. Wszystko jest tak, jak trzeba, szafa gra, najwnikliwsza rewizja ksiąg nie wykryje żadnych nieprawidłowości. Myśl najwyraźniej nie jest nowa dla Phila Mendla. Robi wymowną minę.

- Jeśli tak pan sądzi... Tony świetnie dawał sobie radę.

Jasne. Dzięki jego profesjonalnemu podejściu związkowe księgi składają się obecnie ze sterty barowych serwetek, zabazgranych rozmazanym atramentem. Phil Mendel nie mógłby sobie wymarzyć lepiej prowadzonej księgowości.

- Moim zdaniem, nie ma powodu do niepokoju — powiada. — Sąd ma teraz inne rze/zzy na głowie. Problemy we własnym gronie. Jeśli chodzi o nasze fundusze, oni nie mają nic konkretnego. - Macha dłonią, teatralny gest nad blatem biurka, jakby chciał zmieść na podłogę niedorzeczne oskarżenia.

- Odnoszę wrażenie, że przemawia przez pana bezpośrednio doświadczenie - zauważam. - Czyżby miał już pan tete a tete z sądem? Patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: „gównu ci powiem”. Pochyla się do przodu, oczka jak szparki, oto nadchodzi chwila szczerości.

- Niech mi pan powie, panie mecenasie, co to za interes usiłował pan ubić z sędzią w sprawie zeznań Tony'ego?

Wychodzi na to, że to chwila mojej szczerości, nie jego.

- Na jakim to półmisku zamierzał pan podać nas na pożarcie?

37

- Tajemnica szefa kuchni -mówię. - Ochrona interesów mojego klienta. - Z którego to przywileju Tony zdążył już zrezygnować, wypłakując się na ramieniu Mendla.

- Coś mi się zdaje, że to miało być specialite de la maison ~ powiada.

-Kumple w potrawce. - Spogląda na swoich sługusów. - Nasze szczęście, że Tony ma więcej poczucia lojalności.

- Jak pan słusznie zauważył, wasze szczęście - przyznaję.

- Pakuje się pan do bardzo głębokiej wody - ostrzega mnie. - O wiele głębszej, niż to się panu wydaje.

- Świetnie się składa, umiem pływać.

- Taplanie się pieskiem w rzece gówna może być bardzo męczące -stwierdza filozoficznie.

- Nie zauważyłem - mówię.

- Większość ludzi nie zauważa, dopóki się nie utopi.

Śmierć przez utopienie w odchodach, cóż za subtelna metafora.

- Już bym się zaczął bać, ale jak rozumiem, to pan jest tu ratownikiem - odpowiadam.

Jeden z giermków zaczyna chichotać, lecz po chwili zdaje sobie sprawę, że szef się nie śmieje. Zapada cisza mrożąca w żyłach krew.

- Hej, dlaczego właściwie mamy ze sobą wojować? - wyraża zdziwienie Mendel.

Serdeczny ton, gwałtowna zmiana nastroju, w atmosferze rozpraszają się burzowe chmury i na nieboskłon powraca słońce. Rozpływając się w promiennych uśmiechach, Mendel wykonuje gesty, jakby chciał na siłę wtłoczyć mi do gardła część swoich radosnych uczuć.

- Paul. Mogę do ciebie mówić Paul? - pyta. Nie daje mi czasu na odpowiedź.

- Posłuchaj, Paul. Dlaczego nie mielibyśmy zawrzeć porozumienia o zawieszeniu broni? Jeśli się dobrze zastanowić, mamy ze sobą mnóstwo wspólnego. - Stara się, żeby w jego głosie zabrzmiała głęboka mądrość podeszłego wieku.

Wzdragam się i mam ochotę na prysznic i kawałek dobrego mydła.

- Moglibyśmy zostać przyjaciółmi - powiada.

Rzuca okiem na Harry'ego a zwłaszcza jego ubranie, zdaje się, że to coś od Goodwilla. Nie mam złudzeń, dochodzi do wniosku, że oferowana właśnie przyjaźń nie okaże się zbyt droga.

- Nam też przydałby się dobry prawnik - wyznaje. - A jak słyszałem, jesteś jednym z najlepszych.

Mendel potrafi ofertę łapówki przedstawić w formie najbardziej eleganckiej i zgodnej z prawem transakcji.

- „Nam”, to znaczy komu? - pyta Harry.

- Związkowi - wyjaśnia Mendel. - naturalnie, nasza propozycja dotyczy również pana - dodaje. Wielka wyprzedaż. Sprytnie, dwóch przyjaciół w cenie jednego.

38

Reprezentowanie interesów glin. Wizja z koszmarów sennych Harry'ego.

- Jakiego rodzaju usługi mielibyśmy świadczyć - pytam.

- Usługi prawne, naturalnie. Jakież by jeszcze?
- Sądziłem, że już zdążyliście o wszystkim pomyśleć. Zdaje się, że sąd ma co innego na głowie. Problemy we własnym łonie, o ile sobie dobrze przypominam.

Jego twarz wyraża głębokie skonsternowanie, niepotrzebnie wszystko utrudniam. Według niego powinienem po prostu się zamknąć, zainkasować pieniądze i przestać wściubiać nos tam, gdzie mnie nie proszą. Z chęcią powiedziałby mi to wprost, lecz lata prowadzenia nieczystej gry nauczyły go, że nie wolno lekceważyć reguł misternej sztuki uwodzenia.

- Paul, zachowajmy rozsądek. Wcale nie musimy być wrogami. Proponuje nam coś do picia i zanim mam czas odmówić, wierne służki zaczynają otwierać szafki i wyciągać szuflady. W szklankach podzwaniają kostki lodu. Strzelają korki. Harry już sięga po drinka, w ostatniej chwili kopię go w łydkę. Wyciągnięta dłoń gwałtownie podskakuje do góry, żeby przeczesać tych kilka włosów, jakie mu jeszcze zostały. Odmawia bez przekonania kręcąc głową.

- Zgłaszają się do was różni klienci. Po prostu chcemy kupić wasze usługi. Ile to będzie kosztować?

Może nawet ma pewność co do lojalności Tony'ego, ale nie ma pojęcia, ile Arguillo zdążył mi powiedzieć. Nie wie, czy jestem tanim mądrałą, czy kosztownym cwaniakiem.

- Powiedzmy, że będziemy dla was pracować.

- Powiedzmy.

- Co mielibyśmy robić?

Pionowe zmarszczki pojawiły się na jego czole, jakby mroczny wyraz twarzy odzwierciedlał ciemną stronę jego duszy.

- Weźmiecie zaliczkę i będziecie pod ręką - powiada. - To wszystko. Tak właśnie myślałem. Ponętna perspektywa całowania upierścienionej dłoni. Zgrzytliwy głos szepczący do ucha, iż we właściwym czasie zostaną poproszeni o oddanie pewnej przysługi.

- Zastanów się dobrze, zanim odmówisz. Możemy zostać waszym najpoważniejszym klientem. Nie będziemy się kłócić o pieniądze. - Serce na dłoni, wymowa i siła przekonywania sprzedawcy używanych samochodów. Jakbym go nie znał, tobym to kupił.

- Hej, tworzymy jedną wielką, szczęśliwą rodzinę. Tony. Związek. Ja sam. Moglibyście reprezentować nas wszystkich. Wymieńcie tylko cenę. Gdybym zażądał jego pierworodnego, dałby bez wahania. Słyszeliście o adwokacie diabła? Mendel proponuje mi pracę dla większej połowy piekła.

- Phil. Mogę nazywać cię Phil? Szeroki uśmiech.

39

- To moje imię.

- Jesteś taki miły, Phil, że naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć. Niestety, nie mogę się zgodzić.

- A to dlaczego, kurwa? - Gdzieś zniknęła ujmująca serdeczność.

- Konflikt interesów - wyjaśniam.

Nie dogadaliśmy się. Obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem.

- Mam rozumieć, że nadal reprezentujesz Tony'ego? A to pech.

- Dopóki mnie nie wyrzuci.

Odkręca się na krześle. Narada. Przyciszone głosy.

Fagasy Mendla starają się zachować dyskrecję, szepcząc mu do ucha osłaniają usta dłonią. Od czasu do czasu rzucają szybkie spojrzenia w

naszym kierunku.

Mendel ma gdzieś wszelkie środki ostrożności.

- Jak ona się, kurwa, nazywa? - mówi na cały głos.

Znowu usta przy uchu, odwraca się gwałtownie w moją stronę.

- Ta kobieta -mówi -Goya, z biura prokuratora okręgowego. Co ona ma z tym wspólnego?

Teraz się zaniepokoiłem. Tony'emu udało się skompromitować Leonorę. Jeśli Mendel wie o jej udziale w tej sprawie, o tym, że załatwiła Tony'emu prawnika, tylko patrzeć, jak wiadomość dotrze do biura jej szefa.

Colemena Kline'a bardzo zainteresuje taka informacja. Mendel trafił w nasz słaby punkt.

- Kto? - staram się zyskać na czasie.

- Przestań strugać głupka, Madriani. — Aha, Mendel wie.

- Rozumiem, że nie jesteśmy już po imieniu. - Ignoruje moją uwagę.

- Wiemy, że Tony z nią rozmawiał - mówi.

- Z kim?

- Z tą Goya - wyjaśnia.

- Ach, z nią.

- Tak, z nią - bębni palcem po blacie biurka, czekając na odpowiedź.

- Przyjaciółka z dzieciństwa - powiadam.

- Jasne. I wszyscy troje spotkaliście się w twoim biurze na popołudniową herbatkę.

- Och, Phil, czuję się urażony. Obserwujecie moje biuro, czy po prostu śledziliście Tony'ego? - pytam.

Niewykluczone, że Tony wcale się nie wygadał.

- Od czasu do czasu ktoś tamtędy przechodzi. To miejsce publiczne



-mówi.

- Słusznie. Przypomnij mi - zwracam się do Harry'ego - żeby zamieść biuro. Coś nam mogło wpełznąć przez szparę pod drzwiami, kiedy patrzyliśmy w inną stronę.

40

I

/

Harry uśmiecha się. Mendel się nie uśmiecha. Jeśli się okaże, że zna każdą rozmowę, jaką przeprowadziłem przez telefon w ciągu ostatniego miesiąca, nie puszcę mu tego płazem.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co ona tam robiła.

Wstaję z krzesła i kieruję się do wyjścia. Harry idzie za moim przykładem.

- Masz rację. Nie powiedziałem.

Opuszczam te wysokie progi, pozostawiając Mendla na pastwę ponurych przypuszczeń. Jeśli o mnie chodzi, może sobie myśleć, że Leonora została przysłana przez samego prokuratora okręgowego w celu omówienia warunków, na jakich Tony zgodzi się zeznawać. Wszystko jest lepsze od prawdy. Będę musiał pośpieszyć się, żeby złapać Tony'ego, zanim zrobi to Mendel.

- Powinniśmy jeszcze kiedyś się spotkać - powiada.

- Wezmę z sobą protokółantkę - mówię i już mnie nie ma.

Leo Kerns jest jednym z owych otyłych, łysawych, wiecznie patrzących spode łba facetów, przypominających złośliwe skrzaty z bajek braci Grimm. Znamy się od wieków i mogę zareczyć, że nigdy nie wyglądał inaczej. Zawdzięcza to pracy śledczego w biurze prokuratora okręgowego,

gdzie sam kiedyś pracowałem i gdzie się zakolegowaliśmy.

- Było zadzwonić. Włożyłbym coś na siebie - powiada.

Leo stoi w drzwiach swojego mieszkania ubrany w złachany podkoszulek, spod pach sterczą mu dwie czarne kępki. Ma brzuch, jakiego nie powstydziliby się Budda. W jego oddechu czuć poprzedni posiłek i piwo.

- Ile to czasu? Rok? - pyta.

- Co najmniej - mówię. - Dobrze wyglądasz.

- Jasne, robię się coraz młodszy - on mi na to. - Tyle tylko, że teraz włosy rosną mi do środka i wyłazą uszami.

Nie mogę wyczuć, czy jest sam, czy ma gościa. Może wybrałem nieodpowiedni moment na wizytę. Leo żyje samotnie i nie ma zwyczaju uganiać się za kobietami, za to mówią o nim, że chętnie przyjmuje u siebie kumpli z baru.

- Zaprosiłbym cię do środka, ale mieszkanie jest w opłakanym stanie - mówi.

- Czego nie można powiedzieć o jego właścicielu - zauważam. Obaj wybuchamy śmiechem i w końcu otwiera przede mną drzwi.

- Piwko?

Odpowiedź odmowna byłaby równoznaczna z odtrąceniem fajki pokoju.

Wyszarpuje wieczko puszkę, podnosi ją do góry, etykietką w moją stronę.

- Może być? - pyta.

41

- Moje ulubione. Ciepłe - odpowiadam.

Nie wypuszczając z ręki swojej puszkę, wycofuje się tyłem na ulubione miejsce na kanapie i ostrożnie umieszcza wielki tyłek w wytartym dołku naprzeciwko telewizora, który teraz też gra na cały regulator, zatruwając

atmosferę jakimś nieprzeciętnie głupim kwizem.

Wszystkie te czynności przyprawiły Leo o zadyszkę. Kerns zalicza się do tego, co specjaliści od ubezpieczeń nazywają „grupą wysokiego ryzyka”.

- Czuj się jak u siebie w domu. - Gestem wskazuje mi w rogu pokoju potwornie zniszczony fotel, który, można by pomyśleć, postanowił zrzucić z siebie skórę. Telewizor ryczy jak wściekły. Leo mówi coś, ale nie mogę rozróżnić słów. Wreszcie udaje mu się znaleźć pilota. Walczy z przyciskami, ustawiając właściwe, jego zdaniem, natężenie dźwięku.

- Oglądałeś to kiedyś? - pyta. Zerkam na ekran.

- Pseudokulturalne pomyje — stwierdzam.

- Taa, ale panienska ma niezłe cycki - mówi Leo.

Wycisza dźwięk, ale nie wyłącza obrazu, siedzi z oczami przyklejonymi do ekranu, czekając na następne wejście swoich ulubionych okrągłych dam.

- Domyślam się, że nie wpadłeś na piwo i pogaduchy?

- Skąd ci coś podobnego przyszło do głowy - protestuję. Uśmiecha się.

Przez chwilę gawędzimy o sytuacji w biurze prokuratora

okręgowego, o zmianach, jakie zaszły wśród personelu, odkąd nastał

Kline. Leo opowiada, że ostatnio zrobiła się tam strasznie nerwowa

atmosfera. Kumple, którzy jeszcze wczoraj oddaliby za ciebie życie, teraz

dybią tylko na okazję, by wsadzić ci nóż w plecy. Leo wie, o czym mówi.

W końcu sam, gdyby było trzeba, przy nadarzającej się okazji skorzystałby

z pięknie naostrzonych noży, których kolekcję zapewne trzyma w

pogotowiu.

- Chodzenie do pracy już nie jest taką frajdą jak dawniej - zwierza mi się.

Myślałby kto, że Leo kiedykolwiek znajdował w tym jakąś przyjemność.

- Powinieneś wystąpić o rentę - mówię współczująco.
- Gdyby dawali wcześniejszą emeryturę za pracę z tymi chamami, już dawno chodziłbym na ryby - powiada.
- Naprawdę jest aż tak źle?
- Za samo mówienie temu bykowi „dzień dobry” dają receptę na valium - mówi. Nazywa go „porąbanym Jezusikiem”. W słowniku Kern-sa ten termin może określać każdego, kto w ciągu ostatnich dziesięciu lat przekroczył próg kościoła.

Leo wieszał psy na wszystkich prokuratorach okręgowych, którzy sprawowali urząd od początku stulecia, co mu nie przeszkadzało bynajmniej podlizywać się im przy każdej okazji. Przeżył trzy reżimy, i wspina-

42

1

jąc się po trupach kolegów, dochrapał wreszcie samodzielne, odpowiedzialne stanowisko kierownicze. Gdyby jutro miejsce Kline'a zajął Stalin, pojutrze Leo stawiałby się w biurze w garniturku a la Beria.

- Nie tak dawno spędziliśmy cały dzień na ponownym wymyślaniu koła - narzeka. - Kline uważa, że najlepsze są takie, co mają cztery rogi. - Opowieść uzupełnia parę starannie dobranych przekleństw, wszystkie, co do jednego, stanowią epitety pod adresem jego zwierzchnika.

- Powinieneś rozejrzeć się za inną pracą - powiadam.
- W moim wieku? - Najbardziej w mojej uwadze oburza go słowo „praca”. Poza tym, żadne inne miejsce nie oferuje tylu okazji do knucia intryg. - Ledwo uda nam się któregoś wytresować, dostaje kopa w tyłek od wyborców i zlatuje ze stołka - żali się Leo. W jego ustach brzmi to, jakby

wybrany w demokratycznych wyborach prokurator okręgowy był czymś w rodzaju psa, a banda odwiecznych biurokratów kolektywnym treserem z kijem i marchewką.

Przypominam mu, że Nelson zrezygnował ze stanowiska, żeby wdziąć toę.

- Na jedno wychodzi - on mi na to. - Właśnie zaczęliśmy mieć wspólny język. Był z niego dobry prokurator - stwierdza, nie przejmując się zupełnie, że owe słowa stanowią rażącą sprzeczność z epitetami, jakimi określał faceta niespełna dwa lata temu. - Za to ten tutaj nie ma za grosz poczucia humoru. Dupek rzadkiej klasy... pieprznięty misjonarz.-W oczach Leo religijność stanowi zbrodnię.

- A tak. Słyszałem, że ma w swoim gabinecie krzak, do którego się modli. Przerzywa w pół słowa swoją tyradę i patrzy na mnie, zastanawiając się, czy aby przypadkiem nie mówię poważnie.

- Widział to ktoś? - upewnia się. Z najwyższą chęcią nabyłby zestaw zdjęć, które mogłyby posłać Kline'a prosto do czubków.

- Nie. Ale byli tacy, co czuli dym - mówię.

Powoli do niego dociera, że stroję sobie żarty. Zdobywa się na lekki uśmiech.

- Może zrobią tak, jak z Nelsonem - powiada. Rzucam mu pytające spojrzenie.

- Dadzą kretynowi nominację sędziowską. - Ma na myśli Kline'a.

To by pasowało Leo. Zabierzcie mu sprzed oczu tego gościa o irytujących poglądach i zróbcie z niego sędziego, aby Leo mógł dalej wieść spokojnie swój próżniaczy żywot.

- Skoro już jesteśmy przy sędziach - powiada - słyszałeś o Acoście?

- Czytałem w gazecie - mówię. - Przeplakałem pół nocy.

Moje problemy z Acostą nie są tajemnicą, zwłaszcza dla pracowników biura prokuratora okręgowego.

- Jasne. Pewnie sprzedajesz bilety na stypę - zauważa dowcipnie. -Czyżby to był powód twoich odwiedzin? - Wracamy do tematu, co mnie tutaj sprowadza.

43

- Poniekąd. Rzeczywiście, to ma coś wspólnego z Acostą, a raczej z sądem w ogóle - przyznaję. - Mam klienta, glinę. Dobrego glinę. - To stawia mnie w oczach Leo po stronie aniołów. - Niestety, wplątał się w pewne...

- Tony Arguillo - stwierdza. Nie daje mi dokończyć tak pięknie rozpoczętej przemowy. Leo jest doskonale poinformowany, co piszczy w trawie.

Wykonuję gest, mówiący: „i tu mnie masz”.

- I chciałbyś wiedzieć, w jaki sposób twój dobry glina ściągnął na siebie kłopoty.

Odstawiam całą pantomimę, gesty, miny, kiwnięcia, a wszystko sprowadza się do prostego „tak”.

- Gadają, że wdał się w złe towarzystwo - mówi Leo.

- To znaczy?

- To znaczy, że zadaje się ze złymi ludźmi.

- Pijesz do Mendla i jego bandy?

Leo nie odpowiada, lecz sposób, w jaki milczy, jednoznacznie potwierdza słuszność mojego przypuszczenia.

- Możesz mi wierzyć - powiadam - że nie zaprosiłbym Mendla na obiad u

moich rodziców. Słyszałem również o zarzutach defraudacji funduszu emerytalnego. Jednak mimo wszystko wydaje mi się, że to pewna przesada. Wytaczają armaty. Ogłaszają alarm. Coś mi to wygląda na nadmiar gorliwości ze strony związkowców.

- To jeszcze nie wszystko - zauważa filozoficznie.

Cały zamieniam się w słuch. Leo to nadzwyczajny bajerant, ale zdarzają się takie chwile, kiedy po prostu wiesz, że nie żartuje.

- Interesuje cię, o czym ryczą zwierzęta w zoo? - pyta. t Ten wstęp oznacza, że dalej nastąpią ploteczki z biura, nie potwierdzone przez żadne źródło.

- W grę wchodzi moje życie - zastrzega. - Musisz mi dać słowo, że to nie wyjdzie dalej.

Podnoszę do góry trzy palce, wystawiam je zza puszek piwa, niczym jakiś ochlapus składający pijacką przysięgę kumplowi od kieliszka. Leo aż się pali, żeby podzielić się swoją wiedzą, a znając faceta to pewny znak, że ma do zakomunikowania złą wiadomość.

- Była taka sprawa, mniej więcej sześć miesięcy temu. Gliniarz, nazwiskiem Wiley, postrzelony podczas nalotu na melinę handlarzy narkotyków.

- Coś sobie przypominam. Facet zginął - mówię. - Czytałem coś o tym. Zdaje się, że były jakieś kontrowersje?

- Nie był wtedy na służbie, co niektórym wydało się dziwne - wyjaśnia Leo. - Należał do paczki cwaniaczków. Jeden w drugiego, waźniak z giwerą w bagażniku, tam gdzie normalni ludzie wożą wędki. Lubili w wolnych chwilach zapolować na jakiegoś Bogu ducha winnego rzezimieszka, żeby przypomnieć wszem i wobec, kto tu rządzi. Znasz ten

typ.

44

W oczach Leo naruszenie świętych zasad godzin wolnych od pracy jest grzechem śmiertelnym. Nigdy w życiu nie przepracował ani minuty ponad ustawowy czas, jeśli mu za to nie płacono.

- Wrobili w zabójstwo jakiegoś dzieciaka. Szesnaście lat. Odpowiadał przed sądem dla dorosłych - mówi Leo.

- I sprawiedliwości stało się zadość — wtrącam sentencjonalnie.

- Jest tylko jedno małe ale - powiada. - Dzieciak się nie przyznał.

Twierdził, że to nie był jego pistolet.

- Niesamowite - zdumiewam się. - Cóż za pomysłowa linia obrony.

- No nie? Dlatego właśnie nikt nie dał temu wiary. Sprawdzili numer seryjny. Nie chodziło o jakąś tam zabawkę, zauważ. „Smith and Wesson”, kaliber 38. No i patrzcie, państwo, co się okazało - mówi Leo - splota została skradziona. Podczas włamania. Naturalnie, wszystko idzie na konto tego dzieciaka. Kapujesz?

Nic dodać, nic ująć.

- Tylko, że to jeszcze nie koniec. Wystaw sobie, jakiemuś urzędnikowi z Intendentury zachciało się robić wykaz strat za ostatni rok. Rozumiesz, skradzione samochody, rozbite samoloty i takie tam gówna. No i zgadnij, na co trafił?

Wzruszam ramionami.

- „Smith and Wesson”, sztuk: jeden. Brakuje.

- Niech no pomyślę. Ten sam numer seryjny?

- Bingo! -mówi Leo. - Nasuwa się teoria, że ktoś -jeden z gliniarzy -podrzucił dzieciakowi pistolet na miejscu zbrodni.



- Więc co to było? Przypadkowa strzelanina? Któryś z nich wpadł w panikę?

- Jesteś zbyt ufny, synu - gani mnie Leo, jedyny człowiek na świecie bardziej cyniczny ode mnie.

- W takim razie, co?

- A to już inna para kaloszy - powiada Leo. - Obiło mi się o uszy - nie było żadnych skarg, wyobraź sobie, że gliny wzięły się ostatnio za robienie forsy na własną rękę. Podobno trzepią handlarzy, zabierają szmal, a kiedy się da, to i narkotyki. Nie pogardzą żadnym drobiazgiem - mówi. - Trochę tu, trochę tam, tu tysiączek, tam kilogramik i tak zawsze coś tam się uciula. Naturalnie poszkodowani nie mają jak się poskarżyć. Oficjalnie nikt więc o niczym nie wie.

Leo zaczyna się podniecać własnym opowiadaniem.

- „Panie władzo!” - zgrywa się. - „Widzi pan tego skurwysyna po drugiej stronie ulicy? Ukradł mi torbę koki i cały miesięczny zapas heroiny. O tak, właśnie ten, w takim samym mundurze jak pański”.

- Rzeczywiście, paskudna sprawa.

- Tak myślisz? - pyta Leo. - A co powiesz na to? Wszyscy policjanci biorący udział w tamtym nalocie, podczas którego zginął Wiley, należą do 45

kliki Mendla. Dwaj z nich są szuchami w Związku. W zarządzie -dodaje. Leo szykuje się do odpalenia głównego ładunku.

- Co to ma wszystko wspólnego z Tonym Arguillo? Nie chcesz mi chyba powiedzieć...

Kiwnięcie głową.

- To właśnie twój kumpel Tony -powiada - odebrał broń dzieciakowi.

Przez cały wieczór bezskutecznie próbuję dodzwonić się do Leonory. Sara śpi już w swoim pokoju, a ja, dla zabicia czasu, przeglądam przyniesione z biura akta. Odczekawszy dziesięć minut, znowu sięgam po telefon i ogarnia mnie jedno z tych przeczuć, jakie trafiają się raz na milion lat. Właśnie zamierzam wybrać pierwszą cyfrę numeru, kiedy w słuchawce odzywa się głos. To Leonora.

- Telepatia - mówię. Patrzę na zegarek. Jest już po dziesiątej. - Widzę, że ślęczysz do późna - dodaję.

- Wymiatam pajęczyny z mojego życia - oznajmia. Jej głos ma niskie, nieco nosowe brzmienie. Zastanawiam się, czy nie jest aby przeziębiona.

- Dzwoniłem do ciebie. Chciałem zapytać, czy nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziewa Tony Arguillo. Już drugi dzień zostawiam mu wiadomość na sekretarce, a on nie raczy oddzwonić. - Nie mówię Leonorze, że widziałem się z Philem Mendlem, przemilczam również paskudne rewelacje Leo Kernsa, o których właśnie życzylibym sobie porozmawiać z Tonym.

- Nie mam pojęcia - wyznaje. - Ostatni raz widziałam go w twoim biurze. Zapada nieprzyjemna cisza w słuchawce, zupełnie jakby mi powiedziała, że ktoś umarł.

- Teraz twoja kolej - zachęcam.

- Muszę z kimś pogadać - mówi. - Z kimś sympatycznym.

- Dlaczego? Co się stało?

- Wylali mnie z roboty.

W pół godziny później rozlega się ciche pukanie do moich drzwi.

Otwieram, na ganku stoi Leonora niemiłosiernie potargana, przynajmniej

jak na nią. Kiedy mówi mi „cześć”, wyczuwam w jej oddechu ledwo uchwytną woń alkoholu. Wygląda jak Święta Helena po wybuchu, ogień już dogasa, ale wciąż jeszcze dobywają się z niej masy dymu. Wpuszczam ją do środka, proponuję kawę albo drinka.

- A co masz?

W obecnym stanie rzeczy, kwas chlorowodorowy byłby zapewne zbyt słaby. Zabieram ją do kuchni i otwieram szafkę, w której trzymam alkohole, niech sama sobie wybierze.

- Nie jesteś zdziwiony, prawda? - pyta. - Moim zwolnieniem - dodaje.

- Troszeczkę - mówię. - Zdążyłem się zorientować, że macie z Kli-ne'em całkowicie odmienne koncepcje organizacji pracy.

Śmieje się.

- Zawsze dyplomata. Bardzo subtelnie to ująłeś.

- Tylko mi nie mów, że się tego zupełnie nie spodziewałaś.

- Spodziewałam się. Lecz nic tak człowieka nie zaskakuje, jak widok własnego nekrologu - przyznaje z fałszywą beztroską, maskującą głęboką ranę w sercu. Wiem, że ma kilka ulubionych określeń na swojego byłego zwierzchnika, ale większość inwektyw, jak przypuszczam, została strawiona przez ogień pierwszej reakcji. Ciekawe, komu z kółka przyjaciół przypadł w udziale zaszczyt wysłuchania jej, zapewne przy paru głębszych, tuż po zakończeniu godzin pracy.

Ujmuje jedną ręką szyjkę „Johnnie Walkera” i napełnia do połowy okazałych rozmiarów kubek, rzucając mi spojrzenie mówiące „chyba mi nie żałujesz?”. Nie zawraca sobie głowy dodawaniem wody ani lodu. Coś mi się zdaje, że Leonora ma ochotę na chwileczkę zapomnienia.

- Powiesz mi, co się stało? Pokłóciliście się? Kręci głową i leciutko siąka

nosem.

- Uh-uh. To nie byłoby w stylu tego zimnego drania. Wszystko sobie dokładnie skalkulował, obmyślił szczegóły, zaplanował... Żeby wyciągnąć maksimum przyjemności - mówi. - Wracam o pół do piątej z sądu i co widzę? Drzwi do mojego gabinetu otwarte na oścież.

Pociąga potężny łyk whisky i zaczyna kasłać zupełnie jak dzieciak, który po raz pierwszy sztachnął się papierosem.

- Co za świństwo.

- Twój wybór - przypominam.

- Masz może jakieś wino? - Tak naprawdę, to z Leonory żaden pijak.

Alkohol traktuje jak środek znieczulający.

- Tym się można zaprawić równie dobrze, jak winem.

- Kiedy mi się nie śpieszy. Mam ci do opowiedzenia historyjkę pierwsza klasa. Nie pożałujesz - powiada.

Przetrząsam szafkę, udaje mi się znaleźć parę butelek.

- Otwórz „Gewurtza”.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie próbował cię uwodzić za pomocą alkoholu - mówię.

48

- Jeśli szkoda ci czasu, żeby to zrobić porządnie, lepiej żebyś się w ogóle za to nie zabierał.

- Mniejsza o to. A więc wracasz z sądu i zastajesz swój gabinet otwarty - mówię rozglądając się za korkociągiem.

- Tak. Jak mówiłam, drzwi są otwarte. Pamiętam, że je zamykałam wychodząc. Na krześle w poczekalni siedzi jakiś gliniarz i czyta gazetę.

Uznaję, że to świadek czekający na przesłuchanie.

Kiwam głową. Logiczny wniosek. Wyciągam korek i nalewam wino do kieliszka.

- Zanim zdążyłam wejść do środka, słyszę czyjeś głosy. Ktoś buszuje w moich rzeczach. Co tu się, u diabła, wyprawia? Znasz mnie, jak miałam zareagować? I wtedy ten bydlak mnie zatrzymuje.

- Kto?

- Gliniarz. Wyciąga łapę i chwytą mnie za rękę, jakby zamierzał mnie obezwładnić przy próbie wejścia do mojego własnego gabinetu. Żąda okazania dowodu tożsamości. No więc pokazuję mu legitymację. Wiesz, jak to wygląda, taka mała książeczka ze zdjęciem - mówi.

Legitymacja przypomina paszport i spełnia rolę przepustki do wszystkich miejsc zbrodni. W tę darmową kartę wstępu na imprezy organów ścigania zaopatruje swoich pracowników biuro prokuratora okręgowego.

- Ogląda ją, a potem chowa do kieszeni — opowiada dalej. — No cóż.

Mówię, żeby mi ją oddał. Prosi, żebym usiadła. Pytam, co, u diabła, się tu wyprawia. Nie odpowiada. Zwróc uwagę, że, podczas gdy ja przekomarzam się z gliną, w środku przez cały czas ktoś buszuje w moich szufladach. Słyszę szelest papierów i głosy. Wyklócam się więc z tym gliniarzem, oczywiście bez żadnych rezultatów. W końcu daję spokój tym uprzejmościom i wdzieram się na siłę.

Wyobrażam sobie szczupłą, kruchą Leonorę, jak wali po pysku potężnego gliniarza.

- Przychodzą mi do głowy trzy możliwości - powiadam. - Pierwsze dwie możemy sobie odpuścić. Czyżbyś zastała w środku Kline'a w skórzanych rękawiczkach, szperającego w twojej prywatnej korespondencji?

Kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „żebyś wiedział”.

- Jest też ta baba, Wendy. Roznosicielka różowych wydruków. To on ściągnął ją do biura. Pracowali razem skumani ramię w ramię.

W jej ustach słowo „skumani” brzmi niemal jak przekleństwo.

- W każdym razie, babsko stoi sobie z boku i skrzętnie coś notuje.

Zapewne inwentaryzuje wyposażenie mojego biura. Pytam go, co tu się, kurwa, dzieje?

Leonora pociąga łyk wina.

- Niezłe.

- Później pokroję ser i urządzimy sobie ucztę smakoszy - mówię. Obrzuca mnie spojrzeniem z gatunku „bez przesady”,

4 - Sędzia

49

- Wracając do rzeczy, Kline chce wiedzieć, gdzie są moje notatki dotyczące sprawy Acosty. Mówię, że wszystko jest w aktach, które ode mnie dostał.

Leonora twierdzi, że z jakichś tylko sobie znanych powodów Kline nie chce jej uwierzyć.

- Teraz naprawdę zaczyna, mnie krew zalewać. Zdaje się, że powiedziałam mu to i owo.

Zabiera się za swoje wino, pozostawiając mojej domyślności, cóż takiego usłyszał Kline w tym szczególnym momencie. Przełknąwszy, podnosi na mnie wzrok.

- I wtedy właśnie on oznajmia mi, że już tu nie pracuję.

Wyraz jej twarzy tylko w niewielkim stopniu odzwierciedla szok, którego, jak mówi, doznała, usłyszawszy nowinę.

- Na moje pytanie o powody, odpowiada, że poradzono mu, żeby na razie wstrzymał się od wszelkich wyjaśnień. W swoim czasie otrzymam oficjalny list, a póki co mam przyjąć do wiadomości, że moja praca w biurze prokuratora okręgowego kończy się dniem dzisiejszym, siedemnasta zero, zero. I tyle tytułem wyjaśnienia - powiada. - Wyobrażasz sobie?

Cała przykrość w tym, że doskonale to sobie wyobrażam. W dzisiejszych czasach człowiek nigdy nie może być pewien swojej posady. Omawiamy możliwości podważenia decyzji Kline'a w wyższej instancji, co zajmuje nam ułamek sekundy. Leonorze nie przysługują uprawnienia urzędnika państwowego, prokurator okręgowy może zatrudniać i zwalniać pracowników biura kierując się wyłącznie swoimi kapryсами. Nie potrzebuje żadnego szczególnego powodu, żeby ją wyrzucić, wystarczy cokolwiek, co nie będzie podpadać pod dyskryminację. Leonora nie zamierza walczyć o utrzymanie się na stołku, uważa, że w szerszej perspektywie, prawdopodobnie dobrze się stało.

- Pora się uniezależnić - powiada.

Pytam ją, czy ma już jakąś koncepcję, forszę na rozkręcenie kancelarii, albo chociaż klientów. Dowiaduję się, że nie ma nic.

- Mógłbym odstąpić ci Tony'ego - mówię.

- Dziękuję bardzo. Tego mi tylko brakowało.

Myślę sobie, że teraz łatwo jej tak mówić, ale pewnie zmieni zdanie, kiedy przyjdzie do płacenia comiesięcznych rachunków.

- Nie przychodzi ci do głowy, czego Kline mógł szukać? Co, według niego, zniknęło z akt? - Niewykluczone, że to może mieć jakiś związek z wyrzuceniem Leonory.

- Bóg jeden wie.

- Mówiłaś, że chciał zobaczyć twoje notatki?

Jej twarz przypomina wielki znak zapytania. Nie ma zielonego pojęcia.

- I co było dalej?

- Następuje kulminacja dramatu. Wendy podaje mi tekturowe pudełko z moimi osobistymi rzeczami, które pozbierali z całego gabinetu, a Kline 50

polecą gliniarzowi, żeby odeskortował mnie do wyjścia z budynku. Jak jakiegoś przestępcę.

Leonora z kieliszkiem w ręku przemierza tam i z powrotem kuchnię.

Włosy sterczą jej na wszystkie strony. Ponownie przeżywa tamtą straszną scenę. Wszystko się w niej gotuje, można niemal zobaczyć wydobywającą się przez skórę parę.

- Nigdy bym nie uwierzyła, że się zaleję przez takiego dupka jak Acosta - powiada.

- Wróg mojego wroga... - zauważam filozoficznie.

- Właśnie tak. Jeszcze dwa dni temu nie dałabym za niego złamanego grosza. - Ma na myśli Acostę.

- A tu nagle zmienił się w rycerza na białym koniu - wtrącam.

- Nie posuwałabym się aż tak daleko. Ale przypuszczam, że będą z nim jeszcze kłopoty. A już na pewno z jego prawnikami.

- Myślisz, że Kline nie da sobie rady w sądzie?

- Nie jest takim orłem, na jakiego wygląda, a poza tym nieoczekiwanie jego dowody zmieniły się w kupę gówna.

- Co masz na myśli?

- W chwilę potem, jak Kline zabrał mi akta i oznajmił, że sam poprowadzi



sprawę, dzwonią technicy. W sprawie nagrania. Coś było nie tak z mikrofonem. Taśma jest do kitu. - Uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd przestąpiła próg mojego domu, o ile można nazwać uśmiechem to skrzywienie na jej twarzy. - Nie wiedzą, czy sprzęt nie zadziałał, czy ktoś go zwyczajnie wyłączył.

- Wyłączył?

Rzuca mi spojrzenie, mówiące „pomyśl przez chwilę”. •

- Acosta. Mendel i jego związek. Jeśli ktoś wystawia sędziego...

-pozostawia mi dokończenie myśli. Jasne, jeśli gliny wrobiły Kokosa, za nic w świecie nie dopuszczą do przedstawienia jako dowodu taśmy, która może go wybielić w oczach sądu.

- Bardziej im się opłaca bezpośrednia konfrontacja. Zeznania Hali przeciwko zeznaniom Acosty.

- Na tej taśmie nie ma zupełnie niczego?

- Niczego, poza zmysłowym głosem Acosty i niezbyt oburzonego „ho-ho!” Hali. Nic, co by mogło stanowić podstawę do oskarżenia -mówi Leonora. - Poza paroma pierwszymi sekundami, same trzaski.

Czuje, jak przerażone serce zamiera mi w piersi. Czeka mnie dwadzieścia lat użeranie się z Acosta w roli sędziego.

- A więc mamy jej zeznanie przeciw jego.

- Może się okazać, że to wystarczy. Mam przecucie, że panienka potrafi wyrzucić odpowiednie wrażenie na sędzie. - Gest dłoni oznacza „na dwoje babka wróżyła”.

- Zanim zostałam wyrzucona za drzwi, coś mi wpadło w ucho — powiada. - Podobno poczyniono próby dojścia do porozumienia.

- O Boże. To mnie dobije.

- Była mowa o znacznym ograniczeniu zarzutów - mówi - pod warunkiem, że zrezygnuje z funkcji sędziego.

Odetchnąłem jak przed plutonem egzekucyjnym skazaniec, do którego strzelano ślepych nabojami.

- Odrzucił ofertę - oznajmia. - Bez namysłu. Upiera się, że złożył świadkowi wizytę służbową, związaną z jego obowiązkami sądowymi.

- I to ma być linia obrony? - pytam. - Co to było, inspekcja łóżkowa? Już widzę, jak wyznaje przed sądem: „i wtedy położyłem się na tej pani, żeby sprawdzić, czy możemy znaleźć jakąś dziurę w materiale dowodowym”.

Nie udaje mi się rozbawić Leonory.

- Musisz przyznać, że to trochę dziwne. Sędzia próbuje wycisnąć z twojego klienta zeznania obciążające policję i zanim się zdążył obejrzeć, zostaje zgarnięty przez gliny. Ale zanim postawią go przed sądem, materiał dowodowy zmienia się w kupę gówna.

- Czego tu nie rozumiesz? Utarli mu nosa. Teraz powinien się uspokoić. Leonora mówi dalej, że Kline znalazł się pod obstrzałem Komisji do Spraw Odpowiedzialności Zawodowej Sędziów, powołanej jako swoista przeciwwaga dla działającego przy Kongresie Komitetu do Spraw Etyki. Coś na kształt „Nie powiem ci, co robię pod kołdrą, jeśli ty mi nie powiesz, co robisz pod swoją”.

- Chcą, żeby Acosta usunął się z sądu.

Jeżeli na świecie istnieje coś bardziej cnotliwego od nawróconej kurwy, to tylko prawnik, który włożył sędziowską togę.

- Prawnicze harakiri - mówię.

- Dokładnie. Nie życzą sobie żadnych publicznych przesłuchań przed

Sądem Najwyższym, które niewątpliwie narobiłyby niezłego smrodu  
-wyjaśnia Leonora. - Ich zdaniem, będzie lepiej, jeśli Acosta od razu  
przebije się swoim własnym mieczem.

- Mogę to sobie wyobrazić.

My tu sobie gadu, gadu, a tymczasem z wnętrza jej torebki dobywa się  
dźwięk pagera. Odstawia kieliszek i zaczyna szperać pośród szczotek do  
włosów i batystowych chusteczek. Wreszcie wydobywa czarną bestię na  
światło dzienne.

- Jedyna rzecz, której mi nie odebrali - wyznaje. W ten szczególny sposób  
informuje mnie, że pager należy do państwa.

Ogląda numer wyświetlony w okienku sprytnego urządzenia.

- Oto i obiekt twoich westchnień - oznajmia. Rzucam jej zdumione  
spojrzenie.

- Numer telefonu komórkowego Tony'ego.

- Powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać.

Gdy wygłaszam te słowa, Leonora podchodzi odrobinę chwiejnym  
krokiem do aparatu, wiszącego na ścianie, obok drzwi. W trosce o bez-  
52

pieczeństwo, przysuwam jej stołek. Wybiera numer, czeka parę sekund i  
mówi „to ja”.

I na tym kończy się jej udział w rozmowie. Głos w słuchawce całkowicie  
przejmuje inicjatywę. Przypuszczam, że należy do Tony'ego. W zasadzie  
trudno mówić o jakiegokolwiek komunikacji. Tony gada, Leonora słucha, a  
ja obserwuję jej twarz, na której zachodzą ciekawe zmiany. Poprzez różne  
stadia, nasuwające na myśl fazy księżyca, Leonora przechodzi od skrajnej  
obojętności do żywego zainteresowania.

- Skąd dzwoniysz? - pyta wreszcie.

- Powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać - upieram się przy swoim, ale jej uwaga jest całkowicie pochłonięta tym, co słyszy w słuchawce.

Ignorując mnie całkowicie, zapisuje coś w wiszącym na ścianie notatniku.

- Jak to się stało? Kto jeszcze jest na miejscu? Nie ma nikogo z biura prokuratora okręgowego? - rzuca pytanie za pytaniem, pozostawiając swojemu rozmówcy bardzo mało czasu na odpowiedź. Zdaje się zresztą, że facet i tak niewiele wie.

- Masz jakąś koncepcję, kiedy to się mogło wydarzyć? - Teraz następuje dłuższa przerwa. Wyraz twarzy Leonory zdradza kompletną dezorientację.

- Żadnych świadków? - Głos w słuchawce udziela skomplikowanych wyjaśnień, ale Leonora nie robi żadnych notatek.

- Będę na miejscu za dziesięć minut — mówi i wyłącza się.

Patrzy nie tyle na mnie, co przeze mnie, w jakiś odległy punkt w innej rzeczywistości.

- Tony ma jakieś kłopoty? - pytam. Kiwa głową, ale nic nie mówi.

- Co jest grane?

- Brittany Hali... - Sprawia wrażenie, jakby wpadła w trans, zahipnotyzowana tym, co usłyszała przez telefon. Gapiąc się bezmyślnie w ścianę, recytuje: - Znaleźli ciało, godzinę temu, na miejskim śmietniku. Na tyłach biura prokuratora okręgowego.

Kiedy parkuję przy krawężniku, stoi już tam pół tuzina policyjnych wozów ustawionych w charakterystycznym szyku, to znaczy, każdy pod innym kątem, pootwierane drzwiczki, migające koguty. Gromadka włóczęgów stoi przed żółtą taśmą, zamykającą wejście do bocznej uliczki na tyłach ulicy G. W jakiegokolwiek innej części miasta podobne

zamieszanie z udziałem glin zgromadziłoby tam właściciele domów i ich lokatorów. Lecz tutaj, w zaułku za gmachem Sądów, w środku nocy, nie ma żywej duszy oprócz bywalców garkuchni, bezdomnych włóczęgów, eksmitowanych z zawłaszczonej przez gliny uliczki, trzęsących się teraz z zimna pod wyleniałymi kocami i kolekcją odrzutów od „Goodwilla”.

53

Po drugiej stronie taśmy kłębi się spora grupka mężczyzn i kobiet w mundurach. Rozpoznaję faceta z Wydziału Zabójstw. Musieli go wyciągnąć z łóżka. Ma na sobie spodnie od dresu i szarą bluzę. Wygląda jak postać z filmów Knuta Rockne'a.

- Lepiej się nie odzywaj. Ja będę gadać. - Mówiąc to, Leonora pomaga sobie ożywioną gestykulacją, zdradzającą, że ma w sobie parę drinków. Dlatego właśnie tu jestem. Kiedy tylko skończyła rozmawiać przez telefon z Tonym, zabrałem jej kluczyki od samochodu, błyskawicznie porozumiałem się z zaprzyjaźnioną sąsiadką, którą poprosiłem, żeby Leonora zdrzemnęła się na sofie w salonie, dopóki nie wrócę. Nie miałem zamiaru pozwolić Leonorze na prowadzenie wozu. Tego jeszcze by brakowało, żeby zatrzymali ją teraz za jazdę po pijanemu. Kline nie posiadałby się z radości.

Dostrzegam Tony'ego Arguillo przestępującego z nogi na nogę w głębi zaułka. Znajduje się jakieś trzydzieści metrów od żółtej taśmy, daleko poza zasięgiem głosu.

- Trzymaj się blisko mnie - powiada. Nie zdążyłem nawet obejść samochodu, a ona przebiega przez jezdnię stukając obcasami. Rzucam się za Leonora żywiąc nadzieję, że uda mi się ją złapać, zanim wpadnie pod jakiś samochód. Pozbawiona swojej prokuratorskiej legitymacji, liczy na

to, że gliny nie wiedzą jeszcze o wyrzuceniu jej z pracy. Przy odrobinie szczęścia przedostanie się takiej nowiny na ulicę zajmie co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Zostawiając mnie daleko w tyle, Leonora dopada jednego z mundurowych strzegących żółtej taśmy.

- Gdzie jest oficer Arguillo? - pyta najbardziej władczym głosem, na jaki ją w tej chwili stać.

Widząc znajomą twarz, gliniarz nie przygląda się zbyt dokładnie. Nie przychodzi mu też do głowy, żeby powąchać jej oddech. Zamiast odpowiedzi Leonora otrzymuje odwieczne policyjne wzruszenie ramion. Uznaje to za przyzwolenie i przechodzi pod taśmą, nie dając mu czasu na wydobyć z siebie głosu. Przez chwilę gliniarz ma taką minę, jakby chciał zaprotestować, ale szybko zmienia zamiar. Po co się narażać władzy?

- Ten pan jest ze mną - oznajmia Leonora chwytając mnie za rękaw płaszcza.

W chwilę później drepczę na miejsce zbrodni w ślad za kobietą, która, jeśli nawet nie jest zalana w pestkę, to w każdym razie podaje się za kogoś, kim już nie jest.

Przed nami, w głębi zaułka Tony gawędzi sobie z kumplem po fachu.

Dostrzegłszy nas, zamyka buzię i odsuwa się od kolegi.

Dzisiejszego wieczoru jest kłębkim nerwów, spłoszony zerka przez ramię, rzuca pełne niepokoju spojrzenia w kierunku innych glin operujących w pobliżu pojemnika na śmiecie. Pewnie się słusznie obawia, że jeśli zostanie przyłapany na kumplowaniu się z nami, może powędrować na

zieloną trawkę. Podaje mi rękę i mówi „cześć”, lecz widać, że wcale się nie cieszy na widok swojego własnego prawnika.

- Myślałem, że przyjedziesz sama - mówi do Leonory przyciszonym głosem, ale świetnie słyszę jego słowa.

- Paul mnie tutaj przywiózł - oznajmia tytułem wyjaśnienia i pyta, kto prowadzi dochodzenie. Tony podaje jej nie znane mi nazwisko i macha ręką w kierunku grupki gliniarzy w roboczych kombinezonach, ryjących w zwałach śmieci.

- Nie było tu Kline'a? - pyta Leonora. Instykt samozachowawczy: nie zapominajmy o tym, co najważniejsze!

- Jeszcze nie, ale już go zawiadomili. Normalnie nie zawracaliby sobie tym głowy - powiada Tony - ale w tym przypadku chodzi o zamordowanie świadka. Kline'a złapali w połowie drogi do San Francisco, miał tam umówione jakieś spotkanie na jutro rano. Podobno już tu jedzie.

- To znaczy, że nie mamy dużo czasu - stwierdza Leonora. Chce wiedzieć, co się stało.

- Może powinniśmy porozmawiać po tamtej stronie. - Tony robi gest w kierunku żółtej taśmy.

- Nie zamierzamy dotykać zwłok - uspokaja go Leonora. - Powiedz nam tylko, co się stało, i znikamy stąd. Kto znalazł ciało?

- Jakiś włóczęgą, niecałą godzinę temu. Zatrzymał przejeżdżający wóz patrolowy.

Tony opowiada, że zadzwonił do Leonory natychmiast po odebraniu wiadomości z komputera o znalezieniu ciała. Ostatnimi czasy radiowozy policyjne wyposażono w system łączności komputerowej. Innowacja ma na celu utrudnienie niepowołanym uszom dostępu do poufnych informacji.

Dwóm pechowcom w kombinezonach trafiło się mniej pociągające zadanie. Siedzą wewnątrz kontenera, z którego wyjmują na zewnątrz poszczególne rzeczy, gdy tymczasem inni policjanci sortują wywalone na jezdnię góry śmieci. Co parę sekund ze środka wydobywa się błysk flesza towarzyszący uwiecznieniu na kliszy wszystkiego, co może okazać się materiałem dowodowym. Nad białym prześcieradłem okrywającym zwłoki, kuca dwóch detektywów. Nie widać żadnych śladów krwi.

- Widział coś? - pyta Leonora. - Ten twój włóczęga - wyjaśnia.

- Na przykład, kto podrzucił ciało? - Tony kręci głową. - Facet był zbyt zajęty papierową torbą i tkwiącą w niej butelką, żeby interesować się takimi drobiazgami. Samochody podjeżdżają i odjeżdżają. Twierdzi, że przestał zwracać na nie uwagę.

- Może się boi - podsuwa Leonora.

- Facet jest zbyt blisko dna, żeby się jeszcze czegoś bać.

- W jaki sposób ją znalazł?

- Żartujesz - stwierdza Tony zerkając na nią spode łba. - Metalowe kontenery, dach nad głową, cztery ściany. Chata jak marzenie. Codziennie  
55

nocuje tutaj przynajmniej pół tuzina meneli. A jeśli jeszcze pojemniki są regularnie opróżniane, to już w ogóle hotel pierwsza klasa.

- Tylko, że dzisiaj nie były opróżniane? - pytam.

- Nie. - Przygląda mi się niechętnym wzrokiem. Przypuszczam, że Phil Mendel wyjaśnił mu, iż stałem się persona non grata i nie należy mi ufać.

- Czyli natknął się na zwłoki w środku kontenera ze śmieciami. To musiał być dla niego nie lada szok.

- Były zawinięte. - Z tonu jego głosu można by przypuszczać, że mówi



0 kanapkach z tuńczykiem w pudełku na drugie śniadanie. - Opakowane w koc. Ci faceci ryją w śmieciach jak szczury. - Ma na myśli bezdomnych zamieszkujących takie metalowe kontenery. - Pewnie pomyślał, że znalazł prawdziwy skarb, kiedy zobaczył koc - mówi Tony. - Mamy szczęście, że nie spędził z nią kilku nocy, zanim wezwał policję. - Tony wykazuje lekką pogardę dla tzw. dołów społecznych.

- W jaki sposób umarła? - pyta Leonora.

- Być może, na skutek uduszenia. Są ślady na gardle. Lekarz sądowy jeszcze nie raczył się zjawić. Nie można powiedzieć, żeby była przesadnie ubrana - powiada.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Miała na sobie figi i bawełniany top, a na głowie ręcznik, zawinięty w turban.

- Może myła głowę? - domyśla się Leonora. - Może się gdzieś wybierała albo zamierzała pójść spać.

Arguillo unosi brew, lekko przechyla głowę, jakby chciał powiedzieć: „interpretuj to sobie, jak chcesz”.

- Żadnych śladów gwałtu? - pyta Leonora.

- Zgaduj-zgadula - powiada Tony. - Prawie naga, młoda, atrakcyjna kobieta, wrzucona do pojemnika na śmieci. To budzi pewne skojarzenia - stwierdza - ale będziemy musieli poczekać na obdukcję.

Robi gest w stronę Leonory, żeby podeszła bliżej. Dwa słowa na osobności.

- Jeśli masz troszkę czasu, chciałbym z tobą porozmawiać. - Zabiera ją na drugą stronę uliczki, dostatecznie daleko, żeby nie mógł niczego podsłuchać. Rozmawiają dobrą chwilę i tym razem nie jest to bynajmniej

monolog. W pewnym momencie twarz Leonory przyjmuje wyraz głębokiego zdumienia. Wymiana zdań wyraźnie się ożywia, następują gwałtowne gesty ze strony Tony'ego. Mówią coraz głośniej, lecz kiedy już prawie mogą rozróżnić poszczególne słowa, rzucają spojrzenie w moim kierunku

I milkną. Leonora postanawia zakończyć dyskusję, odchodzi pozostawiając Tony'ego samego przy krawężniku.

Kiedy podchodzi do mnie, widzę, że jej twarz ma barwę popiołu. Myślę, że może Tony podzielił się z nią paroma szczegółami zbrodni należącymi do tego gatunku okropieństw, o których władze niechętnie informują szerokie masy społeczeństwa.

56

- Na razie nie może nam niczego więcej powiedzieć. - Małe kłamstwo w ustach Leonory. Daje mi do zrozumienia, że pora się stąd zabierać.

- Chciałem, żebyś wiedziała, co jest grane - mówi Tony.

- Jasne.

- Pomyślałem sobie, że może dadzą ci tę sprawę - powiada.

- Bardzo wątpliwe. - Leonora nie powiedziała mu, że wyleciała z roboty.

Podstępna bestia.

Tony odprowadza nas do żółtej taśmy i pozostawionego za nią samochodu.

- Sądziłem, że cię to zainteresuje - mówi. - Pracowałaś z nią w sprawie Acosty. Okropna historia. To była dobra dziewczyna. - Tony popada we łzawy nastrój. - Dostaniemy drania, kimkolwiek by był. Przyjaźniła się z wieloma policjantami. Chłopcy nie puszczą tego płazem. - Tony znowu to samo. Przypomina nam, że gliny dbają o swoich.

Nagle rysy twarzy Tony'ego giną w powodzi białego światła z reflektorów samochodu. Duży, ciemny wóz wjeżdża w zaułek od drugiej strony.

- Będę cię informował na bieżąco - obiecuje na pożegnanie. Odwraca się na pięcie i zaczyna iść w głąb uliczki, ku grupie policjantów zgromadzonych przy zwłokach.

- Hej, musimy porozmawiać! - wołam za nim.

- Dobra. Później.

- Znikamy stąd - mówi Leonora. Chwyta mnie za rękaw i ciągnie w stronę żółtej taśmy. W drugim końcu zaułka otwierają się tylne drzwiczki świeżo przybyłego wozu, z którego wysiada wysoki, szczupły mężczyzna. W ślad za nim, niby ogon komety, ciągnie się sznur mundurowych. Oto i Coleman Kline.

- Muszę coś sprawdzić - oznajmia Leonora. - Skręć tutaj. Wracamy do mnie do domu, a jej zachciewa się objazdów. Dla mnie jest już późno, że nie wspomnę o Sarze. Mówię to, ale Leonora upiera się, że objazd nie potrwa dłużej niż minutę. Zgodnie z jej wskazówkami jadę Piętnastą w kierunku autostrady 1-80, oddalając się coraz bardziej od śródmieścia. Pytam o przedmiot jej dyskusji z Tonym.

- Nie mogę ci teraz powiedzieć.

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz. Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo.

Robię, jak mi każe. Leonora pilnuje wymalowanych na krawężniku numerów posesji. Po ujechaniu paru metrów zatrzymujemy się pod starym wiązem, zamieszkałym przez potężne stado wron. Ptaszyska dokładnie obsrały chodnik, pokrywając go nobliwie wyglądającą patyną.

Uliczka, na której się znajdujemy, niewątpliwie ma już za sobą czasy

swojej świetności. Większość domów pochodzi z przełomu stuleci. Stoją  
57

na podwyższonych cokołach, które miały chronić przed zalaniem podczas powodzi, w owych czasach regularnie nawiedzających miasto. Przegniłe drewniane kraty parkanów osłaniają łuszczące się tynki. Jest tu też kilka bliźniaków i kamienic z mieszkaniami do wynajęcia, wybudowanych pod koniec lat sześćdziesiątych albo na początku siedemdziesiątych, kiedy miasto przeżywało krótkotrwały rozwój, przerwany gwałtownym nasileniem się przestępczości i rozpoczęciem masowej ucieczki białych na przedmieścia.

Trzech mężczyzn, a może chłopców, nie potrafię określić ich wieku, z naciągniętymi na głowy kapturami bawełnianych bluz oddaje się pod latarnią na rogu jakimś ciemnym interesom. Gadają z gościem w samochodzie stojącym na światłach postojowych, z włączonym silnikiem. Zwitek banknotów wędruje z ręki do ręki. Kwitnie nocny handel. Zanim mam czas zorientować się, co jest grane, Leonora otwiera drzwiczki po swojej stronie.

- Dokąd chcesz iść?

Trzaśnięcie drzwiczek zamiast odpowiedzi. Leonora przechodzi na drugą stronę ulicy. Postawiony przed faktem dokonany, nie mam innego wyjścia, jak tylko ruszyć jej śladem. Kiedy zamykam samochód, ona znika w wąskim przejściu, prowadzącym do jednego z bliźniaków. Gdybym się w porę nie obejrzał, straciłbym ją z oczu na dobre. Uporawszy się z zamkiem, przechodzę przez jezdnię.

W ciemnościach, pośród gęstwiny krzaków zarastających czyjś ogródek nie mogę jej zobaczyć, słyszę, jak szuka czegoś w torebce, a potem brzęk

kluczy.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?

- Ciii.

- Czyj to dom?

- Ucisz się wreszcie.

Nagle atramentowy mrok przecina cienki promień światła. Leonora znalazła to, czego szukała - miniaturową latarkę, przyczepioną do kółka z kluczami. Wchodzę na wąską ścieżkę biegnącą przez zarośla.

- Mam nadzieję, że jesteś zaprzyjaźniona z właścicielem — mówię. Rzut oka na zegarek z fosforyzującym cyferblatem. Dochodzi pierwsza w nocy. Leonora szarpie klamkę wejściowych drzwi. Ku swojemu zdumieniu dostrzegam, że trzyma ją przez chusteczkę do nosa. Moje nie sprecyzowane obawy ustępują miejsca przerażeniu. Niebezpieczeństwo całej tej sytuacji zwala się na mnie niby obruszony gzymś. Równocześnie ze zgrzytem otwieranych drzwi dociera do mnie, kto mieszka w tym domu.

Niezamknięcie na klucz drzwi w takiej okolicy, jak ta, wydaje się dziwne.

- Mamy szczęście - mówi. Jakoś tego nie dostrzegam.

Leonora wślizguje się do środka, pociągając mnie za sobą.

58

- Nie mamy tutaj nic do roboty - przekonuję ją.

Syczy gniewnie i kładzie palec na ustach. Zamyka za nami drzwi też przez chusteczkę do nosa. Mam już w oczach wizję policyjnych syren i błyskających czerwono kogutów.

- Lada moment się tu zjawią - ostrzegam.

- Nie zabawimy długo.

- W ogóle nie powinno nas tutaj być.
- To wracaj do samochodu. - Znika gdzieś razem ze swoją latareczką, zostawiając mnie samego w ciemnościach.

Nic nie widzę, wpadam na nią, niechcący łapiąc ją za tyłek.

- Trzymaj ręce przy sobie - instruuje mnie szeptem.
- Nie zamierzałem się do ciebie dobierać. Słowo.
- Chodzi mi o odciski palców.
- Słusznie i naukowo.

Przez chwilę zastanawiam się, czy ostatnie zdobycze amerykańskiej nauki pozwalają na odczytanie z podłogi DNA skórzanych podeszew moich pantofli. Chociaż w tym domu o to akurat nie muszę się chyba martwić. Po podłodze walają się takie masy najróżniejszych śmieci, że właściwie wcale po niej nie stąpam.

Po raz kolejny potwierdza się niezmienna reguła, którą odkryłem jeszcze w okresie dojrzewania: im atrakcyjniejsza panienka, tym bardziej zasyfiony apartament na randkę. Jesteśmy w jednym z tych mieszkań, gdzie można jeść z podłogi, tylko dlatego, że talerze są jeszcze brudniejsze.

Przez okna od ulicy wpada smuga światła.

Dostrzegam rozrzucone po całej kuchni gazety, a na nich z kolei coś w rodzaju resztek posiłku - rozlany jogurt, czekający, aż zajmą się nim bakterie. Zlew wypełniają brudne talerze, garnki i patelnie. Na pierwszym lepszym wysypisku śmieci panuje większy porządek. Drogę przez kuchnię zagradza obrócone tyłem do stołu krzesło, idąc więc po linii najmniejszego oporu kierujemy się w głąb korytarza i wchodzimy do pomieszczenia pełniącego, jak przypuszczam, rolę salonu.

Tutaj natykamy się już nie na bałagan, lecz na obraz totalnego zniszczenia. Na podłodze leży oprawiona w ramki reprodukcja. Wygląda, jakby ktoś siłą zerwał ją ze ściany, w której tkwi jeszcze pogięty haczyk. Dookoła walają się odłamki szkła. Przekraczając próg potykam się o małego pluszowego misia. Na dywanie, obok nowoczesnego stolika do kawy, wykonanego ze szkła i metalu, widnieje kombinacja plam. Rozsypana ziemia z rozbitej doniczki, zmaltretowany kwiatek, a przy nim ciemna, rozległa smuga, wżarta w wełnę dywanu niczym ropa w piasek plaży. Myślę sobie, że bałaganiarstwo bałaganiarstwem, ale to już jest przesada. Wtem dociera do mnie z opóźnieniem, że to, na co patrzę, nie jest

59

zwykłym nieporządkiem dnia codziennego. Panujący tu chaos rozpaczliwie próbuje przekazać nam jakąś prawdę. Tutaj, we własnym domu, została zamordowana Brittany Hali.

Leonora potrzebuje parę sekund na przyjście do siebie. Wreszcie rusza w obchód po zrujnowanym salonie. Błysk metalu w świetle latarki, coś złotego, częściowo przysypanego ziemią z doniczki. Pochyliła się, żeby obejrzeć tajemniczy przedmiot. Teraz widzę, że tłusta smuga na dywanie jest czerwona i wilgotna, taka sama, jak plama niezaschniętej krwi na ostrym, metalowym narożniku stoliczka do kawy. Zanim minie godzina, zaroi się tutaj od łązących po wszystkich kątach technikach z ekipy dochodzeniowej. Dzielę się tą myślą z Leonorą.

- Wszystko na to wskazuje - zgadza się ze mną. - Miałam przeczucie, że to się stało tutaj.

- Nie ma to jak jasnowidztwo - powiadam. - A teraz zabierajmy się stąd.

- Zobacz, czy nie ma czegoś w tamtym końcu korytarza - mówi.

- Myślę, że powinniśmy już zwiewać.
- Rozejrzyj się tylko. Ten, kto to zrobił, dawno już sobie poszedł. Uznaję, że prościej będzie wykonać polecenie, niż się z nią kłócić.

W przeciwnym razie nie'obejdzie się bez obudzenia sąsiadów. Robię więc, co mi każe.

W ciemnym holu pali się tylko mała nocna lampka, podłączona do gniazdka umieszczonego tuż przy podłodze. Na końcu znajduje się łazienka, z której przenika odrobina światła. Po obu jej stronach widnieje para otwartych drzwi, prowadzących do pokoi. Szybko, lecz nie zapominając o ostrożności, przechodzę przez korytarz.

W połowie drogi natykam się na nie domknięte drzwi. Zerkam do środka przez wąską szczelinę, udaje mi się dostrzec jedynie zarys półki na przeciwległej ścianie. Ruszam dalej.

Okna pierwszego pokoju, do którego zaglądam, wychodzą na ulicę. Pokój wygląda na sypialnię panny Hali. Łóżko zostało odarte z pościeli, ale, jeśli nie liczyć porzrzuconych poduszek i braku kołdry, wszystko jest na swoim miejscu. W kącie stoi zamknięta szafa.

Odwracam się, żeby rzucić okiem na pokój po drugiej stronie korytarza.

Tutaj co innego. Też stoi łóżko, tyle tylko że dużo mniejsze. W pomieszczeniu panuje dziecięcy rozgardiasz. Po podłodze walają się lalki, luźne części plastikowych zabawek, małe elementy, które można łączyć ze sobą w różne konstrukcje i komplet drewnianych klocków. Na łóżku leży różowa narzuta. Sypialnia małej dziewczynki. Ale ani śladu dziecka.

Otwieram szerzej drzwi, żeby zerknąć na drugą stronę łóżka. Pusta.

Wracam tam, gdzie zostawiłem Leonorę. Nadal szpera w salonie uważając, żeby nie zdeptać dowodów.



- Nie wiedziałem, że miała dziecko.
- Córeczkę.

60

- Gdzie ona teraz jest?
- U dziadków - mówi Leonora.
- Skąd wiesz?
- Widziałam kartkę w kuchni.

Nie traciła czasu, kiedy zwiedzałem korytarz.

- Znakomicie. A teraz zabierajmy się stąd do wszystkich diabłów.
- Tą samą drogą, jaką przyszliśmy - rozkazuje. - Przypomnij sobie, czy czegoś nie dotykałeś.

Ruszam we wskazanym kierunku i nagle znajduję się w całkowitych ciemnościach. Leonora oddała się w przeciwną stronę, ku zdemolowanemu salonowi i położonej za nim kuchni.

- Dokąd idziesz?
- Spotkamy się przy drzwiach - rzuca.

Sprzeczenie się z Leonora jest bezowocne. Dochodzę do wniosku, że każdy manewr, przyspieszający opuszczenie tego domu i znalezienie się z powrotem w samochodzie, jest dobry. Wracam więc z powrotem. Zajmuje mi to ze trzy sekundy. Dotarłszy do kuchni stwierdzam, że Leonora wciąż jeszcze tkwi w drzwiach prowadzących z salonu. Jest odwrócona plecami do mnie, studiuje sporych rozmiarów kalendarz zawieszony na ścianie, w przejściu.

- Chodźmy. - Dźwięk mojego głosu wytrąca ją z zamyślenia. To właśnie w stylu Leonory, w takich okolicznościach interesuje się randkami ofiary. Wykonuje subtelny taniec nad resztkami jogurtu, omijają gazetowe

pobojowisko i kładzie osłoniętą chusteczką dłoń na oparciu blokującego drogę krzesła. Odsuwa je delikatnie, żeby zrobić przejście, po czym pieczołowicie odstawia tam, gdzie stało. Nie czekając dłużej przekraczam próg. Leonora idzie za moim przykładem. Zamyka za sobą drzwi i truchtem biegniemy do pozostawionego po drugiej stronie ulicy samochodu. Kiedy wreszcie siedzimy bezpiecznie w środku, ruszam z kopyta, nie wdając się w żadne dyskusje. Dopiero po przejechaniu dwóch przecznic jestem w stanie wydobyć z siebie głos.

- Jeśli zobaczył nas któryś z sąsiadów, módl się, żeby miał dobry zegarek -mówię. Pomyślcie tylko, dwie osoby wślizgujące się chyłkiem do mieszkania ofiary morderstwa, która w tym samym czasie leży w cichym zaułku, otoczona tłumem gliniarzy.

Coś jeszcze nie daje mi spokoju.

- Powiedz mi, co tu jest grane, do jasnej cholery?

- O co ci chodzi?

- O to całe myszkowanie po jej apartamencie.

- Tony podejrzewał, że mogła zostać zamordowana u siebie w domu.

- To dlaczego Tony sam tego nie sprawdził?

- Kiedy do mnie zadzwonił, szukali właśnie jej adresu. W biurze meldunkowym mieli nieaktualny.

61

- A skąd ty wiedziałaś, gdzie ona mieszka?

- Jej adres figurował w aktach sprawy. - Co za kobieta, nic się przed nią nie ukryje, pomyślałem o Leonorze.

- Ale im tego nie powiedziałaś?

- Już dla nich nie pracuję. - Robi tajemniczą minę i oboje wybuchamy

szczerym śmiechem.

Leonora zaczyna spekulować na temat przyczyny śmierci i śladów uduszenia. Zastanawia się, czy Hali nie zmarła aby na skutek uderzenia głową o krawędź stołu albo w wyniku jakiegoś innego urazu.

- Nie rozumiem, po co morderca miałby usuwać ciało? - mówię.

- Któż to może wiedzieć?

Jeżeli została zamordowana w swoim mieszkaniu, gdzie pozostawiono szeroki asortyment śladów zbrodni, to jaki sens miało usuwanie zwłok? Jakby na to nie spojrzeć, ryzyko takiej operacji wydaje się znacznie większe od ewentualnych korzyści.

- I dlaczego drzwi były otwarte?

- Niektórzy ludzie są ufni - powiada Leonora.

- Ale mieszkająca samotnie kobieta? W jej oczach maluje się bezradność.

- Powiem ci coś lepszego - mówi.

- No?

- Po jakiego diabła chciała się spotkać z facetem, przeciwko któremu miała zeznawać w sądzie?

Zamieniam się w znak zapytania.

- Miała to zanotowane w kalendarzu - mówi Leonora. - Spotkanie z Acostą, dzisiaj o czwartej po południu.

Bułka z masłem - powiada. Tony Arguillo jest dzisiaj naładowany ową szczególną pewnością siebie, jaka zazwyczaj zjawia się po fakcie, kiedy już wszystkie kule chybiły celu pozostawiając nas w przekonaniu, iż jesteśmy nieśmiertelni.

Tego ranka odbyła się rozprawa wstępna, Arguillo stanął z podniesionym czołem przed składem wielkiej ławy przysięgłych jak przed plutonem

egzekucyjnym i, jeśli wierzyć jego słowom, żaden karabin nie wypalił jak należy. Jeśli chodzi o mnie, niewiele mogę o tym powiedzieć. Adwokaci są wyłączeni z udziału w rozprawie wstępnej, ich klienci muszą zeznawać zdani na własne siły.

Zażądawszy informacji, czy przeciwko Tony'emu toczy się śledztwo, dowiedziałem się, że na obecnym etapie, biorąc pod uwagę dostępną sądowi wiedzę faktograficzną, nie ma żadnych podstaw do wszczęcia postępowania. Tony'emu przysługuje coś w rodzaju ograniczonego immunitetu od odpowiedzialności karnej. Nie mogę wykorzystać przeciwko niemu jego własnych zeznań. Nie dotyczy to jednak zeznań innego świadka.

Tymczasem Tony leży rozwalony na sofie w moim biurze, ręce ma pod głową, nogi na poduszce. Pozycja wypoczywającego zwycięzcy.

Robi na mnie wrażenie człowieka, który przez całe życie, począwszy od wczesnego dzieciństwa, wyskakiwał ze skóry, żeby zdobyć opinię twardziela. Niestety, wskutek nazbyt usilnej pracy nad charakterem, wyrobił sobie sposób bycia przywodzący na myśl raczej łasicę niż wilka. Mogę się założyć, że we własnych oczach uchodzi za nieustraszonego wojownika, parszywego gliniarza bez drobnomieszczańskiej moralności, toczącego bezpardonową wojnę ze złem. Twardy Tony.

- Mogą mi nagwizdać - powiada cynicznie wykrzywiając usta. -

Wyczuwam gościa nosem. Nie wiedział nawet, o co ma mnie pytać. - Tony ma na myśli Colemana Kline'a, który go przesłuchiwał w sądzie. - Nic na

63

mnie nie mają - ciągnie dalej. - Mogą mnie w dupę pocałować. - Jeżeli jeszcze wymyśli jakieś określenie, które odda oszałamiające zwycięstwo

dzisiejszego poranka, nie ma obawy, Tony na pewno je użyje. I to wszystko z ust faceta, który przez miesiąc oczekiwania na rozprawę wstępną nie mógł się pozbyć nerwowej wysypki.

Zwierza mi się, iż nie ma najlepszego zdania o kwalifikacjach Colemana Kline'a. Postanawiam poczekać z wyrabianiem sobie opinii, aż otrzymam wiadomości z obiektywnego źródła.

- Dwie lewe ręce. Słoń w składzie porcelany. - Wszystkie te metafory służą Tony'emu do określenia tego człowieka.

- Bardzo ładnie - chwalę go. - Mam tylko nadzieję, że mówiłeś prawdę. Więzienia tego kraju pełne są przyzwoitych ludzi, nierzadko równie optymistycznie nastawionych do życia co Tony, którzy nigdy w życiu nie dopuścili do siebie nawet myśli o popełnieniu przestępstwa. Odsiadują wieloletnie wyroki tylko dlatego, że utrudniali funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości albo dopuścili się krzywoprzysięstwa na prośbę serdecznego przyjaciela. Ciekaw jestem, jak daleko Tony gotów jest się posunąć, żeby chronić Phila Mendla i jego bandę.

- W ogóle nie wyszedł poza ogólniki, nawet nie wspomniał o książkach - powiada. Mówi o Klinie i związkowych księgach rachunkowych, które zniknęły ostatnio w niejasnych okolicznościach. Puf! Czary-mary. Oto przykład sposobów, jakimi Phil Mendel radzi sobie w kłopotliwych sytuacjach. •

- Nie mogą dobrać się nikomu do tyłka, jeżeli nie wiedzą nawet, o co powinni pytać - informuje mnie.

Fakt, że w wypadku postawienia właściwego pytania jego tyłek mógłby istotnie ucierpieć, zdaje się bynajmniej nie niepokoić mojego klienta.

Zaczyna się szerzej rozwodzić nad odniesionym triumfem, ale go

bezlitośnie ścinam. Siedzę za biurkiem, z długopisem nad czystą kartką papieru w oczekiwaniu na konkretne informacje o przebiegu przesłuchania.

- Wstrzymajmy się z ogłoszeniem wiktorii, aż przyjdzie papier z sądu -mówię. - Jeżeli mamy szczęście, to w ogóle nie przyjdzie.

To może potrwać tygodnie albo i miesiące. Postanowienia sądu, przeprowadzającego wstępne rozpoznanie sprawy, trafiają najczęściej do sejfu, gdzie są trzymane bez podawania do wiadomości opinii publicznej oraz świadków, dopóki nie zostanie ogłoszony akt oskarżenia. Jeżeli los nam sprzyja, wielka ława przysięgłych uzna, że materiał dowodowy nie wystarcza do sformułowania aktu oskarżenia i zrezygnuje z przekazania sprawy sądowi przysięgłych.

- Jasne - powiada. Sprowadziłem deszczowe chmury nad słoneczną dolinę Tony'ego, jego entuzjizm wyraźnie przygasł. Zaczyna sprzedawać mi fragmentaryczne okruchy istotnych informacji. - Zadawali mi całe mnóstwo pytań nie mających żadnego związku ze sprawą.

64

Upieram się przy kwestii prawdomówności.

- Za bardzo się przejmujesz - mówi.

Sprawia wrażenie zirytowanego moją dociekliwością w tej materii. Trudno powiedzieć, czy jest urażony kwestionowaniem jego uczciwości, czy też po prostu w tej określonej sytuacji mówienie prawdy wyjątkowo mu nie leży.

- Słowo harcerza. - Unosi do góry dwa palce, lecz czyni to jakoś koślawo, że zaczynam się zastanawiać, czy mu nie zdrętwiały od trzymania tak

przez całe przesłuchanie.

Od znalezienia zwłok Hali w makabrycznych okolicznościach minął już prawie tydzień, jednak władze wciąż jeszcze nie informują opinii publicznej o żadnych znaczących postępach w śledztwie. Leonora i ja regularnie przeczesujemy gazety w poszukiwaniu rewelacji, sprawdzamy każdy kawałek papieru, jaki wypadł spod prasy drukarskiej. Dręczy nas obawa, iż wyjdzie na jaw, że tamtej nocy byliśmy w mieszkaniu denatki. Mógł nas wypatrzeć sąsiad wyprowadzający psa albo jakiś nocny marek, odlewający się pod oknem ofiary. Ale, jak to się mówi, Opatrzność Boska czuwa nad głupcami. Wszystko wskazuje na to, że nasza idiotyczna eskapada przeszła bez echa.

Pojawiła się cała masa plotek i spekulacji, z których żadna nie budzi mojego zdziwienia. Odkąd gazety wykryły istnienie związku pomiędzy sprawą Acosty i ofiarą, w prasie kipi od domysłów obracających się głównie wokół pytania: kto odniósł korzyść ze śmierci dziewczyny? Jak dotąd najlepszym kandydatem na mordercę wydaje się nasz sędzia. Gliny próbowały z nim porozmawiać następnego dnia po znalezieniu zwłok. Słyszałem, że odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania i nie przedstawił żadnego alibi. Mógłbym rozpętać prawdziwe piekło podsuwając pismakom informację o tym, że jego nazwisko figurowało w terminarzyku panny Hali. A jednak mimo całej niechęci, jaką żywię do Acosty, nawet owa notatka nie jest w stanie przekonać mnie, że Acosta popełnił morderstwo.

- Dlaczego rozmawiałeś z Philem Mendlem o dyskusji w moim biurze? -  
Pytanie spada na Tony'ego bez żadnego ostrzeżenia. Czasami zaskoczenie stanowi najkrótszą drogę do prawdy. - Uchodzi z niego sporo powietrza,

ale unosi do góry brwi i nadal odgrywa twardziela.

- Czepiasz się - powiada. Jednak nie zaprzecza, że doniósł o rozmowie w moim biurze. Zastanawia się nad odpowiedzią drapiąc się po czaszce.

- Wygląda na to, że facet strasznie dużo wie o naszej rozmowie.

- Może krasnoludki mu podpowiedziały - mówi. - Phil zajmuje się wiedzą tajemną. Czarna magia, konszachty z Szatanem, te xtsctj. - Śmieje się z własnego dowcipu.

Phil jest diabłem wcielonym, tylko że Tony o tym nie wie.

- Niech no się zastanowię - powiada. Nie wygląda na to, żeby się przejmował moim oskarżeniem. Wciąż leży wyciągnięty wygodnie na sofie, nogi na poduszce.

5 - Sędzia

65

- Nie przypominam sobie, żebym z nim rozmawiał.

Jeżeli to ma być próbka prawdy, z jaką wystąpił przed sądem, to moje gratulacje.

- Phil ma dostęp do wielu źródeł - powiada. - A w ogóle, to o co się rozchodzi? Szukają zupełnie nie tam, gdzie trzeba. Jak już mówiłem, mogą mi nagwizdać.

Zaczynam się już nieco niecierpliwić.

- Rzecz dotyczy zaufania - wyjaśniam. - Mojego do ciebie.

Tym razem raczył na mnie spojrzeć. Uśmiecha się zimno, jakby chciał powiedzieć: „no to masz przerabane, stary”.

- Trudno zachować właściwą relację pomiędzy prawnikiem i jego klientem, jeżeli jedna ze stron nadaje na cały świat każde słowo, które padło w kancelarii.



- Phil to jeszcze nie cały świat - stwierdza. Tony musi się wiele nauczyć na temat odparowywania stawianych zarzutów. Zdaje się, że znowu mu się nie udało. - W czym problem? - nie pojmuje.

- Po pierwsze, automatycznie niweczy to uprzywilejowany charakter relacji pomiędzy adwokatem i jego klientem.

Po raz pierwszy w jego wzroku pojawia się coś na kształt skupienia. Nie rozumie, co do niego mówię. Wobec tego wyjaśniam.

- Wszystkie nasze rozmowy mają charakter uprzywilejowany. Władze nie mogą mnie zmusić do ujawnienia czegokolwiek, co zostało powiedziane w ramach kontaktów z klientem.

Dobra wiadomość. Wraca mu radość życia.

- Chyba, że klient sam ujawnia szczegóły osobie trzeciej - dodaję. -W takim wypadku mogą ze mnie wycisnąć każde słowo, jakie między nami padło - mówię.

- Och. - Jego dotychczasowa euforia znika bez śladu, ale nie zmienia pozycji na sofie.

- Właśnie. Och.

Zaczyna chwytać, o co mi chodzi. Pośród informacji, jakich mi nieopatrznie udzielił, znalazłoby się parę drobiazgów, głównie pomniejszych niedyskrecji, które - co prawda - w opinii sądu nie stanowiłyby materiału obciążającego, ale z powodzeniem mogłyby pozbawić Tony'ego pracy. Istnieje ogromna różnica pomiędzy przestępstwem a niestosowaniem się do regulaminu, lecz przepaść ziejąca pomiędzy tymi dwoma pojęciami pochłonęła już niejedną świetnie się zapowiadającą karierę policyjną.

- Oczywiście, istnieje możliwość, że Phil od początku wiedział o tobie

coś, o czym ja nie mam pojęcia. - Tym razem wyraziłem się dostatecznie jasno, żeby Tony zrozumiał, o co mi chodzi. Nareszcie siada jak Pan Bóg przykazał, stopy płasko na podłodze, w oczach najbardziej jadownicze spojrzenie, na jakie go stać.

- Słucham?

- Zack Wiley. Mówi ci to coś?

66

Widzę po oczach, że mówi.

- Jak sobie pewnie przypominasz, Wiley zginął podczas nalotu na melinę handlarzy narkotyków w zeszłym roku. Słyszałem, że brałeś udział w tej akcji i że to ty przechwyciłeś broń, z której, jak ustalono w wyniku śledztwa, Wiley został zastrzelony. Słyszałem także, że z ową bronią wiązały się pewne problemy. Chodziły słuchy, że pochodziła z jakiegoś dawniejszego przestępstwa i od dłuższego czasu znajdowała się na stanie policji.

ArguiUo patrzy na mnie ciężkim wzrokiem, jakby mu w głowie zapaliły się wielkie czerwone litery: „Uwaga! Kłopoty!”

Powiedziałby „O, kurwa”, ale nie musi. Mogę to przeczytać w jego oczach.

- Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś o dzisiejszym przesłuchaniu?

- Nie ma. Zadawali same nieistotne pytania.

Następuje dłuższa przerwa, powtarza w pamięci przebieg przesłuchania.

Niemal czuję swąd przegrzanego mózgu, dobywający się z jego głowy.

Coleman Kline jest znacznie bardziej przebiegły, niż Tony mógłby przypuszczać.

- Pytał mnie o jakiś napad w East Side, który miał miejsce trzy lata temu.

Chciał wiedzieć, czy to ja odpowiedziałem na wezwanie. Strzelał na oślep.

- Chciałbyś.

- On nic nie wie.

- Byłeś tam? W miejscu napadu?

- Nie przypominam sobie - mówi. - To było dawno. Codziennie mam przynajmniej tuzin wezwań. Sześć do ośmiu napadów w ciągu miesiąca. Jeśli nikt nie zginął, po pewnym czasie wszystkie zlewają się w jedno.

- Czy to wtedy policja weszła w posiadanie broni, z której został zastrzelony Wiley?

Patrzy na mnie na pół potwierdzającym, na pół niepewnym wzrokiem.

- Skąd się dowiedziałeś o tym pistolecie? - zapytał.

- Pół miasta o nim wie - mówię.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że dochodzenie sądowe może przenieść się na znacznie niebezpieczniejszy grunt, niż początkowo sądziliśmy - wyjaśniam.

Ledwo te słowo opuszczają moje usta, chłodna obojętność Tony'ego rozplywa się niczym kawałek lodu w upalne południe.

Na moje oko, niedawno przekroczyła pięćdziesiątkę. Ciemnowłosa i wciąż jeszcze całkiem atrakcyjna, pomimo rozmazanego w paru miejscach makijażu. Niedostatki toalety należy zapewne tłumaczyć pośpiechem, z jakim wybierała się do mojego biura.

Ma na sobie elegancki strój, pantofle na wysokich obcasach, ciemną spódnicę, białą bluzkę, zakiet z granatowego jedwabiu i dobraną do niego kolorem, jedwabną apaszkę. Na czole i wokół ust dostrzegam kilka zmarszczek, będących zapewne efektem niedawnych przeżyć. Obecność w moim biurze każe przypuszczać, że jej kłopoty mają jakiś związek z

prawem.

Nazywa się Liii. To imię, a nie nazwisko; tyle dowiedziałem się od Leonory, która dokonała aktu prezentacji. I chociaż nie zostałem poinformowany, co obie panie tutaj sprowadza, podejrzewam, że szykuje się jakaś transakcja. Bogata klientka i potrzebująca zarobić prawniczka nazwiskiem Goya.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym skorzystała z twojego biura?

-raczej stwierdza niż pyta.

- Mi casa, su casa - mówię. Proponuję, że zostawię je same, żeby mogły spokojnie pogadać. Rozmawialiśmy już wcześniej z Leonorą o jakiejś chwilowej fuzji interesów i wspólnym użytkowaniu powierzchni biurowej. Harry i ja dysponujemy w tym samym korytarzu jeszcze jednym lokalem, który stoi pusty, ale niestety jest nie umeblowany. Leonorą zastanawia się, czy go od nas nie przejąć.

- Wyskoczę na parę minut do biblioteki - powiadam.

- To nie będzie konieczne - oznajmia Leonorą sącząc kawę z "plastikowego kubeczka. Jej usta zostawiają ślady szminki na białej krawędzi. - Mógłbyś mi udzielić kilku rad.

Domyślam się, że chodzi o kwestie praktyczne w rodzaju honorariów i kosztów, z którymi prokuratorzy nie mają na ogół do czynienia. Mimo  
68

to czuję się mile połączony i wykonuję dworski gest z rodzaju: Qui? Moi?

- Jestem na twoje usługi - mówię.

- Czy pani mąż przyjechał razem z panią? - Leonora przechodzi do rzeczy.

- Za moment tu będzie — odpowiada kobieta. — Parkuje samochód.

- Muszą państwo przeżywać trudne chwile - mówi Leonora.

- Nawet sobie pani tego nie wyobraża - stwierdza ciemnowłosa kobieta. - Mąż martwi się, jak to wpłynie na naszą rodzinę, a zwłaszcza nasze córki. Co się z nimi stanie, jeśli go aresztują?

- Mają państwo nieletnie dzieci?

- Nie, nie. Nasze córki pozakładały już własne rodziny. Same są matkami. Wyjmuje z torebki portfel i pokazuje nam zdjęcia dwóch smagłych, ciemnokoch piękności, mniej więcej w wieku sześciu i siedmiu lat. Obie dziewczynki są ubrane w eleganckie sukienki, obie mają burzę wijących się loków, przypominających dymek z komina na rysunku przedszkolaka, obie mają niewinne, szczerbate uśmiechy.

- Młodsza, Gabriela - kobieta wskazuje fotografię starannie pielęgnowanym paznokciem - jest oczkiem w głowie swego dziadka - wyjaśnia. - Mój mąż - mówi - nie przeżyje, jeśli stanie jej się jakaś krzywda. Te wszystkie ohydne oskarżenia i insynuacje... - powiada. Mówiąc wyraźnie rozdziela sylaby, wymawia głoskę „r” z charakterystyczną, romańską wibracją. Odnoszę wrażenie, że angielski nie jest jej ojczystym językiem.

- Czy pani mąż złożył już jakieś zeznania? - chce wiedzieć Leonora.

- Nie. - Kobieta stanowczo kręci głową. - Nie rozmawiał z policją ani z nikim innym. Nawet ze mną nie chce o tym mówić. Jest bardzo przygnębiony - mówi. - Boję się o niego.

- Myśli pani, że byłby zdolny targnąć się na swoje życie? -pyta Leonora. Spojrzenie Liii nie wyraża protestu. Wygląda na to, że taka myśl nie jest dla niej nowa.

- Proszę mu nie mówić, że to powiedziałam.-Leonora kręci głową zapewniając, że nie powie.

- Może powinniśmy zacząć od początku? - Siedzę tutaj jak taki, co spadł księżyc, zastanawiając się, czy ktoś kogoś zaciukał siekierką, czy może też rzecz idzie o napastowanie małych dziewczynek. Człowiek nigdy nie wie, z czym do niego przyjdą.

- Lepiej będzie, jeśli na niego poczekamy - mówi Leonora. - Nie będziemy musieli wszystkiego dwa razy powtarzać.

Wzruszam ramionami. To ona tutaj rządzi.

- Czy pani mąż kontaktował się z innym prawnikiem? - pyta Leonora.

- Nie sądzę, żeby w ogóle rozważał taką możliwość - mówi Liii -zanim okazało się, że może się zwrócić do pani. Kiedy usłyszał, że ma pani

69

zamiar przyłączyć się do kancelarii pana Madriani, natychmiast podjął decyzję.

- To bardzo miło z jego strony - powiada Leonora. Zaczyna mnie to intrygować.

Liii mówi, że policja nie raczyła udzielić im żadnych informacji, chociaż dwukrotnie przeszukiwała ich dom.

- Mieli nakaz rewizji?

- Tak. - liii kiwa głową.

Wygląda na to, że wie, co mówi. Sprawia wrażenie, jakby nakazy rewizji stanowiły jej ulubiony temat.

- Za pierwszym razem zabrali samochód. Gdzieś go odholowali -mówi.

— Więcej go nie widzieliśmy.

Coś się dzieje w naszym sekretariacie, słyszę skrzypnięcie drzwi i głosy.

Jeden należy do telefonistki, drugi, głęboki baryton, wydaje mi się znajomy.

- Zdaje się, że na mnie czekają - mówi mężczyzna.

Jego głos, niczym huk przyływu morza na pogrążonej w mroku plaży, wyzwala we mnie ponure przeczucie. Na ułamek sekundy, przed otwarciem się drzwi mojego gabinetu, dostrzegam spojrzenie Leonory. Przygląda mi się z uwagą, ciekawa, jak zareaguję. Ma jedno oko zasłonięte kosmykiem włosów, drugie patrzy na mnie z pełnym lękiem oczekiwaniem. Twarz Mony Lisy.

Drzwi otwierają się na oścież i staje w nich Armando Acosta.

Czuję się, jakbym oglądał film grozy albo czeską komedię, to nie może być życie. Nawet w najobłąkańszych snach nie potrafiłbym sobie wyobrazić, że kiedykolwiek ujrzę podobny widok. Nasze oczy spotykają się na krótką chwilę, niemal natychmiast odwraca spojrzenie.

Liii dokonuje prezentacji, Leonora podaje mu dłoń.

- Mój mąż, sędzia Acosta. Panna Goya. - Ignoruje fakt, że jej mąż nie piastuje już urzędu sędziowskiego, że został zawieszony do czasu wyjaśnienia ciężącego na nim zarzutu nagabywania prostytutki. Śmierć jedyne go świadka oskarżenia tylko pogarsza jego sytuację.

- Proszę mi mówić po imieniu. Armando.

Mógłbym wymyślić przynajmniej tuzin innych imion, funkcjonujących na co dzień jako przekleństwa, pasujących do niego o wiele lepiej niż to, które na chrzcie nadali mu rodzice.

- Leonora - rewanzuje się.

Przez chwilę podejrzewam, że zamierza pocałować ją w rękę. Lecz nie, zgina się tylko w pasie i ujmuje jej wiotką dłoń, zawierając w tym geście więcej dworskiej kurtuazji, niż to się wydaje możliwe.

Wciąż niezdolny do żadnej reakcji siedzę wrośnięty w swój fotel, kiedy

Acosta zwraca się w moją stronę. Obawiam się, że jeśli spróbuję wstać, moje nogi zmieniają się w rozmiękłą galaretę.

- Panie mecenasie. - Acosta jest pełen rezerwy, na jego twarzy nie ma uśmiechu. Może wyczuwa intuicyjnie, że nie potrafię wymyślić nic grzecznego, co by się nadawało do powiedzenia przy kobietach.

70

W związku z tym milczę, ograniczając się do uprzejmego skinięcia głową.

- Miło znowu pana widzieć - kłamie wyciągając rękę. Dłoń zawisa nieruchomo ponad leżącym na biurku bibularzem i tkwi tam dostatecznie długo tak, jakby miała się stać trwałym elementem tego otoczenia. Jeżeli ją teraz zabierze, wszystkie oczy zwrócą się na mnie.

Następuje nieprzyjemna pauza, wypełniona oczekiwaniem Acosty gotowego trzymać tak rękę w nieskończoność. Wreszcie ujmuję podaną mi dłoń i ściskam ją, zgodnie z nakazami savoir vivre'u.

Zdaje się, że zapominam jednak o przybraniu właściwego wyrazu twarzy, kiedy bowiem znowu podnoszę wzrok, Leonora śmieje się ze mnie, nie próbując nawet tego ukryć. Liii pyta, czy coś jej przypadkiem nie umknęło?

Teraz już nawet sam Acosta chichocze w kułak.

- Moje stosunki z panem Madriani nie zawsze były równie - jak to ująć? - serdeczne - powiada. - Później ci o tym opowiem. Obejmuje żonę ramieniem i prowadzi ją ku kanapie ustawionej pod pewnym kątem do mojego biurka, gdzie zajmują pozycje każde w innym rogu. Leonora wybiera jeden z foteli dla klientów, po przeciwnej stronie biurka. Siedzimy tak przez parę chwil, przyglądając się sobie nawzajem.

Nie widziałem Acosty ponad miesiąc, lecz w tym czasie posunął się co



najmniej o dwa lata. Na mocno łysiejącej głowie pojawiły się siwe włosy. Długotrwały stres wyżłobił na twarzy głębokie zmarszczki, rozchodzące się w dół od kącików oczu na wzór promieni słońca. Policzki straciły jędrność, obwisłe podgardle przywodzi na myśl drapieżne zwierzę, które straciło zęby i nie może polować.

- A więc skoro już jesteśmy w komplecie - odzywa się w końcu - możemy chyba zaczynać?

Patrzy najpierw na mnie, potem na Leonorę, wreszcie do niego dociera, że to my chcemy usłyszeć, z czym do nas przyszedł.

Chociaż wygląda jak własny cień, zachował skłonność do zmanierowanych gestów. Zdjąwszy dłoń z ramienia żony, starannie poprawia mankiet koszuli wystający spod rękawa marynarki, po czym przygląda palcami siwe włosy na skroniach. Niepoprawny elegancik. Skonstatowawszy, że żadne z nas nie zamierza się odezwać, odchrząkuje i przystępuje do rzeczy.

- Przyszedłem tutaj - powiada - ponieważ jest mi potrzebny prawnik. W związku ze śmiercią Brittany Hali. - Widać wyraźnie, że nie czuje się najlepiej w skórze petenta szukającego pomocy. Mówiąc nie zaszczyca spojrzeniem ani mnie, ani Leonory, lecz patrzy w jakiś odległy punkt, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy nami.

- W normalnych okolicznościach nigdy bym o to nie pytał - mówię - ale sądzę, że powinniśmy zacząć od ustalenia, czy pan to zrobił.

Spogląda na mnie z ledwo dostrzegalnym zakłopotaniem, nie do końca pewny, czy nawet ja byłbym zdolny się tak daleko posunąć.

71

- Czy zabił pan Brittany Hali? - rozwiewam wszelkie wątpliwości.

- Niech pan nie odpowiada - mówi Leonora. Liii usiłuje zabić mnie wzrokiem.

- Jak pan może...

- Nie sądzisz, że trochę przesadziłeś? - Jasne. Podstawowa zasada numer jeden: nie pytaj. Możesz nie polubić odpowiedzi. Pora na zwierzenia przyjdzie później, kiedy poinformujesz już swojego klienta o możliwych strategiach obrony, a policja tymczasem zdoła ustalić więcej faktów.

- Bez nerwów - mówi Acosta zwracając się nie do mnie, lecz do obu kobiet. Wygląda na to, że on jeden z obecnych nie czuje się urażony moim pytaniem. Jego żona podniosła się z kanapy, stoi z torebką w ręku, gotowa do wyjścia.

- Nie przyszliśmy tutaj wysłuchiwać impertynencji - mówi. Bez wątplenia czuje się zbrukana, pokazawszy fotografie swoich wnucząt takiemu typowi, jak ja.

- Pan Madriani ma prawo o to pytać - mówi Acosta. Nie wyjaśnia tylko, czy mam również prawo znać prawdę.

Usadzenie Liii z powrotem na kanapie wymaga trochę czasu i wysiłku, gdyż nie chce tu dłużej zostać. Widocznie uważa, że żaden prawnik, który nie wierzy ślepo w jej męża, nie jest godzien jej zaufania. Ale mogłaby mieć kłopoty ze znalezieniem adwokata.

Acoście jakoś udaje się ją uspokoić.

- Ma pan wyjątkowy talent do wywoływania zamieszania, panie Madriani - stwierdza.

- Zdarza się, że nieźle na tym wychodzę - zauważam. Obrzucam go chłodnym spojrzeniem, w niczym nie ustępującym temu, którym sam zostałem obrzucony.

- Nie wątpię - mówi.

Kiedy już wszyscy siedzimy z powrotem na swoich miejscach, przypominam mu, że jeszcze nie usłyszałem odpowiedzi na swoje pytanie.

- A ja doradziłam panu Acoście, żeby się od niej wstrzymał - mówi

Leonora. - Ani na to czas, ani miejsce - stwierdza sentencjonalnie.

- Pani rada zdaje się zakładać istnienie pomiędzy nami pewnego stosunku

- mówi Acosta. - Czyżby uważała mnie pani za swojego klienta? - Unosi do góry brwi.

Przygnębienie, jak widać, nie zdołało wybić mu z głowy zawodowych sztuczek.

- Nie możecie oczekiwać, że będę odpowiadał na tego rodzaju pytania, o ile...

- Proszę przyjąć, że podejmuję się reprezentowania pana w sądzie. - Zanim mam czas cokolwiek powiedzieć, Leonora chwyta przynętę.

Na twarzy Acosty pojawia się olśniewający uśmiech, dwa rzędy równych, białych zębów kontrastują ostro z ciemną karnacją. Przez chwilę wyobrażam sobie, co musi czuć amator kąpieli morskiej napotkawszy znienacka rekina.

72

Szczerzy się do mnie, jakby chciał powiedzieć, iż on też zbiera niekiedy owoce zamieszania. Mój chybiony atak frontalny na Kokosa doprowadził w rezultacie do wygłoszenia przez Leonorę o parę słów za dużo.

- Powinnaś się nad tym dobrze zastanowić - próbuję ratować sytuację. - W tej sprawie jest wiele niewiadomych.

- Pozwól, że zdam się na moją intuicję. - Leonora rzuca mi najbardziej palące, nienawistne spojrzenie, jakie potrafi. Powinienem zamienić się w

garstkę popiołu. Jeśli ja mogę robić głupstwa, to jej też nikt tego nie zabroni. Dziecinna przepychanka, w której jedynym kandydatem na zwycięzcę jest Kokos.

- Nie ma sprawy - mówię.

- A jaka jest pańska decyzja, panie mecenasie? - Acosta zwraca się teraz do mnie.

- No? - popiera go Leonora.

- Jakie są twoje wymagania co do honorarium? - pytam ją.

- Natychmiast wystawię wam czek - mówi Acosta. - Życzą sobie państwo zaliczkę? Ile? - Kiedy tak z piórem w dłoni pochyla się nad swoją książeczką czekową, rozłożoną na brzegu mojego biurka, wyobrażam sobie odrobinę przeinaczoną scenę z Fausta. Oto zawieram kontrakt z Księciem Ciemności.

- Żądamy zaliczki w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów — oznajmiam. — Do rozliczenia. Liczymy sobie dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę pracy i trzysta pięćdziesiąt za każdą godzinę w sądzie. Na osobę - dodaję.

Liii krzywi się, jakby ją kto uszczypnął.

Leonora szeroko otwiera oczy.

Tylko Acosta nie potrzebuje czasu, żeby się otrząsnąć z wrażenia.

- Zrobione - oświadcza.

Ma głębsze kieszenie, niż w moich najśmielszych domysłach. Zabiera się za wypisywanie czeku. Wrobiwszy w to Leonorę, nie mogę teraz uciec od odpowiedzialności.

- Decydujący głos we wszystkich kwestiach prawnych będzie należał do panny Goya. - Rzucam jej spojrzenie mówiące „przekonaj się, jak to

smakuje". -1 jeszcze jedno zastrzeżenie - dodaję. Chętnie przytoczyłbym tysiąc zastrzeżeń, ale niestety, nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

-Jeżeli zorientujemy się, że nie mówi nam pan prawdy, będzie to jednoznaczne z zerwaniem umowy.

Liii znowu zaczyna kręcić się na kanapie, ale tym razem Acosta w porę chwyta ją za rękę.

- A teraz niech pan odpowie na moje pytanie - mówię.

Jego twarz w mgnieniu oka przemienia się w bryłę lodu. Ciało nieruchomieje. Nie drga ani jeden mięsień, żadnych widocznych ruchów poza oddychaniem. Pokaz najwyższej powagi, do jakiej jest zdolna istota ludzka. W przepastnej głębi brązowych oczu, skoncentrowanych na mnie

73

niby celowniki rakiet dalekiego zasięgu, można by zgubić obie Ameryki i jeszcze Azję z Europą.

- Nie. Nie zabiłem jej.

Jako próbka tego, co będziemy mogli zobaczyć w sądzie - o ile sprawy zajdą tak daleko - wypadło to całkiem nieźle. Nie zaszkodziłoby nieznaczne drżenie głosu, przysięgli to lubią, ale jeśli chodzi o siłę przekonywania, nie mam nic do zarzucenia.

- To już mamy za sobą - powiada. - I co dalej?

Nagle dociera do mnie, że on naprawdę nie posiada żadnej koncepcji. Facet mający za sobą dwadzieścia lat kariery prawniczej, z czego lwią część spędził w sądzie, nie ma bladego pojęcia, jak przygotować własną obronę.

Leonora zaczyna od omówienia kwestii alibi, przydałby nam się jakiś

porządny obywatel mogący poświadczyć, gdzie Acosta przebywał, kiedy zostało popełnione morderstwo. Nie jest to takie proste, policja bowiem nie wypowiedziała się dotąd na temat określenia czasu śmierci Brittany Hali. Acosta pogarsza jeszcze sprawę, wyznając nam, że w dniu morderstwa większą część popołudnia i cały wieczór spędził samotnie. Doznawszy ostrego ataku depresji, zatrzymał samochód na parkingu przy autostradzie, z widokiem na rzekę. Pomija milczeniem przedmiot swoich rozmyślań z dala od miasta, lecz spojrzenia, które Liii posyła Leonorze, wiele mówią.

- Nikt pana nie widział? - pyta Leonora. - Z nikim pan nie rozmawiał?

- Nie byłem w towarzyskim nastroju - wyznaje. - Potrzebowałem samotności. Przeszedłem załamanie nerwowe. - Według jego własnych słów, zawieszenie w obowiązkach sędziego pchnęło go na dno rozpacz. W napadzie frustracji zwolnił dzisiaj rano prawnika, który go reprezentował w sprawie o obrazę moralności.

- Rozumiem pana - przyznaje Leonora. - Niemniej, czy jest pan zupełnie pewien, że w czasie, kiedy mogło zostać popełnione morderstwo, po południu i wieczorem tamtego dnia, z nikim pan nie rozmawiał? Nawet przez telefon? Nie dzwonił pan do nikogo z przyjaciół? Nie był pan w żadnym miejscu, gdzie ktoś mógłby pana widzieć?

Kręci głową.

- Nie robił pan żadnych zakupów? Może kupował pan coś do jedzenia, może benzynę? Może zapamiętał pana jakiś sprzedawca?

Znowu kręci głową.

- O której godzinie wrócił pan do domu? - pytam.

- W ogóle nie wróciłem. Przyjechałem dopiero następnego dnia, około

drugiej po południu.

Jego żona potwierdza ten smutny fakt wyznając, że odchodziła od zmysłów ze zdenerwowania.

Przepytujemy Acostę ze wszystkiego, co powiedział policji, gdy odnaleziono zwłoki. Niestety się składa, że nie mamy wglądu do

74

protokołów zeznań. Dowiadujemy się, że wygłosił jakąś dwuznaczną uwagę na temat swojego nazwiska w kalendarzu ofiary. Leonora i ja wymieniamy spojrzenia. Chodzi o notatkę, którą widziała tamtej nocy. Z tego, co mówi Acosta, wynika, że policja jest zdania, iż wiedział o wyznaczonym spotkaniu i że był w mieszkaniu u Brittany Hali w dniu morderstwa.

Tak już jest na tym świecie, że chęć do zwierzeń, ogarniająca nas w trudnych chwilach, zawsze prowadzi do kłopotów. To jedno z fundamentalnych praw natury.

- Może policja ma paru podejrzanych - wtrąca optymistycznie Leonora.
- Sądzę, że nie - odpowiada Acosta.
- Skąd ta pewność?
- Zwołali wielką ławę przysięgłych dla rozpatrzenia materiałów dowodowych. Nie zostałem wezwany do złożenia zeznań.

Leonora patrzy na niego z otwartymi ustami. Acosta nie mówi, jakim sposobem wszedł w posiadanie tej informacji, a my nie pytamy. Sądy okręgu stołecznego mają tyle przecieków, co kot napłakał, a Acosta naturalnie znakomicie się orientuje, gdzie napłakał i kiedy.

- Wezwali na świadków kilku moich znajomych - powiada. - Nie wiem, o co ich pytano, ani co mogli zeznać pod przysięgą.

- Coś chyba jednak przychodzi panu do głowy? - naciskam. Zabawa w kotka i myszkę.

Lekko wzrusza ramionami, robi ruch głową mówiący: „cóż, to tylko przypuszczenia”.

- Gdyby prokurator zadał właściwe pytanie właściwemu świadkowi... - Jego twarz przypomina teraz suszoną śliwkę, wokół ust pojawia się siateczka zmarszczek. Snucie domysłów przychodzi mu z wyraźnym trudem. - ...Jedna z tych osób mogłaby przytoczyć pewne pochopne uwagi, wypowiedziane przeze mnie pod wpływem gniewu.

Patrzę na niego w milczeniu czekając, aż wreszcie z siebie wydusi to, o czym i tak wszyscy wiemy.

- Byłem zdenerwowany - powiada. - Mówiłem różne rzeczy.

- Na przykład?

- Nie pamiętam dokładnie słów. Mogłem powiedzieć, że łyże jak pies, albo nawet coś gorszego.

- Brittany Hali? Skinięcie głową.

- Byłem wściekły. Wciągnęli mnie w pułapkę - skarży się.

- Kto?

- Gliny - mówi, jak każdy podejrzany w takiej sytuacji. - Cała ta historia z prostytutką została od początku do końca sfingowana.

- Więc był pan wściekły. Powiedział pan, że panienska łyże jak pies. To wszystko?

75

Daje nam popis przewracania oczami, ale widać, że powoli oswaja się z myślą, iż kiedyś wreszcie będzie musiał powiedzieć to na głos.

- Mogło mi się wyrwać coś jeszcze.



- Co? - Idzie nam to, jak wyrywanie zęba.
- Może... Nie wiem. Niewykluczone, że życzyłem jej śmierci -powiada.
- Tak sobie właśnie myślałem - mówię. Wzrusza ramionami.
- Powiedział pan komuś ze znajomych, że życzy pan jej śmierci?
- Coś w tym rodzaju. Prawdopodobnie użyłem kilku epitetów i powiedziałem, że cieszyłbym się, gdyby ją trafił szlag.
- Wspaniale - mówię. - Nie pamięta pan tego dokładnie? Słowo w słowo?
- Czy to ważne? - pyta.
- Owszem, jeśli gliny mają zeznania świadka.

Przykłada palce do czoła niby Wielki Szaman, koncentrujący swoje moce.

- Mogłem stwierdzić, że śmierć to dla tej dziwki za mało.
- Cudownie. Życzył jej pan śmierci. Komu się pan z tego zwierzył? -chcę wiedzieć.
- Musicie zrozumieć - powiada. - Po tym aresztowaniu nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Mijali mnie na korytarzu, jakbym był zjawą. Ludzie, z którymi pracowałem od dwudziestu lat, zaczęli udawać, że mnie nie znają. Moja sekretarka wzięła zwolnienie lekarskie. Wyobrażacie to sobie? Moja własna sekretarka. Stałem się przedmiotem niewybrednych żartów...
- Komu pan o tym mówił?

Głośno przetyka ślinę, jego grdyka przesuwają się w dół, jakby wykonała fantazyjny skok z trampoliny.

- Oscarowi Nicholowi - wyznaje.

Oscar Nichols ma opinię najsympatyczniejszego sędziego okręgowego.

Adwokaci uwielbiają go, gdyż jest przystępny jak wiejska panienska. Afro-Amerykanin po sześćdziesiątce, łagodny i uprzejmy, cierpi na przerost poczucia sprawiedliwości, prowadzący w konsekwencji do nieuleczalnego

paraliżu przy ferowaniu wyroków. Jak wiadomo, każda sprawa wygląda inaczej, zależnie od tego, z której strony na nią spojrzeć, i gdyby pozostawić sędziemu wolną rękę, wałkowałby ją, dopóki miałby pewność, że i oskarżenie, i obrona wyjdą na swoje. Nie dziwne, że to właśnie na jego ramieniu Acosta postanowił wyplakać się w trudnej chwili swojego życia.

A mimo to nie mogę wyjść ze zdumienia. Mój klient, zawodowy prawnik, wypowiada w obecności urzędującego sędziego zdanie, które można zinterpretować jak groźbę pod adresem świadka niebawem zamordowanego.

- Był moim przyjacielem - mówi Acosta, mimo woli akcentując czas przeszły.

76

Daje nam popis przewracania oczami, ale widać, że powoli oswaja się z myślą, iż kiedyś wreszcie będzie musiał powiedzieć to na głos.

- Mogło mi się wyrwać coś jeszcze.

- Co? - Idzie nam to, jak wyrywanie zęba.

- Może... Nie wiem. Niewykluczone, że życzyłem jej śmierci -powiada.

- Tak sobie właśnie myślałem - mówię. Wzrusza ramionami.

- Powiedział pan komuś ze znajomych, że życzy pan jej śmierci?

- Coś w tym rodzaju. Prawdopodobnie użyłem kilku epitetów i powiedziałem, że cieszyłbym się, gdyby ją trafił szlag.

- Wspaniale - mówię. - Nie pamięta pan tego dokładnie? Słowo w słowo?

- Czy to ważne? - pyta.

- Owszem, jeśli gliny mają zeznania świadka.

Przykłada palce do czoła niby Wielki Szaman, koncentrujący swoje moce.

- Mogłem stwierdzić, że śmierć to dla tej dziwki za mało.
- Cudownie. Życzył jej pan śmierci. Komu się pan z tego zwierzył? -chcę wiedzieć.
- Musicie zrozumieć - powiada. - Po tym aresztowaniu nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Mijali mnie na korytarzu, jakbym był zjawą. Ludzie, z którymi pracowałem od dwudziestu lat, zaczęli udawać, że mnie nie znają. Moja sekretarka wzięła zwolnienie lekarskie. Wyobrażacie to sobie? Moja własna sekretarka. Stałem się przedmiotem niewybrednych żartów...
- Komu pan o tym mówił?

Głośno przetyka ślinę, jego grdyka przesuwa się w dół, jakby wykonała fantazyjny skok z trampoliny.

- Oscarowi Nicholowi - wyznaje.

Oscar Nichols ma opinię najsympatyczniejszego sędziego okręgowego. Adwokaci uwielbiają go, gdyż jest przystępny jak wiejska panienka. Afro-Amerykanin po sześćdziesiątce, łagodny i uprzejmy, cierpi na przerost poczucia sprawiedliwości, prowadzący w konsekwencji do nieuleczalnego paraliżu przy ferowaniu wyroków. Jak wiadomo, każda sprawa wygląda inaczej, zależnie od tego, z której strony na nią spojrzeć, i gdyby pozostawić sędziemu wolną rękę, wałkowałby ją, dopóki miałby pewność, że i oskarżenie, i obrona wyjdą na swoje. Nie dziwne, że to właśnie na jego ramieniu Acosta postanowił wypłakać się w trudnej chwili swojego życia.

A mimo to nie mogę wyjść ze zdumienia. Mój klient, zawodowy prawnik, wypowiada w obecności urzędującego sędziego zdanie, które można zinterpretować jak groźbę pod adresem świadka niebawem zamordowanego.

- Był moim przyjacielem - mówi Acosta, mimo woli akcentując czas przeszły.

76

- Nie mógł pan znaleźć sobie kogoś mniej praworządnego? - pytam.

Ledwo te słowa opuściły moje usta, a zaczynam żałować, że je wypowiedziałem. Twarzy Acosty nie wykrzywia wściekłość ani oburzenie, lecz coś, czego jeszcze nigdy nie widziałem. Jego rysy układają się w maskę nieludzkiej udręki. To zupełnie naturalne, iż każdy z nas usiłuje ukryć swoje słabe punkty przed tymi, których nie lubi i którym nie ufa, a pomiędzy nami dwoma rozciąga się bezkresny ocean podejrzliwości.

W świecie, gdzie tożsamość człowieka jest jednoznaczna z jego zawodem, Acosta zajmuje pozycję profesjonalnego trędowatego. Jeśli nie liczyć żony i wolności osobistej, ten człowiek stracił już wszystko.

Na moim biurku zapala się światełko interkomu. W następnej sekundzie dzwoni telefon. Podnoszę słuchawkę.

- Jest tu pewien dżentelmen, który chce się z tobą zobaczyć.

- Podał nazwisko?

- Leo Kerns. Śledczy z biura prokuratora okręgowego.

- Leo? Czego chce?

- Mówi, że musi z tobą porozmawiać.

- Już idę.

Rzucam spojrzenie Leonorze.

- Za chwilę wracam. - Odkładam długopis na notatnik, tuż obok zapisanej w cudzysłowie pogróżki, którą Kokos wypowiedział pod adresem Brittany Hali. - Zaczekajcie na mnie.

Wstaję zza biurka, pozostawiając Leonorze ustalenie podstawowych

faktów. Być może, poprowadzi rozmowę na nieco lżejsze tory, na przykład ewentualność pozbawienia Acosty uprawnień sędziowskich.

Gdy przekraczam próg mojego gabinetu, ogarnia mnie nieokreślone, posępne przeczucie, podobne temu, jakiego musi doznawać jaszczurka na autostradzie na chwilę przed rozjechaniem.

Leo wciągnął mnie w pułapkę. Obok niego, przy kontuarze recepcji stoją dwaj faceci w garniturach, przylizane włoski, wyszorowane do czysta buźki, klasyczny typ detektywa z Wydziału Zabójstw. Jednego z nich gdzieś już spotkałem.

- Paul. - Leo wyciąga do mnie rękę, co nasuwa mi pewne skojarzenie z pocałunkiem Judasza.

Jeden z gliniarzy postępuje krok naprzód.

- Czy Armando Acosta znajduje się w pańskim biurze? Posiadamy informacje, że przebywa na terenie budynku - oznajmia, nie bawiąc się w żadne uprzejmości.

- Mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

- Mam nakaz aresztowania Armanda Acosty. - Pomachawszy mi przed nosem kawałkiem papieru, odpycha mnie na bok. Otwiera drzwi mojego gabinetu, nie zawracając sobie głowy pukaniem, i wchodzi do środka.

- Armando Acosta, jest pan aresztowany pod zarzutem zamordowania Brittany Hali. Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo skorzystać z pomocy prawnika. Jeśli nie stać pana na opłacenie adwokata, zostanie panu wyznaczony obrońca z urzędu... - Zanim zdążył odbębnić wyuczoną na pamięć formułę, jego towarzysz skuwa Acostę, ręce na plecach, i wyciąga go za łokieć z mojego gabinetu. Gliniarz od

odczytywania uprawnień dołącza do swojego kolegi i razem wloką Acostę przez korytarz, szarpiąc go każdy w inną stronę niby dwa przeciwne prądy w rynsztoku.

Liii szłocha w drzwiach, usiłując wyrwać się na zewnątrz, Leonora przytrzymuje ją za ramię.

Acosta wpija się we mnie wzrokiem, ma szeroko otwarte oczy, z błagalnym spojrzeniem tonącego. Obijając się o ściany, trzyosobowa grupa sunie korytarzem w moim kierunku.

- Niech pan nie składa żadnych zeznań - wołam do niego. - Pogadamy w więzieniu.

Jeden z gliniarzy odpycha mnie na bok, jakby mną chciał wybić dziurę w ścianie. Mam wrażenie, że poszturchiwanie prawnika traktuje nie jak pracę, lecz jak przyjemność. Przyłożenie mi pięścią podczas udzielania porady klientowi na pewno uchodzi w jego oczach za zbożne dzieło. Policyjne tornado sunie w kierunku drzwi, mimochodem zrzucając z kontuaru recepcji papiery i fotografie. Acosta właściwie nawet się nie wrywa, walczy jedynie o utrzymanie się na nogach w przestrzeni, w której działają na niego dwie siły o przeciwnych wektorach.

Leo uśmiecha się do mnie z rozpaczą i wzrusza ramionami. Nie bardzo rozumiem, jaką rolę odegrał w tym wszystkim. Nagle dociera do mnie z jasnością błyskawicy. Leo pracuje przecież dla Kline'a, musiał brać udział w rozprawie wstępnej oceniającej zebrany materiał dowodowy. Coś mi mówi, że nakaz aresztowania Acosty dopiero co wypadł spod prasy drukarskiej, a widniejący na nim podpis prokuratora jest jeszcze mokry.

8

Najbardziej agresywnym elementem urody Colemana Kline'a są

przenikliwe błękitne oczy. Tego poranka przewiercają mnie na wylot niczym dwa lasery. Siedzę w jednym z foteli dla klientów, ustawionych po przeciwnej stronie biurka.

Taksujemy się wzrokiem poprzez bezkresną marmurową przestrzeń niczym dwaj handlarze niewolników, szacujący wady i zalety oferowanego towaru. Rozdziela nas różowy, żyłkowany blat biurka, nagi i zimny jak księżyc. Jego powierzchni nie kala żaden przedmiot, jeśli nie Uczyć splecionych dłoni prokuratora, zaiste stanowiących widok budzący grozę. Wystrój gabinetu ma w sobie coś ze sterylności sali operacyjnej. Dwie narożne ściany zajmują pozbawione zasłon i żaluzji okna, dwie następne, oddzielające pokój od wnętrza budynku, oślepiają nagą bielą, którą zdobi jedynie niewielkie abstrakcyjne malowidło, przypominające różnobarwne kleksy Rorschacha.

- Jest pan przyjacielem Leonory Goya -mówi. Jego uwaga nie zawiera w sobie oskarżenia, raczej stanowi beznamienne stwierdzenie faktu.

- Rzeczywiście, Leonora i ja znamy się od dawna - przyznaję.

- Nie powinien pan angażować się w tę sprawę wyłącznie przez złośliwość - powiada. - Zwłaszcza cudzą.

Patrzę na niego pytająco.

- Wszyscy wiedzą, że Leonora żywi do mnie urazę. Może to dlatego chce reprezentować Acostę? - Nieznacznie wznosząca się na końcu zdania intonacja nadaje mu charakter pytający.

- Pierwsze słyszę. -Hipokryzja tylko wtedy nosi cechy kłamstwa, jeżeli druga strona daje się nabrać. W tym przypadku obaj doskonale wiemy, jak wygląda prawda. Odpowiada mi skrzywionym uśmiechem, rozciągając zaciśnięte usta w cienką, prostą linię, jakby chciał dać do zrozumienia, że

spodziewał się większej otwartości z mojej strony.

79

f

- Niechęć osobista do kogoś może sprowadzić na manowce — mówi. — Nie należy podejmować się prowadzenia sprawy z fałszywych pobudek.

- Należy rozdzielać przyjemność od interesów?

Świetnie wie, co mam na myśli, ale się nie uśmiecha. Kawał zimnego drania.

- Czy pański udział w tej sprawie ma charakter oficjalny? - pyta. Wszelkie formalności związane z postawieniem naszego klienta w stan oskarżenia załatwiała do tej pory Leonora, ona też wystąpiła z wnioskiem o zwolnienie za kaucją, który został z miejsca odrzucony. Mówię mu o tym.

- Tym bardziej powinien się pan dobrze zastanowić.

- Bez względu na to, czy to będę ja, czy ktoś inny, sędzia może liczyć na energiczną obronę - wyrażam swoje przekonanie. - Tak już bywa w podobnych sprawach.

- W jakich sprawach?

- Sensacyjnych - powiadam. Hieny ze środków masowego przekazu już się skrzykują. Mówi się coś nawet o transmisji telewizyjnej. Sędzia oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia nie trafia się codziennie. Przez chwilę przeżuwa określenie „sensacyjne”. W jego oczach maluje się głęboka troska moralna.

- Przypuszczam, że ma pan słuszość. Chociaż swoją drogą, to hańba.

- Co pan ma na myśli?

- Zakres zainteresowań opinii publicznej w naszych czasach.



- Skandale seksualne, upadli sędziowie i te rzeczy?
- Dokładnie. - Świat postrzegany przez pryzmat prasy brukowej. Kli-ne jest oburzony do żywego.
- Nic nowego pod słońcem - stwierdzam filozoficznie. Rzuca mi pytające spojrzenie.
- Dawid i Betszeba - mówię.
- Nie nazwałbym Armanda Acosty człowiekiem biblijnego formatu -oznajmia.

Nareszcie coś, co do czego jesteśmy zgodni.

- Wszystko to bardzo ładnie - mówi - ale to pan chciał się ze mną spotkać? Przypuszczam, że miał pan jakiś powód?

- Chodzi o kaucję - wyznaję. - Pomyślałem sobie, że moglibyśmy dojść do kompromisu. Żeby oszczędzić sobie kłótni w sądzie.

Widzę po jego oczach, że nie jest zaskoczony. Jednak nie rezygnuje z przypomnienia mi wszystkich argumentów przeciw.

- Rzecz idzie o zbrodnię główną, panie mecenasie. Poza tym w grę wchodzi szczególne okoliczności. Zamordowanie świadka oskarżenia.
- Sąd decyduje o wypuszczeniu za kaucją wedle swojego uznania -mówię.
- W tym wypadku Sąd postanowił nie skorzystać z tych uprawnień.
- Ze względu na rodzaj zarzutów?

80

powiadam. — Nie przedstawiono żadnych

Kiwa głową.

- Pośpieszyli się z decyzją istotnych dowodów.

Obraca się na krześle i wyjmuje z imponującej biblioteczki za swoimi plecami jakąś księgę. Szybki rzut oka na indeks, wertuje tom i znajduje

właściwą stronę.

- Pozwoli pan, że zacytuję - mówi. - Kodeks Karny, paragraf tysiąc dwieście siedemdziesiąty piąty, punkt piąty: „oskarżony o zbrodnię główną, zagrożoną karą śmierci, nie może zostać zwolniony za kaucją, gdy istnieją oczywiste dowody jego winy, albo gdy wydaje się ona oczywista”.

- Zatrząskuje książkę.

- Co nie ma miejsca - protestuję.

- Jak pan może być tego pewien przed zapoznaniem się z wynikami śledztwa?

I tu mnie ma. Owoce naszej pierwszej prośby o udostępnienie nam wyników śledztwa nadeszły dopiero dziś rano i w tej chwili leżą sobie na moim biurku czekając, aż będę miał czas rzucić na nie okiem.

- Nie bacząc na pański osobisty stosunek do pana Acosty, musi pan przyznać, że mój klient jest osobą dobrze znaną w środowisku i nic nie wskazuje na to, żeby miał zamiar uciec. Nawet nasza rozpasana prasa tego nie sugeruje. Mój klient posiada rodzinę, reputację...

- Właśnie. Dziękuję bardzo za taką reputację - wtrąca Kline. Touche.

- Nie myśli pan chyba poważnie, że mógłby spróbować uciec? - pytam.

- Zdarzały się takie wypadki. Ale odłóżmy na chwilę na bok moje uczucia do pańskiego klienta i szansę na to, że sąd przystanie na wypuszczenie za kaucją, nawet jeżeli prokuratura nie zgłosi protestu. Odłóżmy to wszystko na bok. Tylko na chwilę - powiada.

O, coś knuje. Wyczuwam złowrogie bioprądy, dobywające się z jego głowy. Przygląda mi się, jakbym był robakiem pod szkłem powiększającym.

- Wspominał pan o kompromisie.

- Naprawdę?  
- Tak. Powiedział pan, że moglibyśmy dojść do jakiegoś kompromisu. Jego oczy robią się okrągłe jak spodki. Płoną ciekawością.

- Figura retoryczna - wyjaśniam.

- Ach. To znaczy, że nie ma pan nic do zaoferowania w zamian?

A więc doszliśmy do sedna sprawy. Rączka rączkę myje, targowisko sprawiedliwości w wydaniu Colemana Kline'a.

- Chciałem się tylko upewnić, czy dobrze zrozumiałem - wyjaśnia.

- Cóż moglibyśmy zaoferować? Z pewnością mój klient nie zamierza przyznać się do stawianych zarzutów.

Kręci głową, wykonując równocześnie przeczący gest otwartymi dłońmi tuż nad płaszczyzną biurka, jakby chciał powiedzieć, że nic podobnego mu nawet nie powstało w głowie.

6 - Sędzia

81

- Rzecz w tym - zaczyna, zanim jego dłonie zdążą dotknąć blatu - że pański klient nie okazuje żadnej chęci współpracy. Odmówił składania zeznań.

- No cóż. Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale przypuszczam, że gliny nie były zaskoczone jego milczeniem.

- Być może. Należałoby jednak oczekiwać, że niewinny człowiek będzie chciał jak najprędzej uwolnić się od podejrzeń.

- Och. Więc sądzi pan, że mógłby zostać uwolniony od podejrzeń?

- Niewykluczone, pod warunkiem, że zacząłby mówić. W jaki sposób policja ma poznać wszystkie fakty, skoro pański klient odmawia składania zeznań?

- Mam nadzieję, że zadał pan sobie trud wyjaśnienia tych okoliczności sądowi - powiadam.

Jego oczy zwięzają się w maleńkie szparki.

- To nie ja przyszedłem tutaj prosić o zwolnienie za kaucją.

- Słuszna uwaga - mówię. - Niech mi pan tylko powie, czego konkretnie policja chciałaby się dowiedzieć od mojego klienta? Jakiego to rodzaju informacje mogłyby go uwolnić od podejrzeń?

Po raz pierwszy, odkąd tu jestem, odchyła się na oparcie fotela. Palce złożone jak do modlitwy dotykają podbródka.

- Na początek - mówi - chcielibyśmy wiedzieć, gdzie się znajdował w czasie, gdy została zamordowana Brittany Hali?

Chciałby wiedzieć, czy mamy alibi. Gdybym mu powiedział, jak sprawy stoją, nie posiadałby się z radości. To jedyna informacja, jakiej nie może znaleźć w materiałach dochodzenia, musi ją wyciągnąć z naszego klienta. Okazuje się, że Kline ma więcej tupetu, niż byłem skłonny przypuszczać.

- Żeby odpowiedzieć na to pytanie - mówię - musielibyśmy najpierw znać dokładny czas dokonania zabójstwa.

- Ach - powiada. - Z tym będzie mały problem.

- Naprawdę?

- W chwili obecnej czas popełnienia zbrodni możemy określić jedynie w dużym przybliżeniu.

- Jak dużym?

- W granicach sześciu godzin.

- To nie jest duże przybliżenie - mówię. - To cała wieczność.

- Pracujemy nad tym.

Jasne. O ile nie znajdą świadka, który widział Hali żywą, albo z nią

rozmawiał przez telefon na krótko przed znalezieniem ciała, czas popełnienia zbrodni, określony przez lekarza sądowego z dokładnością do kilku godzin, stanie się przedmiotem zawodów w przysięganiu - ich eksperci kontra nasi eksperci.

- A jednak - powiada - przypuszczam, że gdybyście posiadali niepodważalne alibi, nie ukrywalibyście tego przed nami?

Całkiem rozsądne przypuszczenie, ale wolałby mieć pewność.

82

- Zgodnie z tym, co sugeruje pierwsze przesłuchanie — oznajmiam — przypuszczenia mają zabawną właściwość, że obracają się przeciwko przypuszczającemu.

Z braku alibi, najlepszym rozwiązaniem będzie potrzymanie Kline'a w niepewności. Pochłonięty wysiłkami wykluczenia alibi, Wydział Zabójstw nie będzie miał wiele czasu na poczynienie poważniejszych szkód.

- Nie widzę podstaw do kompromisu - oświadcza. W jego głosie nie ma wściekłości, stwierdza po prostu brutalną prawdę. - Pański klient jest podejrzany o zbrodnię główną, jesteśmy więc zmuszeni przyjąć, że istnieje ryzyko ucieczki. W grę wchodzi również bezpieczeństwo publiczne - mówi. - Nie mógłbym z czystym sumieniem zgodzić się na zwolnienie za kaucją.

Zaczynam coś mówić, lecz przerywa mi w pół słowa.

- Było mi bardzo miło - oświadcza. Wstaje, żeby mnie odprowadzić do drzwi. - Naprawdę uważam, że powinien pan ponownie przemyśleć swój udział w tej sprawie - mówi. - A w każdym razie, niech się pan upewni co do rodzaju motywów kierujących panną Goya.

Niespodziewanie znajduję jego dłoń w mojej, pożegnalny uścisk. Ma

znacznie gładszą skórę, niż mógłbym się spodziewać. Drzwi gabinetu zamykają się, dając mi prawdziwego kopa w tyłek. Zostaję sam z silnym uczuciem, że Coleman Kline nie jest takim naiwnym prostakiem, jak mi mówiono.

- Wścieka się, bo siedzi po uszy w gównie, i to przez własną przerośniętą ambicję - powiada. Oto odpowiedź Leonory na twierdzenie Kline'a, jakoby kierowała nią żądza zemsty.

Stoi w drzwiach mojej kuchni, końce ciemnych włosów dotykają ramion, lśniące białka oczu kontrastują ze smagłą cerą. Dłonie ma wsparte na biodrach. Muszę przyznać, że rozzłoszczona Leonora stanowi zaprawdę imponujący i ponętny widok.

- Pomyśl tylko - mówi. - Zamierzał dobrać się Acoście do tyłka z oskarżenia o wykroczenie przeciwko moralności. Rozgłos w mediach, prawie żadne ryzyko - mówi. - Już był w ogródku, już witał się z gąską, a tu nagle okazuje się, że musi poprowadzić sprawę o morderstwo, albo straci twarz jako prokurator okręgowy.

Leonora mówi, że co najmniej trzech wysokich urzędników prokuratury, którzy pracowali tam, zanim Kline objął stanowisko, nosi się z myślą kandydowania w następnych wyborach na prokuratora okręgowego.

Wszyscy trzej mają status urzędnika państwowego, przez co stają się trudniejsi do ugryzienia niż zakuty w zbroję średniowieczny rycerz.

Rezygnacja z osobistego prowadzenia sprawy przeciwko Acoście i powierzenie tego zadania jednemu z podwładnych będą jednoznaczne z przyznaniem się wszem i wobec, że Kline nie jest zainteresowany utrzymaniem stanowiska.

Wycofuje się na moment do kuchni, by zabrać stojący na stole dzbanek z kawą, i po chwili jest już z powrotem w jadalnym. Uzupełnia zawartość filiżanek.

- Poza tym - dodaje - Kline nie cofnie się przed niczym, żeby mnie skompromitować.

Naturalnie nic z tego, co usłyszałem, nie wyjaśnia, czym się naprawdę kierowała podejmując się prowadzenia sprawy Acosty. Sprawa sędziego zaczyna nabierać cech krwawego sporu pomiędzy feudalnymi książętami. Spędzamy wieczór siedząc przy stole w mojej jadalni. Zebraliśmy się na roboczą kolację, Leonora, Harry i ja. Uporawszy się z jedzeniem, przeszliśmy do kawy i alkoholi. Harry chce wiedzieć, czy dostanie kawę, nawet jeśli jutro nie będzie pamiętał żadnych szczegółów.

Zrezygnowawszy z kawy, napełnia swoją filiżankę na przemian miętowym kremem i Kahluą.

Sara bawi się z córkami Leonory, starszymi od niej dziewczynkami w wieku dziesięciu i jedenastu lat, które darzy bałwochwalczym uwielbieniem. Osiągnęła właśnie ten etap rozwoju, kiedy zupełnie wystarcza jej słownik ograniczony do pojedynczego wyrazu:

„rewelacyjne”. Dziewczynki zniknęły w sypialni mojej córki na piętrze. Wesole tupanie i wybuchy śmiechu rozlegają się od czasu do czasu nad naszymi głowami i przypominają nam o ich obecności.

Od śmierci mojej żony, Nikki, staram się jak najwięcej przebywać z Sarą, dzieląc mój czas pomiędzy córkę i prawo, które jest jak zazdrosna kochanka. Nie mam łatwego życia, obie są bardzo zaborcze.

Jako ojciec - dryfujący do niedawna spokojnie na opiekuńczym jachcie Nikki - bez większego trudu odgrywałem rolę dobrego policjanta. To

Nikki stanowiła w naszym domu Prawo. Bardzo kochała naszą córkę i właśnie ta miłość zmuszała ją do nieugiętego stania na straży obowiązujących zasad, podczas gdy ja wiecznie ulegałem niekonsekwentnej pobłażliwości. Teraz zostałem zmuszony grać równocześnie obie role, przy czym moja córka nieodmiennie utrzymuje, że, jeśli chodzi o tę drugą, mama była mniej ostra. Z każdym dniem nabieram coraz większego szacunku dla samotnych rodziców, będących igraszką potężnych, nieujarzmionych sił.

Na stole piętrzą się stosy tekturowych teczek z aktami i zwały papie-rzysk. Harry poświęcił całe popołudnie na zorganizowanie i przetrwanie dotychczasowych wyników śledztwa, udostępnionych nam w postaci wstępnych raportów policji i roboczych notatek detektywów. Pierwszą rzeczą, jaka rzuca mi się w oczy, jest widniejący na niektórych z nich podpis naszego drugiego klienta, Tony'ego Arguillo.

- Boisz się, że nastąpi konflikt? - pyta Harry.

Jedna z podstawowych zasad kodeksu etycznego adwokata zakazuje równoczesnego reprezentowania dwóch klientów o sprzecznych interesach. W tym wypadku zachodzi obawa, że jeśli Tony będzie występował jako świadek w sprawie Acosty, mógłbym próbować zdyskredytować jego

84

zeznania, wykorzystując poufne informacje, których udzielił mi jako swojemu prawnikowi. Dlatego właśnie prawnicy niechętnie podejmują się reprezentowania stróżów porządku.

- Czy Tony zwierzał ci się z jakichś kompromitujących szczegółów? -pyta Leonora.



- Nawet jeśli to zrobił, nie mógłbym ci o tym powiedzieć. - Jeśli chodzi o fakty, niczego mi nie powiedział. Prawdopodobnie jestem jedyną osobą w tym mieście, przed którą się nie wywnętrzał.

Leonora słusznie przypuszcza, że problem istnieje tylko teoretycznie.

- Wystarczy, jeśli znajdziemy Tony'emu innego prawnika. Coś w rodzaju zastępstwa - stwierdza. - Zresztą sąd zamknął jego sprawę.

Gdyby wszyscy przestrzegali zasad poufności, Leonora nigdy nie dowiedziałaby się, że Tony złożył już zeznania.

- Arguillo nie płaci nam ani grosza. W odróżnieniu od Acosty

-przypomina, jak zawsze pragmatyczny, Harry. - Zaczniemy od tego, że przygotuję jego zgodę na zastępstwo. Znam jednego faceta, który weźmie tę sprawę.

- Skoro już wzięliśmy się za porządki - mówię - to co tam słyhać w twoim ogródku? - spoglądam na Leonorę.

- Że co? - nie rozumie. - Ja nie reprezentowałam Tony'ego.

- Nie, ale rozmawiałaś z panną Hali.

- Chodzi ci o moją pracę w prokuraturze?

- Zgadza się.

- Ona nigdy nie była moją klientką.

- To prawda - przyznaję. - Ale byłaś wtajemniczona w poufne informacje, posiadane w związku z oskarżeniem Acosty.

- Wtedy chodziło o wykroczenie przeciwko moralności. Teraz mamy morderstwo. To dwie różne sprawy.

- Nie sądzisz, że Kline zechce je połączyć? To mu daje motyw -mówię. - Afera z prostytutką popchnęła go do morderstwa. Tak przynajmniej uważa oskarżenie.

- I tak dostaniemy przecież wszystkie materiały dochodzeniowe. W czym problem?
- Wszystkie oprócz wyników pracy prokuratury. Twoich notatek.
- Nie było w nich niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Nie miałam pojęcia, jaką strategię zamierza przyjąć prokuratura. Myślisz, że Kline zwierzał mi się ze swoich planów?
- Możesz być pewna, że nie omieszka podnieść tej kwestii przed sądem.
- Jasne, razem z Wielką Kartą i Deklaracją Niepodległości. To jeszcze nie powód, żeby się tym przejmować.
- Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegąłem.
- Będziemy się tym martwić, kiedy do tego dojdzie. - Leonora nie należy do osób, które dostają wrzodów na żołądku od martwienia się na zapas. W odróżnieniu ode mnie.

85

- No więc, co tam mamy? - pytam Hanyego.

Harry szpera w rozłożonych papierach, z których większość stanowią żółte kartki z notesu, zapisane jego własną ręką.

- Mamy dwa miejsca zbrodni - powiada. - Zaulek, w którym znaleziono ciało, i mieszkanie ofiary, gdzie, zdaniem policji, została zamordowana. Zebrali odciski palców, ale nie ma jeszcze wyników. Miejmy nadzieję, że Kokos nie zapomniał włożyć rękawiczek - mówi Harry.

Leonore rzuca mu gniewne spojrzenie. Harry doskonale wie, co ją zirytowało. Jeżeli zamierzamy brać od faceta pieniądze, powinniśmy przynajmniej udawać wiarę w jego niewinność.

- Źle się wyraziłem - stwierdza. Idziemy dalej.
- Są włosy i włókna - mówi. - Sztywne, rudawobrązowe włosy, nie

należące do istoty ludzkiej. Znalaziono je w mieszkaniu dziewczyny i na kocu, w który była owinięta. Armando musiał linieć. Pełnia księżycyca  
-dodaje od siebie Harry.

- Kurwa - mówi Leonora.

- W domu są małe dzieci - przypominam.

- Wiem. Właśnie na jedno patrzę. - Gromiąc Harry'ego wzrokiem, Leonora zabiera butelkę z Kahlua. Żeby tego dokonać, musi się pochylić nad stołem. Przyłapuję Harry'ego, jak zapuszcza żurawia w jej dekolt. Coś mi mówi, że nad asocjacją Madriani - Hinds - Goya zbierają się burzowe chmury.

- Może Hali miała psa albo kota? - podpowiada Leonora.

- Sąsiedzi zaprzeczają - gasi ją Harry. - Nikt nie widział u niej żadnego zwierzaka.

- Była zawinięta w koc? - wracam do podstaw.

- Dojdziemy do tego - mówi Harry. - Na kocu znaleziono również niebieskie włókna niewiadomego pochodzenia.

- Jakiego koloru jest dywan w jej mieszkaniu? - pytam, mając nadzieję, że Leonora okaże dość przytomności umysłu, żeby wstrzymać się z odpowiedzią. Harry nie ma pojęcia o naszej małej wycieczce do mieszkania ofiary w noc zbrodni. Postanowiliśmy, że Harry nie musi o tym wiedzieć.

- Bzzzzz -bzyczy Harry. Efekty dźwiękowe jak w telewizyjnym quizie, skutki spotkania się poza biurem, przy zakrapianej kolacji.

- Właściwa odpowiedź: fiołkowo różowy - oznajmia wreszcie. - Nie ma jeszcze wyników z laboratorium, ale idę o zakład, że włókna są z taniego nylonu. Mam wrażenie, że gliny podejrzewają obicie bagażnika - mówi

Harry. - Bagażnika samochodu należącego do sprawcy.

- Wiemy, jaki kolor mają obicia w samochodzie Acosty? - chce wiedzieć

Leonora. - W tym, który został skonfiskowany.

Harry kręci przecząco głową.

- Zanotuj, że musimy zapytać o to Acostę - mówi Leonora.

- Co ja jestem? Pieprzona sekretarka?

86

Leonora pochyła się i zabiera drugą butelkę. Harry zapuszcza w jej dekolt drugiego żurawia. Facet niebezpiecznie żyje. Wyraźnie mu się podoba to, co zobaczył. Robi notatkę na marginesie i przechodzi do następnego punktu.

- Znalazono też okulary do czytania. W mieszkaniu ofiary - wyjaśnia. - Pogięte druciane oprawki. Jedno szkło stłuczone, jakby ktoś na nie nastąpił.

- Czy Hali nosiła okulary? - pytam.

Narzuca się przypuszczenie, że okulary pozostawił morderca.

- Nie. W każdym razie, nie używała ich, kiedy czytała protokół w moim biurze — stwierdza Leonora. — Niewykluczone, że miała szkła kontaktowe. Mogła trzymać okulary w torebce.

- Raport nie wspomina, czy te okulary są męskie czy damskie?

- Niech no sprawdzę. - Harry ryje w papierach niczym świnka morska, pożerająca wczorajsze „Tribune”, wyściełające dno klatki.

- Nie. Nie tutaj. - Kolejna kartka odfruva na bok. - O, znalazłem. Przez chwilę czyta w milczeniu.

- Nie. Raport stwierdza tylko, co następuje: „Sfotografowano i przekazano do laboratorium jedną parę zniszczonych okularów w drucianej oprawce,

prawdopodobnie służących do czytania, znalezioną na podłodze salonu, w mieszkaniu ofiary. Oprawka pocięta, jedno szkło pęknięte, być może w trakcie szarpaniny z napastnikiem". - Harry wzrusza ramionami. - To wszystko.

Zatrzymujemy się na tym punkcie, wysuwając przeróżne przypuszczenia, byle tylko uniknąć tego jednego, które mogłoby przynieść największe szkody.

- To może nie mieć żadnego znaczenia - mówi Leonora.

Obaj patrzymy na nią w ten sam sposób, ale to właśnie Harry wypowiada w końcu na głos nurtującą nas obu myśl.

- Acosta nosi ciemne okulary.

Następuje chwila trzeźwej ciszy, przetrawiamy w milczeniu wynikające z tego implikacje.

- Nie możemy z góry zakładać, że nasz klient mówi prawdę - odzywa się wreszcie Harry. - Jedno jest w każdym razie pewne. Gliny sprawdzą jego receptę, żeby zobaczyć, czy się zgadza ze znalezionymi patrzalkami.

Okulary należą do tego rodzaju dowodów, które uwielbiają wszyscy prokuratorzy. Jeżeli pasują do oczu Acosty, gliny przypną się do nich na amen. Jeżeli nie, spróbują je zbagatelizować twierdząc, że zostały przypadkowo pozostawione przez jakiegoś nie związanego ze sprawą gościa i równie przypadkowo spadły na podłogę w trakcie bijatyki z zabójcą, podczas gdy my na darmo będziemy usiłowali przekonać ogłuchłą na nasze argumenty ławę przysięgłych, że okulary należą do prawdziwego mordercy i stanowią istotny dowód, uniewinniający naszego klienta.

- Trzeba zdobyć receptę Acosty - mówię. - A nuż się przyda.

- Jego żona powinna ją mieć — stwierdza Harry. — W najgorszym wypadku potrafi skontaktować nas z jego okulistą.

- Możemy go jutro spytać, czy nie zgubił okularów - podsuwa Leonora. - Będziemy się z nim widzieć w więzieniu.

- Jak już wspominałem, jego żona powinna znać adres okulisty, który wystawił mu receptę. - Harry z zasady nie ufa klientom, kiedy w grę wchodzi podobne szczegóły. Nauczyły go tego lata praktyki, niewykluczone zresztą, że w tym przypadku bierze również pod uwagę charakter naszego klienta.

Przez chwilę przeżuujemy w milczeniu kwestię okularów i recepty.

- To wszystko, co mają z mieszkania Hali? - pytam.

- Ekipa dochodzeniowa wykryła mikroskopijne wiórki metali ciężkich... - Harry wertuje notatki w poszukiwaniu właściwego ustępu. - O, tutaj to mam. Drobinę złota na krawędzi stolika do kawy - czyta. - Śladowe ilości.

- Skąd to się, ich zdaniem, wzięło? - chce wiedzieć Leonora.

- Z tego, co piszą w raporcie, istnieje przypuszczenie, że ślady złota pochodzą z biżuterii, noszonej przez zabójcę. Zegarek, bransoleta, coś w tym rodzaju. - Wzrusza ramionami.

Leonora patrzy na mnie, oboje myślimy o tym samym. W raporcie nie ma żadnej wzmianki o złotym przedmiocie, który widzieliśmy tamtej nocy w mieszkaniu Hali, błyskotce zagrzebanej w wysypaną z doniczki ziemię. Co to takiego było i skąd tam się wzięło, nadal pozostaje dla nas tajemnicą, podobnie jak odpowiedź na znacznie ważniejsze pytanie: co się z tym stało?

- I to by było z grubsza na tyle - podsumowuje Harry. - Jeszcze tylko kilka

roboczych notatek. Znaleziono ślady krwi, nie wiadomo jakiej grupy, nie ma jeszcze wyników z laboratorium. Rozległa rana pozwala przypuszczać, że zabójstwa dokonano za pomocą tępego narzędzia. W miejscu zbrodni niczego takiego nie znaleziono.

Leonora i ja wymieniamy spojrzenia. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że dziewczyna uderzyła się o metalowy narożnik stolika podczas upadku.

Teraz okazuje się, że to nie jest takie jasne.

- Piszą coś o wstępnych oględzinach ciała? - pyta Leonora.

Harry znowu pogrąża się w notatkach. Wreszcie odnajduje to, czego szukał.

- Strój denatki nie pozostawiał wiele dla wyobraźni. Miała na sobie parę białych nylonowych majteczek i bawełniany top. To wszystko, jeśli nie liczyć koca, w który była zawinięta - mówi. - Och, miała jeszcze duży ręcznik kąpielowy, owinięty wokół głowy.

Spoglądam na Leonorę.

- Pewnie po to, żeby nie pobrudziła krwią bagażnika samochodu -mówi.

- Jakby nie wystarczył do tego koc - zauważam.

88

Leonora odpowiada mi wzruszeniem ramion.

- Raport wspomina o siniakach na szyi ofiary. Gliny przypuszczają, że powstały w wyniku brutalnej walki, która doprowadziła do śmierci -mówi Harry.

- Sprawdzili, czy nie została zgwałcona? - pyta Leonora. - Harry wyluskuje raport ze stosu papierzysk i zaczyna wertować go, pomagając sobie jednym palcem. Odnalazłszy właściwą stronę, uderza w nią otwartą dłoń.

- Taak. Mam to. Raport stwierdza, że lekarze sądowi przeprowadzili odnośne badania, ale nie ma wyników.
  - Co to oznacza? - pytam. - Wynik negatywny?
  - Niekoniecznie. Standardowe instrukcje prokuratury - wyjaśnia Leonora - zalecają nieujawnianie we wstępnych raportach czegokolwiek, poza podstawowymi faktami. Nazywa się to, że napisali raport, ale nie możesz się z niego dowiedzieć, co właściwie ustalili.
  - Wydawało mi się, że wszyscy dążymy do wyjaśnienia prawdy. W imię sprawiedliwości - powiada Harry.
  - To nam o to chodzi - prostuje Leonora. - Nam i nikomu więcej. Niegdyś w naszym okręgu rzeczywiście panował chlubny zwyczaj, nakazujący prokuraturze dzielenia się wynikami śledztwa z obroną, która z kolei mogła swoją wiedzę zachować dla siebie. Ale ostatnimi czasy obyczaje się zmieniły i obowiązek ujawniania zdobytych informacji spoczywa teraz na obu stronach. Gliny są mistrzami w ukrywaniu istotnych faktów, czego my się ciągle jeszcze musimy uczyć.
  - Obecność spermy w narządach rodnych ofiary może stanowić krytyczny materiał dowodowy - mówię. - Zwłaszcza jeżeli mężczyzną, z którym ofiara odbyła stosunek, był mordercą. - To umożliwiłoby ustalenie grupy krwi albo nawet przeprowadzenie testu DNA.
- Lecz myśl Harry'ego zaprzęta co innego, a mianowicie kwestia, którą Leonora i ja rozważaliśmy po opuszczeniu mieszkania Hali.
- Po jakiego grzyba, zabójca miałby przenosić ciało? To mi wygląda na niczym nie uzasadnione ryzyko.
- Nie ma na to żadnej racjonalnej odpowiedzi. Ale zabójstwo, niejako z zasady, stanowi irracjonalny akt. Mordercy działający zgodnie z



wymogami logiki są bardziej wyjątkiem, niż regułą. Dlatego właśnie tylu z nich kończy za kratkami.

Harry tego nie kupuje.

- Mogę zrozumieć okulary. Ludzie wpadają w panikę i gubią różne rzeczy. Są to wizytówki, pozostawione na miejscu zbrodni - mówi Harry. - Ale wynosić zwłoki? Mógłbym to też zrozumieć, gdyby zbrodnia została popełniona w mieszkaniu mordercy. Facet usuwa ciało, wyciera krew. Normalka. Ale to było jej mieszkanie. Nic nie wskazuje na to, żeby mieszkała z kimkolwiek oprócz córki. W każdym razie w raportach policyjnych nie ma słowa o współlokatorach.

1

89

I bądź tu człowieku mądry. Leonora kręci głową.

- Może to ktoś inny zabrał ciało? — mówię.

- Bez sensu - stwierdza Leonora. - Po co ktoś miałby to robić? Robię minę mówiącą, że sam nie mam żadnego pomysłu. Próbuję różnych ewentualności, żeby zobaczyć, czy absolutny bezsens tego czynu nie da się jakoś wykorzystać pozytywnie dla naszego klienta.

- Zajmijmy się teraz jej dzieckiem - mówię.

- Córka - informuje nas Harry. - Pięć albo sześć lat. - Nie pamięta dokładnie, szuka w stosach piętrzących się przed nim kartek. - Zgadza się. Mała ma pięć lat, nazywa się Kimberly.

- Gdzie była tamtej nocy? - pytam.

- W domu - mówi Harry.

Moje oczy spotykają wzrok Leonory, jak metal przyciągany przez magnes. Nie mieliśmy o tym pojęcia. W gazetach nie było najmniejszej wzmianki o

obecności dziewczynki na miejscu zbrodni. Wygląda na to, że policja stara się chronić małą przed wscibskimi dziennikarzami.

Przez chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Czy coś widziała? - udaje mi się wreszcie wyjąkać.

- Trudno wyczuć - powiada Harry.

- Gdzie się dokładnie znajdowała? - Nie było jej w łóżku, kiedy zaglądałem do pokoju dziecinnego, ale nie mogę przecież powiedzieć tego Harry'emu.

- Gliny znalazły ją w garderobie. W holu - wyjaśnia. - Zwiniętą w kłębek w ciemnym kącie.

Przypominam sobie uchylone drzwi, przez które próbowałem zajrzeć.

Leonora nie spuszcza wzroku z mojej twarzy. Jest przerażona.

- Trzeba się dowiedzieć, co widziała. Przygotuj wniosek o bezwarunkowe udostępnienie wszystkich materiałów - zwracam się do Harry'ego.

-Musimy to mieć najwcześniej, jak się da.

- Znaleźli jakichś świadków? - pyta Leonora. - Czy ktoś z sąsiadów widział coś albo słyszał?

- Jest zeznanie kobiety, która mieszka piętro wyżej. Słyszała jakiś krzyk około siódmej trzydzieści.

- To by mogło określić godzinę śmierci - mówię. Trzeba sprawdzić, co to nam da.

- To wszystko? - Leonora ma na myśli świadków.

- Tamtej nocy tak - mówi Harry.

- Co to ma oznaczać? - pytam.

- Jedna z sąsiadek twierdzi, że parę tygodni temu słyszała odgłosy awantury odbywającej się w mieszkaniu Hali. Okropny hałas. Wyzwiska.

Męski głos - relacjonuje Harry. - A następnego dnia Hali wychodzi z domu z podbitym okiem.

- Są jakieś sugestie, czyj to był głos? Harry kręci głową.

90

- Jeżeli gliny wiedzą, to zapomniały o tym napisać w raporcie.

- Trzeba pogadać z tą sąsiadką - mówię. - Jest tam coś o gościach, którzy znaleźli ciało?

- Wszyscy trzej bawili tu przejazdem. Mamy nazwiska. Chcesz adresy? - Wzrusza ramionami. - Rezydencja „Śmietnik” - powiada.

- W jaki sposób mamy ich znaleźć, jeżeli będziemy się chcieli czegoś od nich dowiedzieć?

- Dobre pytanie - chwali mnie Harry. - Może zapukamy w pokrywę?

- Nie ma chociaż jakiegoś numeru prawa jazdy?

- Żarty się siebie trzymają.

- Dobra. Co tam zeznali?

Harry składa kciuk i palec wskazujący prawej ręki, pokazując nam wielkie zero.

- Nie ma żadnych zeznań?

- Nic, tylko nazwiska i notatka oficera, który pierwszy dotarł na miejsce zbrodni, że ci trzej dżentelmeni znaleźli ciało.

Harry patrzy na mnie, obaj myślimy o tym samym: takie sformułowanie pozostawia bardzo szeroki margines dla nieograniczonej interwencji. Brak zeznań we wstępnym raporcie otwiera przed policją liczne możliwości mniej lub bardziej delikatnego wpływania na pamięć świadków. Należy przypuszczać, że faceci będą otwarci na wszelkie sugestie zwłaszcza, jeżeli przypadkiem mają za sobą kryminalną przeszłość. Gliny nie będą

miały większych trudności z nakłonieniem świadków do przypomnienia sobie paru drobiazgów, których w istocie nie widzieli, i w ten sposób dowiemy się, jaki samochód przywiózł ciało albo nawet, kim był kierowca.

- Jutro z samego rana - zwracam się do Harry'ego - trzeba złożyć wniosek o udostępnienie z zeznań świadków wszystkich protokołów, znajdujących się w posiadaniu policji, ze szczególnym uwzględnieniem zeznań tych trzech osobników. Musieli przecież wziąć od nich zeznania.

- Pewnie trzymają ich pod ręką. - Harry ma na myśli areszt.

- Jesteście okropnie cyniczni - oburza się Leonora.

- I kto to mówi? Pani „Nam i Nikomu Więcej”? - zdumiewa się Harry. -

Chcesz się założyć, czy zamknęli ich w kiciu? Co ich kosztowało wymyślić na poczekaniu byle jakie zarzuty? Choćby włóczęgostwo. Albo jakieś międzystanowe federalne głupoty, na przykład zanieczyszczenie kontenera na śmieci. Gliny doskonale zdają sobie sprawę, że jeśli ich wypuszczą, goście złapią najbliższy pociąg towarowy i będzie można pisać do nich na Berdyczów.

- Dowiedz się - mówię - czy ich rzeczywiście przyskrzynili. Jeżeli tak, zażądaj widzenia, żebyśmy mogli ich sami przesłuchać.

Harry notuje moje polecenie.

- Skoro już przy tym jesteśmy, zażądaj odpisów połączeń komputerowych i radiowych ze wszystkich wozów patrolowych, które wyjechały na

91

miasto tamtej nocy. Napisz także, że chcemy dostać wykaz rozmów telefonicznych, przeprowadzonych z mieszkania ofiary w ciągu ostatnich dziewięciu, dziesięciu dni. Zobaczymy, z kim się kontaktowała.

Dzieciaki zaczynają szaleć, rozlega się dudnienie stóp po schodach i rozchichotane głosy. Lada moment zakłóca nam spokój.

- Masz coś jeszcze? - pytam.

- Tylko jedno - mówi. - Policja zakłada, że Hali znała zabójcę.

- Dlaczego?

- Nie było żadnych śladów włamania - wyjaśnia. - Z raportu wynika, że sama wpuściła go do środka. Gliny musiały obudzić właściciela domu, żeby otworzył drzwi z zamka.

Patrzę na niego nie rozumiejąc, w tym samym momencie Sara obejmuje mnie za szyję i obsypuje gorącymi pocałunkami. Stół w mojej jadalni błyskawicznie przekształca się w centralny punkt zabawy, coś w rodzaju umajonego słupa na środku wsi, wokół którego tańczą i śpiewają trzy małe dziewczynki.

Leonora chwyta za rękę jedną ze swoich córek i przyłącza się do chóru:

Tańczymy labada

labada

labada...

Siedzę jak kołek, gapiąc się tępo przed siebie. Nie mogę zobaczyć własnej twarzy, ale przypuszczam, że mam minę zaskoczonego dzieciaka, który właśnie dostał klapsa w pupę. Przyglądam się Leonorze podskakującej wokół stołu, próbując zrozumieć, po jaką cholera, gdy wychodziliśmy z mieszkania Hali, zwracała sobie głowę zamykaniem na klucz drzwi, które były otwarte, kiedy wchodziliśmy do środka.

Rano, w drodze do aresztu, pytam Leonorę o zamknięte drzwi mieszkania Hali.

- Sama nie wiem, co o tym myśleć - odpowiada. - Mogłam odruchowo

przekręcić klucz, nie zastanawiając się, co robię - mówi. - Nie pamiętam. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Za późno, żeby to naprawić. Nie sposób odmówić jej słuszności. Niczego się już nie da zrobić, co nie zmienia faktu, że sytuacja wygląda paskudnie. Spowodowaliśmy zafałszowanie materiału dowodowego w sprawie o zbrodnię sprawiając, że policja nabrała przekonania, iż ofiara знаła zabójcę i sama wpuściła go do środka. Tym samym na własną prośbę wykluczaliśmy dziesiątki innych możliwości, skreślając np. zaskoczonych na gorącym uczynku włamywaczy, maniaków seksualnych, przypadkowych sprawców bez żadnego szczególnego motywu. Skoncentrowaliśmy uwagę śledztwa na człowieku, który taki motyw posiadał, na naszym własnym kliencie, Armandzie Acoście.

Jak cię widzą, tak cię piszą, powiadają. Jeśli odnieść to do naszego klienta to, co widzimy, nie jest zanadto budujące. Tego ranka Acosta patrzący na nas zza masywnej szyby, przedzielającej na pół rozmównicę aresztu okręgowego, przypomina własny cień.

Jednak mimo poszarzałej, wymizerowanej twarzy i płonących niepokojem oczu wyczuwam w nim jakiś ślad owej nieznoszącej sprzeciwu władczości, z której sływał. Zamiast garnituru od „Armaniego” za tysiąc dwieście dolarów ma na sobie pomarańczowe drelichy, ozdobione na plecach spłowiałym czarnym nadrukiem: „Więzień”. Na zewnątrz kantorka rozmównicy, po jego stronie szyby stoi strażnik.

93

- Trzymają mnie w celi dla potencjalnych samobójców, na całodobowym podglądzie - mówi. Sprawia wrażenie, jakby był bardziej przygnębiony myślą, iż ktoś uważa, że byłby zdolny targnąć się na własne życie niż

samym faktem wylądowania w areszcie.

Leonora wyjaśnia mu, że to zwyczajne środki ostrożności, stosowane wobec wszystkich osób publicznych, trafiających do aresztu.

Równocześnie jest to najprostszy sposób na uchronienie go przed zamknięciem w celi ogólnej. W więzieniu okręgowym znalazłoby się zapewne parę typków, gotowych poderżnąć mu gardło przy pierwszej nadarzającej się okazji, facetów, których posłał za kratki w swoim długim życiu zawodowym.

Napomyka mimochodem, że, zdaniem psychiatry okręgowego, jest w stanie depresji.

- Nie śpię po nocach - skarży się. - Nie mogę zasnąć, kiedy ktoś mnie bez przerwy obserwuje. Jestem zmęczony. Zostałem pozbawiony snu -mówi. - Ale poza tym, nic mi nie jest.

- Biorąc pod uwagę, co się stało - zauważa Leonora - depresja jest najzupełniej normalną reakcją.

- Niech pani nie traktuje mnie, jakbym był małym dzieckiem, pani mecenas. Owszem, czuję się przygnębiony, ale nie mam stanów samobójczych. - Jego głos - wydobywający się z miniaturowego głośniczka wtopionego w szybę - brzmi, jakby dochodził z innej planety. Leonora mówi, że zobaczy, co się da zrobić w sprawie całodobowego podglądu, ale tymczasem mamy parę rzeczy do omówienia.

- Co z kaucją? - chce wiedzieć. Ma swój własny program dnia. Pytanie z gatunku drażliwych. Wyjaśnienie sytuacji spada na Leonorę, z jej ust bez wątpienia przyjmie to lepiej niż z moich.

- Sędzia Bensen odmówił wydania decyzji.

Na twarzy Acosty maluje się wyraz nieprzyjemnego zaskoczenia.

- Upiera się przy zachowaniu zwykłej procedury - wyjaśnia Leonora. Jack Bensen jest przewodniczącym sądu rejonowego, gdzie sprawa Acosty utknęła w oczekiwaniu na wstępne przesłuchanie. Jeśli wierzyć naszemu klientowi, Bensen jest jego przyjacielem. Acosta był pewien, że Bensen wyda zgodę na zwolnienie za kaucją jeszcze przed przekazaniem sprawy któremuś z podległych mu sędziów.

- Czy podał jakiś powód? - pyta Acosta.

- Uważa, że byłoby to wysoce niewłaściwe.

- Niewłaściwe! Co jest niewłaściwego w zwolnieniu za kaucją?

- Chodzi o zabójstwo - wyjaśniam.

- Nie mają żadnych dowodów.

- Właśnie o tym chcieliśmy porozmawiać - mówię.

- Przede wszystkim chodzi mu o samą procedurę. - Leonora usiłuje złagodzić cios. - Sędzia Bensen sądzi, że zrobienie wyjątku od przyjętego trybu postępowania nie wyglądałoby dobrze w oczach opinii publicznej. Zresztą - powiada - i tak będą musieli ściągnąć sędziego z innego okręgu.

94

Żaden z naszych nie zgadza się na zwolnienie za kaucją ani na poprowadzenie przesłuchania wstępnego.

- Nie znaleźli nikogo w całym sądzie rejonowym? - zdumiewa się Acosta.

- Przecież połowy z nich nawet nie znam.

Wcale się nie dziwię. Sądowniczy łańcuch - jak w naturze - większe ptaszki dziobią mniejsze. Niejeden sędzia wyższej instancji uważa, że odkłonić się napotkanemu w windzie przedstawicielowi niższej instancji uchybiałoby jego sędziowskiej godności, nie mówiąc już o tym, że brak władzy i prestiżu mógłby się okazać zaraźliwy. Organa wymiaru



sprawiedliwości wypracowały własny system hierarchii.

- Wszyscy sędziowie obu instancji - wyjaśnia Leonora - uznali się za niezdolnych do wysłuchania pańskiej sprawy.

Ostatnia, tłąca się w nim jeszcze, iskierka ducha walki ginie zdławiona bezlitosnymi słowami Leonory. Fakt, że do chwili aresztowania nie wziął pod uwagę możliwości odmowy, spowodował zamęt w jego umyśle.

- Sędzia Bensen zdradził nam, że niepodejmowanie się prowadzenia sprawy zostało doradzone miejscowym sędziom przez Radę Sędziowską. - Mowa o administracyjnym ramieniu Sądu.

„Pieprzone towarzystwo wzajemnej adoracji” - Acosta nie musi tego mówić, wyraz twarzy nie pozostawia żadnych wątpliwości co do jego uczuć. Ekskluzywny klub, do którego nigdy nie został dopuszczony, sądowy establishment.

- Mam nieodpowiedni kolor skóry - stwierdza. - Hiszpańskie nazwisko i latynoski akcent. Stanowią łatwy cel.

Przez ostatnie dziesięć lat cyzelował swój akcent z zacięciem godnym podziwu. Rozmawiałem z jego kumplami ze studiów, którzy nie przypominają sobie, żeby miał wówczas chociaż cień jakiegokolwiek akcentu. Przez cztery lata college'u nikt nie usłyszał z jego ust jednego hiszpańskiego słowa. Dopiero, kiedy zaczął robić karierę w sądownictwie, szeroką garścią czerpiąc z możliwości ofiarowanych przez szalejącą wówczas akcją propagandową, przywdział owe symbole kulturalnej odmienności i od tamtej pory obnosi je z niezbyt szczerą, zdaniem moich rozmówców, dumą. Są i tacy, co za plecami nazywają go „zawodowym Meksykaninem”. Nie należy się więc dziwić, że w obliczu obecnych kłopotów, uderza na alarm w „etniczny dzwon”.

- Nie sędzicie - powiada - że usiłują się do mnie dobrać ze względu na kolor skóry?

Nie jest to paranoja, lecz poważnie brana pod uwagę przez naszego klienta koncepcja obrony. Kolor skóry: przepustka na wolność.

Nad wejściem do gmachu sądu powinno widnieć wyryte w kamieniu memento, iż prawda nie zawsze trafia do przekonania ferującym wyroki.

Nie wątpię, że Acosta nieraz odczuł na własnej skórze przesady rasowe, ale tak się składa, że ludzie na uprzywilejowanych stanowiskach, próbujący wygrywać swoje pochodzenie, kiedy już zrobi się jakiś smród, na ogół narażają się na grube nieprzyjemności. Przypominam mu o tym.

95

- To może być coś innego — mówi Leonora.

- Nie jest dla nikogo tajemnicą, że żył pan z policją jak pies z kotem -zauważam.

Przesuwa dłonią po rzednących włosach, po czym zaczyna się z nami zgadzać.

- To prawda - mówi. - Macie absolutną słuszność. Przez wiele lat stałem twardo na straży praw oskarżonych. Służyłem wyłącznie sprawiedliwości. Tylko patrzeć, jak przywdzieje czerwone rajtuzy i niebieską pelerynę.

- Brzydziłem się łamaniem Konstytucji - oświadcza. - Mają powody, żeby mnie nienawidzić.

- Jak na linię obrony, to nieco zbyt ogólnikowe - gaszę go. Zastanawia się przez chwilę.

- Sądzi pan, że swobody obywatelskie znaczą równie mało, co rasa? Przytakuję.

- Mogą się przydać do ozdoby, ale na główną linię obrony się nie nadają.

Nie jest pan jedynym sędzią w naszym okręgu, hołdującym liberalnym przekonaniom - mówię. - Ława przysięgłych może mieć trudności ze zrozumieniem, dlatego uwzięli się akurat na pana.

- Ale nikt inny, oprócz mnie, nie zajmował się oskarżeniami przeciwko Związkowi Policjantów.

Bingo! Wreszcie trafił tam, gdzie chciałem.

- Cała reszta, to tylko dekoracje - mówię. Na jego twarzy maluje się pełne zrozumienie.

Tak to właśnie jest, kiedy człowiek wpadnie w tarapaty. Dopiero wtedy zaczyna dostrzegać oczywiste związki pomiędzy poszczególnymi elementami układanki.

Acosta zdążył już opowiedzieć nam ze szczegółami, jak to panna Hali zwabiła go w pułapkę. Jeśli mu wierzyć, zadzwoniła do niego i powiedziała, że posiada pewne informacje na temat korupcji w szeregach policji, których nie przekaże nikomu oprócz niego. Czy uwierzymy w jego historyjkę, czy nie oraz - co bardziej istotne - czy da jej wiarę sąd, okaże się we właściwym czasie. W każdym razie widzę tu pewne podstawy do skonstruowania linii obrony. Jeżeli przyjmiemy, że jakaś gruba ryba ze Związku wpadła na pomysł, by zrobić Acostę w oskarżenie o obrazę moralności w nadziei, że w ten sposób przygasi jego zapał do ścigania korupcji w łonie organizacji, obecne wysiłki glin, zmierzające do zwalnia na naszego klienta odpowiedzialności za zamordowanie Brittany Hali, stają się zupełnie zrozumiałe.

- Przynieśliśmy parę dokumentów - oznajmia Leonora - które powinien pan przejrzeć.

Unosi do góry stertę papierzysk, żeby strażnik mógł się przekonać, że nie

próbujemy przemycić w nich niczego podejrzanego. Klawisz kiwa głową na znak, że za chwilę ktoś po nie przyjdzie i przekaże je Acoście tkwiącemu po drugiej stronie szklanego przepierzenia.

96

- Rzucę na nie okiem - obiecuje - ale na niewiele to się przyda. Odebrali mi okulary do czytania.

Leonora rzuca mi szybkie spojrzenie.

- Pewnie boją się, że mógłbym podciąć sobie żyły. - Uśmiecha się gorzko.

- Kiedy je panu zabrali? - pyta Leonora.

- Hmm - zastanawia się. - Przed dwoma dniami. Mogę bez nich oglądać telewizję, ale to wszystko.

- Nie zgubił pan przypadkiem ostatnio jeszcze jednej pary okularów? - chce wiedzieć Leonora.

- Nie. Nie przypominam sobie.

- Ile par znajduje się w pańskim posiadaniu? - pytam.

- Nie wiem. Dlaczego? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Niewykluczone - odpowiadam.

- Trudno powiedzieć - mówi. - Wiecie, jak to jest. Okulary łatwo się gubią. W miarę jak zmienia się wzrok, człowiek odkłada gdzieś stare i kupuje nowe. - Wzrusza ramionami. - Mogę mieć cztery albo pięć par, nie wiem dokładnie. Dlaczego was to interesuje?

Gliny na pewno zdążyły już sprawdzić, jakie szkła nosi Acosta. Nie ma sensu tego przed nim ukrywać.

- Policja znalazła parę czyichś okularów do czytania na miejscu zbrodni - wyjaśnia Leonora. - Wszystko wskazuje na to, że, ich zdaniem, należą do mordercy.

Nie odpowiada, milczy z wzrokiem wbitym w wąski blat po swojej stronie szyby, jakby szukał na powierzchni czegoś, czego nigdy tam nie było.

Po chwili wreszcie otrząsa się z ponurego zamyślenia i uświadamia sobie, że przez cały czas na niego patrzymy.

- Rozumiem - mówi. - Nie wydaje mi się, żebym któreś zgubił.

- Gdzie pan je trzyma? - chcę wiedzieć.

Wylicza po kolei z zastrzeżeniem, że pamięć może go zawodzić. W domu ma dwie pary, leżą w szufladzie biurka w jego gabinecie. Są stare, ale nadal ich używa. Trzecią trzymał w swoim biurze na terenie sądu, nie jest pewien, co się z nią stało. Nie pamięta, czy były wśród rzeczy, które zabrał stamtąd, kiedy został zawieszony w związku z oskarżeniem o obrazę moralności.

- To nam daje cztery pary, wliczając w to okulary odebrane panu w areszcie. Dostał pan pokwitowanie?

Patrzy na mnie i kręci głową.

Leonora notuje, że mamy upomnieć się o kwit.

- Trzeba je będzie przy okazji sfotografować - mówi. - Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Nie musi wyjaśniać, co ma na myśli. Jeżeli gliny rzeczywiście starają się zrobić Acostę, może się zdarzyć jakieś małe fokus-pokus, albo seria

7 - Sędzia

97

drobnych niedopatrzeń i skonfiskowane przed dwoma dniami okulary wylądują na sali rozpraw jako przedmiot znaleziony na miejscu zbrodni.

- Poprosimy pańską żonę, żeby zebrała wszystkie pozostałe pary. Na wszelki wypadek - dodaje.

- Dobry pomysł. Myślę, że wpuszczają do mojego biura.
- Będziemy także potrzebować adresu pańskiego okulisty. Chcemy sprawdzić, czy mamy wszystkie okulary, na które wydał recepty.

Podaje nam nazwę kliniki okulistycznej mieszczącej się na promenadzie.

- Liii będzie znała numer telefonu i nazwisko lekarza. Jeśli kłamie, nie pokazuje tego po sobie.

Wracamy do omawiania pozostałego materiału dowodowego. Korci mnie, żeby wtrącić jedno małe pytanko: - skąd się wzięło jego nazwisko na kalendarzu ofiary pod datą morderstwa? - ale zmuszam się, żeby trzymać język za zębami. Jak dotąd gliny nie włączyły tego w materiał dowodowy, ale jestem pewien, że prędzej czy później to zrobią. Jeżeli zaczniemy pytać Acostę o okoliczności nie ujawnione jeszcze przez policję, będziemy musieli się tłumaczyć, w jaki sposób weszliśmy w posiadanie tych informacji. Czasami pewne rzeczy lepiej przemilczeć.

Zamiast tego gawędzimy o włosach i włóknach znalezionych w mieszkaniu ofiary. Acosta nie pamięta, jaki kolor ma wykładzina w jego służbowym samochodzie.

- Zdaje się, że coś ciemnego - mówi.
- Co to za samochód?
- „Buick Skylark”. Niebieski metalik. - Standardowy zakup naszej administracji, masowy produkt „General Motors” nabyty w jednym z lokalnych salonów samochodowych oferujących rabat przy zakupie dużych partii.
- Pamięta pan, który rocznik? Powoli kręci głową.
- Przydzielili mi go dwa lata temu, ale nie mam pojęcia, czy przede mną już ktoś nim jeździł.

Przypuszcza, że mógł odziedziczyć wóz po kimś stojącym wyżej od niego w politycznym łańcuchu hierarchii, po jakimś członku rady gminnej czy innym obieralnym prominencie.

- Cały czas stoi na policyjnym parkingu - zauważa Leonora. - Nasz detektyw może go sprawdzić. Wziąć próbki włókien. - Zapisuje, żeby nie zapomnieć.

- Co pan sądzi o włosach? - pytam. - Szorstkie, krótkie, czerwono-brązowe. - Wstępny raport z laboratorium stwierdza lakonicznie, że włosy nie są ludzkie, lecz zwierzęce.

- Trzyma pan jakieś zwierzęta? - pytam.

- Nie. Mam wściekłą alergię. Absolutnie nie toleruję w swoim otoczeniu żadnych kotów ani psów - oświadcza.

- Wnuczki nigdy nie przyprowadzają do was swoich zwierzątek?

- Nie wolno im tego robić.

98

Może to marny punkt, ale przynajmniej na naszą korzyść.

W rozmównicy po jego stronie pojawia się strażnik z papierami.

- To głównie raporty ekipy dochodzeniowej z miejsca zbrodni, policyjne notatki, wstępne ustalenia śledztwa - informuje Leonora. - My już je przeczytaliśmy. Chcemy tylko, żeby pan to przejrzał i powiedział nam, jeśli zauważy coś istotnego. Coś, o czym powinniśmy wiedzieć.

Acosta zapewnia, że zrobi, co w jego mocy. Pyta, czy moglibyśmy załatwić mu szkło powiększające.

Leonora obiecuje poprosić jego żonę, żeby przyniosła mu zapasowe okulary.

- Musimy jeszcze ustalić termin wstępnego przesłuchania - mówię.

-Zamierzamy złożyć dokumenty przed końcem tygodnia.

- Nie zwracajcie sobie tym głowy - powiada.

- Dlaczego?

- Obejdzie się bez wstępnego przesłuchania.

- O czym pan mówi?

- Postanowiłem zrezygnować ze wstępnego przesłuchania - oświadczam.

Zapada martwa cisza, przez parę sekund siedzimy z rozdziawionymi gębami, by po chwili zacząć gadać jedno przez drugie. Leonora próbuje przemówić mu do rozumu tłumacząc, że rezygnacja z przesłuchania będzie dużym błędem.

Przychylam się do jej zdania twierdząc, że nie moglibyśmy zrobić większego głupstwa.

Wstępne przesłuchanie - zmuszające policję do przedstawienia materiału dowodowego i kluczowych świadków, zanim prokuratura zdąży dopracować swoją strategię - może przynieść obronie niesłychane korzyści.

- Oskarżenie będzie musiało zdecydować się na określoną teorię, nie mając jeszcze wszystkich nici w rękę - wyjaśniam. - Wszystko, co zeznają świadkowie, zostanie wyryte w kamieniu.

- Owszem -przyznaje. -Wiem o tym. Przedstawią swoją wersję wydarzeń w sprawie o wykroczenie przeciwko moralności i dowody, ich zdaniem, wskazujące na to, że to ja zamordowałem Brittany Hali. A my nie będziemy w stanie odeprzeć ich zarzutów. Proszę mnie poprawić, panie mecenasie, jeżeli się mylę. - Acosta patrzy mi prosto w oczy. - Nie wystąpimy z żadnymi kontrdowodami. Czy nie mam racji?

Ma rację, może to wyczytać z mojej twarzy.



- To prawda - powiadam. - Musielibyśmy upaść na głowę, żeby dostarczać im dodatkowych informacji, kiedy nie jesteśmy do tego zobligowani. Wstępne przesłuchanie daje nam szansę zorientowania się w tym, co mają bez ujawniania tego, co sami mamy. Jeśli będziemy mogli ich gdzieś ugryźć, na pewno to zrobimy.

- Nie możemy więc liczyć na to, że przesłuchanie przyniesie mi całkowite oczyszczenie z zarzutów?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, dopóki nie zobaczę całego materiału dowodowego - mówię. Muszę jednak przyznać, że oczyszczenie

99

z zarzutów podczas przesłuchania wstępnego jest raczej mało prawdopodobne. Acosta doskonale zdaje sobie sprawę, że oskarżenie ma ułatwione zadanie. Wystarczy, jeśli przedstawi przekonujące poszlaki, podczas gdy my musielibyśmy dostarczyć niepodważalne dowody niewinności.

- W takim wypadku prasa mnie osądzi i skaże, zanim będę miał szansę wypowiedzieć jedno słowo w swojej obronie. To mnie zniszczy w oczach opinii publicznej.

- Ale niewykluczone, że dzięki temu uda nam się wygrać proces -zauważa Leonora. - Być może, zdołamy przygotować przekonującą linię obrony.

- Tak, za jakieś pięć albo sześć miesięcy. Do tego czasu mój publiczny wizerunek runie w gruzach. Nieustanne ataki prasy, zmasowany ostrzał spekulacjami i insynuacjami - Acosta roztacza przed nami apokaliptyczną wizję - a wszystko to będzie się karmić jednostronnym przesłuchaniem. Moja kariera będzie skończona. Nie, nie dopuszczę do tego. Nie będzie

żadnego wstępnego przesłuchania.

Próbuję się z nim spierać, ale przerywa mi w pół słowa.

- I nie będziemy grali na zwłokę - oświadcza. - Zażądamy, żeby proces rozpoczął się w ciągu sześćdziesięciu dni.

- Potrzebujemy więcej czasu na przygotowanie obrony.

- Jeszcze raz proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. - Obrzuca nas surowym spojrzeniem. - Zdaje się, że zarówno decyzja o rezygnacji ze wstępnego przesłuchania, jak i żądanie przyśpieszonego procesu leżą całkowicie w gestii klienta? Zgodnie z literą prawa w obu tych sprawach możecie udzielać mi rad, ale ostateczne słowo należy do mnie?

Milczymy. Acosta i tak zna odpowiedź. Wygląda na to, że zdążył to sobie dokładnie przemyśleć.

- Wobec tego, mam nadzieję, że się zrozumieliśmy. Macie sześćdziesiąt dni na przygotowanie się do procesu.

Wstaje z krzesła po swojej stronie szyby.

- Och! I jeszcze jedna rzecz - dodaje. - Powinniście zwrócić się do sędziego z żądaniem, żeby zamknął proces dla prasy. Nie życzę sobie, żeby Kline, albo ktokolwiek inny, osądzał mnie na łamach gazet. Czy to jasne?

Przeszedł jakąś przedziwną metamorfozę, niespodziewanie odzyskał władczą postawę. Zza grubej szyby, przedzielającej rozmównicę, patrzą na nas twarde jak stal oczy dawnego Acosty, które w przeszłości nieraz nazwałem demonicznymi.

Jest głuchy na wszelkie argumenty. Uznawszy kwestię za zamkniętą, odwraca się do nas plecami i kiwa na strażnika. Widzenie skończone.

Leonora i ja, kompletnie zdruzgotani, pozostajemy sami na zgliszczach

naszej koncepcji rozważając sytuację. Stary jak świat dylemat prawników reprezentujących sędziów.

100

Jego wygląd może świadczyć tylko o tym, że ma dzisiaj wolne. Widocznie nie gonią go żadne związkowe obowiązki, chociaż — szczerze mówiąc - nie bardzo potrafię sobie wyobrazić Phila Mendla zajmującego się czymkolwiek, co można by uczciwie określić mianem związkowych obowiązków.

Dostrzegam go po drugiej stronie więziennego holu, Leonora i ja właśnie wychodzimy. Dwa kroki w tyle snuje się jeden z jego zwalistych goryli z ulizaną fryzurą jak skórka od kiwi.

Mendel ma na sobie kolorową koszulę, zadrukowaną w krzykliwe hawajskie wzory i białe plażowe spodnie. Do tego nosi płócienne żeglarskie pantofle bez skarpetek. Przemierza hol rozdając na prawo i lewo uściski dłoni i klepiąc po plecach znajomych strażników, prawdopodobnie członków jego związku.

Mimo starannie dopracowanego stroju nie przypomina bynajmniej rozpustnego korsarza, który dopiero co skończył plądrować Statek Miłości. Pod hawajską koszulką rysuje się okazałych rozmiarów samara, a zwały tłuszczu po bokach nadają mu wygląd wypasionego wieprza.

Dostrzega nas, chociaż mógłbym przysiąc, że patrzy przeze mnie jak przez powietrze. Schodzę z drogi, żeby go ominąć, próbuję pociągnąć za sobą Leonorę, ale jest już za późno. Mendel nie należy do tych, co zmarnowaliby okazję do przykrej konfrontacji. Rusza ociężałym truchtem w naszym kierunku, odcinając nam drogę.

- Panie mecenasie - powiada - nigdy bym się nie spodziewał, że spotkam

pana w takim miejscu.

- Obowiązki zawodowe.
- Niech zgadnę - mówi - sędzia.

Nic się przed nim nie ukryje. Strażnicy więzienni, jak szpiedzy faraona, biegną do swojego pana z każdą nowinką.

W ciszy, która teraz zapada, szacuje wzrokiem Leonorę. Nie doczekawszy się, żebym go przedstawił, robi to sam.

- Phil Mendel. - Wyciąga dłoń przyoblekając twarz w uśmiech, który miał być zmysłowy, ale wyszedł zwyczajnie obleśny.

Leonora zwleka, ile się da, lecz widząc, że dłoń nie znika, decyduje się w końcu przyjąć uścisk.

- Leonora Goya - mówi.
- Ach, słynna panna Goya, usunięta z urzędu. Ciekaw byłem, kiedy się wreszcie spotkamy. Mnóstwo o pani słyszałem - powiada.
- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.
- Nie takie dobre, jak to, co widzę - oświadcza.
- Czy to ma być komplement?
- Och, komplement. Naturalnie, że komplement. Niech się pani nie denerwuje - mówi. - Chociaż widzę, że ostatnio sypia pani z wrogiem.
- Teraz Mendel patrzy na mnie.

101

Leonora nie jest pewna, jak ma to rozumieć. Najeża się, jeszcze chwila i zacznie warczeć. Myślę, że Mendel to wyczuwa.

- Porzuciliśmy szeregi Prawdy i Sprawiedliwości - wyjaśnia - i wdajemy się w konszachty z Obroną.
- Z czegoś trzeba żyć.

Mendel gapi się na Leonorę i dałbym sobie rękę uciąć, że facet się ślini.

Wygląda na całkowicie wyłączonego z naszej rozmowy. Niewykluczone, że teraz kompletnie nic nie rozumie, co do niego mówimy. Ale po chwili pyta:

- Jak tam przygotowania do bitwy? Sędzia ma jakieś szansę? Jakby myślał, że mu powiem.

- Błędna identyfikacja - oznajmiam. - Wyłącznie dowody pośrednie.

Wybuchają śmiechem udając, że wie o tej sprawie znacznie więcej, niż my.

- Jasne. Nie mieści się w głowie, żeby kto jak kto, ale sędzia mógł zrobić coś podobnego. Zamordować jakąś cizję, która właśnie zamierzała przeciwko niemu zeznawać.

Leonora, która dotąd słuchała jednym uchem, nagle odzyskuje zainteresowanie rozmową.

- Święte słowa - mówi. - Łatwiej zrozumieć morderstwo, jeżeli ofiarą jest jakiś nadęty typas "\*"

Przygląda jej się uważnie. Widocznie zastanawia się, czy ma uznać jej słowa za stwierdzenie ogólne czy za wycieczkę osobistą.

- Proszę mi wybaczyć - odzywa się w końcu. - Jestem starej szkoły.

Miałem na myśli świadka płci żeńskiej - wyjaśnia Mendel, jakby określenie „cizia” było terminem prawniczym potrzebującym objaśnienia.

- A ja miałam na myśli nadętego typasa - powtarza Leonora. Chętnie by mu to przeliterowała, gdyby chciał.

- Och, widzę, że z panią nie wygram. - Szturcha Igora w ramię. - Ostra babka, co?

Mendel próbuje obrócić to w żart.

- Niech mi pan przypomni, żeby przypadkiem nie wszedł jej w drogę w

sądzie. - Prosi mnie. Ma już dosyć pogaduszek z panienkami.

- Jeśli chodzi o mnie, nie widzę powodu do obaw, przynajmniej dopóki nie zajdzie mnie od tyłu - uspokaja mnie Leonora.

Mendel podskakuje na jednej nodze błazeńsko popiskując.

- Ma pan prawdziwą tygrysicę - zwraca się do mnie.

- Mówi do was wielki pogromca tygrysów, Claud Balls - szydzi Leonora.

- Może powinien pan zająć się lizaniem ran na swojej dupie.

Mendel robi dobrą minę do złej gry, śmieje się na dowód, że ma poczucie humoru.

- Wygląda na to, że w gorszych opałach ode mnie jest tylko pański klient - powiada. - Chociaż on akurat nie powinien się dziwić. Jak ktoś lubi taplać się w błocie, prędzej czy później musi się upaść.

- Przepraszam, nie zrozumiałem?

102

- Nie jest dla nikogo tajemnicą, że Acosta bratał się z mętami - mówi tytułem wyjaśnienia.

- Któż by mógł lepiej o tym wiedzieć?

Mendel uznaje, że najlepszą taktyką będzie ignorowanie Leonory.

- Gdyby nie znane wszystkim skłonności, nie pętałby się po ulicy w feralną noc. - Ma na myśli noc, kiedy gliny złowiły Kokosa przy okazji obławy na prostytutki.

- Musi pan być znakomicie poinformowany - stwierdzam.

- Ależ nie, panie mecenasie. Nie mam najmniejszej ochoty być ciąganym po sądach w charakterze świadka - zastrzega. - Nie znam żadnych szczegółów dotyczących aresztowania pańskiego klienta. Ale od czasu do czasu coś mi wpada w ucho. Przez moje biurko przewijają się różne

raporty. Nic oficjalnego naturalnie. Z tego, co słyszałem, pański klient był bardzo łaskawy nie dla tych, co trzeba.

Powiedz mi coś, czego nie wiem - myślę po cichu.

- Jeżeli wpuszczą telewizję na salę rozpraw - powiada - będziemy mieli skandal pierwsza klasa, i to na cały kraj. Publiczne pranie brudów i te rzeczy.

- Cóż, pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że prokurator dogada się jakoś z cenzorami z telewizji - mówię.

- Jasne - on mi na to. - Ale przynajmniej tym razem mamy wreszcie na ławie oskarżonych złego faceta, przeciwko...

- Zależy z której strony spojrzeć - wtrąca Leonora.

- Przeciwno komu? - chcę wiedzieć. Mendel spogląda na mnie z obrzydzeniem.

- Przeciwno dobrym facetom - kończy swoją myśl. - Chłopakom w niebieskich mundurach.

- Spodziewam się, że prokuratura znajdzie dosyć czasu dla obu stron -mówię.

Nagle, ni stąd, ni z zowąd, unosi do góry brwi i uśmiecha się do mnie owym specyficznym uśmieszkiem, oznaczającym, że oto dostrzega okazję do podzielenia się złą wiadomością.

- Nie słyszał pan? Kręcę głową.

- Prokuratura zamknęła sprawę.

- O czym pan mówi?

- Związek jest niewinny jak nowo narodzone dziecko. Polowanie na czarownice skończyło się razem z Acostą.

Chce przez to powiedzieć, iż na skutek upadku Acosty w lokalnych

strukturach wymiaru sprawiedliwości nastąpiło przegrupowanie, prowadzące się z grubsza do kolektywnego podkulenia pod siebie ogona.

- Nastął dla pana pogodny dzień - mówię. - Niech się pan nim cieszy, dopóki może.

Obrzuca mnie ciężkim spojrzeniem.

103

Nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia, zaczyna zbierać się do odejścia. Nagle przypomina sobie coś jeszcze. Igor o mało co nie leci na morcę, kiedy Mendel gwałtownie odwraca się na pięcie, żeby powiedzieć swoje ostatnie słowo.

- Och, przy okazji - mówi. - Byłbym zapomniał.

- O czym?

- O włóknach - wyjaśnia. - Tych, które znaleźli na zwłokach. Wygląda na to, że idealnie pasują do obić w samochodzie Acosty.

Macki Mendla docierają wszędzie, nawet za zamknięte drzwi laboratorium kryminalnego.

- Pomyślałem sobie, że chciałby pan o tym wiedzieć - powiada. Kiwa nam na pożegnanie jednym paluszkiem. Gest zdaje się być skierowany bardziej do Leonory niż do mnie. - Ciao!

10

Kiedy Mendel zdobędzie skalpel Acosty i przytroczy go sobie do pasa, rozmiary wzbudzanego przez niego postrachu - przełożonego na siłę zbiorowego drżenia kolan - będziemy mierzyć w skali Richtera. Tym bardziej że szansę na ponowne zainteresowanie się urzędników



nieprawidłowym funkcjonowaniem Związku Policjantów są raczej niewielkie.

Żywiłem nadzieję, że uda nam się pojechać na oficjalnym śledztwie przeciwko glinom, wykorzystując ujawnione w jego toku rewelacje do skonstruowania własnej strategii: sędzia Acosta, prowadzący krucjatę przeciwko zepsuciu w łonie policji, zostaje wrobiony w morderstwo przez skorumpowanych stróżów prawa. Bez wątpienia, tak właśnie będzie wyglądał motyw przewodni obrony. Teraz jednak znaleźliśmy się w kłopotcie. Oskarżenie ma wszelkie dane, by twierdzić, że owszem, odnośne dochodzenie rzeczywiście miało niegdyś miejsce, lecz nie znaleziono żadnych dowodów korupcji. Skoro gliny są czyste, po jakiego grzyba miałyby zawracać sobie głowę uciszaniem wojowniczego sędziego? Druga połowa naszego zadania będzie polegała na znalezieniu kandydata na zabójcę. Nie powiem, że bym lubił Acostę, ale nie wierzę, że jest mordercą. Oboje z Leonorą bez ustanku łamiemy sobie głowy nad odpowiednim obsadzeniem tej roli.

Gdybym musiał w tej chwili zaryzykować jakąś teorię, powiedziałbym, że Acosta nie ma żadnego związku ze śmiercią Brittany Hali i że mordercą był raczej zazdrosny kochanek, przyłapany na gorącym uczynku włamywacz albo maniak seksualny. Niestety, jeśli idzie o dwie ostatnie ewentualności, gliny wykluczają je całkowicie, opierając się wyłącznie na przekonaniu, że ofiara znała sprawcę i dobrowolnie wpuściła go do swojego mieszkania.

Jest późny piątkowy wieczór, a ja ciągle tkwię w swoim biurze.

Popołudnie spędziliśmy we trójkę, Leonora, Harry i ja, przebijając się

przez kolejną porcję materiałów śledczych, nie wyłączając kaset wideo z zapisem czynności operacyjnych przeprowadzonych na terenie zaułka, gdzie znaleziono ciało, oraz w pobliżu domu, w którym mieszkała ofiara. Część ujęć jest dziełem policjantów, pozostałe zostały ściągnięte ze stacji telewizyjnych.

Ledwo patrzę na oczy. Leonora wyszła wcześniej, wymawiając się obowiązkami towarzyskimi. Harry dał za wygraną godzinę temu i poszedł do domu.

Dochodzi dziesiąta, kiedy do moich uszu dochodzi zgrzyt klucza w wejściowych drzwiach biura, szcęk klamki, a potem cichy trzask zamykanych drzwi.

Podniósłszy oczy, widzę Leonorę ubraną w czarną suknię wieczorową z połyskującej tkaniny, ciasno opinającą biodra i sięgającą najwyżej do połowy uda. Ciemny materiał kontrastuje z bielą nagich ramion. Na dwóch palcach prawej dłoni kołysze się para pantofli z lakierowanej skóry na siedmiocentymetrowych szpilkach.

- Masz coś na bąble? - chce wiedzieć.

Leonora była na przyjęciu, na jakiejś prokuratorskiej popijawie, na którą umówiła się wiele miesięcy temu, przed odejściem z biura prokuratora okręgowego.

Pokazuje mi dziurę w pończosze, na lewej pięcie.

- Zrobiłam kawał drogi na piechotę. Najmarniej kilometr - powiada.

- Jak się udała randka? - pytam.

- Lepiej nie pytaj.

Już się czuję lepiej. Stoi tak w moich drzwiach, szczupłe biodro ma

wsparte o framugę, w uszach gustowne złote kolczyki, zmysłowe usta pociągnięte błyszczącą szminką. Leonora oferuje zmęczonym oczom zaiste wspaniały widok. Upięte do góry włosy dodają jej uroku tajemniczości.

- Rozumiem, że Herbowi się nie udało? - Staram się, żeby w moim głosie nie zabrzmiało zbyt wiele zadowolenia.

Herb Conners jest jedną z fisz w biurze prokuratora okręgowego.

Zawodowy karierowicz i kapitalny dupek. Leonora i ja założyliśmy się o to, czy dzisiejsza randka dojdzie do skutku. Leonora była pewna, że Conners znajdzie pretekst, żeby odwołać spotkanie. Odkąd Kline wyrzucił ją z pracy, uważa się ona za wybrakowany towar, nadający się najwyżej na kulę u nogi ambitnego karierowicza. Wyjaśniłem jej, że w wypadku konfliktu pomiędzy karierą a pożądaniami, wygrywa zawsze popęd.

Wygląda na to, że miałem rację. Przypuszczam, że Leonora nie wymówiła się od randki tylko dlatego, żeby pokazać Kline'owi, który miał być obecny na przyjęciu, że nie da się zastraszyć.

- W samochodzie Herb zrobił się strasznie namolny - powiada.

- Lubieżny drań - mówię.

- Już nie. - Leonora uśmiecha się złośliwie. Ciekaw jestem, co mu zrobiła.

106

- Urwałam się z jego wozu o parę przecznic stąd, próbowałam złapać taksówkę, ale mi się nie udało, więc w końcu poszłam na piechotę.

Zobaczyłam światło w twoim biurze.

Sądząc z wyrazu twarzy kobiety stojącej w drzwiach mojego gabinetu, Conners pewnie kuli się w tej chwili pod zimnym prysznicem.

Przegrzebuje szuflady w poszukiwaniu plastra. Znajduje wreszcie pudełko i podaje Leonorze.

Stawia pantofle na brzegu mojego biurka, woń perfum owija mnie niby gaz musztardowy dzieciaki w okopach Francji.

Leonora jest jedną z tych kobiet, które potrafią włączać i wyłączać swoją zmysłowość, stosownie do potrzeb. W jednej chwili jest fachowcem, błyska prawniczym okiem i zgrzyta zębami, by w następnej zamienić się w wampa. Dzisiejszego wieczoru jest wampem. Pech chce, że teraz, kiedy siedzę po uszy w robocie, Leonora nie okazuje żadnego zainteresowania zawilóściami prawa.

- Za długo ślęczysz nad tymi papierami - mówi. - Powinieneś iść do domu.

- Ktoś musi pracować.

- Nadal zastanawiasz się, co możemy jeszcze wyciągnąć z tego poronionego policyjnego cyrku? - Ma na myśli zamknięte śledztwo w sprawie korupcji.

- Jakbyś zgadła.

- Masz jakieś pomysły? - Stawia stopę na siedzeniu jednego z krzeseł dla klientów po drugiej stronie biurka i, rozmawiając ze mną, masuje sobie łydkę. Obcisła sukienka podjechała do góry, odsłaniając niemal całe udo. Mam całe mnóstwo pomysłów, ale żaden z nich nie ma nic wspólnego z prawem.

Zdobywam się na nadludzki wysiłek.

- Moglibyśmy wystąpić o udostępnienie kompletnych materiałów śledztwa w sprawie korupcji, włączając w to protokoły z przesłuchań przed sądem.

- Powodzenia - powiada. Leonora ma rację. Wszystkie materiały dochodzeń sądowych, a już szczególnie akta spraw, które nie zakończyły się przedstawieniem aktu oskarżenia, są równie tajne co kody silosów z głowicami jądrowymi. Nie ma siły, żeby się do nich dostać bez specjalnego nakazu, podpisanego przez jakiegoś zgrzybiałego starca na wysokim stołku.

- Możemy zatrudnić własnego detektywa, może na coś trafi - mówię. - Tak czy inaczej, będzie się musiał nieźle nachodzić. - Nie spuszcza wzroku z jej nóg.

- I może gdzieś koło następnej epoki lodowcowej - powiada - wreszcie się czegoś dowiemy.

- Znam sposób, żebyśmy dowiedzieli się jeszcze dzisiaj - oznajmiam.

- Wystarczy, jeśli wrócisz do Herba Connersa i zrobisz mu masaż pleców.

107

Zaręczam ci, że o bladym świcie podjedzie pod nasze drzwi i zwali do sekretariatu komplet akt prokuratury.

- Sam zrób mu masaż.

- To by zajęło znacznie więcej czasu.

Wyślizguje się z gabinetu przez nie domknięte drzwi, jakby bawiła się z moim biednym kowbojem w Indian. Mogę się tylko domyślać, co robi w drugim pomieszczeniu.

- Dla twojej wiadomości - mówi - śledztwo przeciwko policji jeszcze nie do końca zdechło.

- Co masz na myśli?

Wciąż jest tylko głosem za drzwiami gabinetu.

- W dalszym ciągu badają sprawę tego nalotu na handlarzy narkotykami

sprzed roku, podczas którego zginął gliniarz. I nic nie wskazuje na to, żeby się szybko z tym uporali.

- Żartujesz.

- Bynajmniej.

Rozmawialiśmy o tym wcześniej, dla Leonory ta sprawa ma szczególne znaczenie ze względu na Tony'ego. Nie wierzy, żeby jej przyjaciel z dzieciństwa był zdolny przyłożyć rękę do zabicia innego policjanta.

Uważa, że śledztwo zakończy się umorzeniem, chociaż nie potrafi zaproponować żadnej teorii wyjaśniającej, w jaki sposób pistolet, z którego zastrzelono Wileya, przywędrował z zamkniętego na klucz magazynu dowodów rzeczowych do centrum miasta na miejsce zbrodni.

Kiedy mowa o To-nym, Leonora demonstruje ślepą dziecięcą ufność.

- Jak się o tym dowiedziałas? - pytam.

- Czasami warto pójść na kolację - powiada. - Zdziwiłbyś się, co można usłyszeć przy krakersach z serem. Zwłaszcza, jeżeli są zakrapiane winem.

- Od Connersa? To on ci o tym powiedział? - zgaduję.

- Sądzisz, że tak nisko upadłam? — nie chce zdradzić swojego źródła.

Gdyby to ode mnie zależało, wolałbym, żeby nie zawężali śledztwa do tamtego wydarzenia sprzed lat. Ale to zawsze coś. Jeżeli nad tym popracujemy, powinno nam się jakoś udać wpleść tamtą sprawę w naszą.

- Czy to twoje źródło będzie jeszcze z tobą rozmawiać?

Wysuwa się zza półprzymkniętych drzwi, bosonoga, podarte rajstopy lądują w moim koszu na papiery.

- Tym razem też ze mną nie rozmawiało - oświadcza. - Podśluchiwałam, niecznie wykorzystując randkę z przystojnym mężczyzną.

- Przynajmniej Herb na coś się przydał - mówię.

- Jasne. Wysoki, kawał chłopca, szerokie ramiona. - Uśmiecha się. - Jest się za czym schować.

Zeskubuje jakiś pyłek z obciągniętego sukienką uda, spod czarnej tkaniny wynurza się gładkie, opalone udo o skórze miękkiej jak welur. Siada na krześle po drugiej stronie biurka i z wdziękiem leśnej nimfy,

108

kuszając, lecz nigdy nie odsłaniając zbyt wiele, zakłada nogę przez nogę. Wykręcając stawy w sposób, który każdego mężczyznę przyprawiłby o trwałe uraz, nalepia plaster na otartą piętę.

Zaczynam oblewać się gorącym potem. Gadam o pracy, ale w głowie mam co innego. Każdemu może się zdarzyć chwila słabości.

- Przychodzi ci na myśl jakiś dobry detektyw?

Siedzi bez ruchu, uporawszy się z zabiegami pierwszej pomocy, łokcie ma na blacie biurka, obok pantofli, podbródek wsparty na obu dłoniach, twarzą jak Katherine Hepburn w najlepszych latach. Ignoruje moje pytanie, zapach perfum unosi się nad biurkiem w kierunku moich nozdrzy.

- Gdzie śpi dzisiaj Sara?

- U swojej koleżanki. Wizyta z nocowaniem.

- Moje córki są u babci - mówi. - Na całą noc.

Na jej zmysłowych, uszminkowanych ustach rozkwita uśmiech.

Przez moment trwa niezręczna cisza, nasze umysły pracują równolegle, rozważając wchodzące w grę możliwości. Do tej pory oboje staraliśmy się nie zauważać elementu pożądania zawsze obecnego w naszej przyjaźni.

Komplikacje związane ze wspólnym prowadzeniem niełatwej sprawy, nieprzyjemne strony biurowego romansu, dzieci - istnieje tysiąc przyczyn, dla których nie powinniśmy tego robić. W tej chwili nie pamiętam żadnej z

nich.

- Co zamierzasz robić? - pyta. - Będziesz tu siedział przez całą noc?

Zatapia w moich oczach czarujące spojrzenie, złoty kolczyk kołysze się w uchu, odbijając światło lampy. Patrzę na delikatną twarz o rzeźbionych rysach, obciążoną oliwkową, niemal przejrzystą skórą, wizerunek ulotny niczym kadr filmu kręconego przez cienką gazę. Wchłaniam ten obraz łapczywie jak narkoman na głodzie.

- Chyba powinienem powiedzieć dobranoc i grzecznie pójść do domu -mówię.

Jej spojrzenie wprawia mnie w ekstazę. Nagle stoję w drzwiach z płaszczem przewieszonym przez ramię, nie mając pojęcia, jak się tutaj znalazłem. Leonora trzyma mnie za rękę.

- Racja - powiada. - Powinniśmy pójść do domu i grzecznie powiedzieć dobranoc.

11

Dziękujemy Bogu za jego hojne dary. Sprawdziliśmy zapiski okulisty Acosty i wygląda na to, że możemy się wyuczyć z każdej pary okularów, jakie mu przepisał. Liii Acosta zdołała zlokalizować wszystkie, z wyjątkiem tych, które zabrali jej mężowi w więzieniu. Skonfiskowana para została starannie oznaczona, tak że nie musimy się obawiać żadnej pomyłki. Skoro jesteśmy w stanie pokazać komplet szkieł znajdujących się w posiadaniu naszego klienta, podając datę wystawienia recepty i dokonania zakupu, gliny nie zdołają udowodnić, że okulary znalezione w miejscu zbrodni należą do sędziego.

Dzisiejszy poranek spędzamy w sądzie robiąc, co w naszej mocy, żeby pokrzyżować szatański plan Kline'a. Już drugi dzień wyłazimy ze skóry



próbując przekonać sędziego, że nie ma podstaw do osobnego rozpatrywania oskarżenia o wykroczenie przeciwko moralności, czego sobie zażyczył prokurator okręgowy, człowiek nazywany przez Leonorę ociężałym umysłowo debilem. Jak dotąd Kline rusza się szybciej niż rozszłoszczony gepard.

Acosta siedzi obok mnie, przy stole obrony, mając za plecami czujnego strażnika. Dwaj inni stoją trochę dalej, w głębi sali, gotowi w każdej chwili przyjść z pomocą koledze, gdyby Acoście przyszło do głowy rzucić się do ucieczki.

Liii siedzi w następnym rzędzie, oddzielona od męża drewnianą barierką i zwalistym strażnikiem.

Prasę reprezentuje zaledwie kilku pismaków z podrzędnych gazet.

Dwa tygodnie temu, bez żadnego ostrzeżenia, Kline ogłosił datę pierwszej rozprawy w sprawie dawno przez wszystkich zapomnianego zarzutu o obrazę moralności.

Bynajmniej nie chodzi mu o werdykt. Kline chce osądzić Acostę na łamach prasy, dostarczając opinii publicznej pikantnych szczegółów rze-

110

kowej rozpustnej eskapady. Jeśli tego dopnie, zanim potencjalni sędziowie przysięgli będą na wpół przekonani, że Acosta zasłużył sobie na czapę, zdążymy jeszcze ustalić skład sędziowski w sprawie o zabójstwo. Jeżeli przy okazji uda mu się nas zmusić, żebyśmy bronili naszego klienta przed zarzutem o wykroczenie przeciwko moralności, obejrzy sobie część naszych kart wcześniej, niż zamierzaliśmy je odkryć.

Leonora musi przyznać, że posunięcie Kline'a świadczy o pewnej inteligencji, której dotąd uparcie mu odmawiała.

Sądzę, że nie powinniśmy go nie doceniać. Niedostatki stylu nadrabia uporem i wytrwałością. Jest agresywny, zawzięty i wygadany. Żadnych próbných manewrów, od razu idzie na całość. Jeżeli idzie o temperament, tylko raz widziałem, żeby ten facet stracił zimną krew. Mam na myśli sprzeczkę z Leonorą o to, które z nich ma przesłuchiwać świadka. Obawiam się, że sposób, w jaki tych dwoje działa na siebie, nie wróży najlepiej czekającemu nas procesowi.

Kline siedzi przy stole oskarżenia, po drugiej stronie przejścia, konferując szeptem z jednym ze swoich adiutantów. Nagle wstaje i przechodzi przez dzielącą nas pustą przestrzeń. Kątem oka dostrzegam wykrochmalone mankiety, ozdobione oszałamiającymi złotymi spinkami.

- Panie Madriani. Odwracam się w jego stronę.

- Nie rozmawialiśmy od pańskiej wizyty w moim biurze - mówi.

- Życzyłbym panu powodzenia, ale sam pan rozumie, w obecnych okolicznościach... - Jego wzrok dopowiada nie dokończoną myśl. - Mam nadzieję, że jako przeciwnicy będziemy odnosić się do siebie z wzajemnym szacunkiem. Jak na prawdziwych profesjonalistów przystało. Demonstruje szeroki uśmiech, który równie dobrze może świadczyć o głębokiej szczerości jak i całkowitym fałszu jego wyznania. Tak to już jest z Kline'em. Nigdy nie wiadomo.

Wymieniamy uścisk rąk.

- Pani mecenas. - Załatwiwszy ze mną, wyciąga dłoń do Leonory. Leonora patrzy na niego bez słowa. Ani jej w głowie ścisnąć mu rękę.

- Cóż - mówi Kline. - W każdym razie, próbowałem. Uśmiecha się jeszcze raz i wraca na swoje miejsce.

Acosta nie spuszcza wzroku z Leonory. Okazuje się, że wszelkie nadzieje,

iż była pani prokurator będzie miała jakieś chody w kręgach zbliżonych do oskarżenia, mają tyleż realnych podstaw, co wiara w dobre wróżki i Świętego Mikołaja.

- Świetne posunięcie - syczę w jej ucho. - Wbij głębiej ostrogę. Niech pokaże, co potrafi.

Nie zdąża mi odpowiedzieć, słyszymy jakieś poruszenie w korytarzyku za ławą sędziowską. Na sali, zaanonsowany przez woźnego, pojawia się sędzia Radovich.

111

Harland Radovich przyjechał do nas z jednego z górskich okręgów na północy, mogącego poszczycić się uspijonym wulkanem i trzyosobowym składem sędziowskim, gdzie ludzie wciąż jeszcze żyją z wypasu bydła na otwartych pastwiskach. Wyciągnąwszy krótszą zapalkę w wielkim losowaniu Rady Sędziowskiej, Radovich został oddelegowany do naszego okręgu, gdzie jako sędzia wizytujący ma poprowadzić sprawę Acosty łącznie ze wszystkimi przedprocesowymi atrakcjami.

Niełatwo określić, w jakim jest wieku, chociaż gdybym musiał zgadywać, dałbym mu pięćdziesiąt parę lat. Paraduje w kowbojkach, ma rumianą cerę od częstego przebywania na świeżym powietrzu i klasyczną oklahomską fryzurę z kogutem na czubku głowy i grzywką przypominającą wąsy na kolbie kukurydzy. Nie próbuje pozować na uczonego znawcę prawa, ale zdaje się posiadać ów wrodzony zdrowy rozsądek, nazywany potocznie chłopskim rozumem.

Trudno powiedzieć, czy to dla nas źle, czy dobrze. Acosta i Radovich są istotami z dwóch różnych planet.

- Dzień dobry - mówi sędzia.

Przedstawiamy się kolejno do protokołu, Kline w imieniu oskarżenia, Leonora w naszym. Jakkolwiek by było, to w końcu jej sprawa. Jeśli chodzi o mnie, staram się nie wychylać. Jeżeli uda mi się znaleźć kogoś, kto mnie zastąpi, nie będę się wahał ani chwili.

Wczoraj był dzień prawników. Nie szczędząc sobie wzajemnych docinków, wywlekaliśmy przed sędziego nasze zastrzeżenia co do trefnych pomysłów drugiej strony. Chodziło głównie o kwestię łącznego rozpatrywania obu spraw. Obrona ma wątpliwości, czy istnieją dostateczne podstawy do traktowania zarzutu o wykroczenie przeciwko moralności jako domniemanego motywu zabójstwa. Leonora walczyła jak lwica, domagając się dwóch oddzielnych procesów. Prokurator dla odmiany uznał zabójstwo świadka oskarżenia za szczególnie odrażającą zbrodnię i na tej podstawie domaga się kary śmierci.

Radovich spędził większą część dnia na drapaniu się po głowie. Ile diabłów może się zmieścić na główce od szpilki? Gdyby miał pod ręką słomkę, niechybnie wetknąłby ją w zęby. Nie jest przyzwyczajony do subtelnych zawiłości, stanowiących specjalność stołecznych prawników. Kline zorientował się co do tego na samym początku i przez cały dzień grał na Radovichu jak na cymbałach. Stwierdził, że nasze usiłowania utracenia oddzielnego rozpatrywania obu zarzutów godzą w uprawnienia prokuratury, naruszając jej święte prawo do stawiania przed sądem winnych popełnienia przestępstwa. Przypomniał Radovichowi, że sąd nie może zastąpić prokuratury w decydowaniu, kiedy mają zostać wysunięte poszczególne oskarżenia.

Po zmarszczonych brwiach sędziego poznaje, że Kline trafił w czuły

punkt. W końcu Radovich jest tylko gościem w naszym okręgu i nie musi podlizywać się wyborcom.

112

Argumentacja Kline'a odwoływała się raczej do ogólnych poglądów sędziego niż do wymogów prawa. Prokurator w lot rozgryzł Radovicha.

Oto siedzi przed nami konserwatywny kowboj starej daty, który bynajmniej się nie pali do rozciągania granic swoich uprawnień sędziowskich. Powiedzcie sędziemu, że wasi przeciwnicy wkraczają w prerogatywy jakiegokolwiek rządowej instytucji, w tym wypadku prokuratury, a zaczniesz się cofać, jak diabeł przed święconą wodą.

Kline postawił na swoim i dzisiaj jest nasza ostatnia szansa na uniknięcie miniprocesu w sprawie bezeceństw Kokosa, co mogłoby okazać się katastrofalne w skutkach. Niewykluczone, że wiekopomny spór pomiędzy kobietą, reprezentującą oskarżonego, i mężczyzną, reprezentującego oskarżenie, o definicję rozpusty nie przejdzie do historii prawa, ale jeżeli to i owo z niej przesiąknie do umysłów potencjalnych sędziów przysięgłych, Kline będzie miał wyrok skazujący w kieszeni, i to na długo przed rozpoczęciem właściwego procesu o zabójstwo.

Dzisiaj zajmujemy się materiałem dowodowym. Prokurator ma za zadanie wykazać, że istnieją dostateczne podstawy do postawienia Kokosa w stan oskarżenia. Jeśli chodzi o nas, stoimy na stanowisku, że po śmierci Hali i w obliczu niepowodzenia w posłużeniu się sprzętem elektronicznym, oskarżenie nie dysponuje żadnymi dowodami.

Lecz Kline po raz kolejny okazał się bardziej zaradny, niż przypuszczaliśmy. Twierdzi, że ma świadka, którego zeznania wystarczą do podtrzymania oskarżenia.

- No to bierzmy się do roboty - powiada Radovich.

W chwilę później woźny wprowadza na podium dla świadków mężczyznę koło trzydziestki, ubranego w marynarkę, ale bez krawata. Facet przysięga mówić prawdę i siada na krześle.

Kline zaczyna zadawać swojemu świadkowi wstępne pytania, Leonora tymczasem kipi z wściekłości.

- Proszę podać swoje nazwisko do protokołu,

- Harold Frost.

Ze względu na swoje szczególne usposobienie Harold zasłużył sobie u kumpli z policji na ksywkę „Kuba Zabójca”. Facet potrafi wpakować ci cztery kule w brzuch tylko dlatego, że źle na niego spojrzalesz, i wykazać tyle żalu, co przydrożny głąz.

Harold jest wysokim chudzielcem o łysej czaszce, ozdobionej nad uszami kępkami krótkich brązowych włosów. Ma blisko osadzone oczy i haczykowaty, jastrzębi nos, który, zdaniem niektórych znajomych, znakomicie oddaje charakter tego człowieka. Gdybym szukał w policji kogoś odpowiedniego do zrobienia na nim testu na wytrzymałość prawdy pod względem rozciągłości, bez namysłu wybrałbym Kubę Frosta.

- Czy może nam pan powiedzieć, z czego pan żyje?

- Jestem sierżantem policji.

!- Od jak dawna pracuje pan w policji?

I - Sędzia

113

- Od trzynastu lat.

- W jakim wydziale jest pan obecnie zatrudniony?

- W obyczajówce.

Nie jest to do końca prawda, ale Kline, zamiast bawić się w subtelności, przechodzi od razu do sedna kierując uwagę świadka na noc, kiedy Acosta został przyłapany w pokoju hotelowym z panną Hali. Frost zeznaje, że tamtego wieczoru otrzymał przydział do czteroosobowego zespołu, odkomenderowanego do hotelu „Fairmore” z zadaniem postraszenia luksusowych prostytutek.

- Mieliliśmy wyłapywać jeleni i zniechęcać panienki do pracy. - Tak to ujmuje.

- Czy tamtego wieczora dokonał pan jakiegoś aresztowania?

- Tak.

- Czy przypomina pan sobie, kim był zatrzymany i za co został aresztowany?

- Siedzi tutaj. - Frost pokazuje palcem w stronę naszego klienta. -Został aresztowany z paragrafu sześćset czterdzieści siedem, punkt B.

- Wnioskuje, żeby protokolant zanotował, że świadek zidentyfikował oskarżonego Armanda Acostę.

Radovich kiwa przyzwalająco głową.

- Czy chodzi o paragraf Kodeksu Karnego? - pyta Kline.

- Zgadza się.

- Proszę nam powiedzieć, czego dotyczy paragraf sześćset czterdziesty siódmy, punkt B Kodeksu Karnego?

- Nagabywanie prostytutki. To wykroczenie - wyjaśnia Frost.

- Występek podający w wątpliwość prawość oskarżonego, czyż nie?

- Zgłaszam sprzeciw. Zachęta do wyciągania ferowania wyroków. To należy do sądu - mówi Leonora.

- Sprzeciw podtrzymany.

Kline wiele by dał, żeby to się znalazło w protokole. To by mu załatwiło raz na zawsze problem motywu: niegodziwy sędzia, zagrożony usunięciem ze składu sędziowskiego i ruiną kariery zawodowej, miał mieć dostateczne powody do uciszenia niewygodnego świadka.

- Czy tamtej nocy dokonał pan aresztowania osobiście?

- Razem z drugim policjantem - mówi.

- Kto był tym drugim policjantem?

- Mój partner, Jerry Smathers.

- Proszę nam powiedzieć, sierżancie, czy w takich wypadkach zawsze zabiera się podejrzanego do aresztu?

- Zazwyczaj podejrzanym jest zwalniany do domu po podpisaniu zobowiązania do stawienia się w sądzie.

- Proszę nam opisać zwykłą procedurę.

- Zgłaszam sprzeciw - odzywa się Leonora. - Pytanie nie ma żadnego związku ze sprawą. Nie chodzi o to, czy nasz klient został aresztowany czy

114

nie, tylko czy prokuratura dysponuje wystarczającym materiałem dowodowym, żeby podtrzymać oskarżenie.

- Sprzeciw odrzucony.

Kline gestem zachęca świadka do udzielenia odpowiedzi.

- W większości przypadków - mówi Frost - spisujemy personalia, zazwyczaj z prawa jazdy. Podejrzanym jest proszony o podanie aktualnego adresu i podpisania zobowiązania do stawienia się w sądzie.

- Podobnie, jak przy wręczaniu mandatu? - pyta Kline.

- Właśnie.



- Dlaczego tym razem odstąpiliście od tej procedury?
- Ponieważ oskarżony odmówił podpisania zobowiązania.
- Odmówił? - Kline obraca się na pięcie, odgrywając zdumienie na użytek prasy.
- Tak.
- Czy wyjaśnił, dlaczego?
- Niezupełnie - powiada Frost.
- Co powiedział?
- Powiedział, że to jakaś pieprzona bzdura.
- Tak się wyraził?
- Dodał jeszcze, że jesteśmy bandą alfonsów.

Kline rzuca okiem w kierunku krzeseł dla prasy, skąd dochodzi gorliwy chrobot ołówków po papierze.

- Czy oskarżony nie podał żadnego innego powodu odmowy podpisania zobowiązania do stawienia się w sądzie? - chce wiedzieć.
- Zapytał, czy wiemy, z kim mamy do czynienia.

Kline robi minę wyrażającą szczere zdziwienie. Jest świetny w te klocki.

- I co pan mu na to odpowiedział?
- Powiedziałem, że nie interesuje mnie, kim on jest i że jeśli nie podpisze, to wyląduje w areszcie.
- Jak on to przyjął?
- Powiedział, żebym wsadził sobie ten papier w dupę.

Acosta pochyla się w moją stronę, jego usta dotykają niemal mojego ucha.

- Wszystko się zgadza. Straciłem panowanie nad sobą - mówi szeptem. - Zresztą to naprawdę banda alfonsów - dodaje.

- Czy zdawał pan sobie sprawę, że podejrzany był urzędującym sędzią? - pyta Kline.

- Doskonale wiedziałem, kim on jest - mówi Frost.

- Czy ta świadomość wpłynęła w jakiś sposób na pańskie postępowanie? Dla takich, jak Kuba Frost, to tylko jeden powód więcej, żeby dać facetowi popalić.

- Nie, nie wpłynęła w żaden sposób.

- Czy aresztowaliście podejrzanego od razu, kiedy odmówił podpisania zobowiązania do stawienia się w sądzie?

115

- Próbowaliśmy mu najpierw przemówić do rozumu.

Chętnie sprawdziłbym, czy nie ma nowych wgnieceń na jego pałce, znam te metody przemawiania do rozumu.

- Powiedziałem mu, że jeśli podpisze, nie zabierzemy go do aresztu i będzie mógł spokojnie wrócić do domu.

- Nieprawda -mówi Acosta. Kolejne rewelacje sączą się w moje ucho. -Od razu zakuli mnie w kajdanki. Nie było żadnego gadania o zwolnieniu do domu -powiada. -Nie mówiąc już o tym, że zwabili mnie tam podstępem.

- Ale on w dalszym ciągu odmawiał podpisania? - dopytuje się Kline.

- Właśnie. Zaczął się paskudnie zachowywać.

- Obsypywał was wyzwiskami?

- Zgłaszam sprzeciw. Pytanie naprowadzające.

- Sprzeciw podtrzymany. Świadek może samodzielnie decydować, co ma odpowiedzieć.

- Wysoki Sądzie - mówi Kline uśmiechając się niewinnie; jakże Sądowi mogło przyjść do głowy, że tu idzie o cokolwiek innego niż ustalenie

czystej prawdy?

- Proszę kontynuować - mówi Radovich.

- Więc co żeście zrobili, sierżancie?

- Musieliśmy go aresztować.

Następuje pauza, podczas której Kline podchodzi do podium dla świadków i opiera się wdzięcznie o drewnianą barierkę.

- Chciałbym teraz prosić, żeby się pan skupił na chwilach bezpośrednio poprzedzających aresztowanie, tuż przed pańskim wejściem do tamtego pokoju hotelowego. Niech pan powie sądowi, kto się wówczas znajdował w pokoju hotelu „Fairmore'a”?

- Zanim wszedłem do środka?

- Tak.

- Chodziłoby o dziewczynę podstawioną na wabia, Brittany Hali i oskarżonego.

- Tylko tych dwoje, sam na sam w pokoju hotelowym. Nie było z nimi żadnego innego policjanta albo jakiegoś świadka?

- Właśnie.

- A gdzie pan się wtedy znajdował?

- Byłem na zewnątrz, pod drzwiami.

- Co pan robił pod tymi drzwiami?

- Próbowałem podsłuchać, co się dzieje w środku - mówi Frost.

- Po co?

- Dla bezpieczeństwa - wyjaśnia gliniarz. - Dowiedzieliśmy się, że aparatura elektroniczna, w którą wyposażona była dziewczyna, nie działa.

- Zostaliście o tym poinformowani?

- Zgadza się.

- Więc stał pan pod drzwiami na wypadek, gdyby dziewczyna potrzebowała pomocy?

116

- Zgadza się.

- Podsluchując?

- Tak.

- Czy dziewczyna była policjantką?

- Nie, była studentką. Od czasu do czasu współpracowała z policją jako ochotniczka.

- Wykonywała już wcześniej podobne zadania?

- Cztery albo pięć razy, z tego co wiem - mówi.

- Czy tamtej nocy, stojąc pod drzwiami pokoju hotelowego, udało się panu podsłuchać jakąś część rozmowy pomiędzy oskarżonym a panną Hali?

- Tak.

- I co pan usłyszał?

- Słyszałem, jak oskarżony zaproponował dziewczynie pieniądze za odbycie z nim stosunku.

Leonora przewraca oczami.

- To nieprawda - mówi Acosta.

Radovich przywołuje go do porządku stuknięciem młotka.

- Jaką sumę oskarżony zaproponował dziewczynie w zamian za stosunek seksualny?

- Dwieście dolarów - mówi Frost.

- Czy określił, o jaki rodzaj stosunku mu chodzi? Miał jakieś szczególne życzenia?

- Chciał pół na pół - powiada Frost.

Twarz Kline'a zmienia się w wielki znak zapytania.

- Normalna kopulacja plus stosunek oralny - wyjaśnia Frost. Ołówki dziennikarzy skrzypią jak oszalałe.

- Czy propozycja wyszła od niego czy od dziewczyny?

- Nie, nie. Od oskarżonego.

- Oto dlaczego chciałem uniknąć wstępnego przesłuchania - Acosta szepcze w moje ucho. - Sam pan widzi, co oni wyprawiają. Stek kłamstw. - Odwraca się do Liii i potrząsa głową. Skoro nie może zaprzeczyć publicznie, chce to zrobić przynajmniej prywatnie, uspokoić tę jedną osobę, która może poczuć się najdotkliwiej zraniona. Układa usta w bezgłośnie zapewnienie: - To nieprawda.

- Wysoki Sądzie. - Kline zauważył, że Acosta odwraca się do tyłu.

Dziennikarze odczytują ruchy jego warg.

- Panie Acosta. - Radovich nakazuje mu gestem, żeby się odwrócił z powrotem, twarzą do ławy sądu. A mnie posyła niezadowolone spojrzenie, jakbym był opieszalą niańką.

- Niech pan kontynuuje, pani prokuratorze. - Wygląda na to, że Radovicha nie bawią stołeczne facecje.

- A więc słyszał pan wyraźnie, jak oskarżony zaproponował dziewczynie pieniądze za usługi seksualne?

- Tak.

117

- I jest pan gotów zeznać to przed sądem, pod przysięgą?

- Jasne.

Kline ma już coś na dobry początek: propozycja zapłaty, pierwszy element

przestępstwa, inaczej mówiąc: zamiar. Na chwilę zwalnia tempo, zadaje parę niewinnych dodatkowych pytań: Czy to dziewczyna zasugerowała seks? Kto pierwszy zaczął mówić na ten temat?

To wszystko zmierza do wykazania, że Acosta nie został wcale wciągnięty w pułapkę, lecz myśl o przestępstwie zakiełkowała w jego własnym, brudnym umyśle.

- Czy oskarżony następnie coś zrobił?
- Sprzeciw - mówi Leonora. - Nie widzę podstaw. Z zeznań świadka nie wynika, że mógł zobaczyć, co się działo w środku.
- Widział pan, co się działo w pokoju?
- Nie.
- Sprzeciw podtrzymany. Następne pytanie.

Teraz Kline potrzebuje drugiego elementu - konkretnego działania. Istnieje kilka potencjalnych rozwiązań, choćby dokonanie transakcji albo zdjęcie spodni. Problem polega na tym, że zarówno rozbieranie, jak i uiszczenie zapłaty może się świetnie obyć bez gadania, chyba że panienka odlicza głośno resztę albo wystawia rachunek.

Zmieniwszy pozycję Kline przez chwilę patrzy z uwagą na świadka.

- Sierżancie Frost, czy słyszał pan coś jeszcze z tego, co działo się wewnątrz pokoju?
- Na przykład odgłos zdejmowania ubrań albo szelest banknotów? Dajże pan spokój! - protestuje Leonora.
- Czy to ma być jakaś forma sprzeciwu? - pyta Radovich.
- Tak, to było pytanie naprowadzające - mówi Leonora.
- Sprzeciw odrzucony.
- Czy tamtej nocy, stojąc pod drzwiami, jeszcze coś pan usłyszał? -Kline

twardo obstaje przy swoim.

- Ach... Słyszałem, jak panna Hali mówiła...

- Zgłaszam sprzeciw. Dowód ze słyszenia.

- Podtrzymany.

- Przejdźmy do następnego pytania - mówi Kline. - W jaki sposób wszedł pan do pokoju, w którym znajdowali się oskarżony i panna Hali?

- Miałem kartę magnetyczną - wyjaśnia.

- Świetnie, sierżancie. A więc posłużył się pan kartą magnetyczną, żeby dostać się do środka?

- Tak.

- I co pan zobaczył, kiedy otworzył pan drzwi?

Frost zastanawia się przez chwilę. Jakoś ciągle nie może załapać.

- Zobaczyłem oskarżonego i pannę Hali.

Kline zachęcająco kiwa głową, stara się rozruszać swojego świadka. Frost nie rozumie, w czym rzecz. W końcu Kline daje za wygraną i zadaje pytanie.

118

- Sierżancie, proszę nam powiedzieć, co konkretnie oskarżony robił, kiedy wszedł pan do środka.

- Och. - Zaskoczył. - Trzymał ręce na ramionach panny Hali i pchał ją w stronę łóżka.

- To kłamstwo! - Zanim mam czas zareagować, Acosta zrywa się na równe nogi. Jeden ze strażników rzuca się w jego stronę.

- Panie Acosta, proszę nie przeszkadzać. Później będzie miał pan okazję przedstawić swoją wersję wypadków - mówi Radovich.

Jest gorzej, niż się spodziewaliśmy. Nie dość, że Kline wykombinował

realne działanie, to jeszcze udało mu się wetknąć do tego element przemocy. Wobec faktu, że dziewczyna została zamordowana, to nam może bardzo zaszkodzić.

- Świadek kłamie - upiera się Acosta.

Strażnik kładzie dłonie na ramionach Acosty i sadza go z powrotem na krzesło.

- Proszę to zostawić swojemu obrońcy - mówi sędzia. Gestem nakazuje Kline'owi, żeby wznowił przesłuchiwanie świadka.

- Powiedział pan, że pańskim zdaniem, oskarżony popychał dziewczynę w stronę łóżka. Czy może pan stwierdzić to z całą pewnością?

- Widziałem to na własne oczy.

- I jaki wniosek pan z tego wyciągnął?

- Zgłaszam sprzeciw. Zachęta do spekulowania.

- Sprzeciw podtrzymany.

- Widział pan, jak oskarżony pchał dziewczynę na łóżko? Frost waha się przez chwilę - oto przelotny moment prawdy.

Kline wie, że musi dostać właściwą odpowiedź, inaczej nic z tego nie będzie.

- Tak - mówi Frost.

Cała postać Kline'a, nie mówiąc o jego twarzy, wyrażają niemal namacalną ulgę.

- Dziękuję, sierżancie. Przekazuję świadka obronie. Zaoferowany materiał aż się prosi o kilka pytań. Niestety, wszystkie dotyczą faktów, których ustalenie leży w gestii sądu przysięgłych, a my nie powinniśmy się w to mieszać.

Leonora zbliża się do podium dla świadków z miną bullteriera



zamierzającego właśnie rozszarpać szczura.

- Dzień dobry - wita Frosta, który odpowiada uśmiechem do złudzenia przypominającym rozciągniętą gumkę recepturkę.

- Sierżancie Frost, zeznał pan, iż został pan poinformowany, że aparatura elektroniczna, w którą panna Hali została wyposażona tamtego wieczoru, nie działa. Czy tak właśnie było?

- Zgadza się.

- Kiedy się pan o tym dowiedział?

- Nie wiem. Parę minut przedtem, zanim wszedłem na górę.

119

- A więc nie stał pan pod drzwiami przez cały czas?

- Nie.

- Jak długo pan tam przebywał?

- Nie wiem. Nie patrzyłem na zegarek. - Do diabła ze szczegółami.

- Dłużej niż minutę?

- Taa...

- Dłużej niż pięć minut?

- Nie wiem.

- Dłużej niż dwie minuty?

- Prawdopodobnie trochę dłużej.

- Stał pan czy klęczał?

- Stałem. Tak mi się wydaje.

- Nie pamięta pan?

- Niezupełnie - mówi Frost.

- A może leżał pan na podłodze?

Patrzy na nią, jakby myślał, że Leonora próbuje zrobić z niego durnia.

- Nie - mówi wreszcie.
- A więc stał pan albo klęczał przez dwie albo pięć minut i w którymś momencie, nie pamięta pan dokładnie w którym, został pan poinformowany, że aparatura elektroniczna nie działa?
- Frost patrzy na Leonorę, jakby chciał ją zabić, ale nie ma żadnej odpowiedzi.
- Kto panu powiedział, że mikrofon nie działa? Chwila namysłu.
- Nie pamiętam. Ktoś z członków zespołu.
- No cóż, spróbujmy to sprecyzować. Powiedział pan, że owej nocy zespół, działający na terenie hotelu, składał się tylko z czterech osób. Zgadza się?
- Taaa.
- Nie mogła to być panna Hali. Zdaje się, że w tym czasie wykonywała swoje zadanie w pokoju hotelowym?
- Zgadza się.
- Musiał to więc być albo pański partner, Smathers, albo czwarty członek zespołu. Kim był czwarty członek waszego zespołu?
- Powiedział mi o tym Smathers. - Frostowi nagle wraca pamięć.
- Przypomniałem sobie, że to on nadzorował pracę aparatury podsłuchowej. To jednak nie gasi zaciekawienia Leonory.
- Kim była czwarta osoba oddelegowana tamtej nocy do waszego zespołu?
- Jakiś oficer - powiada Frost. Jego twarz wyraża niepewność. - Nie znam go. Jakiś porucznik z centrali. Zdaje się, że miał nadzorować akcję.
- Nie wie pan, jak ma na nazwisko facet, który kontrolował pańską pracę?
- Powiedział, jak się nazywa - mówi Frost - ale nie zapamiętałem.

- Ale zapamiętał pan wszystkie szczegóły rozmowy pomiędzy oskarżonym i panną Hali?
- Bo to właśnie mnie interesowało.
- Wyobrażam sobie - powiada Leonora.
- Poradzimy sobie bez komentarzy - wtrąca Radovich.
- Tak jest, Wysoki Sądzie. Czy często się zdarza, żeby do zespołu operacyjnego dołączano oficera z centrali?
- Od czasu do czasu. Lubią sprawdzać, czy dobrze wykonujemy swoje obowiązki. Na wypadek, jakby były jakieś zażalenia.
- Czy kiedykolwiek wpłynęło zażalenie pod pańskim adresem?
- Nie.
- I nie pamięta pan nazwiska tego oficera? Chwila zastanowienia.
- Nie. Powinno być w raporcie.

Rzecz w tym, że nie ma. Widziałem minę Leonory, kiedy Frost zeznał, że zespół operacyjny składał się z czterech osób. W raporcie figurują tylko trzy nazwiska: Hali, Frost i Smathers. Tajemniczy nieznajomy jest zupełnie nową postacią.

- Czy po tamtej nocy widział pan jeszcze-kiedyś tego oficera?
- Hmm. - Głęboki namysł. - Nie.
- Porozmawiajmy o aparaturze elektronicznej. - Leonora zmienia temat. - Czy zdarzyło się już panu kiedykolwiek wcześniej, żeby sprzęt nie zadziałał?
- Parę razy.
- Wie pan, czym to może być spowodowane?

Frost robi wymowną minę oznaczającą, że istnieje tysiąc potencjalnych

przyczyn.

- Sprzęt jest bardzo wrażliwy. Wystarczy odrobina wilgoci - powiada.
- Sierżancie, czy tamtej nocy w pokoju hotelowym padał deszcz?

Uśmiechy w rzędzie dla prasy.

Frost obrzuca Leonorę pełnym sarkazmu spojrzeniem. -Nie.

- A może dziewczyna brała prysznic?
- Nie, ale mogła się pocić.
- Czy się pociła?
- Skąd mogę wiedzieć? Nie siedziałem w jej staniku.
- Nie widział jej pan, prawda?
- Nie.
- W tych drzwiach nie było dziurki od klucza, zgadza się?
- Tak.
- Proszę nam powiedzieć, jakiego rodzaju zamek mają drzwi pokoju hotelowego, w którym znajdowali się oskarżony i panna Hali?

121

- Elektroniczny - powiada. - Trzeba wsunąć kartę magnetyczną w specjalny otwór i zamek puszcza. Wystarczy nacisnąć klamkę i drzwi się otwierają.
- Jaką grubość miały te drzwi, sierżancie Frost?
- Nie mam pojęcia. Nie zwróciłem uwagi.
- Czy wydały się panu ciężkie, kiedy popchnął je pan, żeby wejść do środka?
- To były drzwi do pokoju hotelowego. Nie musiałem ich wyłamywać. Po prostu wszedłem do środka.
- Wie pan, z czego były wykonane? Z drewna czy z metalu?

- Nie posyłałem ich do analizy. Nie mam pojęcia.
- Sierzancie Frost, czy będzie pan zdziwiony, kiedy powiem, że drzwi miały cztery centymetry grubości i składały się z metalowej obudowy, wypełnionej izolacją przeciwpożarową. Były nie tylko odporne na ogień. Nie przepuszczały też żadnego dźwięku.

Przybiera obojętną minę. Wzrusza ramionami.

- Może ściany były cienkie - mówi.
- Jakim tonem oskarżony rozmawiał z panną Hali?
- Nie rozumiem?
- Chcę wiedzieć, czy krzyczał, szeptał, czy mówił normalnie?
- Nie wiem.
- Przed chwilą powiedział pan, że słyszał pan ich rozmowę.
- Tak było.
- W takim razie proszę nam powiedzieć, jakim tonem rozmawiali.
- Normalnym - powiada. - Rozmawiali normalnie.

Leonora odwraca się plecami do podium dla świadków. Zniża głos o oktawę.

- Sierzancie, kiedy po raz ostatni sprawdzano panu słuch?
- Co?
- Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie. Tania sztuczka - protestuje Kli-ne. - Oczekiwałem, że tak znakomitych prawników stać na coś lepszego - skarży się.
- Przykro mi, że rażą pana moje metody, ale pan słyszał wyraźnie moje pytanie. - Leonora bierze Kline'a na świadka.
- Do mnie była pani zwrócona przodem, a do sierżanta Frosta plecami.
- Sierżant Frost sam przyznał, że pomiędzy nim a rozmawiającymi

znajdowały się grube na cztery centymetry drzwi, wypełnione dźwiękoszczelną izolacją, a przed chwilą powiedział nam, że oskarżony i panna Hali rozmawiali normalnymi głosami. Jeśli świadek nie usłyszał mojego pytania, tym bardziej nie mógł słyszeć rozmowy toczącej się za zamkniętymi drzwiami pokoju hotelowego.

- Nie jest pani ekspertem od akustyki - mówi Kline. - Nie ma pani pojęcia, co świadek słyszał, a czego nie słyszał.

122

- On również nie ma pojęcia - Leonora wskazuje na Frosta. - Za chwilę powie nam, że ma w oczach promienie Roentgena. Mogę się założyć, że zanim skończymy przesłuchanie, wymknie się do toalety, żeby przywdziać niebieski płaszcz i czerwone rajtuzy i pokaże nam na tej sali, że potrafi także latać.

- Pani mecenas - Radovich nie jest zachwycony jej uwagą - jeżeli chce pani wyrazić sprzeciw, proszę sformułować go we właściwy sposób i skierować do mnie.

- Chciałbym, żeby ten... ten... ten... - Kline nie może znaleźć dostatecznie pogardliwego terminu na określenie występu Leonory - ...ten wątp-Ewej klasy dowcip - nic lepszego nie udało mu się znaleźć - został usunięty z protokołu.

- Prośba odrzucona - mówi Radovich. - Świadka „co?” pozostanie w protokole.

- Chciałabym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie - mówi Leonora.

-Kiedy po raz ostatni sprawdzano pański słuch?

- Co roku przechodzę komplet badań.

- Czy obejmują one specjalne testy na słuch, czy lekarz tylko zagląda

panu w uszy?

- Zagląda w uszy - powiada.
- Czy znalazł coś w środku?
- Zgłaszam sprzeciw. - Kline zrywa się z krzesła.
- Podtrzymany. Panno Goya, wystawia pani na próbę cierpliwość Sądu.
- Przepraszam, Wysoki Sądzie.
- Proszę kontynuować przesłuchanie. Kline wraca na swoje miejsce.

Leonora zbiera myśli, błędząc oczyma po wyłożonym płytkami suficie.

- Sierzancie - zaczyna po chwili - czy tamtej nocy panna Hali otrzymała jakieś instrukcje na wypadek zagrożenia?
- Na przykład, jakie? - pyta Frost.
- Cóż, młoda kobieta zamierzała zamknąć się w hotelowym pokoju sam na sam z nieznanym mężczyzną. Podejrzany mógł mieć przy sobie broń. Musieliście przedsięwziąć jakieś środki ostrożności. Czy panna Hali była uzbrojona?
- Nie.
- Czy ustaliliście jakiś sygnał na wypadek zagrożenia?
- Na przykład, jaki? - Znowu nie rozumie.
- Na przykład, umówione słowo, którym mogłaby się posłużyć, jeżeli będzie potrzebowała pomocy?
- Było coś w tym rodzaju - przyznaje.
- To znaczy, że gdyby dziewczyna wymówiła ustalone hasło, usłyszeliście je dzięki aparaturze podsłuchowej i wiedzielibyście, że znalazła się w tarapatach. Przyszlibyście jej wtedy z pomocą?

123

- Zgadza się.

- Raport policyjny wspomina, że tamtej nocy zastosowaliście również zabezpieczenie awaryjne.
  - Był jeszcze przycisk alarmowy.
  - Czy mógłby pan wyjaśnić Sądowi, co to takiego jest?
  - To jest w raporcie.
  - Świetnie. Proszę odpowiedzieć na pytanie.
  - Elektroniczny nadajnik, ustawiony na inną częstotliwość niż aparatura podsłuchowa. Czasami jest przypięty do ubrania podstawionej osoby. Najczęściej dziewczyna ma go w torebce.
  - Coś w rodzaju ostatniej deski ratunku? - pyta Leonora.
  - Można tak powiedzieć.
  - Czy przycisk alarmowy należy do standardowego wyposażenia w takich wypadkach?
  - Nie. Zależy od sytuacji.
  - Dlaczego zdecydowaliście się na zastosowanie przycisku alarmowego tamtej nocy, kiedy oskarżony został przyłapany w pokoju hotelowym z panną Hali?
  - Nie wiem.
  - Czy przypadkiem nie dlatego, iż ktoś przewidział z góry, że aparatura podsłuchowa nie zadziała?
  - Nie. Nic w tym rodzaju — powiada. — Po prostu w pewnych przypadkach zakładamy przycisk alarmowy, a w innych nie.
- Trudno nie zrozumieć, do czego zmierza Leonora. Jeżeli gliny zwabiły Acostę w zasadzkę, posługując się jakąś zmyśloną historyjką, nagranie rozmowy pomiędzy nim i panną Hali bynajmniej nie leżało w ich interesie. Gdyby sędzia wpadł we wściekłość, wypowiedzenie ustalonego hasła przy



nie działającej aparaturze na niewiele by się zdało. Tylko naciśnięcie przycisku alarmowego mogło uratować podstawioną na wabia panienkę.

- Proszę nam wobec tego powiedzieć, jakie instrukcje otrzymała panna Hali? W jaki sposób miała posłużyć się sygnałem słownym i przyciskiem alarmowym?

- Najpierw sygnał słowny - wyjaśnia Frost - dopiero potem przycisk.

Tylko wtedy, jeśli sygnał słowny nie przyniesie efektu.

- Dlaczego nie mogła użyć przycisku alarmowego od razu?

- Bo to zawsze niesie ze sobą pewne ryzyko. Jeleń mógłby coś zauważyć i stać się agresywny - powiada.

- Czy panna Hali była osobą inteligentną? Potrafiła zachować zimną krew w trudnej sytuacji?

- Taaa.

- Wiedziała, na co się decyduje?

- Na to wyglądało.

- Czy zazwyczaj stosowała się do udzielanych jej instrukcji? Frost z przekonaniem kiwa głową.

124

- Czy mam to uznać za odpowiedź twierdzącą? - pyta Leonora.

- Tak.

- Nie wie pan, czy kiedykolwiek przedtem była zmuszona skorzystać z tego rodzaju środków bezpieczeństwa?

- Raz czy dwa musiała posłużyć się sygnałem słownym. Przycisk alarmowy zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Trzeba jej było wyjaśnić, jak to działa.

- Jak brzmiał sygnał słowny, który Brittany Hali miała użyć tamtej nocy?
- To było jakieś zdanie, nie pamiętam dokładnie. Za każdym razem stosujemy inne hasło.
- „Wyjątkowo gorąca noc”? - mówi Leonora.

Tego nie było w policyjnym raporcie. Kline patrzy na Leonorę zwięzonymi w małe szparki oczyma. Dobrze wie, że ta informacja może pochodzić tylko z jednego źródła: od samej Brittany Hali, z którą Leonora rozmawiała w jego własnym biurze. Widzę, jak zapisuje coś na okładce leżącej przed nim kartonowej teczki.

- Czy nie tak właśnie brzmiał sygnał słowny, którym Brittany Hali miała się posłużyć w razie niebezpieczeństwa? - pyta Leonora. - „Wyjątkowo gorąca noc”?

- Bardzo możliwe - mówi Frost. - Coś w tym rodzaju.

- Czy w nocy, kiedy został zatrzymany Armando Acosta, słyszał pan te słowa, wypowiedziane przez Brittany Hali? Czy słyszał pan, jak powiedziała „wyjątkowo gorąca noc”?

- Nie.

- Ale podsłuchiwał pan pod drzwiami, czyż nie? -Tak.

- Sierżancie Frost, czy nie jest prawdą, że tamtej nocy panna Hali wypowiedziała te słowa, nie jeden raz, lecz trzykrotnie, a pan ich nie usłyszał, ponieważ nie słyszał pan niczego, co zostało powiedziane w pokoju hotelowym?

- To nieprawda - powiada.

Leonora mogła się tego dowiedzieć tylko od Brittany Hali i Kline doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- W takim wypadku, jak pan wytłumaczy fakt, że zareagował pan dopiero

na sygnał przycisku elektronicznego, którym, zgodnie z instrukcją, panna Hali miała się posłużyć jedynie w przypadku, gdy sygnał słowny zawiedzie?

Niepodważalna prawda. W raporcie policyjnym stoi zapisane jak wół, że Frost wszedł do środka dopiero, kiedy powiedziano mu, że odezwał się sygnał alarmowy.

- Mogła wpaść w panikę i popełnić błąd - powiada.

Na tym właśnie polega problem z drobnymi nieścistościami. Rozmnażają się jak króliki.

125

- Sierzancie Frost, zeznał pan, że stojąc pod drzwiami pokoju hotelowego podsłuchał pan rozmowę pomiędzy oskarżonym i panną Hali. Proszę nam powiedzieć, co pan dokładnie usłyszał.

- Słyszałem, jak oskarżony proponował pieniądze w zamian za seks.

- Tak. Wszyscy słyszeliśmy, jak pan o tym mówił. Chciałabym jednak, żeby powtórzył nam pan słowa oskarżonego. Dokładnie.

- Nie robiłem notatek - mówi Frost.

- Czy to znaczy, że nie pamięta pan słów oskarżonego? To mogłoby pogrzebać całą argumentację Kline'a.

- Tego nie powiedziałem.

- W takim razie, co - według pana - oskarżony powiedział?

- Próbował się z nią targować.

- Prosił, żeby dała mu zniżkę?

Świadek robi minę, jakby chciał powiedzieć, że to się zdarza.

- Proszę powtórzyć jego słowa. Chwila zastanowienia.

- „Co pani powie na dwieście dolarów, a może dwie setki” - coś w tym

rodzaju.

- Nie może pan sobie przypomnieć dokładniej?

Frost zaciska usta, na jego twarzy widać wysiłek umysłowy.

- Powiedział... - Wahanie. - Powiedział: „Zapłacę pani dwieście dolarów za seks”.

Leonora o mało co nie wybucha śmiechem, słysząc tę oficjalną ofertę.

Jakby jeleń kupował mleko.

- Tak właśnie oskarżony się wyraził? „Zapłacę pani dwieście dolarów za seks”?

- Zgadza się.

- Przed chwilą twierdził pan, że oskarżony powiedział „pół na pół”.

- Co to za różnica? - Acosta syczy w moje ucho. - Przecież to i tak stek kłamstw.

- I dlatego musimy je wyciąć jak nowotwór - szepczę w odpowiedzi. Gdy nasze oczy spotykają się, czuję po raz pierwszy, od początku tej sprawy, coś na kształt zrozumienia. Wyraz jego twarzy sprawia, że zaczynam mu wierzyć. Nie to, żebym nie potrafił wyobrazić sobie Acosty w takiej sytuacji. Przypuszczam, że raz czy drugi zdarzyło mu się zrobić coś podobnego. Rzecz w tym, że nie wierzę, że zrobił to tym razem.

- Być może powiedział: „zapłacę pani dwieście dolarów za pół na pół” - mówi Frost.

- Więc jak to było?

- „Pół na pół” - powiada. - To było „pół na pół”. - Zadowolona mina. Ta wersja mu odpowiada. Jak wielkie kłamstwo może się schować w ośmiu słowach?

- I jest pan zupełnie pewien, że oskarżony wspominał o dwustu dolarach?

- Całkowicie. - Frost z przekonaniem kiwa głową. Obok mnie Acosta zgrzyta zębami.

- Pieprzone kłamstwo. - Przykład właściwego użycia przymiotnika. -Chcę zeznawać - oświadczają. Tego by jeszcze brakowało. Mówię mu, żeby siedział cicho.

Porzuciwszy na chwilę świadka, Leonora szuka czegoś w swoich papierach. Wreszcie znajduje to, o co jej chodzi, i pojedyncza kartka łąduje na stole przed Kline'em. Prokurator podnosi ją i czyta. Nie dając mu czasu na skończenie lektury, Leonora prosi sędziego o pozwolenie na podejście do podium dla świadka. Kiedy Radovich kiwnięciem głowy wyraża zgodę, Leonora wręcza mu drugą kartkę.

- Sierżancie, za moment pokażę panu pewien dokument i poproszę, żeby pan go zidentyfikował. - Podaje świadkowi trzecią kartkę. Frost rzuca na nią okiem.

- Czy wie pan, co to jest?

- Formularz inwentarzowy.

- Formularz inwentarzowy czego? Jaka instytucja wystawia takie dokumenty?

- Areszt okręgowy - mówi Frost.

- Do czego służą takie formularze?

- Do spisywania rzeczy osobistych, które zatrzymany oddaje do depozytu.

- Czy miał pan już kiedyś do czynienia z takimi formularzami? Może niekoniecznie z tym właśnie egzemplarzem, ale z innymi, tego samego rodzaju?

- Pewnie. - Odkłada kartkę na barierkę podium dla świadków,

najwyraźniej straciwszy dla niej zainteresowanie.

- Czy na formularzu, który panu wręczyłam, jest napisane nazwisko?

- Taaa. - Nawet nie patrzy.

- Czyje to nazwisko?

- Oskarżonego. Armanda Acosty.

- Czy jest zaznaczone, z jakiego paragrafu został zatrzymany?

- Paragraf sześćset czterdzieści siedem, punkt B - powiada.

- Czy ten formularz inwentarzowy został wypełniony w noc, o której mowa?

- Na to wygląda.

- Sierżancie, czy ten formularz zawiera rubrykę pod nazwą „posiadana gotówka”?

Twarz Frosta przybiera nagle nieobecny wyraz, jakby jego oczy zwróciły się do środka w poszukiwaniu duszy, której tam nigdy nie było.

- Sierżancie, chciałabym, żeby rzucił pan okiem na rubrykę „posiadana gotówka” i powiedział mi, co jest w niej napisane.

Frost podnosi z barierki kartkę papieru, zagląda w odnośną rubrykę i wreszcie do niego dociera. Zamienia się w słup soli na środku podium  
127

dla świadków i nie wygląda na to, żeby zamierzał odpowiedzieć na pytanie.

- Niech mi pan powie, sierżancie, czy podstawione przez was panienki przyjmują karty kredytowe? Albo czek? Co jest napisane w tej rubryce?

Frost rzuca błagalne spojrzenie w kierunku Kline'a, który - niestety -nie może przyjść mu z pomocą.

- Proszę nam wytłumaczyć, sierżancie, jak to możliwe, żeby oskarżony

zapropował pannie Hali dwieście dolarów za usługi seksualne, skoro miał przy sobie wszystkiego czterdzieści dwa dolary dwadzieścia siedem centów? Czyżby panna Hali wydawała kupony zniżkowe? Niech pan odpowie wreszcie, sierżancie.

- Nie wiem - powiada Frost. - Wiem tylko to, co usłyszałem.

- Czy nie jest prawdą, że w przypadku tego rodzaju aresztowań czeka się zawsze, aż klient uiszczi zapłatę?

I tu mają ciężki orzech do zgryzienia, raport policyjny bowiem stwierdza wyraźnie, że panna Hali nie dostała od Acosty żadnych pieniędzy. Frost zdążył tymczasem stracić całą pewność siebie.

- W niektórych przypadkach - przyznaje.

- We wszystkich przypadkach - powiada Leonora. - Czy wasze instrukcje nie określają tego jasno? Mądem się wstrzymać z aresztowaniem, dopóki nie zobaczycie pieniędzy leżących na stole. Czy nie jest tak, że dopiero uiszczenie opłaty przez klienta daje wam podstawę do aresztowania?

- Czasami - powiada.

- Wcale nie czasami, sierżancie. Czy nie tak właśnie brzmiały wasze rozkazy? Proszę mi powiedzieć, czy to nie jest standardowa procedura, stosowana przy podobnych aresztowaniach?

- Zgłaszam sprzeciw. Obrona wdaje się w dyskusję ze świadkiem - protestuje Kline.

- Bardzo interesująca dyskusja, jeśli o mnie chodzi — stwierdza Radovich. - Sprzeciw odrzucony. - Sędzia czeka na odpowiedź.

- Niech pan nam powie, sierżancie, dlaczego tamtej nocy wtargnął pan do pokoju hotelowego, zanim oskarżony zdążył wyciągnąć portfel?

- Nie wiem - mówi. - Aparatura podsłuchowa zawiodła. Przypuszczam, że

wpadłem w panikę.

- Ale słyszał pan każde słowo z toczącej się w pokoju rozmowy? Sam pan to przed chwilą zeznał. Rzeczywiście tak było?

- Taaa.

- Czy nie jest prawdą, że oskarżony nie zapłacił pannie Hali, ponieważ nigdy jej nie proponował żadnych pieniędzy, a ich rozmowa nie miała nic wspólnego z seksem?

Z tyłu sali słychać nerwowe skrzywienie ołówków. Dziennikarze chcieliby się pewnie dowiedzieć, o czym w takim razie Acosta rozmawiał z Brittany Hali.

128

- Może chciał, żeby dopisała to do rachunku - zgaduje Frost.

- Proszę o wykreślenie uwagi świadka z protokołu. To nie jest odpowiedź na moje pytanie - mówi Leonora.

- Wyrażam zgodę - powiada sędzia. - Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Nie mogę - oznajmia Frost. - Nie wiem. Tak to już jest, jak się zacznie kłamać.

9- Sędzia

12

Od razu wiedziałem, że dobry z niego chłop - mówi Harry. - Może i nie jest wielkim umysłem, ale ma wrodzone poczucie sprawiedliwości. - Harry wyraźnie gustuje w wiejskich sędziach.

- Na pewno głosuje na demokratów. - Zdaniem Hindsa, dobry sędzia nie musi być uczony w prawie, grunt, żeby serce miał współczujące. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę rodzaj klienteli, korzystającej z usług Har-



ry'ego. Jednak muszę przyznać, że dzisiejszego ranka Radovich wskoczył na sam szczyt mojej listy sprawiedliwych, zaraz po Panu Bogu. Jestem pewien, że Leonora podziela moje uczucia. Radovich przychylił się do naszego wniosku. Nie będzie osobnego procesu o wykroczenie przeciwko moralności.

- Miałam wrażenie, że w ogóle nie chwycił, o co chodzi - mówi Leonora.

- Pewnie tak było - powiada Harry. - Potrzebował jakiegoś dodatkowego bodźca, żeby załapać. - Harry wczytuje się w jednostronicowy dokument, obwieszczający decyzję Radovicha. Nadelektowawszy się do woli tym arcydziełem literatury sądowej, oddaje mi kartkę. Harry uważa, że sędzia nie życzy sobie, żeby Frost zatruwał umysły sędziów przysięgłych oczywistymi kłamstwami. Ponieważ to do nich należy ocena wiarygodności świadka, uznał, że najlepiej będzie w ogóle nie dopuścić faceta na podium dla świadków.

Leonora nie wygląda na zadowoloną, chociaż w końcu udało jej się postawić na swoim. Oskarża sędziego o kierowanie się zasadą „cel uświęca środki”.

- Słuszna decyzja, wynikająca z niesłusznych przesłanek - powiada.

- Przestań szukać dziury w całym - naskakuje na nią Harry. - Grunt, że wygraliśmy.

- Wygrana to jeszcze nie wszystko - powiada Leonora.

130

- Pewnie. Ale to jedyne, co się liczy.

- Mniejsza o to. I tak nie zrozumiesz - mówi Leonora.

Przypuszczam, że nie tak sobie wyobrażała pokonanie Kline'a. Prokurator miał się ugiąć przed intelektem, a nie przed autorytetem urzędu. W jej

oczach fakt, że sędzia kompletnie zignorował prawnicze subtelności, odbiera zwycięstwu cały smak.

Słuchając jednym uchem przekomarzanek moich współpracowników, czytam zarządzenie sądu. Pisemko informuje Kline'a, że jego wniosek o połączenie obu oskarżeń - o wykroczenie przeciwko moralności i o zabójstwo - zostanie rozpatrzony we właściwym czasie. Ostatni raz widziano Kline'a, jak wybiegał z budynku sądu tocząc pianę z ust i bełkocząc coś niezrozumiale o Leonorze i etyce zawodowej. Coś mi się zdaje, że czekający nas proces będzie nosił wszelkie znamiona krwawej wendetty.

Dziś rano zebraliśmy się w moim biurze, żeby omówić ostatnie rewelacje śledztwa, których ostatnio, trzeba przyznać, zaczęło przybywać w zastraszającym tempie.

- Nie odnosisz czasem wrażenia, że mają klęskę nadprodukcji? -pytam Harry'ego. Jestem ciekaw, czy ten potop materiału dowodowego ma za zadanie odwrócić naszą uwagę od czegoś konkretnego, czy też gliny chcą po prostu pozbyć się nagromadzonych zapasów.

Harry'emu przypadła w udziale zaszczytna funkcja kustosza napływającej dokumentacji. Jego gabinet zawalają stosy papierzysk, które lada moment sięgną sufitu. Tak to już jest z nami prawnikami. Ukrywamy drzewa w lesie.

Harry siedzi w jednym z foteli dla klientów, przystawionym do narożnika mojego biurka, a przed nim piętrzy się okazała kupka raportów i formularzy. Za jego plecami Leonora, niczym swobodny duch, snuje się w te i we w te po pokoju. Lewe ramię, zgięte na wysokości piersi, podtrzymuje łokieć prawej ręki, której dłoń z kolei podpira podbródek;

klasyczna poza medytacji.

- Trudno zgadnąć - stwierdza filozoficznie Harry. - Wszyscy mamy swoje sekrety.

Harry wie, co mówi. Jest mistrzem strategii „wiadomości z ostatniej chwili”.

- Czym byłby proces - powiada - bez niespodzianek? - Gdyby to od niego zależało, świadków dostarczano by na salę rozpraw w przewiązanych wstążeczką paczkach.

Rozpoczyna przegląd materiału.

- Wszystko wskazuje na to, że w mieszkaniu ofiary nie znaleźli żadnych odcisków palców. Nawet jej własne gdzieś się zapodziały. Jedno z dwojga, albo miała nawiedzoną sprzątaczkę, albo zabójca wszystko powycierał. Jeśli nie liczyć pojedynczego, rozmazanego odciska kciuka na drzwiach wejściowych.

Zerkam na Leonorę, patrzy na mnie oczyma wielkimi jak spodki. Podnosi do góry obie dłonie i wzrusza ramionami, jakby chciała powie-

131

dzieć, że nie ma z tym nic wspólnego. Cała ta pantomima odbywa się za plecami Harry'ego, poza zasięgiem jego wzroku.

- Dopasowali go do konkretnej osoby? - pytam.

- Wykluczyli dziewczynę. Nic więcej nie wiadomo. Ale zawsze mogą spróbować zrobić małe hokus-pokus z tym Superkomputerem

Ministerstwa Sprawiedliwości - powiada.

Po moim kręgosłupie przechodzi dreszcz przerażenia.

- Chcecie, żebym podesłał im jakiś kasek? - Ma na myśli wyniki naszego własnego śledztwa, którymi, zgodnie z obowiązującymi od niedawna

przepisami, powinniśmy się dzielić z policją.

Rzucam mu nieobecne spojrzenie, moją uwagę zaprzatają drobne kreseczki i zwoje, pozostawione na drzwiach wejściowych do mieszkania nieżywej panienki.

- Mogę wiedzieć, co zamierzamy zrobić? Mamy te dane od okulisty.

Chcecie, żebym je jeszcze przytrzymał, czy mogę je przekazać Kline'owi?

- Nie wiem. - Pytam Leonorę o zdanie.

- Co? Przepraszam. Wyłączyłam się. - Jak widać, nasze myśli nie krzyżują się. Wstępne objawy paniki.

Sporządzamy pośpieszny inwentarz materiałów, którymi jesteśmy skłonni podzielić się z policją.

- Dorzuć okulistę. Niech się cieszą - decyduję wreszcie. Leonora zgadza się ze mną.

- To można im dać - powiada - ale wstrzymaj się jeszcze z listą świadków.

Nie ma sensu przesadzać z hojnością.

Harry potakująco kiwa głową. Założę się, że ciągle jeszcze dopisuje nazwiska z książki telefonicznej do naszej listy świadków, żeby przysporzyć troski prokuraturze i roboty glinom, chociaż wybitni eksperci i tak się nie ukryją przed przenikliwym okiem Kline'a. Wyłowi ich natychmiast, kiedy tylko ujawnimy listę. Powiada, że prokuratura nie ujawniła jak dotąd swojej listy świadków. Oczekujemy tego wydarzenia z zapartym tchem, nie tylko ze względu na ekspertów oskarżenia, lecz przede wszystkim dlatego, iż wciąż nie mamy pojęcia, czy Oscar Nichols, sędzia, na którego ramieniu Acosta wyplakiwał swoje frustracje przy wtórze śmiertelnych pogroźek pod adresem Brittany Hali, zwierzył się z tego policji.

- Moglibyśmy go przepytac na tę okolicznosc - proponuje Harry. Leonora osuwa sie na wolne krzeslo dla klientow. Nareszcie wraca jej zainteresowanie pozostałymi elementami rzeczywistości oprócz odcisniętego na drzwiach kciuka.

- Nie uważam, żeby to był najlepszy pomysł - powiada. - To delikatna sprawa. Możliwe, że Nichols nie przywiązał żadnej wagi do wynurzeń Acosty. Może jest przekonany, że jego przyjaciel nie mógł czegoś takiego powiedzieć poważnie. Jeżeli zaczniemy się dopytywać, może uznać, że ma to jakieś znaczenie i, nie daj Boże, poczuć się zmuszony do polecenia na policję.

132

Święte słowa.

- Na razie zostawmy to tak, jak jest. Zobaczymy, co będzie dalej - mówię Harry'emu.

Obrzuca mnie spojrzeniem, które mówi: „znowu stajesz po jej stronie”.

Proszę go, żeby streścił nam ostatnie nowości.

- Zaczniemy od złych wiadomości, zaczyna się od sierści i włókien -powiada. - Pamiętajcie, o co chodzi?

Kiwam głową.

- Szorstkie, czerwonawobrazowe włosy?

- Nasz klient twierdzi, że nie trzyma żadnych zwierzaków - mówię. -Jest alergikiem.

- Być może - on mi na to - ale gliny znalazły podobne włosy na meblach i dywanie w jego domu.

Harry obrzuca mnie spojrzeniem oznaczającym: „a nie mówiłem?”

- Nie było ich wiele, zauważ - mówi - ale wystarczy. Nie muszą

wyciągnąć mu z gardła kłęбка sierści.

- Skąd to się wzięło? - chciałbym wiedzieć,

- Konie - wyjaśnia Harry. - Wygląda na to, że jego pani jeździ konno.

- Liii? - pyta Leonora.

- Właśnie. Korzysta z jakiejś stajni za miastem. Trzyma tam konia i bierze lekcje. Jeśli wierzyć policji, robi to od ośmiu miesięcy. Według ich teorii - Harry ma na myśli gliny - to Liii przywlokła sierść do domu, a jej małżonek zebrał włosy z mebli na swoje ubranie i w bliżej nie określony sposób przeniósł je na koc, w który były owinięte zwłoki.

Spoglądam znacząco na Leonorę. Była razem ze mną w więzieniu, kiedy rozmawiałem z Acostą, i słyszała jego gorące zaprzeczenia.

- Trudno uwierzyć, że podobny drobiazg umknął jego uwagi.

- Koń to duże bydlę - powiada Harry. - Należałoby przypuszczać, że będzie o czymś takim pamiętał.

- Zapytałeś go, czy ma w domu jakieś zwierzę - mówi Leonora. - Faktem jest, że nie ma.

- Mam nadzieję, że na sali rozpraw wykaże się większą domyślnością.

- Może się wykaże, a może się nie wykaże - powiada Harry. Leonora wzrusza ramionami.

- Sierść nie stanowi rozstrzygającego dowodu - zauważa. - Co najwyżej mogą stwierdzić podobieństwo. Mnóstwo ludzi jeździ konno. Możemy przejść się po stajniach i pozbierać próbki. Przypuszczam, że nasi eksperci bez trudu znajdą tuzin koni z taką samą sierścią.

- Owszem, tylko że to jeszcze nie wszystko - mówi Harry. - Nie zapominajcie o włóknach. O tych, niebieskich niteczkach, znalezionych na kocu. Mówi wam to coś?

Dowiadujemy się, że raport prokuratury potwierdza złe wieści, którymi tak wspaniałomyślnie podzielił się z nami Mendel. Owe tycie, nylonowe niteczki pasują do wykładziny służbowego wozu Acosty.

133

- Po Waszyngtonie jeżdżą tysiące samochodów z identyczną wykładziną - stwierdza Leonora. - Założę się, że na stanie administracji okręgu jest co najmniej dwadzieścia takich wozów. Jeśli nie więcej.

Harry nalega na ponowne spotkanie z naszym klientem, jego zdaniem powinniśmy go wreszcie przycisnąć jak należy. Najchętniej za pomocą policyjnych pałek.

- Masz tam raport z laboratorium serologicznego? Określili grupę krwi z mieszkania denatki? - pytam. Nie byłoby źle, gdyby okazało się, że sprawca zrobił sobie kuku podczas bójki, pozostawiając swoją wizytówkę na dywanie w salonie. Wiedzielibyśmy przynajmniej, na czym stoimy. Jeśli krew należy do Acosty, pierwszy polecę jutro do więzienia z gumową pałą w rękę, żeby rozmówić się z naszym klientem.

- Grupa A - powiada. - Taka, jaką miała panienka. To wszystko, co mają. To samo tyczy się koca.

- Znaleźli jakieś ślady krwi w samochodzie Acosty? Może w bagażniku? - pytam.

- Jeśli nawet znaleźli, raport o tym nie wspomina - mówi Harry. Mogli to ukryć, żeby zrobić nam niespodziankę w odpowiednim momencie, chociaż, moim zdaniem, nie poszliby na takie ryzyko. Radovich niechybnie dostałby ataku szału, co zaowocowałoby straszhliwymi sankcjami, z wykluczeniem przydołowanej rewelacji z materiału dowodowego włącznie.

- Termin przedstawienia wyników śledztwa upływa dopiero za cztery dni. Mają jeszcze trochę czasu - zauważa Harry. - Jeśli rzeczywiście coś mają, zdążymy się o tym dowiedzieć.

- Na co niby mieliby czekać? - mówi Leonora. - Jeśli w samochodzie Acosty była krew, cztery dni niczego nie zmienią. I tak zdążymy sprawdzić, co jest grane. Badanie DNA da nam jednoznaczną odpowiedź. Myślę, że Leonora ma rację. Myślę, że sprawdzili samochód, ale niczego tam nie znaleźli. Wolą się na razie do tego nie przyznawać, chociaż mogą być pewni, że, jak przyjdzie co do czego, nie omieszkamy przepytać ich na okoliczność nieobecności śladów krwi w wozie naszego klienta.

Harry przechodzi do notatki w kalendarzu ofiary, tej, z której wynika, że w dniu zabójstwa Brittany Hali była umówiona z Acostą. Harry jest zdania, że sędzia nie mówi prawdy. Przez parę minut rozważamy, cóż takiego mogła oznaczać owa notatka, lecz za każdym razem wychodzi na to samo. Nie potrafimy zaproponować żadnego wyjaśnienia. Cieszę się przynajmniej, że sprawa wreszcie wyszła na światło dzienne i nie musimy się już bać, że coś nam się wymknie przez nieuwagę w obecności Harry'ego.

- Mają jakieś narzędzie zbrodni? - pyta Leonora.

- Nic z tych tyczy - powiada Harry. - Mogą się co najwyżej podeprzeć teorią, że uderzyła się w głowę padając. Pewnie gdzieś obok stał

134

jakiś ciężki mebel. Powinniście się tam wybrać, żeby rozejrzeć się na miejscu.

- Słuszna uwaga - ja mu na to. - Zapisz, żebyśmy nie zapomnieli



-zwracam się do Leonory.

Przeszywa mnie wzrokiem Bazyliszka.

Zostało jeszcze parę drobiazgów i Harry pobieżnie je omawia.

- Mały czarny notesik, w którym panienka zapisywała telefony. Mimo woli unoszę brwi.
- Nic ciekawego. Numery paru gliniarzy, czego należało się spodziewać - powiada Harry. Podesłali mu fotokopię, plik spiętych w jednym rogu kartek. Podaje mi je, żebym sobie obejrzał.
- Telefony policjantów bynajmniej mnie nie dziwią. Panienka była grupie. Miała ambicje. Robiła specjalizację z policji. Oprócz tego są tu inne numery.
- Jasne. -Wertuję zszyte kartki, na oko jest ich ze trzydzieści. Żadnych rewelacji, chociaż brakuje niektórych stron. Pytam Harry'ego, co mam o tym myśleć.
- Taaak. Brakuje kartek z literami A, I, K i M - przyznaje. - Gliny twierdzą, że ktoś je wyrwał. Też ich nie mają i nie wiedzą, dlaczego zostały wyrwane.
- Widzę tu numer obyczaj ówki — zauważam. Harry wzrusza ramionami.
- Pracowała dla nich.

Teraz przerabiamy raport lekarza sądowego. Harry nie czeka, aż skończę czytać. Wyraźnie zamierza nas wykończyć.

- Badania na okoliczność gwałtu nie wykazały żadnych obrażeń w okolicy narządów rodnych. Cytuję „nie stwierdzono śladów przemocy ani obecności obcych substancji - chodzi o cudze włosy łonowe, jakby ktoś nie wiedział - wtrąca Harry - w okolicy narządów rodnych" -mówi. — „Żadnych śladów spermy". Wygląda na to, że sprawca nie był w nastroju

do seksu - powiada.

- Dalej idą siniaki. Były z przodu i z tyłu szyi.

Harry odrzuca raport na róg biurka, wstaje z krzesła i zachodzi od tyłu Leonorę.

- Hej! - protestuje nasza przyjaciółka.

- W ten oto sposób - powiada Harry, obejmując dłońmi szyję Leonory.

Palce wskazujące lewej i prawej dłoni spotykają się na grdyce, jakby to był pryszcz do wyciśnięcia.

- Odwal się! Nóż się w kieszeni otwiera - mówi Leonora.

- Nie, nóż tu nie miał nic do rzeczy - stwierdza Harry nie zdejmując rąk z jej szyi. Harry prowokuje los. To się może źle dla niego skończyć.

-Znaleźli ślady czterech palców obu dłoni, ułożone w skośne linie po obu stronach grdyki i odpowiadające im odciski kciuków na karku - wyjaśnia.

135

Zdejmuje ręce z szyi Leonory dokładnie w ostatnim momencie. Leonora zdążyła właśnie schwycić leżący na biurku metalowy zszywacz.

- W związku z powyższym trudno stwierdzić z całą pewnością, czy ofiara upadła, została rzucona na ziemię, czy też sprawca dał jej po głowie ciężkim tępym narzędziem.

Ze słów Harry'ego wynika, że raport z prosektorium nie wyklucza żadnej z tych trzech możliwości. Gliny pozostawiają na razie kwestię narzędzia zbrodni otwartą.

Przechodzimy do próbek pobranych z paznokci ofiary.

- Znaleziono trochę fascynującego brudku - powiada Harry - ale żadnych obcych tkanek.

Z czego dedukuje, że ofiara miała bardzo mało czasu na reakcję, zanim padła martwa, albo przynajmniej pozbawiona przytomności.

- Normalny człowiek, kiedy ktoś łapie cię z tyłu za gardło - powiada - rozczapierza pazury.

Jego uwaga nie jest pozbawiona sensu. Harry wraca na swój fotel.

- Przyczyna zgonu? - chcę wiedzieć.

- Pęknięcie czaszki, rozległy wylew do mózgu - wyjaśnia. - Teraz pewnie zapytasz, czy, moim zdaniem, jest do tego zdolny. - Harry ma na myśli Acostę.

Oczy wszystkich obecnych zwracają się na niego.

- Jasne - powiada - dalej chowajcie głowy w piasek. Bądźcie jednak łaskawi zauważyć, iż wedle wszelkich danych mamy do czynienia ze zbrodnią w afekcie. Niekontrolowane emocje, atak szału, te rzeczy, a nie żadne tam morderstwo z premedytacją - mówi. - Zupełnie się z wami zgadzam, że sędzia nie nadaje się na mordercę zabijającego z zimną krwią.

- Jestem zbudowana twoim zaufaniem do naszego klienta - oświadcza Leonora.

- Możemy wyrzucić mu niedźwiedzią przysługę okazując nadmiar zaufania - powiada Harry. - Pamiętajmy, że tu idzie o jego życie. Jeden fałszywy ruch i nie będzie czego zbierać.

- Co, w takim razie, proponujesz? - pyta Leonora.

- Może zabójstwo w afekcie. Wypadek. Kłótnię, która wymknęła się spod kontroli i przerodziła w szarpanie - powiada.

- Zapominasz o jednym: on twierdzi, że tego nie zrobił.

- A jakże - Harry na to.

- Co to ma być? Parę włosów, trochę włókien, a ty już zabierasz zabawki i

idziesz na swoje podwórko? - oburza się Leonora.

- I jeszcze motyw zabójstwa, i ewentualny świadek, który słyszał, jak jej groził śmiercią, i notatka w kalendarzu ofiary, a może nawet odcisk kciuka na drzwiach jej mieszkania, nie mówiąc już o tym, co będzie, jeśli

136

znajdą kogoś, kto go widział tamtej nocy pętającego się po okolicy

-wylicza Harry. - Jeszcze ci mało?

- Same poszlaki - powiada Leonora.

- Jasne. Za takie właśnie poszlaki ludzie idą na krzesło elektryczne.

- Wygląda na to, że za długo zajmowałeś się wykroczeniami - stwierdza Leonora. — Jesteś bez jaj.

- Mam dość tego gówna - Harry oznajmia podnosząc się z fotela.

-Zawiadam mnie, kiedy skończycie - zwraca się do mnie. - Rusza w kierunku drzwi. Ostatnie, co słyszę, to grzechot szklanych drzwi, wprawionych w drganie potężnym trzaśnięciem.

Leonora podnosi do góry oczy.

- Przepraszam - mówi. - Chyba trochę przeholowałam. Ale mam wrażenie, że moja obecność działa mu na nerwy.

- Powinnaś okazać Harry'emu trochę więcej wyrozumiałości - mówię. - Nie naskakuj na niego. Tak się składa, że nie jest zwolennikiem współpracy z kobietami.

- Zdążyłam zauważyć - powiada.

- Musisz go lepiej poznać. W gruncie rzeczy to świetny facet. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi - ciągnę dalej.

- Hej, ja też jestem twoim przyjacielem. - Mówi to niemal obronnym tonem, na jej twarzy maluje się ból.

Nie myśląc o tym, co robię, zrywam się krzesła, staję za jej plecami i obejmuję ją mocno ramieniem.

- Wiem, że jesteś. Ani przez moment w to nie wątpiłem.

Odwraca się do mnie twarzą, nasze oczy spotykają się na moment, jednak ta krótka chwila wystarczy, by obojgu nam uzmysłowił prosty fakt: teraz z Leonorą łączy mnie coś znacznie ważniejszego niż zwykła przyjaźń.

Chcąc nie chcąc, podejmuję się roli mediatora pomiędzy Leonorą i Harrym. Mówię, że z nim porozmawiam, spróbuję załagodzić nieporozumienie.

- Nie rób tego ze względu na mnie - powiada. - Odnoszę wrażenie, że Harry nie ma serca do tej sprawy. Nie będziemy mieli z niego wiele pożytku, jeśli się do niej nie przekona.

- Przekona się, wierz mi - mówię.

Pomijam milczeniem, że sam nie mam w sobie dużo więcej entuzjazmu od Harry'ego. Wcale mi się nie podoba, że nasz klient świadomie wprowadził nas w błąd nie informując, że jego żona jeździ konno.

- Jak sobie wyobrażasz linię obrony? - pytam.

- Tak samo, jak ty - pada szybka odpowiedź. Leonora bez trudu wczuwa się w rolę. - Mamy sędziego, który prowadził poważne dochodzenie w sprawie skorumpowanych policjantów. Bardzo możliwe, że sam nie wiedział, jak głęboko się dokopał.

- Chodzi ci o defraudację związkowych pieniędzy? - pytam. Leonora marszczy czoło.

137

- Nie tylko - powiada.

- Czyżbyś miała na myśli ustrzelonego gliniarza? Nalot na melinę

handlarzy narkotyków?

- Nie wiem. - To niezwykle delikatna kwestia, jeśli idzie o Leonorę. Tony mógł być w to zamieszany i ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Powiedzmy, że nie jest dla nikogo nowością, iż od czasu do czasu trafiają się parszywi gliniarze, dorabiający sobie na boku. Wyciskanie kasy z handlarzy narkotyków, ponadprogramowe naloty na meliny, podczas których prochy i gotówka znikają bez śladu i nikt nie idzie siedzieć. Coś takiego sugerował twój kumpel, jak mu tam... - Nie może przypomnieć sobie nazwiska.

- Leo Kerns - podpowiadam.

- Właśnie, Leo Kerns. Zdaje się, że napomykał ci coś na ten temat?

- Uważasz, że gliny wrobiły go w aferę z prostytutką?

- Bardzo możliwe - powiada.

- I w morderstwo?

- Skoro nadarzyła się okazja... Nie mamy pojęcia, kto i dlaczego zabił Brittany Hali. Ale nikt nie może zaprzeczyć, że sędzia miał motyw i był pod ręką.

- Wszystkie poszlaki zdają się wskazywać na niego - mówię. - Myślisz, że nasi dzielni policjanci mogli pomóc odrobinę przypadkowi?

- Podrzucić to i owo na miejsce zbrodni? Kiwam potakująco głową.

- Nie podoba mi się takie przypuszczenie. - Daje o sobie znać jej zaangażowanie po stronie sił ładu i porządku. - Ale jak się powiedziało „a”, można równie dobrze powiedzieć „b”. Jeśli rzeczywiście utłukli jednego ze swoich, jestem skłonna uwierzyć, że była to pomyłka, co nie zmienia faktu, iż w takim wypadku sfalszowanie materiału dowodowego nie powinno już zrobić im większej różnicy. Przynajmniej jeśli chodzi o

skrupuły natury moralnej.

- Próbujesz mi coś zasugerować? Obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem.
- Snuję przypuszczenia, nic więcej - mówi.

Podnosi się z fotela i rusza w kierunku drzwi, dając mi do zrozumienia, że jeśli chodzi o nią, uważa temat za wyczerpany.

- Jak już mówiłam, mnóstwo samochodów ma taką samą wykładzinę, a końska sierść nie jest dowodem rozstrzygającym. Na obecnym etapie nie powinniśmy wyciągać daleko idących wniosków - powiada. - Jedno jest pewne: bez względu na to, co o nich myślimy, gliny nie zamordowały Brittany Hali.

Gdy to mówi, nadal przeglądam uważnie kopię notesu z numerami telefonów, małą książeczkę, z brakującymi kartkami. Nagle zwraca moją uwagę fakt, że jest skomponowana według imion, a nie nazwisk. Ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby wyrwać stronę z literą M, a jednak przeoczył wpis pod P: numer telefonu i imię w nawiasie. Numer należący do Phila Mendla.

13

Mimo niskiej postury, ale z raczej okazałą wagą, Leo Kerns nigdy nie potrafił przemykać się nie zauważony, lecz teraz czai się za betonowym filarem piętrowego parkingu, jakby całe życie nie robił nic innego. Co parę sekund rzuca ukradkowe spojrzenia na Plaża Park po drugiej stronie ulicy. Do parku przylega Centrum McGowena mieszczące siedzibę komendy głównej policji. Zawarliśmy szatański układ: informacja za informację. Leo obiecał pokazać mi palcem gościa, którego szukani.

- Jak na razie ani śladu faceta - mówi Leo. - Ale nie przejmuj się, codziennie przychodzi tutaj zjeść swój lunch. Ten człowiek funkcjonuje,

jakby miał w dupie zegarek - powiada.

Leo mówi nie przerywając jedzenia. Podgryza hot doga, musztarda kapie mu po brodzie. Kupiłem mu bułkę z parówką u jednego z tych wędrownych sprzedawców, ciągnących za sobą wózek. Szarpnąłem się również na colę. Plastikowy kubek stoi na pokrywie kubła na śmieci, można rzec, pod ręką. Leo dał się zaciągnąć tutaj w przerwie obiadowej, oczywiście pod warunkiem, że nie wróci do biura z pustym brzuchem.

- Do końca życia nie wypłacisz mi się za tę przysługę - oznajmia z pełnymi ustami.

- O co ci chodzi? Chcesz jeszcze jednego hot doga?

- Wsadź se w dupę swojego hot doga - powiada. - Jeśli dowiedzą się, że ci pomagam, będę miał przesrane. W ogóle nie powinienem z tobą gadać.

Leo chciałby, żebym zrozumiał, że za swoją uprzejmość kupił moje życie. Kerns nie przepuści żadnej okazji, żeby wzbudzić w człowieku poczucie winy, dla niego to czysty biznes, tak jak dla kościoła katolickiego spieniężanie grzechów i sprzedawanie odpustów.

- Powinieneś przynajmniej powiedzieć mi, co tu jest grane - mówi. - Po co ci ten facet?

139

- Pozwól, że zachowam to dla siebie, Leo.

- Jasne. Czuję się, jakbym był pieprzoną pieczarką — powiada. —

Wszyscy chcą trzymać mnie w ciemności i karmić gównem - bzyczy. -

Przecież nie proszę cię, żebyś zdradzał mi tajemnice zawodowe.

Jakże wspaniałomyślnie z jego strony.

- W biurze już dawno przestali mnie o czymkolwiek informować. Traktują mnie jak powietrze - narzeka.



To prawda. Przez kilka ostatnich miesięcy jego ego musiało znieść wiele upokorzeń. Od czasu wyboru Kline'a na stanowisko prokuratora okręgowego grunt osuwa mu się pod nogami.

- Cały czas trzyma mnie na dystans - mówi. - Chcę pomóc - powiada - ale nie pozwala mi niczego się tknąć. - Na twarzy Leo odcisnęło się trwałe piętno lizusostwa, a jego usta stale ułożone są jak u wazeliniarza gotowego całować swojego szefa w zadek.

Leo został zesłany do tropienia pijanych kierowców i wyjaśniania wypadków drogowych z obrażeniami ciała. Nie widział zabójstwa przynajmniej od roku.

Po nastaniu Kline'a w prokuraturze pojawiło się paru młodych zdolnych, którzy szybko robią karierę. Myśl o nich nie daje Kernsowi spać po nocach. Za dnia prześladują go omamy, wydaje mu się, że koledzy nieustannie obgadują go za plecami, wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia i milkną na jego widok. Jak wiadomo, podobne obsesje mają tendencję do przeradzania się w rzeczywistość. Od trzech miesięcy jeden z młodych zastępców Kline'a jeździ na Leo jak na łysej kobyle. Wszystko wskazuje na to, że robi to z milczącym błogosławieństwem szefa. Carl Smidt, znany jako „Siepacz”, słynie z tego, iż jak nikt inny potrafi zachęcić źle widzianych pracowników do odejścia na wcześniejszą emeryturę. Leo nazywa Smidta - oczywiście za jego plecami - pieprzonym dupkiem, w sam raz nadającym się na prawą rękę Kline'a. Wygląda na to, że Leo przestał być potrzebny. Uważają go za żaloszny relikwyt dawnej epoki p.p.p., „przed politycznie poprawne”. Wysuwa nos zza filara, żeby sprawdzić, co się dzieje na ulicy. Kiedy na niego nie patrzy, rzucam mu zdawkowo informację, jak jaki ochłap.

- Smidt nie może być aż takim sztywniakiem, za jakiego go uważasz -mówię. - Jakkolwiek by było, wysunięto przeciwko niemu oficjalną skargę o molestowanie.

Leo jednym susem znajduje się przy mnie, o mały włos nie gubiąc po drodze swojego lunchu.

- Molestowanie seksualne - dodaję tytułem wyjaśnienia.

- Skąd o tym wiesz? - pyta.

- Widziałem skargę.

Molestowanie seksualne nie schodzi od pewnego czasu z ust pracowników wszelakich instytucji rządowych. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z epidemią erotycznych przestępstw i wykroczeń.

140

Folgowanie upodobaniom, za które psom grozi kastracja, urzędnicy państwowi przypłacają na ogół usunięciem z szeregów.

- Mówisz poważnie? - dopytuje się Leo. Chociaż nie jest pewien, czy przypadkiem sobie z niego nie zażartowałem, nie może się powstrzymać od rozanielonego uśmiechu.

- Znam adwokata tej pani - wyjaśniam.

Leo wiele by dał, żeby mieć takich znajomych.

- Opowiadaj - mówi. - Podaj mi jej nazwisko. Rozmawiamy o gadaniu czy macaniu? - Leo chce znać szczegóły.

- Punkt pierwszy: obmacywanie trzeciego stopnia przy kserokopiarce -powiadam.

- Och, Boże. - Wydaje odgłosy, jakby przeżywał orgazm. - Jego Świątobliwość nie będzie miał wyboru. Sukinsyn pójdzie w odstawkę za profanację świętych - stwierdza Leo. W duchu widzi już ciało

Smidta, leżące na ołtarzu, nad którym pochyla się Kline z kamiennym nożem w ręku. Szaman za trzy grosze.

- Punkt drugi: niczym nie uzasadnione ocieranie się i szczyrzenie zębów do tej samej osoby, co poprzednio, przy okazji mijania się w drzwiach. Wyraz twarzy Kernsa mówi mi, że w głębi duszy zaczyna już ostrzyć odpowiedni kawałek krzemienia.

- Czy mógłbyś mi dostarczyć - powiada - kopię tej skargi? Potrząsam głową.

- Skarga nie została jeszcze oficjalnie wniesiona - wyjaśniam. - I nie wiadomo, czy w ogóle do tego dojdzie.

Na moje słowa Leo o mało co nie wyskakuje ze skóry. Miota się po parkingu niczym wirujący derwisz z kreskówki dla dzieci. Kiedy wreszcie zatrzymuje się w miejscu, cały przód jego koszuli pokrywają musztardowe kleksy, nadające jej podobieństwo do malowidła Jacksona Pollocka.

- Dlaczego nie, do jasnej cholery? - chce wiedzieć. - Skarga o molestowanie seksualne, to nie w kij dmuchał. Wiesz doskonale, jak sąd federalny podchodzi do tych rzeczy.

Rzucam mu wymowne spojrzenie oznaczające, że chciałbym to usłyszeć z jego ust.

- To tak, jak pieprzony napad na bank - powiada. - Mają specjalny federalny paragraf na bezczeszczenie dobrego imienia panienki. - Ni stąd, ni z owad, Leo staje się obrońcą świętego honoru kobiet.

- Adwokat tej pani nie jest do końca przekonany - mówię. - Nie ma dowodów.

- Co on by chciał, do diabła, zdjęcia? Powiedz panience, żeby następnym razem oparła póldepek na kserokopiarce.

Leo czuje, jak znakomita okazja wysuwa mu się z rąk. W przypiływie frustracji drecze nerwowo za filarem.

- Moje pieskie szczęście - powiada. - Powinienem był się tego spodziewać. Pieprzeni adwokaci, zawsze muszą mieć wszystko zapięte na ostatni

141

guzik — narzeka. — Dlaczego, do cholery, zawsze stają na drodze Sprawiedliwości? - Jakby Sprawiedliwość posiadała naturalną zdolność samorealizacji. Leo najchętniej widziałby Smidta wiszącego za nogi w drzwiach jego biura. Mógłby przez cały dzień oddawać się rzucaniu strzałkami w czoło swojego wroga numer jeden. - Prawo nic by na tym nie straciło, gdyby ktoś skrzył kark paru adwokatom - oznajmia. - Zawsze muszą wszystko popsuć -powiada. -Powiedz swojemu przyjacielowi adwokatowi, żeby wyhodował sobie wreszcie jaja.

- Mój przyjaciel adwokat jest kobietą. To mu zamyka buzię najwyżej na sekundę.

- W takim razie niech je sobie od kogoś pożyczycy - mówi. - To niedopuszczalne. Smidt jest chodzącą obelgą dla wszystkich kobiet -powiada. Leo jest prawdziwym ekspertem w tych sprawach. - Powiedz jej, żeby się pośpieszyła z tą skargą i niechże się wreszcie dobiorą temu łobuzowi do tyłka. - To znaczy, zanim ten dobierze się jemu. - Wiesz -Leo znajduje rozwiązanie - gdybyś podpowiedział mi, z której strony dzwonią, może dałbym radę popchnąć trochę sprawę do przodu -mówi. Już widzę Leo, przystawiającego pistolet do głowy mojej znajomej. - Jest jeszcze pewna informacja, która nie została włączona do skargi ze względu na brak potwierdzających zeznań świadka.

- Co to takiego?
- Podobno Smidt próbował zaciągnąć do łóżka inną panienkę z personelu biura, nie wykazując się przy tym nadmiarem wdzięku.

Niemal słyszę wewnętrzny jęk rozpacz, jakim Leo przyjmuje wiadomość, iż wymyka mu się kolejny łakomy kąsek.

- Podaj mi tylko nazwiska tych pań. Sam je przesłucham - powiada Leo. - Wniosę sprawę do sądu. - A wszystko to w czynie społecznym.

- Nie mogę tego zrobić - mówię.

- Zdradźże mi chociaż, kim jest ta panienka od kserokopiarki. Bez podawania nazwiska - zastrzega się. - Znam ją?

Ma wyraźną ochotę zagrać w dwadzieścia pytań.

- Nie mogę powiedzieć.

- Chociaż inicjały -prosi. Gromię go spojrzeniem.

- Tajemnica zawodowa?

- Wrodzone poczucie taktu - odpowiadam.

- To po jakiego grzyba podsuwasz mi te gówniane strzępki informacji? - pyta. - Co, twoim zdaniem, mam z nimi zrobić? - Dla Leo brudy, na których nie da się zbudować czyjegoś nieszczęścia, są jak żart bez puenty.

- Jest pewien sposób - mówię.

- Jaki? - Pożera mnie oczami.

- Gdyby ktoś szepnął słówko prasie, podając dostatecznie dużo szcze-

142

gółów, by nadać sprawie wiarygodności, i gdyby to wszystko ukazało się w druku, Smidt byłby zmuszony oficjalnie zaprzeczyć.

- I co z tego? Nie mogę mu niczego udowodnić.

- Owszem. Ale, z tego co mi mówiono, jest bardzo prawdopodobne, iż jego łgarstwa nakłonią drugą ofiarę do wyjścia z szafy.

Następuje chwila głębokiej powagi, umysł Kernsa rozważa złowieszcze implikacje mojej propozycji.

- Ochchch! - Jego głos przypomina dźwięk, wydawany przez powietrze, wychodzące z kowalskich miechów. Oko rozbłyska promieniem odrodzonej nadziei. To jego specjalność: biurokratyczne trumny na miarę, wyczelowane do ostatniego gwoźdźcia i starannie dobrane do sylwetki wykańczanego wroga.

- Naturalnie, będzie trzeba znaleźć dziennikarza, który zgodzi się opublikować nie potwierdzone plotki - zaznaczam.

Moja uwaga bynajmniej nie osłabia jego entuzjazmu.

- Żaden problem - powiada, jakby tuzin takich pismaków siedziało w jego kieszeni.

- Moja znajoma i jej klientka są skłonne współpracować z prasą. Może znajdzie się jeszcze jakaś poszkodowana.

- A okrąg pozbędzie się jeszcze jednego dupka - dodaje Leo rozmarzonym tonem.

Wykrzywiam się do niego przyjaźnie.

- Ręka rękę myje - powiadam

- Otóż to - on mi na to.

- Twoja kolej - mówię. - Co słyszałeś na temat Brittany Hali?

Leo wykonuje dla mnie zadanie specjalne. Wydzwania po swoich kumplach i zbiera wszelkie dostępne informacje o zamordowanej dziewczynie. Zważywszy, że panienka prowadziła się ze stróżami prawa i porządku, poproszenie Kernsa o tę przysługę było jedną z pierwszych

rzeczy, jaka przyszła mi do głowy.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym znał także twoje kawałki układanki -oznajmia. - Do^edziałem się paru rzeczy, ale nie wiem, co mogą oznaczać.

- Nie musisz Siedzieć, Leo.

- Co ty powiesz? - on mi na to. Leo dostał już to, czego chciał. W każdej chwili może się rzucić do wyjścia ze swoim hot dogiem w rękę, zostawiając mnie sam na sam z rozpryskaną musztardą.

- Proszę bardzo - oświadczam wspaniałomyślnie. - Mogę ci rzucić kilka okruszków.

Kiwa głową. Liczy się każdy drobiazg.

- Znaleźli mały czarny notesik, należący do Brittany Hali - mówię. -Z całą masą telefonów. W tym przynajmniej tuzin domowych telefonów gliniarzy.

Leo doskonale zdaje sobie sprawę, że tych numerów nie można znaleźć w książce telefonicznej.

143

- Ktoś, kogo znam?

- Głównie z jednego wydziału - zaznaczam. - Z obyczajówki.

- To żadna rewelacja - powiada. - Pracowała dla nich.

Teraz rzucam soczysty kąsek, który nasyci niezaspokojony głód sensacji, trawiący Leo Kernsa.

- Miała numery siedmiu gliniarzy z wydziału - mówię. - Niektóre strony zostały wyrwane. A jedno nazwisko zostało wykreślone.

Spogląda na mnie znad wysmarowanego musztardą nosa. Przestał nawet przeżuwać, czeka na puentę.

- Nazwisko Zacka Wileya.

To wreszcie robi na nim wrażenie.

- O kurwa - powiada. - Znała Wileya?

Wiley był tym gliniarzem, który zginął podczas nalotu na melinę handlarzy narkotyków.

- Miała też nazwiska trzech kumpli Zacka, którzy brali udział w tamtej akcji - dorzucam.

Leo wydaje z siebie cichy przeciągły gwizd.

Nie mówię mu tylko, że w małym czarnym notesiku nie było nazwiska czwartego z gliniarzy, którzy byli z Zackiem Wileym w noc jego śmierci, Tony'ego Arguillo. Przypuszczam, że należy to tłumaczyć brakiem strony z literą A.

- A więc to prawda - mówi. - Panienska ostro pogrywała.

Tak to właśnie jest z Leo. Kiedy zabiera się za myślenie, nie panuje nad językiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam.

- Och, nic szczególnego.

- Wyduś to z siebie, Leo.

- A co z tego będę miał? - chce wiedzieć.

- Jaja w jednym kawałku.

- No dobra, nie wściekaj się. Żartowałem.

- Czego się dowiedziałeś?

- Tyle tylko, że prowadziła bardzo urozmaicone życie seksualne. Dobrze wie, że jestem ciekaw, skąd ma takie informacje.

- Biurowe brudy - wyjaśnia lakonicznie.

Leo ma do takich rzeczy nosa, niczym świnia wygrzebująca trufle. Treść



jego życia.

- Kiedy o tym usłyszałem - wyznaje - w pierwszej chwili pomyślałem, że gustowała w gliniarzach z drogówki. Wiesz, we wspaniałych chłopcach na ich wspaniałych maszynach, którzy potrafią się pieprzyć nie zdejmując nogi z pedału gazu.

Gdybym go nie znał, mógłbym pomyśleć, że mówi o własnych doświadczeniach.

- Ale potem trafiły ci się lepsze informacje? - podpowiadam.

- Tak - przyznaje. - Odwołałem się do moich stałych źródeł. To świetnie poinformowani ludzie. Można na nich polegać. - Myślałby kto,

144

że jego informatorzy należą do grona profesorów uniwersyteckich.

- Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby wcisnęli mi kit - mówi. - Z tego, co słyszałem, w grę wchodziła albo wielka miłość, albo wybujałe ambicje.

Mam na myśli głównego absztyfikanta.

- Nazwisko?

- Co ty sobie, kurwa, myślisz? Że jestem jakąś pieprzoną Pytią - oburza się. - Gdybym wiedział, kim był jej kochaś, nie stałbym teraz z tobą w tym cuchnącym garażu. Miałbym awans w kieszeni. Nie mogliby się beze mnie obejść.

- Czy prokuratura to sprawdza? - Chodzi mi o miłosne przygody ofiary.

- Przykro mi. Mają już mordercę. - Leo ma na myśli Acostę.

- Ale zachodzi prawdopodobieństwo, że ktoś oprócz niego mógł dysponować równie dobrym motywem.

- Mnie nie musisz przekonywać. Kłopot w tym, że wszystkie dowody rzeczowe zdają się wskazywać na twojego klienta.

Leo trafia w sedno.

- W notesie Brittany Hali było jeszcze jedno nazwisko. I numer telefonu. -  
Niech wie. - Phil Mendel.

Leo wygląda, jakby wreszcie zaczynał dopasowywać kawałki układanki.

- Jeśli sypiała z Mendlem - powiada - stawiałbym raczej na wybujałe  
ambicje. - Leo nie wierzy, że to mogła być miłość.

- Tak właśnie pomyślałem.

Prokuratura na pewno przejrzała dokładnie notatnik Brittany Hali. Musieli  
zauważyć nazwisko Mendla. Nie potrzeba wielkiej inteligencji, żeby  
skojarzyć ten fakt z informacjami zebranymi przez Leo i zacząć  
kombinować. Nie zapominajmy jednak, że większość pracowników  
prokuratury, hołduje zasadzie postępowania po najmniejszej linii oporu, co  
w tym wypadku nie pokrywa się z interesami mojego klienta.

- Nazwisko Mendla w notatniku ofiary - mówi Leo - wyjaśnia nam jedną  
rzecz.

- Co takiego?

- Jego obecność w hotelu „Fairmore”. Wygląda na to, że strzegł własnych  
przywilejów.

Patrzę na niego nie rozumiejąc. Nie wiem, o czym mówi.

- Był tam. Nie wiedziałeś o tym? - pyta Leo. - Mendel był tam tamtej  
nocy, kiedy gliny przyskrzynyły Acostę - powtarza.

Tajemniczy nieznajomy. Tak zwany „porucznik”, którego nazwiska Frost  
nie mógł sobie przypomnieć. Nic dziwnego, że pamięć go zawiodła.

Gdyby prawda wyszła na jaw, posypałyby się niewygodne pytania. Cóż  
takiego szef związku zawodowego policjantów mógł mieć do roboty  
podczas akcji przeciwko prostytutkom? Chyba że chciał przy okazji ubić

jakiś własny interes.

10 - Sędzia

- Idzie - oznajmia Leo. Chowa się za filar przywierając plecami do betonowej powierzchni. Jakiś mężczyzna schodzi ze schodów Centrum McGowena i rusza przez park, w stronę naszej kryjówki.

- Wysoki facet? Ubrany w brązowe spodnie i białą koszulę? - pytam.

- Zgadza się. - Nic na świecie nie zmusiłoby teraz Kernsa do ponownego wyrzżenia zza swojego filara.

- Uspokój się. Jest kawał drogi stąd - mówię. - Stoisz w cieniu. Nie ma siły, żeby cię zobaczył.

- Tak ci się tylko wydaje - powiada. - Założę się, że ma pieprzony noktowizor wmontowany w okulary. Spływam stąd.

Tylko patrzeć, jak zrobi w gacie.

- Gdzie on jest?

- W parku. Idzie w naszą stronę. O rany, zaczął biec. Zdaje się, że cię zauważył.

- O kurwa - mówi. - Co robić? - Podryguje w miejscu za swoją cementową osłoną, przestępując z nogi na nogę, jak facet, który gwałtownie musi do ubikacji. - Niech to szlag trafi. Po jakiego grzyba dałem się na to namówić?

- Ponieważ jesteś dobrym obywatelem, Leo. Prawda i sprawiedliwość nie są dla ciebie pustymi słowami.

- Muszę natychmiast stąd zniknąć - powtarza.

- Uspokój się. - Dostaję ataku śmiechu. Aż mnie w dołku ściska. - Twój kumpel siedzi na ławce, na drugim końcu parku.

- Ty dupku - powiada. - Przez ciebie straciłem pięć lat życia. Odczep się. -

Obrzuca mnie obelgami, przytupując ze złości. Nagle zamiera w bezruchu, przestraszywszy się zapewne, że hałas może przyciągnąć uwagę gościa w parku.

Nie bawi się w dalsze uprzejmości i zmywa się pilnując, żeby betonowy słup cały czas znajdował się w linii prostej pomiędzy nim i parkiem po drugiej stronie ulicy. Posuwa się drobnymi kroczkami, rzucając przez ramię wylęknione spojrzenia.

- Pogadamy później - mówię na pożegnanie.

- Nie licz na to, jeśli ja cię zobaczę pierwszy - odparowuje Leo. Wtapia się w mrok garażu i po chwili słyszę już tylko nerwowy stukot obcasów o betonową posadzkę.

Wychodzę na zalaną słońcem ulicę, przecinam skrzyżowanie ze światłami, ani na chwilę nie spuszczając z oka wysokiego mężczyzny w brązowych spodniach i białej koszuli. Facet ma ciemne włosy, jest chudy jak kij od szczotki i mierzy sobie dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Siedzi na ławce pod rozłożystym wiązem, jakieś trzydzieści metrów od fontanny wyznaczającej centralny punkt parku. Kiedy podchodzę bliżej, promień słońca odbija się od metalowego przedmiotu w jego dłoni.

146

Przyniósł ze sobą jabłko i mały pojemniczek jogurtu, którego zawartość wyjada metalową łyżeczką. Leo nie uwierzyłby, że ktoś może uważać podobny posiłek za lunch.

- Jim Cousins? - odzywam się normalnym głosem, kiedy od ławki dzielą mnie już tylko trzy metry.

Podnosi wzrok, mruży oczy w oślepiającym blasku słońca. Ciemne okulary sterczą z kieszonki na piersi jego koszuli.

- Czy ja pana znam?
- Nazywam się Madriani - mówię. Podchodzę bliżej. - Pańskie nazwisko otrzymałem od wspólnego znajomego.
- Od kogo?
- Od przyjaciela - powiadam. Uprzejmy uśmiech znika z jego twarzy.
- Czego pan chce?
- Porozmawiać.

Czuje, jak sztywnieje. Każdy by to zrobił, gdyby był pracownikiem Komendy Głównej, zagadniętym przez nieznanego faceta, znającego jego nazwisko.

- Mam teraz przerwę obiadową. Pańska sprawa będzie musiała poczekać. Obrzuca mnie jeszcze jednym badawczym spojrzeniem, tym razem poprzez ciemne okulary.

- Pańska twarz wydaje mi się znajoma - powiada. - Czyśmy się już gdzieś nie spotkali?

- Nie wydaje mi się - odpowiadam. - Jestem prawnikiem - wyjaśniam, wręczając mu swoją wizytówkę.

- Jest pan jednym z obrońców tego sędziego - mówi.

- Zgadza się.

- Widziałem pana w telewizji. - Bilet do sławy. Jego obawy zdają się topnieć. Wyciągam z zanadrza wizytówkę, a nie rewolwer.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że się przysiędę?

- Proszę bardzo.

- Powiedziano mi, że może pan posiadać interesujące mnie informacje na temat pewnej sprawy sprzed paru lat.

- Obawiam się, że pomylił mnie pan z kimś innym - mówi. - Nie jestem

glina.

- Wiem. Nazywa się pan James Cousins i pracuje w intendencji Komendy Głównej.

- Sporo pan o mnie wie. Jak już mówiłem, jeśli chce pan porozmawiać o interesach, proszę zajrzeć do mojego biura w godzinach pracy.

Wyciąga z kieszonki koszuli książkę w miękkiej okładce, odnajduje właściwą stronę i zaczyna czytać.

- Chcę porozmawiać o zamordowaniu Zacka Wileya -mówię.

147

Podnosi do góry oczy i z niedowierzaniem kręci głową.

- Co to się porobiło? Nagle wszyscy chcą rozmawiać o Zaku Wileyu.

Czy ja wyglądam na kantorek pogotowia informacyjnego?

- Nie jestem pierwszy?

- Posłuchaj pan, niczego się pan ode mnie nie dowiesz. Proszę stąd odejść, albo sam będę musiał to zrobić.

- Czyżby sąd mnie uprzedził? - pytam.

Nie odpowiada ani słowem, patrzy na mnie zza osłony ciemnych okularów. Nie mogę odczytać wyrazu jego oczu. Nieruchoma twarz przypomina kawałek zimnego kamienia. Podnosi z kolan łyżeczkę i kubeczek z jogurtem, chowa do kieszeni jabłko, wstaje z ławki i zaczyna odchodzić.

- Albo porozmawiamy tutaj w cztery oczy, albo będę musiał przysłać panu wezwanie do sądu i rzecz odbędzie się publicznie.

- Świetnie - on mi na to. - Do zobaczenia w sądzie.

- W obecności prasy - dodaje. - Wszyscy kumple z pracy dowiedzą się, co ma pan do powiedzenia, albo - w najgorszym razie - o co zamierzam pana

zapytać.

To go zatrzymuje. Obraca się na pięcie i patrzy mi prosto w oczy.

- Z tego by wynikało, że zna pan właściwe pytanie - powiada. Zdejmuje okulary, jego oczy nie wyrażają niczego, poza filisterską obłudą.

- Och, myślę, że znam. Rewolwer, z którego zastrzelono Wileya, był trefny od samego początku. Jak oni to robią, odkładają gnata na dolną półkę i trzymają go tam na wypadek nagłej potrzeby?

Milczy patrząc na mnie melancholijnym wzrokiem.

- Kiedy rewolwer po raz pierwszy trafił do magazynu, nie wciągnęli go przecież do rejestru pod fałszywym numerem seryjnym. To by się zanadto rzucało w oczy - mówię. - Musieli wykombinować coś innego.

Zmusza mnie do zgadywania zapewne w nadziei, iż dam się zwieść jego oczom, poprowadzić tam, gdzie jest zimno, zimniej, coraz zimniej.

- Co to mogło być? - pytam. Drapię się po brodzie, obracam bezradnie w stronę słońca, wszystko dla zwiększenia efektu. Nagle pstrykam palcami i wykrzykuję, jakbym dokonał niespodziewanego odkrycia: -Numer modelu!

W nagrodę jest mi dane zobaczyć, jak opada mu szczeka.

- Jasne. To załatwia sprawę - mówię. Głośno przełyka ślinę.

- Musieli zapewnić sobie pomoc kogoś z intendentury. Ktoś musiał sporządzić kartę identyfikacyjną, zawierającą prawdziwy numer seryjny, markę i kaliber, ale zapomniał wpisać numer modelu. Dam sobie głowę uciąć, że „Smith and Wesson” robią co najmniej tuzin różnych modeli tego samego kalibru.

Już, już zaczyna mi odpowiadać, ale w ostatniej chwili powstrzymuje się od tego.

- Różne modele mają te same numery seryjne, nie można więc zidentyfikować broni, znając tylko jej numer seryjny, a nie mając numeru modelu. Sprytne - powiadam.

Teraz już chce rozmawiać, ale jeszcze się boi.

- W którym miejscu popełnili błąd? - pytam. - Jakim cudem sąd wpadł na to, że ten rewolwer był w policyjnym magazynie, zanim zastrzelono z niego Wileya?

- Niech pan posłucha. Nie mogę z panem rozmawiać - mówi. - Nie tutaj. I nie teraz.

- Pańscy przyjaciele nie wiedzą, że pan zeznawał?

Nagle to do mnie dociera. Rozmawiam z głównym świadkiem sądu, prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa, o czym morderca Wileya, ktokolwiek nim jest, nie ma bladego pojęcia.

- Gdzie mam przysłać wezwanie? - pytam. - Na adres pańskiego biura?

- Dajże pan spokój - powiada. - Nie miałem pojęcia, co jest grane, dopóki nie było po wszystkim.

- Jasne. Po prostu, patrzył pan w inną stronę - podpowiadam.

- Sąd jest zadowolony. Niczego ode mnie nie chcą - mówi.

- Zagwarantowali panu niekaralność, może się mylę?

Nie odpowiada. Nie musi. Prawda jest wypisana w umykających źrenicach jego oczu.

- W jaki sposób sąd się o tym dowiedział? Jak pana znaleźli? Czyżby zostawił pan swoje odciski palców na lufie, kiedy rewolwer przechodził przez pańskie ręce?

- Widział pan kiedyś odciski palców zdjęte z rewolweru? - mówi.



Przynajmniej udało mi się go rozśmieszyć. - Za dużo filmów żeś się pan naoglądał. W prawdziwym życiu na broni zostają najwyżej rozmazane plamy. W najlepszym wypadku. Ludzie mają tendencję do ściskania gnata z całej siły. Proszę do tego dodać olej i odrzut po strzale, a będzie pan miał rozmazanego kleksa. Nic więcej. Przy odrobinie szczęścia, raz na dziesięć tysięcy takich plam trafi się panu pojedynczy odcisk kciuka.

- Tylko, że pan nie strzelał z tego rewolweru - mówię.

- To nie były odciski palców - wyznaje.

- Wobec tego, co?

Dał się zapędzić w kozi róg. I doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Jeśli panu powiem, da pan sobie spokój z wzywaniem mnie do sądu?

- Może tak, może nie.

- W takim razie, dlaczego miałbym panu mówić?

- Proszę zastanowić się nad „może” i „na pewno”, a otrzyma pan odpowiedź.

Przełyka nerwowo ślinę, a jabłko Adama podskakuje niemal w rytm melodii, płynącej z przenośnego magnetofonu, który dźwiga na ramieniu jakiś dzieciak, przechodzący właśnie obok fontanny.

149

- Skąd wiedzieli, że rewolwer pochodził z policyjnego magazynu.

- Nacięcie na bębunku - mówi. - I nacięcie po wewnętrznej stronie rękojeści.

- Co?

- Kiedy broń trafia do magazynu, jest już rozładowana. Najczęściej robi się to od razu na miejscu akcji. Dla bezpieczeństwa - wyjaśnia. - Wszystkie kule i puste łuski zostają wyjęte i włożone do osobnej koperty, a na

bębunku robi się małe nacięcie rysikiem, żeby zaznaczyć, która komora znajdowała się w jednej linii z lufą w momencie zarekwirowania broni. Zostawia się też znak wewnątrz obudowy, w jakimś mało widocznym miejscu. Taka jest procedura - mówi. - To samo zrobiła ekipa dochodzeniowa po zastrzeleniu Wileya. Nie zauważyli tylko, że na bębunku jest już jedno nacięcie, zrobione za pierwszym razem, kiedy rewolwer trafił w ręce policji. Wpadł na to jakiś facet od balistyki z Wydziału Wewnętrznego.

Oto jedna z głównych przyczyn, dla których unikamy popełniania zbrodni. Istnieje milion drobiazgów, niekiedy mikroskopijnych, o których nie mamy pojęcia, zdolnych zniweczyć plany najbardziej bystrych umysłów.

- Kto pociągnął za spust? - pytam.

- Hej, niczego więcej się pan ode mnie nie dowie. Jeśli ma pan ochotę wezwać mnie do sądu w charakterze świadka, proszę się nie krępować.

Moje pytanie zakładało, że Cousins zna odpowiedź, w co - w gruncie rzeczy - szczerze wątpię.

- Niech mi pan chociaż powie, kto zabrał pistolet z magazynu?

- Nie mam pojęcia.

- Czy to właśnie powiedział pan w sądzie?

- To prawda -mówi. - Jak zabierali pistolet, poprosili mnie, żebym na chwilę przymknął oczy. Żebym poszedł na kawę i zostawił drzwi otwarte. Nie wiedziałem nawet, co zamierzają zabrać.

- Kto pana poprosił, żeby przymknął pan na chwilę oczy? Obrzuca mnie ponurym spojrzeniem, jakby obawiał się, że już posunął się za daleko, mówiąc mi więcej, niż powiedział sądowi.

- Niczego więcej się pan ode mnie nie dowie - powtarza. Nagle przestaje

na mnie patrzeć, jego spojrzenie odpływa gdzieś kierunku garażu.

Zastanawiam się, czy Leo nie odważył się przypadkiem wytknąć nosa zza swojego filara, żeby sprawdzić, jak idzie nam rozmowa.

- Muszę iść - oznajmia. - Zmarnował mi pan całą przerwę obiadową.

- Cóż... - mówię. - Zackowi Wileyowi ktoś zmarnował całe życie.

- Nie ja - powiada. - I jeśli ma pan chociaż krztynę oleju w głowie, zostawi mnie pan teraz w spokoju.

To rzekłszy, oddala się energicznym krokiem. Patrząc, jak okrąża fontannę i kieruje się w stronę przejścia dla pieszych.

150

Gdy byliśmy zajęci rozmową, park zapełnił się ludźmi. Jest pół do pierwszej, z budynku Ratusza wysypują się urzędnicy. Kobiety w szykownych pantoflach trzymają w dłoniach papierowe torby z kanapkami. Wykorzystują przerwę w pracy, żeby spędzić parę chwil na słońcu. Dostrzegam dwóch znajomych sędziów, drepczących chodnikiem po drugiej stronie jezdni; codzienna wyprawa z gmachu sądu do jednej z restauracyjek mieszczących się na sąsiedniej ulicy.

- Mecenasio! - Głos dobiega zza moich pleców, mniej więcej od strony garażu.

Odwracam się na pięcie.

Natykam się na Tony'ego Arguillo szczerzącego białe zęby w uśmiechu a la Jack Nicholson. Tony szpanuje okularami przeciwsłonecznymi wojskowego pilota i olśniewającą opalenizną, która wygląda tak, jakby ją świeżo przywiózł z Karaibów.

- Widzę, że doskonale daje pan sobie radę - powiada.

- Cześć, Tony. Jak leci? - pytam uprzejmie.

- Och, świetnie - mówi. - Po prostu, świetnie. Czego nie da się powiedzieć o niektórych z naszych znajomych. - Zerka w bok, moje oczy wędrują w ślad za jego spojrzeniem. Cousins wchodzi właśnie na schody Centrum McGowena, gdzie mieści się jego biuro. Tony znowu patrzy w moją stronę. Palcem jednej dłoni pociera palec wskazujący drugiej, wycelowany we mnie - gest, który małe dzieci nazywają „zygu-zygu, marcheweczka”. Równocześnie cofa się do tyłu, w kierunku Centrum McGowena.

- Niebezpieczne związki - powiada. - Powinien pan uważać. - Z tymi słowami na ustach robi wdzięczny piruet, obraca się do mnie plecami, opuszcza obie dłonie wzdłuż ciała, strzelając przy tym palcami i odchodzi w siną dal.

14

Listy świadków zostały wreszcie ogłoszone; na tej, którą przedstawiło oskarżenie, nie figuruje nazwisko Oskara Nicholasa. Harry przyznaje, że Leonora miała rację upierając się, iż nie powinniśmy wywoływać wilka z lasu. Wygląda na to, że moi współpracownicy postanowili, przynajmniej na moment, odłożyć na bok dzielące ich różnice. W kieracie końcowych przygotowań do procesu nie starcza im sił ani czasu na sprzeczki.

Jest późny ranek. Od niemiłego spotkania z Tonym w parku minęło dziesięć dni. Arguillo ma umysłowość dziesięcioletniego brzdąca, któremu dano do zabawy prawdziwy pistolet i policyjną odznakę. Niewykluczone, że kiedyś dorośnie, ale znając Tony'ego, nie powinniśmy łudzić się nadzieją, że to się stanie w ciągu krótkiego czasu.

- No więc? Mogę wiedzieć, czy mamy consensus? - szepce Leonora, przechylając się przez stół obrony. - Co robimy z panią Ramirez?

Bierzemy ją, czy nie? A może chcecie zadać jej jeszcze parę pytań? Odbywamy właśnie kolejną wycieczkę po polu minowym, zwanym czynnościami wstępnymi przed procesem Kokosa. Nasza czwórka - Harry, Acosta, Leonora i ja - okopała się za stołem obrony, w sali rozpraw oddanej do dyspozycji Radovicha, gdzie od wczesnych godzin porannych przekopujemy się przez stos kwestionariuszy osobowych kandydatów do ławy przysięgłych.

Poprzedni tydzień upłynął nam na działaniach zaczepno-obronnych. Wystąpiliśmy z wnioskiem o wykluczenie z materiału dowodowego nylonowych włókien i sierści twierdząc, że gliny przekroczyły swoje uprawnienia zbierając je z tapicerki samochodu Acosty i mebli w jego domu bez oddzielnego nakazu. Na Radovichu nasze fortele nie wywarły większego wrażenia. Coś mi się wydaje, że nie wygramy tego procesu za pomocą niuansów konstytucyjnych. Radovich - swoim zwyczajem - obwąchał nasz wniosek, po czym obwieścił kategorycznym tonem, że nakaz rewizji

152

został sformułowany dostatecznie jasno. Nie dopatrzył się żadnych powodów do wykluczenia włókien i sierści pod warunkiem — oczywiście — iż oskarżenie zdoła wykazać, że mają one związek ze sprawą.

Kline wygląda na zadowolonego. Zachęcony tym, iż udało mu się zepsuć nam nieco krew, oznajmił sędziemu, że chciałby połączyć sprawę o obrazę moralności ze sprawą o zabójstwo. Nie bardzo możemy zaprotestować, zważywszy iż swojego czasu sami optowaliśmy za takim rozwiązaniem; tak więc stało na tym, że oba zarzuty będą rozpatrywane łącznie, w trakcie jednego procesu.

Kline coś kombinuje, to pewne, nie wiemy jednak, co. Powiedział Radovichowi, że ma jeszcze jedną sprawę do omówienia. Mamy się tym zająć po skończeniu dzisiejszej sesji z kandydatami na przysięgłych.

- Sędzia czeka - mówi Leonora. - Pani Ramirez - przypomina nam.

-Zdecydujcie się. Pasujemy czy wchodzimy?

- Oskarżenie może ją odrzucić - zauważa Harry. - Śródziemnomorskie klimaty - powiada. - Nie przypuszczam, żeby im się spodobała.

- Co mam przez to rozumieć? - pyta Acosta, spoglądając na Harry'ego złym wzrokiem.

- Bez obrazy - mówi Harry - ale gdybym to ja był oskarżonym, modliłbym się o ławę przysięgłych złożoną wyłącznie z pańskich ziomków. Nie wydali wyroku skazującego od czasów Inkwizycji.

- Nie podzielam pańskiej opinii - stwierdza Acosta. - Naturalnie, nie należy lekceważyć czynnika etnicznego -mówi. - Ale coś mi się w niej nie podoba.

Tak to już jest, kiedy przychodzi do wybierania przysięgłych. Istnieje tyle teorii, ilu prawników.

W normalnych okolicznościach nie przyszłoby mi do głowy pytać oskarżonego o opinię co do kandydatów na przysięgłych. Jednak tym razem, wzięwszy pod uwagę fakt, iż Acosta jest biegłym prawnikiem, oraz że gra toczy się o jego życie, uznałem, iż powinien brać czynny udział w ustalaniu składu ławy przysięgłych. Z drugiej strony nie dam głowy, czy u podstaw tej decyzji nie leży chęć przerzucenia na niego części odpowiedzialności w wypadku, jeżeli sprawy ułożą się nie po naszej myśli.

- Czy moglibyśmy prosić o jeszcze parę minut, Wysoki Sądzie? -Leonora

pyta Radovicha.

- Mamy mnóstwo czasu. Chciałbym, żeby wszyscy byli zadowoleni ze składu ławy przysięgłych.

Jeśli o to chodzi, w holu czeka na swoją kolejkę parę setek krewnych Acosty, którzy z wielką przyjemnością zasiedliby w ławie przysięgłych.

- Pośpieszcie się, do cholery - pogania nas Leonora. - Musimy podjąć jakąś decyzję.

- Weźcie pod uwagę - mruczy Harry nie poruszając niemal ustami - że pani Ramirez otarła się o narkotyki. - Przypomina mi sprzedawcę samochodów podkreślającego fakt, iż oferowany model ma klimatyzację.

153

Acosta przeoczył ten szczegół czytając kwestionariusz osobowy.

Kandydaci na przysięgłych nieczęsto wyjawiają tego rodzaju zaszłości.

Harry referuje, w czym rzecz.

- Nigdy nie siedziała, ale jeśli wierzyć jej psychoterapeucie, stanowi chroniczny przypadek załamania nerwowego. Psychiatrzy to uwielbiają, murowany dochód do końca życia - syczy przez zęby.

- Może ją źle oceniłem - powiada Acosta. To jedyne miejsce na ziemi, gdzie dawne zatargi z prawem mogą stanowić pożądane referencje.

Jeszcze raz wczytuję się w kwestionariusz. Przed laty pani Ramirez została przyłapana na kupowaniu kokainy od koleżanki z biura. Miała wówczas dwadzieścia sześć lat. Zanim szef zdążył wywalić ją z pracy, naciągnęła go na rentę zdrowotną. Od jedenastu lat pobiera zasiłek z Ubezpieczenia Społecznego, dzięki absurdalnej teorii głoszącej, iż zażywanie narkotyków na równi z chorobą Parkinsona powoduje trwałą niezdolność do pracy.

Żyje we wspólnocie prowadzonej przez swojego terapeutę, który, jak

należy przypuszczać, utrzymuje ją w przekonaniu, iż nie ma żadnych szans na powrót do zdrowia, przynajmniej dopóki rząd całkiem nie wyczerpie pieniędzy na renty. Rok temu została członkiem okręgowej komisji d/s narkotyków, co należy zawdzięczać głównie politycznym ambicjom jej terapeutę oraz działaniem towarzystwa wzajemnej pomocy narkotykowej subkultury. Od tej pory pani Ramirez robi za naczelnego eksperta od narkotyków w mieście stołecznym i ma istotny wpływ na politykę administracji okręgu wobec pozostałych narkomanów. W zamian za to otrzymała do dyspozycji służbowy samochód i skromną pensyjke, uzupełniającą jej dochody z tytułu renty. Swoiście pojęty awans społeczny.

- Nie mogliśmy wymarzyć sobie lepszej przysięgłej. - Harry jest zachwycony.

- Na to wygląda - mówię - Ale nie bardzo rozumiem, po jakiego grzyba kandydatka na przysięgłą miałaby ujawniać drobne winy z przeszłości. Chyba, że ma jakiś powód.

- Dlaczego jej o to nie zapytasz? — mówi Leonora.

Tu dochodzimy do bardzo delikatnej kwestii, a mianowicie, czy powinniśmy wyciągać kontrowersyjne fakty z przeszłości kandydatki w obecności innych potencjalnych przysięgłych. A jednak nie możemy sprawy po prostu zignorować.

Leonora wykonuje zapraszający gest w moją stronę i siada.

Pani Ramirez siedzi niemal w centralnym punkcie ławy przysięgłych, w drugim rzędzie krzeseł. Salę rozpraw wypełniają kandydaci na przysięgłych, cierpliwie czekający na swoją kolejkę do sokowirówki, w której dajemy wycisk ich poprzednikom.

Rząd krzeseł, zarezerwowany dla prasy, świeci pustkami. Ustalanie składu



ławy przysięgłych nie należy do wydarzeń rokujących nadzieję na sensacyjny materiał. W jednym z tylnych rzędów tkwi samotnie Liii 154

Acosta. Mniej więcej na tej samej wysokości, po drugiej stronie przejścia siedzi para starszych ludzi w towarzystwie młodego mężczyzny. Jak mi powiedziano, są to rodzice i młodszy brat Brittany Hali, którzy osobiście pofatygowali się do sądu, żeby dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość.

Podobnie, jak ma to miejsce w przypadku większości pozostałych czynności, Radovich prowadzi selekcję przysięgłych kierując się swoimi własnymi zasadami. Ze względu na duży rozgłos, jaki sprawa Acosty uzyskała, zanim jeszcze doszło do procesu, ściągnął pięciuset kandydatów. Pierwsze spotkanie odbyło się w okręgowym audytorium, gdzie Radovich zadał kilka wstępnych pytań na temat tego, co ludzie widzieli i co, jak im się wydaje, wiedzą. Za jednym zamachem odrzuciliśmy dwieście dusz, wliczając w to kobietę, której małżonek został przyłapany przez policję na figlach z prostytutką. Trudno powiedzieć, czy miałyby ochotę powiesić gliny za jaja za bezczelność, czy też raczej posłać Acostę na krzesło elektryczne za jego głupotę. Radovichowi w każdym razie nie robiło to żadnej różnicy.

- Jak się pani ma, pani Ramirez? - pytam uprzejmie.

- Dziękuję, dobrze. - Uśmiecha się, ale czyni to w sposób wielce rzeczowy, nie mogę powiedzieć, żeby radośnie szczyrzyła zęby. Dobiega czterdziestki, jednak wygląda starzej. Jest drobna i szczupła, ma ciemne falujące włosy, zaczesane do tyłu i spięte grzebieniem. Wygląda jak królowa voodoo.

- Wypełniając formularz osobowy udzieliła nam pani wielu informacji na temat pani przeszłości - mówię. - Chciałbym pani gorąco podziękować za tę niezwykłą szczerość.

- Staralam się postąpić uczciwie - powiada. - Jestem była narkomanką, której udało się wyleczyć z nałogu. Nauczono mnie, że spojrzenie prawdzie w oczy jest podstawowym warunkiem każdej terapii. Nie wypieram się swojej przeszłości.

Gdybym jej na to pozwolił, zaserwowałyby nam dwadzieścia minut takich mądrości; zbawienne działanie przyznania się do grzechów, uzdrowienie duszy, Kościół Reformowanego Zagorzaństwa, te rzeczy. Przerynam jej w pół słowa.

- Bardzo zdrowe podejście - stwierdzam.

Czerwone lampki w moim mózgu zapalają się jak oszalałe. Osoba o jej poglądach będzie postrzegać Acostę jako kliniczny przypadek wyparcia się popełnionych win, który da się uleczyć jedynie poprzez pokutę.

Pani Ramirez przyszła do sądu w nienagannym stroju, suknia z wzorzystego jedwabiu, gustowne kolczyki, całość obliczona na wywarcie jak najlepszego efektu. Czemuż to nie mogę oprzeć się wrażemu, że bardzo jej zależy na dostaniu się na miejsce w ławie przysięgłych?

- Doceniam pani otwartość i uważam, że na nas również ciąży obowiązek szczerości, zarówno wobec pani, jak i pozostałych kandydatów na

155

przysięgłych. - Tyle tytułem kurtuazji. - O ile mi wiadomo, nie była pani karana. Czy to prawda?

- Tak.

- I nigdy nie aresztowano pani pod zarzutem zażywania narkotyków? -

Gra o znaczek z dewizą „Godność i Szczerłość”.

- Zgadza się. - Dumnie prostuje się w krześle. Może i jest chodzącą apteką, ale gliny nigdy jej na tym nie przyłapały.

- Nie zajmowała się pani rozprowadzaniem narkotyków? Sprzedawaniem ich za pieniądze osobom trzecim? - Zdaję sobie sprawę, że stąпам po grząskim gruncie. Staram się jak najbardziej zawęzić pytanie, żeby nie było żadnych wątpliwości. Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

Twarz pani Ramirez wyraża głęboki namysł - pewnie mogło jej się zdarzyć oddać działkę przyjaciółce, ale nigdy za pieniądze. Wreszcie mówi:

- Nie.

Radovich rozpogadza się, widać, że kamień spadł mu z serca.

Okazuje się, że twarde rygory terapii, wyznanie win i spojrzenie prawdzie w oczy nie obejmują przyznania się do czynków, za które można pójść siedzieć. Może jest jeszcze nadzieja dla tej kobiety.

Starsza, siwowłosa dama o kaukaskiej urodzie, siedząca obok naszej kandydatki, odsuwa się ze swoim krzesłem parę centymetrów w bok; jej wzrok wędruje w kierunku torebki pani Ramirez. Założę się, że staruszka snuje przypuszczenia na temat zawartości. Wyobraźnia podsuwa jej pewnie obraz cienkich skrętów z białej bibułki, a może nawet straszliwą wizję strzykawek i fiolek z tajemniczymi pigułkami.

Zerkam ukradkiem na Acostę. Uśmiecha się do pani Ramirez. Jestem pewien, że oczyma duszy widzi już papierosy z marihuaną wędrujące wokół stołu, za którym obradują przysięgli, co naturalnie musi zaowocować łagodnym wyrokiem.

Omawiam z nią istotne momenty, takie jak rola materiału dowodowego w

procesie kryminalnym, konieczność udowodnienia winy poza wszelką wątpliwość. Rozumie doskonale. Obowiązek udowodnienia winy spoczywa na oskarżeniu, oskarżony nie musi niczego udowadniać. To również jest dla niej jasne. Czy sądzi, że będzie w stanie uznać naszego klienta za niewinnego w wypadku braku jakichkolwiek dowodów, świadczących o jego winie? Mówi, że jest to dla niej oczywiste.

- Z kwestionariusza osobowego wynika, iż jest pani członkiem komisji współpracującej z władzami naszego okręgu.

- Spotykamy się dwa razy w miesiącu - wyjaśnia. - Zajmujemy się rozliczaniem dotacji federalnych i opiniujemy programy finansowane z państwowych funduszy.

- Przypuszczam, że cieszy się pani dużym autorytetem?

- Jestem wiceprzewodniczącą - mówi. - W przyszłym roku, o ile nikt nie będzie kandydował przeciwko mnie, mam nadzieję zostać przewodniczącą komisji.

156

Składam jej gratulacje, po czym pytam:

- Oczekuje pani, że pani kandydatura zostanie dobrze przyjęta?

- Och, tak. Dwa lata temu rywalizacja była bardzo ostra - dodaje od siebie. - Ale wtedy to było co innego. Wystąpiły poważne różnice poglądów. Jeśli chodzi o mnie, jestem w dobrych stosunkach ze wszystkimi -powiada.

- Rozumiem z tego, że przewodniczący jest wybierany w drodze głosowania?

- Tak.

- Spodziewam się, że to bardzo prestiżowe stanowisko?

- Z całą pewnością, pomogłoby mi to w dalszej karierze - wyznaje pani Ramirez.

- Zakładam, że zdaje sobie pani sprawę z odpowiedzialności związanej z piastowaniem stanowisk publicznych?

Patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć, „to się rozumie samo przez się”. Proszę ją o udzielenie wyraźnej odpowiedzi do protokołu.

- Tak - mówi.

- Co pani sądzi o człowieku oskarżonym o popełnienie czynów zarzucanych panu Acoście? O byłym sędzi?

- To bardzo poważne zarzuty - powiada. - Jeżeli są prawdziwe. Naturalnie, nie widziałam żadnych dowodów - dodaje.

- Naturalnie. - Ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie, iż mam do czynienia z osobą pragnącą za wszelką cenę zapomnieć o błędach przeszłości i ułożyć sobie poprawne stosunki ze wszystkimi.

- Pani Ramirez, w jaki sposób potraktowałyby pani zeznania policjanta?

- Nie rozumiem?

- Chodzi mi o to, czy uwierzyłaby im pani od razu, czy może raczej przyjęła nieufnie?

- Ani jedno, ani drugie - powiada. - Wysłuchałabym ich i spróbowała porównać z zeznaniami innych świadków.

Bardzo dobrze, myślę sobie.

- Czy w swojej karierze kiedykolwiek miała pani do czynienia z policją? - zadaję następne pytanie.

- Nigdy nie byłam aresztowana. - Koniecznie chce za zasługi zdobyć moje punkty.

- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, czy kiedykolwiek

współpracowała pani z policją?

- Och! - Tu ją mam. - Nigdy z policją, jako taką - próbuje się wyśliznąć.
- Może z jakimś oficerem policji?
- Tylko w ramach prac komisji.
- Na czym polega pani współpraca z oficerami policji w ramach komisji?

157

- Od czasu do czasu zdarza nam się opiniować programy opracowane przez ekspertów policji.
- To wszystko? Chwila zastanowienia.
- Ach - przypomina sobie. - Przepisy wymagają, żeby dwóch członków komisji było pracownikami policji - powiada. - Jeden z komendy stołecznej, drugi - z okręgowej.

O to mi właśnie chodziło.

- Ilu członków liczy sobie komisja, w której pani zasiada?
- Pięciu.
- Wobec tego do wyboru na przewodniczącego potrzebne są trzy głosy?  
Naraz wyraz jej oczu zdradza mi, iż dostrzega, dokąd zmierzam. Radovich przechyla się przez barierkę lawy sędziowskiej, żeby lepiej się przyjrzeć. Jego wiejski nos węszy jakiś smrodek.

Pani Ramirez nie odpowiada na moje pytanie. Naciskam lekko.

- Tak — wydusza wreszcie z siebie.
- Proszę mi powiedzieć, co się stanie, jeżeli jeden z cywilnych członków komisji postanowi rywalizować z panią o fotel przewodniczącego? Gdyby tej osobie przyszło do głowy ubiegać się o poparcie oficerów policji będących członkami komisji, tylko dobre stosunki z nimi zdołałyby uratować pani nadzieje na wybór, czyż nie?

- Nie sędzę, żeby miało dojść do takiej sytuacji - mówi, ale jej twarz wyraża co innego.
  - Ale gdyby doszło? - Nie mam zamiaru marnować na nią jednego z nielicznych, dopuszczanych przepisami sprzeciwów, dających obronie możliwość usunięcia ze składu przysięgłych osoby, wybranej przez oskarżenie. Pani Ramirez musi sama odejść.
  - Jestem pewna, że postąpiłabym właściwie - powiada.
  - Nawet gdyby to miało zniweczyć pani nadzieje na fotel przewodniczącego? Zaszkozić pani w dalszej karierze? To nazbyt wysoka cena za zasiadanie w ławie przysięgłych, orzekającej w procesie kryminalnym.
  - To bardzo ważny proces - powiada. ledwie słowa opuszczają jej usta, uświadamia sobie, że powiedziała coś nie tak.
  - Ważny dla kogo? - pytam.
  - Po prostu, ważny - mówi. - Istotny.
- Proces Acosty zapowiada się na wydarzenie sezonu, oto co ma na myśli.
- Czy nie wydaje się pani, że ta sprawa może mieć duże znaczenie dla oficerów policji zasiadających w komisji?
  - Nie mam pojęcia - rzecze.
  - Czy nie należy przypuszczać, że jeśli będzie pani głosować za wyrokiem uniewinniającym, owi oficerowie policji będą bardzo niezadowoleni?
  - Nie wiem. Nie rozmawiałam z nimi na ten temat.

158

- Zdaje pani sobie sprawę, że bez względu na to, jak pani zagłosuje, pani współpracownicy dowiedzą się o tym, głosy przysięgłych bowiem nie mogą być anonimowe?

Może rzeczywiście wcześniej o tym nie pomyślała, ale teraz jest w kropce.  
Siła sugestii i bezwzględne wymogi kariery.

- Bardzo ładnie, panie Madriani. Może pan na tym poprzestać -oznajmia Radovich.

- Pani Ramirez? Podnosi wzrok na sędziego.

- Chciałbym pani podziękować za przyście tutaj i za poświęcenie nam swojego cennego czasu.

Nie bardzo do niej dociera.

- Może pani iść do domu - wyjaśnia Radovich.

- Jestem pewna, że potrafiłabym zachować bezstronność - mówi.

- Rozumiem - powiada Radovich. - Niemniej, może pani iść już do domu.

Radovich wychyla się nieco z wyżyn ławy sędziowskiej. Jego szczerą, chłopską twarz rozjaśnia szeroki uśmiech i szepcze do mnie tak, żeby nie mogli usłyszeć przysięgli, ani ci, którzy już zostali wybrani, ani ci, którzy czekają na swoją kolejkę:

- Proszę mi w razie czego przypomnieć, żebym nie pozwolił się panu zbliżyć z tym zatrutym jadem do mojej studni. - Powyższa uwaga zostaje wypowiedziana dobrodusznym tonem, ale towarzyszący jej uśmiech mówi: miej się na baczności.

Pani Ramirez opuszcza swoje miejsce obrzucając mnie spojrzeniem bazyliuszka.

Zbliża się południe i Radovich ogłasza koniec porannej sesji. Po krótkiej naradzie ustalamy, że do jutra powinniśmy uporać się z ustalaniem składu ławy przysięgłych.

- Zapraszam państwa do mojego gabinetu - mówi. - Pan Kline ma nam coś do przekazania.



Kiedy wchodzimy do gabinetu Radovicha, Kline wali mnie po tyłku trzymanymi w garści papierzyskami.

- Świetnie się pan spisał - powiada. - Spodziewaliśmy się, że pani Ramirez nie przejdzie.

- Tak mi się właśnie wydawało - mówię. - Niech zgadnę? Miała być waszą piątą kolumną w ławie przysięgłych?

Nie przyzna się do tego, ale idę o zakład, że liczyli na to, iż pani Ramirez powie nie, gdyby sympatia przysięgłych zaczęła się przechylać na stronę naszego klienta.

159

- Bardzo ładnie pan to rozegrał - nie przestaje mnie chwalić. Myślałby kto, że taki z niego swój chłop. Wydaje mu się, że uwierzę, iż chowanie urazy sprzeciwia się jego religii, czego nie da się powiedzieć o Leonorze.

- Mieliliśmy nadzieję, że uda nam się zatrzymać ją w składzie przysięgłych, albo, w najgorszym wypadku, zmusić was do zmarnowania sprzeciwu - wyznaje.

- Tak to już bywa na wojnie. Raz z tarczą, raz na tarczy - zauważam filozoficznie.

- Och nie - mówi. - Przecież nie toczymy wojny. - Szuka właściwego terminu. - Nazwijmy to przyjacielską potyczką. - Nagły błysk w oku zdradza, że przyszła mu do głowy znakomita myśl. - Chociaż podejrzewam, że pańska koleżanka nie zamierza brać jeńców. - Chodzi mu o Leonorę.

Mógłbym mu powiedzieć, że na polu bitwy łatwiej o pourywanie członków, ale przypuszczam, że sam już do tego doszedł.

- Nieugięta panna Goya - wzdycha. - Cóż, zobaczymy, co przyniesie

przyszłość. - Rzuca mi spojrzenie sugerujące, że jego uwaga nie jest tylko czczym ozdobnikiem, że może nosić pewne cechy prorocstwa, po czym odwraca się na pięcie i śpieszy zająć miejsce na wprost Radovicha.

Sędzia pozbył się togi, obute w kowbojki nogi trzyma na biurku. Na podłodze, obok jego krzesła stoi kilka kartonowych pudeł z książkami: podróżna biblioteczka Radovicha. Znając niechęć sędziego do prawniczej literatury, równie dobrze moglibyśmy napalić nimi w piecu.

Jedyny egzemplarz Kodeksu Karnego, z którego korzysta Radovich, nosi datę sprzed dwóch lat. Nasz sędzia musi hołdować przekonaniu, że nowe przepisy prawa karnego, podobnie jak dobre wino, muszą odleżeć jakiś czas, zanim będzie można je skosztować.

Leonora, Harry i ja tkwimy jedno koło drugiego na sofie niczym komplet porcelanowych figurek. Kline, wraz z jednym ze swoich zastępców, zajęli krzesła dla interesantów.

- Mam nadzieję, że się prędko z tym uporamy - powiada Radovich.

-Jestem umówiony na lunch z przewodniczącym sądu okręgowego.

Kline obiecuje, że się pośpieszy, ale sprawa, którą chce przedstawić, jest bardzo poważna.

- Z prawdziwą przykrością podnoszę tę kwestię - oświadcza złowieszczym tonem.

- W czym rzecz? - chce wiedzieć Radovich.

- Chodzi o konflikt interesów - wyjaśnia - to dotyczy panny Goya.

- O kurwa, wierzyć mi się nie chce. - Leonora zrywa się z sofy, przez moment obawiam się, że zamierza wbić pazury w twarz prokuratora okręgowego.

Radovich patrzy na nią, jakby po raz pierwszy usłyszał z ust kobiety słowo

na k.

- O czym pan mówi? - pyta Leonora.

160

- Mówię o pani zaangażowaniu w tę sprawę, kiedy jeszcze pracowała pani w moim biurze. O tym, że przesłuchiwała pani pannę Hali w ramach swoich obowiązków służbowych. O tym, że miała pani dostęp do poufnych materiałów dotyczących oskarżenia o obrazę moralności wniesionego przeciwko pani obecnemu klientowi. Mówię o poważnym konflikcie interesów.

- Dajże pan spokój - mówi Leonora tonem, jakim uspokaja się rozbrykane dziecko. Przewraca przy tym oczami.

Nazywa zarzuty Kline'a wyssanymi z palca bzdurami i oburza się, że zwlekał z ich wysunięciem do ostatniego momentu przed procesem.

- Nie ma w tym nic wyssanego z palca - oznajmia Kline.

- Proszę o spokój. Dotyczy to obojga państwa - mówi Radovich.

-Zacznijmy od początku - powiada. - Po pierwsze, potrzebna nam będzie protokółantka. - Wydaje odpowiednie zarządzenie.

- Proponuję, żebyśmy wezwali również oskarżonego - mówi Kline.

-Sprawa, o której będziemy mówić, nie pozostaje bez wpływu na jego obronę.

Rodovich wyraża zgodę i wydaje polecenie, żeby przyprowadzono Acostę. Przez cały ten czas Harry i ja milczymy jak rażeni gromem. Nie w tym rzecz, żebyśmy do tej pory nie dostrzegali problemu. Swojego czasu sami zastanawialiśmy się nad kwestią potencjalnego konfliktu interesów, ale skoro Kline nie poruszył tego tematu w żadnym ze swoich wstępnych wniosków, uznaliśmy sprawę za załatwioną.

Zjawia się protokolantka. Dziewczyna ustawia maszynę do stenografii, woźny wtacza do gabinetu biurowy fotel na jednej nóżce.

Dwóch strażników wprowadza Acostę. Sędzia jest częściowo w dezabalu, ma na sobie spodnie od garnituru i bawełniany podkoszulek, z tyłu dyndają odpięte szelki. Widać, że jest zażenowany, nie przywykł, żeby oglądano go w takim stroju. Przeprasza za pośpiech, Radovich posyła jednego ze strażników po marynarkę. Drugi klawisz przynosi krzesło dla więźnia, po czym obaj ustawiają się na warcie przy drzwiach.

Acosta zakładając marynarkę, raz po raz zerka w naszym kierunku.

- O co chodzi? - pyta szeptem.

Leonora jest zanadto podniecona, żeby wydusić z siebie odpowiedź, ukradkiem przesuwa się w stronę biurka Radovicha, żeby zająć dogodną pozycję.

- Prokurator uznał, że reprezentując pana, panna Goya dopuściła do konfliktu interesów - wyjaśniam.

- Och. - To wszystko, co ma do powiedzenia, ale jego twarz przybiera wyraz śmiertelnej powagi. Przypuszczam, że zastanawia się nad ewentualnym wpływem owego domniemanego konfliktu interesów na jego własny los.

Jeszcze tylko protokolantka wkręca do swojej maszyny poskładany w harmonijkę papier komputerowy i możemy zaczynać.

11 - Sędzia

161

- Proszę - mówi Radovich. Sygnał dla Kline'a, że jesteśmy gotowi.

- Oskarżenie występuje z formalnym wnioskiem - mówi Kline -

0 uznanie panny Leonory Goya za niezdolną do prowadzenia obrony w

sprawie przeciwko panu Acoście, ze względu na występujący konflikt interesów. To wszystko jest bardzo proste - powiada. - Uważamy, że panna Goya reprezentowała dwie przeciwne strony w tej samej sprawie i co za tym idzie, jest skompromitowana. Prawo - oznajmia - jest jednoznaczne w tej kwestii.

Wręcza sędziemu plik dokumentów, wypunktowane argumenty, poparte wyliczeniem odnośnych paragrafów, opisy wcześniejszych precedensów, te same papierzyska, którymi przed trzema minutami dostałem po tyłku. Leonora ostatecznie traci panowanie nad sobą.

- Co to ma znaczyć? - wybucha. - Oskarżenie prowadzi gierki za naszymi plecami, nie dając nam nawet czasu na ustosunkowanie się do zarzutów. Wypadało nas uprzedzić.

Zrywam się z krzesła i przyłączam do Leonory. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Gdybyśmy mogli prosić, Wysoki Sądzie... Nie widzieliśmy jeszcze tych dokumentów.

- Słusznie - powiada Radovich. - Ma pan kopie dla obrony? - Radovich wyraźnie nie jest zwolennikiem taktyki uderzenia przez zaskoczenie, Kline wyraża skruchę z powodu niedopatrzenia. Zastępca prokuratora obrywa ostrą reprimendę za pogwałcenie prawniczej etykiety.

Zbesztany podwładny przeszukuje swoją teczkę i wreszcie wydobywa z niej dwa dodatkowe komplety kopii. Każdy składa się z tuzina kartek spiętych w rogu spinaczem; podkreślone precedensy, argumenty rozstrzelonym drukiem.

Kwestia nie przedstawia żadnych trudności. Zasady etyki zawodowej, obowiązujące w naszym stanie, zabraniają reprezentowania w tej samej

sprawie dwóch stron o sprzecznych interesach czy to cywilnej, czy kryminalnej. Nie bacząc na subtelne niuanse regulujące stosowanie zasad w praktyce, w tym wypadku karą za dopuszczenie do konfliktu interesów może być tylko całkowita dyskwalifikacja, odsunięcie od prowadzenia sprawy.

- Wprawdzie przepisy są jasne - zwracam się do Radovicha - ale pozostaje jeszcze kwestia zaniechania. Dlaczego prokurator czekał z tym do ostatniego momentu przed rozpoczęciem procesu?

- Słuszna uwaga - podchwytuje sędzia. - Pańskie postępowanie, panie Kline, grozi opóźnieniem procesu.

- Nie widzę żadnego powodu - powiada Kline. - Oskarżony jest znakomicie reprezentowany. Przez więcej niż jednego prawnika - dodaje. Aluzja do mnie i do Harry'ego.

- Mnie proszę nie brać pod uwagę — wtrąca Harry. — Nie przypominam sobie, żebym wyraził zgodę na reprezentowanie oskarżonego w sądzie.

162

- Ale jest pan tutaj - mówi Kline. - Bierze pan za to pieniądze.

- Stanowczo za mało - powiada Harry.

Acosta rzuca mu mordercze spojrzenie obrażonego cesarza.

- Chciałbym wyjaśnić jedną rzecz - mówi. - Nie zgodzę się na przełożenie procesu. - Chce przez to powiedzieć, że życzy sobie mieć to jak najprędzej za sobą.

Kline próbuje wciągnąć naszego klienta w dyskusję, wtrącam się, żeby to przerwać. Wobec tego Kline oświadcza, że w ogóle nie dostrzega groźby opóźnienia procesu, skoro proces już się rozpoczął selekcją sędziów przysięgłych.

Wypuszcza następną zatrutą strzałę.

- Jesteśmy przekonani, że panna Goya znajduje się w posiadaniu pewnych poufnych informacji - powiada - które mogła zdobyć jedynie podczas pracy w moim biurze. To stawia oskarżenie w niekorzystnej pozycji.

- Owszem, oskarżenie znajduje się w niekorzystnej pozycji, ale zawdzięcza to wyłącznie niekompetencji prokuratora okręgowego - rzuca Leonora.

- No tak - wzdycha Kline. - Cóż, to pani zarzuca się dopuszczenie do konfliktu interesów. Przydałyby się pani korepetycje z etyki zawodowej.

- Proszę natychmiast przestać! - Radovich sięga po pierwszy lepszy przedmiot, jaki ma pod ręką, i ciężki metalowy przycisk do papieru opada z hukiem na blat biurka, zostawiając sporych rozmiarów szczerbę na gładkiej powierzchni. Teraz jemu wyrywa się słowo na k.

- Charlie mnie zabije - mówi. Charlie Johnson wypożyczył mu swój gabinet, a teraz Radovich pozostawił na środku jego biurka nieusuwalny ślad swojej obecności.

- Dlaczego nie pójdziemy z tym do sądu? - pyta Leonora.

- Dlaczego się wreszcie nie zamkniecie? - warczy Radovich. - Niech mi ktoś przyniesie coś do czyszczenia politory - powiada. - I jakąś szmatę. - Ponaglony nerwowym gestem dłoni woźny znika w sąsiednim pomieszczeniu.

Ogarnia mnie zgroza na myśl, jakie wnioski wyciągnie sąd apelacyjny z naszego protokołu.

Zaczynam rozumieć, dlaczego Kline woli prać te akurat brudy w zaciszu prywatnego gabinetu Radovicha. Publiczna dyskusja musiałaby sprowokować niewygodne pytania na temat sposobu prowadzenia biura

prokuratora okręgowego, okoliczności towarzyszących opuszczenia go przez Leonorę, a może nawet wiecznego niezadowolenia pozostałych pracowników.

- Dlaczego tak długo zwlekał pan z tym wnioskiem? - pyta Radovich.

Pociera kciukiem rysę w drewnie, aplikuje odrobinę śliny, próbuje jeszcze raz.

- Dopiero parę dni temu - mówi Kline - kiedy panna Goya przesłuchiwała sierżanta Frosta, zdaliśmy sobie sprawę, jak bardzo zdobyte nieformalną drogą wiadomości panny Goya mogą zaszkodzić oskar-

163

żeniu. - Mówi to wprost, z taką powagą, że nawet ja nie mógłbym zakwestionować szczerości tego wyznania. Podejrzewam nawet, że przy okazji jest to zgodne z prawdą.

- Wasz świadek składał fałszywe zeznania - protestuje Leonora.

- Wykazałam tylko, że kłamie.

- To pani twierdzi, że sierżant Frost kłamał.

- Ja i wszyscy uczciwi ludzie, którzy słyszeli jego zeznania - powiada.

- Możemy tak dyskutować bez końca - mówi Kline - i jestem pewien, że nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Ale jedno jest jasne. Poddając świadka krzyżowemu ogniu pytań, dysponowała pani poufnymi informacjami, uzyskanymi bezpośrednio od panny Hali w ramach wykonywania obowiązków służbowych w moim biurze.

Chce przez to powiedzieć, że Leonora wygrała bitwę o Frosta po to tylko, żeby przegrać wojnę o Acostę. Powraca woźny, niosąc butelkę i szmatę, które podaje sędziemu.

- Nie prosiłem o olejek cytrynowy - mówi Radovich. - Nie macie czegoś,



co by miało jakiś kolor?

Woźny rozkłada ręce, wzrusza ramionami, jakby nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Naraz doznaje olśnienia, wypada za drzwi i zanim zdążymy cokolwiek powiedzieć, już jest z powrotem z pudełkiem brązowej pasty do butów w ręku.

- Taak - mówi Radovich.

- Wysoki Sądzie, czy mogę? - pytam nieśmiało.

- Niech pan mówi - zachęca, ale widać, że myślami jest gdzie indziej.

- Prawo pozostawia sądowi dużą swobodę decyzji w przypadku zaistnienia konfliktu interesów. - Powołuję się na jeden z precedensów cytowanych przez Kline'a. - Sąd powinien traktować dyskwalifikację obrońcy jako absolutną ostateczność.

- Chyba że postępowanie obrońcy „zagroza podstawowym zasadom przeprowadzania procesu sądowego” - Kline kończy za mnie cytat.

-Uważamy, że postępowanie panny Goya niesie ze sobą taką groźbę.

Panna Goya przesłuchiwała świadka oskarżenia - dodaje.

Przypominam sądowi, że przez cały czas poruszamy się w kręgu przypuszczeń i pogłosek, oraz że wspomniany świadek oskarżenia nie żyje i co za tym idzie, nie może już zeznawać.

- Pozostaje fakt - powiada Kline - że panna Goya nie potrafi oczyścić swojego umysłu z nabytej wcześniej wiedzy.

- A co z prawem oskarżonego do wyboru adwokata występującego w jego imieniu? - pytam.

- Dobrze pytanie - stwierdza Radovich z nosem przy blacie biurka, aplikując na zmianę ślinę, olejek cytrynowy i pastę do butów.

- Nie da się ukryć, że zabronienie oskarżonemu korzystania z usług

wybranego przez niego prawnika oznaczałoby poważne naruszenie jego prawa do obrony.

164

Radovich z brązowym od pasty do butów palcem wskazującym podnosi wzrok na Acostę.

- Co pan o tym sądzi? - pyta.

Przez chwilę myślę, że chce usłyszeć radę w sprawie zniszczonego biurka, może chodzi mu o jakiś sekret, o czarodziejski środek, znany tylko sędziom.

- Chodzi mi o pańskiego prawnika - wyjaśnia, jakby czytał w moich myślach. - Co mam z tym zrobić?

- Protestuję, Wysoki Sądzie. To jest wkraczanie pomiędzy oskarżonego i jego prawnika - mówię.

- Nie mam nic przeciwko temu - oświadcza naraz Acosta, dumnie prostując się w krześle. Myślałby kto, że nie jest oskarżonym w procesie o zabójstwo, lecz sędzią udzielającym porady koledze po fachu. Ogarniają mnie złe przeczucia.

- Nie znam wszystkich szczegółów... - zaczyna. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że komu jak komu, ale Kokosowi nieznajomość faktów nigdy nie przeszkadzała w podejmowaniu decyzji. - To trudna sprawa - mówi. - Jako klient mam zaufanie do panny Goya...

- Wysoki Sąd słyszy? - Leonora próbuje mu przerwać.

- Sądzę jednak, że panowie Madriani i Hinds też poradzą sobie z tą sprawą. Są zdolnymi prawnikami będącymi w stanie zapewnić mi należyta obronę.

- Znakomicie - powiada Kline. - Nie widzę problemu.

Zamiast podziękować mu za ten dowód uznania, odwracam się do Acosty i przeszywam go spojrzeniem, które - gdyby miał odrobinę wstydu - powinno go zabić.

- Sędzia Radovich zapytał mnie o zdanie - tłumaczy. - Powiedziałem tylko, co myślę.

Zostawiam go w spokoju, odwracam się z powrotem do Radovicha i próbuję kolejnego chwytu.

- Wykluczenie panny Goya na obecnym etapie przygotowań do procesu będzie miało niekorzystne skutki dla obrony - mówię. - Działamy jako zespół - wyznaję. - Podzieliliśmy się pracą i każde z nas zajmuje się innym odcinkiem linii obrony.

- Niech no zgadnę - wtrąca Kline. - Specjalnością panny Goya jest nadużywanie zaufania?

Zanim Leonora zdąży odpłacić mu taką samą monetą, Radovich sprawia, że przestaje to być konieczne.

- Panie Kline, jeszcze jedna uwaga tego rodzaju i zapłaci pan za to - oświadcza, potrząsając ufarbowanym na brązowo palcem. Jeśli prokurator nie będzie grzeczny, może zostać ukarany dwoma dniami szorowania biurka za pomocą własnego nosa.

Sędzia wyciska z Kline'a przeprosiny.

165

- Jest już o wiele za późno na wysuwanie podobnych zastrzeżeń, zwłaszcza skoro oskarżenie od początku wiedziało, jaką rolę odgrywała w tej sprawie panna Goya - zwracam się do Radovicha.

- Próbują uniemożliwić nam prowadzenie obrony - włącza się Leonora.

- Jeśli ktoś próbował tutaj uniemożliwić komuś pracę - powiada Kline - to

właśnie pani. -Wysoki Sądzie, wciąż jeszcze usiłujemy ustalić -mówi - czy odchodząc z mojego biura, panna Goya nie wyniosła jakichś dokumentów. Jego uwaga bez wątpienia ma na celu sprowokowanie Leonory i trzeba przyznać, że odnosi zamierzony efekt.

- Wysoki Sądzie, to oburzające - mówi Leonora. Zaczyna się jąkać ze zdenerwowania. - Jak? Jak to w ogóle możliwe? Jakim cudem mogłabym wynieść dokumenty, skoro pan... - Nagle zdaje sobie sprawę, że mówi do niewłaściwej osoby. Porzuciwszy Kline'a, zwraca się z powrotem do Radovicha - kiedy on i jego przyjaciółeczka dokumentnie splądrowali moje biuro, nie wspominając już o tym, że kazali wyprowadzić mnie z budynku pod eskortą? To nie do wiary - mówi. Jej twarz pokrył rumieniec gniewu, prychnęła jak rozwścieczona kotka.

- Poradzimy sobie bez wycieczek osobistych - mówi Radovich. - Proszę o spokój. - Przez cały czas trze energicznie paluchem, dzięki czemu udało mu się nadać dziesięciocentymetrowemu kawałkowi biurka, które tak zawzięcie obrabia, odcień o dwa tony ciemniejszy od reszty.

Podnosi do góry oczy i zdaje sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzymy. Odkłada szmatę i przesuwa leżący na biurku bibularz o piętnaście centymetrów w prawo, zasłaniając nim ciemną plamę. Kiedy już wreszcie sobie pójdziemy, rozejrzy się za papierem ściernym.

- Wysoki Sądzie, wręczyli mi pudło z moimi rzeczami i kazali się wynosić. Nie przepuścili mnie nawet przez próg mojego własnego gabinetu - mówi Leonora. - Niektórych rzeczy do dzisiaj nie udało mi się odzyskać. - Leonora podniosła rzuconą jej rękawicę, ale słuchając jej, można pomyśleć, że to ona musi się tłumaczyć.

- Jestem pewien, że to musiało być bardzo upokarzające - stwierdza

Radovich. - Ale nie o to teraz chodzi.

Acosta podnosi do góry brwi. Pomysł zatrudnienia byłej pani prokurator z uwagi na jej przypuszczalne wpływy w dawnym miejscu pracy okazał się niewypałem. Teraz Leonora ma własne problemy i Acosta musi się zastanowić, jaki to będzie miało wpływ na jego sytuację.

Kline siedzi spokojnie na swoim miejscu, jakby nie działo się tutaj nic specjalnego. Wreszcie do Leonory dociera, że jest jedyną osobą w pokoju, która dała się ponieść nerwom. Wysiłkiem woli odzyskuje panowanie nad sobą i powraca do rzeczowej dyskusji.

- Jak dotąd nie usłyszeliśmy jeszcze od pana przekonywającej odpowiedzi  
- mówi - dlaczego tak długo zwlekaliście z wypuszczeniem

166

tego... - gest dłoni jakby odgarniała powietrze, jakby chciała sobie pomóc w znalezieniu dostatecznie obelżywego określenia - tego bąka. - Nie udało jej się wymyślić nic lepszego.

- Myślałem, że to jest zrozumiałe samo przez się - mówi Kline.

-Oskarżenie o występki przeciwko moralności zostało dołączone do sprawy o zabójstwo dopiero w tym tygodniu - wyjaśnia. - I chciałbym przypomnieć, że to był wasz pomysł. Przedtem, przed połączeniem obu spraw, nie występował żaden konflikt interesów - powiada.

Odpowiedź Kline'a odnosi podobny skutek, co cios w splot słoneczny. Niemal słychać, jak Leonorę zatkało powietrze. Dlatego właśnie nie lubimy zadawać pytań, na które nie znamy odpowiedzi.

- I tu was ma - stwierdza Radovich. Leonora nie wie, co powiedzieć.

Cóż, w takich przypadkach, zawsze może liczyć na mnie.

- Mimo wszystko, faktem pozostaje, iż wykluczenie panny Goya

znakomicie utrudni nam poprowadzenie obrony - zwracam się do Radovicha. - Pojawia się pytanie, czy nie będzie to równoznaczne z ograniczeniem prawa oskarżonego do sprawiedliwego procesu.

- W tym rzecz - zgadza się sędzia. - Bardzo mnie martwią - powiada - konsekwencje, jakie może spowodować pański wniosek, panie Kline, jeżeli go przyjmiemy. Szczególnie zważywszy spóźnioną datę.

Czuję, że sędzia zaczyna się przechylać, tylko patrzeć, jak upadnie na naszą stronę boiska.

- Wysoki Sądzie, prawo mówi wyraźnie...

- To prawda - przerywa - ale nie możemy zapominać, że naszym obowiązkiem jest zapewnienie oskarżonemu sprawiedliwego procesu. Ma prawo do odpowiedniej obrony.

Wiesz, że wygrałeś, kiedy sędzia zaczyna przedstawiać twoje argumenty.

- Wysoki Sądzie, chciałbym prosić, żeby Sąd wstrzymał się z wydaniem postanowienia, dopóki się nie naradzę z moim współpracownikiem.

- Proszę się pośpieszyć - mówi Radovich. Zerka na zegarek, tymczasem dwaj prokuratorzy oddalają się w kąt gabinetu, dłonie przy ustach, ściszone głosy. Myślałby kto, że to mistrzowie dworskiej intrygi. Zastępca Kline'a wyciąga z aktówki kolejną kartkę papieru, którą obaj zaczynają studiować z wielką uwagą.

Zerkam na Leonorę. Wzrusza ramionami. Nie ma pojęcia, o co może im chodzić.

Osiągnąwszy consensus, prokuratorowie wracają do reszty towarzystwa.

- Mam nadzieję, że obejdzie się bez tego - zaczyna Kline - ale wobec zaistniałej sytuacji, muszę państwa poinformować o czymś, co rzuci nowe światło na całą sprawę. Otrzymaliśmy to wczoraj, późnym popołudniem -

mówi wręczając Radovichowi pojedynczą kartkę papieru. - Raport federalnego laboratorium kryminalnego - wyjaśnia.

167

- Co to ma wspólnego z zaistniałym konfliktem interesów? - pytam.

- Dotyczy odcisku kciuka zdjętego z frontowych drzwi mieszkania ofiary następnego dnia po znalezieniu ciała - tłumaczy Kline.

Czuję, jak lodowate przerażenie ścina mi krew w żyłach.

Kline naraz skupia całą swoją uwagę na Leonorze, wygląda to tak, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemienił się w snop oślepiającego światła z policyjnego reflektora.

- Chcielibyśmy wiedzieć, panno Goya, co pani robiła w mieszkaniu ofiary w nocy, w której popełniono morderstwo?

Leonora usiłuje coś powiedzieć, ale udaje jej się wydobyć z siebie jedynie niezrozumiałe stękanie.

- Nie odpowiadaj - śpieszę jej na pomoc.

Na szczęście wystarcza jej tyle przytomności umysłu, żeby tego nie potwierdzić. Zamiast tego nazywa wystąpienie Kline'a kolejną próbą obrzucenia jej błotem, jeszcze jednym tanim chwytem.

- Skąd wiecie, że odcisk palca został zostawiony w noc zabójstwa? Na ustach Kline'a pojawia się szeroki uśmiech.

- No cóż, to się wiąże ze szczególną specyfiką tej sprawy, pani mecenas. Nie znaleźliśmy ani jednego odcisku palca na żadnej odkrytej powierzchni wewnątrz i w bezpośrednim pobliżu mieszkania Brittany Hali. Czy to nie wydaje się państwu dziwne? - Posyła mi figlarny uśmiech.

Zbywam jego pytanie milczeniem.

- Czy nie zastanawia was fakt, iż nie znaleziono nawet odcisków palców

ofiary? Nie było ich ani na drzwiach, ani na klamce, ani w toalecie, ani nawet w kuchni. - Robi pauzę, żebyśmy mieli czas w pełni zdać sobie sprawę ze znaczenia jego rewelacji. - Wygląda na to, że ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, żeby wszystko powycierać do czysta.

- Mimo wszystko, nawet jeśli rzeczywiście znaleziony przez was odcisk należy do panny Goya, a wcale nie jestem o tym przekonany...

- Och, może mi pan wierzyć, że tak jest - przerywa mi Kline.

- Nie możecie jednak udowodnić, że został zostawiony tamtej nocy.

- To już jest problem sędziów przysięgłych - powiada Kline, po czym zwraca się do Radovicha: - Czy jest prawdopodobne, czy jest w ogóle możliwe, żeby ktoś wytarł dokładnie całe drzwi, pozostawiając jedynie odcisk kciuka, należący do panny Goya? - pyta. - Czy to jest prawdopodobne?

Kline ma rację. Wystarczy, że zada to pytanie sędziom przysięgłym, nawet nie będą musieli na nie odpowiadać. Leonora jest skompromitowana bardziej, niż kiedykolwiek przyszło nam to do głowy.

- Może być pani pewna, że zapytam panią o to samo w sądzie, kiedy będzie pani zeznawać jako świadek - informuje Leonorę.

Leonora stoi jak słup soli, jej dłoń wydaje się przyklejona do biurka Radovicha, jakby tam właśnie przebiegała w tej chwili granica jej Wszechświata.

168

- Wysoki Sądzie - mówi Kline - jestem skłonny przyznać, że kwestia zaistniałego konfliktu interesów nie została do końca wyjaśniona. Ale jeśli idzie o świadków, prawo jest absolutnie jednoznaczne. Świadek nie może w żadnych okolicznościach reprezentować którejkolwiek ze stron w



procesie, w którym sam zeznaje. Prawo nie przewiduje żadnych wyjątków. Odwraca się do oniemiałej Leonory i rzuca jej prosto w twarz:

— Panno Goya, niniejszym zawiadamiam panią, że oskarżenie zamierza wezwać panią na świadka w sprawie przeciwko Armandowi Acoście.

15

Kiedy wracamy do naszego biura, prasa jest już poinformowana o ostatnich wydarzeniach, to znaczy o tym, że Leonora została odsunięta od obrony Acosty. Recepcjonistka nie może poradzić sobie z telefonami, kiedy wchodzimy do sekretariatu. Czerwone lampki wszystkich trzech aparatów migają jak wściekłe, na każdej Unii czeka ktoś, kto natychmiast musi z nami pogadać.

- Fiut jeden, nie mógł wytrzymać, żeby się nie pochwalić - mówi Leonora. Ma na myśli Kline'a, który, idąc o zakład, przeprowadza właśnie konferencję prasową na schodach sądu. - Dla niego każdy sposób jest dobry, żeby mnie udupić - powiada Leonora.

Kieruje się prosto do mojego gabinetu, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko podążyć jej śladem.

- Odnoszę wrażenie, że wpakowałaś się w to gówno na własną prośbę - rzuca Harry.

- Odwal się.

- Wygląda na to, że dzięki tobie nic innego mi nie pozostaje - stwierdza Harry. - Mnie, Paulowi i naszemu klientowi. Wszyscy możemy iść się pieprzyć.

- Zejdź ze mnie - powiada Leonora.

Daję mu ręką znak, że może by tak posłuchał.

- Nie sądzisz, że i bez twoich uwag fatalnie się czuję?

- O rany - powiada Harry. - Cholernie mi przykro. Może urządzimy sobie sesję terapii grupowej? Zobaczymy, które z nas najgorzej się czuje. Proszę na kozetkę - szydzi, zapraszając Leonorę do ułożenia się na kanapie. - A jak ty się czujesz, Paul? Opowiedz nam o tym. Nie masz przypadkiem wrażenia, jakby cię ktoś wyłomotał? - Harry jest u szczytu formy. -Och! Jak mogłem być taki niedelikatny? -powiada. -Ujmijmy to inaczej. Nie wydaje ci się, że dzisiaj, w sądzie, zostałeś zrobiony w jajo?

170

Paranoja Harry'ego wymknęła się spod kontroli.

- Co tu jest grane, do cholery? - pyta. - Wiedziałaś, że ona tam była?  
-Patrzy na mnie, czekając na odpowiedź. Wścieka się, bo czuje się oszukany.

Przypuszczam, że Harry podejrzewa, chociaż mu tego nie powiedzieliśmy, iż owej nocy, kiedy została zamordowana Brittany Hali, pojechałem do jej mieszkania razem z Leonorą. Gdybym to potwierdził, wypadłby z biura w ataku hysterii, wrzeszcząc i plując na wszystkie strony.

Tymczasem jednak, nie dając mi czasu na odpowiedź, Harry unosi do góry obie dłonie w uniwersalnym geście rezygnacji.

- Nie odpowiadaj — mówi. Zupełnie jakby potrafił czytać w moich myślach. Jest dostatecznie bystry, by zdawać sobie sprawę, że o pewnych rzeczach lepiej nie wiedzieć, a przynajmniej nie mówić o nich na głos.

- Nie wiem, co mam wam powiedzieć - oznajmia Leonora.

- To zupełnie tak, jak ja - stwierdza Harry.

Leonora nie zwraca uwagi na jego słowa. Jedyne działanie, które działa na Harry'ego.

- Strasznie mi przykro - mówi Leonora. - Przeze mnie siedzicie po uszy w

gównie, a ja nie mam zielonego pojęcia, jak was z tego wyciągnąć. Jeżeli o to chodzi, Leonora ma teraz swoje własne kłopoty. Kline zapowiedział, że zamierza wezwać ją na świadka. Wpadł nawet na pomysł, żeby wyznaczyć dwóch policyjnych detektywów, którzy zamierzali wziąć ją w krzyżowy ogień pytań jeszcze dzisiaj po południu, ale udało mi się przekonać Radovicha, że powinien zainterweniować. Gliny nie posiadałyby się z radości, gdyby trafiła im się okazja do zadania paru pytań na temat naszej linii obrony. Nie powiedzieli jeszcze, czy zamierzają wysunąć przeciwko Leonorze formalne oskarżenie o włamanie. Gdyby udało im się udowodnić, że majstrowała przy materiale dowodowym, doszedłby do tego jeszcze zarzut o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

- Macie jakiś pomysł, co powinnam zrobić? - pyta.

- Powiedz im, że zwariowałaś - powiada Harry. - Na pewno ci uwierzą — dorzuca.

W tej chwili docinki Harry'ego biorą się nie tyle ze złości na Leonorę, ile z podejrzania, że nie chcemy go dopuścić do klubu dla wtajemniczonych.

Gdybyśmy tamtej nocy zabrali go ze sobą, tuliłby dzisiaj Leonorę do serca. Uwielbia podobne awantury. Harry, jak większość z nas, jest wielkim hipokrytą.

- Omal bym zapomniał - mówi. - Macie. Wierście albo nie. Podaje mi plik zadrukowanych formularzy, ozdobionych u góry znajomo wyglądającym znakiem graficznym.

- Jeszcze dzisiaj rano wydawało mi się, że to się może na coś przydać -powiada. - Spis połączeń telefonicznych z mieszkania Brittany Hali za ostatni okres.

Zatknięty spinacz biurowy wskazuje na właściwą stronę, opatrzoną na marginesie odręczną notatką Harry'ego.

171

- Tu macie rozmowy przeprowadzone w dniu zabójstwa - wyjaśnia.

- Oczywiście, nie zdziwiłbym się, gdybyście byli u niej w domu, kiedy dzwoniła pod ten numer. Może wiecie, o czym rozmawiali?

- O kogo ci chodzi, do jasnej cholery? - pytam. Szturcha palcem w jeden z zapisów.

- O Phila Mendla i Brittany Hali. Zadzwoiła pod ten numer, zapisany zresztą w jej małym czarnym notesiku, na dwie godziny przed śmiercią. Jeżeli prokuratura nie myli się co do czasu dokonania zabójstwa, był to ostatni telefon w jej życiu. Ale w obecnej sytuacji niewiele nam to da. - Harry chce przez to powiedzieć, że teraz już nic nie zdoła nas uratować.

Proszę go, żeby na chwilę zostawił nas samych. Chciałbym porozmawiać z Leonorą w cztery oczy.

- Jasne - on mi na to. - Co mnie to w końcu, kurwa, obchodzi. Spadam stąd. Bóg jeden wie, dlaczego w ogóle dałem się w to wrobić. - Mruczając pod nosem plugawe słowa, wychodzi z gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

- Boję się, żebyś przeze mnie nie stracił przyjaciela - powiada Leonora.

- Harry ma znakomity ubaw - mówię jej. - Uwielbia się wściekać. Tylko to go trzyma przy życiu.

Nie kłamię. Złość wydaje się być jedyną siłą witalną, napędzającą jego egzystencję. Jutro znajdzie sobie jakiś inny powód do gniewu, o którym pojutrze nie bętzicie pamiętał.

- Nigdy nie przypuszczałam, że mogę dodać komuś ochoty do życia.

Posyłam jej spojrzenie zapewniające, że jest w tym więcej prawdy, niż myśli.

- Nie mógłbyś mi czegoś doradzić? - prosi. - Na wypadek, gdyby chcieli mnie przesłuchać.

- Będą musieli przejść po trupie Radovicha - mówię. - Nie sądzę, żeby im na to pozwolił. Za wielkie ryzyko naruszenia zaufania klienta - tłumaczę.

- Mogłabym po prostu powiedzieć, że podeszłam do drzwi i dotknęłam ich z zewnątrz bez wchodzenia do środka.

- Pod warunkiem, że twój odcisk palca był na zewnątrz. - Kline nie dostarczył nam dotąd kopii raportu z laboratorium, nie wiemy więc, w którym miejscu znaleźli odcisk.

Leonora jest prawnikiem. Kiedy ochłonie, zrozumie, że składanie fałszywych zeznań nie leży w jej interesie.

- Mają milion sposobów, żeby złapać cię na kłamstwie - przypominam. - Nie mówiąc już o tym, że zamiast zaspokoić ich ciekawość, sprowokujesz tylko kolejne pytania, na które pewnie wolałabyś nie odpowiadać. „Czy chce nam pani powiedzieć, panno Goya, że pofatygowała się pani do mieszkania zamordowanej kobiety tylko po to, żeby dotknąć drzwi?”

172

Spogląda na mnie z zakłopotaniem.

- Na pewno zapytają mnie, czy byłam sama - powiada.

Myślałby kto, że problem sprowadza się do kłamstwa w mojej obronie.

- Przede wszystkim będą chcieli się dowiedzieć, co tam zobaczyłaś i czy czegoś przypadkiem nie dotykałaś. Ale możesz być pewna, że w pierwszej kolejności zapytają cię, po coś tam poszła. A potem zainteresują się, czy byłaś sama.

- Niemożliwe, żeby naprawdę myśleli, że to ja ją zamordowałam. Nie miałam żadnego motywu. Poza tym widziano mnie, jak rozmawiałam z Tonym po znalezieniu ciała. Jeżeli potrafią dodać dwa do dwóch, wyjdzie im, że dopiero stamtąd pojechałam do mieszkania Brittany Hali. Nie mogłam jej zamordować, bo ona już nie żyła.

- Jasne, pomyśla, że tylko tak sobie majstrowałaś przy materiale dowodowym - powiadam. - Poza tym, wciąż brakuje nam odpowiedzi na jedno pytanie. Próbowaliśmy już parę razy delikatnie to z niej wydobyć, ale za każdym razem zbywała mnie byle czym. - Co myśmymy tam robili? Spogląda na mnie ze smutkiem.

- Czy uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, że powodowała mną czysta ciekawość?

- Krótko mówiąc: nie - odpowiadam.

Dobrze pamiętam sposób, w jaki poruszała się po mieszkaniu Brittany Hali. Było w niej więcej skupionej celowości, niż można by się spodziewać po kimś, kto przyszedł tylko po -to, żeby się rozejrzeć. Gdyby ktoś mnie zapytał, powiedziałbym, że wyglądało na to, iż miała jakiś interes w kuchni. Towarzyszyłem jej przez cały czas z wyjątkiem tych paru minut, które spędziła w kuchni panny Hali.

- Stawiasz mnie w trudnym położeniu - powiada.

- Następny konflikt interesów? - pytam.

- Coś w tym rodzaju.

- Chcesz, żebym spróbował zgadnąć?

Robi minę sugerującą, że może mi powie, jeśli sam na to wpadnę, a może i nie powie.

- To miało coś wspólnego z Tonym, prawda?

Jej twarz zmienia się w kamienną maskę, ale zdradzają ją oczy.

- Spotykał się z nią? - Nie ryzykuję wiele. Dam sobie rękę uciąć, iż raz zatrzymawszy spojrzenie na pannie Hali, Tony musiał się roznamiętnić jak rozplodowy ogier.

Harry zaprzyjaźnił się z sąsiadami Brittany Hali, a zwłaszcza z panią, która widziała ją z podbitym okiem. Kobieta nie ma wprawdzie pojęcia, kto pozostawił dziewczynie tę pamiątkę, ale Tony Arguillo coraz bardziej zaczyna wyglądać mi na właściwego kandydata. Ktoś taki, jak on, byłby zdolny przyłożyć panience tylko po to, żeby pokazać, kto tu rządzi.

- Niech no pomyślę. Zostawił tam coś? Leonora nie odpowiada.

173

- Powiesz mi, kiedy trafię, dobrze?

Kładę sobie dłoń na głowie, Wielki Szaman poszukujący prawdy, zastanawiam się przez chwilę, wreszcie ryzykuję domysł:

- Czy to był zużyty kondom, w który Tony Wspaniały przelał lepszą część swojej osoby?

Wybuchą śmiechem, po czym, zapewne wyobraziwszy sobie przedmiot moich podejrzeń, krzywi się z obrzydzenia.

- Spróbuję jeszcze raz. - Ponownie pogrążam się w zadumie. -Może seksowne gatki ze złotym rozporkiem, sprytnie naszywane cekinami?

Leonora zaczyna chichotać. Wisielczy humor pomaga czasem przetrwać skądinąd niemożliwą do zniesienia sytuację.

- Spróbuj jeszcze raz, o Wielki Szamanie - zachęca.

- Przyrząd do ćwiczeń izometrycznych dla oklapłego Willarda, alfer ego Tony'ego?

- Kto to jest Willard?

- Jednooki potwór w beżowym golfiku - wyjaśniam. Dostaje ataku śmiechu.

- To nie było nic świńskiego - mówi po chwili.

- W takim razie co? - Wielki Szaman nagle poważnieje.

Z piersi Leonory wydobywa się głębokie westchnienie. Żarty się skończyły. Pora powiedzieć prawdę i Leonora dobrze o tym wie.

- Tony miał z nią randkę - wyznaje. - Ale zanim zdążył się spotkać z panią, policja znalazła jej zwłoki.

- Tak ci przynajmniej powiedział.

- Posłuchaj Paul, on jej nie zabił.

- Co to ma być? Wyznanie wiary?

- Znam go. Nie mógłby tego zrobić.

- Tak właśnie myślałem. Więc co tam takiego zostawił?

- Nic.

A jednak nie poszła tam bez powodu.

- Musisz mi przyrzec, że tego nie wykorzystasz. - Ma na myśli obronę Acosty.

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci tego obiecać.

- Posłuchaj - powiada. - Ja mu wierzę. Nie miał nic wspólnego z morderstwem.

- Nie mogę ci nic obiecać, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi. Fuka jak rozdrażniona kotka.

- Tamtej nocy - zaczyna - kiedy pojechaliśmy się z nim spotkać... w uliczce, gdzie znaleźli zwłoki - dodaje tytułem wyjaśnienia - Tony i ja zostaliśmy na chwilę sami.

Pamiętam. To było wtedy, kiedy na moment zostawiła mnie przy barierce z



zółtej taśmy i wróciła do Arguillo. Nie słyszałem, o czym rozmawiali, stali zbyt daleko.

174

- Powiedział mi, że mieli mieć randkę. Upierał się, że Brittany musiała to gdzieś zanotować. Podobno uwielbiała wszystko zapisywać. Nie dowierzała swojej pamięci.

- Ale nie miała żadnych kłopotów z zapamiętaniem pikantnych szczegółów swojej rozmowy z Kokosem w pokoju hotelowym.

- Powiedziałabym, że miała przyływ twórczego geniuszu - powiada Leonora. - Nie uwierzyłam jej w ani jedno słowo. Myślę, że na tym właśnie polega problem Kline'a. Doskonale zdaje sobie sprawę, że w tej historyjce jest pełno dziur. Gdyby wytoczyli Acoście proces, opierając się jedynie na jej zeznaniach, wystarczyłoby, żeby znalazł sobie dobrego prawnika, a sędzia posłałby prokuratora do wszystkich diabłów. Nie mieli żadnych szans.

- Ale to by ich nie powstrzymało od wniesienia oskarżenia?

Jej mina wyraża brak przekonania. Mówi, że jej koledzy nie byli zachwyceni tym pomysłem i że jedynymi osobami, naciskającymi w sprawie wszczęcia postępowania procesowego, byli Kline i sama Hali, która uważała, że oto podaje się w wątpliwość jej wiarygodność.

- Bała się, że jeśli prokurator okręgowy okaże jej brak zaufania w tak prestiżowej sprawie, może mieć kłopoty ze znalezieniem posady w policji po ukończeniu szkoły. Była wściekła, że ludzie nie dają wiary jej zeznaniom.

- Możliwe, że mieli do tego powody -mówię. - Prowadzała się z facetami, którym prawda z zasady nie przechodziła przez gardło. To bywa zaraźliwe.

- Sądziysz, że podstawili ją, żeby zrobić Acostę? - pyta. - Chodzi ci o Mendla?

Robię minę oznaczającą, że trudno to wykluczyć.

- Przypuszczam, że tak właśnie mogło być - wyznaje Leonora.

- Wracając do rzeczy: stanęliśmy na tym, że Tony poprosił cię, żebyś pojechała do jej mieszkania - mówię. - Czego tam szukałaś?

- Małej, żółtej, samoprzylepnej karteczki. Tony powiedział mi, że Brittany miała zwyczaj naklejać je na kalendarz, żeby nie zapomnieć, co miała zrobić.

- I znalazłaś ją? Skinienie głowy.

- Zapisała na niej imię i nazwisko Tony'ego, numer jego telefonu

1 godzinę, siódma wieczorem. Karteczka była naklejona na kalendarz, pod datą, kiedy zostało popełnione morderstwo. To wtedy zobaczyłam notatkę o spotkaniu z Acostą. Była zapisana pod spodem.

- Powtórz to jeszcze raz - proszę.

- Znalazłam notatkę o randce z Tonym.

- Nie. Nie to. Gdzie ją znalazłaś?

- Naklejoną na notatkę w kalendarzu. Ciągle to do niej nie dociera:

175

- O spotkaniu z Acostą - podpowiadam. Nagle, spływa na nią olśnienie.

- O kurczę - mówi.

- Czy to nie mogło oznaczać, że spotkanie z Acostą zostało odwołane? - pytam.

- Nie wydaje mi się. - W każdym razie chciałyby mieć nadzieję, że nie zniszczyła dowodu, który mógłby oczyścić naszego klienta. - Wyglądało to raczej na późniejszy dodatek, jakby zabrakło jej miejsca w kalendarzu.

- Ale nie wiesz tego na pewno?

Leonora rozumie doskonale, jakie to ma znaczenie. Gdyby gliny znalazły karteczkę z nazwiskiem Tony'ego, mielibyśmy w ręku znakomity argument. Bez niczyjej pomocy, udało jej się zafałszować materiał dowodowy na szkodę naszego klienta.

- Tony nie miał na myśli nic złego - powiada. - Po prostu nie chciał, żeby gliny znalazły tę notatkę. Musiałby się gęsto tłumaczyć.

- Jasne. Zwłaszcza, jeśli nie miał alibi.

- Nie zamierzasz tego wykorzystać? - pyta. Daję jej do zrozumienia, że nie mogę tego obiecać.

- Powiedziałeś...

- Niczego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że oboje mamy zobowiązania wobec naszego klienta, który jest oskarżony o morderstwo.

- Jeśli będę musiała, zeznam, że zerwałam karteczkę przyklejoną na nazwisku Acosty. Powiem, że było jasne, iż spotkanie zostało odwołane. Ale nie wymienię nazwiska Tony'ego. On tego nie zrobił.

- Co jest nie tak z tym facetem?

- Po prostu nie wierzę, że Tony zabił Brittany Hali.

- To nie ma znaczenia - mówię. - Wiesz równie dobrze, jak ja, że jeśli nawet wezwę cię na świadka, i tak nikt ci nie uwierzy. Będą przekonani, że wymyśliliśmy tę historyjkę. Kline bez trudu przekona przysięgłych, że wyssałaś ją sobie z palca. Wyjaśni im, że to ostatnia desperacka próba uratowania naszego klienta.

- I zrobi to z błyskiem w oku - dodaje. - Poza tym, wyrzuciłam tę kartkę. Robię grymas oznaczający, że to przesądza sprawę.

- Kto powrywał kartki z kapownika z telefonami? - pytam. - Brakuje

litery A. Może to sprawka Tony'ego?

- Nie mam pojęcia - mówi. - Wiem tylko to, co Tony powiedział mi o notatce w kalendarzu. - Po czym jednym tchem wyrzuca z siebie - Jak to możemy naprawić? Co mam zrobić?

Sam chciałbym to wiedzieć.

- Na razie powinnaś się przyczaić.

- Mam zniknąć?

- Bez przesady. Po prostu postaraj się nie rzucać w oczy.

- Chcesz, żebym poczekała, aż wypijesz za mnie piwo, którego sama nawarzyłam.

176

- Inaczej się nie da. Porozmawiam z Acostą. Myślę, że Radovich wyrazi zgodę, jeśli poprosimy o odroczenie.

- A jeśli Kline wezwie mnie na świadka?

- Nie dopuścimy do tego, żebyś zeznawała.

- A jeśli nam się nie uda?

- Cóż, włamanie i naruszenie cudzej własności jest przestępstwem

-powiadam. - Powołasz się na Piątą Poprawkę. Odmówisz zeznań - za radą swojego adwokata. - Robię perskie oko.

Na jej twarzy wreszcie pojawia się uśmiech.

- Niech no zgadnę - mówi i pokazuje na mnie palcem.

- Nie mógłbym cię reprezentować - mówię. - To by prowadziło do następnego konfliktu interesów. Znajdziemy kogoś innego, kto ci poradzi.

Harry chce się wycofać ze sprawy Acosty. Mówi mi, że powinienem spuścić wodę i pójść za jego przykładem. Bronienie Acosty kłóci się z jego wyobrażeniem o boskiej sprawiedliwości.

Mimo to nadal jak wariat odwala całą papierkową robotę. W chwili obecnej jego głównym zadaniem, które - trzeba mu to przyznać - wykonuje z prawdziwym zaangażowaniem, jest gromadzenie kopii oficjalnych dokumentów, łącznie z księgami rachunkowymi Mendla oraz zatruwanie życia pracownikom intendencji nietaktownymi pytaniami o pistolet, z którego został zastrzelony Zack Wiley.

Harry jest mistrzem dobierania się do tajnych dokumentów przy pomocy kruczków prawnych. Powiada, że kiedy Mendel dostanie nakaz sądowy, jego wycie usłyszymy w naszym biurze i to bez korzystania z telefonu. Tak czy inaczej, krok po kroku, zaczynamy ujawniać, w jakim kierunku pójdzie nasza linia obrony.

Tego ranka udaję się samotnie do okręgowego więzienia na spotkanie z Acostą.

Zastaję go pogrążonego w rozmowie z Liii. Odnoszę wrażenie, że oboje spodziewali się mojej wizyty. Po odejściu Leonory znaleźliśmy się na rozstajnych drogach.

Acostą wygląda na wyczerpanego psychicznie. Monotonia wstępnych etapów procesu działa jak narkotyk, nawet jeśli konsekwencją może być śmierć. Ma wymizerowaną twarz i zapadnięte oczy. Stracił parę ładnych kilogramów, chociaż twierdzi, że dba o formę i że ćwiczy w więziennej siłowni, kiedy tylko uda nam się wyrwać wcześniej z sądu. Mówi, że jakoś daje sobie radę. Popadł w rutynę.

Liii natomiast sprawia wrażenie, jakby jej życie rozsypało się na drobne kawałeczki. Robi dobrą minę do złej gry, stara się być podporą dla swojego męża, przynajmniej w sensie moralnym, zza oddzielającej ją od niego pancерnej szyby. Ale bez trudu można się domyślić, że kiedy tylko

zostaje sama, przeżywa katusze niepewności, próbuje znaleźć odpowiedź

12 - Sędzia

177

na pytanie, co zrobi ze swoim życiem, jeżeli przyjdzie jej utracić męża.

Niełatwo to sobie wyobrazić, ale Armando Acosta jest słońcem, wokół którego obraca się jej cała egzystencja.

Ostatnie tygodnie sprawiły, iż po dwudziestu latach zawodowej nienawiści, po raz pierwszy spojrzałem na Acostę innymi oczami. Ku swojemu zdumieniu, ujrzałem w nim złamanego człowieka, jeszcze jeden dowód na to, że cierpienie uszlachetnia.

- Mam nadzieję, że moja obecność panu nie przeszkadza -mówi Liii

-Ostatnio nie mamy dla siebie zbyt wiele czasu.

Dzisiejszego poranka sala rozpraw Radovicha świeci pustkami. Sędzia wziął sobie dzień wolny, jak przypuszczam, głównie po to, żeby dać nam okazję do przegrupowania sił po druzgoczącym ciosie, zadany przez Kline'a. Ostatnim punktem wczorajszego porządku dnia, zaraz po zaprzysiężeniu składu sędziów przysięgłych, była karczemna awantura z mediami.

Radovich zapowiedział, że nie wpuści kamer telewizyjnych na salę rozpraw. Stwierdził, że nie ma czasu na oglądanie przedstawienia na użytek telewizji.

- Ludzkie ego - powiedział dziennikarzom - objawia w obecności kamer zdumiewającą tendencję do nadmuchiwania się jak balon.

Żeby zwiększyć jeszcze poczucie krzywdy znieważonych mediów, wydał oficjalne zarządzenie, zakazujące prawnikom, detektywom i policjantom, a także świadkom obrony i oskarżenia udzielania jakichkolwiek wypowiedzi

na temat procesu. To ostatecznie przekreśliło nadzieje środków masowego przekazu zbiecia kapitału na świetnie zapowiadającej się sprawie Acosty. Kiedy zatrudnieni przez media prawnicy rzucili się do ataku, uzbrojeni w Pierwszą Poprawkę, Radovich oświadczył, że nie dostrzega w niej żadnych szczególnych odniesień do kamer filmowych ani, tym bardziej, bezpośrednich transmisji telewizyjnych. Powiedział dziennikarzom, żeby zaczęli ostrzyć ołówki, i obiecał załatwić im dobre miejsca w pierwszym rzędzie.

Jeśli chodzi o mnie, i tak nie miałbym nic do powiedzenia dziennikarzom, coś mi jednak mówi, że obecność na sali rozpraw kamer telewizyjnych byłaby na rękę obronie, zważywszy zwłaszcza, iż w roli oskarżyciela występuje zależny od wyborców prokurator okręgowy w rodzaju Kline'a. Po facecie z jego charakterem należy się spodziewać, że znalazłszy się w blasku reflektorów, zapragnie dać pokaz przykładowego przeprowadzenia powództwa. Prokuratura ma już na swoim koncie niejedną głupio przegraną sprawę, która na pierwszy rzut oka wydawała się pewniakiem. Oszołomiony obecnością kamer prokurator okręgowy nie potrafił „utrzymać oka na piłce” i wdawał się w idiotyczne utarczki z obroną, która akurat powiedziała coś, co mogłoby zrobić wrażenie na telewizzach. Niektórzy świadkowie wymyślają niestworzone historie i ry-

178

zykują oskarżenie o krzywoprzysięstwo, a wszystko po to, by zyskać swoje piętnaście minut sławy przed kamerami. Zdarzają się również sędziowie, którzy na to pozwalają. Na naszych oczach z tych ludzi wylewa się morze bezbrzeżnej głupoty.

- Jak panna Goya przyjęła wykluczenie ze sprawy? - pyta Acosta.

- Jest wściekła. Głównie na siebie samą - mówię. - To nie było najmądrzejsze posunięcie.
  - Nie bardzo umiem umiejscowić to w czasie - powiada - ale odnoszę wrażenie, że panna Goya nie pracowała już w biurze prokuratora okręgowego, kiedy urządziła sobie tę małą wycieczkę. - Ma na myśli wyprawę do mieszkania Brittany Hali w noc zabójstwa.
  - To było zaraz po wyrzuceniu jej z pracy - wyjaśniam.
  - A więc w grę może wchodzić nadużycie urzędu i podawanie się za kogoś innego - stwierdza.
  - Lepiej nie podsuwajmy Kline'owi takich pomysłów.
  - Broń Boże! - zgadza się. - Ale niech mi pan powie, po co ona tam poszła?
- Ma prawo to wiedzieć, mówię mu jednak, że porozmawiamy o tym później, kiedy zostaniemy sami. Tymczasem gawędzimy na temat powstałej sytuacji oraz konsekwencji wykluczenia Leonory. Acosta nie sprawia wrażenia szczególnie wstrząśniętego rozwojem wypadków.
- Mogło być gorzej - powiada. - Dopiero byśmy wyglądali, gdyby to się stało już po zaprzysiężeniu ławy przysięgłych, kiedy sędziowie zaczęliby kojarzyć pannę Goya.
- Nie zapominam, że jego własna idea sprawowania urzędu sędziowskiego sprowadzała się z grubsza do wymachiwania rzeźnickim toporem, ale nie mogę mu odmówić znakomitej orientacji w pokrętnych niuansach procesu sądowego.
- W obecnej sytuacji - oznajmia - może pan gładko przeskoczyć na jej miejsce, bez wywoływania nieodwracalnej katastrofy.
  - W ten sposób - mówię - dochodzimy do zasadniczego pytania: co teraz?



- Gramy dalej - on na to.
- Radovich zgodzi się na odroczenie. Będzie pan mógł poszukać innego prawnika.
- Zamierza nas pan opuścić? - pyta Liii.
- Co to ma znaczyć? - chce wiedzieć Acosta. - Szczury uciekają z tonącego okrętu? Nie chce już mnie pan bronić?
- To Leonora prowadziła pańską sprawę - mówię.
- A pan ją przelicytował - powiada. Przypomina mi twarde warunki i słone stawki, których zażądałem w czasie naszego pierwszego spotkania.
- Musieliśmy wziąć pożyczkę na hipotekę - wtrąca Liii.
- Absolutnie się nie zgadzam. Jeżeli spróbuje się pan wycofać, wstąpię na drogę prawną.

^^ |

179

- Znamy się od wielu lat - mówię - i to nie zawsze z najlepszej strony. Pomyślałem, że może wolałby pan innego obrońcę.
- Nie zamierzam się z panem żenić - powiada. - Chcę, żeby mnie pan bronił w sprawie o morderstwo. To będzie walka na śmierć i życie -mówi.
- To prawda, że występowały pomiędzy nami różnice zdań. - Robi minę, jakby przemawiała przez niego mądrość podeszłego wieku, coś uduchowionego. - Przypuszczam, że czasami rzeczywiście mogłem być trudny we współżyciu - oświadcza. Acosta jest mistrzem niedomówień. -A jeśli chce pan znać prawdę - dodaje - przez wiele lat miałem pana za sukinsyna.
- Armando! - Liii w przerażeniu zakrywa dłonią usta.
- Szczerze mówiąc, uważałem pana za największego sukinsyna w sądzie -

powiada. - Ale jeśli masz odrobinę oleju w głowie, wiesz, że sukinsyn, to właśnie to, czego ci potrzeba, kiedy czeka cię walka na śmierć i życie. Teraz tylko jedno się liczy - mówi - a mianowicie to, że jest pan moim sukinsynem. Kupiłem pana i jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym pana zatrzymać.

Nie sposób odmówić mu słuszności. Doskonale zdaję sobie sprawę, że mógłby zatruć mi życie, gdybym spróbował wycofać się wbrew jego życzeniom. Radovich na pewno stanie po stronie oskarżonego, zagrożonego w przededniu rozpoczęcia procesu utratą swojego obrońcy. A jednak, jeśli zostanę, uczynię to z zupełnie innego powodu. Mógłbym potępić tego człowieka za wiele grzechów: okropny charakter, słynny wręcz brak obiektywizmu w ferowaniu wyroków, obłudę wobec innych, którzy znaleźli się tam, gdzie on jest teraz - same paskudztwa, za które niewątpliwie należy mu się kara - ale nie za zbrodnię, której nie popełnił.

- Więc co pan zamierza zrobić? - pyta.

- Jeśli nadal mnie pan chce, zostaję.

- A co z panem Hindsem? - chce wiedzieć. - Wiem, że pracujecie w zespole.

- Nie mogę decydować za Harry'ego. Ale myślę, że się zgodzi.

- Świetnie - powiada.

Główny problem zostaje rozwiązany i Liii opuszcza nasze towarzystwo, żebyśmy mogli swobodnie podyskutować o interesach. Wyjaśniam Acoście, w jakim celu Leonora pojechała do mieszkania Brittany Hali. Słucha z uwagą, bezbłędnie wyłapując istotne momenty.

- Jak bliska znajomość łączy pannę Goya z Tonym Arguillo? - pyta. Chce wiedzieć, czy ze sobą sypiają.

- Są przyjaciółmi, nic więcej. Znają się od dziecka - dodaje. Acosta przyjmuje moją odpowiedź zadowolonym skinieniem głowy.

Przypuszczam, że się przestraszył, iż pod osłoną nocy Leonora zwierza się Tony'emu z zawodowych tajemnic.

- Myśli pan, że ten jego romans z Brittany Hali to była historia na jedną noc?

180

- Nie mam pojęcia.

- Mógłby pan zapytać pannę Goya.

- Leonora nie wierzy, że Tony miał coś wspólnego z zabójstwem.

- Nie wierzy, że ja to zrobiłem. Nie wierzy, że Tony to zrobił. Któż więc, według niej, zabił Brittany Hali?

Acosta chce przez to powiedzieć, że zrobiło się trochę późno i że Tony świetnie by się nadawał do tego, żeby zastąpić go na ławie oskarżonych. Zwłaszcza że nie musielibyśmy mu niczego udowadniać.

- Jakieś drobne zeznanie i parę sugestywnych słów, skierowanych do sędziów przysięgłych powinny zrobić swoje.

- Nie uwierzą, jeśli to wyjdzie od Leonory - mówię. - Prokurator nie zostawi na niej suchej nitki.

- To prawda - przyznaje.

Informuję go, że karteczka z notatką została wyrzucona.

- Niedobrze - powiada. - Moglibyśmy wezwać Arguillo na świadka i zapytać go po prostu, co mamy o tym myśleć.

- Musielibyśmy to jakoś uzasadnić - mówię. Diabeł zawsze siedzi w szczegółach. - Ustalić, gdzie została znaleziona karteczka z jego nazwiskiem. - Znowu wracamy do Leonory.

Kręci głową. Nic z tego nie będzie. Poza tym nie podoba mu się, że Leonora załatwia polecenia Tony'ego.

- Jest pan pewien, że jest wobec pana szczerą?
- Dlaczego miałyby kłamać?
- Żeby ochraniać Arguillo.
- Pracowała dla pana. Nie musiała się przecież podejmować pańskiej obrony.
- Właśnie.
- Chce pan powiedzieć, że mogła kierować się pobudkami osobistymi?
- Nie możemy tego wykluczyć.
- Mów pan za siebie. Ja to wykluczam — mówię. — Myślę, że powiedziała nam wszystko, co wie.
- Być może - powiada. Jednak wyraz jego twarzy nie pozostawia wątpliwości, iż, jego zdaniem, moje poparcie dla Leonory nie jest niczym innym, jak tylko aktem wiary.
- Ma pan coś jeszcze? - pyta.
- Owszem.
- Co to takiego?
- Kalendarz znaleziony w mieszkaniu ofiary. Pod datą morderstwa widnieje, wypisane jej własną ręką, pańskie nazwisko i notatka świadcząca, iż byliście umówieni tego dnia po południu. Jeżeli nawet o tym wiedział, niczym się nie zdradza. Z powagą w oczach rozważa nowinę.
- Nie rozumiem. Nie wiem, co powiedzieć - wyznaje. - Nie mam pojęcia, skąd to się mogło tam wziąć. Jeśli nie liczyć tamtego spotkania

w hotelu, w które zostałem wrobiony, nigdy z nią nie rozmawiałem. Nie widziałem jej ani przedtem, ani potem. Jest autentycznie zdumiony.

- Po jaką cholere miałbym się z nią znowu spotykać, skoro za pierwszym razem wystawiła mnie do wiatru?

- Założę się, że to właśnie chciałaby wiedzieć prokuratura.

- Przecież to nie ma sensu. Co niby mogłoby mi to dać?

Nie mówię mu tego, ale jestem pewien, że Kline ma już przygotowaną odpowiedź na to pytanie.

- To znaczy, że nie ma pan pojęcia, w jaki sposób w kalendarzu Brittany Hali znalazł się zapis o spotkaniu z panem? Nie wie pan, co tam robiło pańskie nazwisko i godzina?

- Nie. - Bezradnie potrząsa głową. Po chwili podnosi na mnie oczy, głębokie zmarszczki przecinają jego czoło. - Problem polega na tym, w jaki sposób zdołamy wytłumaczyć to ławie przysięgłych, skoro sami tego nie rozumiemy?

Dokładnie.

16

Od dwóch tygodni Radovich głowi się nad tym, co zrobić z małą Kimberly Hali.

Problem dotyczy zasady jawności procesu w sprawie kryminalnej. Kline chciałby przesłuchać córeczkę Brittany Hali w obecności ławy przysięgłych, sędziego i prawników obu stron, z wykluczeniem prasy i publiczności. Twierdzi, że każde inne rozwiązanie tylko przysporzy dziecku dodatkowych cierpień.

Oprotestowaliśmy jego wniosek, domagając się przesłuchania małej bez zwoływania ławy przysięgłych, przed rozpoczęciem właściwego procesu.

Taką procedurę stosuje się niekiedy, gdy w grę wchodzi małe dzieci. Przede wszystkim należy ustalić, czy dziecko rozumie różnicę pomiędzy prawdą a fantazją oraz, jak w naszym wypadku, czy widziało cokolwiek istotnego i co za tym idzie, czy w ogóle warto powoływać je na świadka. Wiemy tylko tyle, iż w noc, kiedy popełnione zostało morderstwo, gliny znalazły małą Kimberly, skuloną w szafie parę metrów od drzwi do salonu, przyciskającą do piersi pluszowego misia, wysmarowanego krwią matki. Co dziewczynka mogła widzieć albo nie widzieć tamtej nocy, pozostaje tajemnicą.

Dzisiejszego ranka zebraliśmy się w sali rozpraw - sędzia, prawnicy, Acosta i pani psycholog z Towarzystwa Opieki nad Dziećmi. Od tego, co tutaj usłyszymy, zależy, czy Kimberly będzie zeznawać przed ławą przysięgłych.

Kline scedował przepytывanie Kimberly na jedną ze swoich zastępczyń, należy się jednak spodziewać, że większość pytań padnie z naszej strony. Prokurator okręgowy uważa, że kobieta będzie w stanie wyciągnąć z małej więcej, niż zrobiłby to on sam. Jeśli chodzi o nas, z przyjemnością poprosilibyśmy o pomoc Leonorę, ale niestety już z nami nie pracuje.

183

Nagle uświadamiam sobie coś, o czym dotąd nie pomyślałem, i czuję, jak mróz rozchodzi się po moich żyłach: Kimberly siedziała w szafie, kiedy Leonora i ja weszliśmy do mieszkania Brittany Hali.

Na myśl o tym oblewa mnie zimny pot. Pomijając już to, że mogła nas zobaczyć, pozostaje faktem, iż nic o tym nie wiedząc, pozostawiliśmy ją samą w takim miejscu. Tym pierwszym zbytnio bym się nie martwił.

Niemożliwe, żeby cokolwiek widziała. Drzwi szafy były zamknięte,

przynajmniej tak mi się wydaje.

Jedynymi ludźmi w rzędach dla publiczności są matka i ojczym Brittany Hali. Starsza pani machająca ręką do swojej wnuczki, usadowionej na stosie książek telefonicznych, które zostały ułożone na krześle dla świadka.

- Jak ci tam na dole? - pyta Radovich z ojcowskim uśmiechem, wychylając się z wyżyn ławy sędziowskiej. - Trzeba ci wiedzieć, że jestem tutaj bardzo specjalną osobą. Pozwalają mi siedzieć na górze, żebym mógł wszystkich dobrze widzieć.

Kimberly spogląda na sędziego, ale nic nie odpowiada. Najwyraźniej nie czuje się ani rozśmieszona, ani podniesiona na duchu jego słowami.

Radovich pozbył się swojej togi, siedzi w samej koszuli rozpiętej pod szyją - ustępstwo na rzecz wylęknionej małej dziewczynki.

- Chcesz, żebym do ciebie przyszedł? - pyta. Kimberly kręci głową.

- We dwoje będzie nam łatwiej, nie sądzisz?

Patrzy na niego w milczeniu, bez wątpienia wolałaby, żeby poradził sobie sam.

- Proszę zacząć protokołować - poleca stenotypistce. Dziewczyna zaczyna uderzać w klawisze swojej maszyny.

- Boisz się, prawda? - pyta Radovich. Mała odważnie potrząsa głową.

- Niech pani zapisze, że odpowiedź brzmi: „nie”.

Jest zbyt przerażona, by wydusić z siebie chociaż jedno słowo.

Radovich podnosi się ze swojego miejsca za ławą sędziowską, zstępuje w dół sali rozpraw i staje przy podium dla świadków, prawie twarzą w twarz z dziewczynką.

- Kimberly, wiesz, dlaczego tu jesteś? - pyta.

Następna porcja potrząsania głową, sędzia tłumaczy odpowiedź do protokołu.

- Czy możesz nam powiedzieć, jak się nazywasz? Kręci głową.
- Nie wiesz, jak masz na imię? Przytakuje.
- Wiesz, ale nie chcesz nam powiedzieć? Energiczne kiwnięcie głową.
- Wspaniale - powiada Radovich.

184

- Myśli pani, że z panią będzie chciała rozmawiać? - sędzia zwraca się do pani psycholog.

Kobieta wstaje z miejsca i przecina pustą przestrzeń pośrodku sali.

Ukucnąwszy na podium dla świadków, przez chwilę konferuje z małą, niestety zbyt cicho, bym mógł cokolwiek usłyszeć. Wreszcie odzywa się cieniutki, drżący głosik:

- Kimberly - oznajmia.
- A na nazwisko? - pyta kobieta.
- Hali.
- Bardzo dobrze.

Radovich daje znak pani psycholog, żeby na tym poprzestała.

- Kimberly, musisz nam powiedzieć, czy coś widziałaś tamtej nocy, kiedy twojej mamusi stała się krzywda. Myślisz, że potrafisz to zrobić?

Mała zerka na dziadków w poszukiwaniu poparcia. Babcia energicznie kiwa głową tytułem zachęty, aż wreszcie Radovich musi zainterweniować.

- Droga pani, zebraliśmy się tutaj, żeby wyjaśnić, czy nasza mała dama coś wie. Bardzo proszę jej nie podpowiadać - mówi.

Starsza pani prostuje się w krześle i składa dłonie na podołku. Radovich potrafi być dworski, kiedy sytuacja tego wymaga.



- Pamiętasz tamtą noc, Kimberly? Wtedy, kiedy twojej mamusi stała się krzywda? - Radovich chce zrobić własnymi siłami tyle, ile się da, bez narażania małej na zbędne nieprzyjemności.

Dziewczynka kiwa głową.

- Każdy by pamiętał - stwierdza półgłosem, ocierając spocone czoło.

-Proszę wykreślić mój komentarz - instruuje stenotypistkę.

Kilka uderzeń w klawisz i po jego słowach ani śladu.

- Kimberly, czy możesz mi powiedzieć, gdzie byłeś tamtej nocy? -mówi.

Pierwsze pytanie, którego nie da się zbyć skinieniem głowy. Podnosi na niego oczy, przeżuwa bezgłośnie słowo, wreszcie wyrzuca to z siebie:

- W szafie.

- Byłeś tam sama?

Kręci przecząco głową. Stenotypistka nabrała już wprawy i zapisuje milczące „tak” i „nie” bez specjalnych instrukcji ze strony sędziego.

- Czy ktoś był tam razem z tobą? Kiwnięcie.

-Kto?

- Binky - powiada.

- Kto to jest Binky?

- Mój miś.

- Ach. Widziałem go -powiada Radovich. -Binky to bardzo ładny miś.

- Gdzie on jest? - chce wiedzieć Kimberly. - Dlaczego nie mogę go dostać z powrotem?

185

Radovich odwraca się tyłem do podium dla świadków i podnosi do góry oczy. Wdepnął w niebezpieczny temat.

- Policjanci nie dali ci misia?

- Ale to nie był Binky.

- Porozmawiam z nimi o tym, dobrze?

Poważne skiniecie głową, żywcem wzięte z filmów z Shirley Tempie

-jakby mała chciała powiedzieć, że spodziewa się, iż sędzia okaże się człowiekiem honoru i spełni swoją obietnicę.

- Powiedz nam, czy w szafie było ciemno? - Radovich zmienia temat.

Mała przytakuje.

- Czy było coś widać? Teraz przecząco kręci głową.

Radovich odwraca się w naszą stronę, jego spojrzenie mówi, „boję się, że to nas nigdzie nie zaprowadzi”.

- Proszę na chwilę przerwać protokołowanie - mówi do stenotypistki i w towarzystwie psychologa przechodzi na drugi koniec ławy sędziowskiej.

Po chwili narada przeradza się w walne zgromadzenie, pani z prokuratury bowiem i ja też chcemy wiedzieć, o co chodzi.

- To bardzo delikatna sprawa - Radovich mówi do pani psycholog. -Jak mam ją zapytać, w jaki sposób krew mamy znalazła się na futerku misia?

- Trzeba to zrobić bardzo taktownie - mówi pytana. - Być może, nie wie nawet, że to krew. Niech pan ją zapyta, w jaki sposób miś się ubrudził.

Radovich patrzy na nią z podziwem.

- Świetny pomysł - mówi.

Narada skończona, udajemy się na swoje miejsca. Radovich wraca do podium dla świadków.

- Kimberly, powiedz, w jaki sposób Binky się tak ubrudził?

- Mamusia go zakrwawiła - pada odpowiedź. To tyle, jeśli chodzi o 6 środki okrężne.

- Widziałaś, jak to się stało? - pyta Radovich.

- Och tak. Binky był cały we krwi. Myślę, że jemu też ktoś zrobił krzywdę
- oznajmia mała.
- Jestem pewien, że Binky wyzdrowieje - pociesza ją sędzia. - Jest teraz w szpitalu i czuje się coraz lepiej.
- Mamusia też jest w szpitalu? - chce wiedzieć dziewczynka. Radovich odwraca się, tak że tylko prawnicy i dziadkowie Kimberly widzą wyraz jego twarzy, mówiący wyraźnie, że żadne pieniądze na świecie nie są w stanie wynagrodzić mu wykonywanej w tej chwili pracy. Odwraca się z powrotem do Kimberly.
- Poczekaj chwilkę, kochanie. Zaraz wracam. - Radovich zwołuje następną konferencję. Obradujemy w tym samym miejscu, co przedtem.
- Czy ktoś ją poinformował, że jej mama nie żyje? - pyta sędzia.
- Powiedziano jej, że mamusia jest w niebie - tłumaczy psycholog.
- Twierdzi, że rozumie. Ale chce wiedzieć, kiedy mamusia stamtąd wróci.

186

Wygląda na to, że dla pięciolatka idea pójścia do nieba zawiera w sobie tyleż nieodwołalności co wycieczka do Disneylandu. Kimberly oczekuje, że lada chwila mamusia zjawi się z powrotem wystrojona w maskę Myszki Miki.

- Niech pani sama jej powie, że jej mama nie jest w szpitalu - buntuje się Radovich. On w każdym razie nie zamierza tego robić, wolałby raczej dostać porządne lanie od jakiegoś draba z gumową pałką.

Pani psycholog podchodzi do podium dla świadków i rozmawia z dzieckiem. To jej zajmuje nie więcej niż parę sekund i kiedy wracamy na swoje miejsca, Radovich jest już z powrotem na swojej pozycji przy małej. Starannie omijając temat życia i śmierci pyta, gdzie Kimberly znalazła

Binky'ego tamtej nocy?

Dziewczynka myśli intensywnie, przelatykając gorączkowo ślinę, przez jej maleńką główkę przelatują brutalne wspomnienia, obrazy przemocy.

- Pamiętasz, gdzie go znalazłaś? Kiwa głową.

-Gdzie?

- Na podłodze - mówi. - Binky leżał na podłodze.

- W którym miejscu?

- Koło mamusi - wyjaśnia.

- Jak to się stało, że Binky się zabrudził?

- Usłyszałam mamusię. Okropnie krzyczeli.

- Kto krzyczał? - Radovich podejmuje wątek w nadziei, że go to wreszcie dokądś doprowadzi.

- Mamusia.

- Kto był z mamusią?

Kręci przecząco głową i wrusza ramionami - cóż za siła wyrazu drżenie w tak małym ciałku.

- Nie wiesz? Ponownie kręci głową.

- Nie widziałaś, kto był z mamusią? Następne przeczenia.

- Proszę zapisać do protokołu, że dziewczynka nie widziała osoby, która była z jej mamą tamtej nocy - poleca Radovich protokólanctce. Coś wreszcie sobie wyjaśniliśmy.

Czuję, jak Acosta wydaje z siebie niemal namacalne westchnienie ulgi i rozluźnia napięte mięśnie.

Radovich przepytuje małą Kimberly przez następne dziesięć minut, lecz nie udaje mu się uzyskać żadnych istotnych informacji. Ciężka robota.

Jego biała koszula jest przyklejona do pleców. Przynajmniej w trzech

miejskach przesiąkła na wylot potem.

- Może pan chciałby zadać teraz parę pytań? - zwraca się do mnie.
- Nie, dziękuję. Świetnie pan sobie radzi - powiadam.
- Jak pan uważa.

187

Przesłuchiwanie tej dziewczynki to igranie z ogniem. Jak dotąd, nie powiedziała jeszcze niczego, co mogłoby nam zaszkodzić. Jeżeli zrobi coś takiego, nie będę miał wyboru, będę musiał wziąć ją w krzyżowy ogień pytań.

Radovich wraca na swoją pozycję przy podium dla świadków i podaje małej szklankę wody. Kimberly chce słomkę. Sędzia prosi sekretarkę, żeby rozejrzała się po swoich szufladach, a kiedy kobieta wraca z pustymi rękami, posyła ją do bufetu.

- Może masz ochotę na coca-colę? - pyta.

Dziewczynka energicznie kiwa głową, w jej oczach zapalają się światełka.

Radovich wyciąga z kieszeni pięciodolarowy banknot i podaje go sekretarce.

- Niech pani kupi jeszcze jakieś lody.

W oczekiwaniu na dostawę smakołyków Radovich kontynuuje przesłuchanie. Prosi Kimberly, żeby opowiedziała mu, co wydarzyło się tamtej nocy.

- Strasznie się wściekali - mówi mała.
- Kto? - pyta Radovich.
- Mamusia... - Rozpaczliwe spojrzenie małej dziewczynki. Nie potrafi wypełnić pustego miejsca we wspomnieniach, odnaleźć zagubionego głosu osoby, która tamtej nocy kłóciła się z jej mamą.

- Potrafisz sobie przypomnieć, czy ten drugi głos należał do pani, takiej jak twoja mama, czy do pana?

- Słyszałam, jak mamusia płakała - powiada Kimberly.

- Tak, ale czy słyszałaś ten drugi głos?

Kręci głową. Pięcioletnia dziewczynka, skulona w ciemnej szafie i słuchająca odgłosów brutalnej awantury; nic dziwnego, że wszystko co zapamiętała, to płacz jej matki.

- Czy twoja mamusia coś mówiła?

- Powiedziała „nie!”. Była naprawdę bardzo zła.

- Czy słyszałaś głos jakiegoś pana?

Bardzo sugestywne pytanie, mógłbym zaryzykować sprzeciw, nie przypuszczam jednak, żeby Radovich się tym przejął, zważywszy że to on je zadał.

- Chyba tak.

Krzywię się, jakby mnie bolał ząb.

- Wysoki Sądzie, muszę zgłosić sprzeciw. Małe dzieci są bardzo podatne na takie sugestie - powiadam.

- Później będzie miał pan okazję, żeby zrobić z tym porządek.

- Gdybyśmy od razu wykreślili to z protokołu, oszczędzilibyśmy sobie roboty - mówię.

- Na razie zostawimy to tak, jak jest.

Coca-cola zostaje przyniesiona i mała Kimberly pije przez słomkę. Lody tymczasem wędrują na ławę sędziowską, żeby się trochę ogrzały.

Radovich zadaje dalsze pytania na temat pluszowego misia i sposobu, w jaki krew Brittany Hali dostała się na jego futerko.

- Binky był razem z mamusią - wyjaśnia dziewczynka. - Oboje zostali

ranni. 188

Dziewczynka logicznie wytłumaczyła sobie, że jej misiowi też musiało się stać coś złego.

- Binky jest pewnie twoim serdecznym przyjacielem? - pyta Radovich.
- Binky pilnuje moich skarbów - powiada dziecko.
- Ja też miałem puchatego przyjaciela, kiedy byłem w twoim wieku.
- Świetny był z niego kumpel. Mogłem mu wszystko powiedzieć. - Popija łyk kawy ze stojącej przed nim filiżanki. - Powiedz mi, Kimberly, czy widziałaś, co się stało twoje mamusi tamtej nocy?

Przez chwilę patrzy na niego z głęboką powagą, po czym kręci głową. Protokółantka skrzętnie zapisuje przeczącą odpowiedź. Jeszcze jedno pchnięcie w serce prokuratora.

- Twój miś był razem z mamusią w dużym pokoju, kiedy stało jej się coś złego?

Zdecydowane skiniecie głowy.

- A ty siedziałaś wtedy w szafie?
- Najpierw byłam w swoim pokoju - wyjaśnia.
- A potem wyszłaś stamtąd i schowałaś się w szafie?
- Uch chuch - przytakuje.
- Wtedy, kiedy usłyszałaś krzyki? Kiwa głową.

Bezwstydnie ją podprowadza, ale podejrzewam, że w przypadku małego dziecka, nam też by na to pozwolił. To jedyny sposób, żeby coś z niej wydobyć.

- A więc, kiedy byłaś w swoim pokoju, usłyszałaś krzyki i wtedy schowałaś się do szafy. Dlaczego to zrobiłaś?
- Bałam się - mówi.

To prawdopodobnie ocaliło jej życie i Radovich znakomicie zdaje sobie z tego sprawę. Jest to jeden z tych momentów, które nigdy nie umykają uwagi sędziów przysięgłych i potrafią obudzić w nich święty gniew, skupiający się zazwyczaj, z braku innego kandydata, na oskarżonym.

- Byłaś przestraszona, bo twoja mamusia bardzo głośno kłóciła się z tą drugą osobą?

Zdecydowane skinięcie głową.

- Czy słyszałaś, co mówili?

- Mnóstwo brzydkich słów - powiada dziecko.

- Brzydkie słowa? - Radovich powtarza przeciągając sylaby i w zamyśleniu muska bokobrody.

- Uch chuch. Mamusia mówiła całe mnóstwo brzydkich słów. Słuchając małej Kimberly można by pomyśleć, że Brittany Hali umarła wyrzucając z siebie potoki słów, chociaż wciąż nie mamy żadnej informacji, kogo one dotyczyły, ani co było przedmiotem sporu.

- Jeszcze tylko parę pytań - powiada Radovich - i skończymy. Kimberly, chciałbym cię teraz prosić, żebyś się bardzo dobrze zastanowiła.

189

Czy widziałaś, kto był z twoją mamusią tamtej nocy? Tamtej nocy, kiedy stała jej się krzywda? Patrzy na niego nie wykonując najmniejszego gestu.

- Czy w tym pokoju widzisz kogoś, kto tamtej nocy był u ciebie w domu?

Wyczuwam, jak Acosta sztywnieje na krześle obok mnie. Kimberly zaczyna od prawej strony sali, najbliżej podium dla świadków i po kolei studiuje twarze wszystkich obecnych: najpierw kobiety z biura prokuratora okręgowego, potem Radovicha we własnej osobie, protokółantki i woźnego. Jej wzrok wędruje powoli w lewo, przesuwa się po siedzącym



samotnie reporterze kroniki sądowej i pani psycholog aż w końcu zatrzymuje się na naszym stole. Przez dłuższą chwilę Kimberly intensywnie przypatruje się na przemian mnie i Acoście. Jej twarz wyraża najwyższe napięcie, wreszcie dziewczynka wskazuje palcem - na mnie, nie na Acostę.

Wyrywa mi się krótki, niezdrowy śmieszek. Czuję, jak krew, ciężka niby ołów, odpływa mi w dolne rejony ciała, gdzieś w kierunku żołądka. Jakby tego było mało, oblewam się zimnym potem.

Radovich wbija oczy w moją twarz. To samo czyni Acosta.

- Przeniesienie - powiada pani psycholog. To odciąga na moment uwagę zebranych od mojej osoby. - Skrytykował jedno z pańskich pytań. - Pani psycholog puszcza oko do Radovicha i oboje oddalają się w kąt, żeby omówić sprawę.

Dołączamy do nich, urzędniczka z prokuratury i ja, chociaż moje nogi są jak z waty i poważnie się boję, że lada moment ugną się pode mną. Pani psycholog szepce Radovichowi na ucho:

- Wie, że ktoś z nas jest złym człowiekiem. Wie, że to nie może być pani przy drugim stole. - Chodzi jej o zastępczynię Kline'a. - Ani pani, która przyniosła jej kole. Wychodzi na to, że to musi być któryś z panów. - Ma na myśli mnie i Acostę. - To bardzo proste. Wybrała pana, bo pan zabrał głos. - Patrzy na mnie. - Zgadywała.

Cuda współczesnej psychologii.

- Musimy zapisać do protokołu, że świadek wskazał obrońcę oskarżonego - oznajmia Radovich. - Nie ma innego wyjścia.

Zduszony chichot z sali, to woźny i sekretarka Radovicha dają upust wesołości. Babcia Kimberly przygląda mi się podejrzliwie, szepcząc coś

na ucho swojemu mężowi.

Dzięki Bogu, że Kline tego nie widzi. Nie mam wątpliwości, że gdyby tu był, wyciągnąłby więcej wniosków ze świadectwa małej, niż zrobił to sędzia. Potrafiłby dodać dwa do dwóch: odcisk kciuka Leonory na drzwiach frontowych mieszkania Brittany Hali plus palec wskazujący dziewczynki, wyciągnięty w moją stronę. Nic by mnie nie uratowało od spędzenia nocy w pokoju przesłuchań, z lampką skierowaną w oczy, gdzie cały swój potencjał intelektualny skupiłbym na jednym zagadnieniu: jak ocalić prawo do wykonywania zawodu.

17

Dzisiaj sala rozpraw jest pełna po brzegi, wszystkie miejsca zajęte, przed drzwiami kłębi się tłum odgradzony sznurem i kordonem gliniarzy od reszty korytarza, gdzie odbywa się zwyczajny, codzienny ruch.

Nawet wzięwszy pod uwagę niezwykle rozgłos, jakim cieszy się sprawa Acosty, jest mało prawdopodobne, żebyśmy ponownie zobaczyli podobny tłum przed ogłoszeniem werdyktu.

Na schodach przed gmachem Sądu rozłożyły się pikiety przeróżnych organizacji - „Kobiety Przeciwko Przemocy”, „Matki Przeciwko Przestępczości” - które łączy wspólne przekonanie, iż za wszelkie zło na tym świecie odpowiedzialni są mężczyźni.

Odkąd zostały opublikowane listy świadków, w eterze zawrzało od antymęskiej retoryki, kierowanej głównie przeciwko facetom na wysokich stanowiskach. Wiezorami, na wszystkich falach i kanałach rozbrzmiewa oskarżycielski wrzask, przeplatany anegdotami, ilustrującymi drapieżną naturę mężczyzn. Bardziej wyrafinowane umysły rozpoczęły kampanię na rzecz federalnego programu sterylizacji mężczyzn, mającego zapewne

stanowić rozwiązanie problemu brutalizacji naszego życia, chociaż nie jest to do końca jasne.

- Ostateczne rozwiązanie według Susan B. Anthony - powiada Harry.

Z innej znowu strony podnoszą się głosy, iż prywatne życie przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości powinno zostać w większym stopniu poddane kontroli społecznej. Wokół sprawy Acosty, która stała się ostatnio tematem dnia na trybunach i w kularach naszego ciała ustawodawczego, skupili się zwolennicy reformy sądownictwa. Mam na myśli ów szczególny gatunek prawodawców, którzy pilnie śledzą wieczorne wydania wiadomości w poszukiwaniu inspiracji do projektów ustaw.

Mówi się o stworzeniu programu ochrony świadków oraz o skróceniu kadencji na sprawowanie urzędu sędziego. Pojawiła się nawet propozycja

191  
ustawowego ograniczenia liczby słów, jakie prawnik może wypowiedzieć podczas procesu - coś na wzór reglamentacji sprzeciwów wobec zatwierdzonych przez oskarżenie sędziów przysięgłych, z tą tylko różnicą, że tutaj, kiedy skończą ci się słowa, twojego klienta posyłają na szubienicę. Jednym słowem, sprawa Acosty stała się czymś pośrednim pomiędzy karnawalem i publicznym samosądem, oferując doskonałą okazję do zbitcia kapitału wypranym ze skrupułów politykom oraz cwaniaczkom z mediów.

A my, znalazłszy się w samym centrum historycznego zawirowania, musimy zapewnić naszemu klientowi uczciwy proces.

Za wszystkim kryje się zręczna dłoń Colemana Kline'a, z godną

pozazdroszczenia wprawą ubijająca pianę. Programy radiowe i stacje telewizyjne rozbrzmiewają głosem prokuratora okręgowego. Wystrzegając się skrętnie najmniejszej wzmianki na temat szczegółów sprawy, ma mnóstwo do powiedzenia o wszelkich społecznych i politycznych implikacjach, jakie ona niesie. Aż nadto, żeby utkać miękki dywan publicznego potępiania, prowadzący z celi Acosty prosto na szafot. Dzisiejszego ranka Acosta siedzi obok mnie wystrojony w ciemny garnitur, przyniesiony przez Liii. Ubranie wisi na nim jak pasiak na ofierze Oświęcimia, ostatnie miesiące kosztowały go parę ładnych kilogramów. Nasze pierwsze posunięcie ma charakter taktyczny. Proszę Sąd o usunięcie z sali, na czas wygłaszania przez obie strony mowy wstępnej, wszystkich świadków. Chodzi o to, żeby zasugerowawszy się retoryką przemówień, nie dopasowywali później swoich zeznań do tego, co usłyszeli z ust prokuratora albo obrońcy.

Radovich idzie o krok dalej, instruując świadków, iż nie powinni słuchać ani czytać żadnych sprawozdań z procesu, chociaż nie bardzo sobie wyobrażam, w jaki sposób zamierza to wyegzekwować.

- Jest pan gotowy, panie Kline? Możemy zaczynać? - pyta Radovich.

- Wysoki Sądzie. - Kline podnosi się z krzesła. Z miną wojownika szykującego się do bitwy poprawia mankiety lnianej koszuli, wysunięte na trzy centymetry spod rękawów marynarki. Wystroił się na tę okazję w swój najlepszy garnitur z ciemnogramatowej wełny, z kontrastującym krawatem klubowym w niebieskie i czerwone pasy. Podchodzi do ławy sędziów przysięgłych; kiedy idzie, poły marynarki rozwiewają się w rytm jego kroków, ukazując elegancką podszewkę z brązowego atlasu.

Dyskretne zerknięcie na zegarek; zaczyna przemawiać. Bez pośpiechu, w

zaczarowanej ciszy, wypełniającej salę rozpraw, rozwija kolejne punkty oskarżenia, które odtąd będą stanowić motywy przewodnie jego strategii. Upozowany stoi półtora metra od barierki oddzielającej sędziów przysięgłych, nie ucieka się do pomocy notatek na mównicy. Pewnym, czystym głosem maluje wstrząsający obraz śmierci. Opowiada, jak znaleziono ciało ofiary bezceremonialnie wrzucone do kontenera na śmiecie i jak odkryto

192

i

w jej mieszkaniu ogromne ilości krwi. Bez najmniejszych zahamowań opisuje wyraziście scenerię zabójstwa - preludium do zeznań patologów, którzy wkrótce zaczną się przewijać przez podium dla świadków.

- Zamierzamy udowodnić, panie i panowie, że to morderstwo zostało popełnione przez oskarżonego, człowieka, który z racji swojego urzędu cieszył się szczególnym zaufaniem społecznym i który, poprzysiągłszy stać na straży prawa i sprawiedliwości, zdradził powołanie swojego zawodu. -Przez cały czas wyciągnięte ramię prokuratora okręgowego wskazuje mniej więcej w stronę Acosty, a raczej ogólnie w kierunku naszego stołu, sugerując w ten sposób, iż jego słowa dotyczą każdego, komu przyszło do głowy stanąć po stronie oskarżonego.

Kline poruszył tutaj bardzo istotne zagadnienie. Kiedy Acosta stanie na podium dla świadków, prokurator niewątpliwie powróci do tematu pogwałcenia świętej przysięgi urzędu, słusznie spodziewając się, że w ten prosty sposób podważy wiarygodność jego zeznań. Razem wzięte wszystkie te drobiazgi - element oszustwa, zawiedzione zaufania - uplasują się wysoko pośród nie wymienionych w oskarżeniu grzechów

mojego klienta, dając sędziom przysięgłym jeszcze jeden, co prawda niesformułowany wprost i raczej pośredni, powód do skazania Acosta.

- Wykażemy, że zbrodnia została popełniona po to, by uniemożliwić dopełnienie Sprawiedliwości, tej samej Sprawiedliwości, na której wiernie służyć ślubował oskarżony Armando Acosta.

I tutaj doszliśmy do ostatniej idei przewodniej oskarżenia, idei „upadłego sędziego”, mającej nam towarzyszyć przez cały proces. Obiecuje przysięgłym, iż oskarżenie przedstawi świadka, którego zeznania udowodnią poza wszelką wątpliwość, że oskarżony usiłował nawiązać niedozwolony stosunek z ofiarą, tajną współpracowniczką policji, i opowiada, jak Acosta - skorumpowany, upadły sędzia - został złapany na gorącym uczynku podczas policyjnej obławy na prostytutki.

Krok po kroku prowadzi przysięgłych poprzez chronologię wypadków pierwszej sprawy, poczynając od uszkodzenia aparatury podsłuchowej, w którą została wyposażona Brittany Hali, a skończywszy na złożeniu przez nią zeznań w biurze prokuratora okręgowego, których treść starannie pomija, żeby nie dać nam podstawy do zgłoszenia sprzeciwu. Z jego słów jasno wynika, iż Acosta miał logiczny i niezaprzeczalny powód do zamordowania Brittany Hali.

Przez cały ten czas osiemnaście dusz - dwunastu sędziów przysięgłych i sześciu zmienników - siedzi w milczeniu i zafascynowaniu za drewnianą barierką, ani na moment nie odrywając od prokuratora wzroku.

Z wdziękiem prestigitatora Kline roztacza przed nami szeroki repertuar pomniejszych okoliczności obciążających, budując z nich imponującą piramidę. Wreszcie upojony własną elokwencją nie potrafi się już dłużej powstrzymać od ferowania moralnych osądów. Potok coraz bardziej

oskarżycielskich słów - niby lawa z Wezuwiusza - zaczyna wzbierać

13 -Sędzia

193

i prokurator okręgowy wyrzuca z siebie zarzuty tak mocne, jak głązy z krateru.

- Przekonają się państwo - zieje ogniem - że oskarżony od dawna cieszył się wątpliwą reputacją ze względu na szczególne upodobanie do nielegalnych związków z kobietami, które w konsekwencji popchnęło go do korzystania z usług prostytutek, a następnie do morderstwa.

Oczy Radovicha rozszerzają się ze zdumienia. Jest zaszokowany informacją o zakulisowym życiu prawniczych kręgów wielkiego miasta. Z rzędów dla prasy dobiega wściekły chrobot ołówków skrobiących po papierze. Nie bacząc na skurcze palców, siedzący za naszymi plecami reporterzy notują jak szaleni, starając się nie uronić ani słowa z gromów rzucanych przez prokuratora okręgowego na głowę mojego klienta.

Acosta szarpie mnie za rękaw.

- Powinien pan zgłosić sprzeciw - mówi. Jakbym nie wiedział.

- Wysoki Sądzie, uważam, że to nie dopuszczalne.

- Panie Kline - powiada Radovich - mam nadzieję, że jest pan świadom obowiązujących pana ograniczeń, co do spekulacji na temat moralnej postawy oskarżonego?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Wobec tego proszę, żeby sędziowie przysięgli nie brali pod uwagę ostatniej wypowiedzi - oznajmia Radovich.

Rzecz w tym, czy pozwolimy oskarżycielowi na grzebanie się w charakterze Acosty i publiczne rozpamiętywanie uczynków z jego

przeszłości, nie mających żadnego związku ze sprawą. Takie metody są niedozwolone, dopóki sami nie podejmiemy tematu, przedstawiając ławie przysięgłych dowody świadczące o kryształowym charakterze naszego klienta. W przypadku Kokosa znalezienie takich dowodów to jak szukanie igły w stogu siana.

- Proszę mówić dalej - mówi Radovich.

Kline odpowiada lekkim skinieniem głowy, mającym zapewne wyrażać szacunek, chociaż trudno to stwierdzić z całą pewnością. Gładko podejmuje przerwany wątek, nie tracąc nic z poprzedniego impetu.

- Udowodnimy poza wszelką wątpliwość - powiada - że oskarżony, Armando Acosta, brutalnie i z premedytacją zamordował Brittany Hali, by nie dopuścić do złożenia przez nią zeznań, które oznaczałyby kres jego kariery.

To dopiero przedsmak tego, co czeka nas w trakcie procesu.

Teraz następują dwie godziny nieprzerwanego monologu. Przybierając efektowne pozy, to znów przechadzając się dumnie przed ławą przysięgłych, Kunę wytacza - jeden po drugim - kluczowe punkty oskarżenia: włosy i włókna, które - jak obiecuje - eksperci w sposób jednoznaczny powiążą z naszym klientem; własnoręczną notatkę ofiary, świadcząca o tym, że w dniu swojej śmierci miała spotkanie z oskarżonym; całkowity

194

brak alibi; okulary z pękniętym szkłem, znalezione w miejscu zbrodni, będące - jak to jednoznacznie wykaże oskarżenie - własnością Acosty.

Tutaj spoglądam na Acostę, jego twarz wyraża ponure zdumienie. Jeżeli



znaleźli coś na temat okularów, zapomnieli nas o tym poinformować.

Harry podnosi się z krzesła, ale daję mu znak, żeby zostawił to tak, jak jest. Nie musimy tego robić w obecności przysięgłych. Po co mielibyśmy wbijać im w pamięci coś, co inaczej mogłoby umknąć ich uwadze?

Widzę, jak Harry robi odnośną notatkę.

Kline ma trudności z wyjaśnieniem pewnego drobiazgu, którego jednak nie może pozostawić bez komentarza. Po jakiego grzyba, Acosta-morderca miałby wynosić ciało swojej ofiary z mieszkania i wlec je do oddalonego o milę kontenera na śmiecie?

Kline przyznaje, że wiązało się z tym pewne ryzyko, którego zapewne nie podjąłby się nikt racjonalnie myślący. Zaznacza jednak, że po dokonaniu morderstwa zdolność oskarżonego do logicznego rozumowania musiała zostać znacznie ograniczona. Proponuje więc nam, byśmy uwierzyli, iż Acosta działał pod wpływem paniki.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw - protestuję. - To są przypuszczenia i czcze spekulacje. Czy oskarżenie zamierza przedstawić jakieś dowody na poparcie swoich twierdzeń?

Z twarzy Kline'a czytam, że to raczej mało prawdopodobne. Nie mogę przecież od niego wymagać, żeby wskoczył do głowy oskarżonego.

- W takim wypadku nie powinien pan w ogóle o tym mówić - oświadcza Radovich. Instruuje sędziów przysięgłych, by nie brali pod uwagę spekulacji prokuratora okręgowego.

Acosta wali mnie pięścią w ramię, punkt dla nas.

Usunięcie ciała stanowi irytujący luźny wątek, którego Kline nie ma jak wpleść w materię oskarżenia. Faktem jest, że prokurator nie potrafi wyjaśnić, dlaczego morderca zadał sobie tyle trudu, nie wspominając już o

dodatkowym ryzyku. Mamy do czynienia z jednym z tych paskudnych, sprzyjających spekulacjom drobiazgów, które sugerują zupełnie inny rodzaj mordercy, kogoś, kto miałby interes w usunięciu ciała z miejsca zbrodni. Pierwsze, co nasuwa się na myśl, to konkubin. Niestety, w apartamencie Brittany Hali nie znaleziono śladów stałego kochanka, który miałby dzielić z nią przestrzeń mieszkalną. Żadnych męskich ubrań w szafach i szufladach, całkowity brak świadków, którzy zapamiętaliby wchodzących czy wychodzących facetów. Zabójca nie zrobił niczego, by zamaskować fakt, iż zbrodnia została dokonana w mieszkaniu ofiary. Na tym etapie tajemnicze przeniesienie zwłok jest na rękę bardziej nam niż oskarżycielom, zważywszy zwłaszcza, że w odróżnieniu od nich nie musimy niczego udowadniać.

Najcięższe działo Kline zachował na koniec.

- W wyniku tej straszliwej zbrodni - powiada - niewinne dziecko zostało pozbawione matki. - Kimberly Hali, nieszczęsna mała sierotka.

195

„Mała Kimmy”, jak ją nazywa, czeka za kulisami, żeby opowiedzieć nam, co się wydarzyło tamtej nocy.

Aż do tej chwili Kline nie dał nam żadnej wskazówki co do swoich planów względem Kimberly Hali. Wprawdzie jej imię figuruje na liście świadków, ale sądziłem, że prokuratura umieściła je tam wyłącznie nam na złość, w ramach wojny psychologicznej.

Pamiętając udęczone półsłówka, jakimi dziewczynka nagrodziła wysiłki Radovicha podczas zamkniętego przesłuchania przed rozpoczęciem właściwego procesu, a także jej kamienne milczenie w obliczu kamer, doszliśmy do wniosku, iż oskarżenie zrezygnuje z powołania jej na

świadka. Zeznania małej nie przyniosły żadnych konkretów, przynajmniej na poziomie werbalnym. Wygląda jednak na to, że Kline zmienił zdanie.

- Dziewczynka była w mieszkaniu w czasie kłótni, która, przerodziwszy się w brutalną konfrontację, położyła kres życiu jej matki - oznajmia ławie przysięgłych. - Nie mamy jeszcze pewności, czy Kimmy potrafi zidentyfikować mordercę, ale wiemy, że była świadkiem rozpaczliwej walki, jaką jej matka stoczyła z zabójcą w obronie własnego życia.

Jest zupełnie jasne, do czego zmierza. Nawet jeśli mała nie jest w stanie zidentyfikować zabójcy, sama jej obecność na sali rozpraw będzie stanowić żywy dowód tragicznych skutków zbrodni.

Nie mogę się zdecydować, czy powinienem zgłosić sprzeciw.

Radovich patrzy w moją stronę. Widział film z przesłuchania, które zresztą sam prowadził, i doskonale zdaje sobie sprawę, że nie zawiera ani grama jakiegokolwiek materiału dowodowego. Sądzę, iż wystarczy odpowiednio sformułowany wniosek, żeby skreślił Kimberly z listy świadków i kazał usunąć z protokołu kontrowersyjne uwagi Kline'a, a dziecku oszczędził przykrej konieczności pojawiania się w sądzie.

Problem polega na tym, że wniesienie sprzeciwu w tak delikatnej sprawie na oczach sędziów przysięgłych mogłoby nam wyrządzić więcej szkody niż korzyści. Abstrahując od jej młodego wieku, Kimberly jest jedynym świadkiem, który był obecny na miejscu zbrodni w czasie jej popełniania. Sprzeciw z naszej strony mógłby być odczytany jako znak, iż mamy coś do ukrycia. Siedzę więc cicho, nie reagując na ponagląjący szept Acosty. Kline zdobył punkt dla siebie, ale jakoś to przeżyjemy.

Mówi o nieszczęsnej sierotce, balansując niebezpiecznie na krawędzi przepaści, za którą rozciąga się otchłań bezzasadnych spekulacji.

Doprowadza się do stanu, w którym sam już nie potrafi opanować wywołanego przez siebie wzruszenia. Rwącym głosem ciągnie swoją chwytającą za serce opowieść o żywej ofierze zbrodni, Kimberly Hali. Naturalnie, jego emocjonalne zaangażowanie nie uchodzi uwagi sędziów przysięgłych. Pełne współczucia twarze zasiadających w ławie kobiet zdają się świadczyć o tym, iż najchętniej przytuliłyby prokuratora do piersi, zdejmując z jego ramion nieznośny ciężar.

Siedzę na brzeжку krzesła, prawie zdecydowany wnieść sprzeciw.

196

Lecz wówczas Kline otrząsa się z oszołomienia, jakby odkrył w sobie jakąś wewnętrzną siłę, z której istnienia nie zdawał sobie dotąd sprawy.

- Panie i panowie, mała Kimberly Hali będzie zeznawać przed wami -powiada.

Nie zdradza jednak, co od niej usłyszymy. Obiecywanie we wstępnej mowie więcej, niż jest się w stanie dostarczyć podczas procesu, równa się stapaniu po prawniczym polu minowym. Możesz być pewien, że jak przyjdzie co do czego, twój oponent urwie ci nogę dobrze powyżej kolana.

- A kiedy wysłuchacie zeznań tej małej dziewczynki... - Znowu łamie mu się głos, ale bierze się w garść. - Kiedy wysłuchacie zeznań Kimberly -powiada - zrozumiecie, kto zamordował jej matkę - mówiąc to, obraca się w stronę Acosty - a wówczas, będziecie mogli zdecydować, na jaką karę zasłużył sprawca tej straszliwej zbrodni.

Wypowiedziawszy te słowa, Kline opuszcza sędziów przysięgłych i powraca do azyłu stołu oskarżenia; na jego policzku lśni samotna łza.

Kapitalny występ, trzeba mu to przyznać, kapitalny pod każdym względem.

Trwa właśnie przerwa obiadowa, siedzę razem z Harrym w sądowym bufecie, przeglądając notatki w ramach ostatnich przygotowań do wygłoszenia mowy wstępnej, kiedy nagle przy naszym stoliku wyrasta woźny:

- Pan Madriani? Telefon do pana - oznajmia. - Proszę podejść do płatnych automatów w korytarzu.

Rzucam Harry'emu zdziwione spojrzenie, kto to, u diabła, może być?

- Może dzwonią z biura? - mówi.

Zostawiam go nad papierami i pomiędzy rzędami stolików przepycham się do automatów telefonicznych, wiszących szeregiem na ścianie przed kafeterią. Słuchawka jednego z nich buja się na długim sznurze, tuż nad podłogą. Pochylam się i przykładam ją do ucha.

- Hallo.

- To ja - słyszę głos Leonory. - Miałam nadzieję, że jesz lunch na miejscu.

- Na miejscu, znaczy w Sądzie.

Odkąd została odsunięta od obrony Acosty, Leonora trzyma się z dala od sali rozpraw. Znalazła sobie inny lokal do pracy, przeniosła się do biura kumpla rezydującego na drugim końcu miasta i zamierza tam pozostać do zakończenia procesu. Krótko mówiąc, wykombinowała sobie coś w rodzaju ruchomego chińskiego muru, który ma nas chronić przed posądzeniem o konflikt interesów na wypadek, gdyby to znowu powróciło. Jednak to wszystko nie przeszkadza jej w odwalaniu po cichu roboty dla nas, polegającej przede wszystkim na bezwstydnym dostarczaniu informacji.

- Jak wam idzie? — pyta.

- Moja kolej w sokowirówce - mówię. - Zaraz wygłaszam mowę wstępną.

- Jakież niespodzianki ze strony Kline'a?

Opowiadam jej o okularach i o tym, że prokurator obiecał sędziom przysięgłym powiązać je z Acostą.

- Może blefuje - powiada. - Rzuca na oślep błotem w nadziei, że coś z tego przyłgnie. W danym momencie to by pasowało raczej do naszej strategii.

- Dlaczego dzwonisz? - Wyczuwam, że kryje się za tym coś więcej, niż tylko zawodowa ciekawość.

- Na mieście gadają, że Mendel wykopał topór wojenny - powiada.

- Czyżby ktoś zabrał mu jego ulubioną kość?

- To może się okazać mniej śmieszne, niż myślisz - mówi - bo to właśnie na tobie wiesz psy. Podobno wczoraj po południu dostał papiery z sądu.

Leonora mówi o zestawie wezwań i nakazów, przygotowanie którego zajęło Harry'emu tydzień wyteżonej pracy. Wyszedł mu z tego elegancki plik drobno zadrukowanych dokumentów, zdolnych przyprawić Mendla o solidne zapalenie spojówek. Hinds ryje się w poufnych aktach Związku Policjantów, węsząc za dokumentacją finansową z zacięciem tropiącego psiaka. Zażądał do wglądu wyciągów z kont bankowych i spisów przeprowadzonych rozmów telefonicznych ze specjalnym uwzględnieniem zastrzeżonej linii łączącej świat z gabinetem Mendla. Wszystkie te dane jesteśmy w stanie uzyskać z innych źródeł, Mendel nie może więc ich zniszczyć ani zafałszować.

- Słyszałam, że miota się po biurze, żądając twojego skalpu - informuje

mnie Leonora.

- Kiedy następne przedstawienie? Harry będzie chciał kupić bilety.
- Może i Mendel nadaje się do cyrku, ale na twoim miejscu bym go nie lekceważyła.
- Czyżby groził mi śmiercią?
- Jest na to za subtelny. Zresztą nie bywam w jego biurze i nie mam pojęcia, o czym rozmawia ze swoimi oprychami. - Słuchając Leonory można by pomyśleć, że kiedy my tu sobie „gadu, gadu”, niektóre sługusy Mendla wbijają właśnie szpilki w moją podobiznę.
- Wiedzieliśmy, co nas czeka - zauważam filozoficznie. - Nikt nam nie kazał włączać tego w linię obrony.
- To prawda, ale myślałam, że kiedy przyjdzie co do czego, będę u twojego boku.

A więc o to chodzi. Na chwilę w słuchawce zapada udręczona cisza, w której słycać tylko wyrzuty sumienia gryzące Leonorę.

- Nie spodziewałam się, że zabierzecie się do niego z takim entuzjazmem.
- Cóż mogę ci na to powiedzieć? Harry'ego czasem ponosi.

198

- W takim razie powinienes mu zaproponować, żeby jeździł twoim samochodem.
- To brzmi złowieszczo.
- Proszę cię tylko, żebyś dbał o siebie - powiada. - Nie chciałabym, żeby coś ci się stało.

Tę rozmowę możemy dokończyć w innej chwili.

- Zobaczymy się wieczorem? - mówię. - Tak jak się umawialiśmy?
- Jesteś pewien, że nie będziesz zbyt zmęczony?

- Przyniosę wino.
- Żebyśmy mieli w czym utopić smutki? - kpi.
- Między innymi - powiadam.

Śmieje się, a w jej śmiechu pobrzmiewają kuszące nutki.

- U ciebie, o ósmej. - Słyszę trzask odkładanej słuchawki, lecz w mojej wyobraźni martwa cisza na drugim końcu linii wciąż jeszcze rezonuje lirycznymi nutkami jej głosu.

Założenie niewinności nie należy do zestawu intelektualnych ćwiczeń, uprawianych na co dzień przez zwykłych ludzi. Z tego względu ściągnięcie ławy przysięgłych na neutralny grunt po druzgoczącej mowie Kline'a zapowiada się na kawał żmudnej roboty.

Zaczynam od czegoś, co niestety nie zawsze jest oczywiste w tego rodzaju oficjalnych okolicznościach: od przedstawienia się. Każdy dobry prawnik wie, iż drobny wysiłek w celu nawiązania osobistego kontaktu z przysięgłymi przynosi zazwyczaj zdumiewające efekty.

- Nazywam się Madriani - powiadam. - Paul. - Obdarzam przysięgłych promiennym uśmiechem, który, ku mojej wielkiej radości, większość z nich odwzajemnia. - A oto mój klient - gest w stronę stołu - sędzia Acosta.
- Sprzeciw. - Kline podrywa się na równe nogi.
- Co? Nie wolno mi się nawet przyzwoicie przedstawić? - Między nami mówiąc, podpuściłem go. Wiedziałem, że zgłosi sprzeciw.
- Mój sprzeciw dotyczy użycia tytułu sędziego - mówi. Zaczyna wyjaśniać swoje stanowisko, ale Radovich przerywa mu w pół słowa.
- Proszę podejść do ławy - syczy przez zęby.

Kiedy dołączam do towarzystwa, Kline, nie zaczekawszy na mnie, pluje w najlepsze jadem.



- Oskarżony został zawieszony w obowiązkach sędziego - oświeca Radovicha. - Decyzją wyższej instancji - powiada. - Na czas trwania procesu. Nie ma żadnego prawa do tytułu.
- Bardzo naciągane rozumowanie - stwierdzam. - Tytuł sędziego nie jest zastrzeżony prawnie. Niech mi pan pokaże, gdzie jest napisane, że nie wolno go używać prywatnym osobom.
- Wprowadza pan w błąd ławę przysięgłych - on mi na to.

199

- Skoro pan tak uważa, możemy to wyjaśnić. Powiemy im, że chodzi o tymczasowe zarządzenie, które zostanie natychmiast anulowane, kiedy tylko nasz klient zostanie uniewinniony.
- Czarno to widzę -powiada Kline, lecz jego mina mówi „kij ci w ucho”. Radovich robi słodkie oczy do Kline'a, usiłując go przekonać, iż powinien przystać na tytuł z dodatkowymi wyjaśnieniami.
- Sądzę, że w ten sposób nie będzie żadnych nieporozumień. To jest więcej, niż się spodziewałem.
- Absolutnie żadnych - powiadam. - Przy odrobinie dobrej woli możemy wypracować sobie wspólny język.  
Dopiero co zaczęliśmy, a już udało mi się wykołować prokuratora okręgowego, jak się patrzy.
- Nie, Wysoki Sądzie, tak nie można. Oskarżony został usunięty ze składu sędziów - upiera się Kline. - Na tej sali jest tylko jeden sędzia. -Ukłon w stronę Radovicha. Nie zmarnuje żadnej okazji, żeby podlizać się władzy. Kline'owi wyraźnie zależy, by postawić na swoim. Takie pozorne drobiazgi miewają spory wpływ na postawę sędziów przysięgłych. Radovich marszczy nos. Kline wyczuwa, że ziemia usuwa mu się spod

stóp.

- Może powinniśmy zgodzić się na „byłego sędziego” - proponuje.

-Oskarżenie nie miałoby nic przeciwko temu. - Po mistrzowsku robi odwrót na z góry upatrzone pozycje.

- Wolelibyśmy „sędziego” ze szczegółowym wyjaśnieniem sytuacji -powiadam.

- Pewnie - mówi Kline.

- A ja bym wolał, żebyśmy zajęli się procesem - wtrąca Radovich.

-Umawiamy się na „byłego sędziego” -powiada. -A teraz, proszę wracać do pracy.

„Były sędzia” to bardzo niepokojąca etykieta, coś w rodzaju „byłego męża” ze wszystkimi negatywnymi konotacjami. Z punktu widzenia oskarżenia to żadna etykieta. Kline i tak będzie trzymał się terminu „oskarżony”, przy każdej sprzyjającej okazji nazywając mojego klienta „zabójcą”.

Kiedy wracam z powrotem na swoją pozycję obok ławy przysięgłych, Acosta przywołuje mnie gestem dłoni.

- Co jest grane? - chce wiedzieć.

- Na razie zostaje pan panem Acostą - wyjaśniam. Trzymając mnie mocno za rękaw protestuje, że to podłe i nie fair.

- Porozmawiamy o tym później - ucinam.

Widzę po jego oczach, że nie jest usatysfakcjonowany, ale na razie może z tym żyć. Dla Kokosa pozory są najważniejsze. Nawet jeśli na co dzień chadza w więziennym pasiaczku, we własnych oczach wciąż pozostaje Wysokim Sądem w todze.

Wracam do naszych sędziów przysięgłych i przepraszam ich w imieniu Kline'a za tę nie zaplanowaną przerwę.

To prowokuje kolejny sprzeciw. Radowich każe mu usiąść i mówi, żebym kontynuował.

- Panie i panowie, chciałbym przedstawić wam mojego klienta, Arman-da Acostę.

Unosząc się nieznacznie z krzesła pod nerwowym spojrzeniem zaniepokojonych strażników, Acosta honoruje ławę przysięgłych czymś, co przy odrobinie dobrej woli można by uznać za dworski ukłon. Zgięta na wysokości talii ręka aż się prosi o aksamitny kapelusz z piórami. Musiał długo ćwiczyć przed lustrem w celi. Muszę przyznać, że jego ukłon przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Ale mam lekką obawę, że mój klient może sprawić wrażenie odrobinę ekscentrycznego. Pasowałoby to wówczas, gdyby nasza linia obrony była zbudowana na stwierdzeniu niepoczytalności.

Kaszlę dyskretnie, żeby odwrócić uwagę przysięgłych, zanim Acosta zdąży dygnąć albo wykonać taneczne pas.

- Panie i panowie - zaczynam - pan prokurator okręgowy bardzo umiejętnie przedstawił wam materiał dowodowy, jakim dysponuje oskarżenie. Jednak w tej prezentacji czegoś zabrakło, i to czegoś bardzo ważnego. Otóż pan prokurator okręgowy nie powiedział wam, czym oskarżenie nie dysponuje.

Szybciutko omawiam słabe punkty obrony: fakt, że Acosta nie ma alibi na czas zabójstwa i że włókna i sierść znalezione na kocu, w który były owinięte zwłoki, mogą na pierwszy rzut oka przypominać włókna i sierść zebrane w domu Acosty. Proszę ich jednak, żeby nie wyciągali

pochopnych wniosków. Obrona wykaże, że podobne i identyczne to nie to samo.

Byłoby głupotą z mojej strony, gdybym spróbował prześliznąć się nad tym, udając że nic takiego nie istnieje. Sędziowie przysięgli gotowi by pomyśleć, że fakty świadczą na naszą niekorzyść.

Pomijam za to milczeniem pogróżki pod adresem Brittany Hali, które nasz klient rzucał niefrasobliwie podczas tamtego feralnego lunchu w towarzystwie swojego przyjaciela, Oscara Nicholisa. Jak dotąd nazwisko Nicholisa nie pojawiło się jeszcze na listach świadków, mam więc nadzieję, że oskarżenie nie trafi na nie.

- Prokurator powiedział wam, co ma - mówię. - Ale nie był z wami całkowicie szczery.

Widzę surowe spojrzenia zza barierki oddzielającej sędziów przysięgłych od reszty sali.

- Nie powiedział wam o lukach w materiale dowodowym przygotowanym przez oskarżenie.

Starsza pani z ławy przysięgłych wpatruje się we mnie z powagą, trzymając ołówek w pogotowiu nad kartką papieru, jakbym za chwilę miał wyjawic, iż Kline sfałszował dowody.

201

- Pan prokurator okręgowy pominął tak wiele ważnych momentów -mówię - iż sam nie wiem, od czego mam zacząć.

Radovich, z podbródkiem wspartym na dłoni, rzuca mi spojrzenie mówiące, iż lepiej będzie, jeśli szybko będę wiedział.

- Pan prokurator Kline nie dysponuje żadnym naocznym świadkiem zbrodni. Co więcej, nie ma żadnego świadka, który mógłby potwierdzić,

że tamtej nocy mój klient znajdował się gdziekolwiek w okolicy mieszkania Brittany Hali. Nie ma takiego świadka, ale wam o tym nie powiedział.

Odwracam się od ławy przysięgłych, robię krok w stronę sali i znowu zwracam się przodem do moich słuchaczy.

- Pan prokurator nie ma narzędzia zbrodni. Do dzisiejszego dnia -powiadam - oskarżenie dysponuje jedynie teorią, w jaki sposób ofierze zadano tak zwane „rany tępym narzędziem”, stanowiące bezpośrednią przyczynę śmierci. Nie znaleziono żadnego przedmiotu, mogącego posłużyć za narzędzie zbrodni, który wskazywałby na mojego klienta. Ale pan prokurator o tym wam nie powiedział.

Zaczynam wpadać w rytm dziecięcej wyliczanki. - Ani na miejscu zbrodni, ani w zaułku, gdzie morderca porzucił ciało, nie znaleziono żadnych odcisków palców mojego klienta. Ale pan prokurator o tym wam nie powiedział. Nie znaleziono również śladów krwi, które mogłyby prowadzić do mojego klienta. Ale pan prokurator o tym również wam nie powiedział.

Oskarżenie nie dysponuje żadnymi dokumentami, żadnymi rachunkami za zakupy dokonane w noc zabójstwa, które wskazywałyby na przebywanie mojego klienta gdziekolwiek w pobliżu miejsca zbrodni. Ale pan prokurator o tym wam nie powiedział.

Nie ma przyznania się do winy, ani żadnych zeznań obciążających mojego klienta. Ale o tym wam nie powiedział.

Na ciele mojego klienta nie stwierdzono żadnych siniaków czy zadrapań, które mogłyby sugerować, że w czasie bezpośrednio poprzedzającym śmierć Brittany Hali brał on udział w brutalnej szarpaninie. Ale pan

prokurator o tym wam nie powiedział.

Głowy zaczynają się kołysać w rytm powtarzającego się refrenu. Jak na meczu oczy pilnie śledzą odbijającą się piłkę. W pewnym momencie pozwalam sobie nawet na kiwnięcie ołówkiem niby pałeczką dyrygenta, co wywołuje uśmiech dwóch spośród pań w ławie przysięgłych. Gdybym przerwał, dokończyłyby za mnie: „Ale o tym wam nie powiedział”.

Mógłbym rozpaść ognisko i poprowadzić dookoła rozśpiewany korowód, problem jedynie w tym, że Radovich nigdy się na to nie zgodzi.

Ciągnę swoją litanię, punkt po punkcie wyliczając wszystkie klasyczne elementy oskarżenia, które nie występują w sprawie Acosty. Bez skrupułów wykorzystuję okazję stworzoną mi przez Kline'a, drugi raz taka obsowa mu się nie zdarzy. Prokurator okręgowy siedzi bez ruchu za  
202

swoim stołem, sztywny jakby połknął kij i bawi się swoim ołówkiem, udając, że nic ważnego się nie dzieje, a ja tymczasem obrabiam go przy barierce ławy przysięgłych, przy wtórze chóralnego „ale o tym wam nie powiedział”.

Oto, jak wygląda brutalna rzeczywistość procesów kryminalnych.

Acosta podziwia mój występ, kręcąc się nerwowo na krześle; z najwyższym trudem powstrzymuje się, żeby się nie przyłączyć. Wreszcie kończę przedstawienie nieoczekiwanym dysonansem.

- Ta sprawa ma wiele aspektów - mówię - o których prokurator wam nie powiedział. O wielu rzeczach dowiedzie się dopiero wtedy, kiedy dojdzie do głosu obrona. Dlatego musicie powstrzymać się od pochopnego

wyciągania wniosków. Chciałbym was prosić, panie i panowie, żebyście mi coś obiecali. Czy możecie wstrzymać się z osądem, dopóki nie wysłuchacie, co ma do powiedzenia obrona?

Moje pytanie ma charakter czysto retoryczny, niemniej prawie wszyscy sędziowie przysięgli kiwają teraz głowami. Jedna z pań nawet otwiera usta i mówi „tak”.

Nastrój w ławie przysięgłych przypomina atmosferę jednego z tych spotkań religijnych z guru, często transmitowanych przez telewizję. Sędziowie, którzy ujrzeli światło. Zbiorowe nawrócenie w obliczu prawdy wynurzającej się z mroków prawniczych manipulacji.

- Mój klient, pan Acosta, był przed swoim aresztowaniem słynnym z surowości sędzią sądu wyższej instancji w naszym okręgu. Cieszył się powszechnym szacunkiem wśród swoich kolegów.

Zdaję sobie sprawę, że popełniam drobne oszustwo, przedstawiając w tym świetle charakter mojego klienta. Ale to się nie zalicza do materiału dowodowego

- Wykonywał swój zawód w bardzo agresywny sposób, czasem zdecydowanie za bardzo agresywny, jak na gust niektórych osób, mających zatargi z prawem.

Ta sprawa - powiadam - dotyczy całego wymiaru sprawiedliwości.

Dotyczy również policji. I podobnie, jak to się ma w przypadku każdego zawodu, obok dobrych policjantów trafiają się także źli policjanci. Gorąco pragnąłbym wierzyć, że tych ostatnich jest bardzo niewiele.

Oprowadzam ich po meandrach dochodzenia sądowego, korzystając z informacji, których Acosta udzielił mi nie bacząc na obowiązującą go tajemnicę zawodową. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu zasypaliśmy

Radovicha serią wniosków o częściowe odtajnienie materiałów sądowych i teraz zamierzam w pełni wykorzystać uzyskaną swobodę.

- W czasie, kiedy została zamordowana Brittany Hali, przed ławą przysięgłych, taką samą, jak wy - panie i panowie - toczyło się dochodzenie sądowe w sprawie afery korupcyjnej w łonie policji. Ponieważ nie zostało ono jeszcze całkowicie zamknięte, nie mogę wyjawić szczegółów. Wystarczy, jeśli powiem, iż dotyczyło kilku policjantów oskarżonych o dokonanie poważnych wykroczeń kryminalnych.

203

Z rzędów dla prasy dobiega wściekły chrobot ołówków. Od wielu miesięcy po mieście chodzą słuchy o toczącym się śledztwie, od czasu do czasu do gazet przedostają się nie sprecyzowane plotki, ale moje słowa stanowią pierwsze oficjalne potwierdzenie. Tak to zazwyczaj bywa, kiedy po jednej stronie mamy tajemnicę urzędu, a po drugiej - prawo do jawnego i sprawiedliwego procesu.

Obowiązuje mnie zakaz mówienia o zabójstwie Zacka Wileya oraz o podejrzeniu, iż mógł on zostać zastrzelony przez własnych kumpli tylko dlatego, że za dużo wiedział.

Sędziowie przysięgli słuchają mnie z szeroko otwartymi oczami, tu i ówdzie dostrzegam nerwowe przelykanie śliny.

- Mój klient, Armando Acosta, stał na czele sądu przysięgłych, zajmującego się tą sprawą. Prowadził energiczne śledztwo przeciwko skorumpowanym policjantom, kiedy nagle został aresztowany pod zarzutem korzystania z usług prostytutki.

Oto suche wyliczenie faktów.

- Przedstawimy państwu dowody świadczące o tym, iż za zatrzymaniem



mojego klienta stali ci sami ludzie, których czyny były przedmiotem zainteresowania Sądu. Udowodnimy, że zatrzymanie mojego klienta miało na celu tylko jedno, a mianowicie przerwanie dochodzenia i zastraszenie uczciwych urzędników, usiłujących wyplenić zepsucie szerzące się w szeregach policji.

Osiemnaście par wytrzeszczonych oczu spija słowa z moich ust, kilku przysięgłych robi pośpieszne notatki.

- Udowodnimy, że ofiarę, Brittany Hali, która regularnie współpracowała z obyczajówką, łączyły bliskie związki z wieloma policjantami.

Wierzymy, iż istnieją konkretne przyczyny, które staną się dla państwa jasne po zapoznaniu się z materiałem dowodowym, przy czym dla których Brittany Hali została zamordowana, lecz nie przez Armanda Acostę.

Przedstawimy dowody, świadczące o tym, iż Brittany Hali została zamordowana przez kogoś zupełnie innego dlatego, że za dużo wiedziała.

Z tymi słowy przekraczam Rubikon. Wyjawiając teorię obrony, postawiłem wszystko na jedną kartę. Wprawdzie to nie na mnie ciąży obowiązek przedstawienia dowodów, ale nie mogę też liczyć na to, że sędziowie łatwo zapomną o moich obietnicach.

Powracam do wymuszonego na przysięgłych przyrzeczenia, iż powstrzymają się od wydania osądu, dopóki nie usłyszą, co ma do powiedzenia obrona.

Powoli zbliżam się do konkluzji. Wiedząc, że Sąd pozwoli mi tutaj na więcej swobody, niebezpiecznie zbliżam się do otwartej dyskusji z Kline'em.

Kline nerwowo poprawia się na krześle, ale nie decyduje się na zgłoszenie sprzeciwu, zdając sobie sprawę, iż Radovich przypuszczalnie stanąłby po

mojej stronie.

204

- Przyszło nam żyć w cynicznych czasach, panie i panowie. W czasach, gdzie założenie niewinności, zagwarantowane przez prawo każdemu z nas, zbyt często zostaje przekręcone w domniemanie winy. To cyniczne podejście nierzadko przybiera na sile, kiedy osoba oskarżonego sprawuje urząd publiczny, zwłaszcza cieszący się takim zaufaniem społecznym, jak urząd sędziego. - Wykorzystuję przeciwko Kline'owi jego własny argument. - Musicie zwalczyć w sobie skłonność do podobnego rozumowania. Nie możecie pozwolić, by zawładnął wami cynizm - upominam przysięgłych. Mówiąc to, patrzę prosto na Kline'a. Prokurator okręgowy wierci się na krześle, tytanicznym wysiłkiem woli powstrzymując od zgłoszenia protestu.

- Miejcie uszy i oczy otwarte - powiadam. - Rozważcie to, co usłyszycie na tej sali, kierujcie się własnym zdrowym rozsądkiem. Jestem pewien, że jeśli to zrobicie, Armando Acosta zostanie uniewinniony.

Przed gmachem Sądów natykamy się na palisadę mikrofonów.

Zatrzymujemy się w połowie frontowych schodów, Harry i ja. Dalszą drogę odcina nam grupa facetów. Dostrzegam pomiędzy nim nieliczne kobiety z kamerami na ramionach. Ostre światło fleszów wali nam prosto w oczy. Wędrowny jarmark pismaków.

- Panie Madriani, czy może nam pan powiedzieć, co panu wiadomo na temat dochodzenia sądowego w sprawie korupcji w Związku Policjantów?

- Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

- Czy możemy się spodziewać oficjalnych aktów oskarżenia?

- Będziecie musieli zapytać prokuratora okręgowego.

- Panie mecenasie, w swojej mowie wstępnej wysunął pan pewne dosyć poważne zarzuty. Chcielibyśmy wiedzieć, czy są one poparte konkretnym materiałem dowodowym?

- Proszę śledzić przebieg procesu.

Harry odnajduje słaby punkt w zwartym murze dziennikarzy, pochyla ramię i zaczyna się przedzierać na zewnątrz. Ruszam jego śladem. Ktoś zadaje Harry'emu jakieś pytanie, nie słyszę, o co chodzi.

- Bez komentarzy — odpowiada Hinds. Brutalnie trąca łokciem minikamerę, błyszczące cacko leci w dół, gdyby nie pasek przełożony przez ramię właściciela, jak nic rozbiłoby się w drobny mak.

Z boku wysuwa się kobieta z mikrofonem, który bezceremonialnie podtyka mi pod nos.

- Czy rozmawiał pan na temat tych oskarżeń z panem Mendlem albo z kimś z jego biura?

Nie reaguję.

- Czy zamierza pan wezwać pana Mendla na świadka?

Mijam ją i zaczynam się oddalać, ignorując wzbierający potok pytań.

- Panie Madriani, czy twierdzi pan, że Philip Mendel, albo niektórzy z jego współpracowników, mogli mieć coś wspólnego z zabójstwem

205

— Przyszło nam żyć w cynicznych czasach, panie i panowie. W czasach, gdzie założenie niewinności, zagwarantowane przez prawo każdemu z nas, zbyt często zostaje przekręcone w domniemanie winy. To cyniczne podejście nierzadko przybiera na sile, kiedy osoba oskarżonego sprawuje urząd publiczny, zwłaszcza cieszący się takim zaufaniem społecznym, jak urząd sędziego. - Wykorzystuję przeciwko Kline'owi jego własny

argument. -Musicie zwalczyć w sobie skłonność do podobnego rozumowania. Nie możecie pozwolić, by zawładnął wami cynizm - upominam przysięgłych. Mówiąc to, patrzę prosto na Kline'a. Prokurator okręgowy wierci się na krześle, tytanicznym wysiłkiem woli powstrzymując od zgłoszenia protestu.

- Mieście uszy i oczy otwarte - powiadam. - Rozważcie to, co usłyszycie na tej sali, kierujcie się własnym zdrowym rozsądkiem. Jestem pewien, że jeśli to zrobicie, Armando Acosta zostanie uniewinniony.

Przed gmachem Sądów natykamy się na palisadę mikrofonów.

Zatrzymujemy się w połowie frontowych schodów, Harry i ja. Dalszą drogę odcina nam grupa facetów. Dostrzegam pomiędzy nim nieliczne kobiety z kamerami na ramionach. Ostre światło fleszów wali nam prosto w oczy. Wędrowny jarmark pismaków.

- Panie Madriani, czy może nam pan powiedzieć, co panu wiadomo na temat dochodzenia sądowego w sprawie korupcji w Związku Policjantów?

- Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

- Czy możemy się spodziewać oficjalnych aktów oskarżenia?

- Będziecie musieli zapytać prokuratora okręgowego.

- Panie mecenasie, w swojej mowie wstępnej wysunął pan pewne dosyć poważne zarzuty. Chcielibyśmy wiedzieć, czy są one poparte konkretnym materiałem dowodowym?

- Proszę śledzić przebieg procesu.

Harry odnajduje słaby punkt w zwartym murze dziennikarzy, pochyla ramię i zaczyna się przedzierać na zewnątrz. Ruszam jego śladem. Ktoś zadaje Harry'emu jakieś pytanie, nie słyszę, o co chodzi.

- Bez komentarzy - odpowiada Hinds. Brutalnie trąca łokciem minika-

merę, błyszczące cacko leci w dół, gdyby nie pasek przełożony przez ramię właściciela, jak nic rozbiłoby się w drobny mak.

Z boku wysuwa się kobieta z mikrofonem, który bezceremonialnie podtyka mi pod nos.

- Czy rozmawiał pan na temat tych oskarżeń z panem Mendlem albo z kimś z jego biura?

Nie reaguję.

- Czy zamierza pan wezwać pana Mendla na świadka?

Mijam ją i zaczynam się oddalać, ignorując wzbierający potok pytań.

- Panie Madriani, czy twierdzi pan, że Philip Mendel, albo niektórzy z jego współpracowników, mogli mieć coś wspólnego z zabójstwem

205

Brittany Hali? - dobiega zza moich pleców wykrzyczane pełnym gardłem, ponad głowami dziennikarskiego sejmiku, tak że nikt w promieniu piętnastu metrów nie może tego nie słyszeć.

- To zdaje się wynikać z pańskiej przemowy w sądzie - dodaje panienska z mikrofonem. Pierwsza zasada współczesnego dziennikarstwa: jeśli nie możesz dostać odpowiedzi, odpowiedz sobie sam. W wiadomościach 0 szóstej usłyszymy głos tej pani na tle mojej głowy od tyłu. Moje milczenie może być odczytane jako publiczne potwierdzenie.

- Dlaczego im nie odpowiesz?

Podniósłszy wzrok, natykam się na twarz Tony'ego Arguillo.

Niezauważalnie wysunął się z tłumu, wciskając się pomiędzy mnie i Harry'ego

1 teraz zagraża mi drogę do krawężnika.

- Cóż to? - powiada. - Zapomniałeś języka w gębie?

- Sędzia wydał zakaz wszelkich kontaktów z mediami - mówię. -1 jeśli masz odrobinę oleju w głowie, też powinieneś trzymać język za zębami.

- Zakaz kontaktowania się z mediami, coś takiego. Wymogi etyki zawodowej przede wszystkim. - W jego ustach brzmi to jak brzydkie słowo. - Jasne - powiada. - I oczywiście, nie ma to nic wspólnego z faktem, że pierwszy lepszy pieprznięty kretyn w todze mecenasa może sobie łągać, ile wlezie i mogą mu nagwizdać, dop"óki robi to przed Sądem? Z przeświadczeniem, że może sobie do upojenia pozwalać na zniesławianie porządnych ludzi przed ławą przysięgłych w pełnym, kurwa, majestacie prawa?

Trącam go w ramię i czuję, jak cały sztywnieje. Tony świdruje mnie swoimi oczkami jak paciorki, pełne nienawiści spojrzenie skupia się na mojej twarzy niby radar naprowadzający na cel rakietę dalekiego zasięgu. Lecz wtem, niespodziewanie się rozluźnia i, straciwszy nagle zainteresowanie moją osobą, zwraca się do grupki dziennikarzy.

- Mówię wam, że wszystko, co ten kutas powiedział w sali sądowej, to kupa gówna - oświadcza. - Stek kłamstw. - Tony i jego religijne przekonania. Sprawia wrażenie autentycznie oburzonego ujawnieniem przeze mnie informacji o toczącym się dochodzeniu sądowym, chociaż przecież nie jest to dla nikogo nowością.

Odpycham go na bok i ruszam w stronę krawężnika.

- Kim pan jest? - pyta Tony'ego jeden z reporterów. Arguillo nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

- Dlaczego nie powtórzysz tego publicznie? Boisz się oskarżenia o zniesławienie? - rzuca w kierunku moich pleców. - Jesteś taki sam, jak cała tamta pieprzona banda. Prawnicy, kurwa ich mać. - Wieczorne wiadomości

będą pełne elektronicznych bipów.

Jestem wkurzony jak jasna cholera, krew gotuje mi się w żyłach.

Wysiłkiem woli zwalczam pokusę, żeby się nie odwrócić i nie dać mu po mordzie. Jednak ignoruję go i odchodzę, przyciskając zaciśnięte pięści do szwów spodni.

206

Harry'emu udało się dopchać do krawężnika i zatrzymać przejeżdżającą taksówkę. Otwieramy drzwi i pakujemy się do środka. Tłum dziennikarzy spływa na jezdnię i zamyka się wokół nas, jak stado podnieconych piranii.

Ponad dachem taksówki dostrzegam mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy i wpatrującego się we mnie w skupieniu. To Phil Mendel.

Gapi się na mnie otwarcie, nawet nie próbuje tego ukryć. Jestem ciekaw, czy był obecny na sali rozpraw, kiedy wygłaszałem mowę wstępną - może nawet wybrał się tam w towarzystwie Tony'ego - czy też słyszał tylko pytania, zadane nam przez dziennikarzy na schodach przed Sądem.

Nie mam pojęcia, co Mendel myślał sobie o całej sprawie do tej pory, ale idę o zakład, iż właśnie zyskał zupełnie nowy wgląd w sytuację.

18

Jest właśnie sobota rano i Sara sprząta swój pokój. Trzeba jej przyznać, że doprowadziła do perfekcji technikę biernego oporu. Moja ośmioletnia córka zużywa godzinę na pościelenie łóżka i drugie tyle na umycie zębów.

Śni na jawie o tuzinie różnych rzeczy równocześnie, prowadzi długie, bezcelowe konwersacje z niewidzialnymi istotami i deklamuje

pozbawione rymu i rytmu poematy. Wsadźcie ją pod prysznic z kostką mydła w rękę, a wysuszy miejski zbiornik wody.

Sara odziedziczyła po swojej zmarłej matce, Nikki, zdolności artystyczne. Rysuje ludzkie postacie, mężczyzn i kobiet, zawstydzając niejednokrotnie mnie, który w tym względzie jestem kompletnym beztalenciem. Za to wciąż ma kłopoty z liczbami, a jeśli chodzi o pisownię, wypracowała własne zasady, sprowadzające się głównie do całkowitej dowolności zestawiania tworzących słowo spółgłosek. Rozmawiałem z jej nauczycielką, ale powiedziała mi, żebym się nie przejmował. Każde dziecko, jak twierdzi, ma własne tempo przyswajania sobie wiedzy. W przypadku Sary poza przedmiotami, które sprawiają jej przyjemność, owo tempo równa się z grubsza szybkości przesuwania się lodowca.

- Co się tam dzieje? - pyta Leonora zaintrygowana donośnym tupaniem, dobywającym się z sufitu nad naszymi głowami.

Leonora przyszła wczoraj wieczorem, żeby natychmiast wpaść w szpony Sary. Skończyło się na tym, że spędziliśmy wieczór we trójkę, grając w gry planszowe. Dopiero kiedy mała poszła do łóżka, przerzuciliśmy się na wino i lekką muzykę.

- Powinna sprzątać swój pokój. Chcesz się wybrać na inspekcję?

- Chyba rzucę okiem.

Dzieci Leonory spędzają ten tydzień pod opieką swojego ojca, który mieszka na południu stanu i rzadko bywa w mieście.

208

Od paru tygodni Sara błagała mnie, żebym jej pozwolił zaprosić swoją koleżankę z klasy. Powiedziałem jej, że musi poczekać, nie wyjaśniłem jednak, dlaczego.

Dla samotnych ojców z małymi córeczkami nastały ciężkie czasy. Mam przyjaciela, niegdyś dobrze zapowiadającego się prokuratora, którego



kariera legła w gruzach tylko dlatego, że przytulił przyjaciółkę swojej córki, która nocowała u niego w domu. Nic nie pomogło, iż skarga została w końcu wycofana i po ciągnącym się trzy miesiące procesie sąd uznał jego niewinność, facet jest bankrutem życiowym bez szansy na powrót do zawodu.

Dlatego właśnie poprosiłem Leonorę, żeby została z nami przez cały dzień. Jest moim alibi przeciwko paranoi, zarówno cudzej, jak i mojej własnej.

Gawędzimy sobie w kuchni, podczas gdy Sara rzekomo robi porządki. Naraz odzywa się dzwonek przy drzwiach. Zerkam na zegarek.

- Trochę za wcześnie, jak na jej koleżankę - stwierdzam.

- Pewnie mama chce skorzystać z okazji i pozbyć się dziecka na cały dzień - mówi Leonora. Przepraszam ją na chwilę i wychodzę na korytarz; Sara z głośnym tupotem zbiega po schodach.

- Ja otworzę - mówię.

Moja córka urządza wyścig do wejściowych drzwi i oczywiście dobiega tam przede mną tylko po to, żeby skulić się na widok obcego faceta, stojącego po drugiej stronie siatki na muchy.

- Czy tatuś jest w domu?

- Mówiłem ci, że otworzę - powtarzam.

Sara wpada na mnie cofając się tyłem, jak to robią małe dzieci, znalazłszy się nagle twarzą w twarz z nieznanym.

Facet ma na sobie roboczy kombinezon koloru khaki z łatką z imieniem - „Mike” - naszytą nad kieszonką na piersi.

- Pan Madriani?

- Tak.
- „Stołeczny Kabel” się kłania - oznajmia. Patrzę na niego pytająco. Nic mi to nie mówi.
- Obsługujemy pańską telewizję kablową. Jesteśmy zmuszeni dokonać paru napraw.
- Nikogo nie wzywałem.
- Nie dzwoniли do pana z serwisu?
- Nie.
- Niech to diabli - powiada. - Zawsze ktoś musi nawalić. Musimy założyć dodatkowy zasilacz przy wejściu kabla do odbiornika. Mieliliśmy mnóstwo skarg na słaby sygnał w tej okolicy. To nie powinno zająć więcej jak dziesięć minut. I nic to nie będzie pana kosztować.

Widzi po mojej minie, że nie jestem uszczęśliwiony jego wizytą.

209

14 - Sędzia

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu -mówi. -Mogę przyjść innym razem.
- Tak może będzie najlepiej - zgadzam się. - Spodziewam się gości.
- Rzecz w tym, że zamierzaliśmy zabrać dziewczynki na piknik do pobliskiego parku.
- Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć jakiś inny termin. - Zagląda w rozpisę, drugą ręką przytrzymując zwój kabli w plastikowej izolacji.
- Powinienem pana uprzedzić, że bez zasilacza prawdopodobnie straci pan odbiór. Będziemy musieli na nowo wyregulować sygnał. Dopóki nie założymy panu zasilacza, będzie pan widział tylko śnieżek.

Przez kilka sekund studiuje uważnie rozpisę.

- Coś mi to nie za dobrze wygląda. Obawiam się, że będę mógł do pana

zajrzeć najwcześniej za tydzień albo dziesięć dni.

Spoglądam na niego nieprzyjaźnie.

- Przykro mi - powiada.

- Jak długo to potrwa? - pytam.

- Góra dziesięć minut - obiecuje.

- Niech pan wchodzi. - Otwieram obciągniętą siatką ramę i wpuszczam go do środka.

Przestąpiwszy przez próg, zdejmuję czapkę. W tej chwili nadchodzi Leonora.

- Przepraszam za kłopot - mówi jej na powitanie.

- Serwis telewizji kablowej - wyjaśniam. - Będzie pan coś potrzebował? - pytam faceta.

- Tylko pański telewizor - powiada.

- Telewizor jest tam. - Pokazuję mu szafkę pod ścianą dużego pokoju.

Ofiarowuję się z pomocą w odsunięciu mebla od ściany. Mówi, że da sobie radę, najpierw jednak musi skoczyć do samochodu po narzędzia.

- Świetnie. Jakby pan czegoś potrzebował, będziemy w kuchni. Uśmiecha się, wkłada z powrotem czapkę i wychodzi nie domykając za sobą drzwi, żeby się nie zatrzasnęły.

Sara wysuwa się z cienia w głębi korytarza, cała jej postać wyraża rozczarowanie.

- Myślałam, że to Mindy.

- Jak ci idzie sprzątanie? - pytam.

Przysuwa się do Leonory szukając azylu pod jej skrzydłami.

- Dobrze - powiada.

- Mam pójść na górę i sprawdzić?

- Nie. Chcę, żeby ona poszła.
- Och, widzę, że robię za sąd apelacyjny - stwierdza Leonora.
- Co się stało z telewizorem? - pyta Sara. Dla mojej córki zepsuty telewizor stanowiłby prawdziwy kataklizm na równi z trzecią wojną światową. Szlaban na kreskówki Disneya.
- Pan go zaraz naprawi. Ale to i tak ci nic nie pomoże. Przynajmniej,- dopóki nie dokończysz sprzątanía. A teraz idź na górę i zabierz się do roboty.

210

Sara odgrywa pantomimę rozpacz. Patrzy błagalnie na Leonorę w nadziei, że uda jej się uzyskać odroczenie. Kiedy to nie odnosi skutku, zabiera się za mnie. Jak każde dziecko lubi manipulować dorosłymi.

- Naprawdę muszę, tatusiu?
- Naprawdę musisz. I to już.

Zwiesza ramiona i powoli, krok za krokiem, zaczyna wspinać się na schody.

- Widzisz? Psy i dzieci zawsze mnie słuchają - mówię do Leonory.
- Poczekaj, aż trochę podrośnie.
- Chcesz powiedzieć, że może być jeszcze gorzej? Leonora wybucha śmiechem.

Wracamy do kuchni. Podgrzewam kawę. Gawędzimy od niechcienia, wymieniając ogólne uwagi na temat procesu Acosty. Leonora chciałaby, żebym informował ją na bieżąco, ale muszę uważać, co mówię. Wszystko, co wiem od Acosty, podlega tajemnicy zawodowej. Jeżeli zacznę w to wtajemniczać Leonorę, która nie jest już jego prawnikiem, dam oskarżeniu pretekst do wezwania jej w charakterze świadka i wyduszenia z niej

wszystkich szczegółów. Napomykam o starciu z Tonym na schodach przed Sądem.

- Bierze to wszystko zbyt osobiście - mówię.

- Muszę cię przeprosić - powiada. - To nie był dobry pomysł, żeby skierować go do ciebie. - Tłumaczy to konfliktem osobowości i wyjaśnia, że Arguillo ma dobre serce, ale kiepską głowę.

Nie bardzo potrafię zrozumieć, co Leonora mogła sobie myśleć, zrywając z kalendarza Brittany Hali notatkę o randce z Tonym.

Przeprasza jeszcze raz i mówi, że czasami człowiek robi głupstwa dla przyjaciół.

- Nie myślałam wtedy normalnie - tłumaczy. - Wyleciałam z pracy, byłam wstawiona - przypomina. Chce przez to powiedzieć, że gdyby była w lepszej formie intelektualnej, nigdy by tego nie zrobiła.

- Gliny już z tobą rozmawiały? - pytam.

- Zrobiłam tak, jak mi radziłeś. Odmówiłam składania zeznań powołując się na Piątą Poprawkę.

- Czy Kline wciąż jeszcze odgraża się, że wezwie cię na świadka?

Jej zdaniem, Kline jest całkowicie usatysfakcjonowany odsunięciem jej od udziału w procesie.

- Z przyjemnością popatrzyłabym, jak dostaje od ciebie w dupę - powiada. Wygląda na to, że nie zapomniała jeszcze dawnej urazy.

- Będę musiał znaleźć jakiś inny sposób na dobranie się Tony'emu do skóry. Uważa, że nic mi to nie da.

- Więc nadal sądzisz, że nie byłby do tego zdolny.

- Nieważne, co sądzę. Rzecz w tym, że teraz nikt już nie weźmie tego poważnie, nawet gdybyś pokazał tę notatkę.

Trudno powiedzieć, czy myśli tak naprawdę, czy też jest to próba racjonalizacji post factum, zbagatelizowania konsekwencji grożących z powodu lekkomyślnych igraszek z materiałem dowodowym.

Jej zdaniem, Tony jest całkowicie usprawiedliwiony.

- Pomyśl tylko, dwoje ludzi w tym samym wieku, oboje atrakcyjni, pracują razem, mają ze sobą mnóstwo wspólnego. Dlaczego nie mieliby się spotykać? Po prostu tak się złożyło, że akurat odwołali randkę na tamten wieczór. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

- Absolutnie się z tobą zgadzam, pod warunkiem, że Tony miał alibi -stwierdzam. - Miał alibi?

- Nie pytałam go o to - powiada.

- Szkoda.

- Chyba nie masz zamiaru wezwać go na świadka?

- Dlaczego nie?

- Nic ci to nie da.

- Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że dobre serce nie przeszkadza Tony'emu kłamać.

Widzę po jej minie, że nie jest zachwycona tym pomysłem. Zaczyna zdawać sobie sprawę, że jeśli uda mi się wyciągnąć na światło dzienne treść tej notatki, będę mógł wyprowadzić z tego prostą drogę ku uniewinnieniu, co odbyłoby się bezpośrednio kosztem Leonory.

- Miejmy nadzieję, że to okaże się niepotrzebne.

Nie jestem pewien, czy w jej słowach nie czai się aby groźba.

Postanawiam przyjąć, że nie.

Przechodzimy na nieco przyjemniejszy temat. Opowiada mi, czym

wypełnia sobie dnie. W zeszłym tygodniu podłapała dwóch nowych klientów, skierowanych do niej przez kumpli z branży.

Nagle, bez żadnego uprzedzenia, oświadcza mi, że chce zwrócić Acoście wszystkie pieniądze, to znaczy drobną sumę, którą zdążyła podjąć.

- Nie zwracaj sobie głowy tymi pieniędzmi - powiadam. - Zapracowałeś na nie.

- Nie zamierzam zwracać sobie nimi głowy. Zamierzam je zwrócić.

Wystawię czek, kiedy tylko podreperuję finanse.

Zdaje się, że to dla niej kwestia honoru, rezygnuję więc z próby odwiedzenia jej od tego pomysłu.

- Jeżeli ci na tym zależy - mówię.

W holu za moimi plecami rozlegają się czyjeś kroki. Odwracam głowę. To facet od kablówki.

- Czy mogę skorzystać z toalety? - pyta.

- Jasne. W połowie korytarza. Po lewej.

- Dzięki.

O biodro obija mu się torba z narzędziami, zawieszona na parcianym pasie. Nie wykazuję żadnej chęci podniesienia się z krzesła, żeby pokazać mu dłoń, musi więc radzić sobie sam. Wychodzi z kuchni zamykając za sobą drzwi.

212

- Co on kombinuje? - pyta Leonora.

- Pewnie chce mu się siusiu. Albo kupkę. Patrzy na mnie z obrzydzeniem. Śmieję się z własnego dowcipu.

- Sama chciałaś wiedzieć.

- Chodziło mi o twój telewizor - wyjaśnia.

- Nie mam pojęcia. Wzmacnia sygnał czy coś w tym guście. W trzy sekundy później słyszę szum spłuczki.

- To było siusiu - mówię.

- Cofam pytanie - powiada.

A potem dźwięk doskonale znany każdemu, kto kiedykolwiek podnosił to do góry - brzęk ciężkiej porcelanowej płyty. Spoglądam ze zdziwieniem na Leonorę.

- O co chodzi? - pyta.

- Nie wiem.

Facet wychodzi z toalety i nie patrząc w naszą stronę, wraca do salonu.

Wstaję z krzesła.

- Dokąd idziesz?

- Chwileczkę - powiadam. Przechodzę przez korytarz, wchodzę do toalety i uważnie rozglądam się dookoła. Wszystko wydaje się na swoim miejscu.

Wychodzę z łazienki i ruszam w kierunku dużego pokoju. Zaczynam mówić, zanim jeszcze tam dojdę.

- Nie wiedziałem, że wasz kabel przechodzi przez mój kibel. Dopiero kiedy przekraczam próg salonu, zdaję sobie sprawę, że gadam sam do siebie. Facet zniknął jak kamfora. Nie rozpieczętowany zwój drutu leży na telewizorze, ze ściany sterczy odłączony od odbiornika kabel. Fachowiec poszedł sobie, może wyskoczył do wozu po jakieś zapomniane narzędzia.

Podchodzę do drzwi i ze zdumieniem stwierdzam, że są zamknięte. Może przez nieuwagę zatrzasnął je za sobą. Otwieram drzwi, potem obciągniętą siatką ramę. Ani śladu gościa. Wychodzę na podjazd. Rozwiął jak się jak



dym. Razem z samochodem.

Leonorze, tymczasem, udziela się moja ciekawość. Wychodzi z domu i staje obok mnie na trawniku.

- Co tu jest grane? - chce wiedzieć.

- Nie mam pojęcia.

Wracam do środka, jeszcze raz przemierzam korytarz i wchodzę do toalety. Leonora jest o pół kroku za mną. Znalazłszy się w środku, podnoszę pokrywę rezerwuaru i wtedy ją widzę - owiniętą w przezroczysty plastik paczuszkę wielkości cegły, zawierającą substancję, którą na pierwszy rzut oka rozpozna każdy, kto kiedykolwiek oglądał filmy z policyjną obławą na handlarzy narkotyków, albo widział ten towar w sądzie. Mam przed oczyma dwieście tysięcy dolarów w proszku, innymi słowy, pół kilo kokainy.

213

Wyraz jej twarzy mówi mi, że nie potrzebuje żadnych wyjaśnień.

- Wyprowadzę Sarę tylnymi drzwiami - mówi.

Zaczyna biec w stronę schodów. W tej samej chwili słyszę pisk opon na jezdni przed moim domem. Odkładam porcelanową pokrywę na podłogę i rzucam się do frontowych drzwi. Zamykam je na zasuwę i natychmiast uświadamiam sobie, że to na nic.

Przed czterema miesiącami nabyłem jeden z owych sprytnych wynalazków, zabezpieczających drzwi na wypadek włamania. Przyrząd składa się z mosiężnego bolca, który, wetknięty w specjalny, okuty otwór w podłodze, o parę centymetrów od progu, ma za zadanie przyjąć na siebie pierwszy impet uderzenia. Jeśli to zadziała, przy próbie wyważenia drzwi uchylą się o parę centymetrów, zamiast wylecieć z zawiasów. Rzucam się

w panice po korytarzu, nie mogąc znaleźć bolca. Wreszcie dostrzegam go za firanką. Wtykam metalowy pręt w otwór i pędzę z powrotem do łazienki.

Słyszę tupot stóp na ścieżce po drugiej stronie domu, ktoś wywrzaskuje policyjne komendy.

Teraz rozlega się skrzyp otwieranej ramy z siatką na muchy. W następnej sekundzie słyszę huk metalowego tarana, po raz pierwszy uderzającego o moje drzwi. Wielobarwny witrażyk, który Sara i ja wspólnymi siłami wykonaliśmy w zeszłym roku w ramach zajęć technicznych, rozsypuje się na kawałki; pojedyncze odłamki przelatują przez całą długość korytarza, żeby wylądować w otwartych drzwiach łazienki.

Zza drzwi dobiegają zduszone przekleństwa. Mosiężny bolec spełnił swoje zadanie. Słyszę kolejne uderzenie tarana i trzask wyłamywanej deski.

Zamykam drzwi do łazienki i zasuwam zasuwkę.

- Tatusiu. - Z zewnątrz dobiega głos Sary, którą Leonora sprowadza ze schodów. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie otworzyć drzwi i nie wpuścić ich do środka. Ale będą bezpieczniejsze tam, gdzie są, z dala od tego, co trzymam teraz w ręku, z dala od torebki z białą śmiercią wartej dwadzieścia lat ciężkich robót.

Szybko rezygnuję z pomysłu spuszczenia towaru do miejskiego systemu kanalizacyjnego, mam na to za mało czasu. Musiałbym ładnie parę razy pociągnąć za spłuczkę, a i tak na folii zostałoby wystarczająco dużo białego proszku, żeby wsadzić mnie do pudła.

Nagle mój wzrok pada na małe okienko w bocznej ścianie. Podnoszę do góry półprzeźroczystą szybę. Okno wychodzi na ogrodzenie, które bez trudu mógłbym dotknąć wyciągniętą ręką. Metr dalej, widnieje okap dachu

sąsiedniego domku.

Ściągam z wieszaka ręcznik i starannie wycieram powierzchnię opakowanej w plastik paczuszki. Jeżeli ją znajdą, przynajmniej nie będzie moich odcisków palców. Następnie, trzymając torebkę poprzez ręcznik, wystawiam rękę za okno i opuszczam ją nisko, jakbym szykował się do popisowego rzutu podkową.

214

Nie mogę powiedzieć, żeby zastali mnie w pozycji godnej bohatera. W chwili, gdy pierwsze uderzenie policyjnego tarana wstrząsa drzwiami toalety, siedzę na sedesie ze spodniami spuszczoneymi do kostek, ręcznik wisi z powrotem na swoim miejscu, okno jest zamknięte.

Taran wybija dziurę w drzwiach, drewno rozpryskuje się w drobne kawałeczki. Dwóch gliniarzy, obaj spalone bysiory -jeden w odwróconej daszkiem do tyłu czapeczce baseballowej, drugi z twarzą zasłoniętą kapturem - ładuje równocześnie łapy w otwór. Któremuś z nich udaje się wreszcie dosięgnąć zasuwki, pociąga za skobelek i otwiera drzwi od środka. Jego kumpel nie zdąża na czas wyciągnąć ręki z dziury w drzwiach, grzęźnie w niej jak w pułapce, tak że kiedy w końcu kładą na mnie łapy, obaj są naładowani adrenaliną i wściekli jak wszyscy diabli. Chwytają mnie za ramiona i rzucają twarzą w ścianę, tuż obok okna. Sam nie wiem, jakim cudem nie rozbijam głową szyby. Ostry ból informuje mnie, iż trafiłem czołem w parapet. Czuję na skórze strużkę krwi i zimną lufę na karku.

Rozstawione szeroko stopy nie pomagają mi utrzymać równowagi, gdyby nie ściana, poleciałbym pewnie na pysk. Czyjaś łapa wykręca mi ręce za plecami, wciskając policzkiem w kafelki.

- Ma broń? - pyta głos za moimi plecami.

Gdzie miałbym ją trzymać - mając spodnie owinięte wokół kostek i koszulę - do połowy zdartą z grzbietu - na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą.

- Nie. Jest czysty.

Czuję twarde ucisk zatrzasowanych kajdanków, blokujących dopływ krwi do obu dłoni. Jeden z gliniarzy podciąga mi do góry spodnie, przytrzymuje je rękami na plecach, rozpięte z przodu.

Gdzieś w okolicy kuchni rozlega się histeryczny krzyk mojej córki.

- Wszystko będzie dobrze, Saro - wołam.

- Dajcie kobietę do salonu i zabierzcie stąd dzieciaka. Najlepiej zawieźcie ją do miasta, do izby dziecka.

- Zabiję was, jeżeli mojej córce spadnie włos z głowy.

W odpowiedzi dostaję potężnego kopniaka w nerki, biała mgła przesłania mi oczy.

- Pieprzony cwaniaczek. Mówiłem ci, że zobaczysz śnieżek. Gdzie to jest? Gadaj! - syczy mi w ucho, mocniej przyciskając gnata do mojego karku.

Zjeżdżam w dół, twarzą po ścianie, krzywiąc się z bólu. Któryś z nich łapie mnie za włosy i dosłownie podnosi do góry. Wywlekają mnie na korytarz i ciągną w stronę dużego pokoju.

Nie sadzają mnie, lecz rzucają na kanapę, z której zdążyli usunąć wszystkie poduszki. Jeden z gliniarzy tnie je zawzięcie na kawałki ostrym nożem, wyrzucając ze środka gąbkę nie tyle w ramach celowego przeszukiwania, ile destrukcyjnej orgii. Doskonale zdają sobie sprawę, że nie

miałem dość czasu, żeby bawić się w rozpinanie powłoczek i chowanie w nich kokainy.

Na stoliku do kawy stoi taca z porcelanowymi filiżankami i miseczkami, które Nikki zostawiła w spadku Sarze. Zostają rozbite w drobny mak tam gdzie stoją, kretyn w odwróconej tyłem do przodu baseballówce zmiata skorupy na dywan jednym uderzeniem policyjnej pały po czym rozgniata butem samotny, ocalały talerzyk.

- Tatusiu! - słyszę wrzask Sary, taszczonej po chodniku prowadzącym od tylnego wyjścia w kierunku ulicy. Przez krótką chwilę widzę ją przez okno. Jakiś bydlak niesie ją jak worek kartofli, drobne stopki sterczą mu spod pachy.

- Zostaw w spokoju moją córkę! - Bez ostrzeżenia, rzucam się poprzez stół, odbiwszy się od ziemi z całą siłą, na jaką stać moje nogi. Trafiam głową w brzuch gliniarza w czapeczce na opak, wyciskając mu z płuc całe powietrze.

Niemal w tej samej chwili dwa bysiory lądują na moich plecach i dostają za swoje. Na moją głowę i ramiona sypią się razy gumowych pałek, dostają po karku czymś, co sprawia wrażenie cyngla od rewolweru i w tej samej chwili, tuż przy moim uchu rozlega się potężny wystrzał, który niemal pozbawia mnie słuchu.

- Kurwa mać! - Jednemu z nich puszczają nerwy. - Zabezpiecz broń, ty głupi kretynie.

Zanim ból staje się nie do wytrzymania, tracę czucie w kręgosłupie, naturalna forma anestezji, po chwili przestaję czuć swoje nogi. Wciąż okładają mnie pałami, nie zwracając uwagi na to, co się ze mną dzieje.

- Dosyć -jak przez mgłę słyszę czyjś głos. - Jeszcze go zabijecie.
- Najwyżej będzie o jednego pierdolonego prawnika mniej. Nikt nie będzie po nim płakać. - Nie wiem, kto to mówi, ale czuję jego kolano na moich plecach. Ból zatyka mi dech w piersiach. Trzeba im przyznać, że znają się na rzeczy.

Leżę bez życia na podłodze, czekając, aż uzgodnią, co mają ze mną zrobić: więcej bicia czy z powrotem na kanapę. Jeden z nich co parę sekund podchodzi, żeby kopnąć mnie w żebra, biorąc solidny zamach roboczym buciorem. Poznają obuwie i spodnie barwy khaki, chociaż nie mogę zobaczyć zakapturzonej twarzy. Facet od kablówki.

Podnoszą mnie z dywanu i jednym pchnięciem posyłają na kanapę. Tym razem leżę grzecznie na boczku, mając w głowie tylko jedną myśl: nie słyszę już rozpaczliwych wrzasków Sary.

Szuranie butów w korytarzu.

- Dajcie ją tutaj. - Wciągają Leonorę do salonu. Pojawia się w moim polu widzenia. Ręce ma skute na plecach. Na policzku widnieją zadrapania i ślady po uderzeniach jakimś przedmiotem. Jeden z bysiorów trzyma ją potężną łapą za kark, jak kodaka. Bez trudu mógłby skruszyć jej kości.

216

- Próbowałam zabrać stąd Sarę. — To wszystko, co udaje jej się powiedzieć. Facet zaciska łapę.
- Zamknij się. - Zakapturzone dziwadło popycha Leonorę w stronę sofy. Dziewczyna łąduje obok mnie i przewraca się na bok. Ma spore trudności z powrotem do wyprostowanej pozycji, przez całe życie nie napatrzyłem się na tyle wściekłości, ile odbija się w tej chwili w jej oczach.
- Gdzie jest Sara? - pytam.

- Nie wiem.

Jeden z gliniarzy podchodzi do nas i wyrzucona solidnym zamachem z backhandu pała łąduje na goleniu mojej prawej nogi. Wydaję z siebie ryk bólu. Moim ciałem wstrząsa fala mdłości, oszołomiony mózg usiłuje ustalić, czy bydlak nie złamał mi przypadkiem kości.

- Zamknij się! Rozumiesz, co do ciebie mówię? Będziesz gadał, kiedy cię zapytamy. Z toalety dobiega brzęk rozbijanej porcelany i syk zalewającej podłogę wody z rozwalonej armatury.

- Tam tego nie ma. - Jeden z nich zagląda do pokoju, żeby obwieścić nowinę. - Mam przyprowadzić psa?

- Musi tam być. Poszukaj jeszcze raz.

Słyszę, jak przetrząsa szafki w łazience, jęcząc wrywane z zawiasów drzwiczki. Wyciąga szuflady, jedną po drugiej, wysypując zawartość na podłogę.

W salonie dwaj pilnujący nas gliniarze konferują ze sobą konspiracyjnym szeptem. Zimny dreszcz przebiega mi po plecach. Nie wątpię, że tam, skąd przyjechało pierwsze pół kilo, znajdzie się więcej kokainy. Rozprawiają przyciszonymi głosami, omawiając ewentualne posunięcia. Jak dotąd naliczyłem czterech gliniarzy. Nagle do moich uszu dociera klekot przewracanych garnków i patelni oznaczający, że jeszcze przynajmniej jeden, jeśli nie dwóch, urzęduje w kuchni. To daje razem pięciu albo sześciu.

- Miał najwyżej sześćdziesiąt sekund - mówi facet od kablówki. Obawiam się, że nieprędko uda mi się zapomnieć jego twarz.

- Może powinniśmy zadzwonić do Phila? - To ten z odwróconą

czapeczką baseballową.

- Zamknij się. - Dwa wyraźne słowa z ust rzekomego fachowca. Czarne kurtki, w które są ubrani, przynajmniej ci, których widziałem, mają na plecach identyczny znak graficzny: słowo „Policja”, wypisane białymi literami, wysokimi na dziesięć centymetrów. Brakuje czegokolwiek, co by wskazywało na Wydział do Walki z Narkotykami, FBI, albo chociażby policję skarbową czy celną. Jeśli słusznie rozumię, mamy do czynienia z chłopcami z miasta.

Nagle powstaje jakieś zamieszanie, gliniarze w salonie zaczynają okazywać niepokój.

- Kto to, do cholery? - Patrzą w okno za moimi plecami.

217

Wspierając się na łokciu unoszę się na tyle, że mogę ponad oparciem kanapy dostrzec, co się dzieje na ulicy. Dwaj policjanci w mundurach wysiadają z parkującego przed domem radiowozu i zaczynają iść poprzez trawnik.

- Przyrowadź psa - rzuca facet od kablówki. - Musimy to znaleźć.

Pośpiesz się!

Gliniarz wybiega z domu, o mało co nie wpada na jednego z mundurowych, który tymczasem jest już na chodniku prowadzącym do drzwi wejściowych. Policjant mówi coś do przebiegającego goryla, ale słowa nie docierają do moich uszu. Bysio w czarnej kurtce mija go nie odpowiadając.

Nie zwalniając kroku gliniarz podchodzi do drzwi. Trzeba przyznać, że jest z niego kawał chłopca, co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, nosi przeciwsłoneczne lustrzanki i świeżo odprasowany błękitny mundur z



wypolerowaną do połysku odznaką, która w ostrym słońcu mogłaby przyprawić o utratę wzroku.

- Co tu się dzieje? - chce wiedzieć. Ciemne okulary zasłaniają mu oczy, nie sposób odgadnąć, do kogo się zwraca.

Nikt mu nie dopowiada.

- O Jezu. — Nie ruszając się z miejsca, dokonuje pośpiesznych oględzin zdemolowanego holu, zalewanego wodą z rozbitej instalacji kanalizacyjnej. Istny biblijny potop. - Ładnie się zabawiacie, chłopcy. - Ostrożnie zdejmuje z nosa ciemne okulary, po czym kolejno spogląda na mnie i na Leonorę. Wsuwa okulary do kieszonki na piersi. - Niech no zgadnę. Stawianie oporu? - powiada. - Ta młoda dama próbowała was pobić? - Tylko jego kolega w mundurze reaguje na to śmiechem. Ten, który gada, nosi dystynkcje sierżanta.

- Co tutaj robisz, Hazzard? - słyszę głos fachowca od telewizji kablowej.

- Mam patrol. To mój teren - wyjaśnia sierżant.

- Dostaliśmy cynk o narkotykach. - Facet od kablówki w końcu ściąga z głowy kaptur. Jest czerwony na twarzy, oczy zalewa mu pot. Wygładza dłonią zmierzwiłone włosy. Patka z imieniem „Mike” schowała się pod czarną kurtką. Kiedy słyszę, jak sierżant zwraca się do niego per Howie, tracę ostatnie złudzenia, iż roboczy kombinezon, który ma na sobie, jest jego własnością.

Z kuchni dobiega brzęk rozbijanych naczyń. Chłopcy przekopują się przez zawartość szafek.

- Co tam wyprawiacie, chłopaki? - sierżant wrzeszczy w głąb korytarza.

Howie kiwa głową na odwróconą czapkę baseballową, która natychmiast rzuca się w stronę kuchni. Jakby za sprawą czarodziejskiej

różdżki zapada cisza.

- Dlaczego nie zadzwoniliście po pomoc? - pyta sierżant. - Nikt nas o niczym nie zawiadomił.

218

- Nie było na to czasu - mówi Howie. - Dostaliśmy cynk, że przenoszą towar w inne miejsce.

- Powiem panu, co tu się dzieje - odzywam się.

- Zamknij swój pieprzony ryj. — Howie podtyka mi pałkę pod nos.

- Pańscy kumple próbowali podłożyć narkotyki w domu prawnika, występującego w sprawie o morderstwo - wyjaśniam. - Niech pan rzuci okiem na naszywkę z imieniem, którą ma pod kurtką. Podobno nazywa się Mikę. Powiedział, że przysłał go serwis telewizji kablowej.

Na twarzy Howiego maluje się coś pośredniego pomiędzy niezdrowym uśmiechem a dziką wściekłością. Pytam go, czy zamierza naprawić mój telewizor, tak jak obiecał. Podrywa do góry pałkę, ale w ostatniej chwili powstrzymuje się od zadania ciosu.

Mundurowy sierżant mierzy go poważnym wzrokiem.

- Howie, wstyd mi za ciebie.

Howie śmieje się, jakby usłyszał znakomity dowcip. Kto by tam wierzył handlarzowi narkotyków?

Twarz sierżanta nie zdradza żadnej myśli.

Pies dostaje szału w toalecie, szczeka jak wściekły, drapie ściany. Howie mówi sierżantowi, że towar musi gdzieś tu być.

- Lepiej się pośpieszcie - powiada sierżant. Obaj panowie opuszczają toaletę i dołączają do towarzystwa w salonie. - Komendant już tu jedzie.

- Kto go, do cholery, wezwał?

- Ja.

Howie zaczyna tupać nerwowo w dywan.

- Po jakiego grzyba to zrobiłeś?

- To mój teren - powiada sierżant. - Na drugi raz uprzedź mnie, jak się będziesz tu wybierał, Howie. Zdaje się, że będziesz musiał wyjaśnić parę rzeczy.

Kawaleria ruszyła do ataku.

Howie przerywa na moment tupanie i wygląda na korytarz.

- Kennedy. Znalazłeś towar?

- Nie.

- Kurwa. - Howie rusza na pomoc.

Zostajemy w salonie w towarzystwie czapeczki baseballowej, jednego gliniarza w kapturze i dwóch mundurowych.

- Sierżant Lincoln - przedstawia się mundurowy. - Kim pan jest? - zwraca się do mnie.

- Howie chyba nie chce, żeby pan z nimi rozmawiał - pada z ust typa w baseballówce.

Sierżant posyła mu spojrzenie, które, gdyby facet posiadał mózg, zabiłoby go na miejscu.

- Kelly, czy ty naprawdę myślisz, że mnie to cokolwiek obchodzi? Nie doczekawszy się odpowiedzi, sierżant przysuwa twarz do gęby goryla i powtarza pytanie.

219

- Nie było na to czasu - mówi Howie. - Dostaliśmy cynk, że przenoszą towar w inne miejsce.

- Powiem panu, co tu się dzieje — odzywam się.

- Zamknij swój pieprzony ryj. — Howie pod tyka mi pałę pod nos.

- Pańscy kumple próbowali podłożyć narkotyki w domu prawnika, występującego w sprawie o morderstwo - wyjaśniam. - Niech pan rzuci okiem na naszywkę z imieniem, którą ma pod kurtką. Podobno nazywa się Mikę. Powiedział, że przysłał go serwis telewizji kablowej.

Na twarzy Howiego maluje się coś pośredniego pomiędzy niezdrowym uśmiechem a dziką wściekłością. Pytam go, czy zamierza naprawić mój telewizor, tak jak obiecał. Podrywa do góry pałę, ale w ostatniej chwili powstrzymuje się od zadania ciosu.

Mundurowy sierżant mierzy go poważnym wzrokiem.

- Howie, wstyd mi za ciebie.

Howie śmieje się, jakby usłyszał znakomity dowcip. Kto by tam wierzył handlarzowi narkotyków?

Twarz sierżanta nie zdradza żadnej myśli.

Pies dostaje szału w toalecie, szczeka jak wściekły, drapie ściany. Howie mówi sierżantowi, że towar musi gdzieś tu być.

- Lepiej się pośpieszcie - powiada sierżant. Obaj panowie opuszczają toaletę i dołączają do towarzystwa w salonie. - Komendant już tu jedzie.

- Kto go, do cholery, wezwał? -Ja. Howie zaczyna tupać nerwowo w dywan.

- Po jakiego grzyba to zrobiłeś?

- To mój teren - powiada sierżant. - Na drugi raz uprzedź mnie, jak się będziesz tu wybierał, Howie. Zdaje się, że będziesz musiał wyjaśnić parę rzeczy.

Kawaleria ruszyła do ataku.

Howie przerywa na moment tupanie i wygląda na korytarz.

- Kennedy. Znalazłeś towar?

- Nie.

- Kurwa. - Howie rusza na pomoc.

Zostajemy w salonie w towarzystwie czapeczki baseballowej, jednego gliniarza w kapturze i dwóch mundurowych.

- Sierżant Lincoln - przedstawia się mundurowy. - Kim pan jest? - zwraca się do mnie.

- Howie chyba nie chce, żeby pan z nimi rozmawiał - pada z ust typa w baseballówce.

Sierżant posyła mu spojrzenie, które, gdyby facet posiadał mózg, zabiłoby go na miejscu.

- Kelly, czy ty naprawdę myślisz, że mnie to cokolwiek obchodzi? Nie doczekawszy się odpowiedzi, sierżant przysuwa twarz do gęby goryla i powtarza pytanie.

219

Facet o imieniu Kelly blednie, wytrzymuje przez parę sekund oddech, po czym odwraca oczy.

- Idź powęszyć za narkotykami - odsyła go sierżant. Kelly opuszcza pokój, policyjna pałka zwisa mu z dłoni.

- A ty, Douglas - powiada sierżant do zakapturzonej mordy - zdejmij wreszcie ze łba tą cholerną szmatę. Wyglądasz idiotycznie. Zmiataj stąd. Sami popilnujemy twoich ptaszków.

Facet dołącza do kolegów. Sierżant wraca do mnie.

- No więc - zaczyna uprzejmie - jak się pan nazywa?

- Paul Madriani.

- Obiło mi się o uszy. A pani?

Twarz Leonory zaczyna puchnąć, wokół oka pojawiają się pierwsze oznaki imponującego sińca. Prawa powieka zamyka się, pozostawiając maleńką szparkę.

- Pozwól, że ja cię przedstawię - mówię. - To panna Leonora Goya, do niedawna zatrudniona w biurze prokuratora okręgowego.

Leonora wydaje z siebie westchnienie ulgi. Zdaje się, że przez chwilę naprawdę myślała, iż zamierzają nas zabić.

19

Dzisiaj rano Radovich przeprowadza swoje własne śledztwo. Wezwał na dywanik szefa miejskiej policji i Kline'a, żeby wytłumaczyli się z nalotu na mój dom. Radovich nie zajął jeszcze oficjalnego stanowiska i konsekwentnie udziela wymijających odpowiedzi na pytania dziennikarzy, doskonale jednak zdaje sobie sprawę, że komentarze w mediach mogą mieć negatywny wpływ na bezstronność naszych sędziów przysięgłych.

- Dlaczego nie zostałem o tym poinformowany? Kto, do diabła, jest szefem w pańskim biurze? - Radovich usiłuje wycisnąć z Kline'a jakąś odpowiedź.

Harry i ja siedzimy sobie cichutko na kanapie pod ścianą, plaster na moim czole przykrywa cztery szwy, fioletowe siniaki na szyi z daleka rzucają się w oczy. Acosta siedzi obok mnie, za jego plecami stoi strażnik, drugi czeka pod drzwiami. Uparłem się, że powinien być obecny przy naszej rozmowie, skoro i tak zna już całą sprawę z gazet. Acosta niepokoi się, jaki to może mieć wpływ na przebieg jego procesu.

Komendantowi zmiany wystarczyło niecałe dziesięć minut, żeby pozbyć się rzekomego fachowca od kablówki i jego bandy z mojego domu.

0 mało co nie pozrywali mi glazury w łazience, ale niczego nie znaleźli. Trochę więcej czasu trwało, zanim udało mi się ściągnąć z powrotem Sarę. Pogotowie opiekuńcze miało milion wątpliwości. Chcieli zatrzymać ją na noc. Zadziałała dopiero groźba wystąpienia na drogę sądową.

Jak dotąd ze strony władz miejskich nie padło ani jedno słowo przeprosin. Czekają z zapartym tchem, czy ich zaskarżymy.

Policyjny owczarek dostał ataku szału w mojej łazience, jednak jakby się nie rzucał, trop niekwestionowanie urywał się pod oknem. Prawdę mówiąc, mieli całkiem niezłe szansę na znalezienie zaginionego towaru 1 pewnie by im się to udało, gdyby nie przeszkodził im w tym komendant 221

zmiany i jego ludzie. Policijni przełożeni mają swoje własne metody korygowania zachowań podwładnych. W tym wypadku kara sprowadzała się do wyrzucenia chłopców w czarnych kurtkach z mojego domu, zanim udało im się znaleźć to, czego szukali. Kline przygotował sobie bogaty zestaw usprawiedliwień, z których wszystkie zresztą sprowadzają się do jednego: nie został poinformowany o akcji.

- Wysoki Sądzie - stoi tuż przy biurku Radovicha - proszę zrozumieć, że nie miałem z tym nic wspólnego. - Sprawia wrażenie autentycznie zakłopotanego, powtarza w kółko, że rzecz odbyła się poza jego plecami. - Gdyby mnie o tym uprzedzono, oczywiście natychmiast skonsultowałbym się z Sądem.

- Ktoś musiał podpisać nakaz rewizji - zauważa Radovich.

- Jeden z naszych nowych pracowników - wyjaśnia Kline. - Na prośbę sędziego z sądu rejonowego, z którym rozmawiał telefonicznie w sobotę rano.

Według słów Kline'a, gliny powiedziały jego zastępcy, żółtodziobowi siedem miesięcy po studiach, że sytuacja wymaga natychmiastowego działania i każda minuta zwłoki może się okazać tragiczna w skutkach. Właśnie otrzymali informację, że narkotyki mają zostać lada moment przeniesione w inne miejsce.

- Mój następcą nie skojarzył nazwiska pana Madrianiego. Jestem pewien, że gdyby wiedział, o kogo chodzi, natychmiast by mnie zawiadomił. -

Kline odwraca głowę i kieruje to zdanie specjalnie do mnie. Jest to śladowa pochodna przeprosin, jaką udało mi się usłyszeć.

- Wygląda na to, że pańscy ludzie bawią się w jakieś gierki - mówi Radovich, zwracając się tym razem do Wallace'a Hansena, szefa stołecznej policji. - Początkujący sędzia, młody prokurator - powiada.

- Sprawdzamy to - oznajmia Hansen.

- Policja musiała podać jakieś konkrety. - Radovich ma na myśli "złożone pod przysięgą oświadczenie, stanowiące podstawę do wydania nakazu rewizji. - Skąd mieli informacje o narkotykach?

- Od informatora - powiada Hansen. - Z wiarygodnego źródła. Hansen ma cerę albinosa, rude włosy i twarz, z której nigdy nie schodzi wyraz wrogiej niechęci.

- Do tego stopnia wiarygodnego, że od razu wysłaliście oddział specjalny?

- Niech mi pan wierzy, że nie przyjechali do mnie po to, żeby się rozejrzeć - mówię do Radovicha. - Facet z firmy ubezpieczeniowej musiał wezwać posiłki, żeby uporać się z wyceną zniszczeń.

Hansen chciałby wiedzieć, czy zamierzam podać miasto do sądu.

- Dowie się pan we właściwym czasie - odpowiada mu Harry.

W cztery oczy powiedziałem Radovichowi, że gliny podłożyły narkotyki



w moim mieszkaniu. Mam wrażenie, że wolałby o tym nie wiedzieć.

Poradził mi, żebym nie wspominał o tym w szerszym gronie, ponieważ

222

mogłoby to zostać odebrane jako publiczne potwierdzenie, że towar rzeczywiście znajdował się w moim domu. Hansen, bez wątpienia, natychmiast zażądałby zwrotu. Należy do gatunku gliniarzy o przerośniętym poczuciu solidarności zawodowej, którzy za wszelką cenę będą starali się osłonić swoich podwładnych, nawet jeśli sami podejrzewają, że coś tu straszliwie śmierdzi. Uważa, że pranie brudów powinno się odbywać we własnym gronie.

Upiera się, że jeśli jego ludzie przeprowadzili rewizję, musieli mieć ku temu wystarczające powody.

- Mam rozumieć, że mieli również wystarczające powody, żeby pobić pana Madrianiego?

- Powiedziano mi, że pan Madriani stawiał opór.

- A panna Goya? Też stawiała opór? - mówi Radovich. Jego pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

- Widziałem jej twarz - mówi sędzia. - Musi sobie robić zimne okłady.

Hansen po prostu stoi i przyjmuje ciosy. Zawodowy worek treningowy.

- Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba - powiada Radovich.

Został prywatnie poinformowany, że policjanci biorący udział w napadzie na mój dom zostali tymczasowo zawieszani i oddani do dyspozycji

Wydziału Wewnętrzznego. Tyle przynajmniej uznał za słuszne mi

powtórzyć. Prokuratura poinstruowała policję, by przez wzgląd na

ewentualne konsekwencje prawne, nie udzielała żadnych informacji na

temat przedsięwziętych kroków dyscyplinarnych. Tańczymy więc

prawniczego menueta, żadnych przeprosin z ich strony, żadnej litości z naszej.

- Cóż, panie Kline, to może mieć dla nas bardzo przykre konsekwencje - mówi Radovich. - Prasa ma swój wielki dzień na nasze konto. Kiedy dowiedzą się o tym sędziowie przysięgli, możemy mieć trudności z zapewnieniem oskarżonemu bezstronnego procesu.

- Przecież może im pan nakazać, żeby nie brali pod uwagę tego, co wypisuje prasa - powiada Kline.

Członkowie ławy przysięgłych nie żyją w izolacji od świata zewnętrznego. Zostali poinstruowani, że powinni powstrzymać się od czytania sprawozdań prasowych oraz słuchania czy oglądania relacji z procesu w radiu i telewizji, ale nie jest dla nikogo tajemnicą, że tego rodzaju pouczenia są notorycznie ignorowane.

- Coś panu powiem - oznajmia Radovich. - Życzę sobie widzieć pańskie wiarygodne źródło jutro o ósmej trzydzieści rano w moim gabinecie. Chcę wiedzieć, skąd wzięliście informację o narkotykach. Wolałbym się upewnić, czy przypadkiem nie była to próba wpłynięcia na wynik procesu poprzez skompromitowanie obrońcy w oczach sędziów przysięgłych.

- Nie sądzę, żeby to wchodziło w grę - powiada Hansen. - Nie będziemy mogli przedstawić świadka.

223

- Dlaczego nie?

- Powiedziano mi, że informator zastrzegł sobie absolutną anonimowość.

- Czy mam wydać nakaz sądowy? - pyta Radovich.

Żadnego wsparcia moralnego ze strony Kline'a. Hansen jest zdany wyłącznie na swoje siły.

Szef policji ma wątpliwości, czy jurysdykcja sądu sięga aż tak daleko; niewątpliwie, tak mu właśnie doradzili prawnicy, reprezentujący miasto. Radovich nie zajmuje się oficjalnie sprawą nalotu policji na mój dom, nie mówiąc o tym, że jeszcze w ogóle nie wniosłem skargi.

Kline krzywi się, słysząc zastrzeżenia Hansena. Radovich dostaje ataku wściekłości. Podrywa się z fotela i wspierając rękoma o biurko, pochyla w stronę szefa policji, niemal tykając go nosem.

- Robi pan sobie ze mnie jaja? - chce wiedzieć.

- Nie.

- W takim razie proszę tu jutro przysłać pańskiego informatora. Zasięg mojej jurysdykcji omówimy przy innej okazji. - Po czym zwraca się do Kline'a. - To pańska działka - powiada. - Chcę mieć pańską gwarancję. Prokurator szepce coś na ucho szefowi policji, przez chwilę naradzają się półgłosem, wreszcie Kline wydusza z siebie przyrzeczenie, że świadek pojawi się w sądzie.

- Życzę sobie także usłyszeć pańskie zapewnienie - mówi Radovich - że podobne ekscesy nie będą miały więcej miejsca.

Ta kwestia zdaje się nie wymagać specjalnych narad.

- Ręczę za swoich ludzi - powiada Hansen.

- Nie mam najmniejszej ochoty bawić się w gierki słowne - powiada sędzia. - To dotyczy również kumpli pańskich ludzi z innych wydziałów. Nie życzę sobie, żeby jacyś maruderzy z podejrzanymi nakazami rewizji nękali dom pana Madrianiego.

Obaj panowie kiwają jak na komendę głowami.

- Dobrze - powiada Radovich. - Teraz możemy zająć się naszym procesem.

Jesteśmy już na drugim końcu korytarza, w drodze na salę rozpraw, kiedy nie zwracając uwagi na strażnika, trzymającego łapę na jego ramieniu, Acosta odwraca się do mnie i szepce mi na ucho:

- To wcale nie było takie złe. Szczerze mówiąc, myślę, że teraz możemy liczyć na większą sympatię sędziego.

Jasne, w odróżnieniu ode mnie, Acosta nie jest obolały na całym ciele.

To była krótka noc, najwyżej cztery godziny snu. Położyłem Sarę o dziewiątej, wziąłem prysznic, przejrzałem parę dokumentów w ramach przygotowań do jutrzejszej sesji sądu i o jedenastej leżałem już w łóżku.

Nastawiłem budzik na trzecią, ale zanim odezwała się ściszone muzyczka, byłem już w pełni rozbudzony.

224

Wstaję, wkładam stare džinsy, bawełnianą bluzę i adidasy na grubych gumowych podeszwach. Na dworze przynajmniej od godziny siąpi kapuśniaczek, wciągam więc wiatrówkę z ciemnego nylonu i zakrywam głowę kapturem.

Przed zejściem na dół zaglądam do Sary. Śpi jak suseł, z kocem skopanym w nogach łóżka. Brzuszek i ramiona mojej córki przykrywa kusa kołderka dla lalek, spod której wystają pokryte gęsią skórką nogi. Kiedy ją przykrywam, zmienia pozycję, by po chwili, znowu zapaść w głęboki sen, przerywany cichutkim, miaukliwym pochrapywaniem.

Schodzę po schodach i przemierzywszy korytarz wkraczam do kuchni, w której wciąż jeszcze widać skutki policyjnego nalotu sprzed trzech dni. Tu i ówdzie brakuje szuflady rozbitej o podłogę albo zerwanych z zawiasów drzwiczek od szafki. Straszą ziejące pustką półki, których zawartość

gliniarze wymietli na wyłożony kafelkami kuchenny blat, rozbijając go przy okazji w drobny mak. To, co przetrwało pierwszy impet policyjnej ciekawości, wylądowało na podłodze i zostało rozgniecione buciorami. Na drzwiach lodówki widnieje wielka szczerba zdartej emalii, podobno któryś z chłopców przyładował w to miejsce żelaznym rondlem do zapiekanek. Po obfotografowaniu zdemolowanej kuchni wymiotłem skorupy i połamane meble z pomocą przyjaciół i Leonory, która mimo fatalnego samopoczucia odmówiła powrotu do domu. Jest przekonana, że to sprawka Kline'a. Robi wrażenie osoby zaślepionej nienawiścią. Jeśli chodzi o mnie, podejrzewałbym raczej kogoś innego. Obserwacje, jakie poczyniłem w ciągu dwóch ostatnich nocy, zdają się potwierdzać moje przeczucia.

Leonora, która widziała biały proszek, pytała mnie kilka razy, co z nim zrobiłem. Nie powiedziałem jej.

Opuszczam dom tylnymi drzwiami i wchodzę na wąską ścieżkę, kończącą się ślepo przy ogrodzeniu oddzielającym podwórko od frontowego trawnika. Jest ciemno, ale nie włączam latarki z obawy, że snop światła mógłby przyciągnąć uwagę sąsiadów, jeśli nie gorzej.

Biegająca wzdłuż domu ścieżka jest mniej zarośnięta, niż można by się spodziewać, jeśli nie liczyć bluszczu zwieszającego się z płotu pomiędzy moim podwórkiem i posesją sąsiada. Nad głową mam okap dachu.

Gdybym zadał sobie trud przeciągnięcia pnączy nad ścieżką i zaczepienia ich o krawędź dachu, nie musiałbym teraz moknąć na deszczu.

Mniej więcej w połowie ścieżki docieram do okienka toalety. Jedną z czterech małych szybek zastępuje płachta czarnego plastiku, którą umocowałem od wewnątrz.

Próbuję nakreślić w wyobraźni plan domu sąsiada. W odróżnieniu od mojego, jest to jednopiętrowa budowla w wiejskim stylu z lekko spadzistym dachem. Po drugiej stronie płotu, nie dalej niż dwa metry od miejsca, w którym stoję, dostrzegam krawędź dachu garażu.

Najciszej, jak potrafię, wciągam się na ogrodzenie i powoli prostuję nogi, stając na płaskim szczycie betonowego muru. Przez chwilę balansuję

15 - Sędzia

225

jak linoskoczek, odzyskawszy równowagę przechylam się do przodu i chwytam krawędź dachu. Podciągam się na rękach i zarzucam jedną nogę do góry. Wreszcie wciągam całe ciało na dach i przywieram płasko do metalowej powierzchni. Wymaga to jednak sporego wysiłku i zanim udaje mi się osiągnąć pełny sukces, moja lewa stopa zahacza o rynnę, wydając odgłos drewnianej kijanki, przeciąganej po tarce do prania.

Powierzchnia dachu jest śliska od deszczu. Zdążyłem kompletnie przemoknąć od pasa w dół. Moje dzinsy ważą dobre dwa kilogramy więcej, niż kiedy je wkładałem. Przez kilkanaście sekund leżę bez ruchu, czekając, czy w domu sąsiada zapalą się światła. Woda szumi w aluminiowych rynnach. Wygląda na to, że monotonna muzyka bębniącego o cienki metal deszczu zagłuszyła zgrzyt mojej stopy o krawędź dachu. Zaczynam pełznąć na brzuchu w kierunku tylnej części spadzistego dachu o skomplikowanej raczej konstrukcji. Dach garażu wznosi się trzema płaszczyznami ku centralnemu punktowi, od którego biegnie jakby granią dalej łącząc się z dachem mieszkalnej części domu, by stamtąd, poprzez kolejno następujące szczyty i doliny, rozejść się ku frontowi i tyłowi budynku. Dnem dolin biegną metalowe rynny, odprowadzające wodę

deszczową, które dzisiejszej nocy przypominają rwące górskie potoki. Dlatego właśnie nie mogę dłużej czekać. Nie wiadomo, jak długo plastikowe opakowanie wytrzyma na ulewnym deszczu. Sąsiadów na pewno zainteresuje strumień białej cieczy, spływającej z rynny na trawnik - dumę każdego ogrodnika. Zaczną się zastanawiać, dlaczego nie mogą powstrzymać się od stania godzinami na trawniku i wciągania z rozkoszą powietrza w płuca.

Znalazłszy się nad tylną częścią garażu, ostrożnie unoszę się na dłoniach i kolanach i wyglądam ponad szczyt dachu. Ulicę w dole oświetla żółtawy blask latarni przeciwmgiemnej, ustawionej na słupie przed jednym z sąsiednich domów.

Spoglądając w przeciwnym kierunku, dostrzegam pod konarami młodego wiązu tajemniczą furgonetkę, która pojawiła się tutaj po raz pierwszy dwie noce temu. Niewątpliwą ozdobę wozu stanowią dwa okrągłe, wypukłe okienka w stylu z lat siedemdziesiątych, po jednym z każdej strony. Widzę ją, zaparkowaną zawsze w tym samym miejscu, kiedy wieczorem wracam do domu, i jest tam nadal, kiedy rano wychodzę do pracy.

Nie można powiedzieć, żeby byli zanadto subtelni. Jeśli nie mogą wsadzić mnie za handel narkotykami, chcą przynajmniej odzyskać towar.

Dlatego właśnie przypuszczam, że Kline nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Po tym, co usłyszał od Radovicha, nie odważyłby się wziąć na siebie odpowiedzialności za dalszą inwigilację mojego domu. Z drugiej strony to, co się dzieje, pokazuje tylko, do jakiego stopnia władze, wliczając w to zarówno Kline'a, jak i szefa stołecznej policji, nie mają kontroli nad poczynaniami podwładnych im służb.

Spisałem numer rejestracyjny furgonetki i poprosiłem Harry'ego, żeby sprawdził go w Wydziale Ruchu. Zrobiłem też parę zdjęć teleobiektywem z drugiego końca uliczki.

Co rano, przed wyjściem do pracy, rozsypuję cieniutką warstewkę talku dla dzieci na podłodze po wewnętrznej stronie obu drzwi, wejściowych i tylnych, oraz w strategicznych punktach korytarza, na wypadek, gdyby przyszło im do głowy posłużyć się oknem. Wieczorem, po powrocie do domu sprawdzam, czy na talku nie ma odcisków stóp. Jak dotąd, jeśli moje umiejętności czytania śladów są coś warte, nieznajomi trzymają się na zewnątrz. Przypuszczam, iż doszli do wniosku, że towar znajduje się poza domem. Pilnuję, żeby Sara nigdy nie była sama w domu. Jest albo ze mną, albo u którejś ze swoich koleżanek. Bezpieczeństwo Sary stało się moim największym zmartwieniem.

Towarzystwo w furgonetce nie daje żadnych znaków życia. Mimo to wracam do pozycji pólężącej, starając się przez cały czas trzymać tylnej strony dachu. Posuwając się bokiem, przemieszczam się ponad tylnym podwórkim sąsiada i powoli podpełzam na jedno ze wzniesień dachu. Już zaczynam myśleć, że nie mogłem rzucić paczuszki aż tak daleko, kiedy dostrzegam ją zaklinowaną w metalowej szparze obiegającej okienko świetlika. Biały proszek lśni poprzez przezroczysty, połyskujący plastik niby promienna chmurka, która przysiadła na chwilę na mokrym dachu. Paczuszka sprawia wrażenie solidnie zapieczętowanej i przez chwilę zastanawiam się, czy nie jest tu przypadkiem bezpieczniejsza, niż umnie w domu.

Właśnie przymierzam się do rozpoczęcia odwrotu, kiedy do moich uszu



dobiega odgłos zamykanych drzwi samochodu, przyciszony dźwięk, jakby ktoś bardzo starał się nie robić hałasu. Ostrożnie wysuwam głowę ponad szczyt dachu i wyglądam na ulicę. Dwaj mężczyźni przechodzą na skos przez jezdnię, kierując się w stronę mojego domu. Stłumiony blask latarni ledwo oświetla ich sylwetki, pozostawiając w mroku rysy twarzy.

Czym prędzej chowam głowę i rozpląszczam się na dachu. Przeczesałem wzrokiem ciemność w poszukiwaniu drogi ucieczki. Od cementowej posadzki patio sąsiada dzielą mnie co najmniej trzy metry. Część niewielkiego dziedzińca przykrywa daszek z cienkich aluminiowych arkuszy, prawdopodobnie zbyt słaby, by wytrzymać mój ciężar. Zresztą nawet gdybym dał radę zeskoczyć, narobiłbym dość hałasu, żeby mnie usłyszeli.

- Mówię ci, że coś widziałem.

Wypowiedziane szeptem słowa rozbrzmiewają wyraźnie w martwej ciszy nocy. Dochodzą moich frontowych drzwi, za którymi śpi Sara.

- Nie ma tu żywej duszy.

- Nie chodzi mi o dom prawnika — mówi drugi głos. — To było obok. Za tym płotem.

Szepczące głosy zbliżają się do mojej kryjówki.

Podpełzam na brzuchu do krawędzi dachu. Zaczyna coraz mocniej padać.

Niedaleko świetlika, gdzie stykają się ze sobą dwie płaszczyzny

227

dachu, przechyliłam się przez róg i rzucam okiem na trawnik przed moim domem.

Jeden z facetów ma na głowie jakąś dziwną przepaskę z dwoma sporymi wypustkami, sterczącymi do góry jak antenki.

- Wiem na pewno, że coś widziałem - powiada gość z antenkami.
- Pewnie to był kot - stwierdza jego kumpel.
- Nie. To było za duże jak na kota.

Poprawia tajemniczą przepaskę opuszczając ją w dół, aż dziwne wypustki nasuwają się na jego oczy, i wtedy do mnie dociera - facet ma noktowizor. Daję nura w dół, o mały włos nie rozbijając sobie twarzy o blachę dachu. Z rozpędu, zjeżdżam prawie pół metra po wilgotnej powierzchni.

- Co to było?
- Niczego nie słyszałem.
- Szszsz.

Zastanawiam się, czy owo sprytne urządzenie potrafi uchwycić nad krawędzią dachu unoszące się w górę fale ciepła z mojego ciała, zielonkawą ektoplazmę nad zimną bryłą budynku.

- Niczego nie widzę - mówi drugi głos. - Chodźmy już. Wracajmy do samochodu. Zaraz będziemy mokrzy.
- Mówiłem ci, trzeba było od razu tam poszukać.
- Nie mieliśmy czasu. Wracam do wozu. Mam dość tego deszczu. Idziesz, czy zostajesz?
- Przyjdę za chwilę.
- Jak chcesz. Jeśli jakiś oburzony obywatel wezwie gliny, sam się będziesz tłumaczył.
- Może byś sprawdził, czy jest w swoim łóżku?
- Kto?
- Prawnik. Spróbuj zajrzeć przez okno do sypialni.
- Sam spróbuj. Ja wracam do samochodu.

Słyszę kłaskanie stóp po rozmokłym trawniku sąsiada. Mija parę sekund i

zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie poszli sobie obaj. I wtedy do moich uszu dobiega trzaśnięcie drzwiczek. Pojedyncze.

Naraz ciszę przerywa szelest wysoko, w gałęziach drzewa rosnącego obok płotu, który oddziela moje podwórze od podwórza sąsiada. Słyszę charakterystyczne szuranie stóp wspinających się po drewnianych sztachetach i znowu zapada cisza. W sekundę później odzywają się kroki na piaszczystej ścieżce, biegnącej wzdłuż mojego domu. Ktoś przelazł przez ogrodzenie i teraz idzie w stronę wybitego okna toalety.

Leżę rozpląszczony na dachu, nie bardzo wiedząc, jak mam z niego zejść. Za moimi plecami, nieco w prawo, sterczy kamienny komin, który powinien zasłonić mnie od strony tylnego podwórza, gdyby intruzowi przyszło do głowy udać się w tamtym kierunku. Ale wystarczy jedno spojrzenie na dach pod właściwym kątem, żeby natychmiast zauważyć połyskującą w mroku paczuszkę z białym proszkiem.

228

Podnoszę się na klęczki i w tej pozycji zaczynam ostrożnie przesuwając się wokół świetlika, w kierunku dolinki pomiędzy płaszczyznami dachu. Kiedy chwytam torebkę z kokainą, biały proszek trzeszczy lekko pod dotykiem moich palców. Kolorem i konsystencją do złudzenia przypomina cukier puder.

Bezszelestnie splezam w dół i przykucam na dnie dolinki osłonięty z trzech stron wznoszącymi się do góry płaszczyznami dachu. Kulę się w cieniu wiedząc, że nie na wiele mi się to zda, jeśli facet w moim ogródku ma noktowizor. W ręku trzymam dwadzieścia lat ciężkich robót. Jeśli mnie z tym złapią, nawet Radovich nie zdoła mi pomóc.

To nie był mądry pomysł. Powinienem był zostawić towar, tam gdzie leżał.

Ale na długo nie mogłem tego tak zostawić. Prędzej czy później ktoś by znalazł paczuszkę i natychmiast skojarzył ją z nieudanym nalotem policji na sąsiedni dom.

Słyszę, jak facet z furgonetki porusza się na tyłach mojego domu.

Wpycham paczuszkę z kokainą w rowek pomiędzy ścianką komina i płaszczyzną dachu, przez który przebiega metalowa rynna. Muszę mieć swobodne ręce.

Moje podwórko wypełnia nieprzenikniona ciemność. Nie dociera tutaj blask latarni, zasłoniętej przez drzewa od strony ulicy i wzniesioną bryłę dachu. Możliwe, że właśnie w tej chwili gapi się na mnie przez noktowizor z ciemnego kąta mojego własnego podwórka.

I wtedy znowu słyszę kroki, a potem skrzyp zawiasów otwieranych drzwi. Wchodzi do środka. Mój umysł wypełnia tylko jedna myśl: Sara śpi w swoim pokoju na piętrze.

Jakoś udało mi się zsunąć na dół po fantazyjnym wsporniku z kutego żelaza, podtrzymującym daszek patio. Ściskając w ręku paczkę kokainy, biegnę w stronę płotu. Zaglądam na drugą stronę, tajemniczy facet zniknął, ale tylne drzwi mojego domu są na wpół otwarte. Pamiętam, że je zamknąłem, kiedy wychodziłem.

Najciszej, jak potrafię, przełazę przez płot. Rozrywam rękaw kurtki, jakiś gwóźdź kaleczy mi ramię, lecz gwałtowny przyływ adrenaliny sprawia, że nie czuję bólu.

Rozglądam się dookoła za czymś poręcznym. Pod ścianą garażu trzymamy niewielki stosik drewna, głównie szczapy na rozpałkę, kilka większych polan na długie zimowe wieczory. Macam po ciemku, dopóki nie znajduję tego, czego szukałem: półmetrowego kawałka twardego dębu o średnicy

kija baseballowego. Chowam paczuszkę z kokainą pod warstwą drewna. Uzbrojony ruszam z powrotem w kierunku tylnego wejścia. Wsuwam się do środka, nie ocierając się nawet o drzwi. Facet widzi w ciemności, ale ja za to jestem na swoim własnym terenie. Pralnia jest pusta, posuwam się

229

więc wzdłuż ściany, dopóki nie natrafiam na otwarte drzwi do kuchni. Rzut oka do środka. Tutaj też go nie ma.

Nagle słyszę szuranie stóp po dywanie. Jest w korytarzu, gdzieś po drugiej stronie kuchni. Szybko rozważam dostępne możliwości. Mógłbym zacząć wrzeszczeć w nadziei, że się wystraszy i ucieknie frontowymi drzwiami, ale powstrzymuje mnie myśl, co się może stać, jeśli wpadnie w panikę. Bez wątpienia ma przy sobie broń. Nie chcę żadnych kul, przebijających sufity i ściany domu, w którym śpi moja córka. Zmniejszam dzielący nas dystans, przechodząc na palcach przez kuchnię. Przywieram do ściany obok lodówki i wyglądam na zewnątrz. Na drugim końcu korytarza dostrzegam cień ludzkiej postaci. Facet zbliża się do podnóża schodów. Sądząc z zarysu jego sylwetki, kształtu głowy, noktowizor tkwi na swoim miejscu.

Stawia nogę na pierwszym stopniu i wiem, że za nic w świecie nie mogę pozwolić, aby dotarł na górę, gdzie śpi Sara. Odnajduję na ścianie kontakt i zapalam światło. W tej samej sekundzie, w której rozbłyskują lampy w korytarzu, rzucam się do przodu, wydając z siebie przeraźliwy wrzask. Wielokrotnie wzmocnione przez noktowizor światło musiało go oślepić, gwałtownie bowiem zatacza się do tyłu, tracąc równowagę. Odwraca się w moją stronę, równocześnie usiłując zerwać z twarzy noktowizor, co mu się udaje tylko częściowo. Jedną ręką sięga do ukrytej pod płaszczem kabury i

zaczyna wyciągać pistolet. Mój dębowy kołek trafia w kość, piękne uderzenie z backhandu prosto w czoło. Doskonała koordynacja w czasie i wspaniały rozkład sił, odpowiadający mistrzowskiemu trafieniu w szybką piłkę w strefie uderzeniowej.

Wali się na podłogę jaj worek kartofli. Krew zalewa mój dywan, na ścianie za plecami intruza wykwita czerwony łuk. Przez chwilę przyglądam się nieruchomemu ciału na mojej podłodze zastanawiając się, czy przypadkiem go nie zabiłem. Nagle wydobywa z siebie jęk i ospałym gestem sięga po pistolet, który mu bez pośpiechu odbieram.

Oto u moich stóp, rozciągnięty na moim dywanie, leży fachowiec od telewizji kablowej. Gapi się w sufit zamglonymi oczami, tęczy podchodzą mu pod powieki. Łapię go za kołnierz koszuli i wlokę do salonu, gdzie rzucam go na ziemię. Łąduje na brzuchu niczym wyciągnięty na brzeg wieloryb.

Na telewizorze nadal tkwi zwój kabla, który przyniósł ze sobą przed trzema dniami. Wlokę go jak prosiaka, nogi i ręce razem, aż jego grzbiet wygina się w hak. Pojękuje cichutko, najwyraźniej nie jest zachwycony tą operacją.

- Tak jak mówiłeś - syczę mu w ucho - przez jakiś czas będziemy mieli śnieżek przed oczami.

20

nn rwa właśnie czwarty dzień prezentacji materiału dowodowego, ze-X branego przez oskarżenie, i muszę przyznać, że o ile wystąpienie Kline'a trudno nazwać porywającym, to w każdym razie nie sposób odmówić mu metodycznej systematyczności.

Jeśli chodzi o sprawy rozgrywane się poza kulisami sali rozpraw,

prokuratorowi okręgowemu udało się odwrócić od swojej osoby atak gniewu Radovicha po kolejnym zamachu gliniarzy na spokój mojego ogniska domowego. Komendant Hansen wziął na siebie odpowiedzialność za zachowanie swoich podwładnych i tłumaczenie się przed rozsierzonym sędzią. Na jego rozkaz wszyscy policjanci, biorący udział w pierwszym nalocie, zostali zawieszani. Jak się dowiedziałem, rzekomy fachowiec od telewizji kablowej nazywa się Howard Hoag i służy w obyczaj owce. Był jednym z gliniarzy obecnych przy śmierci Zacka Wileya. Kiedy dałem mu po głowie, zadzwoniłem zaraz pod 911. Hoag został aresztowany pod zarzutem popełnienia kilku kryminalnych wykroczeń, między innymi naruszenia prywatnej własności. Wypuścili go następnego ranka za kaucją, którą uiścił z własnej kieszeni. Jego koleś w furgonetce nie czekał, żeby zobaczyć, co się dzieje, lecz zmył się natychmiast, gdy tylko pierwszy radiowóz na sygnale podjechał pod mój dom.

Kline postanowił uznać cały incydent za niebyły i dalej prowadzi oskarżenie, jakby nic się nie stało. To bardzo sprytne z jego strony, ale i tak znakomicie zdaje sobie sprawę, że zachowanie Hoaga i jego kumpli potwierdza centralne założenie linii obrony: po naszym mieście grasuje banda niedobrych gliniarzy.

Poprzednie trzy i pół dnia zeszło Kline'owi na przesłuchiwanie dwóch detektywów kierujących dochodzeniem. Ich zeznania dotyczyły zarówno materiału dowodowego, zebranego w alejce, gdzie znaleziono ciało Brit-tany Hali, jak i wyników badań przeprowadzonych w jej mieszkaniu.

231

Mówili, że - zobaczyli włosy i włókna na kocu, w który owinięte były

zwłoki - poinstruowali techników z ekipy operacyjnej, żeby pobrali próbki. Jeden z nich opowiedział o znalezieniu podobnych włosów w mieszkaniu Acosta oraz podobnych włókien w jego samochodzie. Nic nowego, żadnych niespodzianek.

Mieli pewne kłopoty z określeniem narzędzia zbrodni, chociaż są zgodni co do tego, że ofiara uderzyła głową o metalowy narożnik stolika do kawy. Próbowali ubarwić swoje zeznania sugerując, że morderca wielokrotnie uderzał głową ofiary o znajdujący się tam mebel.

Radovich podtrzymał mój sprzeciw i przyznał rację, że obaj świadkowie nie mają dostatecznych kwalifikacji do wysuwania aż tak daleko idących wniosków. Żaden z nich nie posiada wykształcenia medycznego, ani nie przeszedł specjalnego przeszkolenia w zakresie metod badania rozbryzgów krwi.

Kline zakończył swój występ mocnym ciosem, przedstawiając najbardziej obciążający ze wszystkich dowodów rzeczowych znajdujących się w posiadaniu oskarżenia, a mianowicie notatkę w kalendarzu Brittany Hali napisaną jej własną ręką i świadczącą, przynajmniej pośrednio, że Acosta spotkał się z ofiarą w dniu jej śmierci.

Zgłosiłem sprzeciw twierdząc, że jest to dowód z drugiej ręki. Oto jedna z ironii prawa - ofiara najtragiczniejszego w skutkach przestępstwa, która w wyniku morderstwa straciła własne życie, nie może zeznawać. Problem polega na tym, że Acosta przed swoim aresztowaniem, kiedy policjanci pokazali mu notatkę na kalendarzu, nie zaprzeczył, że miał spotkanie z Brittany Hali. Zamiast powołać się na Piątą Poprawkę, pozwolił sobie, jak twierdzą gliniarze, na pewne gesty i komentarze, które upewniły ich w przekonaniu, że spotkanie rzeczywiście miało miejsce. Teraz Acosta



zaprzecza, jakoby widział się z Brittany Hali, ale sam przyznał, że jego pierwsza reakcja nie należała do najmądrzejszych. Podsunął Kline'owi pretekst do włączenia notatki do materiału dowodowego jako pośrednio potwierdzonej przez oskarżonego, przez co przestaje obowiązywać zasada, wykluczająca dowody z drugiej ręki. Miałem na tę okoliczność parę słów z moim klientem. Nie mieści się w głowie, żeby zawodowy sędzia mógł popełnić takie głupstwo.

I w tym właśnie miejscu przychodzi kolej na mnie. Zaczynam przedstawiać linię obrony w nadziei, że chociaż częściowo uda mi się odrobić spustoszenia poczynione przez Kline'a.

Detektyw John Stobel dobiega pięćdziesiątki, ma jasną cerę i mocno przerzedzone włosy z łysym plackiem na czubku głowy. Ten weteran policji z dwudziestoletnim stażem w Wydziale Zabójstw mógłby z powodzeniem uchodzić za dyplomowanego księgowego albo profesora uniwersytetu. Sprawia wrażenie profesjonalisty, w jego sposobie bycia nie ma cienia pretensjonalności. Każde słowo wychodzące z jego ust jest suchym stwierdzeniem faktu. Gdzie tylko może, ogranicza się do prostego „tak”

232

lub „nie”. Nie bawi się w lanie wody, co go czyni szczególnie niebezpiecznym świadkiem, albowiem nie sposób odmówić mu wiarygodności.

Dzisiejszego ranka zaczynamy od wymiany uprzejmości. Stobel patrzy mi prosto w oczy i aczkolwiek w jego wzroku na próżno szukać cienia sympatii, nie ma w nim również niechęci. Toleruje mnie jako niezbędny element procesu sądowego, czego bynajmniej nie ukrywa i co w oczach

ławy przysięgłych zalicza go zapewne do grona profesjonalistów.

- Chciałbym prosić, żeby skierował pan swoją uwagę na kalendarz ofiary.

Kalendarz wisi na stojaku ustawionym przed ławą przysięgłych, tam gdzie dwa dni temu powiesił go Kline. Jest to typowy kalendarz ścienny ze zdjęciami mniej lub bardziej egzotycznych krajobrazów, umieszczonymi na odwrocie każdego miesiąca, tak że za każdym razem, kiedy podnosisz do góry kartkę, odkrywasz zupełnie inny świat. W tej chwili mam przed sobą skąpany w przepychu wiosennego kwiecica stary kamienny most gdzieś w Nowej Anglii.

Skinieniem głowy daje mi do zrozumienia, że dostatecznie dobrze widzi kalendarz ze swojego miejsca.

- Proszę mi powiedzieć, kto pierwszy zauważył notatkę z nazwiskiem mojego klienta? Pan czy pański partner?

Chwila zastanowienia.

- Przypuszczam, że ja.

- I wtedy zwrócił pan na nią uwagę detektywa Jamisona? Tak było?

- Zgadza się.

- A więc obaj panowie przeczytali jej treść? -Tak.

- I sporządził pan odpowiednią notatkę w dzienniku śledztwa?

- Tak.

- Ponieważ uznał pan, że to może być ważne?

- Sprzeciw. To jest nakłanianie świadka do wyciągania wniosków -mówi Kline.

- Uchylam sprzeciw. Stobel krzywi się z lekka. -Taak.

- Czy odnotował pan w dzienniku śledztwa jakikolwiek inny zapis,

znaleziony w kalendarzu? - Znam z góry odpowiedź, zadałem sobie bowiem trud przejrzenia jego notatek.

- Nie.

- A więc, pana zdaniem, wszystkie pozostałe zapisy w kalendarzu były bez znaczenia dla prowadzonego dochodzenia?

- Moim zdaniem, tak.

- Czy przeczytał pan wszystkie zapisy w kalendarzu, ze wszystkich miesięcy?

- Przejrzałem je.

233

- I, pana zdaniem, żaden z nich nie był istotny dla śledztwa?

- Nie zauważyłem w nich niczego istotnego.

- A mimo to zapis z nazwiskiem mojego klienta natychmiast uznał pan za istotny?

- Trudno mi powiedzieć, czy to było natychmiast - stwierdza.

- Cóż, zrobił pan odpowiednią notatkę w dzienniku śledztwa w trakcie przeprowadzania wstępnych badań w mieszkaniu ofiary.

- Ponieważ zapis dotyczył dnia dokonania zabójstwa.

- Ach, więc uznał pan, że to istotne tylko dlatego, iż nazwisko mojego klienta znajdowało się w kalendarzu pod datą zabójstwa?

W ten sposób znacznie zawężamy nasuwające się skojarzenia, co widocznie niezbyt mu się podoba, przedstawia bowiem swoją własną wersję:

- Uznałem to za istotne, ponieważ z notatki wynika, że oskarżony mógł być ostatnią osobą, która widziała ofiarę żywą.

- Ale to tylko przypuszczenie, prawda? W rzeczywistość nie wie pan, czy

mój klient w ogóle był tego dnia w mieszkaniu Brittany Hali?

- Tak.

- Faktycznie rzecz biorąc, z treść notatki nie wynika jednoznacznie, że ofiara była umówiona na spotkanie z moim klientem, czyż nie?

- To jedna z możliwych interpretacji - powiada.

- Wnoszę o usunięciu tego komentarza z protokołu. Nie stanowi odpowiedzi na moje pytanie.

- Uwaga świadka zostanie usunięta z protokołu. Sędziowie przysięgli nie będą jej brali pod uwagę.

- Zapis nie zawiera słowa „spotkanie”, zgadza się?

- Tak.

- Co tam jest napisane, detektywie Stobel? Proszę, niech nam pan to przeczyta. - Przerabialiśmy to już parę razy, ale chcę tym razem podkreślić swój punkt widzenia.

- Acosta, czwarta trzydzieśd.

- I to wszystko, prawda? Nazwisko Acosty oraz liczby „cztery” i „trzydzieśd”?

- Tak.

- A co pan powie o drugim zapisie, figurującym pod tą samą datą? -pytam.

- Chodzi mi o notatkę stwierdzającą, że Kimberly miała po szkole pojechać do swojej babd. Ten zapis nie ma nic wspólnego z moim klientem, czyż nie tak?

Chodź pod względem formalnym to, czego się domagam, jest świadectwem ze słyszenia, Kline z tylko sobie znanych powodów nie oponuje.

- Zgadza się.

- Czy uznał pan, że ten zapis może mieć jakieś znaczenie.
- Raczej nie.
- Dlaczego?

234

- Nie ma w tym nic niezwykłego - powiada. Robię wielkie oczy.
- Nie dostrzega pan nic niezwykłego w fakcie, że ofiara w dniu swojej śmierci zamierzała oddać swoją córkę pod opiekę babci?

Patrzy na mnie nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierzam.

- Raczej nie.
- Proszę mi powiedzieć, gdzie znaleźliście małą Kimberly Hali we wczesnych godzinach rannych, następnego dnia po zabójstwie jej matki?
- Och. - Wreszcie łapie, o co mi chodzi. - Znaleźliśmy ją schowaną w szafie, w mieszkaniu jej matki.
- Dlaczego nie była u swojej babci? Nie bardzo wie, co odpowiedzieć.
- Może jej matka została zamordowana, zanim zdążyła odwiedzić małą do babci? - Ledwo słowa opuszczają jego usta, uświadamia sobie, że wdepnął w gniazdo węży.
- O której godzinie dziewczynka kończy lekcje? Sprawdza w swoich notatkach.
- O drugiej czterdzieści pięć.
- Przypuszcza pan, że ofiara została zamordowana wczesnym popołudniem, mniej więcej w porze, kiedy kończą się lekcje?
- Tego nie powiedziałem. - To by nam dawało godzinę i czterdzieści pięć minut przed domniemanym spotkaniem z Acostą. Kline i bez tego ma problemy z ustaleniem czasu śmierci. O ile mi wiadomo, jedna z sąsiadek Brittany Hali powiedziała policji, że słyszała pojedynczy, głośny krzyk z

mieszkania ofiary gdzieś pomiędzy siódmą trzydzieści a ósmą. Kobieta ma zamiar powtórzyć to samo przed sądem. Obie godziny — siódma trzydzieści wieczorem i druga trzydzieści po południu -mają się nijak do spotkania z Acostą.

- Dlaczego dziecko nie było u babci, jakby to wynikało z notatki na kalendarzu?

- Nie wiem.

- Ale nie uznał pan tego za istotne?

- Nie.

Sędziowie przysięgli nie pozostają nieczuli na moje przesłanie. Jeszcze jeden szczegół, którego oskarżenie nie potrafi wyjaśnić.

- A babcia nie przyjechała sprawdzić, dlaczego Kimberly się u niej nie pokazała?

- Matka ofiary powiedziała nam, że nie wiedziała, iż wnuczka miała być u niej. - To znowu jest świadectwo ze słyszenia, ale Kline wyraźnie nie ma zamiaru zgłaszać sprzeciwu.

- Więc doszedł pan do wniosku, że ofiara jej o tym nie poinformowała?

- Na to wygląda.

- Porozmawiajmy teraz o zapisie z nazwiskiem mojego klienta. Czy w chwili znalezienia notatki zdawał pan sobie sprawę, że ofiara miała

235

składać zeznania przeciwko mojemu klientowi w innej sprawie kryminalnej? -Tak.

- Czy to jest normalne, żeby świadek oskarżenia spotykał się z osobą, którą zamierzał obciążyć swoimi zeznaniami?

- Nie wiem — powiada.

- Czy pan jako oficer policji zachęca świadków oskarżenia, mających zeznawać w sprawie kryminalnej, do spotykania się z oskarżonymi?

- Nie. To mogłoby być niebezpieczne.

- Proszę o wyłączenie komentarza świadka z protokołu.

- Wniosek przyjęty. Niech świadek odpowie na pytanie.

Stobel posyła mu spojrzenie mówiące, iż wydawało mu się, że właśnie to zrobił.

- Czy zazwyczaj doradza pan potencjalnym świadkom, żeby spotykali się z osobami, przeciwko którym zamierzają zeznawać?

- Nie.

- A mimo to, zobaczywszy notatkę w kalendarzu ofiary, natychmiast wyciągnął pan wniosek, że słowa: „Acosta, czwarta trzydzieści” mogą oznaczać tylko tyle, że ofiara była umówiona z moim klientem na spotkanie?

- Wydało mi się to prawdopodobne.

- Czy zapis w kalendarzu nie mógł odnosić się do czegoś innego, niż spotkanie pana Acosty z panną Hali?

- Zgłaszam sprzeciw. To jest nakłanianie świadka do snucia przypuszczeń

- mówi Kline.

- Wygląda na to, że świadek sam zaczął snuć przypuszczenia - zwracam się do Sądu - kiedy uznał, że mój klient miał się spotkać z ofiarą w dniu jej śmierci.

- Uchylam sprzeciw - powiada Radovich.

- Czy rozumie pan moje pytanie?

- Nie.

- Chodzi mi o to, czy notatka w kalendarzu nie mogła się odnosić do

jakiegoś innego spotkania, niekoniecznie pomiędzy oskarżonym i panną Hali, być może spotkania mającego związek z zeznaniami, jakie panna Hali zamierzała składać w sprawie przeciwko mojemu klientowi?

- Nie wiem - mówi.

- Ale dzisiaj, na tej sali nie może pan stwierdzić z całą pewnością, że zapis w kalendarzu złożony z pojedynczego słowa „Acosta” i cyfr, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa oznaczających godzinę czwartą trzydzieści, nie mógł dotyczyć spotkania z inną osobą?

- Sprzeciw. Nakłanianie do spekulacji.

- Uchylam sprzeciw.

- Czy może pan wykluczyć, że panna Hali była umówiona z jakąś inną osobą, być może kimś z policji, albo z biura prokuratora okręgowego,

236

albo nawet ze swoim własnym prawnikiem, z którą zamierzała przedyskutować swoje zeznania w sprawie kryminalnej przeciwko mojemu klientowi?

Spogląda na mnie z niechęcią, lecz nie odpowiada.

- Sprzeciw. - Kline próbuje jeszcze raz.

- Uchylam sprzeciw.

Stobel wyraźnie nie ma ochoty odpowiedzieć na moje pytanie.

- Czy dzisiaj, na tej sali jest pan w stanie zaświadczyć z całkowitą pewnością, że notatka w kalendarzu ofiary, zawierająca nazwisko mojego klienta, nie mogła dotyczyć spotkania z inną osobą?

-Nie.

- Właściwie opierając się na pańskich własnych słowach, iż jako oficer policji odradziłby pan świadkowi prywatne spotkanie z podejrzanym,



przeciwko któremu zamierza zeznawać, czy nie należałoby przypuszczać, że notatka w kalendarzu Brittany Hali odnosiła się raczej do spotkania z jakąś inną osobą w celu omówienia zeznań niż do spotkania z samym oskarżonym?

- Sprzeciw. To czysta spekulacja - powiada Kline.

- Podtrzymuję sprzeciw co do rozważania prawdopodobieństwa. Radovich chętnie dałby mi trochę swobody, ale nie aż tyle. W każdym razie ziarno zostało zasiane.

Zabieram Stobla na małą wycieczkę po dziurach w materiale dowodowym, wiążącym Acostę ze sceną zbrodni. Przyznaje, że nie znaleziono żadnych odcisków palców, ani Acosty, ani nikogo innego. Wyciąga z tego wniosek, że morderca zadał sobie trud starannego powycierania wszystkich powierzchni.

- Czy w ramach czynności śledczych, przeprowadzanych w okolicy mieszkania ofiary udało wam się znaleźć świadka, który widział mojego klienta w pobliżu tego miejsca, po południu albo wieczorem w dniu zabójstwa?

- Nie.

- Tak więc nie macie ani świadka, ani odcisków palców?

- Nie.

To są właśnie słabe punkty oskarżenia, które w mojej mowie wstępnej obiecałem pokazać ławie przysięgłych. Omijam szerokim łukiem kwestię lumpów z zaułka, gdzie znaleziono ciało Brittany Hali. Kline nie przytoczył żadnych konkretnych zeznań nieszczęśnika, który natrafił na zwłoki porzucone w kontenerze na śmiecie. Uznaję więc, że lepiej to na razie zostawić.

- Detektywie Stobel, o ile mi wiadomo, spośród dowodów rzeczowych, zgromadzonych przez pana w trakcie śledztwa, znajdował się notatnik z telefonami należący do ofiary?

- Zgadza się.

- Czy zbadał pan ten notatnik?

237

- Przejrzałem go.

Kline przedstawiając materiał dowodowy pomiął notatnik. Proszę więc woźnego, żeby pokazał omawiany przedmiot przysięgłym i oznaczył go jako „obrona, nr 1”. Podaję Stoblowi książeczkę w czarnej okładce, jedną z tych, jakie można kupić w każdym sklepie papierniczym.

- Czy to jest notatnik z adresami znaleziony przez pana w mieszkaniu Brittany Hali? •

Przewraca kartki.

- Na to wygląda.

- Czy zbadał pan charakter pisma?

- Tak.

- Czy jest to charakter pisma ofiary?

Moje pytanie wywołuje protest ze strony Kline'a, jako że Stobel nie jest biegłym grafologiem. Radovich podtrzymuje sprzeciw.

Pytam Stobla, czy charakter pisma w notesie z adresami, jego zdaniem, przypomina ten, którym sporządzona została notatka w kalendarzu

Brittany Hali. Kline zgłasza kolejny sprzeciw, ale Radovich uznaje, że tego rodzaju porównanie, dotyczące podobieństwa pomiędzy dwoma próbkami, nie przekracza możliwości laika bez przygotowania grafologicznego.

- Wyglądają podobnie - stwierdza Stobel.

- A więc uznał pan, że notes z telefonami należał do ofiary i że zawiera własnoręcznie dokonane przez nią wpisy?

- Tak przypuszczam - powiada.

- Czy zauważył pan coś szczególnego w związku z notatnikiem?

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Czy nie brakuje jakichś stron?

- Ach tak. Brakuje kilku kartek.

- Czy przypomina pan sobie, których?

Ma to w swoich notatkach, musi odświeżyć sobie pamięć. Jeszcze raz ogląda czarną książeczkę, przewraca parę stron, bada zszycie.

- Brakuje kartek z czterema literami - mówi.

- Czterech kartek?

- Wydaje mi się, że może nawet pięciu. Nie ma stron z literami A, I, K oraz M. Odnoszę wrażenie, iż pierwotnie mogły być dwie kartki na literę M.

- W jaki sposób je usunięto?

- Zostały wydarte - powiada. - Wygląda na to, że odeszły gładko przy samym zszyciu.

- Czy zbadał pan numery telefoniczne zawarte w notesie?

- Przejrzałem je.

- Czy wziął pan pod uwagę, że któraś z osób figurujących w notesie ofiary mogła być potencjalnym podejrzanym? &

- Sprzeciw co do czasu - odzywa się Kline. - Pytanie JesF mało precyzyjne.

238

- Podtrzymuję sprzeciw.

- Detektywie Stobel, czy kiedykolwiek, w trakcie dochodzenia w sprawie

zamordowania Brittany Hali, brał pan pod uwagę, że jedna z osób, której nazwisko figuruje w notesie ofiary, mogła być zabójcą?

- Nie wiem - powiada.

- To pan prowadził śledztwo, zgadza się?

- Tak.

- Czy kiedykolwiek przesłuchiwał pan w związku z morderstwem jakąś osobę, której nazwisko znajduje się w tym notesie?

- Hmm. - Chwila namysłu. - Nie.

- Nikomu z tych ludzi nie zadawał pan żadnych pytań?

- Nie. - I zaraz się poprawia: - Nie wydaje mi się. Przesłuchaliśmy mnóstwo ludzi. Być może, były wśród nich osoby, których nazwiska figurują w notesie ofiary.

- Ale nie przesłuchiwał ich pan dlatego, że ich nazwisko pojawia się w notesie ofiary?

- Nie. - Co do tego, ma pewność.

- Czy może mi pan powiedzieć, detektywie Stobel, jak wiele nazwisk policjantów znajduje się w tym notesie?

- Nie wiem.

- Ale rozpoznał pan nazwiska kilku policjantów?

- Taak.

- Czy zna pan tych ludzi? -Tak.

- Może mi pan to na chwilę podać? Oddaje mi notes. Przerzucam parę kartek.

- Kim jest Carl Jenson?

- Policjantem.

- Z jakiego wydziału?

- Obyczajówka. Przewracam jeszcze kilka kartek.
- Kim jest Alex Turner?
- Również policjantem.
- Czy służy w obyczaj owce?
- Tak, o ile mi wiadomo.
- Kim jest Norman Jefferies?
- Policjantem. Z obyczajówki - powiada.
- A Howard Hoag? - Najlepsze zachowałem na koniec.
- Tak, jak pozostali.
- Może nam pan powiedzieć, czy w chwili obecnej wymienione osoby znajdują się w służbie czynnej Stołecznej Komendy Policji?

Kline ze wściekłym rykiem zrywa się z krzesła.

- Sprzeciw. Proszę o dwa słowa na stronie - mówi. Radovich kiwa na nas, żebyśmy podeszli do ławy Sądu.

239

- Wysoki Sądzie, obrońca usiłuje manipulować ławą przysięgłych -powiada. - Doskonale wie, że zostali zawieszeni.
- Może przysięgli też powinni się o tym dowiedzieć - zwracam mu uwagę.
- Jaki to ma związek ze sprawą? - pyta Kline.
- Taki, że mój klient został wrobiony i że teraz ci sami gliniarze próbują podłożyć prochy w domu jego prawnika - wyjaśniam.
- Nie ma na to żadnych dowodów - powiada Kline.
- Zostali zawieszeni w wykonywaniu obowiązków służbowych - powiadam.
- Do wyjaśnienia - mówi Kline.
- Proszę zwracać się do mnie - wtrąca Radovich. - To ja tutaj podejmuję

decyzje.

Kline oświadcza, że kwestia zawieszenia policjantów w wykonywaniu obowiązków służbowych nie ma nic wspólnego ze sprawą i nie powinna być omawiana. Jego zdaniem, to może tylko niepotrzebnie namącić w głowach sędziom przysięgłych.

Ja na to, że złe prowadzenie się policjantów dotyczy samego sedna całej sprawy.

Wzorem Salomona, Radovich przecina dziecko na pół.

- Może pan pytać o fakt zawieszenia, ale proszę zostawić w spokoju przyczyny - mówi.

Wracamy na swoje miejsca, każdy z połową wygranej.

- Detektywie Stobel, proszę powiedzieć sędziom przysięgłym, czy policjanci, których nazwiska przed chwilą przeczytałem z notesu ofiary, znajdują się obecnie w służbie czynnej?

- Zostali zawieszeni - mówi Stobel - do wyjaśnienia.

Studiuję twarze sędziów przysięgłych. Jeżeli nie coś innego, to w każdym razie maluje się na nich na pewno ciekawość. Kline z trudem powstrzymuje się od jęku rozpacz.

- I nazwiska wszystkich wymienionych przeze mnie oficerów znajdują się w należącym do ofiary notesie z telefonami, zapisane jej własną ręką?

- Na to by wyglądało - powiada.

- Proszę nam powiedzieć, kto to jest Zack Wiley? - pytam.

- Zack Wiley był policjantem. Nie żyje - mówi Stobel.

- Służył w obyczajówce?

- Tak.

- W jaki sposób zmarł?

- Został zastrzelony podczas nalotu na melinę handlarzy narkotyków
- powiada Stobel.
- I wszystko wskazuje na to, że ofiara, Brittany Hali, знаła go tak samo, jak pozostałych policjantów?
- Sprzeciw. Nakłanianie do snucia przypuszczeń tylko dlatego, że jego nazwisko figuruje w notesie z telefonami - mówi Kline.

240

- Sprzeciw podtrzymany. Proszę inaczej sformułować pytanie — powiada Radovich.
- Czy to prawda, że nazwisko zabitego policjanta, Zacka Wileya, znajduje się w należącym do ofiary notesie z telefonami zapisane jej własną ręką.
- Tak.
- Tak więc, czyż nie należałoby przypuszczać, że wszyscy ci policjanci znali się nawzajem, skoro pracowali razem w obyczajówce?
- Tak mi się wydaje - powiada.
- A ofiara, Brittany Hali, znała ich zapewne ze swoich kontaktów z obyczajówką, gdzie od czasu do czasu wykonywała różne nietypowe zadania?
- Tak.
- Wie pan, czy spotykała się z któryms z nich prywatnie?
- Nie wiem.
- Nie pytał pan ich o to w trakcie śledztwa?
- Nie.
- Dlaczego nie? Czy taka informacja nie miałaby istotnego znaczenia dla śledztwa?
- Niekoniecznie.

- Nie sądzi pan, że Brittany Hali mogła zostać zamordowana przez zazdrosnego kochanka?
- Nic za tym nie przemawiało - powiada.
- Skąd może pan o tym wiedzieć, jeżeli pan nawet nie zapytał?
- Nie widzieliśmy żadnego powodu, żeby pytać - powiada.
- Więc nadal nie wie pan, czy ofiara spotykała się z którymś z policjantów figurującym w tym notesie?
- Nie.
- Czy gdyby wiedział pan, iż ofiara spotykała się z jednym z tych mężczyzn, uznałby pan tę informację za istotną?
- Sprzeciw. Dotyczy faktów nie przedstawionych w materiale dowodowym - mówi Kline. Chce jak najszybciej położyć kres moim dociekaniom na ten temat.
- Podtrzymuję - powiada Radovich.
- Może nam pan powiedzieć, czy w chwili obecnej prowadzone jest dochodzenie w sprawie śmierci Zacka Wileya, policjanta, którego nazwisko figuruje w tym notesiku?
- Zamierzam zgłosić sprzeciw - mówi Kline. - To nie ma żadnego związku ze sprawą.
- Chyba, że Brittany Hali wiedziała o jego śmierci coś, co pozostali woleli ukryć.

Radovich podnosi do góry rękę, znak dla mnie, żebym przestał gadać, poparty surowym spojrzeniem i kiwa na nas, byśmy podeszli do ławy. Kiedy tam docieram, czeka już na mnie z reprimendą.

16 - Sędzia

241



- Panie Madriani, byłbym wdzięczny, gdyby wstrzymał się pan ze swoim wywodem, dopóki nie ogłoszę postanowienia w sprawie sprzeciwu.

Sęk w tym, że wtedy mogą już nie mieć szansy.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie.

- Proszę tego więcej nie robić - powiada.

- Chcę, żeby Sąd poinstruował przysięgłych, by nie brali pod uwagę ostatniej wypowiedzi obrońcy - żąda Kline. - Nie ma żadnych dowodów, że ofiara miała jakąkolwiek wiedzę tego rodzaju.

Radovich spogląda w moją stronę.

- Może nam pan przedstawić jakieś dowody?

- Znała policjantów, którzy byli przy tym, jak zginaj Wiley. Ich nazwiska figurują w jej notesie.

- I co z tego? - pyta Kline. - To jeszcze nie znaczy, że coś wiedziała.

Radovich patrzy na mnie, unosząc do góry brwi. Czeka na więcej.

Kiedy nic nie nadchodzi, podtrzymuje sprzeciw.

- Nie chcę więcej słyszeć o zastrzeleniu Wileya, chyba że będzie umiał pan udowodnić, że to ma związek z naszą sprawą — oznajmia. — Czy wyraziłem się jasno?

Niechętnie kiwam głową i zostajemy odesłani na swoje miejsca.

- Sędziowie przysięgli zignorują ostatni komentarz obrońcy, jakby go nigdy nie słyszeli - powiada. - Ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka?

Naradzam się szybko z Harrym, po czym podnoszę głowę.

- Myślę, że to już wszystko.

- Może powinniśmy zrobić przerwę - mówi Radovich. I wtedy spływa na mnie olśnienie.

- Mam jeszcze jedno pytanie, Wysoki Sądzie. Jeśli można.

- Jeszcze jedno - zgadza się.
- Detektywie Stobel, czy wie pan, dlaczego morderca zabrał zwłoki panny Hali z jej mieszkania i wywiózł je na śmietnisko?
- Sądzymy, że mógł wpaść w panikę - powiada.
- W panikę?
- Pod wpływem paniki, ludzie robią różne dziwne rzeczy - wyjaśnia.
- Tak. Uciekają z miejsca zbrodni. Zostawiają dowody rzeczowe. Czasami zwierzają się przyjacielowi. Ale zazwyczaj nie zabierają ze sobą zwłok, chyba że mają do tego jakiś powód.
- Czy to jest pytanie? - upewnia się Radovich.
- Czy może to się zdarza? - pytam.

Twarcz Stobla odzwierciedla w owej chwili milion niewypowiedzianych teorii, a wszystkie zbyt nieprawdopodobne, żeby ubrać je w słowa.

- Nie wiem - mówi wreszcie.
- Dziękuję panu. - Tego się właśnie spodziewałem, ziejąca wyrwa w materiale dowodowym oskarżenia, coś, na co nie mają odpowiedzi. Jeżeli Acosta zabił Brittany Hali, to po jaką cholere przynosił jej ciało?

'~ILLV\*

21

Niepokoją mnie dwie rzeczy - mówię mu. Dwie nieobliczalne miny pływające, unoszące się na niepewnych wodach teorii obrony.

Jemy dzisiaj razem lunch, Acosta i ja, w jednym z tych pokoików w trzewiach gmachu Sądu, zarezerwowanych dla adwokatów i ich klientów. Na zewnątrz pada deszcz, krople bębnią o szybę za żelaznymi kratami i metalową siatką.

Rozłokowujemy się możliwie najwygodniej w ciasnym pomieszczeniu,

drzwi miniaturowej sali konferencyjnej wciąż jeszcze są otwarte. Armando jest w znakomitym nastroju, wywołanym przekonaniem, że po miesiącach przygotowań uczyniliśmy wreszcie pierwszy wyłom w warownej budowlu oskarżenia.

Patrzy na mnie znad swojego sandwicza - żytni chleb z wołowiną -kupionego przez moją sekretarkę w kiosku na rogu razem z pudełkiem sałatki z kartofli.

- Powinien pan spróbować - powiada. - Jest znakomita. - Mówi o sałatce, którą nabiera sobie palcem, bo plastikowa łyżeczka zawieruszyła się gdzieś w papierowej torbie z lunchem. - Miałem wrażenie, że znakomicie nam idzie - mówi. - W czym problem?

Otwieram usta, żeby mu odpowiedzieć, ale nie dopuszcza mnie do głosu i zaczyna wydawać instrukcje jednemu ze strażników, którego zna po imieniu.

- Jerry, mógłbyś przynieść mi plastikowy widelec? - prosi. - Och, i jeszcze kawę. - Acosta traktuje faceta, jakby ten miał na sobie białą kurtkę i brał pieniądze za skakanie wokół naszego stolika z przewieszoną przez ramię serwetką.

- Ma pan ochotę na kawę? - zwraca się do mnie.

- Nie, dziękuję - mówię.

243

- Tylko jedną - informuje strażnika.

Acosta spędził większą część swojego zawodowego życia w niedostępnych dla zwyczajnych śmiertelników zakamarkach gmachu Sądów. Nic dziwnego, że czuje się tu, jak u siebie w domu. Strażników

traktuje uprzejmie, lecz z góry. Wydaje im polecenia, posyła po sprawunki, woła po imieniu i nagradza za wyświadczoną przysługę wielkopańskim uśmiechem. Ku mojemu zdumieniu strażnicy zdają się akceptować ten stan rzeczy. Trudno orzec, czy godzą się na to z przyzwyczajenia, czy raczej kieruje nimi urzędniczy instynkt przetrwania, obawa, że Acosta pokona życiowy zakręt i pewnego dnia wróci do sądu w pełnym blasku dawnej chwały. Tak czy owak Jerry powraca z plastikowym widelcem, po czym dyskretnie się oddala, zamykając za sobą drzwi. Zostajemy sami.

- Więc na czym polega problem? - pyta Acosta.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego morderca zabrał ciało - mówię. - To nie ma żadnego sensu. Co innego, gdyby została zamordowana w cudzym mieszkaniu. Ale po jakiego grzyba wywiózł ciało z jej własnego domu? Przeżuwa kiwając z lekka głową częściowo nad sandwiczem, częściowo nad zagadkowym postępowaniem zabójcy. W końcu przyznaje, że to rzeczywiście bez sensu.

- Tym bardziej że nie zadał sobie trudu, żeby usunąć dowody rzeczowe poza odciskami palców - powiada. - Poza tym, przynajmniej na pierwszy rzut oka, miejsce zbrodni zdaje się być zupełnie neutralne. Na szczęście, to nie nasz problem. Niech się o to martwi oskarżenie.

Boję się tylko, że oskarżenie może znaleźć wyjaśnienie, które nam wcale nie będzie na rękę, chociaż nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, co to takiego mogłoby być. Mówię mu o tym.

- Mój przyjacielu, mnoży pan problemy ponad potrzebę - stwierdza filozoficznie. - Czy widział pan kiedy, żeby przemoc kierowała się rozsądkiem? - Acosta zdaje się przychylić do policyjnej wersji, zakładającej, że morderca działał pod wpływem paniki. - Gdyby to pan był

na miejscu zabójcy, też nie postępowałby pan logicznie.

- Na pewno nie przyszłoby mi do głowy zabierać ze sobą zwłok -mówię.

- Zapewne będą musieli wymyślić nieco bardziej przekonujące wyjaśnienie na użytek ławy przysięgłych - przyznaje. - Ale to nie nasza sprawa. - Wraca do swojej kanapki, jakby rzeczywiście niewiele go to obchodziło.

- Wspomniał pan o dwóch rzeczach. Na czym polega drugi problem? Jest pan pewien, że nie chce pan spróbować? - Wtyka widelec w sałatkę z kartofli.

Kręcę głową.

- Chodzi o notatkę z pańskim nazwiskiem. Na kalendarzu Brittany Hali - dodaję. Odwijam z papieru swojego sandwicza i kładę go na stole.

244

- Hmm. - Żuje kanapkę, musztarda ścieka mu po brodzie. Chwyta za serwetkę i wyciera podbródek, zanim żółtawa mazią dosięgnie krawata. - Muszę przyznać, że poradził pan sobie z tym po mistrzowsku. -Jeszcze jeden ruch serwetką i ostatnia plamka musztardy znika z jego podbródka. - To był znakomity pomysł, że mogła mieć spotkanie z kimś innym w sprawie zeznań przeciwko mnie. Tak właśnie musiało być -powiada.

- Podsunąłem przysięgłym alternatywną teorię - mówię. - Ale wcale nie jestem pewien, czy to najlepsza z możliwych.

Aluzja czająca się w moich słowach niby ciężka woń ściele się nad stołem, zabijając nawet ostry zapach koprowego sosu w jego kanapce. Acosta przestaje żuć, rzuca mi spojrzenie spod uniesionych do góry brwi.

- Sugeruje pan, że nie byłem do końca szczery? - mówi. - Że coś przed panem ukrywam?

- Po prostu wolałbym uniknąć niespodzianek. Podnosi do góry otwartą dłoń.

- Przysięgam na grób matki, że nie byłem w mieszkaniu Brittany Hali ani po południu, ani wieczorem tamtego dnia, ani w ogóle kiedykolwiek. Nigdy w życiu nie przekroczyłem jej progu - powiada, kładąc rękę na sercu.

- W takim razie, co pan sądzi o tej notatce? - pytam.

- To samo, co pan - odpowiada. - Prawdopodobnie zapisała sobie dla pamięci, że ma się z kimś spotkać w mojej sprawie. Nie widzę w tym nic dziwnego - mówi. - Prokuratura na pewno chciała to z nią omówić. W końcu byłem nie byle kim. To prawda, że chodziło o zwykłe wykroczenie, ale nie mniej sprawa miała spory oddźwięk polityczny. Policja zapewne wolała się upewnić, że panienka dobrze zna swoją kwestię. Wystarczy spojrzeć, co się teraz tutaj wyprawia. - Dla podkreślenia swoich słów uderza otwartą dłoń w stół.

Kiedy nie odpowiadam, odkłada sandwicza na papier i ciągnie dalej.

- Niech pan nie zapomina, że zostałem wrobiony - mówi. Pewnie się bali, że panienka zapłacze się w zeznaniach i jeszcze, nie daj Boże, wyrwie jej się jakieś słówko prawdy. Ładnie by wyglądali, gdyby zaczęła sama sobie przeczyć. Nie dość, że tyle zachodu na nic, to jeszcze mieliby kłopoty z Wydziałem Wewnętrznym.

- Ale dlaczego notatka zawierała tylko pańskie nazwisko? - pytam.

- Może miała zwyczaj zapisywania swoich planów w niezrozumiały dla innych sposób? Kto to może wiedzieć? - odpowiada.

Faktycznie rzecz biorąc, sprawdziłem zapis pod datą, kiedy Brittany Hali była umówiona z Leonorą w biurze prokuratora okręgowego -jedyne

spotkanie w sprawie Acosty, o którym wiem. Znalazłem to, czego szukałem. Notatka zawierała nazwisko Kline'a i godzinę, na którą było wyznaczone spotkanie. Natrafiłem też na parę podobnych zapisów, nieodmiennie wymieniających z nazwiska osobę, z którą była umówiona, 245

w tym dwóch gliniarzy z obyczajówki, prowadzących śledztwo w sprawie Acosty. Pozostaje mi tylko dziękować Bogu, że Kline nie wpadł na to samo i nie przerwał mojego wyводу jedną celną uwagą pod adresem ławy przysięgłych. To wszystko jednak nie wyjaśnia, dlaczego Brittany Hali zapisała w kalendarzu nazwisko Acosty pod dniem, w którym później została zamordowana.

W języku potocznym nazywamy to „pośmiertnym rżeniem”. Jest to jedno z tych określeń, które poprzez częste używanie wydaje się określeniem symbolicznym. Wielu ludzi nie zdaje sobie jednak sprawy, iż odnosi się ono do rzeczywistego fenomenu biologicznego. Eksperci od medycyny sądowej twierdzą, że rżenie pośmiertne jest efektem odruchowego skurczu strun głosowych, wywołanego przez podwyższony poziom kwasu we krwi po śmierci. Sam dźwięk bywa najczęściej opisywany jako głośnie warknięcie albo chrapliwy kaszel, wydawany przez ofiarę w jakiś czas po zgonie.

Dzisiejszego dnia zajmujemy się właśnie określeniem czasu pośmiertnego rżenia Brittany Hali.

Na podium dla świadków znajduje się okręgowy koroner, doktor Simon Angelo. Jest to mężczyzna po czterdziestce, drobnej budowy i całkiem łyśy, jeśli nie liczyć wianuszka krótko przystrzyżonych włosów otaczającego jego czaszkę. Ma wąską, kanciastą twarz o ostrych rysach, w

której wyróżnia się rozdwojony podbródek i niezwykle głęboko osadzone oczy. Wszyscy obrońcy w tym mieście określają go jako lekarza-diabła. Właśnie skończył umacniać teorię prokuratury. Jego wywody mają za zadanie wyjaśnić, jakim cudem sąsiadka Brittany Hali usłyszała pojedynczy wrzask pomiędzy siódmą trzydzieści i ósmą wieczorem, w dniu popełnienia zabójstwa. Kline sporo się namęczył, zanim udało mu się rozwiązać problem zbyt wielkiego odstępu w czasie pomiędzy domniemanym spotkaniem z Acostą o czwartej trzydzieści a krzykiem wydanym przez ofiarę co najmniej trzy godziny później. Angelo poszedł Kline'owi na rękę na całej linii, likwidując pozorną sprzeczność w przedstawionym przez oskarżenie następstwie zdarzeń. Zaproponowane przez niego wyjaśnienie olśniewa swoją prostotą: spóźniony wrzask był pojedynczym, donośnym rżeniem, wydanym przez pannę Hali w parę godzin po śmierci.

- A więc, doktorze Angelo, zgodnie z pańską wiedzą medyczną -powiada Kline - podwyższenie zawartości kwasów we krwi do poziomu niezbędnego do wydania przez denata pośmiertnego rżenia, jak to pan nazywa, może zająć sporo czasu?

- To możliwe - mówi Angelo. - Czas trwania procesu zależy od wielu czynników.

- Ale nie wyklucza pan, że może to potrwać nawet do trzech godzin?

246

- Powiedziałbym, do dwóch.

- Zatem, jeżeli przyjmiemy, że morderca zjawił się w mieszkaniu ofiary około czwartej trzydzieści po południu, po czym przez godzinę



rozmawiali, czy też sprzeczekali się i gdzieś około piątej trzydzieści zaczęła się szarpanina, w wyniku której ofiara otrzymała śmiertelne obrażenia, jest całkiem możliwe, że pośmiertne rżenie zostało usłyszane dopiero po siódmej trzydzieści wieczorem?

- Owszem.

Następnie uwaga Kline'a zwraca się ku czasowi zgonu, który, zdaniem Angelo, można ustalić tylko w dużym przybliżeniu.

- Jak dużym? - pyta Kline.

- W najlepszym wypadku - powiada Angelo - mogę powiedzieć, że śmierć nastąpiła po trzeciej trzydzieści po południu, ale przed dziewiątą trzydzieści wieczorem.

- I nie jest pan w stanie bardziej tego sprecyzować?

- Nie. Niestety, w tym czasie ofiara nie kontaktowała się z żadną osobą oprócz mordercy, trudno więc określić dokładniejsze ramy czasowe.

Jak się okazuje, dla małej Kimberly czas jest pojęciem pozbawionym wszelkiego znaczenia. Fakt, że nie potrafiła pomóc prokuraturze nawet w ustaleniu przybliżonego czasu dramatu, jaki rozegrał się w jej domu, świadczy tylko o tym, jak mało zdołali z niej wydobyć.

Dyskutują o naukowych metodach, o stopniu wilgotności gałki ocznej, pośmiertnych pomiarach temperatury wątroby, badaniu zawartości żołądka. Wszystko to jest bardzo pomocne w ustaleniu czasu zgonu, ale niestety nie potrafią dać nam jednoznacznej odpowiedzi.

- Okoliczności znalezienia ciała - fakt, że zwłoki były wystawione na działanie czynników atmosferycznych oraz że w ciągu pierwszych godzin trwania śledztwa nie przeprowadzono niezbędnych badań - dodatkowo utrudniają dokładne sprecyzowanie czasu śmierci - mówi doktor.

Teraz przechodzą do głównej części występu Angelo, a mianowicie do przedstawienia fotografii zrobionych na miejscu zbrodni i podczas sekcji zwłok. Większość spośród dwudziestu trzech zdjęć, wybranych z zestawu liczącego pierwotnie ponad siedemdziesiąt sztuk, zapewne solidnie wstrząśnie członkami ławy przysięgłych, co, jak należy przypuszczać, bynajmniej nie ułatwi nam zadania. Przez dwa dni targowaliśmy się za zamkniętymi drzwiami o to, co zobaczą, a czego nie zobaczą sędziowie przysięgli. Jedyne zwycięstwo, jakie udało mi się odnieść, dotyczyło powtarzających się ujęć, które i tak nie wniosłyby niczego nowego.

- Doktorze Angelo, chciałbym poprosić pana o zidentyfikowanie pewnej fotografii. - Kline przygotował ponumerowane zestawy zdjęć; jeden otrzymał Radovich, drugi znalazł się na naszym stole. Zdjęcia z trzeciego kompletu zostały rozmieszczone w trzech rzędach na tablicy ustawionej przed ławą przysięgłych. Każde z nich przykrywa kartka papieru, która zostanie zdjęta po wprowadzeniu fotografii do materiału dowodowego.

247

Angelo pobieżnie studiuje otrzymaną z rąk Kline'a odbitkę.

- Tak, ta fotografia została wykonana na moje polecenie wewnątrz kontenera na śmiecie, gdzie morderca porzucił ciało. Ilustruje pozycję zwłok w momencie znalezienia.

Zdjęcie przedstawia pozbawione życia ciało Brittany Hali, korpus i członki poskręcane nienaturalnie, wplecione w odrażającą konfigurację ze stosami śmieci. Dziewczyna leży na boku, wygięta w pasie niby szmaciana laleczka tak, że zarówno jej twarz, jaki pośladki, są zwrócone w stronę kamery. Jedno biodro sterczy do góry podparte plastikową torbą ze śmieciami. Tu i ówdzie spod koca spowijającego zwłoki wystają

fragmenty nagiego ciała.

Kline przechodzi do następnego zdjęcia. Tym razem koc został odwinięty, odsłaniając całe ciało, jeśli nie liczyć owiniętej ręcznikiem głowy. Tak, jak poprzednio, Kline prosi Angelo o zidentyfikowanie fotografii. Owa niezbyt miła procedura wypełnia nam ponad godzinę. Dwukrotnie Radovich czuje się zmuszony zarządzić krótką przerwę, nie wszyscy bowiem sędziowie przysięgli dobrze to znoszą. Obrazek z sekcji zwłok, przedstawiający otwartą czaszkę powoduje, że jeden z nich przewiesza się przez barierkę ławy przysięgłych, jakby zaraz miał zwymiotować.

Kiedy Kline wreszcie kończy, ci spośród przysięgłych, którzy nie trzymają się akurat za żołądki, rzucają surowe spojrzenia w naszą stronę. Acosta nie jest już ani w połowie tak radosny, jak w porze lunchu: naturalne wzloty i upadki podczas procesu.

- Doktorze, czy badał pan obrażenia głowy odniesione przez ofiarę?

- Tak.

- Czy zdołał pan na podstawie tych badań ustalić przyczynę śmierci?

Angelo posługuje się zestawem wielowarstwowych plansz, przedstawiających schematyczny rysunek ludzkiej czaszki; po odsłonięciu górnego arkusza ukazują się szkice poszczególnych części mózgu.

- Moim zdaniem, śmierć nastąpiła na skutek wielokrotnego miażdżenia przedniej partii czaszki, co spowodowało poważne pęknięcie kości w tym miejscu - mówi pokazując część głowy potocznie nazywaną czołem, tuż nad lewym okiem.

- Powstało rozległe pęknięcie o długości sześćdziesięciu pięciu milimetrów, biegnące od lewego oczodołu do miejsca tuż nad linią włosów, mniej więcej w jednej linii z nosem. - Wskazuje punkt na

rysunku, w górnej części czoła.

- Fragmenty kości, niektóre z nich bardzo ostre, zostały wciśnięte w tkankę przedniego płata mózgu, a wielokrotnie powtarzające się uderzenia spowodowały rozległe obrażenia miażdżone. Wystąpił obfity krwotok oraz utrata znacznej ilości płynu mózgowego, w dalszej kolejności - obrzęk całego mózgu i wreszcie zgon.

- A więc śmierć nie była natychmiastowa?

- Moim zdaniem, nie. Trzeba jednak dodać, że ofiara straciła przytomność w wyniku pierwszego ciosu, który spowodował pęknięcie czaszki.

248

- W jaki sposób zdołał pan ustalić, że śmierć nie nastąpiła natychmiast?

- Pobrałem wycinki tkanki kory mózgowej, czyli zewnętrznej warstwy mózgu. Badanie mikroskopowe wykryło ślady zmian krwotocznych tkanki w pobliżu rany. Zmiany świadczą o tym, że po zadaniu rany wystąpił krwotok.

- I na tej podstawie twierdzi pan, że ofiara żyła jeszcze choćby przez krótki czas, po odniesieniu ran?

- Zgadza się. Gdyby praca serca ustała bezpośrednio po zadaniu rany, natychmiast ustałoby krążenie krwi i, co za tym idzie, w tkance kory mózgowej nie mogłyby wystąpić żadne zmiany krwotoczne.

- Doktorze, czy miał pan okazję obejrzeć mieszkanie ofiary?

- Tak.

- Czy ma pan jakąś teorię na temat przedmiotu, czy też przedmiotów, którymi zostały zadane owe śmiertelne w skutkach obrażenia?

- Oględziny mieszkania ofiary, a zwłaszcza salonu, pozwoliły mi to ustalić z całkowitą pewnością. Obrażenia, w wyniku których ofiara poniosła

śmierć, zostały spowodowane w wyniku wielokrotnych uderzeń głową o ostry kant metalowego stolika do kawy.

Na polecenie Kline'a dwaj woźni sądowi wnoszą do sali stół z mieszkania Brittany Hali i ustawiają nieopodal podium dla świadków, tak żeby Angelo mógł dokonać identyfikacji. Rzeczony mebel jest wykonany z kutego żelaza, pokrytego zielonkawą patyną, wygięte do góry rogi zdobi ornament w kształcie ostro zakończonych liści. Szklany blat, zdjęty z metalowej ramy dla ułatwienia transportu, zostaje wniesiony osobno. Kline prosi specja od medycyny sądowej, żeby zademonstrował ławie przysięgłych, w jaki sposób morderca zadał rany. W tym celu prokurator wezwał jedną ze swoich współpracownic, zdumiewająco przypominającą zarówno sylwetką, jak i kolorem włosów Brittany Hali.

Bez wątpienia to przedstawienie na użytek sędziów przysięgłych poprzedziły liczne próby, kobieta bowiem bez żadnych dodatkowych wyjaśnień zajmuje właściwą pozycję względem stolika. Wszystkie ruchy są dokładnie wyreżyserowane.

- Zabójca zaszedł ofiarę od tyłu, w ten sposób - demonstruje Angelo. - Położył ręce na jej szyi tak, jak ja to robię. - Kładzie oba kciuki na karku asystentki Kline'a i otacza jej szyję palcami, których czubki stykają się z przodu na grdyce.

- Stwierdziliśmy siniaki na szyi ofiary odpowiadające takiemu właśnie ułożeniu palców - powiada Angelo.

- Zanim przejdziemy dalej - draży go Kline - chciałbym pana zapytać, doktorze, czy zauważył pan jakieś szczególne otarcie po lewej stronie szyi ofiary, w obrębie owych siniaków, pozostawionych przez zaciśnięte palce mordercy?

- Tak.

249

- Co, w pana opinii, mogło spowodować takie otarcie?

- Zarówno umiejscowienie na szyi ofiary, jak i rodzaj otarcia wskazują jednoznacznie na to, że powstało ono przed zgonem, równocześnie z pozostałymi siniakami - tłumaczy Angelo. - Moim zdaniem, otarcie zostało spowodowane pierścionkiem, czy też obrączką, noszoną przez zabójcę na trzecim palcu - mówi. - Tutaj. - Podnosi do góry palec serdeczny lewej dłoni.

Wniosek nasuwa się sam. Morderca jest żonatym mężczyzną.

Kątem oka dostrzegam ruch, który napawa mnie grozą. Nie zastanowiwszy się Acosta wsuwa rękę pod stół. Jest to absolutnie niewinny gest, całkowicie mimowolny odruch, jak ziewanie. Ale gdy podniosłem oczy do góry, stwierdziłem, że przynajmniej pięciu członków ławy przysięgłych - a liczę tylko tych, którzy siedzą z rozdziawionymi gębami - zauważyło ten ruch. Takie właśnie subtelne drobiazgi potrafią w czasie procesu sądowego poczynić znacznie większe szkody niż najbardziej obciążające dowody rzeczowe.

- Może pan kontynuować demonstrację - powiada Kline.

Angelo poleca swojej asystentce, żeby zajęła pozycję na kolanach. Jej głowa znajduje się teraz najwyżej dwadzieścia centymetrów od narożnika stolika.

Wszystkie oczy wpatrzone są w scenę rozgrywającą się pośrodku sali rozpraw.

- Przypuszczamy, że kiedy ofiara została pchnięta od tyłu na podłogę, upadła obok stolika, mniej więcej w takiej pozycji - objaśnia Angelo. - Jej

głowa znalazła się w pobliżu ostrego narożnika mebla. Tutaj - pokazuje palcem. - Następnie, zabójca przeciągnął ją odrobinę bliżej stolika.

Stwierdziłmy otarcia na kolanach, mogące być efektem wleczenia po dywanie. Teraz zabójca zaczął uderzać jej głową o ostry kant stolika. - Angelo naśladuje ciosy, za każdym razem zatrzymując się jednak, zanim głowa jego asystentki zetknie się z żelaznym okuciem mebla. Oglądana scena przywodzi mi na myśl obrazki z Mórz Południowych, przedstawiające tubylców rozbijających orzechy kokosowe o ostry kołek, wbity w piasek na plaży. Sędziowie przysięgli pozostają jednak obojętni na elementy komiczne demonstracji, przeciwnie, w ławie przysięgłych panuje nastrój śmiertelnej powagi. Parę osób robi notatki.

- Dziękuję panu - powiada Kline. Angelo wraca na podium dla świadków.

- Doktorze, czy opierając się na swojej wiedzy medycznej, potrafi pan powiedzieć, ile razy zabójca uderzył głową ofiary o kant stołu, tak jak nam to pan przed chwilą zademonstrował?

- W oparciu o wyniki sekcji zwłok oraz rozpryski krwi w miejscu zbrodni, przypuszczam, że osiem do dziesięciu razy.

- Czy mógłby nam pan wyjaśnić, co rozumie przez rozpryski krwi?

- Krew wydobywająca się z rany pozostawia pewien określony wzór na ścianie albo suficie. Zazwyczaj przybiera on kształt łuku. W normalnym

250

przypadku narzędzie zbrodni, niech to będzie metalowa rurka czy inny tępy przedmiot, zbiera tryskającą z rany krew i kiedy morderca cofa swoją broń do tyłu, żeby wziąć następny zamach, krew pryska, powiedzmy, na sufit. Badając kąty powstałych w ten sposób łuków oraz ich liczbę, możemy ustalić liczbę zadanych ciosów, ich siłę, a także pozycję napastnika w

momencie zadawania poszczególnych ciosów.

- I to wszystko potrafi pan wyczytać z rozprysków krwi pozostawionych w mieszkaniu Brittany Hali?

- Tak. Stwierdziliśmy tam wyraźny wzór powtarzających się łuków, w tym wypadku rzuconych nie przez narzędzie zbrodni, lecz przez głowę ofiary, którą zabójca uderzał o kant stolika. Powstałe w ten sposób ślady znajdowały się na ścianie salonu i na części dywanu, w pobliżu rzuconego stolika.

- Tak więc, pana zdaniem, nie może być mowy o przypadkowym upadku, w wyniku którego ofiara uderzyła się w głowę?

- Absolutnie nie.

Doktor Angelo uzupełnia swoją wypowiedź dodając, iż, jego zdaniem, morderca musiał być praworęczny, wyniki sekcji zwłok wskazują bowiem, iż uderzając głową ofiary o stół, przykładał więcej siły z prawej strony.

- Czy może nam pan powiedzieć, panie doktorze, ile czasu mogło zająć zadawanie ran, jakie otrzymała ofiara, od pierwszego uderzenia po ostatnie?

- To kwestia sekund. Na pewno nie więcej niż minutę.

- Tak więc, pana zdaniem, to wszystko odbyło się bardzo szybko? -Tak.

- Czy opisana przez pana kolejność zdarzeń, wyjaśniająca przyczyny zgonu, pokrywa się z teorią mówiącą, iż ofiara została zaatakowana przez zaskoczenie?

-Tak.

- Czy nie wynika z tego, że napastnik był większy i silniejszy od ofiary?

- Moim zdaniem, tak.

Nie mamy żadnych zastrzeżeń, co do zrekonstruowanego przez oskarżenie



przebiegu wydarzeń, które doprowadziły bezpośrednio do śmierci Brittany Hali. Zaangażowani przez nas eksperci potwierdzili scenariusz zaproponowany przez doktora Angelo. Badania laboratoryjne wykazały obecność płynu mózgowego na szklanym blacie stolika do kawy. Okoliczność, iż Brittany Hali została zaatakowana od tyłu, można wytłumaczyć na dwa sposoby. Według pierwszej teorii, została zaskoczona przez zabójcę, którego się nie spodziewała. Jednak według drugiej, bardziej prawdopodobnej, mogła powiedzieć coś, co rozwścieczyło mordercę, który w ataku furii rzucił się na odwróconą do niego tyłem dziewczynę. Biegły psycholog, przesłuchiwany przez oskarżenie we wcześniejszym stadium procesu, stwierdził, iż okoliczności popełnionej zbrodni wskazują, że zabójca działał pod wpływem silnych emocji. Jest to naturalnie woda

251

na młyn oskarżenia, według którego Acosta zaatakował Brittany Hali, kiedy ta odmówiła wycofania obciążających go zeznań.

Szybko przechodzą do porządku dziennego nad kwestią ewentualnego gwałtu. Kline stwierdza, że w okolicy narządów rodnych ofiary ani na jej bieliźnie nie znaleziono śladów spermy. Nie stwierdzono również żadnych obrażeń, wskazujących na gwałt. Następnie Kline przechodzi do ostatniego zagadnienia, jakie zamierza omówić ze świadkiem.

- Proszę nam powiedzieć - zaczyna - czy podczas sekcji zwłok stwierdził pan jakieś obrażenia, które wydały się panu niezwykle, lub mogłyby mieć dla śledztwa jakieś szczególne znaczenie?

- Owszem, było coś takiego - powiada Angelo. - W jednej ze stóp denatki tkwił niewielki odprysk szkła.

- Ofiara była bosa, kiedy doznała obrażeń, na skutek których poniosła śmierć? - pyta Kline.
  - Na to wygląda.
  - Czy udało się panu ustalić, skąd pochodził ów odprysk szkła?
  - Tak. Był to fragment soczewki optycznej męskich okularów, znalezionych na miejscu zbrodni. Rzeczony fragment pasuje idealnie do pękniętego szkła.
  - Czy potrafi nam pan powiedzieć, w jaki sposób fragment szkła z okularów znalazł się w stopie ofiary?
  - Moim zdaniem, denatka musiała nastąpić na okulary podczas szarpaniny z zabójcą, powodując w ten sposób złamanie oprawki i pęknięcie szkła, którego fragment utkwiał w jej stopie.
  - Nie mam na razie więcej pytań do świadka - oznajmia Kline. Pierwsze starcie pomiędzy mną i Angelo dotyczy stłuczonych okularów, znalezionych w miejscu zbrodni.
- Harry i Acosta rozmawiają szeptem przy stole obrony. Zachodzi obawa, że prokuratura nie powiedziała nam wszystkiego, co wie na temat okularów. Zaczynam tam, gdzie Kline skończył, wracając do choreografii zdarzeń, którą Angelo przed chwilą zademonstrował przy udziale swojej asystentki. Pytam go, jak to możliwe, że okulary zabójcy znalazły się pod bosą stopą Brittany Hali, skoro dziewczyna została zaatakowana od tyłu i pchnięta do przodu.
- Nie bardzo wie, co na to odpowiedzieć, wykręca się więc, mówiąc, iż nigdy nie twierdził, że okulary należały do zabójcy. To nie jest to, co Kline chciałby usłyszeć z jego ust. Zostawiam ten temat i przechodzę dalej.
- Doktorze Angelo, czy nie jest tak, że nie wszyscy zmarli wydają

pośmiertne rzeżenie?

- To prawda - przyznaje Angelo.
- Czy istnieje jakiś test, który pozwala stwierdzić, czy denat wydał po śmierci ów dźwięk, będący efektem odruchowego skurczu strun głosowych?

252

- Nie.
- A więc nie jest pan w stanie stwierdzić z całkowitą pewnością, że Brittany Hali wydała pośmiertne rzeżenie po siódmej trzydzięci wieczorem lub o jakiegokolwiek innej porze?
- Nie z całkowitą pewnością — powiada.
- A więc nie wie pan, czy było tak czy też nie?
- Nie wiem. - Krzywi się z niechęcią.
- Czy nie jest możliwe, że hałas usłyszany przez sąsiadkę około siódmej trzydzięci był w rzeczywistości wołaniem o pomoc zaatakowanej przez zabójcę Brittany Hali?
- Zgłaszam sprzeciw. Nakłanianie świadka do spekulacji - mówi Kline.
- Podtrzymuję sprzeciw.
- Ale nie może pan powiedzieć nam z całą pewnością, że to było pośmiertne rzeżenie?
- Nie mogę tego stwierdzić na pewno.
- Panie doktorze, przed chwilą mówił pan o odniesionych przez ofiarę obrażeniach, a zwłaszcza o pierwszej ranie, która, pana zdaniem, spowodowała utratę przytomności. Czy to się zgadza?
- Owszem.

- Czy nie wydaje się panu możliwe, panie doktorze, że zważywszy, iż ofiara została zaatakowana od tyłu i od razu po pierwszym ciosie straciła przytomność, napastnik wcale nie musiał mieć nad nią dużej przewagi fizycznej?

Rzuca mi niewyraźne spojrzenie, jakby nie bardzo rozumiał, o czym mówię.

- Czy nie jest możliwe, panie doktorze, biorąc pod uwagę element zaskoczenia, iż zabójca mógł być kobietą? - Mówiąc to patrzę nie na świadka, lecz na Acostę, który nagle podnosi wzrok do góry, jego oczy napotykają moje. Sprawia wrażenie kompletnie zaskoczonego.

- Owszem, nie możemy tego wykluczyć. Przechodzę dalej.

- Czy, pana zdaniem, ofiara mogła odzyskać przytomność, którą straciła po otrzymaniu pierwszego uderzenia?

- Nie.

- Dlaczego tak pan sądzi?

- Nie pozwalało na to poważne uszkodzenie płata czołowego mózgu powstałe na skutek wielokrotnego pęknięcia kości czołowej. Tego rodzaju obrażenia musiały wywołać silny wstrząs mózgu i natychmiastową utratę przytomności.

Próbuję się wtrącić, ale Angelo jeszcze nie skończył. Skoro sam stworzyłem mu taką okazję, zamierza ją w pełni wykorzystać.

- Utrata znacznej ilości płynu mózgowego i obfity krwotok z rany spowodowały szok krążeniowy, to znaczy nagłe obniżenie ciśnienia krwi.

253

Nie, ofiara nie mogła odzyskać przytomności bez natychmiastowej intensywnej pomocy medycznej, a i to nie jestem pewien, czy dałoby się

coś zrobić, ponieważ nastąpiło rozległe, trwałe uszkodzenie mózgu.

- Skończył pan?

Obdarza mnie uprzejmym uśmiechem, równocześnie usiłując sobie przypomnieć jeszcze jakiś ważny szczegół.

- Rozumiem więc, że, pana zdaniem, jest wykluczone, żeby ofiara krzyczała po otrzymaniu pierwszego ciosu w głowę?

- Mogła wydać jedynie rżenie pośmiertne - powiada.

- Czego, jak pan sam przyznał, nie da się udowodnić. Wydobywa z siebie niechętny pomruk, oznaczający potwierdzenie.

- Panie doktorze, czy możemy wykluczyć, że ofiara krzyknęła w momencie, kiedy została zaatakowana od tyłu, na krótką chwilę przed otrzymaniem pierwszego ciosu w głowę?

- Sprzeciw. Nakłanianie świadka do snucia przypuszczeń - mówi Kline.

- Wysoki Sądzie, nie pytam, czy ofiara krzyknęła czy nie, lecz chcę się tylko dowiedzieć, czy wiedza medyczna, jaką dysponuje świadek, pozwala wykluczyć taką możliwość.

- Sprzeciw uchylony.

- Może pan odpowiedzieć na moje pytanie —mówię doktorowi Angelo.

Wolałby raczej tego nie robić.

- Zabójca trzymał ofiarę za gardło.

- Czy przeprowadzając sekcję zwłok, stwierdził pan uszkodzenie krtani? -

Odpowiedź znam z góry, sprawdziłem w raporcie z Instytutu Medycyny Sądowej.

- Nie.

- Czy ofiara odniosła jakiegokolwiek obrażenia narządów głosu, które uniemożliwiłyby jej wydanie krzyku w owym krótkim momencie przed

odniesieniem rany głowy?

- Nie.

- A więc z punktu widzenia wiedzy medycznej nie możemy wykluczyć, że dźwięk, usłyszany przez sąsiadkę po godzinie siódmej trzydzieści był krzykiem ofiary niespodziewanie zaatakowanej od tyłu przez zabójcę? Angelo rzuca przelotne spojrzenie w stronę Kline'a.

- Z punktu widzenia medycyny, jest to możliwe - powiada.

Tak to już właśnie bywa z dowodami pośrednimi, z reguły dają się interpretować na więcej niż jeden sposób.

- Zeznał pan wcześniej, że ofiara obficie krwawiła. Zgadza się?

- Tak. - Angelo wrócił do jednowyrazowych odpowiedzi.

- Widział pan mieszkanie ofiary, prawda?

- Tak. -

- Na dywanie byfi^nnóstwo krwi?

- Tak.

254

- Wspomniał pan również o śladach krwi na ścianie.

- Tak.

- Cóż, biorąc pod uwagę spore ilości krwi, znalezione w miejscu zbrodni, czy nie należałoby się spodziewać śladów krwi również w samochodzie, którym morderca przewiózł zwłoki?

- Niekoniecznie - powiada Angelo. - Krew przestaje płynąć z chwilą, gdy ustaje praca serca. Poza tym, ciało zostało owinięte w koc.

Uśmiecha się do mnie. Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie będę miał wielkiego pożytku z jego odpowiedzi. Gliny nie znalazły żadnych śladów krwi w służbowym samochodzie Acosty.

- Ale koc był poplamiony krwią?
- Owszem, było na nim trochę krwi
- Obejrzał pan dokładnie ten koc, prawda, doktorze? -Tak.
- Proszę nam powiedzieć, czy znalazł pan ślady krwi po obu stronach koca?

Musi zajrzeć do swoich zapisków. Gdy przegląda notatki, znajduję potrzebne mi zdjęcie, przedstawiające obie strony koca.

- Doktorze, oto dowód numer trzydzieści jeden z zestawu przygotowanego przez oskarżenie - pokazuję mu fotografię. - Czy na tym zdjęciu nie widać wyraźnie, że ślady krwi znajdowały się na obu stronach koca, zarówno na tej, która stykała się z ciałem Brittany Hali, jak i na zewnętrznej?

Poprawia okulary, przygląda się trzymanej przeze mnie fotografii.

- Na to wygląda - powiada wreszcie.
- Czy nie świadczy to o tym, że krew z rany na głowie ofiary musiała przesiąknąć przez koc?
- Niekoniecznie - mówi. - Krew na zewnętrznej stronie koca mogła zostać przeniesiona tam z dywanu, na którym pierwotnie leżały zwłoki.
- Czy twierdzi pan, że tak właśnie było?
- Dokładnie obejrzałem dywan i jestem przekonany, że to właśnie miało miejsce. Koc nie był przesiąknięty krwią. Poza tym ślady krwi na zewnętrznej stronie koca tworzą wzór przypominający miniaturowe pociągnięcia szczoteczką do zębów - powiada. - Jestem przekonany, że wzór ten powstał na skutek kontaktu koca z przesiąkniętymi krwią włóknami dywanu.
- Niemniej, skoro krew znajdowała się również na zewnętrznej stronie

koca, czy nie należałoby oczekiwać, że chociaż drobna jej ilość zostanie przeniesiona do samochodu, którym morderca wywiózł ciało?

- I znowu, niekoniecznie - stwierdza Angelo.

Przypomina mi psa, który dorwał się do kości i nie daje jej sobie odebrać, chociaż dawno już nie ma na niej nawet skrawka mięsa. Wie doskonale, że gliny nie zdołają wyjaśnić sędziom przysięgłym braku śladów krwi w samochodzie Acosty. Nieprędko zapomną zdjęcia przedstawiające krwawą jatkę w mieszkaniu Brittany Hali.

255

- Niewykluczone, że krew na zewnętrznej stronie koca zdążyła wyschnąć, zanim zabójca umieścił ciało w samochodzie. Zwłaszcza, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że została przeniesiona na koc z dywanu i pokrywała tkaninę jedynie cieniutką warstewką. W takim wypadku mogła wyschnąć bardzo szybko.

- Jak szybko?

- To zależy od wielu czynników. Duża kałuża krwi potrzebuje do całkowitego wyschnięcia około dwudziestu czterech godzin. Ale cieniutka warstewka krwi przeniesionej z innej powierzchni mogła wyschnąć w ciągu paru minut. To zależy również od warunków otoczenia.

- Jednak kałuża krwi, taka jak na dywanie, będzie schła dużo dłużej?

- Tak.

- W takim razie, czy może mi pan wytłumaczyć, jakim cudem mordercy udało się owinać ciało ofiary i przeciągnąć owinięte kocem zwłoki poprzez kałużę krwi, tak jak nam pan to przed chwilą opisał, nie wdeptując w krew?



Jego oczy mówią mi, iż dostrzega wagę problemu. Jeżeli Acosta owinął zwłoki w koc, włączając przy tym w kałużę krwi, dlaczego nie doniósł jej na butach do swojego samochodu?

- Być może, krew na butach zdążyła wyschnąć, zanim morderca opuścił mieszkanie.

- Więc, pańskim zdaniem, zabójca pozostawał w miejscu zbrodni, dopóki nie wyschła krew na kocu i jego butach?

- To jedno z możliwych wyjaśnień. - Widzę po jego twarzy, iż z takiego wniosku nie jest zadowolony.

- Czy może pan wyjaśnić sędziom przysięgłym, dlaczego, pańskim zdaniem, morderca usunął zwłoki?

Przez chwilę siedzi w milczeniu, nie próbując odpowiedzieć. Wygląda na to, że nie był przygotowany na takie pytanie. Po raz pierwszy widzę na jego twarzy wyraz zaskoczenia.

- Nie ma pan żadnej teorii na ten temat, doktorze?

Kline próbuje ratować go zgłaszając sprzeciw pod pretekstem, że moje pytanie wykracza poza dziedzinę wiedzy, w której specjalizuje się Angelo. Radovich odrzuca sprzeciw stwierdzając, iż świadek i tak już przekroczył swoje kompetencje usiłując zrekonstruować poczynania zabójcy ze zwłokami Brittany Hali.

- Może pan odpowiedzieć na moje pytanie, doktorze - mówię. - Jak pan sądzi, dlaczego morderca zabrał ze sobą ciało?

- Nie jestem pewien.

- Więc nie potrafi pan zaproponować żadnego wyjaśnienia? - Mówię to takim tonem, jakbym nie posiadał się z oburzenia.

Angelo posyła mi mordercze spojrzenie spod przymrużonych powiek.

- Nic panu nie przychodzi do głowy? - powtarzam.

256

!

Postawiony wobec wyboru pomiędzy całkowitym brakiem wyjaśnienia a wyjaśnieniem nie mającym żadnego sensu, Angelo podejmuje błędną decyzję.

- Być może, zabójca wpadł w panikę - pada dyżurna odpowiedź.

Ledwo słowo „panika” opuszcza jego usta, widzę, że oddałby wszystko, żeby wcisnąć je tam z powrotem. Dwóch przysięgłych ledwo powstrzymuje się od śmiechu. Mimo woli Angelo naszkicował komiczny obrazek: morderca w panice podczas usuwania ciała stoi sobie spokojnie pośrodku pokoju ociekającego krwią i czeka cierpliwie, aż wyschną krwawe plamy na kocu i krew na podeszwach jego butów.

17 - Sędzia

22

Zanurzamy się w słodkie dźwięki skrzypiec. Kwartet smyczkowy, ulokowany na balkonie ponad naszymi głowami gra Dworzaka.

Leonora ubrała się z wyrafinowaną elegancją; ma na sobie czarną wieczorową suknię, ciasno opinającą kibić, lecz odsłaniającą nagie ramiona oraz pantofle z lakierowanej skóry na siedmiocentymetrowych szpilkach. Pod pachą trzyma wyszywaną czarnymi cekinami torebkę w kształcie koperty, wolną rękę wsunęła w moją dłoń. Wysoko upięte, kruczoczarne włosy mienia się jedwabście, tworząc fascynujący kontrast z matowym blaskiem pereł w uszach i na szyi, ze lśniąca bielą zębów i białek oczu.

Nad naszymi głowami, z sufitu wielkiej sali zebrań zwiesza się ogromny

kryształowy żyrandol, pamiętający czasy gorączki złota na Zachodnim Wybrzeżu. Znajdujemy się w dawnym pałacu gubernatora, przekształconym obecnie w muzeum, w towarzystwie dwóch setek stołecznych prominentów. Dzisiejsze przyjęcie służy za pretekst do zbiórki pieniędzy na słuszne - politycznie - cele. Nasz gubernator zapragnął zostać prezydentem.

Wokół nas kłębią się grube ryby i szare eminencje, napuszeni lobbiści rozdający na prawo i lewo uprzejme słówka, emanujący lepką życzliwością do całego świata. Jest tu więcej polityków, niż przewija się przez trybuny Kongresu podczas przeciętnego tygodnia pracy, a wszyscy mają jeden tylko cel: zaskarbić sobie wdzięczność wielkiego człowieka. Bilety na tę imprezę, z której dochód ma zasilić kasę Wspaniałej Starej Partii 1, dostaliśmy od zaprzyjaźnionego sędziego, zabiegającego o posadę w Sądzie Apelacyjnym, dokąd najkrótsza droga wiedzie poprzez dobre stosunki z gubernatorem. Facet zapłacił nam za stolik oczekując w zamian, że pokażemy się na przyjęciu. Nie przeszkadza mu bynajmniej, że stroimy się w cudze piórka; Leonora głosuje na demokratów, ja jestem zatwardziałym politycznym agnostykiem.

258

- Pierwszy raz widzę tylu republikanów naraz - oznajmia, rozglądając się dookoła z entuzjazmem farmera podziwiającego chwasty wybujałe znieca w zagonach kukurydzy.

- Przebój jednego wieczoru - powiadam. W tym mieście nie ma dnia bez jakiejś akcji zbierania funduszy dla głodnych poparcia polityków, zżeranych przez chorobliwe ambicje.

- Jak wyglądam? - pyta.

- Wyglądasz jakbyś tu mieszkała - mówię. Naprawdę niewiele przesadziłem. Za nic w świecie nie przyznałbym się nikomu, co czuję, wchodząc po marmurowych schodach z Leonorą u boku. Serce wali mi w piersi jak oszalałe, pompując w żyły adrenalinę. Co najmniej tuzin osób, zarówno mężczyzn, jak i pań, ogląda się za moją towarzyszką. Leonorą przyciąga wzrok w każdej sytuacji. Odstawiona, tak jak dzisiejszego wieczoru, mogłaby zatrzymać ruch na autostradzie między-  
stanowej.

- Majordomus po prawej - syczy mi na ucho przez zaciśnięte zęby, uzupełniając informację nieznacznym ruchem głowy. Idąc za jej wskazówką, dostrzegam gubernatora w otoczeniu świty. Nie, żeby Leonorą była pod wrażeniem. Traktuje to raczej jak rozrywkę w rodzaju obserwowania wielorybów. Zaczynam się zastanawiać, do czego byłaby zdolna, gdyby miała przy sobie harpun.

Mijamy grupkę gości. Leonorą rozdaje uprzejme uśmiechy. Podejrzewam, iż wydaje jej się, że znam przynajmniej niektórych z nich. Nie zdaje sobie sprawy, że to na nią wszyscy się gapią. Wyciąga rękę, żeby ucisnąć dłoń prawniczce, znajomej z jakiegoś klubu.

Rzucam ukradkowe spojrzenie na gubernatora i otaczający go wianuszek pochlebców wychodzących ze skóry, żeby wleźć w tyłek najznakomitszemu mężowi, jakiego wydał nasz stan.

Gubernator zachowuje zimną krew, pozornie nie zwraca uwagi na dziesiątki ust, cisnące się do jego ucha ze słodkimi słówkami. Stoi z rękami w kieszeniach spodni, niby górnik, który nie może sobie przypomnieć, gdzie wsadził znaleziony samorodek srebra.

- Czy wszyscy republikanie mają taki zwyczaj? - pyta Leonorą.
- Jaki znowu zwyczaj?
- Robić sobie dobrze w publicznym miejscu?
- Chcesz, żebym cię przedstawił? - proponuję. Wybuchają śmiechem.
- Znasz go? -Nie.
- W takim razie, co ja w ogóle robię w twoim towarzystwie? - mówi.
- Jestem jedynym facetem z zaproszeniem, jakiego znasz - wyjaśniam.
- To się może łatwo zmienić - powiada puszczając moją rękę. Nazywam ją ladaczną.

Ona nazywa to nawiązywaniem kontaktów roboczych.

259

Przesuwamy się w kierunku sejmiku debatującego wokół imponujących rozmiarów stołu w sali jadalnej, zastawionego wyszukanymi zakąskami. Pośród zapierających dech w piersi rzeźb z lodu dostrzegam srebrną tacę z krewetkami. Facet w białej kurtce rozlewa do kieliszków szampana. Przeciwny koniec bufetu ugina się pod baterią butelek, rozpoznaję przynajmniej tuzin różnych nalepek - ani chybi, prezent od lobby producentów win i alkoholi, którym leży na sercu dobry nastrój polityków. Są tu członkowie stanowego senatu i niższej izby legislacyjnej, a także kongresmeni znani mi tylko z telewizji. Jakiś facet, którego mijamy po drodze do zakąsek, rozprawia o szefie kancelarii prezydenta, jakby dzielił z nim łóżko. Nazwisko goni nazwisko, tyle główna, że można by użyć całą Saharę.

Dokonyuję inspekcji stołu przez szparę w tłumie ludzi.

- Kawior - mrugam do Leonory. - Mówiłem ci, że się opłaci. Krzywi się i wygłasza jakąś uwagę na temat zażerania się nie narodzonymi istotami

innych gatunków.

- Spodziewam się, że masz gumowe kieszenie.

- Wziąłem torebkę dla pieska - mówię. - Mniej kłopotu.

Wtykam ramię w przerwę między ciałami w smokingach i właśnie zaczynam przepychać się w stronę kosza z krakersami, kiedy kątem oka dostrzegam zwartą grupę, przemieszczającą się w naszym kierunku.

Wygląda to jak chmura pyłu, unosząca się za stadem koni na prerii i, nie może oznaczać nic dobrego. Ledwo zdążyłem nałożyć sobie na krakers solidną porcję rybich jaj, na horyzoncie pojawia się wesoła buźka gubernatora sunącego ku nam z wdziękiem zabytkowego parostatku. Jego dłonie nadal tkwią w kieszeniach spodni, co wywołuje niezbyt przyjemny uśmiech na twarzy Leonory. Zdobyła gdzieś kieliszek szampana. Chwytam ją za ramię i biorę kurs w przeciwnym kierunku.

- Nie wiedziałem, że popiera pan republikanów - mówi głos, który od tygodni słyszę w nocnych koszmarach, nieodmiennie powtarzający jedno zdanie: Zgłaszam sprzeciw.

Przed sobą mam twarz Colemana Kline'a.

-Wykupił pan stolik? -Usiłuje wybadać moje zaangażowanie w sprawę.

- Jestem tu w towarzystwie - mówię.

- Widzę. Panna Leonora. Leonora udaje, że go nie dostrzega.

Nie mogę nie uścisnąć mu dłoni. To byłby jawny afront. Robię to więc, lecz Leonora, po raz drugi w mojej obecności w ciągu dwóch ostatnich tygodni, odmawia. Zaciska obie dłonie na swojej torebce. Cóż, przywilej damy.

- Otoczyli się państwo prawdziwym chińskim murem. - Kline jest cały w uśmiechach.

Czuję, jak Leonora wzdryga się z niechęcią. Kline'owi musi się wydawać, że ona przekazuje mi w łóżku wszystkie informacje, jakie zebrała pracując w jego biurze.

Kline jest w towarzystwie kobiety odrobinę od niego starszej.

260

- Radovich podjął słuszną decyzję - powiada.

- Pańskim zdaniem, powinien kazać wyczyścić mi pamięć? - pyta

Leonora.

- Niegłupi pomysł - zgadza się Kline.

- Może by nas pan przedstawił swojej mamie? Uśmiech znika z jego twarzy.

- Moja żona Sandra - mówi rzucając Leonorze nienawistne spojrzenie.

Jednak sama pani Kline nie sprawia wrażenia szczególnie urażonej.

Regularnie widuję jej zdjęcia w rubryce kroniki towarzyskiej. Kline jest jej drugim mężem. Po pierwszym odziedziczyła sporą fortunę w gajach migdałowych i plantacjach ryżu na północ od miasta. Obecnie finansuje ambicje polityczne małżonka i nie można powiedzieć, żeby na to żałowała. Obiło mi się o uszy, że Kline szykuje się w przyszłym roku na stołek prokuratora generalnego.

- Proszę mi wybaczyć - mówi Leonora. - Niektórzy ludzie nie potrafią zapamiętać nazwisk, a ja mam problemy z określaniem wieku.

Sandra Kline rzuca mężowi rozpaczliwe spojrzenie jak cywil Bogu ducha winny, który przez przypadek znalazł się między dwiema wrogimi armiami. Z tyłu naciera na nas tłum służalców gubernatora, zaczynających walczyć ze sobą o miejsca, jak dzieci w piaskownicy o łopatkę.

- A to Leonora Goya - Kline dopełnia prezentacji.

- Och! - Powiedziała tylko to. Mążnek musiał powiedzieć jej parę słów o Leonorze, bez wątpienie niezbyt pochlebnych.

- Jak długo jesteście po ślubie? - Leonora pyta Kline'a.

- Dwa lata.

- I co, dobrze się pani bawi? - Tym razem zwraca się do Sandry.

- Znakomicie.

- A jak długo trwało pani pierwsze małżeństwo?

Leonora próbuje ustalić, ile lat może mieć żona Kline'a. Szczypię ją w ramię.

- Auu. To boli.

- Przepraszam.

Jakiś facet podchodzi do Sandry Kline i zaczyna jej szeptać do ucha.

Wygląda na to, że szykuje się audiencja u gubernatora.

- Chce podziękować komitetowi organizacyjnemu - mówi gościu. - Jeżeli ma pani teraz chwilkę czasu.

- Chodź, poszukamy czegoś do picia - proponuję Leonorze. Jest to nieśmiała próba wycofania się, zanim zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

- Bądź dobrym chłopcem i przynieś mi kieliszek szampana - powiada. - Chcę porozmawiać z panią Kline. Mamy sobie tyle do powiedzenia. Poza tym słyszałam, że gubernator zaraz tu będzie.

- Dobrze. Zaczekam razem z tobą.

- A pan? Kim pan jest? - pyta Sandra.

- Paul Madriani - mówię.

261

Kline przeprasza, że mnie nie przedstawił.

- Pan Madriani. Mój mąż dużo mi o panu opowiadał.



- Domyślam się -ja na to.

Zapewnia mnie, że mąż wyrażał się o mnie w samych superlatywach, pozostawiając naszej wyobraźni - i tych wszystkich, którzy przysłuchują się rozmowie - co w takim razie mówił o Leonorze.

- Coleman uważa pana za znakomitego prawnika - powiada.

- Wczoraj w sądzie mówił co innego - zauważa Leonora.

Sandra Kline wybucha nerwowym śmiechem, za którym kryje się niepewność, co usłyszy od Leonory następnym razem.

- Może Paul powinien wezwać panią na świadka - mówi Leonora.

- Uważa, że jest pan znakomitym prawnikiem - powtarza Sandra. -Kto jak kto, ale Coleman potrafi rozpoznać dobrego prawnika.

- Naprawdę? Czyżby zaczął brać korepetycje? - pyta Leonora, po czym wybucha śmiechem.

Twarz Kline'a ma zielonkawy odcień, jaki ostatni raz widziałem rok temu, gdy przyparty nagłą potrzebą rzygałem przez burtę jachtu, na który zabrał mnie kumpel.

Pośpiesznie otacza ramieniem kibić małżonki.

- Moja najwierniejsza wielbicielka - mówi o niej. - Szkoda, że nie mogę jej włączyć do ławy przysięgłych - żartuje.

- To dopiero byłby numer - przyznaje Leonora. - Proszę mi powiedzieć, co pani mąż o mnie mówił? - zwraca się do Sandry, uśmiechając się nieprzyjemnie zza kieliszka z szampanem. Nie czekając na odpowiedź, porywa z talerzyka pani Kline pokazną krewetkę i zanurza ją w sosjerce z krwistoczerwonym sosem.

Sandra przyjmuje to nad podziw dobrze. Nie da się ukryć, że ma nie tylko kasę, ale i klasę.

- Bardzo mi przykro, ale muszę państwa opuścić. Gubernator na mnie czeka.

- Och, niech go pani do nas przyprowadzi - mówi Leonora. - Tak bym chciała go poznać.

Znakomity pomysł. Już widzę, jak Sandra to robi.

Odchodzi wykonując na pożegnanie coś, co bardzo przypomina dworskie dygnięcie. Jeżeli nawet Kline nie zrobi kariery polityka, to jego żona ma przed sobą wielką przyszłość w dyplomacji. W ślad za nią, ku wielkiemu rozczarowaniu Leonory, oddała się większa część otaczającego nas tłumu,

- Przyszła tu pani dać swojemu przyjacielowi lekcję, jak mnie do kogoś zrazić? - Kline patrzy na mnie, ale jego słowa są adresowane do Leonory.

- Okazja panu ucieka - mówi Leonora. - Chyba, że potrafi pan pocałować gubernatora w tyłek na odległość?

Coś mi się zdaje, że niewierni kibice, którzy opuścili nas wraz z panią Kline, tracą najlepszą część widowiska.

262

- To nie ma sensu - stwierdza Kline.

Absolutnie się z nim zgadzam. Biorę Leonorę pod ramię i próbuję ją wymanewrować w kierunku drzwi.

- Miałem nadzieję, że wykluczenie pani z udziału w procesie położy kres wszelkim animozjom - powiada.

- Naprawdę? - ona na to.

- Naprawdę. Ale okazuje się, że z panią nie da się dyskutować racjonalnie.

- To nie jest czas ani miejsce - zaczynam.

- Rozumiem. Macie mnie obaj za histeryczną babę - powiada.

- Jeśli sobie życzysz.
- Nie życzę sobie. - Trzymając krewetkę za ogon, bierze zamach w kierunku nienagannego smokingu Kline'a. Kropelki sosu lądują na śnieżnobiałej koszuli pokrywając ją - od jedwabnej szarfy, otaczającej talię prokuratora aż po wykrochmalony kołnierzyk - gęstą siateczką purpurowych punkcików.
- Cholera - powiada Kline.
- Ma pan ochotę na kieliszek wina? Sos był bardzo pikantny. - Bierze kolejny zamach, ramię ma wygięte niby katapulta, jest uzbrojona w kieliszek Dom Perignon. W ostatnim momencie chwytam ją za nadgarstek. Posyła mi błagalne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć, jeszcze tylko ten jeden raz. Kręcę głową; czuję, jak powoli się odpręża. Tymczasem Kline, wściekły jak wszyscy diabli, wyciera serwetką gors koszuli.
- Pana przyjaciółka cierpi na nadmiar temperamentu -mówi. -Wreszcie sobie przypomniałem, dlaczego ją wyrzuciłem. Jakiś facet pomaga mu zetrzeć plamę ze spodni.
- Mam nadzieję, że to nie wpłynie na nasze stosunki - ciągnie dalej Kline.
- Powinniśmy odnosić się do siebie jak profesjoniści, przynajmniej do końca procesu. Bardzo mi na tym zależy.
- Myśli pan, że to komuś robi różnicę?
- Myślę, że to mogłoby zrobić różnicę pańskiemu klientowi.
- To ma być groźba?
- Bez przesady - powiada. - Obowiązkiem prokuratora jest ściganie zbrodni. To nie ma nic wspólnego z wygrywaniem albo przegrywaniem. Moja praca polega na dochodzeniu prawdy.

- W pańskich ustach to brzmi jak brzydkie słowo - wtrąca Leonora.
- Niekiedy bywa to trudniejsze niż zazwyczaj - powiada Kline. -W tym wypadku jest to wyjątkowo trudne, a to z powodu pańskiej przyjaciółki.

Nie czekając, aż Leonora zdąży obmyśleć odpowiedź, Kline robi krok do przodu i staje pomiędzy nami. Nie da się ukryć, że mój związek z Leonorą nie ułatwia mu życia. Kiwa ręką na przechodzącego nie opodal kelnera.

263

- Pani ma ochotę na drinka - powiada. - Cyjanek z kwasem wodorowym będzie w sam raz - mówi do kelnera, który wrasta w ziemię z miną wyrażającą całkowity brak zrozumienia.

Oto jedna z tych rzeczy, których nasi klienci nie są w stanie pojąć: jak dwóch prawników, prowadzących śmiertelną walkę na sali rozpraw, może gawędzić przy kawiorze i szampanie, wbijając sobie szpilki, podając na wzajem w wątpliwość swoje kompetencje oraz władze umysłowe, podczas gdy nieszczęsny klient gnije w kiciu?

Kline tymczasem kładzie mi dłoń na ramieniu i lekko popychając wyprowadza z zebranego przy stole towarzystwa.

- Proszę mi powiedzieć - zaczyna, kiedy znajdujemy się poza zasięgiem amatorów przekąsek - co pan myśli o przebiegu procesu? Ale szczerze. Już się śpieszę, żeby mu powiedzieć.

- Szczerze? Kiwa głową.
- Myślę, że nieźle dajemy wam w dupę.
- To rzeczywiście było szczerze. - Dostrzegam w jego oczach iskiereki wesołości - No cóż, głupie pytanie, głupia odpowiedź.
- Myśli pan, że powinniśmy wycofać oskarżenie?

- Na pana miejscu zrobiłbym to jutro z samego rana. Wybuchła śmiechem.
- Wie pan doskonale, że schody dopiero się zaczną - powiada.
- Tak to już jest w tym życiu - stwierdzam filozoficznie. - Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?
- Zaczęliśmy od lekkiej artylerii.
- Ach. Koroner i detektyw Stobel - mówię. - Nie zauważyłem.
- Ano tak. Cóż, obaj wiemy, że dowody rzeczowe wskazują na pańskiego klienta, ale to jeszcze nic. Najważniejszy jest motyw.
- Ach tak, wyleciało mi z głowy. Mój klient trząsał się o swoją karierę, postawioną w obliczu ruiny przez dzielnych chłopców z obyczajówki. A tak a propos, który z nich zapomniał włączyć mikrofon?

Kline reaguje na moje słowa wybuchem śmiechu.

- Naturalnie pański klient jest gotów zeznawać? Zamierza zaprzeczyć wszystkim tym brudnym oskarżeniom? - Teraz strzela w ciemno.
- Dam panu znać, kiedy podejmiemy decyzję.
- Niech mi pan powie uczciwie, jaki z niego będzie świadek? - pyta.
- Właśnie taki. Uczciwy.

Uśmiecha się. Wyczerpaliśmy temat. Nie ma więcej pytań. Pogadaliśmy sobie o tym i o owym, i dobrze; teraz pora przejść do rzeczy.

- Tak naprawdę, nie wierzy pan w te bzdury o złych gliniarzach, prawda? Cały zamieniam się w niedowierzenie.
- Jasne. Phil Mendel to Archanioł Gabriel.
- Nie mówię o Związku - powiada. - Nie mam zwyczaju stawać w obronie związków zawodowych.

264

W to akurat nietrudno mi uwierzyć.

- W każdym razie nieźle wam idzie - mówi.

- Mam nadzieję.

Rzuca mi zagadkowe spojrzenie.

- Czy nie wiecie przypadkiem czegoś, o czym zapomnieliście nam powiedzieć? - Staje w pół kroku i wpija się wzrokiem w moje oczy. Chce się dowiedzieć, co nam chodzi po głowie.

- Jeśli coś takiego istnieje, proszę mi powiedzieć - mówi. - To może mieć wielkie znaczenie.

Jasne. Wzięłby informację, nadziałby ją na koniec dzidy i wsadził mi w tyłek. Zanim mam czas odpowiedzieć, zerka przez ramię w kierunku Leonory.

- Czy ona coś wie? - pyta. - Wiem, że tam była tamtej nocy. Zostawiła odcisk palca na drzwiach - mówi. - Nie zależy mi na tym, żeby miała kłopoty. Doskonale zdaję sobie sprawę, że ona w to nie wierzy. Ale pan powinien. Jeżeli coś wie...

Pozwalając nie dokończonemu zdaniu zawisnąć w powietrzu, wbija we mnie wzrok czekając na odpowiedź. Ponieważ się nie doczekał, próbuje innej sztuczki.

- Moglibyśmy załatwić to między sobą. Nikt się nie musi o tym dowiedzieć - oświadcza. Przez chwilę podejrzewam, że może faktycznie wierzy, iż Leonora maczała palce w zabójstwie Brittany Hali.

- Po prostu chce pan znać prawdę? - pytam.

- Po prostu, prawdę - powtarza, pochylając się w moją stronę. Przywołuje na twarz wyraz głębokiego zrozumienia, ale niczego nie mówię.

- Jeżeli pańska przyjaciółka coś ukrywa - zawiesza głos, jakby miał nadzieję, że zrozumie go bez słów, ale nic z tego. Widzi po mojej minie,

że nie mam pojęcia, do czego zmierza.

- Niczego panu nie powiedziała? Kręcę głową.

Wygląda na to, że sprawiam mu wielki zawód.

- Mogła coś usłyszeć od Brittany Hali - podpowiada. - Być może, ma jakieś informacje, których my nie posiadamy. Niewykluczone, że popełniliśmy błąd.

Jego wyznanie odbiera mi mowę. Czuję się, jakby mnie kto walnął obuchem w łeb. Zmuszam się do śmiechu, ale nie wychodzi mi to zbyt przekonywająco.

- Teraz mi pan mówi, że popełniliście błąd? Jaki błąd? - pytam. Jego dłoń wraca na moje ramię, palce zaciskają się w żelaznym uścisku, wznawiamy wędrówkę. Ucisza mnie przykładając palec do ust. Oddalamy się od towarzystwa, ciągnie mnie w stronę wyludnionego kąta, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Wcale nie powiedziałem, że popełniliśmy błąd. Powiedziałem tylko, że jeżeli nie zna się wszystkich faktów, należy się liczyć z możliwością

265

popełnienia błędu. Muszę wiedzieć, czy pańska przyjaciółka czegoś nie ukrywa.

Prokurator - oskarżający mojego klienta o zbrodnię zagrożoną karą śmierci

- w połowie procesu oznajmia mi, iż mógł się pomylić, a ja mam nie podnosić głosu.

Zatrzymuję się gwałtownie w miejscu i zdejmuję z ramienia jego dłoń.

- To pan rozmawiał z Brittany Hali - mówię. - Co panu powiedziała?

- To samo, co słyszał pan w sądzie - on mi na to.

- Z ust waszego świadka, Frosta? Kiwa głową.

Nie pozostaje mi nic innego, jak się roześmiać.

- Na tym właśnie polega problem - wyznaje. - Panna Hali mogła zdobyć się na więcej szczerości w rozmowie z kobietą - powiada. - Niech pan z nią pogada. - Ruch głowy w stronę Leonory. - Jeżeli coś wie, panu na pewno to powie. Bez względu na to, co pan o mnie sądzi, tym razem nie chodzi mi o zdobywanie politycznych punktów.

Uosobienie szczerości. Wierzę mu tyle, co nic.

- Moglibyśmy się jakoś dogadać - powiada. - Niech się pan zastanowi. Mówi to ze wzruszającą powagą, ostatnie zdanie brzmi niemal błagalnie. Odwraca się, żeby z bezpiecznej odległości, poza zasięgiem pryskających sosów i latających zakąsek, posłać pożegnalny ukłon Leonorze, po czym oddala się z godnością, żeby dołączyć do swojej żony bawiącej w drugim końcu sali.

Dopiero teraz, kiedy patrzę na jego plecy, uświadamiam sobie wagę rewelacji. Teoria prokuratury przypomina równanie z niewiadomą. Kline'owi brakuje jakiegoś elementu i chociaż nie wie jeszcze, co to mogłoby być, jest przekonany, że rozwiązanie zależy od Leonory.

23

Dzisiaj Kline wezwał eksperta od substancji w ilościach śladowych. Jego zeznania mają ustalić, czy Brittany Hali uprawiała przed śmiercią seks bądź to za swoją zgodą, bądź też zmuszona do tego siłą. Z bliżej nieznanых powodów Kline zdaje się oczekiwać, iż będziemy próbowali upierać się, że tak właśnie było i że panna Hali została zamordowana przez swojego kochanka. Stara się z góry wykazać nie-prawdopodobieństwo takiego przebiegu zdarzeń, by skupić uwagę przysięgłych na tym, co, jego



zdaniem, stanowiło rzeczywisty motyw zabójstwa - chęć uciszenia niewygodnego świadka.

Prokurator okręgowy wyraźnie upaja się swoją rolą, chociaż musi zdawać sobie sprawę, iż ogólnikowy charakter omawianego właśnie materiału dowodowego - końska sierść i włókna z dywanu - znacznie osłabia ich siłę rażenia. Jakby jednak nie patrzeć, jest to kolejny element pasujący do jego układanki.

Dzisiaj przed sądem zeznaje czołowy ekspert prokuratury od włosów i włókien, długoletni etatowy pracownik Ministerstwa Sprawiedliwości, Harold Stinegold. Sprawia wrażenie tak gorliwego, że gdyby podium dla świadków dało się wsadzić pod mikroskop, Stinegold nie omieszkałby tego zrobić.

Zeznaje, że za paznokciami Brittany Hali nie znaleziono fragmentów cudzej tkanki oraz że dokładne badanie okolicy narządów rodnych nie wykazało obecności cudzych włosów łonowych, które musiałyby się tam znajdować, gdyby ofiara przed śmiercią odbyła stosunek płciowy.

Stinegold jest uprzejmym, lecz pewnym siebie sześćdziesięcioletkiem.

Miałem kilkakrotnie okazję przysłuchiwać mu się w sądzie i muszę przyznać, że demonstruje niezwykle konserwatywne podejście do materiału dowodowego. Nie ma zwyczaju wyciągać daleko idących wniosków.

267

Kline nie zaniedbuje akcentów teatralnych. Na jego prośbę Stinegold rozłamuje pieczęć na papierowej torbie, z której wyciąga poplamiony krwią koc. Następnie w ten sam sposób otwiera drugą, nieco mniejszych rozmiarów torbę, zawierającą sierść, oraz trzecią z włóknami.

- Czy mógłby nam pan opowiedzieć o tych przedmiotach? - mówi Kline. -  
W jaki sposób zostały zabezpieczone i przebadane?
- Włosy i włókna zdjęliśmy z powierzchni koca, posługując się celofanową taśmą, podobnie jak zdejmuje się nitki i paprochy, które przyłgnęły do wełnianych ubrań. Następnie poddaliśmy je badaniu pod mikroskopem.
- Zajmijmy się najpierw włóknami z dywanu - proponuje Kline. - Czy zostały porównane z próbkami pobranymi z innego źródła?
- Tak. Porównaliśmy je z próbkami włókien wykładziny dywanowej ze służbowego samochodu oskarżonego.
- I co odkryliście?
- W pierwszej kolejności zbadałem podobieństwo obu próbek pod względem barwy i średnicy włókien. Stwierdziłem, że są identyczne.
- Co pan zrobił dalej? - pyta Kline.
- Przeprowadziłem bardziej szczegółowe badania - powiada świadek - innych cech morfologicznych.
- Co pan rozumie przez cechy morfologiczne?
- Kształt i budowę włókien - wyjaśnia Stinegold. - Szukałem zwłaszcza śladów prążkowania na powierzchni włókien, pozostawionych przez cząsteczki substancji, które powodują matowienie. Chodzi głównie o związki dwutlenku tytanu, które stosuje się niekiedy w produkcji w celu zmniejszenia połysku.
- I co pan znalazł?
- Stwierdziłem obecność podobnego prążkowania zarówno na włóknach dywanu z samochodu oskarżonego, jak i na włóknach zdjętych z koca, w który zawinięte było ciało ofiary.

- Uznał pan, że pomiędzy obiema próbkami występuje znaczące podobieństwo?
  - Tak.
  - Co pan zrobił następnie?
  - Przeprowadziłem analizę barwy - mówi Stinegold. - Kolor stanowi najistotniejszy element różnicujący.
  - Dlaczego tak jest?
  - Ponieważ zazwyczaj w procesie produkcji dla uzyskania pożądanego odcienia stosuje się kombinację kilku barwników. Stwierdzenie identyczności składu barwników ma istotne znaczenie przy porównywaniu próbek. Każda kombinacja barwników daje jedyny w swoim rodzaju odcień.
  - W jaki sposób można ustalić kompozycję barwników? - chce wiedzieć Kline.
  - Służy do tego mikrospektrometr. - Stinegold musi przeliterować protokółantce nazwę przyrządu. - Jest to rodzaj mikroskopu, który porów-
- 268

nuje kolor na podstawie analizy widmowej włókien. Żeby nie wdawać się w szczegóły techniczne, powiem tylko, że poszczególne włókna nie tylko różnią się barwą, lecz także w różny sposób załamują światło, co można zmierzyć za pomocą odpowiedniego sprzętu.

- Więc przeprowadził pan odpowiednie badanie? - pyta Kline.
- Tak.

- I co pan stwierdził?

- Stwierdziłem, iż włókna pobrane ze służbowego samochodu oskarżonego są identyczne pod względem kształtu, koloru i budowy z włóknami znalezionymi na kocu, w który owinięte były zwłoki ofiary. Kline wypytuje go o detale. Dowiadujemy się, że istnieje pięć różnych typów nylonu, stosowanych do produkcji tego rodzaju wykładzin, z których jeden znany jest pod nazwą „nylonu 11”. W naszym przypadku produkt końcowy otrzymał barwę morskiego błękitu. Porównanie obydwu elementów - typu nylonu i kompozycji barwnika - pozwala, zdaniem świadka, stwierdzić podobieństwo włókien znalezionych na kocu z włóknami pobranymi ze służbowego wozu Acosty.

- Czy, opierając się na swojej wiedzy, jest pan skłonny uznać tego rodzaju podobieństwo za znaczące? - Kline próbuje zamknąć kwestię.

-:Zgłaszam sprzeciw. Pytanie prokuratora jest niejasne.

- Sprzeciw podtrzymany. Proszę inaczej sformułować pytanie - mówi Radovich.

Rzecz w tym, jak znaczące. Kline wykonuje taneczne pas przed ławą sędziów przysięgłych, zastanawiając się nad właściwym sformułowaniem pytania.

- Załóżmy, że miałby pan porównać tę próbkę z włóknami pobranymi na chybił trafił z wykładziny pierwszego lepszego samochodu. Czy w tym przypadku spodziewałby się pan znaleźć podobieństwo, jakie stwierdził pan pomiędzy włóknami z koca, w który morderca zawinął zwłoki, i włóknami z samochodu oskarżonego?

Ponownie zgłaszam sprzeciw, ale tym razem Radovich go uchyla.

- Nie.

- Czy gdyby miał pan porównać włókna z koca z dziesięcioma innymi, przypadkowymi próbkami, spodziewałby się pan znaleźć podobieństwo?
- Nie.
- A w przypadku stu różnych próbek?
- Raczej nie.
- Tysiąca?
- Być może, co do typu nylonu - mówi Stinegold. - Ale nie co do barwy, a konkretnie - kompozycji barwników. Powiedziałbym, że kolor stanowi bez porównania ważniejszy wyróżnik.
- To nie jest odpowiedź na pytanie oskarżenia. - Zgłaszam sprzeciw.
- Odrzucam sprzeciw.

269

- Więc w pana opinii, pomiędzy obiema próbkami występuje istotne podobieństwo?
- Tak. W obu przypadkach kompozycja barwników jest identyczna. Bardzo rzadko, jeżeli w ogóle, zdarza się, żeby producent dwukrotnie skomponował dokładnie taką samą mieszankę barwników.
- Tak więc włókna z obu próbek są identyczne?
- Moim zdaniem, tak. Tak.

Teraz Kline przechodzi do włosów, które Stinegold identyfikuje jako włosy pochodzenia zwierzęcego.

Omawia niektóre z niezliczonych cech, odróżniających sierść zwierząt od ludzkich włosów, jak na przykład ubarwienie zmieniające się w zależności od odległości od skóry, podczas gdy ludzki włos ma zawsze jednolity kolor na całej długości.

- Rdzeń ludzkiego włosa jest amorficzny i rzadko przekracza jedną trzecią

średnicy całego włosa - mówi Stinegold - podczas gdy rdzeń włosa pochodzenia zwierzęcego jest znacznie szerszy i niekiedy obejmuje niemal całą szerokość trzonu. Również zewnętrzna otoczka włosów pochodzenia ludzkiego i zwierzęcego wykazuje widoczne na pierwszy rzut oka różnice.

- Rozumiem więc, iż może pan stwierdzić z całą pewnością, iż włosy zebrane z powierzchni koca, w który były owinięte zwłoki Brittany Hali, są pochodzenia zwierzęcego?

- Jak najbardziej - potwierdza Stinegold.

- Czy może pan określić gatunek zwierzęcia?

- To było nieco trudniejsze - powiada Stinegold. - Jednak stosując metodę eliminacji, zdołałem ustalić, że w tym przypadku mamy do czynienia z końską sierścią.

Zaskoczone miny sędziów przysięgłych świadczą jednoznacznie, iż spodziewali się raczej czegoś w rodzaju psa albo kota. Kline podejmuje grę, unosi do góry brwi i rzuca świadkowi pytające spojrzenie.

- Końska sierść - powtarza Stinegold. - Wygląda na to, że pochodzi od zwierzęcia przechodzącego właśnie okres linienia. Znaleźliśmy znaczną ilość włosów.

- W jaki sposób, pańskim zdaniem, końskie włosy przedostały się na koc, w który były owinięte zwłoki Brittany Hali?

- Prawdopodobnie dostały się tam drogą pośredniego przeniesienia -powiada Stinegold.

Przyciśnięty przez Kline'a wyjaśnia, co przez to rozumie.

- Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o to, że koc nie znajdował się w bezpośrednim kontakcie z koniem. Należy raczej przypuszczać, iż osoba, która stykała się ze zwierzęciem, przeniosła sierść na swoim ubraniu, albo

bezpośrednio na koc, albo na jakieś inne przedmioty w swoim mieszkaniu, na przykład na meble, może na pościel. W tym wypadku, włosy przedostały się na koc z przedmiotów znajdujących się w mieszkaniu lub

270

morderca zebrał je na swoje ubranie i, nie zdając sobie z tego sprawy, przeniósł je na koc podczas zawijania w niego zwłok.

Oskarżenie jest zmuszone przedstawić nam mechanizm powtórnego przeniesienia sierści, nie da się bowiem ukryć, że Acosta nigdy w życiu nie zbliżył się do stajni. Konie to była działka Liii. Żona Kokosa jest wyraźnie załamana udziałem, jaki przypadł jej w dostarczeniu materiału dowodowego prokuraturze. Słucha Stinegolda - roztaczającego przed nami swoją teorię - kuląc się w krześle, za plecami męża.

- Uważa pan, że coś takiego jest możliwe? - pyta Kline. - Powtórne przeniesienie?

- O tak. Końska sierść, zwłaszcza w takiej ilości, z jaką mamy tu do czynienia, kiedy koń linieje, potrafi się rozprzestrzeniać niemal bez ograniczeń. Nie ma siły, żeby nie przynieść jej do domu ze stajni. Nie można nic na to poradzić, nawet dokładne wyszczotkowanie ubrania nie jest w stanie zapobiec przywleczeniu sporych ilości włosów do miejsca zamieszkania.

- Nawet jeśli jeździec przebierze się przed wyjściem ze stajni?

- Nawet wtedy - powiada Stinegold. - Może przenieść końską sierść na swoich własnych włosach albo na szorstkich partiach skóry. Naprawdę nie jest łatwo się tego pozbyć.

- To nas prowadzi do następnego pytania - powiada Kline. - Proszę nam

powiedzieć, czy udało się panu znaleźć końską sierść, dokładnie odpowiadającą sierści zebranej z koca, w który były owinięte zwłoki panny Hali?

-Tak.

- Gdzie?

- W trzech miejscach - mówi Stinegold. - W mieszkaniu denatki, w domu oskarżonego Armanda Acosty oraz w bagażniku i na siedzeniach jego służbowego samochodu.

Kline gra na efekt, następuje starannie obliczona chwila ciszy, mająca na celu podkreślenie wagi odkrycia. Odpowiadając na pytania prokuratora, świadek wyjaśnia, że sierść znaleziona w samochodzie i mieszkaniu Acosty pochodzi ze stajni, gdzie są konie, na których jeździ jego żona. Stamtąd sierść mogła łatwo przedostać się na ubranie oskarżonego.

Następnie Stinegold przyznaje, iż końskie włosy nie należą do dowodów rzeczowych, ponieważ nie można przypisać ich konkretnemu koniowi -w odróżnieniu od odcisków palców człowieka.

- Mimo to - mówi Kline - chciałbym zapytać, czy pańska wiedza i doświadczenie nie pozwoliły panu na sformułowanie żadnych wniosków, dotyczących próbek końskiej sierści, zebranej z tego koca oraz znalezionej w mieszkaniu i samochodzie oskarżonego?

- Moim zdaniem -mówi Stinegold - włosy zebrane z koca odpowiadają - pod względem koloru, grubości, budowy wewnętrznej i struktury powierzchni - próbkom sierści zczesanej z przedmiotów, mebli i dywanów w domu oskarżonego, a także z wykładziny jego służbowego samochodu.

271

- Czy w pańskiej opinii, są one identyczne?



- Tak.

Co z tego, że włóknom z dywanu i końskiej sierści daleko do jednoznaczności odcisków palców, skoro widzę na własne oczy, jakie wrażenie zeznania Stinegolda robią na sędziach przysięgłych. Lata doświadczeń w sądzie nauczyły mnie rozpoznawać owe szczególnie niebezpieczne elementy materiału dowodowego, których - jeżeli mamy ująć z życiem - za żadne skarby nie wolno nam zignorować.

Kline popełnił niewybaczalny błąd pominięcia milczeniem paru szczegółów, które nie są na rękę oskarżeniu. Naturalne więc, że od nich zaczynam przesłuchanie świadka. Na pierwszy ogień idzie raport z laboratorium metali.

- Proszę nam powiedzieć, panie Stinegold, czy nie znalazł pan odprysków drogocennych metali na krawędzi stolika do kawy w mieszkaniu ofiary, tuż obok miejsca, w które uderzyła jej głowa?

- Owszem, znaleźliśmy śladowe ilości drogocennych metali - przyznaje.

- Dlaczego więc nie powiedział nam pan o tym, kiedy przesłuchiwał pana prokurator okręgowy?

- Ponieważ mnie o to nie pytał.

- Znakomicie. W takim razie może ja powinienem o to pana zapytać. Czy, pańskim zdaniem, te ślady miały istotne znaczenie dla prowadzonego śledztwa?

Jeżeli powie „tak”, wyjdzie na to, że świadomie unikał tematu, wobec tego mówi „nie”.

- A więc, uznał pan, że ślady metalu na krawędzi stolika do kawy nie mają istotnego znaczenia?

- Tak.

- Dlaczego?
- Po przeprowadzeniu odpowiednich badań, doszliśmy do wniosku, że ślady metalu na stoliku do kawy są najprawdopodobniej stare i mogą pochodzić nawet sprzed wielu miesięcy, na długo przed popełnieniem zabójstwa. - Wydaje z siebie jakiś bełkot na temat śladów krwi znajdujących się następnie na śladach metalu. Jednak czym prędzej przerywa, kiedy zaczynam przypierać go do muru.
- Czy może nam pan powiedzieć, jaki skład miały owe śladowe ilości metali?
- Głównie dwudziestoczerokaratowe złoto z niewielką domieszką stopów.
- Czy mogły pochodzić, na przykład, z fragmentu biżuterii?
- Mogły.
- Ale nie uznał pan tego za szczególnie ważne?
- Nie uznałem.
- W takim razie może pan wyjaśni sędziom przysięgłym, dlaczego zbadał pan każdą sztukę biżuterii, należącą do mojego klienta?

272

- Po prostu na wszelki wypadek - powiada.
- Na wszelki wypadek? - pytam.
- Właśnie.
- Na wszelki wypadek pobrał pan próbki metalu z każdej sztuki biżuterii mojego klienta, żeby je porównać pod mikroskopem z próbkami zdjętymi ze stolika do kawy.

Stinegold robi obrażoną minę.

- Z każdej sztuki biżuterii, jaką udało nam się znaleźć.

- Zgłaszam wniosek o usunięcie z protokołu ostatniej uwagi świadka, nie stanowiącej odpowiedzi na moje pytanie. Pan Stinegold sugeruje, że Acosta pozbył się obciążającego go przedmiotu, chociaż nic za tym nie przemawia.

Radovich podtrzymuje mój wniosek.

- Proszę odpowiedzieć, czy pobrał pan, czy nie, próbki z każdej sztuki biżuterii, należącej do mojego klienta, w celu porównania ich ze śladami metalu, znalezionymi na stoliku w mieszkaniu ofiary?

-Tak.

- I czy przekazał pan te próbki do laboratorium metalurgicznego?

- Tak.

- Czy wyniki analizy metalurgicznej pozwoliły utożsamić drobiny metalu ze stolika z którąkolwiek próbką metalu z biżuterii mojego klienta?

- Nie - mówi.

- Nie pozwoliły? - Ze zdziwieniem na twarzy odwracam się w stronę ławy przysięgłych.

- Nie - powtarza.

- Och. Przypuszczam, że gdyby ślady metalu ze stolika pasowały do biżuterii oskarżonego, usłyszelibyśmy o tym w czasie przesłuchania prowadzonego przez pana prokuratora okręgowego?

- Sprzeciw. To są czyste spekulacje - oświadcza Kline.

Obawiam się, że sędziowie przysięgli nie podzielają jego opinii. Pewnie chcieliby wiedzieć, dlaczego Kline to przemilczał. Przyjmij cios z podniesionym czołem, durniu!

- Proszę inaczej sformować pytanie - mówi Radovich.

- Z przyjemnością, Wysoki Sądzie. Panie Stinegold, czy nie było tak, że

uznał pan ślady metalu na krawędzi stolika za stare i nieistotne dopiero wtedy, kiedy upewnił się pan, że nie da się ich dopasować do biżuterii mojego klienta?

- Nie - zaprzecza.

- Ale pozostaje faktem, że nie istnieją żadne przesłanki naukowe na poparcie pańskiej teorii mówiącej, iż ślady metalu na stoliku są stare?

- Jestem przekonany, że są stare.

- Co to ma być, artykuł wiary? - pytam.

- obrońca znęca się nad świadkiem — protestuje Kline. Puszczam to mimo uszu.

- Pytałem pana o podstawy naukowe. Ma pan jakieś?

18 - Sędzia

273

- Nie.

- Dziękuję. W takim razie - opierając się wyłącznie na swojej wiedzy naukowej oraz wynikach badań laboratoryjnych drobin metalu znalezionych na stoliku do kawy tuż obok miejsca, w które ofiara uderzyła głową - czy nie powinien pan raczej uznać, iż mamy tu do czynienia z materiałem dowodowym oczyszczającym mojego klienta? Czyż, pana zdaniem, wyniki analizy metalurgicznej owych próbek nie zdają się świadczyć, iż jest on niewinny?

- Zgłaszam sprzeciw. Rozstrzygnięcie tej kwestii należy do ławy przysięgłych - powiada Kline.

- Podtrzymuję sprzeciw - mówi Radovich. - Myślę, że wszyscy zrozumieliśmy pański punkt widzenia.

Przechodzę do gry w zgadywanek. Chcę rozstrzygnąć kwestię włókien z

samochodu Acosty. Pytam Stinegolda, czy potrafi nam powiedzieć, ile samochodów wyprodukowanych przez General Motors w ciągu jednego roku zostało wyposażonych w tę samą wykładzinę, pochodzącą z jednej dostawy. Nie ma pojęcia. Wobec tego pytam, czy byłby zaskoczony, gdybym mu powiedział, że liczba takich wozów idzie w tysiące. Jest zmuszony przyznać, że to całkiem możliwe.

- Jednak - zaznacza - nie wszystkie egzemplarze tego samego modelu będą miały wykładzinę w jednakowym odcieniu. - W spojrzeniu, które Stinegold rzuca w stronę Kline'a, maluje się coś w rodzaju satysfakcji.

Skupiam się na samochodach, znajdujących się na stanie administracji okręgu, nabywanych zazwyczaj hurtowo od jednego producenta. Moim zdaniem, jest bardzo prawdopodobne, że zakupione przez okręg wozy zjechały z taśmy montażowej jeden po drugim.

- Przyjmując, że mogło tak być - powiadam - czy nie należy spodziewać się, że administracja okręgu posiada więcej samochodów wyposażonych w identyczne wykładziny?

Stinegold nie jest zbytnio zadowolony z mojej sugestii.

- Niewykluczone - powiada.

- Czy będzie pan zaskoczony, kiedy panu powiem, że administracja okręgu nabyła równocześnie od tego samego producenta dziewięć wozów tego samego modelu, co samochód służbowy oskarżonego, i że siedem z nich zjechało z tej samej linii montażowej i ma identyczną wykładzinę?

Moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

- Wiedział pan o tym?

- Nie - mówi.

Sprawdziłem to razem z wyznaczonym przez Sąd prawnikiem, byłym prokuratorem, nadzorującym przekazywanie materiału dowodowego, zgromadzonego przez ekspertów oskarżenia i obrony. Kosztowało nas to sporo czasu i wysiłku, ale w końcu dotarliśmy do wszystkich samochodów i pobraliśmy z nich próbki włókien.

274

Zasiawszy ziarnko wątpliwości, przechodzę do koni.

- No więc, udało się go panu znaleźć? - pytam.
- Kogo?
- Konia, którego sierść pokazał nam pan przed chwilą - wyjaśniam.
- Nie - mówi ze śmiechem.
- Ale go pan szukał.
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Nie uważaliśmy tego za konieczne - powiada. - Mieliliśmy próbki sierści z domu i samochodu oskarżonego. Poza tym, jak już mówiłem, nie da się zidentyfikować konkretnego konia na podstawie sierści.
- Sprawdziliście, czy taką samą sierść można znaleźć w domach albo samochodach innych osób, które jeżdżą na koniach z tej samej stajni?
- Nie.
- Dlaczego? - Wszystko, czego prokuratura nie zrobiła, to woda na nasz młyn.
- Nie uważaliśmy tego za konieczne - powtarza.
- Czy nie byłoby to bardzo pouczające, gdybyśmy mogli stwierdzić, ile koni z tej samej stajni zrzuca sierść odpowiadającą próbkom pobranym z

koca, w który były owinięte zwłoki ofiary?

- Nie sądzę.

- Panie Stinegold, czyż nie jest prawdą, iż - abstrahując od koloru oraz pomijając egzotyczne rasy koni, których sierść ma szczególne cechy charakterystyczne - włosy jednego konia do złudzenia przypominają włosy drugiego?

- Kolor stanowi istotny wyróżnik - chwyta się ostatniej deski ratunku.

- Czy wie pan, jakiej maści był koń, którego włosy zostały znalezione na kocu?

- Brązowej - mówi. - To, co się potocznie nazywa kasztankiem.

- Zdaje się, że to dość powszechny kolor w przypadku koni?

- Zgłaszam sprzeciw. Świadek nie jest ekspertem od koni - wtrąca się Kline.

- Nie. Tylko od tego, co z nich spada - mówię.

- Co to ma niby znaczyć? - pyta Kline.

Ze strony ławy przysięgłych dobiega coś, jakby chichot.

- Sierść - odpowiadam. - A jak pan myślał?

Kline musi stawić czoło śmiejącej się ławie przysięgłych.

- Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie. Nie widzę w tym nic zabawnego.

Radovich radzi mi, żebym przeszedł do rzeczy.

- Niechże pan powie, panie Stinegold, czyż nie wiadomo powszechnie, iż kasztanki nie stanowią rzadkości pośród koni?

- Sprzeciw. - To znowu Kline.

- Uchylony. Świadek może odpowiedzieć na pytanie obrońcy.

- Nie stanowią rzadkości - powiada Stinegold.

- Gdybyśmy się przeszli po stajniach w naszym okręgu, czy nie okazałoby się przypadkiem, że kasztanki faktycznie przeważają liczebnie w stosunku do koni innej maści?

- Bardzo możliwe - powiada Stinegold. W rzeczywistości to nawet więcej, niż możliwe, ale zadowolam się tym, co mi oferuje.

- Gdybyśmy dali panu do zbadania próbki sierści wszystkich koni tej samej maści, czy potrafiłby pan powiedzieć, który z nich zrzucił włosy znalezione na kocu?

Uśmiecha się. Rozumie do czego zmierzam.

- Prawdopodobnie nie.

- Ponieważ konie maści kasztanowej nie należą do rzadkości, prawda?

- Tak.

Pozostałe elementy, o których nam pan powiedział, budowa wewnętrzna, powierzchnia i grubość włosa, będą bardzo podobne dla wszystkich koni tej samej maści, czyż nie tak?

- Przypuszczam, że ma pan słuszność - mówi.

- A więc znalezione na kocu włosy mogą pochodzić od dowolnego kasztanka?

- Trudno byłoby stwierdzić różnicę - przyznaje.

- Czy aż tak trudno, iż nie byłby pan w stanie odróżnić jednego włosa od drugiego?

- Zapewne - mówi.

- Rozumiem więc, że nie może pan powiedzieć o próbkach sierści znalezionej na kocu oraz zebranej w domu i samochodzie oskarżonego nic ponadto, iż były podobne?

- Zgadza się.



- Panie Stinegold, czy zna pan teorię transferencji substancji, dotyczącą tego rodzaju materiału dowodowego, o jakim właśnie mówimy?

- Tak -powiada.

- Czy zechciałby pan wyjaśnić sędziom przysięgłym, na czym polega owa teoria?

Przez chwilę patrzy na mnie, jakbym podcinał gałąź, na której siedzę; nie bardzo rozumie, w jaki sposób teoria transferencji może nam pomóc. W końcu odwraca się w stronę ławy przysięgłych.

- Zgodnie z teorią transferencji, śladowe ilości substancji, znajdujące się na powierzchni ruchomego obiektu mogą w normalnych warunkach zostać przeniesione - w całości lub częściowo - na powierzchnię innego ruchomego obiektu, który wejdzie w kontakt z pierwszym.

- Coś na podobieństwo pszczołki zapylającej kwiatek?

- Dobre porównanie - przyznaje.

- A więc, gdybym otarł się o pana, włókna z mojego ubrania znalazłyby się na powierzchni pańskiego garnituru i vice versa?

- Musimy wziąć poprawkę na właściwości materiału. Niektóre tkaniny nie pozostawiają włókien.

276

- Oczywiście. Ale w pozostałych przypadkach należałoby się spodziewać, że znajdziemy włókna z jednej tkaniny na powierzchni drugiej? Coś na wzór krzyżowego zapylenia?

Zastanawia się nad moim pytaniem, już kiwając głową, zanim jeszcze udzieli odpowiedzi.

- Tak.
  - I sądzi pan, że w ten właśnie sposób końska sierść została przeniesiona na wykładzinę samochodu oskarżonego?
  - Tak.
  - A następnie do mieszkania ofiary?
  - Zgadza się.
  - Oraz na koc, w który zabójca zawinął zwłoki? -Tak.
  - Czy badając koc, znalazł pan na nim coś jeszcze?
  - Kilka innych włókien, parę kawałeczków drewna, mikroskopijne pozostałości odpadków z kontenera na śmieci, wewnątrz którego znaleziono ciało - wylicza.
  - Jednak, pańskim zdaniem, jedynie włókna i końskie włosy stanowiły istotny ślad?
  - Moim zdaniem, tak.
  - Czy na kocu znajdowały się duże ilości końskiej sierści? - pytam.
  - Całkiem spore - mówi.
  - Wysoki Sądzie, chciałbym poprosić świadka, żeby zademonstrował nam transferencję końskich włosów na powierzchnię koca - mówię.
- Kline'owi nie bardzo się to podoba. Przygotowałem kilka kawałków nylonowej wykładziny i prokurator okręgowy zgłasza teraz sprzeciw, mówiąc, że żaden z nich nie odpowiada idealnie wykładzinie z samochodu Acosty.
- Wystarczą na potrzeby demonstracji - obstaję przy swoim. - Nie zamierzam prosić świadka o porównywanie włosów i włókien.
  - W takim razie niech pan zaczyna - mówi Radovich.
- Podaję Stinegoldowi kawałek dywanu. Postarałem się na tę okazję o

trochę końskiej sierści zapakowanej w kopertę, którą wręczam teraz świadkowi.

- Włosy są czarne - informuję Sąd. - Nie będziemy mieli trudności z odróżnieniem ich od innych włosów na dywanie.

Stinegold ogląda zawartość koperty, po czym kiwa głową. Rozsypuje trochę sierści na kawałek wykładziny i kilkakrotnie przejeżdża dłonią po krótko przyciętej nylonowej szczecince.

Na moją prośbę woźny wyjmuje koc z wózka z dowodami rzeczowymi i podaje go Stinegoldowi. Koc ma barwę lila. Stinegold kładzie go na barierce dla świadków, końce byle jak zwiniętego tłumoka zwisają na podłogę.

277

Ujmuje róg koca, po czym pociera go energicznie kawałkiem szorstkiej wykładziny. Odkłada dywanik włosem do dołu na barierkę, i ogląda powierzchnię koca.

- Proszę - mówi, bardzo zadowolony z siebie, podsuwając mi koc pod nos. Miejsce, które przed chwilą wyszczotkował dywanikiem pełne jest czarnych końskich włosów.

- Jeżeli ma pan kawałek taśmy, mogę pokazać, w jaki sposób zdjęliśmy włosy do analizy - powiada.

- To nie będzie nam potrzebne - mówię zdejmując koc i dywanik z barierki dla świadków.

Kline siedzi za swoim stołem, z uśmiechem zadowolenia.

Odchodzę parę kroków w głąb sali - koc mam w jednej ręce, kawałek wykładziny w drugiej - zaraz znowu odwrócę się twarzą w stronę Stinego-lda. Zdążyłem już rzucić okiem, żeby upewnić się, że wszystko jest na

swoim miejscu.

- A to co? — pytam podnosząc do góry dywanik, żeby pokazać go świadkowi.

Na niewielkim kawałku wykładziny widnieje kilkanaście kropek barwy Ula, zmechaconych kuleczek ściągniętych z koca przez ostre nylonowe włoski.

- Panie Stinegold, czy podczas badania bagażnika i wnętrza samochodu mojego klienta znaleźliście ślady włókien z koca, w który zawinięte było ciało ofiary? - Znam z góry odpowiedź, zadałem bowiem sobie trud przeczytania raportu Stinegolda.

Nie można powiedzieć, że bym ich zaskoczył. Od początku zdawali sobie sprawę, że to ich słaby punkt. Jednak sposób, w jaki przedstawiłem tę kwestię sędziom przysięgłym, miał na celu obudzenie w nich podejrzenia, iż Stinegold starał się coś przed nimi ukryć. Każda metoda jest dobra, żeby rzucić cień na intencje oskarżenia.

- Panie Stinegold, znaleźliście czy nie?

- Nie - musi wreszcie powiedzieć. Rozpaczliwe spojrzenie, towarzyszące temu krótkiemu „nie”, ma dla nas wartość tysiąca słów.

24

Znaleźli Oskara Nicholasa. - Jak, do jasnej cholery? - pyta Acosta.

Siedzimy we trójkę w rozmównicy aresztu okręgowego, Harry, Acosta i ja. Sędzia zajmuje kabinę odgradzoną od nas grubą szybą z wtopionym mikrofonem. Milczymy obaj, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na zwiastujące bliską katastrofę wieści.

- Jakim cudem do niego trafili? - Acosta sprawia wrażenie wykończonego,

każdy nowy świadek oznacza dla niego kolejny stres, wycieczka po szczytach i dolinach sądowego procesu nie należy do rozrywek.

- Zgłosił się do nich - powiadam. - Z własnej, nieprzymuszonej woli. Ta okoliczność zdaje się dobijać go znacznie bardziej, niż fakt sam w sobie. Jak człowiek, którego uważał za swojego przyjaciela, mógł zrobić coś takiego?

Wiadomość dotarła do nas w postaci wniosku oskarżenia o powołanie Nicholasa na świadka. Z dołączonego do wniosku uzasadnienia dowiadujemy się, że przed trzema dniami Nichols zadzwonił do prokuratury i oznajmił, iż posiada istotne informacje, mogące oznaczać nawet przyznanie się Acosty do winy.

Wprawdzie udało nam się wykazać, że w materiale dowodowym oskarżenia jest wiele nieprawidłowości (teoria na temat włókien i włosów oraz przemilczenie wyników badań laboratorium, dotyczących biżuterii), to jednak Nichols zdecydował się zeznawać. Na pewno nie mógł pogodzić się z myślą, że jego serdeczny przyjaciel może być winny morderstwa. Czy kieruje nim przeświadczenie o winie Acosty i związane z tym poczucie obowiązku? I to właśnie jest w tym wszystkim najbardziej niepokojące. Kline musiał zrobić coś, co wykurzyło starego lisa z nory, a my nie mamy pojęcia, co to takiego może być.

279

- Wyobrażam sobie Nicholasa - mówi Harry - trawiącego dnie w zaciszu gabinetu na rozmyślaniach, czy to, co mu pan mówił, wyjdzie na światło dzienne, czy nie. Przyznanie się do winy to nie w kij dmuchał.

- Do niczego się nie przyznawałem - protestuje Acosta.

- Był pan łaskaw pod adresem Hali rzucać pogrożki - zauważa Harry.

- To były słowa bez znaczenia - ucina Annando.
- Cóż, spodziewam się, że będziemy mieli okazję wysłuchać, co sądzi o tym ława przysięgłych. - Teraz ostatnie słowo należy do Harry'ego. Dla biednego Nicholasa czekanie w niepewności, czy policja dowie się o zwierzeniach Acosty, w których przewinęło się życzenie śmierci Britty Hali, zapewne było udręką. Zatajanie tej sprawy przez sędziego byłoby jak ukrywanie dowodów i mogłoby oznaczać kres znakomitej kariery sędziowskiej, mnóstwo nieprzyjemnych pytań przed Komisją Weryfikacyjną.
- Dlaczego on to zrobił? Dlaczego poszedł z tym na policję? - nie pojmuje Acosta.
- Ze strachu o własną dupę - wyjaśnia mu Harry.
- Ale dlaczego właśnie teraz? - pyta sędzia. - Dlaczego właśnie teraz, kiedy tak znakomicie nam szło? - Patrzy pytająco na Harry'ego, potem na mnie. Też się nad tym zastanawialiśmy.
- Może wie coś, o czym my nie wiemy - mówię. Jakiś nowy element materiału dowodowego. Nagle do niego dociera. Oto jak dobrali się do Nicholasa - mają coś, co niesie za sobą tak straszliwie obciążające implikacje, że nawet wieloletni przyjaciel nie mógł tego zignorować.
- Co to takiego może być? - pyta.
- Prędzej czy później na pewno się dowiemy - mówię.
- Jasne, kiedy nam to zwałą na łeb jak tonę gówna - zauważa Harry. Dla Acosty siedzącego teraz za szybą pancerną oznacza to, że opuścił go ostatni przyjaciel, tak jak ostatni szczur opuszcza tonący okręt, kończąc tym samym trwającą od dwóch tygodni ucieczkę innych. Zaczęło się od

tego, że jego własny woźny sądowy, pracujący u Acosty od dziesięciu lat, poinformował go, iż został zobowiązany do informowania policji o każdym telefonie byłego szefa. Poprosił, żeby Acosta więcej do niego nie dzwonił.

W zeszłym tygodniu Annando zadzwonił do swojej sekretarki, żeby poprosić ją o dostarczenie czegoś, co zostawił w swoim gabinecie.

Dziewczyna nie odebrała telefonu ani nie oddzwoniła później. Kline znalazł jakąś drogę nacisku na byłych współpracowników Acosty, zmuszając ich do zerwania kontaktów. Izolacja to taka sama dobra broń, jak każda inna.

Poczucie nagłego osamotnienia spadło na Acostę niby czarny anioł śmierci. Po jego stronie zostaliśmy jedynie my i żona Liii. Jeśli

280

wierzyć jego słowom, są teraz ze sobą bliżej niż kiedykolwiek od dnia ślubu.

- Zawsze możemy powołać się na to - mówi Harry - że nazwisko Nicholasa nie figuruje na listach świadków.

- To prawda - przyznaję. - Ale założę się, że Radovich zechce zrobić wyjątek. Kline twierdzi, że gliny nie mogły dowiedzieć się o pogroźkach pana Acosty z żadnego innego źródła poza sędzią Nicholsem we własnej osobie.

- Ma absolutną rację. - Acosta budzi się nagle z ponurego zamyślenia po drugiej stronie pancерnej szyby. - Jest tylko jedno wyjaśnienie: Oskar zgłosił się do nich, ponieważ jest przekonany o mojej winie.

Nareszcie do niego dotarło.

- No tak. Cóż... - Harry patrzy na naszego klienta. Być może, sędzia Nichols nie jest jedynym, który tak myśli.

- Zostawmy na razie na boku jego przekonania - mówię. - Zastanówmy się raczej, co może zeznać przed Sądem. Albo jak go od tego powstrzymać.

Ewentualne niedopuszczenie Nicholasa do składania zeznań należy do pobożnych życzeń. Skoro zgodzimy się, iż policja nie mogła w żaden sposób dowiedzieć się o pogroźkach Acosty, dopóki Nichols sam im o tym nie powiedział, nie możemy mieć do nich pretensji, że nas o tym nie poinformowali, albo że nie umieścili w porę jego nazwiska na swojej liście świadków. To prawda, że nie mieliśmy obowiązku dzielenia się z nimi tym, co powiedział nam nasz klient, niemniej nie sądzę, żeby udało nam się przekonać Radovicha, iż pojawienie się nazwiska Nicholasa jest dla nas zaskoczeniem. Mała szansa, żeby nam uwierzył, iż słyszymy je po raz pierwszy.

Jesteśmy zmuszeni przyznać, że argumentacji Kline'a trudno odmówić słuszności. Jeśli Acosta nie zdobył się nawet na tyle szczerości wobec swoich obrońców, żeby uprzedzić ich o swoich nieopatrznych pogroźkach pod adresem Brittany Hali, zasłużył sobie na to, co go czeka.

- Kline będzie próbował przedstawić to w ten sposób, że Nichols nie mógł już dłużej walczyć ze swoim sumieniem - powiada Harry. - To oraz fakt, iż jest czynnym sędzią, dodadzą jego zeznaniom mnóstwo wiarygodności.

Milczymy rozważając ewentualne wyjścia z sytuacji. Nie można powiedzieć, żeby było ich wiele.

Harry sugeruje, iż moglibyśmy zaproponować prokuraturze dojście do porozumienia. Jak wiadomo, tonący brzytwy się chwyta. Harry ma na



myśli wspólne zredagowanie uzgodnionego oświadczenia, które zadowoliliby obie strony i umożliwiło przedstawienie ławie przysięgłych zeznań Nicholasa bez wzywania sędziego na świadka.

- Jeśli to odpowiednio przytniemy i wygładzimy - powiada - może przysięgli zlekceważą całą sprawę.

281

- Dlaczego niby Kline miałyby na to pójść? - mówi Acosta. Jak widać, przygnębienie nie pozbawiło go całkowicie poczucia rzeczywistości.

- Możemy powiedzieć, że nas kompletnie zaskoczyli - Harry upiera się przy swoim. - Wystawiają nowego świadka dosłownie w ostatniej chwili. Spróbujemy skłonić Radovicha, żeby wywarł na nich presję. Jakkolwiek by było, dają nam do ręki podstawę do apelacji. - Ostatni atut obrony. - To już coś, od czego możemy zacząć negocjacje.

Przez chwilę, Harry i ja, omawiamy szansę na uzyskanie ugody. Mało prawdopodobne, żeby nam się udało, jednak wygląda na to, że jest to najsensowniej sze z tych kilku marnych rozwiązań, które możemy brać pod uwagę. Podczas gdy my zastanawiamy się, jak do tego podejść, widać, że Acosta zajęty jest własnymi czarnymi myślami. Siedzi na krześle po drugiej stronie pancерnej szyby, wsparłszy podbródek na złożonych dłoniach. Nagle w pół zdania przerywa nasze prawnicze rozważania.

- Jest jeszcze inne rozwiązanie - oznajmia.

- Jakie?

- Mógłbym z nim porozmawiać - mówi. - Zadzwońię do Oskara i poproszę, żeby mnie odwiedził.

- Nie ma mowy - ucina Harry.

- Jest nadal moim przyjacielem - mówi Acosta. - Bez względu na to, co

mu pokazała policja -dodaje. -Jestem przekonany, że mnie wysłucha.

- Jasne, a potem wsadzą go na podium dla świadków i zaczną pytać o waszą rozmowę. Ładnie będziemy wyglądać, jeśli powie, że go pan prosił, żeby nie zeznawał, albo co gorsza, skłamał. - Harry ma rację. To pewna droga do katastrofy.

- Nie będę go prosił, żeby kłamał - mówi Acosta.

- W takim razie nie rozumiem, po jaką cholere chce się pan z nim spotykać? - pyta Harry. Chce mu przez to powiedzieć, że nawet krzywoprzysięstwo nie zdoła odrobić szkody, jaką Acosta sam sobie wyrządził wypowiadając bezmyślnie pogrożki pod adresem Brittany Hali.

- W żadnym wypadku nie poproszę go, żeby skłamał. -Acosta prezentuje godną podziwu nieugiętość. To jest kwestia honoru.

- No cóż, proszę mi wybaczyć - mówi Harry - ale Kline nie będzie miał większych trudności z przedstawieniem tego w takim świetle. Nie sądzi pan?

Niepewne spojrzenie zza pancерnej szyby.

- Ma pan rację. Oczywiście - przyznaje. - Nie mam pojęcia, dlaczego tak pomyślałem. Tylko głupiec jest swoim własnym adwokatem.

- W tym przypadku, musimy wziąć małą poprawkę - powiada Harry. - Epitet w jednakowym stopniu dotyczy adwokata i klienta.

Acosta reaguje uśmiechem, lecz Harry, wbrew pozorem, nie jest w nastroju do żartów.

282

Po południu Kline przedstawia materiał dowodowy, który - jak to obiecał przysięgłym w swojej mowie wstępnej - ma powiązać pęknięte okulary, znalezione w mieszkaniu Brittany Hali, z osobą mojego klienta.

Wkraczając na salę rozpraw Kline, jak zwykle, wnosi powiew ekskluzywnej elegancji, możliwej dzięki pieniądзом żony. Dzisiaj ma na sobie garnitur z szarej wełny na jedwabnej, brązowej podszewce, błyskającej dyskretnie przy każdym kroku, a do tego wykrochmaloną białą koszulę z najlepszego lnu, zdobną w długie francuskie mankiety i oszłamiający krawat w imperialne barwy.

Wewnątrz garnituru rozpiera się rosnąca z każdym dniem pewność siebie, której nic nie zaszkodziło lanie zebrane we wcześniejszej fazie procesu. Każdy kolejny świadek zdaje się dodawać mu parę centymetrów wzrostu. Prokurator okręgowy, którego na sali sądowej jest coraz bardziej pełno oraz że ma to wpływ na świadomość sędziów przysięgłych, nie stanowi bynajmniej pomyślnego znaku dla obrony. Te kilka policzków, które otrzymał na początku, nauczyło go odpowiadać pięknym za nadobne. Mimo początkowych niepowodzeń z niektórymi świadkami oskarżenia, zaczynamy obserwować coś na kształt ewoluującej metody prowadzenia procesu, która tylko patrzeć, jak rozwinie się w dobrze przemyślaną strategię. Świadomie i z premedytacją Kline przyjął pierwsze ciosy, zachowując siły na końcową walkę.

Doktor Norman Hazlid jest kimś, kogo można by nazwać „doktorkiem z kantorka”. Urzęduje na terenie centrum handlowego w północnej części miasta, gdzie wykonuje szybkie badania wzroku i kieruje swoich klientów do stoiska z okularami kupowanymi na zniżkę, będącego własnością koncernu optycznego, z którym ma kontrakt. Vision Ease oferuje szeroki wybór oprawek i szkieł po sześćdziesiąt dziewięć dolarów, do odebrania w ciągu godziny.

Hazlid jest dobrze ubranym mężczyzną po czterdziestce, wygadany, jeśli

chodzi o kwestie związane z jego zawodem.

Z pękniętymi okularami zetknęliśmy się już wcześniej, podczas przesłuchania detektywów z Wydziału Zabójstw, którzy zidentyfikowali je jako parę szkieł znaną w mieszkaniu Brittany Hali. Zostały wówczas opatrzone numerem kolejnym, który wymienia teraz Kline, prosząc woźnego o przyniesienie ich z wózka z dowodami rzeczowymi.

Na jego żądanie świadek wyjmuje okulary z papierowej torebki, w którą są zapakowane. Ponieważ są częściowo poplamione krwią, Hazlid ma na rękach chirurgiczne rękawiczki.

- Panie doktorze, czy miał już pan okazję oglądać te okulary? - pyta prokurator.

-Tak.

- Zaczniemy może od ich stanu - mówi Kline. - Co może nam pan o tym powiedzieć?

- Lewe szkło jest pęknięte. Powiedziałbym, iż wymagało to sporej siły.

- Może ktoś na nie nadepnął?

Jest to klasyczne pytanie naprowadzające, ale zważywszy brakujący fragment soczewki, wyjęty ze stopy ofiary, co potwierdził raport z sekcji zwłok, nie widzę sensu zgłaszania sprzeciwu.

- Bardzo możliwe - zgadza się Hazlid.

Ujmuje okulary w dwa palce, żeby dokładniej im się przyjrzeć.

- Metalowa ramka jest wygięta prawdopodobnie na skutek działania tej samej siły, która spowodowała pęknięcie soczewki. Z lewej strony brakuje śrubki.

- Chodzi panu o część przytrzymującą nausznic? - Kline nazywa to

zawiasem.

- Właśnie. - Chociaż Hazlid zapewne użyłby innego słowa.
- Proszę nam powiedzieć, czy te okulary mają w sobie cokolwiek wyjątkowego, czy to pod względem oprawki, czy to szkiele?
- I pod jednym, i pod drugim.

Próbuję słuchać, co mówi świadek, ale Acosta zaczyna szeptać mi na ucho.

Upiera się, że po raz pierwszy w życiu widzi doktora na oczy. Nigdy u niego nie był i nie ma pojęcia, w jaki sposób Hazlid może powiązać okulary z jego osobą. Mówię mu, żeby usiadł wygodnie i się odprężył, lecz moja rada nie odnosi większego skutku.

- Zaczniemy od oprawek -mówi Kline. -W jakim sensie są wyjątkowe?

- Ten rodzaj oprawek jest produkowany wyłącznie dla Vision Ease.

Specjalne zamówienie - powiada Hazlid.

- Czy mają jakąś nazwę albo numer modelu?
- Nazywają się Specter Cztery Trzydzieści.
- I można je nabyć tylko w stoiskach Vision Ease?
- Tak.

Zła wiadomość dla obrony.

- Czy potrafi nam pan powiedzieć, ile sztuk takich oprawek Vision Ease sprzedało w ciągu ostatnich pięciu lat?

- Mogę to sprawdzić.
- Bardzo proszę.

Hazlid przyniósł ze sobą wydruk komputerowy, długą wstęgę poskładanego w harmonię papieru. Przebiegają wzrokiem, aż wreszcie znajduje to, czego szukał. Przytyka palec do pozycji tuż obok lewego marginesu, po czym przesuwając go przez całą szerokość kartki. Wreszcie,

podnosi wzrok.

- Sprzedaliśmy czterdzieści jeden sztuk - powiada.

- Tylko tyle? W całym kraju?

- Zgadza się.

Hazlid wyjaśnia, że oprawki są produkowane dopiero od dwóch lat, że są bardzo drogie i prawdopodobnie dlatego nie cieszą się popytem.

- Ile za nie bierzecie? - pyta Kline, przyglądając się okularom, jakby sam był skłonny rozważyć ich kupno, gdyby nie były poplamione krwią i nie miały pękniętego szkła.

284

- W hurcie kosztują sto siedemdziesiąt dziewięć dolarów. Cena detaliczna wynosi czterysta osiemnaście dolarów.

One kwituje tę ponad dwukrotną różnicę przeciągłym gwizdnięciem. Paru sędziów przysięgłych wybucha śmiechem. Gdybym mógł, chętnie zgłosiłbym sprzeciw.

- To są oprawki od projektanta - Hazlid próbuje usprawiedliwić ich słoną cenę.

Kline posyła Acoście potępiające spojrzenie, które właściwie można by uznać za czystej wody insynuację. Sędziowie przysięgli w mig chwytają aluzję. Tkwią tutaj za trzydzieści dolarów dziennie, plus diety, podczas gdy przed nimi stoi człowiek oskarżony o nabycie oprawek wartych połowę ich miesięcznej pensji.

- Czy wie pan, ile sztuk takich oprawek zostało kupionych w pańskim sklepie?

Tym razem Hazlid nie musi podpierać się wydrukiem komputerowym.

- Trzy - powiada.
- Pański sklep jest jedynym punktem sprzedaży Vision Ease w naszym mieście?
- Zgadza się.
- Gdzie znajduje się najbliższy sklep, prowadzący sprzedaż tych oprawek?
- Bay Area - mówi Hazlid.

Kline czym prędzej zamyka i tę drogę ucieczki. Pyta, ile oprawek sprzedał sklep w Bay Area i otrzymujemy następane cztery sztuki. Pozostałe sklepy Vision Ease znajdują się na południu stanu i, jak się dowiadujemy, sprzedały łącznie dalszych pięć sztuk oprawek.

- To nam daje dwanaście sztuk oprawek - Kline szybko policzył w pamięci - sprzedanych na terenie całego stanu w ciągu ostatnich dwóch lat.

- Zgadza się.

- Czy macie zwyczaj odnotowywać dokonane transakcje?

- Poszczególne stoiska prowadzą inwentaryzację komputerową - powiada. Harry wypuszcza z dłoni długopis i podnosi do góry oczy. Przesuwa wzrokiem po lampach na suficie sali rozpraw, po czym wzrok prześlizguje się ponad moją głowę. Jego odruch nie oznacza niczego dobrego. Jakoś powstrzymuję się od odpowiedzi mu w ten sam sposób.

- Kiedy klient dokonuje zakupu, zapisujemy jego adres i numer telefonu, numer nabytego towaru i numer karty, jeśli ją u nas ma.

Staram się zachować zimną, obojętną minę. Siedzący obok mnie Acosta przypomina automat. Nie odezwał się ani słowem od swojego oświadczenia, iż nigdy w życiu nie widział Hazlida na oczy.

- Tak więc ma pan dane wszystkich trzech klientów, którzy nabyli w pańskim sklepie oprawki Specter Cztery Trzydzieści?

-Tak.

- Czy jednym z trzech klientów, którzy nabyli owe oprawki, był oskarżony, Armando Acosta?

- Nie.

Z piersi Hardego wyrywa się głośne westchnienie ulgi. Podnosi ze stołu długopis, ociera dłonią kropelki potu pod nosem i rzuca Acoście przyjazne spojrzenie. Posuwa się nawet do tego, że poklepał go po ramieniu -pierwszy gest solidarności z klientem, na jaki się zdobył od początku procesu.

- Czy była wśród nich inna osoba o nazwisku Acosta? -Tak.

Harry natychmiast traci nastrój do demonstracji przyjaźni.

- Czy może nam pan podać jej imię?

- Liii Acosta - oznajmia świadek.

- Czy zna pan adres?

- Sorenson Way trzydzieści cztery, Oak Grove - powiada.

Harry gwałtownie pstryka palcami, wypuszczając z nich długopis. W jego oczach Kokos znowu jest ostatnim gównem.

Liii nie ma dzisiaj na sali rozpraw, nie przyszła po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu i nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zastanawiać się, czy nie zrobiła tego umyślnie. Harry patrzy na mnie ponad szklami okularów, jego mina krzyczy, a nie mówiłem?

- Zupełnie o nich zapomniałem - szepcze mi w ucho Acosta. - To był prezent od mojej żony. Nosilem je tylko w domu.

To wyjaśnia, dlaczego daliśmy się wystrychnąć na dudka: nie zamówione u optyka, z którego usług zawsze korzystał Acosta, okulary nie mogły



figurować w jego rejestrach. Nie przyszło nam do głowy, żeby ich szukać gdzie indziej i teraz obudziliśmy się z ręką w nocniku.

Kline odstepuje o krok do tyłu i zwraca się do Radovicha spoglądającego na salę z wyżyn ławy Sądu.

- Sądzę, że protokół powinien zawierać uwagę, iż jest to adres oskarżonego i jego żony, Liii Acosta? - mówi i rzuca pytające spojrzenie w moją stronę.

- Bez naszej zgody - mówię. Cokolwiek, byleby skończyć dyskusję.

- Kiedy dokonano zakupu? - Kline wraca do świadka.

- Rok temu, osiemnastego września.

Podaje nam cenę, bez żadnych zniżek, i informuje, że liii zapłaciła kartą kredytową, opiewającą na wspólne konto z mężem.

- Ale przecież to są męskie oprawki? - dziwi się Kline.

- Zgadza się. Przypuszczam...

- Sprzeciw.

- Podtrzymuję sprzeciw. Obejdziemy się bez przypuszczeń - powiada Radovich.

Kline przegrupowuje siły. Skoro ta droga została zablokowana, trzeba spróbować innej.

286

- Czy liii Acosta wspomniała, dla kogo kupuje okulary?

- Zgłaszam sprzeciw. Pytanie o świadectwo ze słyszenia. Z zeznań świadka nie wynika, żeby osobiście sprzedał okulary - mówię do Radovicha.

- Sprzeciw podtrzymany.
- Czy zapis komputerowy zawiera jakieś dane na ten temat? - pyta Kline.
- Nie.

Kline nie potrzebuje odpowiedzi, wystarczy samo pytanie. Sędziowie przysięgli potrafią samodzielnie sobie wyjaśnić, co może oznaczać nabycie męskich okularów przez zameżną kobietę.

- Zajmijmy się teraz soczewkami - proponuje. - Czy, pana zdaniem, czymś się wyróżniają?
- Są wykonane z bardzo drogiego szkła - mówi Hazlid. - Poza tym bardzo niewielu ludzi używa takich soczewek.
- Proszę nam powiedzieć coś więcej o tym drogim szkle - prosi Kline patrząc wymownie na Acostę.
- Jest to dość rzadko stosowane szkło najwyższej jakości. Bardzo cienkie, bardzo lekkie, ale można mu nadać dużą moc korekcyjną.
- W wypadku tańszego szkła nie byłoby to możliwe?
- Nie.
- Jak się domyślam, klient słono za to płaci?
- Mniej więcej dwa razy tyle, co za zwykłe szkła optyczne.
- O jakich sumach rozmawiamy?
- Na ogół sto, sto pięćdziesiąt dolarów.
- A w przypadku szkieł zamówionych przez panią Acostę?
- Sto pięćdziesiąt dolarów.

Gwałtownie zbliżamy się do kwoty, jaką większość rodzin przeznaczają miesięcznie na jedzenie i ubrania, a nie uwzględniliśmy jeszcze honorarium okulisty ani podatku.

- Myślałem, że pański punkt prowadzi sprzedaż zniżkową? - zauważa

Kline.

- To prawda - przyznaje świadek. - Oferujemy także usługi ekspresowe.

Niektórzy klienci życzą sobie, żeby im zrobić okulary natychmiast.

-Pstryka palcami dla podkreślenia swoich słów; trudno się oprzeć wrażeniu, że musiał to sobie przeciwwić.

- Zgłaszam sprzeciw. To są spekulacje.

- Obalam sprzeciw - powiada Radovich.

Kline nie zapomniał odrobić pracy domowej i zbiera teraz owoce swojej skrupulatności, wywijając hołubce na naszym grobie. A wszystko po to, żeby rozjątrzyć sędziów przysięgłych. Udało mu się nakreślić uroczy obrazek: Acosta, żyjący jak księżę za pieniądze podatników, dość bogaty, by obnosić oprawki najlepszych projektantów, i zbyt ważny, by zaczekać w kolejce jak pospólstwo.

287

i

- Zapewne nie co dzień zdarza się wam sprzedawać równie drogie szkła? - mówi Kline.

- Najwyżej parę razy do roku.

Ma na myśli kilku specjalnych klientów, jednego czy dwóch szejków arabskich i może jeszcze pewnego sędziego.

- Przypuszczam, że musi pan pamiętać wszystkie takie, szczególnie korzystne, transakcje?

- Sprzeciw. Pytanie naprowadzające. Prokurator zakłada prawdziwość faktów nie objętych materiałem dowodowym.

- Panie Kline - powiada Radovich - jeśli chce pan zeznawać, proszę złożyć przysięgę i zająć miejsce dla świadka.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie.
- Dlaczego nie spróbuje pan jeszcze raz? - proponuje sędzia. Kline przegrupowuje siły.
- Czy tego rodzaju transakcja nie wyróżnia się spośród innych, zwyczajnych transakcji?
- Owszem.
- Czy wie pan, ilu klientów nabyło tego rodzaju kosztowne szkła razem z oprawkami Specter Cztery Trzydzieści, odkąd wprowadzono je do sprzedaży w punktach Vision Ease?
- Dwóch - pada odpowiedź.
- Czy liii Acosta była jednym z nich?
- Tak.

Przywykło się uważać, że nic nie może pogrążyć bardziej człowieka oskarżonego o morderstwo niż odcisk jego palca na narzędziu zbrodni. Jednak to, co robi w tej chwili Kline, ma spore szansę okazać się równie zabójcze w skutkach. Patrząc na zakrwawione okulary, spoczywające na drewnianej barierce podium dla świadków i na tego właśnie świadka, zaczynam rozumieć, co takiego kazało uwierzyć Oskarowi Nicholowski, iż jego przyjaciel jest winny.

- Czy, oprócz materiału i ceny, te soczewki mają w sobie jeszcze coś godnego uwagi?
- Są to soczewki korekcyjne dla bardzo rzadko spotykanego rodzaju astygmatyzmu.
- Czy mógłby nam pan to wyjaśnić w sposób zrozumiały dla laika?
- Mamy tutaj zwyczajne szkła do czytania, jakie zapisuje się ludziom w pewnym wieku. Jednak pacjent, który je nosił, cierpiał również na pewną

odmianę astygmatyzmu, dolegliwość wywołaną nieprawidłowościami krzywizny soczewki oka. Światło wchodzące do oka skupia się w więcej niż w jednym punkcie, co w poważnych przypadkach powoduje zamazany obraz. Pacjent, który nosił te okulary, cierpiał na astygmatyzm w obu oczach.

- Czy to był poważny przypadek?
- Dostyc - powiada Hazlid. - Stanowiłby znaczne utrudnienie przy wykonywaniu niektórych zawodów.

288

- Nie będziemy wchodzić w rozważania na temat metod korekcji. Nie będzie nam to potrzebne - oznajmia Kline. - Jednak chciałbym zapytać, czy potrafi nam pan powiedzieć, jaką moc i cylinder mają okulary, o których rozmawiamy?

Moment dramatycznego napięcia, Kline z obnażonym mieczem w dłoni przygotowuje się do zadania śmiertelnego uderzenia.

- Owszem.
- W takim razie proszę poinformować sędziów przysięgłych.
- Oprócz zwyczajnej mocy szkieł do czytania, plus dwie dioptrie w każdym oku, korekta dla astygmatyzmu wynosi, w lewym oku: 3.25 dioptrii i dwadzieścia trzy stopnie, a w prawym: 4.25 dioptrii i sto pięćdziesiąt siedem stopni.
- Czy, pańskim zdaniem, można nazwać te szkła szczególnymi?
- Powiedziałbym, że są to wyjątkowo rzadko spotykane szkła. Odnoszę wrażenie, że Kline zaszedł dalej niż sam się tego spodziewał.

Kieruje promienny wzrok ku ławie przysięgłych, obdarzając zasiadających w niej sędziów już nie uśmiechem, lecz ekstatycznym wyrazem najwyższego wtajemniczenia. Na sali niemal słysząc trzask elektrycznych wyładowań, towarzyszących gwałtownej zmianie w nastawieniu przysięgłych, którą niełatwo mi będzie odrobić, kiedy zastąpię Kline'a przy przesłuchiwanie świadków. Pojedynczy dowód rzeczowy w postaci pary okularów pozwolił Kline'owi zbliżyć się niebezpiecznie do granicy uzasadnionych wątpliwości, za którą leży Ziemia Obiecana prokuratorów, gdzie to my będziemy musieli udowodnić, iż nasz klient jest niewinny.

- Proszę nam powiedzieć, panie doktorze, czy ma pan w swojej dokumentacji ostatnią receptę oskarżonego, Armanda Acosty, zrealizowaną w punkcie Vision Ease?

-Tak.

- Na jakie szkła opiewa owa recepta?

- Na takie, jak przed chwilą panu powiedziałem - mówi Hazlid. - Jest to recepta na takie same szkła, jak te, które mają okulary stanowiące dowód rzeczowy.

Kiedy to mówi, w ławie przysięgłych panuje taka cisza, iż można by zlokalizować upadającą szpilkę po odgłosie wydanym przy zetknięciu z podłogą. Osiemnaście par oczu - należących do sędziów przysięgłych oraz ich zmienników - wpatruje się w jeden punkt: w okulary leżące na drewnianej barierce. Każda twarz wyraża to samo pytanie: w jaki sposób oskarżony zamierza wyjaśnić obecność swoich okularów na miejscu zbrodni, nie mówiąc już o odprysku szkła tkwiącym w stopie ofiary niby pojedynczy element puzzli we fragmencie układanki?

19 - Sędzia

Po uporaniu się z okularami Kline wprowadza następnego świadka, który ma uwieńczyć jego dzieło niby lukier na pączku, śmietanka w kawie czy też ostatni gwóźdź do trumny, zależnie od punktu widzenia.

Oskar Nichols osiwił jeszcze przed pięćdziesiątką, zachował jednak przyjemny wyraz twarzy oraz sposób bycia starego kaznodziei, dla którego wydawanie wyroków w sprawach kryminalnych jest przeżyciem natury, czysto religijnej. Nadmiar subtelności sprawia, iż stary sędzia wydaje się dysonansem w naszych brutalnych czasach. Mniej życzliwi pracownicy w sądzie nadali mu miano „wujaszka Remusa”.

Nie można powiedzieć, żeby Nichols imponował potężną posturą. Na oko dałbym mu ze sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i najwyżej sześćdziesiąt pięć kilo wagi, wliczając w to piasek w kieszeniach.

Sympatyczny uśmiech, który ani na chwilę nie opuszcza jego twarzy, sprawia wrażenie sztucznego uśmiechu. Oddanie władzy sądowniczej w jego ręce potwierdza prawdziwość biblijnej przepowiedni, iż ziemię - a przynajmniej jej część, na której stoi ława sędziego - odziedziczą ludzie łagodnego ducha. Do dzisiejszego dnia nie udało mi się pojąć jego polityki. Wymierza sprawiedliwość na zasadzie konsensusu, prowadząc nie kończące się poszukiwanie niemożliwych kompromisów i w rezultacie zamieniając prawo w farsę, gdzie darzący się wzajemną nienawiścią prokuratorzy i obrońcy targują się o sprawiedliwy wyrok dla oskarżonego, który czeka tylko na okazję, żeby im obu poderznąć gardło.

Nichols wygląda jak dobrotliwy dziadek z bajeczki dla dzieci, żywy obraz niewinności, składającej za nas modły na ołtarzu powszechnego zaufania. Bez wahania wręczyłby zapalki notorycznemu podpalaczowi, narzekającemu, że jest mu zimno. W każdej sytuacji kieruje się

nadmiernym poczuciem sprawiedliwości, które w tym wypadku, niestety, przywiodło go do składania zeznań obciążających serdecznego kumpla.

290

Dziś rano Acosta sprawia wrażenie niemal ucieszonego widokiem starego przyjaciela. Jestem zmuszony własnym ciałem zabarykadować dostęp do przejścia pomiędzy rzędami, inaczej żadna siła nie powstrzymałaby go od rozmowy ze świadkiem zamierzającym właśnie posłać go na szubienicę.

Mimo moich zabiegów, udaje im się wymienić kilka szybkich uprzejmości - pytania o zdrowie żon i dzieci na oczach notującej wszystko pilnie prasy.

Po drugiej stronie dzielącego nas przesmyku Kline przegląda z uwagą jakieś papiery, naradzając się równocześnie z jednym ze swoich współpracowników. Trzeba mu przyznać, że nadzwyczaj zręcznie poczynił sobie z ostatnimi świadkami, dzięki czemu udało mu się odzyskać spory kawałek straconej wcześniej ziemi.

Jeśli chodzi o okulary znalezione na miejscu zbrodni, wciągnął nas w zręcznie zastawioną pułapkę, wynajdując przeoczony przez nas materiał dowodowy. Nie wpadliśmy na to, że mogły zostać zamówione u innego optyka, niż ten, u którego Acosta zaopatrywał się zazwyczaj. Armando gęsto się tłumaczył, przepraszając za fatalne w skutkach zaniedbanie.

Twierdzi, że od miesięcy nie widział tych okularów na oczy. Nie ma pojęcia, w jaki sposób trafiły na miejsce zbrodni.

Wziąłem Hazlida w krzyżowy ogień pytań, bez większej nadziei na opanowanie skutków katastrofy. Poszperałem trochę tu i tam, koncentrując się wreszcie na jedynym elemencie, który mógł nam się na coś przydać, a mianowicie na brakującej śrubce. Hazlid rzucił mi ochłap przyznając, że



badanie otwórku, z którego wypadła śrubka, pozwala przypuszczać, iż wyleciała ona jeszcze, zanim okulary zostały rozdeptane na podłodze salonu Brittany Hali. Brygada dochodzeniowa nie znalazła brakującej śrubki na miejscu zbrodni, a Hazlid zeznał, że bez niej trudno sobie wyobrazić używanie okularów.

Na tej podstawie wysnuwam przypuszczenie, którego świadek nie jest w stanie z miejsca odrzucić, iż niewykluczone, że zepsute okulary, nie używane przez właściciela, zostały wcześniej znalezione przez osobę trzecią. A z tego nasuwa się prosty wniosek, iż ten, kto je znalazł, podrzucił je na miejsce zbrodni. Czy sędziowie przysięgli w to uwierzą, czy nie, to już inna sprawa.

Osoba Nicholasa przedstawia dla mnie całkiem odmienny zestaw problemów. Ze strategicznego punktu widzenia największą trudność stanowi przyjaźń obu mężczyzn, licząca sobie z górą dwadzieścia lat. Wszyscy w sądzie wiedzieli, że obaj byli ze sobą bardzo blisko. Jeżeli Acosta miał do kogoś zaufanie na płaszczyźnie profesjonalnej, to tylko do Oskara Nicholasa. Właśnie owa przyjaźń oraz nie dające się zatrzeć wrażenie, iż Nichols zaczął wierzyć w winę swojego przyjaciela, najbardziej zagrażają naszej sprawie. - Oto staje przed nami przyjaciel oskarżonego, sędzia, który wydał już swój własny wyrok. Po tym, co przed chwilą usłyszeliśmy na temat okularów, mamy poważne powody obawiać się, że w niepomysłnym dla nas kierunku zwróci się sympatia sędziów przysięgłych.

291

Kline zaczyna przesłuchanie od niezbyt zręcznych pytań na temat układów towarzyskich. Zwraca się do Nicholasa per „Wysoki Sądzie”, by czym

prędzej się poprawić i przejść na „sędziego”. Kłóci się to nieco z jego wcześniejszym oświadczeniem, iż na sali rozpraw jest tylko jeden sędzia, ale przecież nie możemy oczekiwać, żeby ktoś taki, jak Kline dał sobie związać ręce wymogami pospolitej konsekwencji.

- Panie sędzio, czy zechciałby pan powiedzieć ławie przysięgłych, od jak dawna zna pan oskarżonego?

- Od ponad dwudziestu lat - mówi Nichols.

- Czy uważa się pan za jego przyjaciela?

Spojrzenie Nicholasa biegnie ku Acoście, przy czym z piersi sędziego wyrывa się głębokie, bolesne westchnienie, które można zinterpretować na kilka sposobów.

- Tak. Jestem jego przyjacielem - powiada. - Taką mam przynajmniej nadzieję - dodaje.

Gdyby podłączyć go do maszyny obliczającej na podstawie głosu natężenie stresu, strzałka wyskoczyłaby poza skalę.

Kline zabiera się do niego powoli, starając się wciągnąć w pułapkę na pozór niewinnymi pytaniami: o ascetyczny charakter zawodu sędziego, o jednoosobową odpowiedzialność i poczucie osamotnienia przy wydawaniu wyroku. Oczywiście jest, że wszystko to powoduje ogromne stresy i potrzebę zwierzenia się komuś o tych samych doświadczeniach zawodowych.

- Przypuszczam, że owa specyfika zawodu musi sprzyjać nawiązywaniu przyjaźni? - wyciąga Kline. - Rodzi potrzebę wzajemnych wynurzeń? - Ma na myśli dzielenie się ponurymi sekretami sądownictwa.

- Zapewne, prędzej czy później, każdy z nas znajduje sobie powiernika - przyznaje Nichols. - Kogoś, z kim można porozmawiać o sprawach

zawodowych.

To nie jest dokładnie to, o co chodziło Kline'owi.

- I o sprawach osobistych - dopowiada. - Sądzę, że o tym także musicie rozmawiać?
- Zdarza się - mówi Nichols.
- Czy w przeszłości utrzymywał pan tego rodzaju stosunki z oskarżonym?
- Bywało.
- Czy oskarżony odwzajemniał pańskie zaufanie? Mówił panu o swoich sprawach? - Kline prowadzi przesłuchanie, gestykulując z wielkim ożywieniem, zapewne po to, żeby pokazać, iż nie ukrywa kart w rękawie marynarki.
- Owszem - pada odpowiedź.
- Tak więc zwierzaliście się sobie nawzajem ze swoich kłopotów.
- Od czasu do czasu.
- Panie sędzio, czy zna pan restaurację „J Street Diner”, znajdującą się nieopodal gmachu Sądów, przy tej samej ulicy?

292

- Owszem.
- Czy chodzi pan tam czasem na kawę?
- Zdarza się.
- Czy to jedno z tych miejsc, dokąd sędziowie wymykają się z Sądów, kiedy chcą mieć chwilę spokoju?

Nichols przez chwilę waży słowa prokuratora okręgowego. Wreszcie skłania głowę.

- Owszem, czasami.

- Miejsce, gdzie można swobodnie porozmawiać, z dala od tłumu prawników i dziennikarzy?
- Naprowadzające i sugestywne - oprotestowuję pytanie Kline'a. W końcu restauracja to nie parafialny konfesjonał.
- Podtrzymuję sprzeciw.
- W każdym razie możecie się tam wymknąć, kiedy macie dosyć Sądów? - Kline jest z powrotem tam, gdzie zaczął.

- Tak.

Kieruje uwagę świadka na dzień dwudziestego piątego czerwca ubiegłego roku i prosi go, żeby sobie przypomniał rozmowę z oskarżonym przy obiedzie tego dnia.

- Tak. Pamiętam. - Głos Nicholasa podjeżdża o oktawę wyżej, niezbita oznaka zdenerwowania. Pociąga łyk wody ze szklanki postawionej na barierce dla świadków, równocześnie posyłając wylężnione spojrzenie w kierunku Acosty.

- Przypomina pan sobie, który z panów zaproponował pójście na kawę? Czy to był pański pomysł, czy może oskarżonego?

- Wydaje mi się, że to był pomysł sędziego Acosty -mówi Nichols. Na chwilę podnosi wzrok, jakby chciał zapytać: Armando, pamiętasz? Ale natychmiast przypomina sobie, gdzie się znajduje.

- Czy oskarżony przyszedł po pana do pańskiego biura w Sądach?

- Wydaje mi się, że zadzwonił.

- Dlaczego dzwonił, zamiast zejść po prostu po schodach i zajrzeć do pańskiego gabinetu? - Kline doskonale wie, dlaczego. W owym czasie Acosta był zawieszony w wykonywaniu obowiązków sędziego w związku z oskarżeniem o nagabywanie prostytutki. Ale chce to usłyszeć z ust

świadka.

- Nie było go tego dnia w pracy - mówi Nichols.
- Z jakiego powodu?
- Z powodu kłopotów, które miał parę dni wcześniej. -Przez ten skrót myślowy Nichols rozumie aresztowanie swojego kumpla, przyłapanego sam na sam z panienką.

Na darmo Nichols próbuje złagodzić ostrze tej prawdy. Kline brutalnie przypomina mu paskudny incydent z glinami i prostytutką.

- Tak, zgadza się - powiada Nichols. - Sędzia Acosta ustąpił ze składu sędziowskiego.

293

- Ustąpił, czy też może został zawieszony? - Teraz już Nichols nie wykazuje chęci współpracy. Być może, zaczął wątpić w słuszność swojej decyzji.
- Przypuszczam, że „został zawieszony” będzie bliższe prawdy.
- Świetnie - cieszy się Kline. - Chodzi o to, żebyśmy mogli stwierdzić to wyraźnie do protokołu.

Nichols wraca do szklanki z wodą. Pije, ociera pot z czoła, rzuca co chwila ukradkowe spojrzenia w stronę Acosty, który siedzi z kamienną twarzą, wzruszając tylko lekko ramionami, kiedy usłyszy stwierdzenie, któremu nie może zaprzeczyć - coś w rodzaju milczącej dyspensy dla znajdującego się w kłopotliwej sytuacji przyjaciela.

- Obawiam się, że to wszystko jest dla pana bardzo nieprzyjemne? -pyta Kline.
- Nie ma w tym nic zabawnego - stwierdza Nichols i głęboko wzdycha. Kline doskonale zdaje sobie sprawę, że im większe cierpienie sędziego,

tym chętniej świadkowie przysięgli dadzą wiarę jego zeznaniom.

- Czy podczas tamtej rozmowy przy kawie był obecny ktoś jeszcze, oprócz pana i oskarżonego?

- Chodzi panu o naszą rozmowę przy obiedzie?

- Tak. Przy obiedzie - poprawia się Kline.

- Nie. Tylko my dwaj.

- Czy przypomina pan sobie, o czym rozmawialiście?

- Był...

- Oskarżony?

- Tak. Oskarżony był...

Kline'owi udaje się włożyć słowo w usta świadka zajętego poszukiwaniem jak najłagodniejszego terminu na to, co chce powiedzieć. Nichols wreszcie przystaje na „zdenerwowany”.

- A czym konkretnie oskarżony był zdenerwowany? - pyta Kline.

- Aresztowaniem - pada odpowiedź.

- Chodzi o jego aresztowanie w trakcie policyjnej obławy na prostytutki?

- Tak.

- Cóż, określenie „zdenerwowany” może oznaczać całą gamę przeróżnych stanów - powiada Kline. - Proszę nam wyjaśnić, co pan miał dokładnie na myśli mówiąc, że oskarżony był zdenerwowany.

- To, że był zdenerwowany. - Nichols nie ma najmniejszego zamiaru wystąpić z zestawem synonimów, z których Kline będzie mógł sobie wybrać najbardziej niekorzystny dla oskarżonego.

- Czy chciał pan przez to powiedzieć, że oskarżony był załamany?

Nichols zastanawia się w milczeniu nad podsuniętym słowem, świadom, że to zupełnie nie to, o co mu chodziło. Wreszcie jednak się zgadza.

- W pewnym sensie był załamany.
- A może był zły? Wściekły? - Kline wolałby raczej coś w tym rodzaju.
- To też - przyznaje Nichols.

294

Kline koncentruje się na części wypowiedzi, dotyczącej gniewu Acosty i pyta, czy był skierowany przeciwko jakiejś konkretnej osobie.

- Przeciwko policji w ogóle - powiada Nichols.

Dla wszystkich jest jasne, co tu się dzieje. Kline stara się obejść możliwie najszerszym łukiem kwestię pułapki zastawionej przez gliniarzy, którzy, jak twierdzi Kokos, wrobili go w całą aferę. Wolałby uzyskać od świadka zeznanie, że Acosta był wściekły tylko dlatego, iż dał się złapać.

Wystrzeliwszy jeszcze kilka próbnych pocisków, rezygnuje wreszcie z postawienia zasadniczego pytania: co tak rozwścieczyło Acostę? Zamiast tego, próbuje zawęzić obiekt jego gniewu.

- Czy wściekłość oskarżonego skupiała się szczególnie na jakimś konkretnym pracowniku albo może współpracowniku policji?
- Chodzi panu o tę kobietę? - domyśla się Nichols.

Kline nie odpowiada, przechyla się za to do przodu i wbija wzrok w sędziego, jakby w osobie świadka drzemał jakiś tajemniczy magnetyzm.

- To prawda, że jego uwagi były adresowane do niej - przyznaje Nichols.
- Ma pan na myśli ofiarę zabójstwa, Brittany Hali?
- Tak.

Kline oblizuje wargi, nareszcie usłyszał to, czego chciał.

- Panie sędzio - zaczyna i zajmuje strategiczną pozycję na wprost podium dla świadka. Stopy ma osobno, kolana razem, ramiona wyciągnięte do

przodu, usztywnione dłonie ustawione równoległe do siebie. -Chciałbym pana teraz prosić o chwilę koncentracji. Niech pan sobie spróbuje dokładnie przypomnieć tylko te fragmenty rozmowy, które dotyczyły bezpośrednio panny Brittany Hali. - Milknie, i patrzy na świadka, jakby chciał zapytać: Chwyta pan, o co chodzi?

Nichols kiwa głową, że chwyta.

- Czy potrafiłby pan przytoczyć, w miarę możliwości dosłownie, konkretne wypowiedzi oskarżonego?

Następuje dłuższa pauza, Nichols rozważa z każdej strony postawione przed nim zadanie. Zerka na Acostę, który akurat patrzy gdzie indziej.

- Pamiętam to i owo - powiada - ale nie jestem pewien, na ile dokładnie.

Upłynęło dużo czasu - mówi.

- Proszę się spokojnie zastanowić - radzi Kline.

- Przypominam sobie, że powiedział, iż panna Hali kłamie - mówi Nichols.

- Świetnie. I co jeszcze? - Nie zadaje narzucającego się wszystkim pytania, na jaki temat kłamała?

Jak dotąd Kline całkiem zręcznie lawiruje pomiędzy rafami i mieliznami związków przyczynowo-skutkowych, omijając wydarzenia, które dały Acoście powód do gniewu, czyli pułapkę zastawioną na niego przez gliny.

W razie czego zawsze może liczyć na to, iż Radovich każe usunąć z protokołu ewentualne uwagi, dotyczące podejrzeń Acosty, jako że, nie będąc pośrednim przyznaniem się do winy oskarżonego, mogą zostać

295

uznane za niedopuszczalne z punktu widzenia prawa o świadectwie ze słyszenia. Jeżeli zechcemy do tego nawiązać, będziemy musieli



przesłuchać samego Acostę. Nie ma co, Kline trafił w słaby punkt obrony.

- Proszę nam powiedzieć, czy mówiąc o Brittany Hali oskarżony używał jej nazwiska, czy też posługiwał się jakimiś innymi słowami? -Kline kluczy po polu minowym, za wszelką cenę starając się uniknąć zadania niewłaściwego pytania, które by otworzyło nam zamknięte drzwi.

- Owszem, używał epitetów - mówi Nichols.

- Jakich epitetów? - chce wiedzieć Kline.

- Używał brzydkich słów, zupełnie nie w swoim stylu - stwierdza świadek.

Zaczynam mieć wątpliwości, czy Nichols rzeczywiście tak dobrze znał mojego klienta.

- Proszę o usunięcie odpowiedzi świadka z protokołu - mówi Kline.

Radovich wychyla się z ławy.

- Będzie pan musiał odpowiedzieć na pytanie prokuratora - oznajmia Nicholsowi.

- Mche... ach... nazwał ją kłamliwą cipą.

- Tak się wyraził? - Kline odwraca się w stronę ławy przysięgłych.

-Kłamliwą cipą?

- Tak właśnie powiedział.

- Czy przypomina pan sobie jeszcze jakieś epitety?

- Nie. Nie. Nazwał ją tylko kłamliwą cipą i powiedział, że śmierć byłaby dla niej zbyt dobra.

- Tak powiedział? - Kline udaje zdziwienie, jakby po raz pierwszy to słyszał. - Nazwał ją kłamliwą cipą i powiedział, że śmierć byłaby dla niej zbyt dobra?

- Tak właśnie powiedział.

- Czy powiedział to na głos czy szeptem? - chce wiedzieć Kline.
- Mówił cicho.
- Ale pan dobrze go słyszał.
- Tak. Nie sądzę, żeby mówił to poważnie.
- Proszę o usunięcie z protokołu ostatniej wypowiedzi świadka - mówi Kline. - To są jego osobiste przypuszczenia.
- Sędziowie przysięgli nie wezmą pod uwagę ostatniej uwagi świadka. Kline odsuwa się o krok od podium dla świadków i patrzy przez chwilę na Nicholisa, w zamyśleniu pocierając palcem wskazującym dołek w podbródku.
- Nadal uważa się pan za przyjaciela oskarżonego, prawda?
- Tak.
- Jak pan myśli, czy on też uważa pana za przyjaciela?
- Oskarżenie nakłania świadka do snucia przypuszczeń - protestuję, usiłując wybronić Nicholisa od odpowiedzi.
- Podtrzymuję sprzeciw.

296

- W każdym razie chciałby pan, żeby oskarżony pozostał pańskim przyjacielem, prawda? - Ujął to w inny sposób.

Protestuję, nazywając to pytaniem naprowadzającym, ale Radovich obala mój sprzeciw. Na twarzy Nicholisa maluje się wyraz niepewności i z wątpienia.

- Mam nadzieję, że tak będzie.

Nagle uświadamiam sobie, że słowa Nicholisa zapędziły Acostę w myśl

dziurkę. Nie jest w stanie podnieść wzroku, żeby spojrzeć w oczy staremu przyjacielowi, chociaż powiedziałem mu przed wejściem na salę, że będzie musiał to zrobić, jeśli chce zachować twarz przed ławą przysięgłych. Siedzi kompletnie zdruzgotany, z miną zbitego psa. Wyczuwając znakomitą okazję do zebrania dodatkowych punktów, Kline przerywa przesłuchanie. W tej chwili każda para oczu w sali rozpraw wpatrzona jest w oskarżonego, który wygląda jak wcielenie wyrzutów sumienia.

Kline nie może uwierzyć w swoje szczęście. Na jego twarzy maluje się szczere zdziwienie, kiedy wraz z innymi gapi się na mojego klienta, przeciągając niezręcznie moment ciszy, tak że wreszcie Radovich musi mu przypomnieć, czym się powinien zajmować.

Korzystając z przedłużającej się pauzy, wyciągam rękę i kładę ją na ramieniu Acosty. Celowo demonstruję moralne wsparcie w trudnej dla niego chwili. Armando powoli unosi głowę, ze zdumieniem widzę, że w jego oczach pojawiają się łzy.

- Panie sędzio, czy to prawda, że był pan przesłuchiwany w czasie rozprawy wstępnej?

- Hmmm? - pytanie Kline'a wyrywa Nicholisa z bolesnej zadumy. - Ach. Tak - przyznaje.

- Ale nie opowiedział pan wówczas Sądowi o uwagach oskarżonego pod adresem panny Hali, jak pan to zrobił dzisiaj, na tej sali?

- Nie.

- Co pana wówczas od tego powstrzymało?

- Nie pytano mnie o to.

- A jednak teraz sam pan się do nas zgłosił, żeby ujawnić te informacje.

Dlaczego?

Pytanie o motywacje nieoczekiwanego przyływu szczerości jest jak sztylet wbity w serce sędziego. Musiał wiedzieć, że ten moment nastąpi, jednak wystarczy rzut oka na jego twarz, żeby zrozumieć, że nie ma przygotowanej odpowiedzi.

Nic więc dziwnego, że kiedy wreszcie decyduje się przemówić, wychodzi mu to raczej niezręcznie.

- Sądziłem, że powinienem o tym powiedzieć.

- Dlaczego?

297

- Bo to może mieć związek z popełnionym przestępstwem. - Mówiąc te słowa Nichols patrzy w stronę ławy przysięgłych, najwyraźniej uważając, że podał wystarczające wyjaśnienie.

- Ale w czasie rozprawy wstępnej, kiedy po raz pierwszy składał pan zeznania, to także mogło mieć związek z popełnionym przestępstwem.

Czyż nie?

- Przypuszczam, że ma pan rację.

- Jednak wtedy nie uważał pan za słuszne opowiedzenie Sądowi

o komentarzach oskarżonego?

- Tak.

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, Nichols wbija wzrok w sufit, zbierając myśli, szukając rozwiązania, które jak najmniej zaszkodziłoby jego przyjacielowi. Liczy otworki w płytkach akustycznej izolacji i modli się. Kline pozwala na chwilę brzemiennej ciszy, po czym podejmuje przerwany wątek.

- Panie sędzio, czy nie było tak, iż podczas rozprawy wstępnej miał pan poważne wątpliwości co do winy oskarżonego, lecz teraz już ich pan nie ma?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To oburzające. - Podrywam się na równe nogi. Harry idzie za moim przykładem, wydaje mi się, że słyszę w jego ustach tłumione przekleństwo.

Tymczasem Nichols w rzeczy samej odpowiada na pytanie prokuratora okręgowego. Jeśli dobrze odczytuję ruch jego warg, mówi „nie”, ale nikt na sali nie jest w stanie tego usłyszeć, a już najmniej ze wszystkich -protokółantka, która odrywa palce od klawiatury swojej maszyny do stenografii i unosi je do góry w geście kapitulacji.

W sali rozpraw panuje kompletny chaos. Chociaż w skrytości ducha wszyscy zadawaliśmy sobie to samo pytanie, fakt, że Kline ośmielił się wypowiedzieć je na głos w obecności sędziów przysięgłych, doprowadza Radovicha do ataku furii. Przedstawiciele prasy reagują z opóźnieniem na ripostę Nicholasa, pytając jeden przez drugiego „co on powiedział?”

Harry odwraca się, żeby udzielić im pożądanej informacji. Mówi „nie” i kilku dziennikarzy zapisuje to w swoich notesach. Możemy wygrać bitwę o media po to tylko, żeby przegrać wojnę.

Radovich nie wstaje z krzesła, przechyla się tylko przez barierkę, oddzielającą ławę sędziowską od reszty sali, z całej siły waląc młotkiem o drewniany blat.

- Każę opróżnić salę - ostrzega.

Jego groźba skutkuje i wrzawa zmniejsza się o parę decybeli. Korzystając z tego Radovich zwraca się do Kline'a.

- Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę, że to niedopuszczalne -mówi.

- Niech pan przygotuje portfel. - Radovich zamierza na oczach

298

/

całego świata ukarać oskarżyciela grzywną. Nie zadaje sobie nawet trudu usunięcia z sali sędziów przysięgłych. Oto przykład pieskiej doli prokuratorów: nie mają do kogo zwrócić się z apelacją.

Najbardziej zaskoczony tym wszystkim wydaje się sam Nichols. Idea podniesienia głosu na prawnika, nie mówiąc już o publicznym upokorzeniu, jest mu z gruntu obca. Z pewnością życzyłby sobie doczekać bardziej spokojnych czasów, kiedy zwycięstwo i porażka przestaną być wszystkim, co się liczy.

- Sędziowie przysięgli nie uwzględnią ostatniego pytania oraz wszelkich, wynikających z niego implikacji - instruuje Radovich.

- Nie mam do świadka więcej pytań - oświadcza Kline z roztargnieniem na twarzy, wyciągając książeczkę czekową z wewnętrznej kieszeni sztywnego marynarki.

- Bardzo rozsądnie z pańskiej strony - mówi sędzia. - To ostatnie pytanie będzie pana kosztować sześćset dolarów. Płatne u mojej sekretarki - dodaje.

- Proszę obrońców i oskarżyciela o przejście do mojego biura. Pięć minut przerwy - zarządza, z taką siłą waląc młotkiem w stół, że drewniana główka odrywa się do rączki i koziołkuje po podłodze, zatrzymując się dopiero na bucie jednego ze strażników.

Kiedy wchodzimy do jego gabinetu, Radovich wciąż dyszy gniewem. Kline chowa właśnie książeczkę czekową, przepaszając wylewnie za swoje zachowanie.

- Odezwałem się, zanim zdążyłem pomyśleć - usprawiedliwia się.
- Niewiele brakowało, żeby pańska gadatliwość postawiła pod znakiem zapytania uczciwość i bezstronność postępowania procesowego. - Radovich jest czerwony na twarzy.
- Nie sędzę, żeby to było aż tak poważne - protestuje Kline.
- Nie jest pan sądem apelacyjnym - mówi Radovich. - Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Wcześniej już musiał wyczuć, że Kline posiada wybujałe ambicje i teraz wymknęła mu się ta uwaga.
- Pańskie pouczenie w zupełności załatwia problem - upiera się Kline. - Ława przysięgłych nie weźmie pod uwagę mojego pytania.
- Jeśli można, Wysoki Sądzie, pan prokurator wyraził się zupełnie jasno - wtrącam. - Sędziowie przysięgli doskonale zrozumieli aluzję. Jestem przekonany, że przywiążą szczególną wagę do zeznań zawodowego sędziego, który nie miał żadnego powodu, żeby kłamać.
- Więc co pan proponuje? - pyta Radovich. - Mamy zacząć jeszcze raz, wszystko od początku? - Próbuje wybadać, czy mam zamiar powtórzyć proces i złożyć wniosek, który zresztą bez wątpienia by odrzucił.
- Nie - mówię.
- W takim razie, co? - pyta.

299

- Małe wyrównanie boiska - powiadam.

Kline rzuca mi czujne spojrzenie. Wie, że coś się szykuje, ale nie wie jeszcze, co.

- Sędzę, że wszyscy zauważyliśmy - zaczynam - iż przesłuchując świadka pan Kline zrećźnie ominął kwestię przyczyn gniewu mojego klienta. To gniew i rozgoryczenie popchnęły go do wypowiedzenia nie przemyślanych

uwag pod adresem ofiary. Uważam, że powinniśmy otrzymać zgodę na przesłuchanie świadka na tę okoliczność.

Kline wydobywa z siebie lament, który musi być znakomicie słyszalny na sali rozpraw. Dziennikarze myślą zapewne, że Radovich obdziera go ze skóry.

- Wysoki Sądzie, specjalnie wystrzegalem się poruszenia tego tematu. To nie ma żadnego związku ze sprawą. - Skamle przed biurkiem sędziego upierając się, że nie istnieje żaden precedens. - Zresztą - dodaje - wszystko, co Nichols mógłby o tym powiedzieć, będzie świadectwem ze słyszenia.

- W kwestii precedensu - mówię - chciałbym zaznaczyć, iż ustalanie kontekstu zeznań nie należy do rzadkości w praktyce prawnej.

Elementarne poczucie sprawiedliwości wymaga, żeby sędziowie przysięgli dowiedzieli się, w jakiej sytuacji mój klient wygłosił owe uwagi. Co go do tego nakłoniło?

- Cóż mogłoby usprawiedliwić coś tak ohydneho? - mówi Kline.

- Może zapytamy o to świadka? — proponuję.

- Kiedy wezwie go pan na świadka obrony - powiada - może go pan pytać, o co tylko pan zechce. Nie będę miał nic przeciwko temu.

Problem - z czego Kline znakomicie zdaje sobie sprawę - polega na tym, że wezwanie Nicholasa na świadka obrony zmusi nas do poruszenia kwestii sposobu zachowywania się Acosty, a wówczas jego przeszłość odsłoni się przed nami niby otwarta księga, o której zawartości sam nie mam pojęcia. Idę jednak o zakład, że Pbil Mendel i chłopcy z obyczajówki od dawna trzymają w szafie opasłe tomy pikantnych historyjek z życia Kokosa.

- Wystarczy - ucina Radovich. - Jeśli ma pan ochotę przepytac świadka na



temat motywów wypowiedzi oskarżonego - mówi patrząc na mnie -  
wyrażam zgodę.

- Ale... Wysoki Sądzie - ostatni protest zamiera na ustach Kline.
- Jeśli się to panu nie podoba, zawsze może pan zgłosić sprzeciw -ucina Radovich.

Skończywszy z nami podnosi się zza biurka i rusza do sali rozpraw. Kline i ja wleczeni się w tyle, nie przestając się kłócić.

Kiedy siadam z powrotem za swoim biurkiem, Acosta kładzie rękę na moim ramieniu. Chce wiedzieć, co jest grane.

- Nie wiem - mówię mu. - Pożyjemy, zobaczymy.

Radovich nakazuje ciszę. Nichols wraca na podium dla świadków.

- Świadek do pańskiej dyspozycji - mówi do mnie sędzia.

300

Nie daję dwa razy sobie tego powtarzać. Mój plan polega na tym, żeby przystąpić do kontruderzenia, zanim ostygnie gniew Radovicha. Jeżeli mam liczyć na jego pobłażliwość, to teraz albo nigdy.

- Zeznał pan - otwieram przesłuchanie - że, o ile pan sobie przypomina, mój klient, pan Acosta, zaczął od oskarżenia panny Hali o kłamstwo.
- Zgadza się — potwierdza Nichols.
- Czy wspomniał może, w jakiej sprawie kłamała?
- Sprzeciw. To nie ma żadnego związku ze sprawą.
- Odrzucam sprzeciw co do związku pytania ze sprawą - powiada Radovich.
- Świadectwo ze słyszenia - próbuje jeszcze raz Kline.

Po krótkim, jak mgnienie oka, wahaniu Radovich obala sprzeciw. Kline ma za swoje.

- Niech pan odpowie na pytanie - zwracam się do Nicholasa. Wygląda na zachwyconego, że może spełnić moją prośbę.

- Powiedział, że panna Hali skłamała co do charakteru rozmowy, jaką z nią odbył tuż przed aresztowaniem przez policję. Mówił, że wcale nie szukał usług prostytutki. Przeciwnie, to panna Hali zadzwoniła do niego i poprosiła o spotkanie.

- Czy wspomniał, dlaczego panna Hali chciała się z nim widzieć?

- Z tego co mówił sędzia Acosta, wynikało, iż panna Hali twierdziła, jakoby posiadała jakieś informacje dotyczące dochodzenia sądowego.

- Czy powiedział, o jakie dochodzenie sądowe chodziło?

- Tak. O prowadzone przez niego dochodzenie w sprawie korupcji w łonie policji, a konkretnie, w Związku Zawodowym Policjantów.

- Tak więc ze słów sędziego Acosty - Kline nie próbuje nawet oprotestować użycia przeze mnie tytułu - wynikało, iż został zwabiony na spotkanie pod pretekstem przekazania informacji związanych z jego obowiązkami służbowymi.

- Zgłaszam sprzeciw. Obrońca manipuluje zeznaniami świadka - Kline przerywa milczenie.

- Sprzeciw obalony.

Fakt, że Radovich nie podziela opinii prokuratora, przydaje wiarygodności moim spekulacjom.

- Tak mi powiedział.

- I to właśnie stanowiło przyczynę jego wściekłości?

- To oraz fakt, że panna Hali złożyła fałszywe zeznania - powiada

Nichols.

- I w tym to kontekście mój klient wygłosił swój nie przemyślany komentarz?

- Tak. Jak najbardziej. - Nichols jest gotów na wszystko, żeby złagodzić skutki swoich zeznań. Pragnąłby uczynić zadość obywatelskiemu obowiązkowi bez pogrążania swojego przyjaciela. To jest jego poczucie sprawiedliwości.

301

- Czy podczas rozmowy przy obiedzie, o której nam pan opowiedział, sędzia Acosta mówił coś na temat powiązań panny Hali ze Związkiem Zawodowym Policjantów, będącym przedmiotem dochodzenia sądowego?

- pytam.

Nichols przez chwilę intensywnie się zastanawia. Bardzo chciałby pomóc, ale niestety, nie może. Potrząsa przecząco głową.

- Nie wydaje mi się.

Oczekiwałem takiej odpowiedzi. Gdyby coś wiedział, nie czekałby na moje pytanie. Kiedy idzie o ratowanie zagrożonej przyjaźni, każdy sposób jest dobry. Pytam tylko po to, żeby zasiać ziarenko w umysłach sędziów przysięgłych.

- Czy sędzia Acosta powiedział panu, że panna Hali była blisko związana z pracownikami obyczajówki, a zwłaszcza, z policjantami, którzy towarzyszyli jej owej nocy, kiedy został aresztowany? - Zasadzone ziarenko wymaga troskliwego pielęgnowania.

- Nie. Obawiam się, że nie.

Odwracam się w stronę mojego stołu, jakbym uważał przesłuchanie za zakończone, lecz nagle staję w miejscu, niby zatrzymany nieoczekiwaną

myślą.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, panie sędzio. Jestem ciekaw - powiadam - czy wspominał pan policjantom, którzy pana przesłuchiwali, albo może prokuratorowi okręgowemu, o tym, że sędzia Acosta twierdził, iż aresztowanie go podczas obławy na prostytutki zostało z góry ukarowane?

- Tak. Powiedziałem policji to samo, co panu.

Przenoszę wzrok na Kline'a. Całe to przedstawienie tylko po to, żeby dać sędziom przysięgłym do zrozumienia, iż prokurator celowo to przed nimi ukrywał.

- I jak na to zareagowali? Czy próbowali dociekać, zadawali panu drobiazgowo pytania, na przykład o to, co panna Hali mogła powiedzieć mojemu klientowi, żeby go zwabić w pułapkę?

W oczach Nicholasa zapalają się iskierki nadziei. Może i ma naturę potulnej owieczki, ale na pewno nie brakuje mu inteligencji. W mig pojmuje, do czego zmierzam, i chwyta ofiarowaną mu szansę zrehabilitowania się w oczach Acosty.

- Prawdę mówiąc, nie - powiada. Po czym, zanim mam czas mu podziękować, posuwa się o krok dalej. - Odniosłem wrażenie, że wcale ich to nie interesuje.

Kline głośno wciąga powietrze, jednak powstrzymuje się od zgłoszenia sprzeciwu. Wie, że i tak jest już za późno.

Ostatniego świadka ze swojej listy oskarżenie zamierza przesłuchać wyłącznie po to, żeby zakończyć całe przedstawienie melancholijnym akcentem.

Trzeba przyznać, że Coleman Kline zadbał o teatralną oprawę. Na parę sekund przed przesłuchaniem, przeprasza i mówi, że ma ważne sprawy na mieście. Przedtem jednak informuje Radovicha, że następny świadek będzie wymagał szczególnego traktowania. Ponieważ obowiązki zawodowe nie pozwalają mu zostać na sali, postanowił powierzyć poprowadzenie przesłuchania jednej ze swoich zastępczyń, odpowiednio przygotowanej do kontaktów ze świadkiem.

Zgarnawszy swoje papiery, znika w drzwiach prowadzących do gabinetu sędziego. Sprytnie posunięcie, pozwalające wymknąć się kamerom telewizyjnym czatującym pod drzwiami sali. Następuje parę minut napiętego oczekiwania, w czasie których, zgodnie ze specjalnym zaleceniem Sądu, woźny nie ogłasza nazwiska świadka, chociaż i tak zainteresowani doskonale wiedzą, o kogo chodzi.

Wszystkie oczy zwrócone są na drzwi w tyle sali rozpraw. Jedno skrzydło uchyla się na ułamek sekundy, po czym znowu zamyka. Wreszcie drzwi otwierają się na pełną szerokość, żeby wpuścić małą procesję, prowadzoną przez woźnego sądowego. W otoczeniu dorosłych, tuż przy ziemi, niewiele ponad metr wzrostu, idzie Kimberly Hali. Z pluszowym misiem pod pachą, niechętnie kroczy w stronę podium dla świadków. Martwą ciszę przerywają szepty w rzędach dla publiczności - „to córeczka Brittany”. Przegraliśmy tę bitwę i Kline stara się teraz maksymalnie wyzyskać zwycięstwo. Harry i ja na wszystkie sposoby usiłowaliśmy przekonać Sąd, że, jak udowodniło wstępne przesłuchanie, mała Kimberly nie ma do

zaofiarowania niczego, co dałoby się włączyć w materiał dowodowy, ale Kline postawił w końcu na swoim.

Kimberly była w stanie zeznać, iż słyszała głośną kłótnię, prowadzoną podniesionymi głosami na krótko przed śmiercią swojej mamy.

Podprowadzona przez sugestywne pytanie Radovicha, przyznała także, iż głos, wyklócający się z jej matką tamtego wieczoru, należał do mężczyzny.

Ponownie zgłosiłem wniosek o usunięcie tego zeznania z protokołu i Radovich ponownie go odrzucił. Jeżeli mała powtórzy to samo przed ławą przysięgłych, będziemy mieli całkiem niezłą podstawę do apelacji.

Naturalnie nikt nie ma wątpliwości, że wzywając dziewczynkę na świadka Kline nie kierował się względami merytorycznymi, lecz taktycznymi.

Kimberly ma za zadanie uzmysłwić przysięgłym dalekosiężne skutki zbrodni, przypomnieć im, że cierpienie nie skończyło się wraz ze śmiercią matki dziecka. To śmiałe posunięcie ze strony Kline'a może okazać się równie niebezpieczne dla obu stron.

Kimberly towarzyszy oddział pomocniczy, złożony z babci, pani psycholog z Towarzystwa Opieki nad Dziećmi i zastępczyni prokuratora okręgowego, Julie Hovander, która w ciągu tych miesięcy zdołała nawiązać z małą coś w rodzaju osobistej przyjaźni.

Dziewczynka zostaje ulokowana na podium dla świadków. Babcia wraca na swoje miejsce za barierką oddzielającą publiczność. Pani psycholog zajmuje pozycję tuż obok małej, po zewnętrznej stronie barierki dla świadków, skąd może w każdej chwili poprawić dziecku kokardkę albo, jeśli będzie trzeba, poruszać jej ustami - jak w teatrze lalek.

Zgłaszam sprzeciw. Pomimo protestów pani psycholog, Radovich każe jej usiąść.

- Proszę mi wierzyć, że jeśli będziemy potrzebowali pomocy - mówi  
-pierwszy panią zawołam.

Piorunując go wzrokiem, kobieta siada na krześle, jednak nie ma zamiaru usunąć się do rzędów dla publiczności. Lokuje się przy stole oskarżenia, tuż obok pani prokurator.

Kiedy zgłaszam sprzeciw, Radovich robi wyjątek i każe mi siedzieć cicho. Znajdujemy się na grząskim gruncie. Sędzia nie chce wystraszyć dziecka. Przyciskając do piersi pluszowego misia, mała siedzi na swoim krześle i rzuca wokół nerwowe spojrzenia jak wielka gorylica w cyrku przebrana w odświętną sukienkę.

Kline i jego przybocznicy mieli parę miesięcy na głaskanie Kimberly po główce i podsuwanie jej różnych sugestii, niekoniecznie subtelnych. Mamy poważne powody do obaw, że na skutek długotrwałej pracy nad nią, usłyszymy tu dzisiaj rzeczy, których mała nie powiedziała podczas wstępnego przesłuchania. To mnie postawi przed cholernie niezręczną koniecznością zakwestionowania jej zeznań, co się na pewno nie spodoba przysięgłym. Może się zdarzyć, że Acosta zawisnie za morderstwo, którego nie popełnił, tylko dlatego, że jego obrońca był niemiły dla małej dziewczynki.

304

- Jak pan myśli? - pyta mnie. - Będzie się trzymać poprzednich zeznań?

- Któż może wiedzieć, co siedzi w główce dziecka? - stwierdzam filozoficznie.

- Z ust mi pan to wyjął.

Radovich konferuje szeptem z małą - prywatna rozmowa poza protokołem.

Sędzia rozplywa się w serdecznych uśmiechach. Zamiast ją zaprzysiąc, pyta, czy wie, na czym polega różnica pomiędzy prawdą a kłamstwem. Dziewczynka mówi, że prawda to, co się zdarzyło naprawdę, a kłamstwo to coś, co zostało zmyślane.

- Czy wiesz, które z nich jest dobre?
- Prawda - odpowiada dziecko.
- Obiecujesz, że dzisiaj będziesz mówiła tylko prawdę? -Tak.
- Tylko prawdę. Żadnych kłamstw - naciska Radovich.
- Dobrze.

Posługiwanie się słowami przychodzi jej zdecydowanie łatwiej niż parę miesięcy wcześniej, podczas wstępnego przesłuchania. Wnoszę z tego, że intensywnie nad nią pracowali.

- Świadek do pani dyspozycji - oznajmia Radovich.

Hovander jest typem urzędnika, niedbałego o styl, ale za to nie sposób odmówić jej skrupulatności. Należy do tych prawników, którzy wraz z każdym zestawem pytań posuwają się dwa kroki do przodu i trzy do tyłu.

- Jak ma na imię twój miś? - pyta. Coś dla nawiązania kontaktu.
- Głodny -mówi mała. Chodzi o misia, którego dostała od policji, kiedy Binky, niedźwiadek z miejsca zbrodni, został zabrany jako dowód rzeczowy.

- Dlaczego Głodny?
- Misie są zawsze głodne, a on nie może jeść.
- No cóż, to prawda - powiada Hovander.

Kline rozegrał to bardzo taktycznie. Między małą i panią prokurator istnieje wyraźna nić porozumienia. Harry, obawiam się, będzie miał znacznie trudniejsze zadanie.



Szybko wyjaśnia się, że dla pięcioletniego dziecka czas i daty stanowią pojęcia abstrakcyjne. Kimberly nie jest w stanie pomóc w ustaleniu godziny śmierci. Potrafi powiedzieć tylko tyle, że kiedy jej mama zaczęła krzyczeć, na dworze było jeszcze jasno.

Nieco lepiej przedstawia się sprawa z poczuciem przestrzeni, i miejscem zbrodni. Kimberly powtarza to, co mówiła w trakcie wstępnego przesłuchania. Bawiła się w swoim pokoju, kiedy mama zaczęła się kłócić z mordercą, ktokolwiek nim był. Zdaje się, że kłótnia szybko przerodziła się w dziką awanturę, tak że nie minęło zapewne więcej niż parę minut, zanim dziecko, przestraszone dobiegającymi z salonu podniesionymi głosami oraz odgłosem upadku jakiegoś dużego przedmiotu, wymknęło się na korytarz i schowało w szafie.

20 - Sedna

305

- Czy coś widziałaś? - pyta pani prokurator.

W odpowiedzi, dziewczynka kręci głową, wkładając w ten gest całe zdecydowanie, na jakie ją stać. Protokółantka zapisuje „nie”.

- Czy widziałaś, kto był z twoją mamą tamtego wieczoru?

- Nie.

- Ale słyszałaś jego głos?

- Sprzeciw. - To Harry. Postanowiliśmy, że weźmie na siebie przesłuchanie dziecka. Nie powiedziałem mu, dlaczego wolę takie rozwiązanie, ale sądzę, że się domyśla. Odkąd Kimberly zidentyfikowała mnie jako osobę, która była u niej w domu w noc morderstwa, staram się nie kusić losu. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nawet nad opuszczeniem dzisiejszego posiedzenia Sądu, ale w końcu, zdecydowałem

się zaryzykować. Acosta byłby ciekaw, dlaczego nie przyszedłem.

- Proszę uzasadnić swój sprzeciw - mówi Radovich.

- Pytanie oskarżenia zakłada fakty, których nie objęto materiałem dowodowym - wyjaśnia Harry. - Płeć osoby, z którą spotkała się Brit-tany Hali, nie została ustalona.

- Sprzeciw podtrzymany.

- Kimberly, czy słyszałaś tamtej nocy głos osoby, która była z twoją mamą? - pyta Hovander.

Kiwnięcie głową.

Radovich bierze na siebie poinstruowanie protokolantki, żeby zanotowała odpowiedź twierdzącą.

- Czy to był głos pani czy pana?

- Pana. - Mówi to bez najmniejszego wahania, z czego wyciągam wniosek, iż bez względu na to, jak było naprawdę, Kimberly głęboko wierzy, iż głos, który słyszała, należał do mężczyzny. Siła sugestii.

Następuje pewne zamieszanie, dziecko podaje bowiem kilka różniących się między sobą wersji wydarzeń, ale najważniejsze fakty pozostają bez zmian. Jakiś czas po awanturze mała wysunęła się z szafy i znalazła ciało matki leżące na podłodze w salonie w kałuży krwi.

- Próbowałam ją obudzić - mówi. - Ale mi się nie udało. Wtedy wzięłam Binky'ego.

- Binky to twój pluszowy miś? - pyta Hovander.

- Uch chuch - pada odpowiedź.

- I gdzie on wtedy był?

- Obok mamusi. Na podłodze.

- Co Binky robił obok mamusi?

- Posadziłam go na stole, kiedy wróciłam od opiekunki.
- Pamiętasz, o której godzinie wróciłaś od opiekunki?

Kimberly spogląda na sufit z wyrazem wyteżonego skupienia na twarzy.

- Chyba o dziesiątej. Albo o ósmej. - Bierze liczby z sufitu, pozostawiając naszej domyślności, czy płacze czas z numerem buta, czy może z liczbą lat swojej przyjaciółki. Dzieci w jej wieku nie rozumieją jeszcze znaczenia liczb i mają zwyczaj stosować je przeróżnie.

306

Hovander nie przywiązuje większej wagi do tej odpowiedzi. I tak wiemy z innych źródeł, że Brittany Hali odebrała córkę od opiekunki tuż po piątej i że prawdopodobnie przywiozła ją do domu gdzieś pomiędzy pół do szóstej a szóstą. Tego dnia wróciła wcześniej z pracy. Z nie znanych nam powodów wzięła wolne popołudnie.

- Więc co robiłaś, kiedy wzięłaś już Binky'ego?
- Posiedziałam z mamusią. - Próbowałam ją obudzić, ale nie chciała wstać. Wtedy nakarmiłam Binky'ego.

Część sędziów przysięgłych sprawia wrażenie wstrząśniętych opowiadaniem małej. Oczami duszy widzą pięcioletnie dziecko, siedzące na podłodze obok zwłok matki, za jedyną pociechę mające syntetyczne futerko pluszowego misia. Takie obrazki nie sprzyjają wydawaniu łagodnych wyroków.

- A potem wróciłaś do szafy? Kiwnięcie głową.
- Wzięłam ze sobą Binky'ego.
- Dlaczego? Dlaczego poszłaś z powrotem do szafy?
- Bo słyszałam, że on wraca - mówi Kimberly. -Kto?
- Ten pan, co zrobił krzywdę mamusi.

- Skąd wracał?
- Z dworu - mówi mała. - Słyszałam, jak otwiera drzwi.
- Czy ten pan cię widział?

Kręci głową, w jej oczach maluje się niedowierzanie, jakby sama nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że jej nie zauważył.

- Uciekłam - powiada.
- Bałaś się?

Następuje cała seria energicznych kiwnięć głową.

- Bałaś się, że ten pan może zrobić ci krzywdę?
- Tak. Tak, jak mamusi.
- Sprzeciw. Zachęta do spekulacji - protestuje Harry.
- Sprzeciw podtrzymany. Sędziowie przysięgli nie będą brali pod uwagę ostatniej odpowiedzi świadka — zarządza Radovich. Już to widzę.

Hovander dokręca śrubę, sędziowie przysięgli nerwowo gryzą palce.

Taktyka prokuratury sprowadza się do tego, żeby grając na strachu małej dziewczynki, obudzić w ławnikach przeświadczenie, iż Acosta, zabiwszy jej matkę, byłby zmuszony pozbyć się również dziecka, które uratowało tylko to, iż morderca nie wiedział o jego obecności. Byłoby to dodatkowe oskarżenie o zbrodnię, która nie miała miejsca.

- Czy widziałaś tego pana, kiedy przyszedł po raz drugi?
- Tylko jego buty - mówi Kimberly. - Były czarne i błyszcząły.

W tym momencie wszyscy sędziowie przysięgli - jak jeden mąż - patrzą na podłogę pod naszym stołem. Sam z trudem zwalczam pokusę, żeby nie pójść za ich przykładem.

- Czy widziałaś jego twarz? Mała kręci głową.

- Jak to się stało, że widziałaś jego buty?
  - Szedł przez korytarz do pokoju mamy. Widziałam jego nogi.
  - Kiedy przechodził obok twojej kryjówki w szafie? Kiwa głową.
  - Drzwi były otwarte.
  - Zupełnie otwarte?
  - Tylko trochę.
  - A więc, kiedy usłyszałaś, że ten pan wraca, schowałaś się z powrotem do szafy.
  - Razem z Binkym. Pobiegliśmy do szafy. Szybciutko.
  - I nie wychodziliście więcej stamtąd? Zdecydowane kiwnięcie głową.
  - Potrafisz nam powiedzieć, jak długo siedzieliście w szafie?
  - Długo - pada rzeczowa odpowiedź.
  - Czy wiesz, jak długo ten pan był za drugim razem u ciebie w domu? Nie ma pojęcia.
  - Kimberly, czy oglądasz „Ulicę Sezamkową”? - pyta Hovander.
- Uśmiecha się i kiwa głową; nareszcie nieco przyjemniejszy temat.
- Czy wiesz, jak długo trwa jeden odcinek „Ulicy Sezamkowej”? -Punkt odniesienia dla małego umysłu. Radovich zmuszony jest zasięgnąć języka.
- Po szybkiej naradzie zostaje ustalone, że emisja programu zajmuje godzinę. Prawdę powiedziawszy, jest to pięćdziesiąt minut, ale nie zamierzam się kłócić.
- Kimberly mówi, że wie, jak długo trwa program, chociaż nie da się tego określić żadnymi liczbami, które by jej cokolwiek mówiły.
- Czy ten pan został u was w domu dłużej, niż trwa jeden odcinek „Ulicy Sezamkowej”?
- Potrzebuje chwilę na zastanowienie, wreszcie kręci głową.

- Krócej niż jeden odcinek „Ulicy Sezamkowej”? Przytakuje.
- Wiesz, co tam robił? Kręci głową.
- Niczego nie słyszałaś?

Na te słowa Kimberly zmienia się w sopel lodu.

- Kochanie, powiedz nam, czy coś słyszałaś?
- Mamusię - mówi mała.
- Słyszałaś mamusię?

Zarówno przez ławę przysięgłych, jak i miejsca dla publiczności przebiega szmer zdziwienia. Kimberly kiwa głową.

- Słyszałam, jak mamusia wrzasnęła - powiada dziecko.

Acosta i ja wymieniamy zdumione spojrzenia. Twarz Harry'ego nie wyraża żadnej myśli. Nagle doznaję olśnienia. Mój wzrok napotyka oczy

Radovicha dokładnie w momencie, kiedy sędzia dochodzi do tego samego

308

wniosku. Skulona w ciemnej szafie dziewczynka, przyciskająca do piersi pluszowego misia, usłyszała wołanie z zaświetów, o czym opowiadał nam koroner — rzeźenie pośmiertne Brittany Hali.

Po przerwie Hovander obiera inną taktykę. Najpierw zadaje parę pytań przygotowawczych. Prosi małą, żeby zidentyfikowała pluszowego misia, siedzącego na wózku z dowodami rzeczowymi. I wtedy zaczyna się zamieszanie. Kimberly żąda, żeby oddano jej zabawkę. Harry, jak zahipnotyzowany, przygląda się pani prokurator i pięcioletniemu dziecku, wrywającym sobie nawzajem pluszowego niedźwiadka.

Hovander próbuje wznowić przesłuchanie, ale małej to ani w głowie. W pewnym momencie Kimberly odwraca się do sędziego i pyta, czy Binky

jest w więzieniu. Radovich nie wie, co odpowiedzieć. Ostatecznie zwraca się do pani prokurator, żeby pozwoliła dziecku potrzymać przez chwilę zabawkę. Kończy się to zwołaniem kolejnej konferencji na stronie, trzech prawników i sędzia debatuja, jak podciąć gałąź, na której siedzą.

- Na misiu jest krew jej matki - mówi Hovander. - Będziemy musieli dać jej rękawiczki, bo to niebezpieczne dla zdrowia. - Hovander nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności.

Harry sprzeciwia się użyciu rękawiczek, argumentując, że to wywołałoby negatywne skojarzenia u sędziów przysięgłych. Prokuratura nie przebiera w środkach, żeby pogrążyć naszego klienta.

- Więc niech pan jej powie, że nie dostanie misia - mówi Hovander.

- To pani kłopot - stwierdza Harry. - Sama się pani w to wpakowała.

- W ten sposób nigdzie nie zajdziemy - powiada Radovich. Wzywa posiłki. Pani psycholog zostaje wtajemniczona w nieprzyjemne szczegóły. Wdziewa chirurgiczne rękawiczki, zdejmuje misia z wózka i podchodzi do podium dla świadków. Wracamy na swoje miejsca.

Przez parę sekund, pani psycholog przekonuje szeptem Kimberly, usiłując przemówić jej do rozsądku. Dziecko wykonuje szereg nerwowych gestów, skubie rękaw sukienki, by po chwili przerzucić się na plastikowy guziczek w kształcie serca, którym kręci, dopóki go nie urwie.

Kiedy zaczynamy myśleć, że kryzys został zażegnany, Kimberly odzywa się pełnym głosem pytając, czy niedźwiadek jest chory.

- Co żeście mu zrobili? - Zwraca się wprost do Radovicha. - Nie dbacie o niego!

Sędzia unosi do góry obie dłonie, wzruszając okrytymi czarną togą ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie jego wina.

Komiczny efekt tego gestu oczyszcza atmosferę. Nawet Acosta się śmieje. Tymczasem pani psycholog przechyla się przez podium dla świadków, próbując odzyskać zainteresowanie dziewczynki. Kimberly błyskawicznie

309  
odwraca się w tę stronę i wyrywa misia z jej rąk. Przyciskając pluszowego zwierzaka do piersi, wycofuje się w kąt drewnianego fotela, gdzie kobieta nie może jej dosięgnąć, i nie wie, jak ma zareagować. Kto by pomyślał, że małe dziecko może mieć tak szybki refleks.

Wreszcie kobieta wyciąga ręce i próbuje odebrać małej zabawkę. Na sali rozpraw rozlega się przenikliwy, ogłuszający wrzask. Atak hysterii na podium dla świadków, łzy rozpacz i wymachiwanie małymi rączkami. Babcia Kimberly przybiega ze swojego miejsca, niby mama-niedźwiedzica zaniepokojona o swoje małe. Za nią drepcze woźny sądowy i usiłuje zawrócić starszą panią.

Radovich poleca mu zostawić ją w spokoju.

- Dostyc - mówi. - Przestańcie dziecko dręczyć. Może na razie zatrzymać misia. Niech pani wraca na swoje miejsce - zwraca się do pani psycholog.
- Pani może zostać - zwraca się do babci.

Uporządkowanie sytuacji zajmuje parę minut. Sędziowie przysięgli zostają tymczasem wyprowadzeni z sali, babcia tuli do piersi płaczącą wnuczkę.

Wreszcie obie lokują się na podium dla świadków, babcia - na krześle, mała - na kolanach babci trzymając w objęciach Binky'ego. Głaszcze czule niedźwiadka, jakby był żywym zwierzątkiem, po czym zaczyna do niego przemawiać; wreszcie daje mu do zjedzenia oberwany guziczek.

Plastikowe serduszko znika w buzi misia, palce dziecka są puste.

Hovander podchodzi do małej i coś do niej mówi. Nie słyszę rozmowy, ale



widzę ożywione gesty, całe mnóstwo uśmiechów i chichotów ze strony dziecka, babci i pani prokurator usiłującej odzyskać nadwątlone zaufanie. Kiedy jesteśmy już pewni, że mała się uspokoiła, sędziowie przysięgli wracają na salę, a babcia na swoje miejsce. Teraz, gdy dziewczynka ma oba misie, Hovander i Kimberly są znowu na przyjacielskiej stopie.

- Rozumiesz, że nadal musisz mówić tylko prawdę? - Radovich rzuca jej poważne spojrzenie sponad okularów.

- Uch chuch.

- Niech pani zaczyna - zwraca się do zastępczyni Kline'a.

- Kimberly, powiedziałaś nam wcześniej, że tamtej nocy, kiedy twojej mamusi stała się krzywda, słyszałaś męski głos. Pamiętasz?

Kiwnięcie głową.

- Myślisz, że potrafiłabyś rozpoznać ten głos, gdybyś usłyszała go znowu?

- Chyba tak - pada śpiewna odpowiedź.

Ten punkt był przedmiotem zawziętego sporu za zamkniętymi drzwiami.

Hovander życzyłaby sobie, żeby Acosta przemówił do Kimberly, a najlepiej - powtarzając gniewne słowa, które dziewczynka usłyszała tamtej nocy. Ma nadzieję, że dziecko rozpozna jego głos.

Zajęliśmy stanowisko, iż jest to niedopuszczalne ze względu na wysoce sugestywny charakter takiego testu w przypadku pięcioletniego dziecka,  
310

nawet jeśli Piąta Poprawka nie ma tutaj żadnego zastosowania. Zgodnie z wcześniejszymi orzeczeniami sądowymi, identyfikacja głosu nie może stanowić dowodu i powinna być raczej traktowana jak coś na kształt

badania krwi.

Radovich, jak zawsze dążący do kompromisu, zdecydował, że oskarżenie może przeprowadzić próbę głosu, ale bez słów wypowiedzianych w gniewie. Uważa, że to zredukuje sugestywny charakter przedsięwzięcia.

Nagranie będzie się składać z trzech różnych głosów, po jednym wybranym przez nas i przez oskarżenie, z głosem Acosty wciśniętym w środek. Po namyśle, zdecydowaliśmy się na latynoskiego prawnika z zaprzyjaźnionej firmy mającego, podobnie jak nasz klient, baryton z hiszpańską intonacją.

Sprzęt zostaje wniesiony i ustawiony, Hovander upomina Kimberly, żeby słuchała uważnie. Odzywa się pierwszy głos.

Bardzo wysoki, niemal nosowy, z powrozeniem może być wzięty za głos kobiety. „Dzień dobry, Kimberly. Czy poznajesz mój głos?” To wszystko, co mówi.

Hovander prosi dziewczynkę, żeby jeszcze nie odpowiadała i wysłuchała pozostałych dwu próbek.

Następny jest Acosta, odczytujący ten sam tekst. Po nim, przychodzi kolej na dublera.

Kimberly siedzi na swoim krześle kompletnie oszołomiona; po raz pierwszy dostrzegam na jej twarzy wyraz autentycznego napięcia.

- Czy poznajesz któryś z tych głosów? Dziewczynka kręci głową.
- Chcesz posłuchać jeszcze raz?

Harry patrzy na mnie, zastanawiając się, czy nie powinniśmy przypadkiem zgłosić sprzeciwu.

Radovich poleca, żeby jeszcze raz odtworzono taśmę. Odtwarzają taśmę.

- Czy poznajesz któryś z tych głosów? - pyta Hovander.

Życie mojego klienta zależy od widzimisię małej dziewczynki. Acosta siedzi obok mnie. Ściskam pod stołem jego ramię.

Rozumiejąc, co jest stawką w tej grze, Radovich przypomina małej, żeby nie zgadywała.

- Zastanów się dobrze. Odpowiedz tylko, jeśli rozpoznasz głos. Kimberly robi minę dziecka usiłującego odgadnąć, w której ręce jest schowany cukierek.

- Ostatnie dwa - decyduje się wreszcie. Hovander nie posiada się z radości. - Może powinniśmy jeszcze raz przesłuchać ostatnie dwa głosy - proponuje.

Harry zgłasza sprzeciw, który Radovich obala.

Technik ustawia maszynę, eliminując pierwsze nagranie, tak że tym razem, głos Acosty znajduje się na początku. Po twarzy mojego klienta

311

spływa strużka potu, na ułamek sekundy zatrzymuje się na podbródku, by w końcu skapnąć na stół.

- Poznajesz któryś z tych głosów? - po raz kolejny pyta Hovander?

Wyróżniająca się pozycja głosu Acosty, rozpoczynającego nagranie, budzi moje obawy. W przypadku dzieci, pierwsze wrażenie odgrywa zazwyczaj decydującą rolę.

- To chyba on - mówi Kimberly.

Głowa Acosty wykonuje podwójne pas, najpierw w moim kierunku, potem w stronę Harry'ego.

- Który z nich?

Kimberly rzuca rozpaczliwe spojrzenie, ponieważ nie rozumie pytania.

Wydawało jej się, że ma to już za sobą. Wreszcie do nas dociera. Mała

myśli, że oba głosy należą do tego samego mężczyzny.

Hovander próbuje przekonać nas, że dziecko wybrało jeden z głosów, pozostało tylko ustalić, który. Radovich mówi jej „nie” i wychyla się ze swojego miejsca w ławie sędziowskiej.

- Kimberly, jak ci się wydaje, ile głosów jest na taśmie? Dziecko patrzy na babcię, szukając u niej pomocy.

- Nie potrzebujesz się niczego bać - mówi sędzia. - Jeżeli nie wiesz, powiedz nam po prostu, że nie wiesz.

- Nie wiem. - Kimberly rzuca się na to, jak na ostatnią deskę ratunku. Nie mogę powiedzieć, żeby Acosta miał w tej chwili mądrą minę. Radovich ogłasza kolejną naradę na stronie. Stawiamy się na rozkaz, pozostawiając Acostę pod opieką więziennych strażników. Pomiedzy nas, wciska się protokolantka.

- Mała jest zupełnie zbita z tropu - mówi sędzia. - Nie zamierzam pozwolić, żeby to trwało dłużej.

- Jeszcze tylko parę ostatnich pytań? - przymiła się Hovander.

- Tak nie można - protestuje Harry. - Nie wolno naciskać dziecka. Mała jest gotowa powiedzieć cokolwiek, żeby nas zadowolić. Przecież ona nawet nie wie, ile tam jest głosów.

- To przez wasze gierki - skarży się Hovander.

- A wasz spiker był lepszy? Powinien się zgłosić do laryngologa - odparowuje Harry.

- Proszę państwa. - Radovich przypomina, kto tu rządzi. - W ten sposób nigdzie nie dojdziemy.

- Nie mogłabym zadać jeszcze paru pytań?

- O co chce pani zapytać?

- Czy rozpoznała któryś z dwóch ostatnich głosów na taśmie.
- Już powiedziała, że słyszała tylko jeden głos - mówi Harry.
- Musimy to wyjaśnić - upiera się pani prokurator.
- Jasne - mówi Harry. - A kiedy już uda wam się dziecku wytłumaczyć, że to są dwa różne głosy, możecie się zabawić w „ene, due, like, fake”. To nie jest sposób na dochodzenie do prawdy.

312

- Tego się właśnie obawiam - popiera go Radovich.

Harry mówi Radovichowi, że chciałby przesłuchać świadka na okoliczność jej umiejętności rozróżniania głosów. Hovander oponuje, ale sędzia uznaje, że to rozsądna prośba. Wracamy na miejsca, zostawiając Harry'ego przed podium dla świadków.

Kimberly spogląda na niego niepewnie, nie rozumiejąc właściwie, co się dzieje.

- Jestem pan Hinds. Jak się masz, Kimberly? Patrzy na niego, lecz nie odpowiada.

- Rozpoznajesz mój głos? Czy brzmi jak głos, który słyszałaś tamtej nocy?

Nowy dorosły, nowe zagrożenie. Kimberly kiwa głową.

- Mój głos brzmi jak głos, który słyszałaś tamtej nocy? - upewnia się Harry.

Kolejne kiwnięcia głową.

- Pamiętasz głos pana sędziego? - Harry wskazuje ręką na Radovicha.

Kimberly przytakuje.

- Czy jego głos brzmi jak głos, który słyszałaś tamtej nocy? Tym razem, mała kręci głową.

- Wysoki Sądzie, czy mógłbym podać jeszcze jeden przykład? Radovich mówi Harry'emu, żeby kontynuował.

Harry podchodzi do mnie i każe mi wstać. Mam ochotę go zabić.

- Wstań - powtarza. Robię, jak każe.

- Powiedz coś.

Nie jestem w stanie myśleć o niczym, poza nienawiścią, jaką do niego żywię.

- Powiedz coś.

- Poznajesz mój głos, Kimberly?

Zanim jeszcze ostatnia sylaba opuściła moje usta, dziewczynka wtula się w krzesło i energicznie kiwa głową.

- No i proszę - powiada Harry.

Kolejna konferencja na boku. Tym razem Radovich wezwał na pomoc panią psycholog.

- Kiedy zna czyjś głos i nie jest przestraszona, nie kojarzy go z głosem, który słyszała tamtej nocy. Za to każdy głos, którego nie zna, przypomina jej tamten. - Szkoła psychologii pana Hindsa. - To ma więcej wspólnego z poczuciem zagrożenia niż z czymkolwiek, co słyszała albo pamięta -dodaje.

- Co pani o tym myśli? - pyta Radovich.

- Zgadza się. Wydaje mi się, że właśnie o to chodzi.

- Nie będziemy tego dalej ciągnąć - oznajmia Radovich. - Ma pani inny zestaw pytań do świadka?

- Nie.

- A panowie? Naradzamy się na boku.
- Mała szansa, żeby udało nam się zebrać punkty znęcając się nad dzieckiem - stwierdza Harry. - Jak dotąd niczym nam nie zaszkodziła, ale to się może w każdej chwili odmienić.

Przyznaję mu rację.

- Poza tym - powiada - odnoszę wrażenie, że masz z nią jakiś problem. - Obdarza mnie jednym ze swoich enigmatycznych uśmiechów, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

Nie dając mi czasu na przygotowanie odpowiedzi, która - jak obaj wiemy - nie mogłaby być mądra, dodaje: - Po co kusić los?

- Nie mamy pytań do świadka - oznajmia Radovichowi.
- Świetnie - powiada sędzia i wspina się z powrotem na swoje miejsce.
- Zrobimy sobie teraz przerwę na obiad - oznajmia z wysokości ławy sędziowskiej. - Świadek może iść do domu. Nie będziemy jej już potrzebowali - informuje babcię Kimberly Hali.

Sędziom przysięgłym wyraźnie spadł kamień z serca. Radovich przypomina o obowiązującym ich zakazie rozmawiania z kimkolwiek na temat procesu, po czym zwalnia ich do domu. Ma inne plany na popołudnie.

Harry i ja wracamy do naszego stołu.

- To było całkiem niezłe - chwali nas Acosta.
- W każdym razie udało nam się wyjść obronną ręką - powiadam. Harry patrzy na mnie, jakby się w głębi duszy zastanawiał, czy mała nie

wiedziała przypadkiem, co mówi, twierdząc, że rozpoznaje głos Acosty. Harry tak naprawdę nie wsiadł do końca do mojego pociągu, zwanego obroną.

Któraś z urzędniczek sądowych przyniosła Kimberly cukierki. Zdaje się, że usiłują wyłudzić od niej Binky'ego, żeby odstawić go z powrotem na wózek z dowodami rzeczowymi. Mała chce zabrać zwierzaka do domu. Zerknąwszy przez ramię, stwierdzam, że Kline pozałatwiał już swoje sprawy na mieście. Konferuje pod ścianą z panią Hovander, zdającą mu raport z przebiegu porannej rozprawy. Zapewne usiłuje ustalić, jak mocno udało im się nas pogrążyć.

Przyglądam im się przez chwilę, pani prokurator z uśmiechem obserwuje facecje na podium dla świadków. Dwie urzędniczki i woźny próbują przemówić do rozsądku Kimberly. Toczą zawzięty spór o niedźwiadka, który musi wrócić na wózek z dowodami rzeczowymi. Zjawia się kolejna porcja łakoci. Dziewczynka bierze dwa cukierki i ładuje je do buzi misiowi.

Jedynym człowiekiem na sali, który się w tej chwili nie śmieje, jest Kline. Stoi z kamienną twarzą, niby jedyny trzeźwy na przyjęciu pośród zalanych w drobiazgi gości i jak zahipnotyzowany patrzy na małe paluszki, znikające wraz z cukierkiem w przepaścistym wnętrzu pluszowego misia.

27

Mamy chwilę czasu dla siebie. Zastanowiłaś się nad tym, o czym rozmawialiśmy? Nad uwagami Kline'a?

Siedzimy z Leonorą w moim biurze, za zamkniętymi drzwiami. Harry rozmawia przez telefon w sekretariacie, lada moment do nas dołączy.



- Cały czas łamię sobie nad tym głowę - mówi Leonora. - Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Ten facet to paranoik.

Mowa o prywatnej wymianie zdań, którą miałem z Kline'em na przyjęciu w pałacu gubernatora, o jego przeświadczeniu, że Leonora posiada jakieś informacje.

- Wiesz, co mi się wydaje? - mówi.

- Strzelaj.

- Próbuje zasiać ziarno niezgody - powiada.

- Po co? Śmieje się.

- Dla bezinteresownej satysfakcji. Kline nie jest zdrowy na umyśle. Wcale mnie to nie przekonuje. Komentarze Kline'a nie brzmiały jak czcze przekomarzania. Kline'owi brakuje jakiejś istotnej informacji. Rzecz w tym, żebyśmy ją znaleźli przed nim. Zastanawiam się przez chwilę, Leonora przygląda mi się w milczeniu.

- Myślisz, że coś ukrywam? - pyta.

- Nie. Nie. To może być coś, o czym wiemy od dawna, tylko nie potrafimy do tego dojść.

- Poproś Kline'a, żeby ci podpowiedział - radzi. - Może zagracie w dwadzieścia pytań?

- Pewnie.

- Wiem tyle, co ty. Nie powiedział niczego, co mogłoby naprowadzić nas na trop?

315

- Nie. - Drapię się po nie ogolonym podbródku. Dzisiaj nie ma posiedzenia sądu, postanowiłem więc dać sobie w tym względzie urlop.

-Ale myślę, że w grę wchodzi tylko dwie możliwości - mówię. - Po

pierwsze, twoja rozmowa z Brittany Hali, kiedy pracowałaś jeszcze w biurze prokuratora okręgowego. Kline wyraźnie się obawia, że powiedziała ci więcej, niż jemu.

- Klasyczne objawy paranoi - powiada.
- Może. Niewykluczone, że to dlatego cię wyrzucił. Moja uwaga rozpała w niej iskierkę zainteresowania.
- Dlaczego niby miałyby mi się zwierzać ze swoich ciemnych sprawek? Tego nie wiem.
- Może Kline uważa, że dwie kobiety to zawsze... Mogła mieć do ciebie więcej zaufania.
- Nawet jeżeli tak było, nie ma to nic wspólnego z płcią - mówi.
- W każdym razie ta myśl wyraźnie nie daje mu spokoju.
- Jestem pewna, że z jego obsesji dałoby się ułożyć cały podręcznik psychiatrii - powiada. - A po drugie? - pyta.
- Hmm?
- Powiedziałaś, że widzisz dwie możliwości.
- Ach, tak. To tylko domysł - mówię.
- Że co?
- Odcisk twojego palca na drzwiach mieszkania panny Hali. Może uważa, że byłaś w środku.

Pozwalam moim słowom zawisnąć na chwilę w powietrzu.

- Myśli, że coś tam znalazłam?
- Niewykluczone.
- Na przykład, co?
- Nie wiem.

Zaczyna gorączkowo kombinować.

- Chyba mu nie powiedziałaś o kartce z nazwiskiem Tony'ego? - pyta.
- Czy ja wyglądam na durnia?
- Myślisz, że coś o tym wie?
- Chyba, że mu sama powiedziałaś - mówię. - Tylko pięć osób wie o tej kartce. Pierwsza z nich nie żyje, potem idzie Tony i Acosta, a pozostałe dwie znajdują się w tym pokoju. - Niepotrzebnie przyjmuję pozycję obronną, to tylko pobudza jej ciekawość.
- Co zamierzasz zrobić w związku z tą notatką? - pyta. - Jeszcze mi nie powiedziałaś.
- Nie bez przyczyny - mówię. - Wystarczy, jeśli się dowiesz, że nie będziesz musiała zeznawać.
- Więc jej nie wykorzystasz? - Leonora ma własne priorytety. Tony. Krew
- nie woda.
- To nie jest dobry temat na rozmowę - mówię jej.
- Ale nie masz zamiaru wzywać mnie na świadka?

316

w

- Nie.

Wzdycha z wyraźną ulgą.

- Mówię ci, mam za sobą kilka nie przespanych nocy - wyznaje. Kiedy to mówi, w jej głosie odzywają się czułe nutki.

Jej lojalność w stosunku do Tony'ego sięga dużo głębiej, niż same więzy pokrewieństwa. Łączy ich związek zrodzony podczas wspólnego

dorastania na niebezpiecznych ulicach parszywej dzielnicy. Parę miesięcy temu, w momencie słabości, opowiedziała mi coś, co pozwoliło mi umieścić ich przyjaźń w szerszej perspektywie. Zwierzyła mi się, że kiedy miała dwanaście lat, grupa dzieciaków, niektóre z nich parę lat od niej starsze, trzech chłopców niemal już dorosłych, zaczęła się w bardzo nieprzyjemny sposób do niej przystawiać. Tony ze swoim kumplem uratowali ją wówczas od zbiorowego gwałtu, za co wzięli porządne lanie. Nigdy o tym nie zapomniała.

- Rozumiem, że masz zobowiązania - mówi - ale ta notatka to ślepa uliczka, bezużyteczny kawałek papieru. - Widać, że odczuwa ulgę, iż nie zamierzam tego wykorzystać.

Uśmiecha się i mówi:

- Mogę powiedzieć Tony'emu?
- O czym chcesz mu powiedzieć?
- Ze może się przestać martwić.

Wzięła moje zapewnienia o krok za daleko.

- Tego nie powiedziałem.
- Ale mówiłeś, że nie zamierzasz wezwać mnie na świadka.
- To prawda. Nie zamierzam.

Przez chwilę patrzy na mnie nie rozumiejąc, wreszcie to do niej dociera.

- Nie chcesz chyba wezwać Tony'ego?
- Nie mogę powiedzieć ani słowa więcej.

Są rzeczy, których teraz, po wykluczeniu Leonory z udziału w prowadzeniu obrony, nie mogę już z nią dzielić.

- Robisz błąd - mówi. - Niczego z niego nie wyciągniesz.
- Dlaczego? Bo nie będzie chciał mi powiedzieć?

- Bo tam nie ma niczego do powiedzenia - powiada. - Byli umówieni na randkę, ale ją odwołali. Poprosił mnie, żebym zabrała notatkę wyłącznie z powodu...

- Wiem. Zakłopotania - kończę za nią.

- Właśnie - mówi. - Jeżeli wezwiesz go na świadka, nie będzie miał wyboru, będzie musiał wszystkiemu zaprzeczyć.

Unoszę do góry brwi.

- Nawet temu, że był z nią umówiony w dniu jej śmierci?

Wyraz twarzy Leonory upewnia mnie, że Tony nie cofnie się przed kłamstwem, nawet w sprawie odwołanej randki.

- W takim razie dopuści się krzywoprzysięstwa.

- To nie ma żadnego związku ze sprawą. Randka została odwołana.

- Pod warunkiem, że sędziowie przysięgli w to uwierzą.

Oczywiście ona w to wierzy.

- Nie masz żadnych dowodów - mówi. - Bez moich zeznań nie potrafisz nawet udowodnić, że ta notatka rzeczywiście kiedykolwiek istniała. Nawet gdybym złożyła zeznania, gdybyśmy mogli pokazać kartkę z nazwiskiem Tony'ego, to i tak byłoby to tylko świadectwo ze słyszenia.

- Bardzo możliwe - przyznaję. - Musi ci wystarczyć, jeśli ci powiem, że mam inny plan. Nie mogę z tobą o tym rozmawiać. - Wolałbym się nie wdawać w szczegóły.

- Wiesz coś, czego ja nie wiem? - Ma minę, jakbym jej właśnie wylał na głowę wiadro zimnej wody. - Co to takiego?

Słyszę głos Harry'ego, dobiegający z sekretariatu. Harry z reguły rozmawia przez telefon tak, że można go usłyszeć w całym budynku, lecz tym razem naprawdę wrzeszczy.

- Co tam się, u diabła, dzieje? - mówię.

Leonora, znajduje się bliżej drzwi niż ja, ale ignoruje dochodzący zza nich hałas.

- Powiesz mi, czy nie? - chce wiedzieć.

- Nie mogę.

- A więc to tak? - powiada. Zbiera swoje papiery, zgarnia teczkę i torebkę.

- Bardzo mi przykro - mówię - ale naprawdę nie mogę.

Patrząc w jej ciemne oczy, wyrażające w tym momencie absolutne zdecydowanie, zdaję sobie sprawę, że pierwszą osobą, z którą porozmawia po wyjściu z mojego biura, będzie Tony. Popchnąłem ją do tego swoim milczeniem.

Wrzask w sekretariacie przybiera na sile. Nagle uświadamiam sobie, że Harry wcale nie rozmawia przez telefon. Rozróżniam dwa głosy. Osoba, z którą rozmawia, jest razem z nim, w tym samym pomieszczeniu.

Wstaję zza biurka i podchodzę do drzwi. Kiedy je otwieram, nieoczekiwanie staję twarzą w twarz z rozwścieczonym Philem Mendlem.

- Oto i człowiek, którego chciałem widzieć - powiada. - Co to jest, do jasnej cholery?

W dłoni trzyma pogniecioną kartkę papieru.

- Dostał wezwanie do sądu - wyjaśnia Harry. - Chyba jest trochę wkurzony.

- Gówno prawda - mówi Mendel. - Jestem cholernie wkurzony. Papier, który trzyma, został wysłany wraz z setką innych, w ostatniej serii wezwań do złożenia zeznań, spłodzonych przez Harry'ego na wypadek, gdyby linia obrony rozrosła się jak ośmiornica, we wszystkich kierunkach naraz.

- Fajnie - powiada. - Macie swój cyrk dla ubogich. Wasza sprawa -mówi. - Tylko nie próbujcie mnie w to wciągać. Ani Związku - mówi. -Bo dostaniecie w dupę.

- Zdaje się, że już to przerabialiśmy - powiadam.

318

- Nie wiem, o czym mówisz. - Wyraz twarzy zadaje kłam jego słowom.

- Wyprawa po narkotyki - przypominam.

- Ach, o to chodzi - powiada, przyoblekając twarz w kiepską imitację uśmiechu. - Czytałem w prasie. Niektórzy ludzie sądzą, że udało ci się wykręcić sianem.

- Niektórzy ludzie wiedzą, jak było - mówię.

- Na drugi raz będą musieli być nieco szybsi - mówi.

- Taak, i dużo cichsi - dodaję. Patrzy na mnie nie rozumiejąc.

- Brzęk płyty od rezerwuaru - wyjaśniam. Widzę po jego oczach, że nareszcie wszystko układa mu się w jasną całość - oto utęskniona odpowiedź na pytanie, w jaki sposób tak szybko znalazłem towar.

Kojarzy błyskawicznie i teraz na pewno facet od kablówki usłyszy od niego parę słów.

- Następnym razem, kiedy twoi przyjaciele będą mieli ochotę wykapać się w moim kiblu, zrób mi uprzejmość...

Zapyta, nie zapyta, ale jego wzrok mówi „co znowu za uprzejmość?”

- Powiedz im, niech najpierw wezmą prysznic, żebym nie musiał myć po nich miski klozetowej.

Posyła mi mordercze spojrzenie i bezczelnie się wypiera:

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Zastanów się dobrze. Na pewno sobie przypomnisz. - Zaczynam zamykać drzwi.

- A co z tym? - Podtyka mi wezwanie do sądu, jakby się spodziewał, iż faktycznie jestem gotów je wycofać. - Za pięć dni nie będzie mnie w kraju - mówi. - Jadę na wakacje na Bali.

Harry z ołówkiem w ręku pyta go o datę wyjazdu, którą Mendel automatycznie podaje.

- Na twoim miejscu nie spieszyłbym się z zapakowaniem olejku do opalania — mówi Harry.

Mendel rzuca mu pogardliwe spojrzenie.

- Co z tym? - apeluje do wyższej instancji.

- Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży - powiadam napierając na drzwi.

- Same bilety kosztowały mnie osiem tysięcy dolarów - mówi. - Nie mogę ich zwrócić. Lepiej, żeby się ułożyło.

- Jeżeli masz kłopoty z biletami - radzę mu - zadzwoń do biura podróży. - Problem polega na tym, że przynajmniej formalnie Mendel jest policjantem. Jeśli otrzymał wezwanie do składania zeznań, nie może tak po prostu nie stawić się w sądzie. Może to mieć dla niego bardzo przykre konsekwencje, nie mówiąc już o tym, że będzie musiał się gęsto tłumaczyć.

- To jakaś totalna bzdura - stwierdza. - I doskonale o tym wiecie. Nie mam pojęcia o niczym, co miałyby jakikolwiek związek z waszą sprawą.

-Nazywa to „kupą gówna”.

319

— Przyjemnie się z tobą rozmawiało — mówię i zamykam drzwi. Jeszcze



przez parę sekund wydziera się w sekretariacie, milknie dopiero wtedy, kiedy Harry grozi mu, że wezwie ochroniarzy. Słyszę hałas lecących na podłogę przedmiotów, chyba zmiotł na ziemię rzeczy z biurka sekretarki. Pada kilka soczystych przekleństw, po czym do moich uszu dobiega huk zatraskiwanych drzwi, które o mało co nie wylatują z zawiasów.

Patrzę na Leonorę, która z teczką i torebką w ręku przygląda mi się uważnie z bezpiecznego miejsca pod drzwiami.

- Sama widziałaś - mówię. - Kumple Tony'ego.

28

Kiedy przychodzi nasza kolej, rozpoczynamy od tych obszarów ekspertyzy naukowej, które Kline z niewiadomych przyczyn ominął. Jeżeli prokurator okręgowy ma jakieś słabe punkty doświadczenia sądowego, jest to nieumiejętność przewidywania.

Pozostawił za sobą jaskrawo proszące się o wyjaśnienie tajemnice, przepastne dziury w materiale dowodowym, które z całą pewnością powinien zbadać sam i nie czekać, aż zrobimy to my.

Lewid DeShield jest ekspertem od metali, a zwłaszcza od tajemnej sztuki oddzielania śladowych składników i porównywania próbek.

Zaczynamy od zbudowania obrazu kariery DeShielda: jego curriculum vitae, kolejne stopnie naukowe i doświadczenie zawodowe. To wszystko uprawnia DeShielda do zeznawania w procesie Acosty. Kline zgłasza zastrzeżenia w nadziei, iż uda mu się odwieść nas od przedstawienia ławie

przysięgłych wszystkich sukcesów naukowych naszego świadka.

Odrzucamy jego warunki i w dwadzieścia minut później przechodzimy wreszcie do sedna sprawy.

- Panie DeShield, czy dwudziestego ósmego sierpnia ubiegłego roku badał pan miejsce zbrodni, w tym przypadku mieszkanie ofiary?

- Zrobiłem to na pańskie polecenie - powiada.

- Czy może pan opowiedzieć sędziom przysięgłym, co pan wówczas znalazł?

- Przeprowadziłem oględziny salonu, a w szczególności stolika do kawy, wykonanego z metalu i szkła. Na dolnej powierzchni metalowej ramy zaobserwowałem zadrapania zawierając śladowe ilości obcego metalu. Po wykonaniu fotografii zdjąłem, przy użyciu odpowiednich narzędzi, próbki obcego metalu, zapakowałem je do specjalnej koperty i zabrałem je do mojego laboratorium.

21 - Sędzia

321

Wyriągamy kopertę, o której mowa, z pudełka z przebadanymi próbkami.

DeShield identyfikuje zawartość, po czym urzędnik sądowy nadaje drobinom metalu kolejny numer i wdąga je na listę dowodów razem z paroma zdjęciami i preparatami mikroskopowymi.

Na moje polecenie stolik do kawy, umieszczony przez oskarżenie na liście dowodów, zostaje ponownie przyniesiony na salę rozpraw i

zidentyfikowany przez DeShielda. Nasz ekspert schodzi z podium dla świadków, żeby zademonstrować przysięgłym znalezione przez siebie zadrapania. Ślady znajdują się tuż przy narożniku, gdzie zebrała się spora

ilość krwi, niedaleko od miejsca, o które ofiara uderzyła głową. Następnie

DeShield wraca na swoje krzesło.

- Czy owe wstępne oględziny pozwoliły panu na sformułowanie hipotezy roboczej na temat pochodzenia śladowych ilości obcego metalu?

- Doszedłem do przekonania, że zostały pozostawione przez biżuterię, jakiś ozdobny przedmiot, który wszedł w kontakt z metalową obudową stolika. Zdawały się zawierać złoto.

Aby to bliżej unaocznic sędziom przysięgłym, DeShield udeka się do pomocy zdjęć w wielokrotnym powiększeniu, rozpiętych na dwóch tablicach, które ustawiamy na stelażu przed ławą przysięgłych. Posługując się wskaźnikiem świadek pokazuje, gdzie znajdowały się zadrapania.

- Wie pan, czy w dniu swojej śmierci ofiara miała na sobie biżuterię, która mogła spowodować te zadrapania?

- Z posiadanych przeze mnie informacji, wynika że nie.

- Czy podczas oględzin zadrapań na stoliku zauważył pan coś szczególnego?

- Tak. Chodząc na górnej powierzchni metalowej ramy stwierdziłem obecność paru pomniejszych zadrapań, jednak większość głębokich śladów znajdowała się pod spodem, tuż przy zewnętrznej krawędzi.

Zakładając, że drobiny obcego metalu pozostawiła biżuteria noszona przez sprawcę, wydaje się prawdopodobne, iż stało się to na skutek przyłożenia skierowanej ku górze siły, być może kiedy sprawca przydągał do siebie ofiarę, żeby zadać kolejny dos. Owa czynność musiała zostać powtórzona kilkakrotnie, o czym świadczy wyraźnie seria zadrapań.

- Dlaczego uważa pan to za szczególnie godne uwagi?

- Ponieważ potwierdza to opinię biegłego ze strony oskarżenia, iż morderca zadał kilka dosów. Jednak jeszcze istotniejsza wydaje mi się

możliwość, iż w rezultacie owych silnych, wielokrotnych szarpnięć ku górze ozdoba, o której mowa, mogła się obluzować, zaczepić o stolik i wręcz odpaść, czy też została zerwana z ręki sprawcy.

- Sprzedw - mówi Kline. - To czyste spekulacje.

Na te słowa jego detektyw, John Stobel, podrywa się ze swego krzesła i pochyla nad prokuratorem. Chce coś powiedzieć, lecz Kline odgania go brutalnym gestem dłoni.

- Czy może pan zeznać, że tak właśnie było? - Radovich pyta świadka.

322

- Nie jestem w stanie tego stwierdzić z całą pewnością - mówi De-Shield.

- Ale biorąc pod uwagę głębokość zadrapań, a zwłaszcza jednego, dobrze widocznego pod powiększeniem, uważam, że to bardzo możliwe.

Radovich wykonuje płynny gest wiotką dłonią, jakby chciał powiedzieć „na dwoje babka wróżyła”.

- Oddalam sprzeciw - postanawia.

Problem prokuratury polega na tym, że jeżeli morderca zgubił swoją ozdobę, to policja nigdy jej nie znalazła.

Przechodzimy do analizy laboratoryjnej śladowych ilości metalu, zebranych z zadrapań na ramie stolika do kawy, którą przeprowadził dla nas DeShield z mnóstwem technicznych szczegółów. Chodzi o to, czy próbki zdjęte ze stolika da się przypisać jakiejś konkretnej sztuce biżuterii. DeShield mówi, że to jest możliwe.

- Czy to daje podobną pewność, co porównanie odcisków palców?

Zastanawia się przez chwilę nad moim pytaniem.

- Najczęściej nie - odpowiada wreszcie. -Potrafimy wykazać obecność lub brak charakterystycznych właściwości, związanych ze składem

chemicznym metalu. To nam pozwala co najwyżej uznać albo wykluczyć prawdopodobieństwo.

Przyznaje jednak, iż w pewnych szczególnych przypadkach obecność tak zwanych śladowych domieszek czy też „zanieczyszczeń” może stanowić podstawę do identyfikacji.

- Zależnie od tego, jak rzadko występują substancje, z którymi mamy do czynienia, od ich zawartości procentowej w metalu i liczby poszczególnych zanieczyszczeń, możemy sobie wyobrazić sytuację, gdzie będą one stanowić istotne elementy porównawcze, umożliwiające pozytywną identyfikację.

Mówi teraz o tego rodzaju dowodach, które przesądzą sprawę. Dajcie mi właściciela biżuterii, a pokażę wam zabójcę.

- Podobnie jak w przypadku odcisków palców?

- Znamy przypadki porównywania odprysków farby - powiada DeShield - gdzie znane i poszukiwane próbki zostały dopasowane z możliwością błędu, jak jeden do dziesięciu miliardów, co daje znacznie większą pewność, niż porównywanie odcisków palców. Tak wysoki wynik był możliwy dzięki dużej liczbie złożonych zanieczyszczeń w obu próbkach farby z niemal zerowym prawdopodobieństwem powtórzenia tej samej kombinacji w procesie produkcji innej partii tego samego towaru.

- Czy to dotyczy również porównywania metali?

- Owszem.

Wyraz twarzy Kline'a nie wróży niczego dobrego. Przez chwilę sądzę, że prokurator okręgowy podejrzewa, iż my znaleźliśmy ową tajemniczą sztukę biżuterii i potrafimy udowodnić, że nie należy ona do naszego klienta. Przy stole oskarżenia toczy się ostra dyskusja pomiędzy Kline'em

a Stoblem. Detektyw kręci głową, jakby chciał powiedzieć, że policja nie  
323

pochwała takiego podejścia do materiału dowodowego. Niemniej muszą przyznać, że udało nam się podsunąć ławie przysięgłych interesującą alternatywę.

- Czy miał pan okazję poddać drobinę obcego metalu - zdjęte ze stolika do kawy w mieszkaniu ofiary - analizie laboratoryjnej?

- Tak.

- Proszę nam opowiedzieć, na czym polegało przeprowadzone przez pana badanie?

- Faktycznie zastosowałem dwie odrębne metody: standardową spektrografię oraz badanie pod elektronicznym mikroskopem skaningowym, wyposażonym w urządzenie, dokonujące pomiarów. Chodzi o proces nazywany EDX.

Żadna ława przysięgłych długo tego nie wytrzyma. Oczy sędziów zaczynają robić się senne. Naukowe gadanie.

- Na czym polega spektrografia? - pytam. - W dwóch słowach.

- Niewielka ilość badanej substancji, najczęściej ułamek grama, jest spalana w bardzo wysokiej temperaturze. W wyniku tego procesu, zostaje naruszona struktura atomowa substancji, co z kolei powoduje emisję fal energii, które obserwujemy pod postacią odrębnych kolorów. Ten charakterystyczny barwny wzór zostaje uchwycony na kliszy fotograficznej. Poszczególnym kolorom odpowiadają określone długości fal, korespondujące z dokładnym składem chemicznym substancji. Jest to bardzo stara, lecz niezawodna metoda.

W podobny, skrótowy sposób, objaśnia proces zwany EDX. Z ławy przysięgłych dochodzą odgłosy ziewania.

- To znaczy, że potraficie określić z całkowitą dokładnością zawartość żelaza, miedzi, magnezu czy innych „zanieczyszczeń” w próbce metalu?

- Zgadza się. Teoretycznie rzecz biorąc, należałoby zdjąć próbkę obcego metalu z zadrapań na krawędzi stolika, pobrać próbkę metalu z biżuterii, po czym porównać ich skład chemiczny, szukając zwłaszcza podobnych zanieczyszczeń, w podobnych proporcjach. Jeżeli jest ich dostatecznie dużo i są takie same w obu próbkach, void.

- I do przeprowadzenia takiego badania wystarczają mikroskopijne ilości metalu?

- Owszem. W rzeczywistości zużyliśmy tylko niewielką część drobin metalu, zdjętych z zadrapań na obudowie stolika.

- A więc jeszcze trochę panu zostało?

- Tak.

- Tak, że gdyby policja zechciała przeprowadzić swoje własne badanie, mógłby pan dostarczyć próbkę metalu?

- Owszem - powiada - ale to nie byłoby konieczne. Policja pobrała swoje własne próbki z zadrapań na krawędzi stolika.

O to mi właśnie chodziło: gliny zebrały swój własny materiał dowodowy, ale postanowiły go nie ujawniać.

324

pochwała takiego podejścia do materiału dowodowego. Niemniej muszą przyznać, że udało nam się podsunąć ławie przysięgłych interesującą alternatywę.

- Czy miał pan okazję poddać drobinę obcego metalu - zdjęte ze stolika do kawy w mieszkaniu ofiary - analizie laboratoryjnej?

- Tak.

- Proszę nam opowiedzieć, na czym polegało przeprowadzone przez pana badanie?

- Faktycznie zastosowałem dwie odrębne metody: standardową spektrografię oraz badanie pod elektronicznym mikroskopem skaningowym, wyposażonym w urządzenie, dokonujące pomiarów. Chodzi o proces nazywany EDX.

Żadna ława przysięgłych długo tego nie wytrzyma. Oczy sędziów zaczynają robić się senne. Naukowe gadanie.

- Na czym polega spektrografia? - pytam. - W dwóch słowach.

- Niewielka ilość badanej substancji, najczęściej ułamek grama, jest spalana w bardzo wysokiej temperaturze. W wyniku tego procesu, zostaje naruszona struktura atomowa substancji, co z kolei powoduje emisję fal energii, które obserwujemy pod postacią odrębnych kolorów. Ten charakterystyczny barwny wzór zostaje uchwycony na kliszy fotograficznej. Poszczególnym kolorom odpowiadają określone długości fal, korespondujące z dokładnym składem chemicznym substancji. Jest to bardzo stara, lecz niezawodna metoda.

W podobny, skrótowy sposób, objaśnia proces zwany EDX. Z ławy przysięgłych dochodzą odgłosy ziewania.

- To znaczy, że potraficie określić z całkowitą dokładnością zawartość żelaza, miedzi, magnezu czy innych „zanieczyszczeń” w próbce metalu?

- Zgadza się. Teoretycznie rzecz biorąc, należałoby zdjąć próbkę obcego metalu z zadrapań na krawędzi stolika, pobrać próbkę metalu z biżuterii,



po czym porównać ich skład chemiczny, szukając zwłaszcza podobnych zanieczyszczeń, w podobnych proporcjach. Jeżeli jest ich dostatecznie dużo i są takie same w obu próbkach, void.

- I do przeprowadzenia takiego badania wystarczają mikroskopijne ilości metalu?

- Owszem. W rzeczywistości zużyliśmy tylko niewielką część drobin metalu, zdjętych z zadrapań na obudowie stolika.

- A więc jeszcze trochę panu zostało?

- Tak.

- Tak, że gdyby policja zechciała przeprowadzić swoje własne badanie, mógłby pan dostarczyć próbkę metalu?

- Owszem - powiada - ale to nie byłoby konieczne. Policja pobrała swoje własne próbki z zadrapań na krawędzi stolika.

O to mi właśnie chodziło: gliny zebrały swój własny materiał dowodowy, ale postanowiły go nie ujawniać.

324

- Orientuje się pan, czy policja poddała swoje próbki analizie laboratoryjnej?

- Sprzeciw - protestuje Kline. - Świadek ze słyszenia.

- Pytam, czy świadek wie to ze swojego osobistego rozeznania - wyjaśniam Radovichowi.

- Wie pan? - pyta Radovich.

- Tak - mówi DeShield. - Byłem obecny przy przeprowadzaniu niektórych testów.

- Oddalam sprzeciw.

- Poddali analizie biżuterię będącą własnością oskarżonego - powiada DeShield.

- Całą?

- O ile wiem, tak.

- Wrócimy do tego później - mówię. - Najpierw proszę nam powiedzieć, co pan odkrył w wyniku swoich badań?

- Wedle mojej opinii, przedmiot, który pozostawił zadrapania na krawędzi stolika, był bardzo kosztowny i wykonany na zamówienie -oznajmia świadek.

- Na czym pan opiera swoją opinię?

- Przede wszystkim na składzie chemicznym - wyjaśnia DeShield.

-Niezwykle wysoka zawartość złota. Dwadzieścia dwa karaty. Rzadkość w przypadku biżuterii. Takie złoto pochodzi najczęściej z Indii, gdzie niski koszt robocizny, zarówno projektanta, jak i wykonawcy, stanowi o powszechnej dostępności wykonywanej na zamówienie biżuterii. Ludzie kupują tam ozdoby ze względu na wartość samego złota. Lokata pieniędzy w obliczu inflacji - wyjaśnia.

- Czy, pana zdaniem, przedmiot, o którym mowa, został zakupiony w Indiach?

- Najprawdopodobniej tak. Hinduska biżuteria nie jest importowana do Stanów. Byłaby zbyt droga.

- Czy udało się panu znaleźć jakieś zanieczyszczenia w metalu?

- Nie. To bardzo trudne w przypadku złota takiej jakości - mówi. Śladowe domieszki - ołów, żelazo, magnez - ulatniają się niezwykle szybko.

Na twarzy Stobla pojawia się coś na kształt uśmiechu. Kline robi mądrą minę i uderza o stół otwartą dłonią. Zorientowawszy się, że ściągnął na

siebie uwagę, usiłuje przekształcić tę demonstrację ulgi w niedbałe przeciąganie się.

- A więc drogą analizy chemicznej drobin metalu nie da się pozytywnie zidentyfikować sztuki biżuterii, z której zostały zdrapane?
- Nie. Nie poprzez analizę chemiczną.
- Czy istnieje inny sposób?
- Moim zdaniem, tak. Uśmiech znika z twarzy Kline'a.

325

- Jaki?
- Uszkodzenia mechaniczne - oznajmia świadek.

DeShield przyszedł z tym do mnie w zeszłym tygodniu. Analiza chemiczna z powodu braku zanieczyszczeń okazała się niewystarczająca do zidentyfikowania próbki. Na szczęście jednak złoto, a zwłaszcza złoto dwudziestodwukaratowe, ma pewną ogólnie znaną cechę. Jest miękkie, łatwo kowalne i równie łatwo podatne na uszkodzenia. Świadek wyjaśnia to teraz sędziom przysięgłym.

- Dolna część obudowy stolika ma drobne żłobkowanie, złożone z miniaturowych rowków i występów, których wymiary, a także odstępy pomiędzy nimi, stanowią unikalną cechę charakterystyczną.

Ma ze sobą odpowiednie zdjęcie, które przyczepiamy do tablicy: w dziesięciokrotnym powiększeniu rowki i rozdzielające je wypiętrzenia wyglądają jak góry na księżycu, albo - używając ściślejszego porównania DeShielda - ząbkowanie klucza.

- Znajdźcie złotą biżuterię z uszkodzeniami mechanicznymi, odpowiadającymi żłobkowaniu obudowy stonka, a będziecie mieli pozytywną identyfikację.

Daję Kline'owi czas na przyswojenie sobie tej rewelacji i zaczynam tymczasem grzebać w naszym pudle z dowodami. Prokurator okręgowy gapi mi się na ręce, nie mogąc oderwać wzroku od szeleszczących papierowych kopert. Wreszcie wstaje z krzesła rzucając przy tym pytające spojrzenie w stronę Stobla.

- Wysoki Sądzie, czy możemy zadać świadkowi pytanie?
- Nie teraz - mówi Radovich.

Kline chciałby przerwać dramatyczne napięcie chwili. Nie ma pewności, ale zawsze istnieje szansa, że istotnie znaleźliśmy zaginiony złoty przedmiot, chociaż, Bóg jeden wie, w jaki sposób mielibyśmy tego dokonać.

Wyciągam z pudła papierową torbę, opatrzoną etykietką inwentaryzacyjną z odpowiednim numerem. Wszystkie znajdujące się wewnątrz przedmioty zebraliśmy pod czujnym okiem specjalnego urzędnika sądowego, odpowiedzialnego za to, żeby nie było żadnych machlojek z dowodami. Każda sztuka została dokładnie obejrzana przed zapakowaniem do koperty przekazanej następnie do dyspozycji Sądu.

- Panie DeShield, za chwilę wręcę panu kopertę i poproszę, żeby zidentyfikował pan jej zawartość.

Podaję mu papierową torebkę. DeShield czyta napis na etykietce, po czym rozrywa papier.

- Pewna ilość biżuterii - oznajmia enigmatycznie świadek.

Kline posyła mi pełne urazy spojrzenie, jakbym złośliwie trzymał go w zawieszaniu. Nie może usiedzieć na swoim miejscu, wstaje z krzesła i podchodzi do podium dla świadków, żeby zajrzeć mi przez ramię.

- Skąd otrzymaliśmy ową biżuterię?

- Z komendy głównej policji - powiada DeShield.

326

- A skąd tam się wzięła?

- Z domu oskarżonego - wyjaśnia. - W środku znajduje się koperta, podpisana przez detektywa Stobla, wraz z arkuszem inwentaryzacyjnym -dodaje.

- Zwrócił się pan do policji o udostępnienie tych przedmiotów. Czy tak?

- Tak.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Ponieważ oskarżenie nie zamierzało włączyć ich do swojego materiału dowodowego.

- Zgłaszam sprzeciw - wtrąca się Kline. - Skąd świadek może to wiedzieć?

- To oczywiste. Zakończyliście już przedstawianie swojego materiału dowodowego, a ława przysięgłych nie widziała tych przedmiotów na oczy. Radovich kiwa głową.

- Oddalam sprzeciw. Odpowiedź świadka zostanie w protokole.

- Wie pan może, czy to jest cała biżuteria, znajdująca się w posiadaniu oskarżonego?

- Zostałem poinformowany, że to jest cała biżuteria, jaka została znaleziona podczas rewizji w domu oskarżonego.

- Wie pan może również, czy policja przeprowadziła analizę chemiczną tych przedmiotów oraz badanie zawartych w nich śladowych domieszek, w celu porównania z próbkami obcego metalu, pobranymi ze stolika do kawy z mieszkania ofiary?

- Owszem, policyjne laboratorium przeprowadziło takie badania. Mam kopię ich raportu.

Oto dlaczego nie należy przemilczać niewygodnych materiałów dowodowych. To tylko daje broń do ręki drugiej stronie.

- I cóż takiego zawiera ten raport? - pytam.

- Analiza laboratoryjna pozwoliła na wykluczenie wszystkich tych przedmiotów ze względu na skład chemiczny i zawartość substancji śladowych, nie odpowiadającą próbce złota pobranej ze stolika do kawy.

- Czy pan także badał biżuterię należącą do oskarżonego?

- Tak.

- Czy wyniki pańskich badań potwierdzają opinię laboratorium policyjnego, iż biżuteria mojego klienta nie odpowiada pod względem kompozycji chemicznej i zawartości śladowych zanieczyszczeń próbkom obcego metalu, pobranym ze stolika do kawy w mieszkaniu ofiary?

- Tak.

- Czy zbadał pan również owe przedmioty na obecność uszkodzeń mechanicznych, odpowiadających żłobkom na obudowie stolika?

- Owszem.

- Z jakim wynikiem?

- Nie stwierdziłem obecności takich uszkodzeń na żadnym z tych przedmiotów.

327

- Czy, o ile panu wiadomo, policja miała pełny dostęp do tych informacji?

- Tak.

Kline obrzuca mnie wrogim spojrzeniem.

- Dziękuję panu. Świadek do dyspozycji oskarżenia.

Kline nie może się powstrzymać od zadania oczywistego pytania. Wyrzuca je z siebie nie czekając, aż znajdzie się przy podium dla świadków.

- Panie DeShield - mówi - czy nie powiedział pan nam przed chwilą, że ów złoty przedmiot mógł zostać zerwany z dłoni sprawcy?

- Istnieje taka możliwość - powiada świadek.

- Czy w takim razie nie wydaje się panu prawdopodobne, że złotego przedmiotu, który pozostawił owe ślady na stoliku w mieszkaniu ofiary, mogło po prostu nie być w domu oskarżonego w momencie przeprowadzania rewizji?

- To prawda - zgadza się DeShield. - Ale w takim razie policja powinna była znaleźć go w miejscu zbrodni.

Acosta z ledwo tłumionym chichotem chwyta mnie za ramię. Odpowiedź DeShielda - razem z domysłem, że policjanci nie tylko zataili wyniki analizy laboratoryjnej biżuterii mojego klienta, ale jeszcze, być może, zniszczyli dowód rzeczowy, kiedy nie mogli go przyczepić do głównego podejrzanego - widać, że wychodzi Kline'owi bokiem.

Kline zerka na Stobla, który pod jego wzrokiem wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć „co ja mogę zrobić?”

- Czy nie sądzi pan, że oskarżony mógł zabrać ten przedmiot z miejsca zbrodni - pyta Kline - żeby później się go pozbyć?

- Sprzeciw - zrywam się z krzesła. - To bezpodstawne spekulacje.

- Sprzeciw podtrzymany - mówi Radovich.

- Nie bardziej bezpodstawne niż twierdzenie, że powinniśmy byli znaleźć ten przedmiot na miejscu zbrodni.

- To pan zadał to pytanie - przypomina mu sędzia.

Kline z blokiem żółtego papieru do notatek wykonuje przy podium dla

świadków niezdarne ruchy. Długopis wypada mu z ręki i ląduje na podłodze. Prokurator musi się schylić, żeby go podnieść. Kiedy wraca do pionowej pozycji, jest wściekły i kompletnie zdezorientowany.

Widać wyraźnie, że to nie jest najlepszy dla niego dzień. Z ławy przysięgłych słycać jakieś szmery. Wreszcie po paru sekundach Kline zmienia taktykę i odnajduje właściwe miejsce w swoich notatkach.

- O, mam - oznajmia wszem i wobec. - Twierdzi pan, że pozytywna identyfikacja jest możliwa. Proszę nam powiedzieć, z jaką dokładnością można by stwierdzić za pomocą jednego z tych testów, że próbki metalu ze stolika do kawy i z biżuterii są tożsame?

- Który test ma pan na myśli? - pyta DeShield.

- Wszystko jedno. Którykolwiek - powiada Kline. Świadek może sobie wybrać. Jest wyraźnie zły na DeShielda.

328

- Jak mówiłem, biorąc pod uwagę wysoką zawartość złota w próbce metalu, pobranej ze stolika, analiza chemiczna nie pomoże w identyfikacji właściwej sztuki biżuterii. Ale uszkodzenia mechaniczne to zupełnie inna sprawa.

- Dobrze - mówi Kline. - Uszkodzenia mechaniczne. Z jakim prawdopodobieństwem potrafi pan zidentyfikować złoty przedmiot, który pozostawił ślady na ramie stolika.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, dopóki go nie zbadam, niemniej...

- A więc nie widział pan tego przedmiotu?

- Sprzeciw. Pan prokurator nie powinien przerywać świadkowi, dopóki ten nie skończy odpowiadać - mówię.



- Przepraszam - powiada Kline.
- Jak już mówiłem - DeShield wraca do przerwanej wypowiedzi - moim zdaniem, analiza składu chemicznego nie przyniesie efektów. Jestem jednak przekonany, że badanie uszkodzeń mechanicznych umożliwiłoby pozytywną identyfikację.
- To znaczy, że do tej pory nie widział pan tego przedmiotu? - Kline obsesyjnie pozostaje przy tym punkcie. Na pewno myśli sobie, że mamy zaginione precjozo, tylko trzymamy je na właściwy moment. Ale skąd niby mieliśmy je wziąć?
- Nie widziałem. Jeszcze nie - mówi DeShield. To mu daje do myślenia.
- Ale wie pan, gdzie to jest?
- Nie.
- Dopiero co pan przyznał, że jeszcze pan tego nie widział.
- Tak właśnie powiedziałem.
- Czy ten przedmiot znajduje się w posiadaniu pana Madrianiego?
- Nie wiem.

Kline posyła mi przeciągłe spojrzenie, przez chwilę myślę, że zaraz wezwie mnie na podium dla świadków.

- Wysoki Sądzie, mamy prawo wiedzieć, czy obrońca nie ukrywa dowodów - oświadcza Kline.
- Wysoki Sądzie - wtrącam, zanim Radovich zdąży cokolwiek odpowiedzieć - jesteśmy świadomi obowiązków wynikających z zasady wymiany materiału dowodowego. Zapewniam Wysoki Sąd, tu i teraz, że nigdy nie złamaliśmy tej zasady. Przedłożyliśmy do dyspozycji Sądu wszystko, do czego zobowiązuje nas prawo. Pan prokurator nie może od nas wymagać niczego ponadto.

Moje słowa nie zadowolają Kline'a.

- Wysoki Sądzie, żądam jasnej odpowiedzi.
- W moim gabinecie - mówi Radovich waląc młotkiem w stół. - Pięć minut przerwy.

329

Stawiamy się w gabinecie Radovicha - Harry, ja, Kline i Stobel. Kline jest podniecony, sprawia wrażenie solidnie wytrąconego z równowagi. Mówi sędziemu, że przejrzał naszą grę.

- Leonora Goya ukrywa dowód rzeczowy — oznajmia. — Odcisk jej palca był na drzwiach mieszkania ofiary. Wszystko zaczyna układać się w sensowną całość - powiada Kline.

- Czy to prawda? - pyta mnie Radovich.

- Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

- Macie tę zaginioną biżuterię - upiera się Kline. - Bez wątpienia należy do jego klienta - mówi Radovichowi. - Teraz wszystko jest jasne. Już wiem, jak udało jej się wepchnąć do tej sprawy.

- Komu? - pyta Radovich.

- Pannie Goya - rzuca Kline. Nazywa to wymuszeniem.

- Nie życzę sobie więcej tego słuchać — gromi go Radovich. Kline przerywa w pół słowa. Wygląda na niezadowolonego.

- Proszę o jednoznaczną odpowiedź. - Radovich patrzy na mnie. - Ma pan zagubioną biżuterię, czy nie?

- Ja tego nie mam - odpowiadam, akcentując zaimek osobowy, żeby Kline miał się nad czym zastanawiać. - Jeżeli ma to ktoś inny, ja nic o tym nie wiem - dodaję.

- Proszę bez żadnych gierek - upomina mnie Radovich. - Nie życzę sobie tego.

- On się cały czas zgrywa, Wysoki Sądzie - skarży się Kline.

- Żadnych gierek - mówię poważnie. - Przyznaję, że możemy mieć swoje teorie. Ale teorie nie podlegają zasadzie wymiany wyników śledztwa - mówię sędziemu.

- Wie pan, gdzie to jest? - pyta Radovich.

- Nie mam pojęcia.

Radovich opiera obie dłonie o blat biurka i wzrusza ramionami.

- Mówi, że nie wie - oznajmia Kline'owi nowinę.

- Kłamie - mówi Kline.

- Odpowiedziałem na pytanie, Wysoki Sądzie. Nie mam tego ani nie wiem, gdzie to jest.

- Jasne - powiada Kline. - Ale Goya wie.

- Jest pan pewien? Niech pan to udowodni - mówię.

- Wysoki Sądzie, prosimy o zgodę na ponowne otwarcie oskarżenia.

Zamierzamy wezwać Leonorę Goya na świadka - oznajmia Kline.

- A my, zgłaszamy sprzeciw - ja na to. - Oskarżenie miało mnóstwo czasu, żeby przesłuchać pannę Goya. Od początku wiedzieli o odcisku jej palca na drzwiach mieszkania ofiary. Teraz doszli nagle do przekonania, że popełnili błąd taktyczny i chcą zaczynać wszystko od nowa.

Twarz Radovicha wyraża tysiąc różnych uczuć, przypomina rozpuszczającą się kostkę masła.

330

- Jestem skłonny przychylić się do stanowiska obrońcy - powiada. -Miał

pan swoją szansę - powiada Kline'owi. - Nie, żebym pana nie rozumiał. - Spogląda na mnie, jakby nie był do końca przekonany o mojej prawdomówności.

Kline podejmuje ostatni atak, ale Radovich przerywa.

- Nie wyrażę zgody na ponowne otwarcie oskarżenia - oświadcza Kline'owi. Chyba, że potrafi pan to udowodnić. Jeżeli jednak nie ma pan żadnych solidnych dowodów na to, że panna Goya albo pan Madriani ukrywają zaginioną biżuterię, nie ma co pan liczyć na drugą szansę. I bez tego czeka nas jeszcze mnóstwo roboty.

Harry i ja odwracamy się, żeby wyjść.

- A panu, panie Madriani - ciągnie dalej Radovich - nie radzę zjawiać się w Sądzie z brakującym dowodem, który niespodziewanie odkrył pan w noc przed zakończeniem procesu. Rozumiemy się?

- Rozumiemy się - mówię. Mierzy mnie srogim wzrokiem.

- To dobrze.

Wychodząc, niechcący ocieram się o Kline'a. Czuję, jak przez jego ciało przebiega dreszcz. Usta prokuratora znajdują się tuż przy moim uchu. Mówi tak cicho, że nikt, nawet Harry, nie może go usłyszeć.

- Powiedz tej dziwce - syczy - powiedz jej, że chcę to mieć. - Chwyta mnie przy tym za ramię, zaciskając mocno palce, tak że muszę się wyrwać, żeby go wyminąć.

Patrzę mu w oczy i nagle widzę całą nienawiść, nawarstwiającą się z miesiąca na miesiąc, wrogość wobec Leonory, tłumioną do tej pory w sobie. Wszystko to okazuje nam teraz bez skrępowania z powodu jednego niewielkiego przedmiotu - zaginionego dowodu rzeczowego.

Od czasu do czasu - najwyżej raz czy dwa w ciągu procesu - zdarza się taka chwila, kiedy trzeba zaryzykować. Jeżeli masz szczęście i Pan Bóg nie poskąpił ci rozumu, starasz się wówczas opanować atak paniki, zachować zimną krew i chronić swój tyłek. Jednak w końcu zamykasz oczy i trzymasz za siebie kciuki. Jeden z takich momentów właśnie zaraz nastąpi.

Jerry Franks liźnął po trochu wiedzy ze wszystkich dziedzin ekspertyzy sądowej, ale tak naprawdę dobrze nie zna się na żadnej. Jego curriculum vitae zawiera tyleż istotnych treści, co niedzielny komiks. Przekonanie, iż jego zeznania poparte są jakąkolwiek usystematyzowaną wiedzą, jest równie zasadne, co wiara w beatyfikację świętych. Krótko mówiąc, Jerry Franks jest człowiekiem, do którego się zwracasz, kiedy potrzebujesz kupić opinię biegłego. Nie dość na tym, że jego kwalifikacje są mocno wątpliwe, to jeszcze wystawia je na sprzedaż.

Nic więc dziwnego, że Kline nie posiada się z radości, kiedy wzywam Franksa na podium dla świadków. W grze o to „mój ekspert jest lepszy od twojego” każdy, kto wystawia Jerry'ego Franksa, musi zostać uznany za niezdrowego na umyśle.

Co prawda, Franks doprowadził do perfekcji żargon zawodowy, niemniej jednak zakres i poziom jego wiedzy pozostawiają wiele do życzenia.

Jest niskim grubasem ze zmierzwionymi przerzedzonymi włosami, w okularach w rogowej oprawie. Nosi bardzo solidne szkła grubości okiennej szyby, jak sądzę, wyłącznie dla wywołania efektu. Sportowa marynarka stanowi stały element umundurowania, które wkłada do sądu: niemodny od dwudziestu lat sztruks ze skórzanymi łatami na łokciach, a do tego spodnie przesiąknięte potem w takim stopniu, że zapewne pod rozgrzanym

żelazkiem musiałyby wydzielać niemiłe dla nosa opary. Na nogach ma czarne pantofle, które w życiu nie widziały pasty do butów.

332

W jednej podeszwie świeci dziura ta sama, którą widziałem przed rokiem, kiedy z dumą demonstrował ją ławie przysięgłych, założywszy nogę na nogę. Starannie pielęgnuje image roztargnionego profesorka, zdolnego przez pomyłkę wypić zamiast herbaty preparat do eksperymentów.

Gdy Franks wchodzi na podium dla świadków, Stobel mówi coś do Kline'a, po czym obaj wybuchają śmiechem, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do obiektu swojej wesołości. Kręgi prawnicze naszego miasta, a także co bystrzejsi przysięgli nie mają najlepszego zdania o opiniach wygłaszanych przez Franksa. Z ławą przysięgłych różnie bywa, ale bystry prawnik na ogół potrafi sobie z nim poradzić.

Franks zostaje zaprzysiężony, jednak zanim mam czas zadać mu pierwszy pytanie, Kline zgłasza sprzeciw.

- Wysoki Sądzie, nie otrzymaliśmy żadnego raportu z badań, przeprowadzonych przez świadka - powiada.

- Z tej prostej przyczyny - wyjaśniam - że świadek go nie sporządził.

Poinformowałem Kline'a z grubsza, czego będą dotyczyły zeznania Franksa, ale nie powiedziałem mu nic ponadto, co było konieczne.

Chciałem rozpalic ciekawość i uczynić zadość zasadzie jawności wyników śledztwa.

- Czy możemy przynajmniej zapytać, w jakim celu obrona wezwała pana Franksa na świadka?

Radovich chce to omówić poza protokołem. Każe nam podejść do ławy Sądu.

- O co tu chodzi, panie Madriani?

- O zeznania dotyczące kalendarza z mieszkania ofiary, Wysoki Sądzie.

Na moje życzenie Franks zbadał trzy czy cztery przedmioty, wliczając w to kalendarz, a wszystko po to, żeby Kline nie mógł się skoncentrować na jednym obiekcie.

- I co z tym kalendarzem? - chce wiedzieć Radovich.

- Okazuje się, że na kalendarzu była notatka, po której pozostał ślad, odcisnięty w papierze. Uważamy, że to ma związek ze sprawą.

- Czemu to ma służyć? - nie rozumie Kline.

- Pokazaniu, że w dniu zabójstwa, ofiara dokonała więcej zapisów w kalendarzu, niż to zostało do tej pory ujawnione -wyjaśniam zwracając się do sędziego.

- Nic dziwnego, że świadek nie przedstawił raportu -powiada Kline.

-Nawet jeżeli rzeczywiście tak było, to i tak jest to dowód z drugiej ręki.

Ma rację, chyba że uda nam się znaleźć jakiś pretekst do uznania notatki Brittany Hali za wyjątek od tej reguły. Kline musiał to zrobić, żeby włączyć zapis o spotkaniu z Acostą do materiału dowodowego, podciągnął go pod „pośrednie przyznanie się”.

- Treść notatki może sobie być dowodem z drugiej ręki - przyznaję -ale nie da się tego powiedzieć o fakcie, że pod datą morderstwa, w kalendarzu Brittany Hali było więcej wpisów.

333

Problem Kline'a polega na tym, że udowodnione spotkanie ofiary z kimś jeszcze - oprócz Acosty - w dniu zabójstwa niewątpliwie zainspiruje

sędziów przysięgłych do snucia przypuszczeń wymykających się spod kontroli pana prokuratora okręgowego.

- Świadek może zeznawać, ale tylko co do faktu istnienia innej notatki - oznajmia Radovich. - Proszę się tego ściśle trzymać.

Zerkam na Franksa czekającego na podium dla świadków.

- Jasne - powiadam.

Wracamy na swoje miejsca. Przy naszym stole Acosta wypytuje Harry'ego, co tu jest grane.

Pomimo nieobecności Leonory w sądzie, z każdą chwilą jest ona coraz bliżej centrum naszej uwagi.

Nie wezwałem jej na świadka, kierując się w równym stopniu lojalnością, co wymogami strategii. W ten sposób podejrzenia Kline'a na temat tego, co Leonora może wiedzieć albo mieć, nadal będą go dręczyć jak koszmary senne w nocy.

Jednak bez pomocy Leonory muszę się mocno nagimnastykować, żeby znaleźć jakiś sposób dotarcia do notatki zerwanej przez moją przyjaciółkę z kalendarza Brittany Hali, a co za tym idzie, do faktu, że ofiara i Tony Arguillo byli umówieni na randkę. Do tego właśnie potrzebny mi jest Jerry Franks.

Omawiamy kwalifikacje świadka. To nam zajmuje nie więcej niż minutę. Kline ma wątpliwości, czy Franks może zeznawać jako biegły. Chce go przesłuchać na tę okoliczność. Zadaje mu parę pytań, po czym zgłasza sprzeciw.

- Żaden z niego ekspert - oznajmia. - Przynajmniej nie w dziedzinie papieru i odcisków na papierze.

Wywiązuje się spór.



Franks uczestniczył w dwóch seminariach, z których jedno odbyło się pięć lat temu. Liznął nieco wiedzy, ale nie może stwierdzić, żeby kiedykolwiek składał zeznania na temat odcisniętego pisma.

Radovich przejmuje sprawę w swoje ręce. Zadaje świadkowi kilka pytań dotyczących wykształcenia i jego wiedzy na temat technik identyfikacji odcisków na papierze. W końcu uznaje, że stwierdzenie obecności lub braku odcisniętych na papierze napisów nie wymaga szczególnej wiedzy.

- Gdyby świadek zamierzał zeznawać na temat treści, mógłbym się z panem zgodzić - mówi Kline'owi. - Lecz w tym przypadku sędziowie przysięgli mogą sami rozstrzygnąć, czy mają potraktować jego opinię poważnie.

Kline nie jest usatysfakcjonowany, ale wraca na swoje miejsce. Franks nie powiedział jeszcze ani słowa, a już rozpętał wokół siebie burzę kontrowersji.

334

- Panie Franks, czy zbadał pan kalendarz udostępniony panu na moją prośbę przez policję?

- Tak - mówi. - Stwierdziłem, że...

- Wystarczy, jeśli będzie pan odpowiadał na pytania - przerywam mu.

Najchętniej odwaliłby swoje, zainkasował kasę i poszedł do domu.

Woźny sądowy przynosi kalendarz z wózka z dowodami rzeczowymi i Franks identyfikuje go jako przedmiot, który badał. Otwieram kalendarz na lipcu, po czym ustawiam na stelażu przed ławą przysięgłych dostatecznie daleko, żeby sędziowie nie mogli kontemplować obciążającej notatki z nazwiskiem Acosty bez uciekania się do pomocy lornetki.

- Chciałbym zwrócić pańską uwagę na dzień piętnasty lipca. Proszę nam powiedzieć, czy badał pan rubrykę pod tą datą?

-Tak.

- Czy może nam pan wyjaśnić, na czym polegało przeprowadzone przez pana badanie?

- Zostałem poproszony o ustalenie, czy w rubryce pod tą data nie ma niewidocznych śladów pisma, na przykład odcisniętych liter.

- Co to są „odcisnięte litery”? - pytam.

- Są to odciski, niekiedy fragmentaryczne, zachowane na spodnim papierze pod wpływem nacisku wywieranego na leżącą na nim kartkę podczas pisania.

- Tak, jak to ma miejsce w przypadku kolejnych kartek bloku listowego?

-Tak.

- Czy udało się panu stwierdzić obecność tego rodzaju odcisków w rubryce kalendarza pod datą piętnasty lipca?

- Tak - powiada. - Okazało się, że znajdują się tam ślady notatki.

- Czy ta notatka była możliwa do odczytania?

- Sprzeciw. Świadek ze słyszenia - podrywa się Kline.

- Pytanie brzmiało, czy napis był możliwy do odczytania, a nie, co zawierał. - Zwracam się do Kline'a i Radovich przypominam mi, że swoje argumenty powinienem kierować do Sądu.

- Świadek może odpowiedzieć na pytanie tak albo nie - rozstrzyga sędzia.

- Tak - mówi Franks.

- Zdołał go pan odcyfrować? -Tak.

Odwracam się tyłem do podium, zastanawiając się, z której strony to ugryźć.

- Czy badając kalendarz był pan w stanie ustalić, na jakiego rodzaju papierze została sporządzona usunięta później notatka?

Zawsze dobrze jest wiedzieć, o jaki dowód chodzi, zanim zaczniesz się go szukać. Popracowaliśmy nad tym wspólnie z Franksem. Ja mu powiedziałem, co to jest, a on wykombinował, jak to odkryć.

335

- Owszem, na kalendarzu pozostały pewne ślady, które mogłyby wskazywać na rodzaj papieru, na jakim była sporządzona notatka.

Kline zaczyna, wiercić się niespokojnie na swoim krześle.

- Proszę nam o nich opowiedzieć.

- Badanie pod mikroskopem wykazało obecność mikroskopijnych drobin roślinnych substancji kleistych.

Był zachwycony tym określeniem, uparł się, żeby je użyć. Twierdził, że to podniesie wiarygodność zeznań.

- Roślinnych substancji kleistych?

- Kleju - wyjaśnia Franks.

- Ach. Jakiego rodzaju kleju?

- Pod intensywnym oświetleniem - powiada - i w dużym powiększeniu powiedziałbym, że to przypomina klej stosowany przy produkcji owych żółtych samoprzylepnych karteczek, których wszyscy używamy.

Nawet pod intensywnym oświetleniem i w dużym powiększeniu, bzdura pozostanie bzdurą i Kline czuje to na kilometr. Podnosi do góry oczy i zaczyna gderać pod nosem. Posuwa się nawet do wyrzucenia w powietrze dwóch kawałków papieru i przygląda się, jak powoli opadają na blat stołu. Zupełnie jakby chciał się upewnić, że prawa fizyki nie przestały obowiązywać. Rzuca Stoblowi spojrzenie mówiące „coś podobnego,

potrafi pan w to uwierzyć?"

Harry trzyma w pogotowiu jedną z tych samoprzylepnych karteczek.

Pokazuję ją świadkowi.

- O tym właśnie mówię - potwierdza Franks.

Kline tymczasem zdążył nabrać przekonania, że to jakaś totalna bzdura.

Chce to obejrzeć na własne oczy. W asyście Stobla przykleja żółty kwadracik do kartki papieru, przeciąga po niej kciukiem i zrywa.

Obmacuje papier w poszukiwaniu śladów kleju. Kręci głową, po czym podnosiószszy kartkę do góry, ogląda ją pod światło.

Zanim mam czas zgłosić sprzeciw, Franks sam załatwia sprawę.

- Och, do tego potrzebny jest mikroskop - powiada z taką niewinną szczerością w głosie, że kilku sędziów przysięgłych parska śmiechem, Kline posyła mu złowrogie spojrzenie. Wyraźnie ma zamiar teraz wziąć świadka w krzyżowy ogień pytań.

- Powiedział pan, że odcisnięty napis dawał się odczytać. Proszę nam wyjaśnić, jaką techniką, czy też metodą, posłużył się pan, żeby go odcyfrować?

- Zrobiłem to bardzo starym sposobem - powiada. Przez chwilę milczy spoglądając na mnie. Mam wrażenie, że zaraz powie „zmyśliłem go”.

Zamiast tego, mówi:

- Ukośne światło.

- Proszę to wyjaśnić sędziom przysięgłym.

- Bierze się bardzo mocną lampę i rzuca się światło, pod kątem, na kartkę papieru z odcisniętym pismem. We wklęsłych miejscach pojawi się

336

cień. Jeżeli odcisk jest dostatecznie głęboki, można odczytać litery.

Oczywiście istnieją również inne metody, niektóre z nich znacznie bardziej skomplikowane.

- A jakże - powiada Kline.

Zgłaszam sprzeciw, Radovich przywołuje prokuratora do porządku. Mówi mu, że będzie miał swoją kolej.

- Nie mogę się doczekać. Puszczam to mimo uszu.

- Czy w tym wypadku metoda ukośnego światła przyniosła efekty?

- Okazała się wystarczająca.

- Z ilu wyrazów składał się odcisnięty napis?

- Sprzeciw - protestuje Kline. - Świadek ze słyszenia.

- Nie pytam o treść, tylko o liczbę słów - mówię.

Zdaję sobie sprawę, że stąпам po krawędzi. Radovich namyśla się przez chwilę przed podjęciem decyzji.

- Pozwolę na to - oznajmia - ale na nic więcej.

- Zastanówmy się. - Franks liczy na palcach ręki, zaczynam się zastanawiać, czy zdejmie dziurawy but, jeśli nie zmieści się w dziesięciu.

- Czy pierwsza litera nazwiska i godzina też się liczą, czy tylko imię tego faceta? - pyta.

- Sprzeciw. - Kline zrywa się na równe nogi. - Zgłaszam wniosek o usunięcie tego z protokołu.

- Uwaga świadka zostanie wykreślona z protokołu - oznajmia Radovich.

- Sędziowie przysięgli zapomną, że ją kiedykolwiek słyszeli. - Rzuca mi piorunujące spojrzenie, po czym zwraca się do świadka.

- Proszę ograniczyć się do odpowiedzi na pytanie - mówi. - Ile słów?

Następna uwaga i spędzi pan noc w areszcie. Czy się zrozumieliśmy?

- Niech no pomyślę. - Zaczyna liczyć od nowa.

- Czy się zrozumieliśmy?
- Och, tak. Jasne. - Dwa albo trzy - powiada. - Zależy, jak liczyć. Radovich wygląda, jakby miał ochotę walnąć go młotkiem.
- Świadek do pańskiej dyspozycji - zwracam się do Kline'a.
- Ocalony w ostatniej chwili - powiada sędzia. Paru sędziów przysięgłych wybucha śmiechem.

Kline rzuca się do ataku jak rekin, który poczuł krew w wodzie.

- Czy przy badaniu odcisniętego pisma nie robi się zazwyczaj fotografii? - pyta.
- Niektórzy robią - powiada Franks. - Ja nie.
- Drogi panie, czy nie jest przypadkiem tak, że zrobienie zdjęć jest niezbędne do odczytania odcisniętego pisma?
- Ja je czytam bez pomocy fotografii - oznajmia świadek.
- Przypuszczam, że jest pan też poliglotą - szydzi Kline.

22 -Sędzia

337

- Sprzeciw.
- Proszę się trzymać pytań - przypomina mu Radovich.
- Tak więc mamy tylko pańskie słowo na to, że odcisnięty napis rzeczywiście tam był? Nie istnieją żadne dowody rzeczowe zdolne to potwierdzić?
- Nie.
- To bardzo wygodne - stwierdza Kline.
- Czy to jest pytanie? - chce wiedzieć Radovich.
- Jasne - mówi Kline. Wyraźnie postanowił zaimponować nam przenikliwością. - Czy nie jest faktem, iż w rzeczy samej uważa pan brak

fotografii za bardzo wygodny?

- W jakim sensie? - pyta Franks.

- W takim, że gdyby został pan zmuszony do przedstawienia fotografii, mielibyśmy szansę je przestudiować. Sędziowie przysięgli mogliby je sobie obejrzeć. Bez zdjęć może pan twierdzić, co się panu żywnie podoba, podczas gdy my jesteśmy pozbawieni wszelkiej możliwości zweryfikowania pańskich słów. Czy nie mam racji?

- Owszem, brak zdjęć ma swoje przyczyny, ale nie takie, jak pan sugeruje - oznajmia Franks.

W obecności sędziów przysięgłych Kline nie może odrzucić wyzwania. To jak test na odwagę, dowód męskości. Więc pyta, jakie to powody usprawiedliwiają brak zdjęć?

- Przedstawienie fotografii jest niedopuszczalne - powiada świadek. - Sam pan to powiedział. Treść napisu na zdjęciu byłaby świadectwem z drugiej ręki.

Kline wpadł we własne sidła.

- Sędzia mógłby obejrzeć zdjęcia za zamkniętymi drzwiami - stwierdza, nie bardzo do rzeczy, zdając sobie sprawę, że właśnie dostał w dupę.

Wycofuje się na z góry upatrzone pozycje, pośpiesznie zmieniając temat. - Skąd może mieć pan pewność, że substancja, której ślady znalazł pan na kalendarzu, była klejem z samoprzylepnej karteczki?

- Doszedłem do takiego wniosku po przeprowadzeniu serii porównań.

- Nie wahał pan czasem tego kleju?

Franks odruchowo odpowiada „nie”, zanim zdąży się zorientować, że to była podpucha.

- Świadek nie będzie mi więcej potrzebny - oświadcza Kline okazując

całą pogardę, na jaką go było stać. Odsyła świadka pełnym obrzydzenia gestem dłoni.

To najlepsze, co może zrobić, zważywszy na rozsadzającą go w tej chwili wściekłość. Wyobrażam sobie atak szału, jakiego by dostał, gdyby znał całą prawdę. Odcisnięte pismo, o którym tak ładnie opowiedział Jerry Franks, jest mityczne. Treść notatki, jaką wedle naszej umowy miał podać, gdyby do tego doszło, brzmiała: Tony A. 7:30.

338

Krótką i węzłowatą rekonstrukcją tekstu przeczytanego przez Leonorę w noc zabójstwa, wedle tego, co potrafiła sobie przypomnieć po upływie wielu miesięcy.

- Chyba upadłeś na głowę. Wariat - mówi Harry. - Stracisz licencję. I to dla kogo? - Ma na myśli Acostę. Szykujemy się do dalszej walki w korytarzyku przed bufetem, korzystając z przerwy w rozprawie.

Powiedziałem w końcu Harry'emu, o co chodziło w zeznaniach Franksa.

- To zupełnie nie w twoim stylu - powiada.

Przypuszczenie, że zdołałem obrazić poczucie etyki zawodowej mojego partnera, każe mi zastanowić się na nowo nad moją własną postawą moralną. Nagle dociera do mnie, że go po prostu źle zrozumiałem - to nie moralny aspekt sprawy niepokoi Harry'ego, lecz obawa, że moje machinacje mogą się wydać.

Owszem, tkwi w tym spore ryzyko, ale nawet w połowie nie tak wielkie, jak sądzi Harry. Nie powiedziałem mu wszystkiego, co wiem i czego się domyślam.

- Co zamierzasz dalej robić? - pyta.

- Wezwę następnego świadka.



- Nie o to mi chodzi. Z czego się będziesz utrzymywać, kiedy odbiorą ci prawo do wykonywania zawodu?

Patrzę na niego, ale nie widzę, żeby się śmiał.

Przepychamy się przez tłum tarasujący korytarz przed salą rozpraw.

Poranna przerwa dobiega końca. Pierwsza dostrzega nas ekipa wiadomości, złożona z kamerzysty, faceta od dźwięku i reportera. Reporter rusza do ataku usiłując wmanewrować nas pod ścianę.

- Czy możemy prosić o chwilę rozmowy? Harry i ja przyśpieszamy kroku.

- Nie mamy teraz czasu - mówię.

- Prokurator okręgowy oświadczył, że oskarżenie przeprowadzi własną ekspertyzę kalendarza. Może to pan jakoś skomentować? - Reflektory mamy skierowane prosto w twarz.

- Spodziewamy się, że prokurator okręgowy udostępni nam wyniki ekspertyzy - powiadam.

- Nie czuje się pan zaniepokojony?

- Dlaczego miałbym być zaniepokojony? Wiem, co było napisane na tym kalendarzu. - Przynajmniej częściowo to, co mówię, jest prawdą.

- Czyje nazwisko zawierała notatka?

Kamery mnożą się jak grzyby po deszczu, korytarz zalewa powódź światła, przy którym można by nakręcić film. Tłum całkowicie zablokował nam przejście.

- Proszę śledzić proces - radzę im - to się panowie dowiecie. Wszystko zostanie ujawnione - rozmyślnie rzucam im przynętę. Kilku operatorów

339

chwyta haczyk i pośpiesznie przestawia kamery na zbliżenie. - Wszystko w swoim czasie...

Z tłumy, za moimi plecami wysuwa się dłoń i łąduje na moim ramieniu.

Odwracam się, żeby stanąć twarzą twarz z Philem Mendlem.

- Sprytnie. Bardzo sprytnie - powiada.

Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to awantura z Mendlem przed kamerami.

- Czy moglibyście mnie poinformować, kiedy wreszcie zostanę wezwany?

- pyta prawie uprzejmym tonem.

- Kiedy tylko będziemy mieli chwilkę czasu - powiadam.

Mendel od dwóch dni wysiaduje pod salą rozpraw czekając, kiedy go wezwiemy do składania zeznań. Powiedziałem mu, że to może nastąpić w każdej chwili. Za jego plecami dostrzegam Tony'ego. Mendel i Tony to dwa sęki na tym samym kiju.

Mendel macha mi przed oczami kopertą niewielkich rozmiarów, pomalowaną w krzykliwe kolory: opływowa sylwetka samolotu na tle tropikalnego krajobrazu z plażą, spod skrzydła wystaje damska pupa w bikini, egzotyczno-erotyczne fantazje artystów od reklamy.

- Bilety na samolot - wyjaśnia. - Siedzę na walizkach. Jutro wieczorem już mnie tu nie ma. Lecę o piątej po południu.

- Wszyscy mamy swoje kłopoty. - Napieram do przodu, usiłując go wyminąć, ale znowu chwyta mnie za ramię.

- Piąta po południu - powtarza. - Możecie przesłuchać mnie teraz i będziemy mieli to z głowy. - Mówi poważnie. Naprawdę przypuszcza, że byłbym gotów dostosować swoją strategię do jego wakacyjnych planów.

- Jeśli sobie życzysz, mogę załatwić ci nadzór szeryfa. - Przypominam mu, że, jako stróż porządku publicznego, ma szczególne zobowiązania wobec wymiaru sprawiedliwości i nie może się oddalić, dopóki Sąd go nie

zwolni.

- Pocałuj mnie w dupę - powiada.

- Lepiej uważaj na swoją dupę. Jeśli wyjedziesz, może ją spotkać jakaś przykrość.

Facetom z telewizji wreszcie udało się nakierować swoje kamery na nas i ostatnie słowa zostają zarejestrowane dla potomności.

- Przepraszam. - Zaczynam przepychać się do przodu, Harry rusza w ślad za mną.

- Czy jest pan świadkiem w procesie Acosty? - pyta Mendla jeden z dziennikarzy.

- Tylko z powodu złośliwości nadużywania władzy przez obronę. Padłem ofiarą chorej wyobraźni tych panów. Wzywają na świadków osoby, które nie mają nic wspólnego z tą sprawą. Robię sobie zasłonę dymną.

Reporterzy zachłannie łowią jego słowa.

Mendel stoi z wyciągniętym ramieniem, wskazując palcem moje oddalające się plecy.

340

- Teoria obrony oparta jest na oszczerstwach pod adresem uczciwych policjantów - informuje dziennikarzy. — Na zniesławianiu ludzi, którzy każdego dnia ryzykują swoje życie dla bezpieczeństwa obywateli. Nie cofnie się przed niczym, żeby wygrać ten proces. - Światło reflektorów skupia się na moich plecach. Padły oskarżenia, na które nie mogę odpowiedzieć i których wolałbym nie słyszeć. Zaimprovizowana konferencja prasowa Mendla. Jeszcze raz słyszę, jak jest poniewierane moje nazwisko, wreszcie Harry zamyka za nami drzwi sali rozpraw. Wojowanie z mediami zaczyna odbijać się na stanie moich nerwów.

W środku faluje zbity tłum, wszystkie krzesła zajęte, zostały tylko miejsca stojące. Rzucam okiem na zegarek, jesteśmy spóźnieni. Kline'a nie ma przy stole oskarżenia, nie widzę także Stobla. Acosta siedzi na swoim miejscu, za jego plecami tkwi strażnik. Posyłam przodem Harry'ego, żeby dotrzymał towarzystwa naszemu klientowi. Coś wisi w powietrzu. Jeden z woźnych przepycha się w moim kierunku.

- Jest pan proszony do gabinetu sędziego - mówi.

Zagłębiam się w korytarzyk zaczynający się na tyłach ławy sędziowskiej, usiłując odgadnąć, jakież znowu proceduralny haczyk wymyślił tym razem Kline. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to powtórny wniosek o otwarcie oskarżenia, umożliwiające wezwanie Leonory na świadka, umotywowany jakimś nowym, rewelacyjnym odkryciem prokuratora okręgowego.

- Czekają na pana. - Surowe spojrzenie, jakie rzuca mi sekretarka Radovicha, stanowi pierwszą wskazówkę, że mogę się mylić.

Natychmiast po przekroczeniu progu gabinetu wyczuwam ciężką atmosferę.

Radovich siedzi za swoim biurkiem, groźnie marszcząc brwi, podobny wizerunkom Pana Boga z plafonów renesansowych kaplic. Kline ledwo zaszczyca mnie spojrzeniem. Stobel odwraca głowę.

- Cieszę się, że wreszcie udało się panu do nas dołączyć, panie Madriani - wita mnie sędzia. Wszystko wskazuje na to, że tym razem to jest jego inicjatywa. Wcale mi się to nie podoba.

- Przepraszam za spóźnienie. - Usprawiedliwiam się niezręcznie zatrzymaniem mnie przez dziennikarzy w korytarzu.

- Drobiazg - ucina Radovich. - Zostały przeciwko panu wysunięte pewne

bardzo poważne oskarżenia. Jeden z ekspertów oskarżenia przebadał podczas przerwy kalendarz.

Nagle czuję ucisk w żołądku, jakbym miał tam sporych rozmiarów kamień.

- Jesteśmy bardzo zaniepokojeni - powiada - faktem, że nie udało mu się znaleźć żadnych śladów odcisniętego pisma.

Zacinam się, próbuję odpowiedzieć, co musiało sprawić wielką przyjemność Kline'owi, sądząc z uśmiechu na jego twarzy.

- Mieli za mało czasu, żeby przeprowadzić porządne badanie - udaje mi się wreszcie wydusić.

341

- Niewykluczone, że ma pan rację - mówi Radovich. - Chciałem tylko pana uprzedzić, że oskarżenie postanowiło wyjaśnić tę sprawę.

- Przestraszyliście się zeznań mojego świadka? - pytam.

- Nie o to nam chodzi - oznajmia Kline. - Nie boję się pańskiego świadka. Jestem przekonany, że ława przysięgłych będzie w stanie odpowiednio ocenić jego zeznania. Jednak nakłamanie do krzywoprzysięstwa to poważna sprawa. Zwłaszcza, jeśli dopuszcza się tego prawnik. -Jego wściekłość była tym razem nieco uzasadniona.

- Na pańskim miejscu modliłbym się o dowody zarzutów wobec mnie - rzucam mu w twarz, postępując krok do przodu. Jak wiadomo, najlepszą obroną jest atak.

- Dla pańskiego dobra wolałbym, żeby ich nie znalazł - powiada Radovich.

- Istnieje milion przyczyn - wyjaśniam sędziemu - dla których odcisnięte pismo może z czasem zniknąć. Wystarczy, że policyjny magazynier

położył na kalendarzu coś ciężkiego, albo zwinął go w rulon, a po słowach, które udało się nam odczytać przed paroma miesiącami, nie pozostanie żaden ślad.

- Jeżeli kiedykolwiek tam były - oznajmia Kline - mikroskop elektronowy je znajdzie.

- Wystarczy tego gadania - postanawia Radovich, podnosząc się zza biurka. - Mamy do zakończenia proces.

Chociaż nie obdarza mnie ciepłym spojrzeniem, kiedy wychodzimy z jego gabinetu, to trzeba mu przyznać, że pilnuje się, żeby nie okazać zbyt przychylności Kline'owi i Stoblowi. Jeżeli nie zdołał tego dokonać żaden z moich wcześniejszych wyczynów, to wreszcie sprawiło to moje ryzykowne posunięcie z Jerry Franksem - straciłem zaufanie sędziego. Pierwsza rzecz, jaka rzuca mi się w oczy, kiedy Tony Arguillo wchodzi na podium dla świadków, to fakt, iż jego ruchy nie straciły nic z właściwej sobie junackiej buty. Wie, że notatka, którą Leonora zabrała tamtej nocy, została dawno zniszczona. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Kline znalazł jakiś sposób, żeby go powiadomić, iż odcisnięte pismo, o ile w ogóle istnieje, ma ograniczoną siłę rażenia. Treść notatki wskazująca na Tony'ego, stanowi niedopuszczalny przez prawo dowód ze słyszenia. Siada na krześle z miną mówiącą jednoznacznie, iż nie mogę mu nic zrobić.

- Proszę nam powiedzieć, w jaki sposób zarabia pan na życie? -zaczynam.

- Pracuję w policji. Jestem sierżantem.

- W noc popełnienia zabójstwa był pan, razem z innymi policjantami, w alejce, w której znaleziono ciało?

- Zgadza się.

- Czy znał pan ofiarę?

Przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu. Bez wątpienia zaprzeczyłby, gdyby tylko mógł. Niestety, inni świadkowie zeznali już przed nim, że Brittany Hali była policyjną groupie, od dłuższego czasu związaną z obyczajówką i jej pracownikami.

- Owszem, znaliśmy się - przyznaje wreszcie.

- Na płaszczyźnie zawodowej czy prywatnej?

- Zawodowej. - Nie zamierza przekroczyć tej granicy.

- Czy był pan kiedyś w jej mieszkaniu?

- Sprzeciw. Niejasne, co do czasu - przerywa Kline.

- Sprzeciw podtrzymany.

- Umówmy się, że chodzi wyłącznie o czas przed śmiercią ofiary. Czy kiedykolwiek przedtem, zanim Brittany Hali została zamordowana, miał pan okazję znaleźć się w jej mieszkaniu?

Znowu Tony musi się zastanowić nad odpowiedzią. Nie jest łatwo, kiedy nie masz pojęcia, co twój przeciwnik o tobie wie.

- Niewykluczone -powiada wreszcie. - Możliwe, że tam byłem. Jak się jest gliniarzem, odwiedza się różne miejsca. Ale nie przypominam sobie.

- Czy mogło się zdarzyć, że był tam pan więcej niż jeden raz?

Tony załapał wreszcie, że za moimi pytaniami może się kryć konkretna wiedza, może zeznania wścibskiego sąsiada, który widział go parę razy.

- Nie wiem. Wszystko jest możliwe.

- Ale nie przypomina pan sobie tych wizyt?

Milczy przez chwilę, zastanawiając się zapewne, co takiego mogę

wiedzieć. W końcu uznaje, że najbezpieczniej będzie odpowiedzieć: „Nie”.

- No cóż, jeżeli bywał pan tam, należałoby zapewne przypuszczać, iż wizyty te miały charakter służbowy a nie prywatny?

- Zgadza się. Musiały być służbowe. - Jedyne, czego Tony jest pewien.

- Co takiego mógł pan tam robić w ramach obowiązków zawodowych?

- Skoro nie przypominam sobie, żebym w ogóle odwiedzał jej mieszkanie, to skąd, u diabła, mam wiedzieć, co mogłem tam robić? - Zerka nieco nerwowo na ławę przysięgłych, po czym parska śmiechem, jakby logika jego wypowiedzi była nie do obalenia.

- Czy pańskie ewentualne wizyty w mieszkaniu ofiary mogły mieć na celu, na przykład, omówienie toczącego się śledztwa?

- Możliwe - stwierdza. - Oboje pracowaliśmy w obyczajówce.

- Dokładnie - powiadam.

Istnieją pewne tabu, pytania, których nie wolno mi zadać, a które mają związek z moim wcześniejszym reprezentowaniem Tony'ego w sprawie o korupcję w policji. Omijam je sporym łukiem.

- Czy podczas takich wizyt, o ile miały one miejsce - dalej ciągniemy naszą grę - był tam pan sam, czy raczej w towarzystwie innych policjantów?

- Nie pamiętam. Pewnie w towarzystwie innych policjantów - mówi. Jego zdaniem, brzmi to lepiej, bardziej rzeczowo, mniej towarzysko.

343

- Czy znał pan ofiarę?

Przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu. Bez wątpienia zaprzeczyłby, gdyby tylko mógł. Niestety, inni świadkowie zeznali już przed nim, że Brittany Hali była policyjną grupie, od dłuższego czasu związaną z oby-



czajówką i jej pracownikami.

- Owszem, znaleźliśmy się - przyznaje wreszcie.
- Na płaszczyźnie zawodowej czy prywatnej?
- Zawodowej. - Nie zamierza przekroczyć tej granicy.
- Czy był pan kiedyś w jej mieszkaniu?
- Sprzeciw. Niejasne, co do czasu - przerywa Kline.
- Sprzeciw podtrzymany.
- Umówmy się, że chodzi wyłącznie o czas przed śmiercią ofiary. Czy kiedykolwiek przedtem, zanim Brittany Hali została zamordowana, miał pan okazję znaleźć się w jej mieszkaniu?

Znowu Tony musi się zastanowić nad odpowiedzią. Nie jest łatwo, kiedy nie masz pojęcia, co twój przeciwnik o tobie wie.

- Niewykluczone -powiada wreszcie. - Możliwe, że tam byłem. Jak się jest gliniarzem, odwiedza się różne miejsca. Ale nie przypominam sobie.
- Czy mogło się zdarzyć, że był tam pan więcej niż jeden raz?

Tony załapał wreszcie, że za moimi pytaniami może się kryć konkretna wiedza, może zeznania wścibskiego sąsiada, który widział go parę razy.

- Nie wiem. Wszystko jest możliwe.
- Ale nie przypomina pan sobie tych wizyt?

Milczy przez chwilę, zastanawiając się zapewne, co takiego może wiedzieć. W końcu uznaje, że najbezpieczniej będzie odpowiedzieć: „Nie”.

- No cóż, jeżeli bywał pan tam, należałoby zapewne przypuszczać, iż wizyty te miały charakter służbowy a nie prywatny?
- Zgadza się. Musiały być służbowe. - Jedyne, czego Tony jest pewien.
- Co takiego mógł pan tam robić w ramach obowiązków zawodowych?
- Skoro nie przypominam sobie, żebym w ogóle odwiedzał jej mieszkanie,

to skąd, u diabła, mam wiedzieć, co mogłem tam robić? - Zerka nieco nerwowo na ławę przysięgłych, po czym parska śmiechem, jakby logika jego wypowiedzi była nie do obalenia.

- Czy pańskie ewentualne wizyty w mieszkaniu ofiary mogły mieć na celu, na przykład, omówienie toczącego się śledztwa?
- Możliwe - stwierdza. - Oboje pracowaliśmy w obyczajówce.
- Dokładnie - powiadam.

Istnieją pewne tabu, pytania, których nie wolno mi zadać, a które mają związek z moim wcześniejszym reprezentowaniem Tony'ego w sprawie o korupcję w policji. Omijam je sporym łukiem.

- Czy podczas takich wizyt, o ile miały one miejsce - dalej ciągniemy naszą grę — był tam pan sam, czy raczej w towarzystwie innych policjantów?
- Nie pamiętam. Pewnie w towarzystwie innych policjantów - mówi. Jego zdaniem, brzmi to lepiej, bardziej rzeczowo, mniej towarzysko.

343

- Orientuje się pan, czy ofiara posiadała pański numer telefonu?
- Skąd mogę wiedzieć?
- Czy kiedykolwiek dzwoniła do pana do domu?

Robi głupią minę. Wie doskonale, że mamy dostęp do spisów odbytych połączeń telefonicznych.

- Niewykluczone.
- Numeru pańskiego telefonu nie ma w książce telefonicznej, czyż nie?
- Owszem.
- W jaki więc sposób ofiara mogła wejść w jego posiadanie, o ile nie dał jej go pan sam?

To go na chwilę zbija z tropu. Nie wie, jak wybrnąć, toczy dookoła wzrokiem w poszukiwaniu ratunku. Wreszcie mówi:

- Mogła go dostać na policji, jeśli miała do mnie jakąś służbową sprawę.

- Czyżby? Macie zwyczaj podawać prywatne numery swoich pracowników?

-. Czasami tak się robi. - Uśmiecha się wyraźnie zadowolony ze swojej odpowiedzi. Wie, że nie jestem w stanie sprawdzić tego na poczekaniu.

- A więc pański numer mógł się znajdować w jej notesie z telefonami?

- Nie wiem.

- Niestety, my również tego nie wiemy. Wygląda na to, że ktoś z niego wydarł kartki na literę A.

Tony patrzy na mnie, jakby wziął to do siebie. Kline zrywa się z krzesła, chce zgłosić sprzeciw, ale przekształcam moją uwagę w pytanie.

- Nie wie pan, jak do tego doszło, że kartki zostały wyrwane z notesu? - mówię.

- Nie. Skąd niby miałbym wiedzieć?

- Myślałem, że może\* to jedna z tych rzeczy, którą mógłby pan sobie przypomnieć.

- Sprzeciw. - Kline zrywa się na równe nogi.

- Sprzeciw podtrzymany. Sędziowie przysięgli nie będą brali pod uwagę ostatniej uwagi obrońcy. Panie Madriani! - Radovich potrząsa w moim kierunku młotkiem. - Skończył pan przesłuchiwać świadka?

- Niezupełnie, Wysoki Sądzie.

- W takim razie proszę się pośpieszyć.

- Sierzancie Arguillo, czy może pan opowiedzieć sędziom przysięgłym, w jaki sposób policja zidentyfikowała ciało ofiary, znalezione w kontenerze

na śmieci?

- Co pan ma na myśli?

- Cóż, o ile dobrze zrozumiałem, ofiara nie miała ubrania ani żadnych dokumentów, umożliwiających identyfikację. W jaki sposób policja ustaliła tożsamość zmarłej?

- Nie wiem. Nie jestem pewien - mówi.

- Ale przecież był pan przy tym?

- Zgadza się.

344

- Czy widział pan ciało? Nie oglądał pan zwłok?

- Może z daleka - powiada.

- No więc, jak ją zidentyfikowali?

- Mieli z tym pewne kłopoty - przypomina sobie. - Zajęło im to trochę czasu.

- De czasu?

- Parę godzin.

- I jak w końcu do tego doszli?

- Wydaje mi się, że rozpoznał ją jakiś gliniarz - mówi. - Ktoś z obyczajówki.

- Przecież pan też pracował w obyczaj owce i znał Brittany Hali.

- To prawda - powiada - ale nie widziałem jej zwłok.

Rzecz w tym, że Tony padł ofiarą swoich własnych kombinacji. Wezwanie na pomoc Leonory i wysłanie jej do apartamentu panny Hali, żeby znalazła i zniszczyła notatkę z jego nazwiskiem, wymagało czasu. Tony potrzebował czasu. Jedynym sposobem na to, żeby go zyskać, było przetrzymanie kolegów w nieświadomości, co do tożsamości ofiary.

Postanowiwszy więc trzymać język za zębami, Tony zrobił użytek ze swojego telefonu komórkowego.

- Mam rozumieć, że przez dwie godziny tkwił pan w ciemnej uliczce, rozglądając się za dowodami zbrodni i wiedząc, iż pańscy koledzy nie są w stanie zidentyfikować ciała, nie spróbował pan nawet rzucić na nie okiem?

- Tak.

- Czy ktoś wydał panu rozkaz, żeby powstrzymał się pan od oglądania ciała?

- Nie.

- Po prostu, sam z siebie wolał pan nie patrzeć?

- Właśnie - powiada. To się nie trzyma kupy. Młoda, rozebrana kobieta, nawet martwa, zawsze stanowi ucztę dla męskich zmysłów. Dookoła wybałuszają oczy gliny z trzech rewirów, a Tony Arguillo nie znajduje czasu, żeby choćby rzucić okiem.

- Czy tamtej nocy był pan w mieszkaniu Brittany Hali? - pytam.

- To kłamstwo - mówi. Jak na świadka Tony stanowczo jest zbyt porywczy.

- Sprzeciw. Niejasne, co do czasu. - Kline zrozumiał moje pytanie. Czego nie można powiedzieć o Tonym.

Do Arguillo dociera wreszcie, że jego nieco nazbyt gwałtowna reakcja odniosła skutek odwrotny od zamierzonego.

- Proszę inaczej sformułować pytanie - powiada sędzia.

- Przepraszam - mówię. Uśmiecham się do Tony'ego, który jest czerwony na gębie. - Czy miał pan okazję odwiedzić mieszkanie ofiary w nocy lub we wczesnych godzinach rannych po znalezieniu zwłok? - pytam. W

ramach obowiązków służbowych - precyzuję.

345

- Och - powiada Tony. - Taa. Zostałem przydzielony do grupy operacyjnej, która pojechała do jej mieszkania.

- Potem, jak zidentyfikowano zwłoki?

- Zgadza się.

- Kto dowodził waszą grupą operacyjną?

- Porucznik Stobel.

- Czym się pan zajmował po przybyciu do mieszkania ofiary?

- Zbieraniem materiałów dowodowych. Rozmawianiem z sąsiadami.

Czynności rutynowe.

Na chwilę odwracam się do niego plecami.

- Proszę nam wytłumaczyć, sierżancie Arguillo, w jaki sposób pańskie nazwisko znalazło się na kartce przyklepionej do kalendarza ofiary pod datą zabójstwa?

W sali rozpraw powstaje nagłe zamieszanie, dziennikarze w rzędach dla prasy pchają się jeden przez drugiego, żeby lepiej widzieć świadka.

- Sprzeciw! - Kline podrywa się na równe nogi, jakby dostał w tyłek rakietą przeciwlotniczą.- Pytanie zakłada fakty, nie objęte materiałem dowodowym. To oburzające! Czy mogę podejść do ławy sędziowskiej?

- Sprzeciw podtrzymany - mówi Radovich. - Proszę do mnie - dodaje piorunując mnie wzrokiem.

- Panie Madriani - celuje we mnie palcem, kiedy jestem jeszcze daleko - wystawia pan na próbę moją cierpliwość - powiada.

- Żądam, aby pouczył pan sędziów przysięgłych, że mają zignorować

pytanie obrony - powiada Kline. Starannie oszacował rozmiary sędziowskiego gniewu i ma zamiar wycisnąć z niego tyle, ile się da.

- Mogę wiedzieć, dokąd to ma prowadzić? - pyta mnie Radovich.

- Mamy prawo zapytać, czy widział się z ofiarą w dniu jej śmierci. Kline twierdzi, że materiał dowodowy nie daje żadnych podstaw do takiego przypuszczenia.

- Mamy prawo zadać pytanie - upieram się.

Radovich szybko waży za i przeciw pod wyczekującym wzrokiem nas obu.

- Jedno pytanie - postanawia wreszcie. - Ale żadnych insynuacji. Przed odesłaniem nas na swoje miejsca upomina ławę przysięgłych:

- Sędziowie przysięgli zignorują ostatnie pytanie obrońcy, jakby go nigdy nie słyszeli.

Kiwa głową w moją stronę, jakby chciał powiedzieć, pytaj pan.

- Sierzancie, czy wieczorem, piętnastego lipca, w dniu popełnienia morderstwa był pan umówiony na spotkanie z ofiarą, Brittany Hali?

- Nie - odpowiada. Widać, że nie jest pewien, jak ma to rozegrać, czy powinien uderzyć w nutę oburzenia, czy raczej trzymać się tonu zawodowej bezstronności. W rezultacie, zaprzeczenie nie wychodzi mu nazbyt przekonywająco.

- Jest pan pewien? - mówię.

346

- Och - powiada Tony. - Taa. Zostałem przydzielony do grupy operacyjnej, która pojechała do jej mieszkania.

- Potem, jak zidentyfikowano zwłoki?

- Zgadza się.
  - Kto dowodził waszą grupą operacyjną?
  - Porucznik Stobel.
  - Czym się pan zajmował po przybyciu do mieszkania ofiary?
  - Zbieraniem materiałów dowodowych. Rozmawianiem z sąsiadami.
- Czynności rutynowe.

Na chwilę odwracam się do niego plecami.

- Proszę nam wytłumaczyć, sierżancie Arguillo, w jaki sposób pańskie nazwisko znalazło się na kartce przyklepionej do kalendarza ofiary pod datą zabójstwa?

W sali rozpraw powstaje nagle zamieszanie, dziennikarze w rzędach dla prasy pchają się jeden przez drugiego, żeby lepiej widzieć świadka.

- Sprzeciw! - Kline podrywa się na równe nogi, jakby dostał w tyłek rakietą przeciwlotniczą.- Pytanie zakłada fakty, nie objęte materiałem dowodowym. To oburzające! Czy mogę podejść do ławy sędziowskiej?

- Sprzeciw podtrzymany - mówi Radovich. - Proszę do mnie - dodaje piorunując mnie wzrokiem.

- Panie Madriani - celuje we mnie palcem, kiedy jestem jeszcze daleko - wystawia pan na próbę moją cierpliwość - powiada.

- Żądam, aby pouczył pan sędziów przysięgłych, że mają zignorować pytanie obrony - powiada Kline. Starannie oszacował rozmiary sędziowskiego gniewu i ma zamiar wycisnąć z niego tyle, ile się da.

- Mogę wiedzieć, dokąd to ma prowadzić? - pyta mnie Radovich.

- Mamy prawo zapytać, czy widział się z ofiarą w dniu jej śmierci. Kline twierdzi, że materiał dowodowy nie daje żadnych podstaw do takiego przypuszczenia.



- Mamy prawo zadać pytanie - upieram się.

Radovich szybko waży za i przeciw pod wyczekującym wzrokiem nas obu.

- Jedno pytanie - postanawia wreszcie. - Ale żadnych insynuacji. Przed odesłaniem nas na swoje miejsca upomina ławę przysięgłych:

- Sędziowie przysięgli zignorują ostatnie pytanie obrońcy, jakby go nigdy nie słyszeli.

Kiwa głową w moją stronę, jakby chciał powiedzieć, pytaj pan.

- Sierzancie, czy wieczorem, piętnastego lipca, w dniu popełnienia morderstwa był pan umówiony na spotkanie z ofiarą, Brittany Hali?

- Nie - odpowiada. Widać, że nie jest pewien, jak ma to rozegrać, czy powinien uderzyć w nutę oburzenia, czy raczej trzymać się tonu zawodowej bezstronności. W rezultacie, zaprzeczenie nie wychodzi mu nazbyt przekonywająco.

- Jest pan pewien? - mówię.

346

- Sprzeciw. Świadek odpowiedział już na pytanie obrońcy.

- Absolutnie. - Tony nie czeka na podtrzymanie sprzeciwu i sędzia postanawia zachować jego odpowiedź w protokole.

- I, o ile panu wiadomo, na kalendarzu ofiary nie było samoprzylepnej karteczki z pańskim nazwiskiem?

Jedna, zręcznie wetknięta aluzja i sędziowie przysięgli zaczynają się zastanawiać, czy Tony nie usunął przypadkiem z kalendarza obciążającej go notatki, kiedy znalazł się w mieszkaniu wraz z ekipą dochodzeniową. Kline zrywa się z krzesła, wyrzaskując sprzeciw.

- Wysoki Sądzie, zapytałem tylko, czy wiedział o tej notatce.

- Podtrzymuję sprzeciw - oświadcza Radovich. - Uprzedzałem pana -powiada, na wpół unosząc się z krzesła. Trzyma drewniany młotek wycelowany we mnie niby pistolet do fajerwerków, z którego zaraz wyskoczą płonące, różnobarwne kule.

- Nie, nie było tam żadnej kartki z moim nazwiskiem - powiada Tony.

- Niechże pan siedzi cicho - mówi Radovich.

Tony wciąga głowę w kołnierzyk koszuli, jak chowający się w skorupę żółw.

- Nie należy odpowiadać na pytanie, kiedy Sąd podtrzymuje sprzeciw. - Chętnie dodałby „ty głupi palancie”, ale wybałuszone oczy w ławie przysięgłych każą mu pohamować gniew. - Sędziowie przysięgli nie będą brali pod uwagę pytania i odpowiedzi - mówi. - Proszę usunąć je z protokołu.

Jedyną osobą wystarczająco głupią, żeby się odezwać w takiej chwili, jestem ja.

- Zadałem to pytanie w dobrej wierze - oznajmiam.

Spojrzenie Radovicha mówi mi, że sędzia nie potrafi wyobrazić sobie już nic takiego pod słońcem, co zdołałoby usprawiedliwić moje zachowanie po ostatnim pouczeniu, jakiego mi udzielił.

- Istnieją bardzo poważne podstawy do zadania takiego właśnie pytania. Odsyła z sali sędziów przysięgłych.

- Proszę do mojego gabinetu -mówi do mnie, mierząc mnie wściekłym wzrokiem. - Oby to były naprawdę poważne podstawy.

30

Zaczyna się od prawniczych połajanek. - Mam nadzieję, że zabrał pan ze sobą szczoteczkę do zębów oznajmia mi na powitanie Radovich. Nie

uśmiecha się. Stoi za swoim mahoniowym biurkiem, ani mu w głowie usiąść, nie mówiąc już o pozbyciu się togi - nieomylnie oznaki, iż nie zamierza tego przeciągać - egzekucja w trybie doraźnym.

Kline i Stobel stają po bokach, Harry i ja - w środku. Przez chwilę tłoczmy się przy biurku, starając się zająć jak najdogodniejsze pozycje do przedstawienia swoich argumentów. Protokolant siedzi nad swoją maszyną, ustawioną pomiędzy kolanami, ale jeszcze nie zaczął pisać.

Przypuszczam, że sędzia nie życzy sobie, żeby te jawne pogrożki znalazły się w protokole - jeden z drobnych przywilejów, które nabywa się razem z władzą.

- Przypiął się pan do tej notatki z kalendarza jak rzep do psiego ogona - powiada Radovich. - Nie może pan tego udowodnić.

- Mam swoje powody - mówię.

- Lepiej, żeby to były dobre powody, inaczej spędzi pan noc w areszcie.

Kline i Stobel chichoczą, jak dwaj uczniacy, którzy właśnie pierdnęli w kościelnym chórze.

Prokurator okręgowy postanawia włączyć się w dyskusję. Oburza się, iż próbujemy zakwestionować zeznania własnego świadka i łamiemy tym samym proceduralne tabu, obowiązujące nas, dopóki Tony nie zostanie uznany za świadka strony przeciwnej. Twierdzi, że nie mamy żadnych podstaw nie dawać wiary odpowiedziom Tony'ego.

- Nic nie wskazuje na to, żeby kłamał, ani żeby jego zeznania stanowiły dla was zaskoczenie.

Warunkiem przepytывania Tony'ego na okoliczność domniemanej notatki na kalendarzu, jest dobra wiara. Jeżeli istotnie posiadam jakies

przesłanki, żeby wierzyć, iż notatka istniała w rzeczywistości i że było na niej nazwisko Tony'ego, mam prawo o nią pytać. Jeżeli nie, zanim słońce zajdzie, wyląduję w policyjnym lochu ze stuwatową żarówką prosto w oczy.

Proszę Radovicha, żeby pozwolił mi przedstawić dowody potwierdzające moją dobrą wolę. Pytam, czy może do nas dołączyć jeszcze jedna osoba. Sędzia kiwa głową.

- Tylko niech się pan pośpieszy.

Po chwili zjawia się Harry w towarzystwie Laurie Snyder, specjalnej urzędniczki sądowej, wyznaczonej przez Radovicha do nadzorowania gromadzonego przez nas materiału dowodowego, a szczególnie substancji poddawanych badaniom laboratoryjnym.

Snyder jest rosłą niewiastą pod czterdziestkę, znacznie wyższą ode mnie, ma ciemne włosy i profesjonalną rzeczowość. Obecnie prowadzi prywatną praktykę, ale ma za sobą osiem lat pracy w prokuraturze miejskiej. Jej wejście zmusza Radovicha do częściowego ochłonięcia. Stać go przynajmniej na to, żeby uśmiechnąć się i wydusić z siebie kilka uprzejmych słów na powitanie.

Dokonawszy tego opada na krzesło. Daje nam tym samym do zrozumienia, że oswoił się z myślą, iż posiedzenie może potrwać dłużej, niżby sobie tego życzył.

- Dwa dni temu, wczesnym popołudniem - zaczynam - otrzymaliśmy materiał dowodowy, którego istotne znaczenie wyszło na jaw dopiero dzisiejszego ranka - informuję Radovicha.

- Mogłem się tego spodziewać - wtrąca Kline. - Niespodziewane odkrycie

za pięć dwunasta. Wysoki Sądzie, jeżeli to jest coś, czego obrona nam dotąd nie pokazała, zamierzam zgłosić sprzeciw.

- Proszę usiąść. I niechże pan będzie cicho - strofuje go sędzia. Kline robi, co ma każą, ale nie ma zadowolonej miny.

- Nasze odkrycie ma ścisły związek z materiałem dowodowym, przedstawionym w trakcie procesu przez oskarżenie, i daje podstawę do zakwestionowania ustaleń prokuratury.

- Może nam pan powiedzieć, o co konkretnie chodzi? - pyta Radovich.

- O włókna z wykładziny innego samochodu, odpowiadające włóknom zebranych z koca, w które zawinięte było ciało ofiary.

- To wszystko? - mówi Kline. - Nie macie nic lepszego? Wysoki Sądzie...

- Panie Kline, uprzedzam pana, że jeśli się pan natychmiast nie zamknie, każę was obu wsadzić na noc do aresztu. Będziecie mogli pluć na siebie, ile dusza zapragnie, a ja nie będę musiał tego wysłuchiwać.

Jedyna osoba, która jest w tej chwili mocno rozbawiona, to ste-notypista.

349

- To jeszcze nie wszystko - mówię. - Włókna, o których mowa, pochodzą z innego samochodu, znajdującego się na stanie władz miasta. Chodzi o wóz policyjny, którym jeździ świadek, Tony Arguillo.

- Włókna to nie odciski palców - przypomina Kline. Radovich posyła mu gromiące spojrzenie.

- Ostatni raz pana uprzedzam, panie Kline - mówi.

Groźba sędziego zdaje się odnosić skutek przynajmniej doraźny.

- Ale na tym nie koniec - powiadam. - W samochodzie znaleziono włosy.

Radovich patrzy pytająco na pannę Snyder. W odpowiedzi, otrzymuje rzeczowe skiniecie głową, które mówi mu, że sprawa jest rzeczywiście

poważna.

- Jakie włosy? - pyta sędzia.

- Końskie - wyjaśniam - oraz ludzkie. Daje mi ręką znak, żebym mówił dalej.

- Badania laboratoryjne potwierdziły, że końskie włosy z samochodu Arguillo niczym się nie różnią od włosów zidentyfikowanych wcześniej. Biegli są gotowi zeznać, że pod względem koloru i budowy morfologicznej dokładnie odpowiadają końskiej sierści, znalezionej zarówno na kocu, w który były owinięte zwłoki ofiary, jak i w jej mieszkaniu.

Radovich buja się na krześle, ręce ma złączone na karku, jest cały zamieniony w słuch. Wyraz jego twarzy - zaciśnięte usta, zadumane spojrzenie - sugeruje, że oddaje się właśnie sztuce sądenia, w tym wypadku - szacowania wagi dowodów.

- Wszyscy doskonale wiemy, że włosy nie stanowią podstawy do pozytywnej identyfikacji - zauważa Kline. - To pański argument - przypomina mi.

Radovich w zamyśleniu kiwa głową, co może oznaczać, że podziela zdanie prokuratora. Niewykluczone, że postrzega to jako banalną próbę wywołania wojny „na ekspertów”.

- Faceci z laboratorium zidentyfikowali także ludzkie włosy, znalezione na podłodze, koło siedzenia pasażera, w samochodzie, którym jeździł Arguillo. To już nie w kij dmuchał. - Przypominam Radovichowi, że policji nie udało się znaleźć włosów pasujących do włosów ofiary w samochodzie Acosty. - Wychodzi na to, że dowody rzeczowe bardziej obciążają sierżanta Arguillo, niż naszego klienta - dodaje.

Kline parska i prycha, jakbym powiedział jakąś niedorzeczność.

- Czy znaleźli może na miejscu zbrodni okulary Tony'ego Arguillo? -pyta.

Milczę, więc odpowiada za mnie.

- Nie znaleźli.

350

- Problem nie polega na tym, czy potrafię udowodnić winę Arguillo

-zwracam się do Radovicha - tylko na tym, czy będzie mi wolno zapytać go, gdzie się znajdował, kiedy popełniono morderstwo i czy miał tego wieczoru randkę z ofiarą.

- Wysoki Sądzie, nie mieliśmy nawet szansy powołać własnych ekspertów

- skarży się Kline. - Obrona bardzo wygodnie się urządziła - powiada i nazywa to „taktiką totalnego zaskoczenia”.

Kiedy wreszcie przestaje się wyklócać, w gabinecie Radovicha zalega cisza, przerywana jedynie tykaniem staroświeckiego zegara na ścianie.

Sędzia myśli.

- Może pan nam jeszcze raz powiedzieć, kiedy żeście to znaleźli? - pyta po chwili.

- Nie mogliśmy przeprowadzić rewizji samochodu Arguillo, dopóki nie wezwaliśmy go na świadka. A to miało miejsce dopiero dwa dni temu.

Przedtem, Arguillo cały czas nim jeździł - wyjaśniam. - Włosy i włókna zostały zebrane wczoraj rano. Laboratorium dostało je wczoraj wieczorem.

- Więc uważa pan, że Arguillo miał randkę z ofiarą w dniu jej śmierci? - mówi Radovich.

- Jestem o tym przekonany - powiadam.

- Nadal pozostaje problem odcisniętego pisma - wtrąca Kline. - Moi eksperci twierdzą, że niczego tam nie ma.

- Panno Snyder, czy, pani zdaniem, to ma ręce i nogi - pyta Radovich.
- Na to wygląda.
- Jacy eksperci oglądali włosy i włókna? Poważni ludzie?
- Regularne laboratorium. Ze wszystkimi uprawnieniami. Kline czuje, że grunt usuwa mu się spod nóg.
- Sprawdziliście raport z garażu? Jest pan pewien, że świadek używał tego wozu w dniu zabójstwa? - dopytuje się sędzia.
- Sprawdziliśmy. Arguillo brał wóz. Radovich pogrąża się w myślach.
- Martwi mnie tylko element zaskoczenia - odzywa się po chwili. -Jeżeli się na to zgodzę, będę musiał dać oskarżeniu czas na przygotowanie się do krzyżowego przesłuchania świadka.

Niby kowboje na Dzikim Zachodzie, wyciągający rewolwery, sięgamy obaj po nasze kieszonkowe terminarze.

- De czasu będzie pan potrzebował? - Radovich zwraca się do Kline'a. Po krótkiej dyskusji umawiamy się na cztery dni.

Teraz Radovich chce wiedzieć, jak długo zajmie mi przedstawienie ławie przysięgłych nowego materiału, włosów i włókien, oraz przesłuchanie Tony'ego.

Mówię mu, że w czwartek po południu będzie po wszystkim.

- Znosi się na drugi weekend - powiada sędzia. - W piątek się nie spotykamy. Następna sesja, we środę rano. Będzie miał pan dwa dni na krzyżowe przesłuchanie.

351

Wszyscy jesteśmy zgodni, że to powinno rozwiązać problem, chociaż Kline nie sprawia wrażenia zachwyconego. Przypadnie mu niezręczne zadanie zrehabilitowania świadka, którego nie wzywał. Mówi to sędziemu.



Radovich słucha jednym uchem, bardziej pochłania go formalne załatwienie sprawy. Dyktuje sekretarce nowy plan pracy na przyszły tydzień. Chce, żeby dowody rzeczowe na czas przerwy w obradach Sądu przeniesiono w bezpieczne miejsce. Poleca sekretarce znaleźć jakąś pustą szafę pancerną na terenie budynku i dopilnować, żeby w piątek z samego rana wszystkie eksponaty znalazły się pod kluczem.

Kline nie przestaje narzekać, lecz decyzja jest już podjęta. Tak to już jest, że w sądzie najwięcej sporów budzą ustalenia proceduralne.

- Czy możemy prosić o natychmiastowe udostępnienie wszystkich raportów z laboratorium? - mówi.
- Słuszne żądanie - powiada Radovich.
- Chcielibyśmy też, żeby nasi eksperci byli odtąd obecni przy wszystkich badaniach, przeprowadzanych na materiale dowodowym.
- Ma pan coś przeciwko temu? - sędzia posyła mi pytające spojrzenie.
- Nie, Wysoki Sądzie, uprzedzam tylko, że laboratorium będzie pracować nad tym całą noc. O ile pańscy ludzie nie będą przeszkadzać... - nie kończę zdania.
- Moglibyście nam udostępnić część próbek? Żebyśmy mogli przeprowadzić własne testy?
- Zobaczę, co się da zrobić - mówię. - Nie mogę niczego obiecać. Będzie pan musiał pogadać z technikami z laboratorium.

Kline chce wiedzieć, gdzie się obecnie znajduje policyjny wóz, którym jeździł Arguillo.

Informuję go, że samochód stoi w garażu, w którym policja trzyma pojazdy zarekwirowane jako dowody rzeczowe w sprawach kryminalnych. Poleca Stoblowi wysłać techników, żeby pobrali próbki włókien z

wykładowczy.

Za dwanaście godzin będzie wiedział wszystko, co my wiemy.

Ale to nie rozwiązuje jego problemów. Życzy sobie, żeby sędzia zabronił mi kwestionowania zeznań mojego własnego świadka. Twierdzi, że przynajmniej oficjalnie nie mam do tego żadnych podstaw.

- Nie byłbym taki pewien - powiada Radovich. - O ile ktoś nie pożyczył sobie jego samochodu, świadek wykazuje zadziwiającą obojętność wobec prawdy. Zobaczmy najpierw, czy potrafi to jakoś wyjaśnić. Potem panu powiem, co sądzę na temat kwestionowania jego zeznań przez obrońcę. Na popołudniowej sesji Kline oznajmia, że na razie rezygnuje z przesłuchania Tony'ego. Radovich poinformował świadka, że musi pozostać

352

do dyspozycji Sądu, prokurator postanawia więc zaczekać, aż będzie wiedział dokładnie, na czym stoi. Arguillo nie jest bynajmniej zachwycony rozwojem wypadków. Czuje, że coś się święci, tylko nie wie co.

Dostrzegam go w czasie przerwy, konferującego na uboczu z Mendlem.

Ich oczy miotają sztylety, kiedy przechodzę obok.

Resztę dnia pochłania sprawa włosów i włókien. Zeznają nasi świadkowie, którzy sprawdzali samochód Tony'ego. Na tablicy przed ławą przysięgłych pojawiają się fotografie w powiększeniu, przedstawiające gęstwinę wijących się linii, kształtem i rozmiarem przypominających dorodne żmije. Terminy medyczne, sypiące się gęsto z podium dla świadków, pobrzmiwają w zeznaniach naszych ekspertów niby greckie zaklęcia

rzucane przez olimpijskich bogów. Koniec końców, udaje nam się położyć solidne podwaliny pod pytanie, co też Tony porabiał w noc morderstwa, a przynajmniej, co się wówczas działo z jego samochodem. Wzywam pracownika garażu, który zeznaje, że zgodnie z posiadanymi przez niego danymi, owego wieczoru samochód został wydany do dyspozycji sierżantowi Arguillo.

Dopiero następnego dnia po południu Tony wraca na podium dla świadków.

Wygląda, jakby tej nocy spał, nie zdejmując z siebie ubrania. Od wczoraj postarzał się przynajmniej o rok. Buta i głupi uśmiezek zniknęły bez śladu. Harry był przy tym, jak go niemal odrywali od Mendla dotrzymującego kumplowi towarzystwa na ławce przed drzwiami sali rozpraw, i mówi, że Tony miał minę rozbitka wyrzucanego z szalupy. Gdyby mnie ktoś zapytał, zaryzykowałbym przypuszczenie, że tylko fragmenty informacji dotarły do uszu Tony'ego, dlatego teraz przyczyna jego niepokoju nie leży w tym, co wie, lecz raczej w tym, czego nie wie.

- Jak się pan miewa, sierżancie Arguillo? - zaczynam przyjaźnie.

- Świetnie - powiada. - Wspaniale. - Jego wygląd zadaje kłam jego słowom, żeby nie wspomnieć o wyraźnej wrogości, bijącej z całej jego postawy. Związek Policjantów dopomógł Tony'emu w znalezieniu prawnika, który pod nieobecność przysięgłych wyraził wobec mnie liczne zarzuty. Przede wszystkim, poinformował Radovicha, iż przesłuchując Arguillo naruszam zasadę lojalności adwokata wobec klienta, obowiązującą mnie wskutek wcześniejszego reprezentowania Tony'ego. Radovich jednak uznał, że jak dotąd nie dostrzega żadnego konfliktu.

- Sierżancie, rozmawialiśmy o tym, co pan robił w nocy piętnastego lipca,

kiedy została zamordowana Brittany Hali.

Potwierdza, że owszem, o tym właśnie rozmawialiśmy.

- Czy tamtej nocy, był pan oficjalnie na służbie?

- Hmm, nie - powiada. - Miałem mieć wolne.

- Więc jak to się stało, że brał pan udział w czynnościach śledczych?

23 -Sędzia

353

- Byłem na mieście, kiedy usłyszałem wiadomość do wszystkich radiowozów, że znaleziono zwłoki. Zgłosiłem się — mówi.

- Czy często pan tak postępuje? Ma pan zwyczaj odpowiadać na wezwanie, kiedy nie jest pan na służbie?

- Zależy - mówi.

- Od czego?

- Co akurat robię. W jakiej odległości się znajduję.

- Rozumiem. Cóż za obywatelska postawa. Tony spogląda na mnie z urazą.

- Powiedział nam pan, że był pan obecny wraz z innymi policjantami w alejce, gdzie znaleziono ciało. Czy to prawda?

- Tak.

- I że późnym wieczorem, czy też w godzinach rannych następnego dnia, otrzymał pan polecenie udania się do mieszkania ofiary. Zgadza się?

- Tak.

- Powiedział nam pan również, że znał pan ofiarę, ale nie zidentyfikował pan zwłok znalezionych w alejce, ponieważ nie podchodził pan na tyle blisko, żeby im się przyjrzeć. Zgadza się?

- Zgadza się.
  - W końcu ofiarę zidentyfikował inny policjant?
  - Tak.
  - Rozumiem więc, że nie dotykał pan ciała ani koca, w który były owinięte zwłoki?
  - Zgadza się.
  - Co pan robił po przybyciu do mieszkania Brittany Hali? Wszedł pan do środka?
  - Tak.
  - Zameldował się pan u kogoś?
  - Był tam oficer, porucznik Michaelson - powiada.
  - Zgłosił pan swoje przybycie porucznikowi Michaelsonowi?
  - Taa.
  - I co on panu polecił robić?
  - Powiedział mi, żebym rozejrzał się dookoła domu. Miałem sprawdzić okna, poszukać śladów włamania.
  - I zrobił pan to?
  - Tak.
  - Czy kiedy dotarł pan do mieszkania Brittany Hali, technicy z ekipy dochodzeniowej już tam byli?
- Zastanawia się przez chwilę. Wzrusza ramionami.
- Może pan sprawdzić w książce raportowej.
  - Pytam, co pan pamięta.
  - Mogli już tam być. Nie wiem. Niewykluczone, że byli.
  - Czy zauważył pan, żeby teren był odgradzony żółtą, policyjną taśmą? Widział pan taką taśmę przed drzwiami?

- Taak - przypomina sobie.
- Więc żeby dostać się do środka, musiał pan przejść pod spodem?
- Nie pamiętam. Pewnie tak.

Wręczam mu książkę raportową i pytam, czy nie zechciałby odświeżyć swojej pamięci, co do tego, czy technicy z ekipy dochodzeniowej byli tam przed nim, czy nie.

- Jasne.
- Niech pan zajrzy do środka - zachęcam.

Przerzuca parę kartek, ślini kciuk, przerzuca jeszcze jedną, wreszcie podnosi oczy i spogląda na mnie.

- Taak, byli już tam, kiedy przyjechałem.
- Ilu ich tam było? Zerka do książki.
- Dwóch - powiada. - Sanchez i Sally Swartz.
- Czy teraz, kiedy przeczytał pan ich nazwiska w książce raportowej, przypomina pan sobie, żeby widział ich pan w mieszkaniu ofiary?
- Pewnie ich widziałem, ale nie pamiętam.
- Gdzie mogli się znajdować?
- Mogli być wszędzie. Prawdopodobnie w środku - mówi.
- W salonie?
- Tam to się stało - mówi.
- Rozumiem więc, że skoro nie zachował pan żywego wspomnienia techników przy pracy, nie spędził pan zbyt wiele czasu w salonie?
- Nie.
- Czy salon nie był przypadkiem zamknięty dla wszystkich policjantów z

wyjątkiem techników z grupy dochodzeniowej?

Kline dostrzega, dokąd zmierzam blokując - jedną po drugiej - możliwe drogi ucieczki.

- Niezupełnie — powiada Arguillo. — Porucznik wchodził do środka. I jeszcze parę osób. Jeśli mieli tam jakąś sprawę - powiada.

- Ale pan nie miał tam żadnej sprawy?

Zastanawia się przez chwilę z miną lisa wypatrującego sideł ukrytych w leśnym poszyciu.

- Nie pamiętam - mówi.

- Czy przypomina pan sobie, żeby przechodził pan tamtej nocy w pobliżu stolika do kawy? Widział pan krew na dywanie w salonie?

- Możliwe — powiada.

- Ale nie pamięta pan, żeby widział techników?

- To mogło być później - mówi. - Kiedy już wyszli. - Pociąga łyk wody ze szklanki ustawionej na drewnianej barierce podium dla świadków i po raz pierwszy, odkąd zaczęliśmy, uśmiecha się do mnie, jakby to on w tej grze trzymał wszystkie sznurki.

- Rozumiem. Czy zajmował się pan osobiście zbieraniem materiałów dowodowych wewnątrz mieszkania, a zwłaszcza w salonie? - pytam.

355

- Nie. — Tony wie, że mogę to sprawdzić.

- Czy rozmawiał pan z technikami albo jakimikolwiek innymi osobami, pracującymi na terenie salonu?

- Nie.

- Czy dotykał pan dowodów rzeczowych i próbek substancji, zebranych przez nich na terenie mieszkania.

- Nie.

- W takim razie może wyjaśni nam pan, jakim cudem technicy, zatrudnieni przez obronę, zdołali znaleźć na podłodze i na siedzeniu dla pasażera w pańskim policyjnym wozie włosy odpowiadające wyglądem i kolorem włosom ofiary?

Oczy Tony'ego uciekają z mojej twarzy. Dostrzegam, jak nerwowo i z trudem przetyka ślinę.

- Nie mam pojęcia - powiada. - Mogłem je zgarnąć skądkolwiek.

- Skądkolwiek?

- Jasne. Musiało ich być pełno w całym mieszkaniu.

Kiwam głową, jakbym chciał przyznać, że to rzeczywiście możliwe.

Woźny sądowy przynosi tymczasem kolejne zdjęcia, które przypina do tablic ustawionych przed ławą przysięgłych.

- Były jeszcze inne włosy, takie jak te, które widzimy na zdjęciach -powiadam. - Zostały zidentyfikowane jako końskie. Końska sierść odpowiadająca pod każdym względem włosom znalezionym na kocu, w który zawinięte były zwłoki ofiary, oraz w jej mieszkaniu. Te włosy zostały znalezione w pańskim policyjnym wozie, na podłodze i na siedzeniu pasażera. Ma pan jakiś pomysł, jak mogły się tam dostać, sierżancie?

Tony wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć „i co z tego?”

- W ten sam. Prawdopodobnie przyklepiły się do moich butów, kiedy przechodziłem przez mieszkanie ofiary.

- Wtedy, kiedy przechodził pan przez mieszkanie ofiary?

- Jasne.

Zaopatrzywszy się w linijkę do pokazywania, staje przed tablicą ze



zdjęciami.

- Niech pan spojrzy tutaj, sierzancie. Widzi pan? - pokazuję mu inne obiekty, o jaśniejszym kolorze, które niby pałeczki złota, przylgnęły do niektórych włosów.

- Wie pan, co to jest, sierzancie?

- Nie mam pojęcia.

- To są włókna - mówię. - Sześćdziesiąt procent dacronu poliestru i czterdzieści procent orlonu acrylicu. Pod względem składu chemicznego, budowy morfologicznej i koloru odpowiadające dokładnie włóknom z koca, w który zostały owinięte zwłoki ofiary. Może nam pan wyjaśnić, sierzancie, skąd te włókna wzięły się w pańskim samochodzie razem z końską sierścią, znaną również na kocu?

356

Włókna z koca są głównym dowodem obciążającym, obecność pozostałych elementów, znalezionych w samochodzie Tony'ego daje się jeszcze jakoś wyjaśnić.

- Mówiłem już panu. Byłem w mieszkaniu ofiary.

- Oprócz tego są jeszcze ślady krwi - grupa A, taka, jaką miała ofiara - zostały znalezione na podłodze pańskiego wozu.

- Wcale mnie to nie dziwi — powiada. — W policyjnym samochodzie zawsze jest dużo krwi.

- Chce pan poczekać na wyniki testu DNA? - pytam. Nie odpowiada.

Tych dwóch ostatnich odkryć nie zdążyłem skonsultować z Radovi-chem. Kiedy rozmawiałem z sędzią, technicy nie mieli jeszcze wyników badań. Zostały jednak włączone w materiał dowodowy w trakcie zeznań naszego

eksperta.

- W jaki sposób tłumaczy pan obecność krwi i włókien z koca w pańskim samochodzie?

- Tak jak powiedziałem. Byłem w mieszkaniu ofiary - powtarza.

- Taplał się pan we krwi? Tarzał po dywanie, żeby zebrać sierść i włókna z koca?

- Sprzeciw - mówi Kline.

- Nie - mówi Tony.

- Sprzeciw — powtarza Kline. — Proszę o usunięcie pytania i odpowiedzi z protokołu.

- Oddalam sprzeciw.

- Ale obrońca kwestionuje zeznania własnego świadka - protestuje Kline.

- Sprzeciw oddalony. Świadek zostaje uznany za świadka strony przeciwnej - oznajmia Radovich.

A to mi daje wolną rękę.

- Czy nie jest faktem, sierżancie, że tamtej nocy, kiedy popełniono morderstwo, miał pan randkę z Brittany Hali i że był pan w jej mieszkaniu na wiele godzin przedtem, zanim policja odkryła zwłoki porzucone w kontenerze na śmieci? Czy nie jest tak, że to pan zamordował Brittany Hali?

- To jakieś pieprzone bzdury. - Arguillo zrywa się z krzesła.

- Proszę usiąść - mówi Radovich. -1 niech pan uważa, co pan mówi.

- To nieprawda - powiada Tony.

- A notatka na kalendarzu?

- Odwołaliśmy to spotkanie - powiada.

Ledwo słowa opuściły jego usta, Tony zdał sobie sprawę, że powiedział

nie to, co trzeba. Tak to już jest, kiedy się kłamie. Łatwo zapomnieć, komu powiedziało się którą część kłamstwa.

- Co pan powiedział? - pytam.
- Nic - mówi. - Nie zrozumiałem pytania.

357

- Co żeście odwołali?
- Źle pana zrozumiałem - powtarza.
- Co pan źle zrozumiał, sierżancie? Którą część pańskiego własnego kłamstwa? - pytam.

Kline nie zawraca sobie nawet głowy zgłaszaniem sprzeciwu. Musi przetrwać fakt, że dowody, których nie mógł znaleźć w samochodzie Acosty - włókna z koca, krew i włosy ofiary - objawiły się nagle w komplecie w policyjnym wozie Tony'ego.

31

przyzna? -

Gdyby mógł, Acosta posłałby pilnujących go strażników po szampana. Jest wniebowzięty zeznaniami Tony'ego. Przez chwilę tańczy nawet na palcach, z większym wdziękiem, niżbym spodziewał się po mężczyźnie jego postury. Jest taki naładowany, że wykonuje figurę, którą przy odrobinie dobrej woli można by uznać za piruet.

- Niewiarygodne, kto by przypuszczał, że się do tego mówi. - Co za głupiec. Co za wspaniały głupiec!

Jednak wraz z następnym oddechem przychodzi chwila ponurego zwątpienia.

- Sądzi pan, że do sędziów przysięgłych dotarło, co on powiedział? -pyta

z niepokojem w głosie.

Mówię mu, że rozstrzygające znaczenie może mieć fakt, że Arguillo nie chciał tego powtórzyć.

- Myślę, że co bystrzejsi spośród przysięgłych uchwycili podtekst. Nie mogli nie zauważyć, że randka, której od początku twardo zaprzeczał, teraz okazała się odwołana. Tę samą bajkę opowiedział Leonorze.

Armando jak każdy klient, którego kiedykolwiek broniłem, podpada pod typ maniakalno-depresyjny. Najmniejszy fragment dobrej wiadomości wymaga potwierdzenia ze strony prawnika. Acosta dawno stracił zaufanie do własnego osądu.

Gawędzimy sobie w jednej z cel na terenie Sądu. Strażnicy poganiają nas, żebyśmy się pośpieszyli. Robi się późno, a chcieliby odstawić Acostę do więzienia, o trzy przecznice stąd, zanim skończą roznosić kolację.

- Zostawcie nas samych - rozkazuje Acosta władcym tonem. Odsyła strażę, żeby móc spokojnie porozmawiać ze swoim prawnikiem.

Strażnicy spoglądają po sobie niepewni, czy powinni się zastosować.

- Słyszeliście, co powiedziałem? — grzmi Acosta. Wychodzą potulnie i zamykają za sobą drzwi.

359

- Kto raz zasmakował władzy... -mruga porozumiewawczo, pozwalając dalszym słowom zawisnąć w powietrzu. Gdyby został skazany, zobaczylibyśmy zapewne, jak wydaje rozkazy własnemu plutonowi egzekucyjnemu.

- Myśli pan, że on ją zabił? - pyta. Przysuwa sobie krzesło, siada za biurkiem, składa płasko dłonie i zaczyna pocierać je jedna o drugą, jakby zmarzły mu z podniecenia wywołanego zeznaniami Tony'ego.

- Myślę, że wie więcej, niż powiedział. - Od jakiegoś czasu nabrałem przekonania, że Tony był pierwszą osobą dramatu rozegranego tamtej nocy w mieszkaniu Brittany Hali. - Jego obecność wyjaśnia jedną rzecz -dodaję.

- A mianowicie? - pyta Acosta.

- Dlaczego zwłoki zostały przeniesione w inne miejsce.

- Sądzi pan, że on to zrobił? - W oczach Acosty zapalają się ogniki ożywienia. — Powinniśmy ponownie wezwać go do składania zeznań.

- Nie, nie. Lepiej nie kusić losu.

Mamy większą szansę wyjść na swoje, pozwalając sędziom przysięgłym rozwinąć swobodną grę wyobraźni. To, co usłyszeli i zobaczyli dzisiaj, powinno stanowić dostateczną pożywkę.

- Mamy krew, włosy i włókna z koca, a wszystko to, znalezione w jego samochodzie - powiadam. - Niech się nad tym spokojnie zastanowią. Poza tym, jeśli damy mu drugą szansę, mógłby wymyślić lepsze wytłumaczenie niż to, które przedstawił nam dzisiaj.

- Po jaką cholere miałby przenosić ciało? - dopytuje się Acosta. Jego oczy płoną podnieceniem.

- Wystarczy poskładać do kupy wszystko, co wiemy - radzę mu. -Notatka w kalendarzu, randka, Tony i Brittany Hali.

Słucha uważnie i kiwa głową.

- Z tego, co wiemy, byli umówieni na siódmą trzydzieści.

- Zgadza się - powiada.

- Niech pan sobie wyobrazi, że przyjeżdża pan do mieszkania kobiety, z którą się pan spotyka. Drzwi są otwarte albo ma pan klucz. Wchodzi pan do środka i co pan widzi?

Patrzy na mnie, niczego nie rozumiejąc.

- Zwłoki swojej kochanki, leżące na podłodze w salonie w kałuży krwi.
- Nici z tak dobrze zapowiadającego się wieczoru - stwierdza Acosta.
- Niewykluczone, że na tym nie koniec. Zależnie od tego, co ich łączyło.

Przypuśćmy, że ta pani była bardzo aktywną osobą. Przypuśćmy, że to i owo w jej mieszkaniu mogłoby wywołać sporo zamieszania. Być może nawet, prowadziłyby do ujawnienia pańskiego - a może nie tylko pańskiego - związku z ofiarą, co do którego wolałby pan, żeby pozostał tajemnicą.

- Na przykład, co? - pyta.
- Na przykład nazwiska w notesie z telefonami. Notatki. Pamiętajmy, że panienska lubiła wszystko notować.
- Ach, tak. - Kiwa w zadumie głową.

360

- Weźmy teraz następny element układanki - powiadam. - Przypuśćmy, że krzątał się pan w sypialni, usuwając owe naprowadzające drobiazgi: pańskie nazwisko, nazwiska pańskich przyjaciół. Krótko mówiąc, był pan zajęty wyrywaniem kartek z notesu w nadziei, że to ukreśli łeb plotkom.

- Zakłada pan, że ta pani prowadziła bardzo aktywne życie.
- Pomagała chłopcom z obyczajówki na wiele sposobów. Dwuznaczność mojej uwagi rozpala oczy Acosty, na jego ustach pojawia się chytry uśmieszek.
- Niech pan sobie wyobrazi, że nagle słyszy pan jakiś dźwięk.
- Jaki?
- Jakby ktoś krzyknął - powiadam.
- Kto?

- Niech pan sobie przypomni zeznania świadków - mówię. - Sąsiadka z piętra wyżej powiedziała, że po siódmej trzydzieści słyszała jakiś hałas. Jakby ktoś krzyknął.

Na twarzy Acosty pojawia się wreszcie wyraz zrozumienia.

- Córeczka ofiary, Kimberly, również słyszała głośny wrzask. Pamięta pan? Pamięta pan, co zeznał biegły od medycyny sądowej?

- Pośmiertne rżenie - powiada.

- Właśnie.

- Niech pan sobie wyobrazi, że jest pan Tonym krzątającym się w sypialni i nagle słyszy pan krzyk dobiegający z salonu. Mógłby pan sobie pomyśleć, że...

- Że ona nie jest martwa - kończy za mnie.

- Dokładnie - mówię. - Całkiem prawdopodobne, że wpadłby pan w panikę, złapał koc, owinał głowę ofiary w cokolwiek, co było pod ręką, i próbował zawieźć ją do szpitala. Ale po drodze odkryłby pan, że popełnił omyłkę.

Do tego, z grubsza rzecz biorąc, sprowadzają się moje przypuszczenia.

Znalazłszy się w samochodzie Tony odkrył, że na siedzeniu obok siedzi zimny trup. Nie mógł odwieźć zwłok z powrotem do mieszkania ofiary. Za duże ryzyko. Wobec tego pozbył się ciała przy pierwszej okazji.

- Rozumiem teraz, dlaczego nie chce pan wezwać go ponownie do składania zeznań - powiada Acosta. - Mógłby opowiedzieć taką historyjkę.

Inna rzecz, czy przysięgli by mu uwierzyli...

- Po co brać na siebie ryzyko?

- Dokładnie.

Jeszcze przez chwilę rozmawiamy o tym i o owym, robimy ostatnie

ustalenia przed długim weekendem. Dołącza do nas Harry, który właśnie skończył załatwiać swoje sprawy przed czekającym nas tygodniem wakacji.

Mendel pobił rekord świata w biegu na milę z walizką, kiedy Harry zwolnił go do domu na pół godziny przed odlotem samolotu do Bali. Złapał bagaż pozostawiony w biurze na dole i ostatni raz go widziano, jak pędził do samochodu, za którego kierownicą siedział jeden z jego goryli.

361

- Niewiele brakowało, żeby mnie pocałował na pożegnanie - mówi Harry.
- Żeby tylko wrócił na czas.
- Wróci wcześniej, niż się spodziewasz. Patrzę na niego pytająco.

Harry potrafi ukrywać swoje myśli. Nie dając mi czasu na zadanie pytania mówi, że Leonora czeka na mnie na korytarzu.

Zadzwoiłem do niej i poprosiłem, żeby tu dzisiaj przyszła. Od paru dni nie daje mi spać pewna rzecz, którą zobaczyłem na sali rozpraw. Różne myśli chodzą mi po głowie. Niewykluczone, że Leonora będzie wiedziała, jak poukładać te klocki.

- Serdecznie panu dziękuję, drogi przyjacielu. - Acosta wstaje z krzesła i życzy mi dobrej nocy. Ujmuje moją dłoń, drugą ręką ściska mnie za łokieć. Entuzjastyczne pożegnanie. - Muszę wyznać, że w ciągu ostatnich paru miesięcy nieraz nachodziły mnie czarne myśli. Miejmy nadzieję, że w przyszłości czeka nas więcej takich dni, jak dzisiejszy.

- Na pewno - powiadam. - O ile tylko zdołamy równie łatwo rozwiązać parę innych problemów.

Patrzy na mnie badawczo w milczeniu, to jego sposób zadawania pytań.

- Okulary w miejscu zbrodni i notatka z pańskim nazwiskiem w



kalendharzu ofiary - wyjaśniam.

- Znakomicie pan sobie z tym poradził.
- Być może. Mimo to, nie zaszkodziłoby, gdybyśmy wiedzieli, jak się tam dostały.

Obdarza mnie pełnym niedowierzania uśmiechem, bezczelną parodią zdumienia, umiejętnością używaną przez facetów, których zawód polega na wysłuchiowaniu bzdur.

- Przecież już to wiemy. Zostały podrzucone przez gliny - oznajmia.
- Tak pan myśli?
- Absolutnie. Nie mam najmniejszych wątpliwości.
- A notatka sporządzona ręką ofiary?
- Sfałszowana - powiada. - Wie pan równie dobrze, jak ja, że gliny potrafią robić takie rzeczy.

Jest przekonany, że tak właśnie było, zwłaszcza teraz, kiedy wyszedł na jaw udział Arguillo w całej sprawie.

- Postawiłbym na to moje życie - oświadcza z kamienną powagą.
- To się świetnie składa - mówię mu. - Bo to jest to, co właśnie robimy. Stawiamy na to pańskie życie.

Przechodzimy przez pustą salę rozpraw, wszystkie światła są już wygaszone. Wejście dla publiczności jest zamykane na noc. Żeby nas wypuścić, strażnik musi otworzyć drzwi z klucza. Oprócz nas nie ma tu już nikogo.

Wózek z kolekcją dowodów rzeczowych zabrano do biura na tyłach sali rozpraw, pozostało tylko parę fotografii przypiętych do wielkich tablic, które stoją samotnie, wsparte o barierkę ławy przysięgłych.

Strażnik życzy nam dobrej nocy i zamyka za nami drzwi. Słyszę zgrzyt przekręcane go klucza.

Kierujemy się ku windom. W korytarzu wciąż jeszcze toczy się życie, nieliczni pracownicy Sądów biegają pomiędzy biurami, załatwiając ostatnie sprawy przed pójściem do domu. Jest już po siódmej. Wszystko zostało przygotowane. Sara spędza noc u swojej koleżanki.

- Gdzie ona czeka? - pytam Harry'ego.

- Wydział Szesnasty - mówi. - Dostała klucz od jakiejś przyjaciółki.

Powiedziała, że zostawi otwarte drzwi.

- Świetnie.

- Może byś tak powiedział mi, co jest grane?

- Zaufaj mi - mówię.

- Jasne. Trzymaj mnie w ciemności i karm byle czym. Jestem grzyb zwany Harrym. - Mruczy pod nosem parę słów, w większości niedosłyszalnych, ale jedno z nich na pewno jest przekleństwem.

- Posłuchaj, mogę mieć kłopoty, a wtedy będę potrzebował kogoś, kto mnie wyciągnie z gówna. Kogoś, kto nie miał z tym nic wspólnego.

Myśl powstała drogą jakiejś szczególnej logiki, właściwej jedynie Harry'emu, że mam zamiar zrobić coś niezgodnego z prawem, łagodzi odrobinę jego złość, ale głównie ożywia jego ciekawość.

- Powiedz mi, co jest grane?

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Może sam jeszcze tego do końca nie wiem - powiadam. - Mam pewne

przeczenie. Muszę coś sprawdzić.

- To znaczy, że mi nie powiesz?

- Nie.

Idziemy wolnym krokiem w stronę wind, gdzie nasze drogi rozejdą się.

Harry ma teczkę wypchaną książkami.

- Udało nam się zrobić porządną wyrwę w teorii oskarżenia - mówi Harry.

- To prawda - przytakuję.

- Ale nadal, jak słusznie zauważyłeś, pozostało nam mnóstwo pytań bez odpowiedzi.

Ma na myśli okulary Acosty w miejscu zbrodni i notatkę z jego nazwiskiem w kalendarzu ofiary. Dla Harry'ego od samego początku obie te sprawy stanowią imponderabilia, główne przyczyny, z powodu których nigdy do końca nie uwierzył w niewinność naszego klienta.

Przyznaję, że możemy mieć spore trudności z wytłumaczeniem tego łąwie przysięgłych.

- To przykre zwłaszcza, kiedy wiesz, co się stało, a nie możesz tego ujawnić.

Rzuca mi szybkie, mroczne spojrzenie, jakby chciał zapytać „Czyżbym coś przeoczył?”

363

Przez cały ten czas nie potrafiłem przejść do porządku dziennego nad tym, co Acosta powiedział glinom przed swoim aresztowaniem, nad jego dwuznacznymi uwagami na temat notatki w kalendarzu Brittany Hali, które umożliwiły Kline'owi obejście zasady niedopuszczalności dowodów ze słyszenia i włączenia notatki do materiału dowodowego.

Wiele rzeczy można by zarzucić sędziemu, ale z pewnością nie głupotę. W

końcu dotarło do mnie, że jego komentarz nie był zainspirowany nagłą utratą zdrowego rozsądku, lecz czymś zupełnie innym.

- Nie dziwi cię - mówię - że Brittany Hali zgodziła się na prywatne spotkanie z Acostą, kiedy właśnie zamierzała przeciwko niemu zeznawać?

- Owszem, przyszło mi to do głowy. Ale ponieważ to chodzi o Acostę, uznałem że nie ma się nad czym zastanawiać. - Chce przez to powiedzieć, że z Acostą wszystko jest możliwe. - Nie uwierzyłeś w teorię sędziego, że notatka z jego nazwiskiem to robota policji?

Potrząsam przecząco głową.

- Może chciała wycisnąć z niego trochę kasy? - Harry sugeruje szantaż.

- Nie. Jeżeli jest coś pewnego w tej całej sprawie, to tylko to, że Brittany Hali nie chodziło wyłącznie o pieniądze. To nie było jednorazowe uderzenie, szybki zysk i do domu. Ta pani snuła dalekosiężne plany. Zgodziła się zrobić Acostę, bo miała na widoku coś dużego. Moim zdaniem, w grę wchodziła wdzięczność Phila Mendla, jak się domyślasz, niezwykle pomocna w robieniu kariery.

Harry zastanawia się nad tym przez chwilę, ale nie odrzuca mojej teorii.

- Po co więc umówiła się z sędzią w swoim mieszkaniu? - pyta.

- Faktycznie rzecz biorąc, nie zrobiła tego - mówię.

- Przed chwilą twierdziłeś, że nie wierzysz, żeby gliny sfalszowały notatkę w kalendarzu. Skoro zrobiła ją własnoręcznie...

- Owszem. Te dwie rzeczy wloką się przez cały proces, nieodłącznie jedna od drugiej; okulary i notatka - mówię Harry'emu. - Obie mają wspólną genezę.

Patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

- Zapomnijmy przez chwilę o notatce. Pomyśl przez chwilę. Masz zepsute

okulary, zgubiłeś śrubkę od nauszника. Jesteś bardzo zajęтым sędzią. Sam je zanieśiesz do optyka?

Zastanawia się przez moment, po czym kręci głową.

- Wysłałbym swoją sekretarkę.

- Albo żonę - dodaje.

Na twarzy Harry'ego rozlewa się blask nagłej iluminacji, przywodzący na myśl wschodzące słońce.

- Liii - wymawiamy jej imię unisono.

- Przypuszczam, że musiała nosić te okulary przy sobie od tygodni. Może wypadły jej z torebki, kiedy szukała chusteczki. Nigdy się tego nie dowiemy - mówię. - Ale jedno jest pewne: tamtego popołudnia, kiedy przyszła błagać Brittany Hali, żeby nie rujnowała kariery jej męża, miała je ze sobą.

364

Ewangelia według świętego Armanda. Założę się, że opowiedział swojej żonie, jak to podle został wrobiony w historię z rzekomą prostytutką. Że spotkał się z Hali wyłącznie w sprawach służbowych i że cała reszta jest czczym wymysłem glin.

- W takim razie, co miała oznaczać ta notatka w kalendarzu Brittany Hali?

- pyta Harry.

- Tam nigdzie nie było napisane „Armando” - przypominam mu.

-Tylko „Acosta”.

- Myślisz, że on wie, że ona tam była?

- Jak to ktoś ostatnio powiedział, postawiłbym na to swoje życie. Harry patrzy na mnie kompletnie osłupiały. Za jego plecami rozsuwają

się drzwi windy. Wciąż nie mogąc otrząsnąć się z oszołomienia, zerka przez ramię, po czym cofa się parę kroków, wchodząc tyłem do pustej kabiny. Dopiero po upływie kilku sekund odzyskuje zdolność mówienia.

- A to pierdolony łgarz. Okłamał nas - mówi wreszcie. Ostatnie słowa Harry'ego, zanim zamkną się stalowe drzwi, oddzielając nas od siebie. Rzeczywiście nas okłamał - ale jak na sędziego, było to zaiste zaszczytne kłamstwo.

Przyjaciółka Leonory jest sędzią w sądzie wyższej instancji. Obie należą do tych samych damskich klubów, regularnie spotykają się na obiedzie. Leonorze udało się namówić przyjaciółkę, żeby jej udostępniła na dzisiejszy wieczór swoje puste biuro, wyposażone w znakomitą bibliotekę. Powiedziała jej, że musi poszukać czegoś w książkach.

- No więc, o co w tym wszystkim chodzi? - pyta. - Dlaczego chciałeś się ze mną tutaj spotkać?

Słyszała już, co się wydarzyło podczas dzisiejszej rozprawy. Nie wątpię, że musi się zastanawiać, czy się przypadkiem nie omyliła co do Tony'ego. Przyjaźnie z dzieciństwa nie umierają łatwo.

Leonora ulokowała się na kanapie. Ja siedzę na podłodze, wsparty bokiem o biurko, z policzkiem przytulonym do rogu blatu.

Jeden fragment nie pasuje mi do całej układanki, chyba że w sprawę wmieszał się Tony. Dlatego właśnie zadzwoniłem dzisiaj do Leonory.

- Pamiętasz, jak tamtej nocy pojechaliśmy do mieszkania Brittany Hali? Kiwa głową uważnie studiując moją twarz.

- Pamiętasz, widzieliśmy wtedy coś błyszczącego? Jakby fragment złotej biżuterii, na wpół zagrzebany w ziemi z rozbitej doniczki? - pytam.

- Pamiętam - mówi.

- Ty się lepiej temu przyjrzałaś niż ja. Nie przypominasz sobie, co to mogło być?

- Chodzi ci o odpryski złota na stoliku do kawy? -Tak.

- Nie widziałam dobrze. Było ciemno - mówi. - Nie zwróciłam jakoś na to uwagi. To było coś małego. Może obrączka. Albo kawałek bransoletki. - Kręci niepewnie głową.

365

- Rzecz w tym, że gliny nigdy tego nie znalazły - powiadam.

- Tak przynajmniej twierdzą - poprawia mnie.

- Nie. Myślę, że tutaj akurat nic nie kombinują. Istnieje jednak jeszcze inna możliwość.

Rzuca mi pytające spojrzenie.

- Tony tego nie zabrał? - pytam.

Z piersi Leonory wyrywa się głębokie westchnienie.

- Myślisz, że on to wziął. - To raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

Leonora wie już teraz, że Tony ją okłamał, mówiąc, iż tamtej nocy nie było go w mieszkaniu Brittany Hali.

- Rozmawiałaś z nim? - pytam.

Muszę trochę poczekać, ale w końcu Leonora kiwa głową.

- Co ci powiedział?

- Przyznał się, że tam był. Ale twierdzi, że jej nie zabił. Mówi, że kiedy ją znalazł, była już martwa.

- To on wyniósł ciało, prawda?

- Skąd wiesz?

- Możesz to nazwać intuicją - mówię. - Czy zabrał stamtąd coś jeszcze?

- Parę kartek z notesu z telefonami. Tak mi przynajmniej powiedział.

- Nie wspominał nic o kawałku złota, walającym się po podłodze?

Potrząsa przecząco głową.

Podnoszę się z ziemi i zaczynam spacerować po pokoju. Znajdujemy się zaledwie trzydzieści metrów od przydzielonej Radovichowi sali rozpraw, z którą łączy nas zamknięty dla publiczności korytarz, obiegający cały gmach wzdłuż jego zewnętrznej ściany. Z korytarza tego korzystają pracownicy Sądu roznoszący dokumenty. Poza tym stanowi on dogodną drogę ewakuacji na wypadek pożaru albo zamieszek.

- Myślę, że rozwiązanie zagadki może się znajdować w tym pomieszczeniu o parę kroków stąd.

- O czym, do diabła, mówisz?

- Załóżmy, że Tony nie zabrał złotego przedmiotu, który widzieliśmy tamtej nocy na podłodze pod stołem. Nie wzięły go też gliny. Co się z nim stało?

Potrząsa głową z miną wyrażającą całkowity brak zrozumienia, po czym wzrusza jeszcze ramionami. To właśnie przez cały czas nie dawało mi spokoju.

- Przeprowadźmy proces eliminacji - proponuję. -Po pierwsze, był tam morderca. Załóżmy, że to on - albo ona - zgubił ów fragment biżuterii. Następnie mamy Tony'ego. Przyjmijmy, że Tony miał ważniejsze sprawy na głowie, musiał się zająć kartkami z notesu i najpewniej nawet tego nie zauważył. Potem byliśmy tam jeszcze my dwoje. Ale my tego nie mamy.

- W takim razie, co się z tym stało? — pyta.

- Pozostaje jeszcze jedna osoba - mówię.

366

Patrzy na mnie, jakby rachunek jej się nie zgadzał.



- Kimberly - mówię.
- Dziecko? - Zdumienie rozszerza jej oczy. Powoli kiwam głową.
- Ale przecież Kimberly była przesłuchiwana.
- Owszem, to prawda. I coś powiedziała. Nie od razu to do mnie dotarło, ponieważ byłem skoncentrowany na czym innym. Ale przez cały czas kołatało mi się po głowie. Nie powtórzyła tego, kiedy zeznawała przed ławą przysięgłych. Powiedziała to tylko raz, podczas przesłuchania w obecności obrony, oskarżenia i sędziego.

- Co?

- Sam nie byłem pewien, czy to naprawdę słyszałem, czy tylko mi się przywidziało. Dlatego poprosiłem o stenotyp z wcześniejszego przesłuchania, kiedy to Kline uparł się, żeby mała zeznawała za zamkniętymi drzwiami.

Wydobynam z teczki plik papierów, na których dwa dni temu zaznaczyłem właściwe miejsce i zaczynam go odczytywać Leonorze.

- Posłuchaj. - Odnajduję początek. - Radovich ją przesłuchuje. Kimberly: Strasznie się wściekali.

Sędzia: Kto? Kimberly: Mamusia.

Sędzia: Potrafisz sobie przypomnieć, czy ten drugi głos należał do pani, takiej jak twoja mama, czy do pana? Kimberly: Słyszałam, jak mamusia płakała.

Sędzia: Tak, ale czy słyszałaś ten drugi głos? Kimberly: Nie

odpowiada. : Sędzia: Czy twoja mamusia coś mówiła? Kimberly:

Powiedziała „nie!”. Była naprawdę bardzo zła. Sędzia: Czy słyszałaś głos jakiegoś pana?

- Tutaj zgłosiłem sprzeciw - mówię Leonorze. - Miałem małą wymianę zdań z Radovichem na temat jego metod przesłuchiwania. Podsuwał małej

sugestie, które nie bardzo mi się podobały.

Patrzy na mnie, uśmiech, skiniecie głową. Jak prawnik z prawnikiem.

- Oddała mój sprzeciw, po czym wraca do przesłuchania. Zadaje jej parę pytań o to, gdzie się znajdowała i gdzie był jej pluszowy miś. Posłuchaj.

Kimberly: Binky był razem z mamusią. On też został ranny.

Sędzia: Binky jest pewnie twoim serdecznym przyjacielem?

Kimberly: Binky pilnuje moich skarbów.

Sędzia: Ja też miałem puchatego przyjaciela, kiedy byłem w twoim wieku.

Świetny był z niego kumpel. Mogłem mu wszystko powiedzieć. Powiedz mi, Kimberly, czy widziałaś, co się stało twojej mamusi tamtej nocy?

Radovich popełnia ten sam błąd, co większość dorosłych, kiedy rozmawiają z dziećmi - nie słucha. Przeszedł do porządku dziennego nad

367

tym, co powiedziała, nie zadając sobie nawet trudu, żeby to zauważyć, jak zresztą i my wszyscy, którzy byliśmy tego dnia na sali rozpraw.

Powiedziała nam, co zobaczyła. Co znalazła i co z tym zrobiła.

- Skarb - powtarza Leonora.

- Właśnie. W brzuszku misia - mówię.

- Ale...

- Widziałem, jak zrobiła to samo w sądzie. Za drugim razem - mówię. - Z guzikiem, który oderwała od sukienki. Nakarmiła nim misia.

- W jaki sposób?

- Nie mam pojęcia. Włożyła palec do buzi misia, a kiedy go wyjęła z powrotem, po guziku nie było ani śladu.

- Więc uważasz, że cokolwiek to było, tamtej nocy...

- Siedzi teraz w brzuszku misia.

- I chcesz, żebym... - nie kończy myśli. - Mowy nie ma - oznajmia.

Znalazłem się w poważnym dylemacie: co faktycznie mam zrobić ze swoimi podejrzeniami względem pluszowego misia i jego zawartości.

Problem polega na tym, że nie posiadam żadnych dowodów, żadnych przesłanek, które by uzasadniły otwarcie misia w obecności panny Snyder nadzorującej materiał dowodowy z ramienia Sądu. Dokonanie tego na oczach sędziów przysięgłych wiąże się z kolei ze zbyt wielkim ryzykiem.

Gdyby miś okazał się pusty albo, co gorsza, zawartość jego brzuszka wskazywałaby na naszego klienta, stanęlibyśmy w obliczu prawdziwej katastrofy. Nie wierzę, żeby do tego doszło, ale też nie jestem na tyle głupi, żeby zaryzykować. Patrzę na nią wyczekująco.

- Nie ma mowy - powtarza. W jej tonie brzmi nieodwołalna nuta. Koniec rozmowy, sprawa załatwiona.

Od swojej przyjaciółki, sędziny, Leonora otrzymała kółko z kluczami, pośród których znajduje się klucz uniwersalny, wydawany wszystkim sędziom, pracującym w budynku oraz paru innym wybranym urzędnikom. Ten klucz otwiera wszystkie drzwi wzdłuż zewnętrznego korytarza na naszym piętrze, umożliwiając dostęp do sal rozpraw, a co za tym idzie, także do sekretariatu przy gabinecie Radovicha, w którym wózek z dowodami rzeczowymi spędza bezpiecznie noc.

- Jutro rano miś znajdzie się pod kluczem - mówię Leonorze. Informuję ją o zarządzeniu Radovicha, zgodnie z którym kolekcja dowodów rzeczowych ma zostać przeniesiona w bezpieczne miejsce na czas tygodniowej przerwy w obradach Sądu. - To nasza ostatnia szansa.

- Nie ma mowy - powtarza po raz trzeci. - Jeżeli nas złapią, stracimy prawo wykonywania zawodu.

- Nie przeszkadzało ci to, kiedy zaciągnęłaś mnie do mieszkania Hali.
- Byłam pijana - mówi. - I wściekła.
- Jesteś mi coś winna za to, że mnie w to wszystko wciągnęłaś. Wmówiłaś mi, że Tony'ego nie było w mieszkaniu Brittany Hali.

368

- Wierzyłam mu.
- A teraz? Komu teraz wierzysz? Jak myślisz, co się stało tamtej nocy? Jej twarz odzwierciedla walkę sprzecznych myśli.
- Nie wiem - mówi w końcu.
- Może nadeszła pora, żeby się dowiedzieć?

24 -Sędzia

Prawie dwie godziny czekamy, aż wszystko się uspokoi. Grupa woźnych zakończyła codzienną krzątanie na naszym piętrze, nocny strażnik po raz kolejny obszedł swój rewir, tak że zdążyliśmy się zorientować w rytmie jego nadejść i odejść.

Zewnętrzne drzwi sali rozpraw zamykają się z hukiem i strażnik znika w szerokiej gardzieli publicznego korytarza. Słyszę dzwonek nadjeżdżającej windy, po czym następuje głęboka cisza, kiedy dźwig unosi strażnika na następne piętro.

Wychodzimy tylnymi drzwiami i znajdujemy się w niedostępnym dla publiczności korytarzu, prowadzącym do sali rozpraw, z której korzysta Radovich. Korytarz jest jasno oświetlony, wzdłuż jednej ściany biegnie rząd okien, wychodzących na ulicę. Nie ma tu żadnych mebli, tylko białe ściany i podłoga z jasnego winylu, antyseptyczna monotonia przerywana

jedynie umieszczonymi w regularnych odstępach drzwiami do sal rozpraw, na których, widnieją numery poszczególnych wydziałów, wymalowane wielkimi zielonymi cyframi.

Leonora oddała mi klucze, więc prowadzę ja. Nie mamy daleko do celu. Od kwatery Radovicha oddziela nas tylko pojedynczy kompleks pomieszczeń.

- Nie patrz teraz, jesteśmy obserwowani - mówi Leonora.

- Hmm?

- Sufit.

Zerkam do góry, w suficie tkwi oczko dobrze zamaskowanej kamery.

- Uśmiechnij się i mów coś - ponagla mnie Leonora. - Jesteśmy po prostu dwojgiem ludzi, którzy pracują do późna. Parą bobrów ryjących w materiałach dowodowych.

Zabrałem ze sobą latarkę i stare szydełko Nikki, które powinno się nadać do wysondowania zawartości brzuszka pluszowego niedźwiadka.

370

Jeżeli coś znajdę, zostawię to tam gdzie było, wezwę ponownie Kimberly i zapytam ją wprost, czym nakarmiła misia w noc zabójstwa, dając tym samym podstawę do dokładniejszego przebadania dowodu rzeczowego, tym razem na oczach sędziów przysięgłych.

Przechodzimy pod kamerą, której obiektyw spogląda teraz do tyłu, ponad naszymi głowami. Znalazłszy się poza jego zasięgiem, przystajemy na chwilę.

Drzwi do kwater Radovicha znajdują się zaledwie o dziesięć metrów stąd, pod następną kamerą.

- Jedno jest pewne — zauważa J<sup>e</sup>onora. — Będziemy na filmie.
- Módlmy się tylko, żeby w tej chwili nie patrzyli w ekran. Tak czy siak, musimy zaryzykować.
- Nie skradaj się, postaraj się zachowywać naturalnie - pouczam ją.
- Jesteśmy w pracy, mamy prawo tutaj przebywać.
- Świetnie. Jeśli nas złapią, ty będziesz gadał - powiada.
- Jeśli nas złapią, zostawimy gadanie naszemu adwokatowi.
- Nie ma co, wiesz co powiedzieć, żeby uspokoić przestraszoną dziewczynę.

Zbliżamy się do drzwi, Leonora przez cały czas mówi do mnie prosto w ucho, nerwowy monolog, nie wymagający odpowiedzi. Kiedy wreszcie docieramy do drzwi, staje pomiędzy mną i kamerą, zasłaniając na moment moje machinacje z kluczami i zamkiem. Dopiero po paru próbach trafiam na właściwy klucz, przekręcam go w zamku. Ciche kliknięcie zasuwki i drzwi otwierają się bezszelestnie. W mgnieniu oka wsuwamy się do środka i zamykamy za sobą drzwi.

Znajdujemy się w półmroku sali rozpraw, ciemność rozprasza tylko skąpy blask czerwonego napisu „Wyjście” nad naszymi głowami i kilka na wpół przygaszonych świetlówek, pozostawionych dla bezpieczeństwa.

Daję jej znak, żeby rozejrzała się po audytorium. Znika w rzędach dla publiczności, by po chwili pojawić się znowu.

- Wszystko w porządku - mówi.
- Czy do sekretariatu potrzebny jest oddzielny klucz? - pytam Leonorę. Spogląda na mnie ze zgrozą. Nie pomyśleliśmy o tym.
- Spróbuj uniwersalnym - mówi.

Jedno jest pewne, mamy tylko jedną szansę. Jeżeli nie uda nam się

otworzyć tych drzwi kluczem uniwersalnym, będzie „po ptokach”. Żadne z nas nie zdoła wykrzesać z siebie dosyć energii, żeby wyłamać zamek. Jeśli chodzi o mnie, z nerwów ledwo trzymam się na nogach.

Najciszej, jak potrafię, wsuwam klucz w otwór zamka. Przekręcam; obraca się gładko, jak po maśle. Drzwi otwierają się z cichutkim skrzypnięciem. Serce podskakuje mi do gardła. Krew w moich żyłach zastyga.

- O kurczę - mówi Leonora.

Pośrodku pokoju, na wprost nas, w przytłumionym błękitnym blasku, leżącym się z ekranu komputera stoi Coleman Kline. Z rękami splecionymi z tyłu, kołysze się na szeroko rozstawionych stopach jak posterunkowy na krawężniku. Czeka na nas gotów do frontalnego ataku.

- Mogę wiedzieć, czego pani tutaj szuka? - zwraca się bezpośrednio do Leonory.

Leonora chowa się za mnie, przypominając mi szeptem, że to ja miałem iść.

- Ach, panie Madriani, dzisiaj pan robi za adwokata? Czyżby pani Goya straciła mowę? To dopiero wydarzenie! - Zdaje się pęcznieć wewnątrz eleganckiej marynarki, napawa się swoją ważnością jak nadmuchana purchawka - nadgorliwy prokurator na tropie przestępstwa.

- Moglibyśmy zapytać o to samo. - Leonora pierwsza odnajduje właściwe

słowa, chociaż wypowiada je zza moich pleców. - Co pan tu robi?

- Mam klucz - powiada - powierzony mi przez władze miasta. A skąd pani

wzięła swój? - Nie jest to może dokładnie odpowiedź na nasze pytanie, ale zdaję sobie sprawę, że my byśmy wypadli jeszcze gorzej, gdyby zechciał nas przycisnąć.

- Mam klucz - powiada - powierzony mi przez władze miasta. A skąd pani wzięła swój? - Nie jest to może dokładnie odpowiedź na nasze pytanie, ale zdaję sobie sprawę, że my byśmy wypadli jeszcze gorzej, gdyby zechciał nas przycisnąć.

Przez cały ten czas lustruję sylwetkę Kline'a, w górę i w dół, aż wreszcie zatrzymuję wzrok na jego butach. Wokół stóp prokuratora walają się białe kłaczki, przypominające strzępki niezgremplowanej wełny. Na dywanie leży dziesięciocentówka i znajomo wyglądający cukierek. Badam wzrokiem skrawek podłogi dookoła eleganckich pantofli i wtedy to dostrzegam. Ostatni tam wszedł, pierwszy wyszedł: mały, różowy guziczek w kształcie serduszka.

Stoję z tępą miną, słuchając tyrady Kline'a, na pozór zahipnotyzowany jego słowami, aż wreszcie zaczynam rozumieć. Najwyraźniej myśli nasze biegły jednym torem, bo niezależnie od siebie obaj wpadliśmy dokładnie na ten sam pomysł. Zgodnie z zarządzeniem Radovicha, jutro rano kolekcja dowodów rzeczowych znajdzie się pod kluczem. Nie przyszło mi do głowy, że zabójca również może się tutaj zjawić.

Oczy Kline'a wędrują za moim wzrokiem. Spogląda na podłogę i nagle widzi, na co patrzę. Urywa w pół słowa.

I wtedy dociera do mnie, że jego ręce nie są splecione za plecami. Coś w nich trzyma.

- Nie wiem, jak wy - mówi Leonora - ale jeśli mamy tutaj stać i się kłócić, osobiście wolałabym trochę mniej nastrojowe oświetlenie. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, zapalę światło.

Zanim mam czas zareagować, wysuwa się z za moich pleców i robi krok w kierunku kontaktu na ścianie, przy której stoi Kline.

- Nie! - usiłuję ją zatrzymać, ale jest już za późno.

Jest szybszy, niżbym się spodziewał, brutalnie chwyta ją za ramię i błyskawicznie obraca wokół własnej osi. Przyciska ją do siebie, obejmując w pół lewą ręką, podczas gdy prawą trzyma nóż, dziesięciocentymetrowe



ostrze przytknięte do jej gardła. W lewej dłoni ma resztki

372

pluszowego niedźwiadka, brzusek misia został otwarty ostrym jak brzytwa nożem. Kline'owi należy się pochwała za refleks, bardzo przekonująco odegrał scenę świętego oburzenia, niewiele brakowało, a udałoby mu się wyłgać.

Leonora usiłuje się wyrwać, ale Kline trzyma ją w żelaznym uścisku.

Mocniej przyciska do jej gardła ostry jak igła koniuszek noża i duch walki natychmiast opuszcza Leonorę.

- Muszę przyznać, że napsuła mi pani dużo krwi, młoda damo — syczy jej prosto w ucho. - Co za cholernie dociekliwy umysł. Posiada pani niezwykle talent do zadawania niewłaściwych pytań. Damskie pogaduszki z panną Hali za zamkniętymi drzwiami. Myślałem, że mnie szlag trafi.

Nieznacznie pochylam się do przodu, czekając na sposobną chwilę do ataku. Kline mocniej przyciska nóż, na końcu ostrza pojawia się kropelka krwi.

- Ach, nie, nie - wzdycha. - Proszę tego nie brać do siebie. Nie chciałbym jej zrobić krzywdy. Ale jeżeli zmusi mnie pan...

- Spokojnie - mówię.

- Cofnij się - on mi na to. Postępuję krok do tyłu.

- To nie ma sensu - mówię. - Wszystko skończone.

Przygląda mi się w milczeniu, na jego twarzy maluje się wyraz, jakiego nigdy dotąd tam nie widziałem, dziecięce rozbawienie, zmieszane z szaleństwem. Zupełnie nowe oblicze Kline'a.

- Przecież jej nie zabijesz - mówię. - Obaj doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

- Z największą przyjemnością obdarłbym ją ze skóry. Zasłużyła sobie na to - powiada. - Miałbym czym obić biurko.

Przesuwam się parę kroków w bok, za mało jednak, żeby mógł koło mnie przejść.

- Co to było? Obrączka? - pytam, wskazując głową na zdewastowaną zabawkę.

Leonora patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć, że to nie jest najlepsza pora na konwersację ani na zabawę w dwadzieścia pytań.

Kline nie odpowiada, ma co innego na głowie.

I wtedy dostrzegam je. Wystają spod rękawów marynarki, które podjechały do góry, gdy Kline objął Leonorę, odsłaniając niemal do łokci wykrochmalone białe płótno. Przy obu nadgarstkach ozdobione inicjałami, znaki firmowe Kline'a — dwie piękne, złote spinki do mankietów.

- Jak mogłem się nie domyśleć?

Dlatego właśnie, za wszelką cenę musiał ją odzyskać. Wygrawerowane inicjały razem ze śladami, pozostawionymi przez żłobkowaną krawędź stolika do kawy. Rozumiem teraz jego niepokój i obsesyjną niechęć do Leonory. Kiedy zgubiona spinka nie pojawiła się w materiale dowodowym, zebranych przez policję, zaczął kombinować. A kiedy gliny znalazły

373

odcisk kciuka Leonory na drzwiach mieszkania panny Hali, uznał, że wie już, co się stało. Kline myślał, że to Leonora zabrała jego spinkę od mankietu.

- Przesuń się - mówi.

- Dokąd chcesz iść? Nie uda ci się daleko uciec.

- Dlaczego myślisz, że zamierzam gdzieś iść?

- A co z nami? - pyta Leonora.

- Co z wami? Przesuń się - powtarza.

Przesuwam się odrobinę w bok, ale nie na tyle, żeby miał szansę przejść.

- Znamy prawdę - mówi Leonora.

- A kto wam uwierzy? - pyta. - Sfrustrowany przeciwnik w prestiżowym procesie i była pracownica, zwolniona dyscyplinarnie, która zostawia odciski palców na drzwiach ofiary zabójstwa. To wam nie doda wiarygodności.

Kline ma rację. Bez spinki od mankietu nie możemy mu niczego zrobić.

Charakterystyczne uszkodzenia mechaniczne, wygrawerowane inicjały i Kimberly zeznająca, że tym właśnie cackiem, znalezionym na podłodze koło swojej nieżywej mamusi, nakarmiła misia - dopiero to wszystko razem wzięte stanowiło dostateczny powód, żeby spędzać mu sen z powiek.

- Muszę się tylko postarać, żeby to zniknęło - powiada - i wszyscy możemy znowu spać spokojnie.

Wszyscy z wyjątkiem Acosty, któremu -jak na to wygląda - przyjdzie zapłacić cały rachunek.

Leonora miota się w jego uścisku. Przez moment jestem przekonany, że zaraz rozpląta jej gardło. Ale jedyne, czego udaje mu się dokonać, to potrząsnąć wypatroszonym misiem. Kolejna porcja wnętrzości nieszczęsnego zwierzaka wylatuje na podłogę a wraz z nimi parę skarbów Kimberly, które rozsypują się po dywanie.

Podąża za nimi zachłannym spojrzeniem sponad ramienia Leonory.

U jej stóp, w połowie drogi pomiędzy nim a mną, lśnią w półmroku, leży

obiekt jego poszukiwań. Lecz nie może go podnieść nie wypuszczając Leonory. Wie, że przy pierwszej próbie, rzucę się na niego.

Spogląda na mnie, potem znowu na samotną spinkę od mankietu, leżącą na podłodze.

- Cofnij się - mówi. - Cofnij się! Nie reaguję.

- Chcesz zobaczyć, jak twoja przyjaciółka umiera? Robię krok do tyłu.

- Więcej! - rzuca.

Niechętnie dodaję parę drobnych kroczków.

- Podnieś to - rozkazuje Leonorze. - Powoli.

Popycha ją do przodu kolanem, ostrze noża nadal przytknięte do szyi.

- Jeśli się ruszę, rozetniesz mi aortę -mówi Leonora.

374

- Nie kuś mnie - ostrzega ją Kline. - Zostawię ci tyle swobody ruchów, ile trzeba. Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, bo poderżnę ci gardło - mówi. - Nie żartuję.

- Nie wątpię.

Rozluźnia odrobinę chwyt, ani przez chwilę nie spuszczaając oczu z mojej twarzy. Odsuwa o parę centymetrów czubek noża. Leonora pochyła się i podnosi z dywanu błyszczący przedmiot.

- Podaj mi to - rozkazuje jej Kline.

Z wyciągniętym przed siebie ramieniem, zaciskając w dłoni złotą spinkę, Leonora wykonuje pojedynczy, gwałtowny ruch.

- A pewnie. - Ostry łokieć pełną siłą rozpędu trafia Kline'a pod żebra.

Bolesny kaszel odbija się echem w pustej sali rozpraw. Prokurator zgina się wpół, uwalniając Leonorę.

Odpycham ją w stronę drzwi. Upada podpierając się kolanami i dłońmi,

lecz ja już jestem pomiędzy nimi.

- Biegnij! Biegnij! Uciekaj stąd!

Odwracam się na pięcie, Kline rzuca się na mnie z nożem, ostra jak brzytwa stal rozcina rękaw mojej marynarki. Krew miesza się ze strzępkami tkaniny, lecz nie czuję żadnego bólu. Dopiero po sekundzie, bolesny ból przeszywa moje ramię, docierając w końcu do mózgu.

Ręka z nożem cofa się, żeby wziąć kolejny zamach. Odskakuję do tyłu, chwytam stojącą na biurku lampę w samą porę, żeby odparować nią cios.

Metal uderza o metal, trzecie uderzenie rozcina abażur.

Leonora nie rusza się z miejsca, jakby nie mogła otrząsnąć się z szoku, albo po prostu nie chciała zostawić mnie samego.

Biorę szeroki zamach lampą, trafiam Kline'a w ramię, wyrywając przy okazji wtyczkę z kontaktu.

- Uciekaj stąd! - krzyczę do Leonory.

Wymachuję lampą jak mieczem albo raczej skrzydłem wiatraka, odgradzając Kline'owi drogę do Leonory.

Nareszcie do niej dociera, że nie chodzi mu o mnie, lecz o przedmiot w jej dłoni, odwraca się i zaczyna biec. Jej ucieczka rozprasza na ułamek sekundy uwagę prokuratora. Rzucam w niego lampą, która — wykonawszy w powietrzu duży łuk - trafia go wysoko w policzek. Kline zatacza się na stojące za nim krzesło i ścianę.

Leonora jest już za drzwiami. W następnej sekundzie słyszę stukot jej obcasów po winylowej posadzce zewnętrznego korytarza. Słyszę, że oddała się w kierunku przeciwległego końca budynku. Po chwili zapada cisza, jakby wbiegła gdzieś na dywan.

Nagle dociera do mnie, że to ja mam klucze. Leonora nie zdoła się dostać

do żadnej z sal rozpraw położonych wzdłuż korytarza.

Kline rzuca się do drzwi, ale odcinam mu drogę. Zaczynam ciskać w niego na oślep wszystkim, co wpadnie mi w rękę, jak dzieciak rzuca piłkami do tenisa w puszki na placu zabaw. Ciężki, metalowy zszywacz

375

trafia go w sam środek klatki piersiowej. Kline wydaje z siebie jęk bólu. W ślad za zszywaczem leci podstawka do taśmy klejącej, ważąca najmarniej kilogram.

Teraz robi się naprawdę zły. Zaczyna to samo - ciska we mnie solidnych rozmiarów stojącą lampą. Uchylam się, ale ciężki stojak zahacza o moje ramię.

Przyjście do siebie zajmuje mi parę sekund, właśnie podnoszę się z klęczek, kiedy kątem oka dostrzegam nieduży doniczkowy kwiatek, szybujący ku mnie niby sputnik po orbicie okołoziemskiej. Doniczka trafia mnie tuż nad prawym okiem. Następna rzecz, którą pamiętam, to szlaczek na dywanie. Kline przechodzi przeze mnie, nadeptując mi na kolano, słyszę skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi.

Oszołomiony ciosem podnoszę się chwiejnie na klęczki. Na moją dłoń skapuje kilka kropel krwi. Sięgam ręką do czoła, skórę nad okiem pokrywa ciepła, śliska ciecz.

I wtedy przez moją głowę przebiega jedna myśl: Leonora!

Z trudem podnoszę się na nogi, wspierając dłońią o krawędź biurka.

Zajmuje mi to trochę czasu. Odwracam się i ruszam powoli w stronę drzwi, wreszcie wychodzę na długi, biały korytarz. Parę metrów dalej znajduję wyjaśnienie bezszelestnych kroków Leonory, które błędnie przypisałem dywanowi. Pantofle na obcasach leżą rozrzucone na

podłódze, jeden bliżej, drugi nieco dalej, w głębi korytarza. Widocznie spadły jej z nóg, kiedy biegła.

Nagle do moich uszu dociera skrzyp otwieranych drzwi awaryjnej klatki schodowej na drugim końcu korytarza. Drzwi w następnej sekundzie zatrząskują się z hukiem. Rzucam się biegiem, chociaż nogi mam jak z waty, i w pewnym momencie, nie mogąc utrzymać równowagi, zahaczam o ścianę. Pędzę przez korytarz, który skręca' pod kątem prostym.

Wychodząc z zakrętu, dostrzegam przed sobą podwójne metalowe drzwi. Po chwili podnoszę blokującą, ciężką sztabę i wypadam na klatkę schodową. Pode mną, coraz niżej, coraz dalej, słyszę tupot stóp po żelaznych stopniach. Rzucam się w dół, w ślad za oddalającymi się odgłosami.

Kiedy mijam trzecie piętro, w głębi przepastnej betonowej studni rozlega się huk zatrząskiwanych drzwi prowadzących na ulicę, a potem, cichnący na płytach chodnika tupot twardych, skórzanych podeszew. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przyjąć do wiadomości, że to Kline wypadł z budynku w pogoni za Leonorą.

Po kolejnych trzydziestu sekundach docieram do parteru. Otwieram drzwi, wybiegam z budynku w zimną, ciemną noc i wyteżam wzrok. Rozglądam się najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Dwa domy dalej, w mglistej poświacie ulicznej latarni, dostrzegam bosonogą postać, przebiegającą na skos przez jezdnię. Zatrzymuje się. Rozpoznaję Leonorę. Ogarniam wzrokiem chodnik wypatrując Kline'a, ale nigdzie go nie ma. Widok utrudniają gęste cienie potężnych wiązków, przecinające w regularnych odstępach ulicę.

Nagle widzę, Leonora znowu zaczyna biec niczym spłoszona gazela. Rzucam się za nią. Serce kołacze mi w piersi jak oszalałe. Dotarłszy do najbliższego rogu, dostrzegam wreszcie w blasku latarni, o jedną przecznicę przede mną męską sylwetkę, biegnącą równym, długim krokiem. Facet przecina chodnik i wbiega na jezdnię.

Zanim Leonora dociera do chodnika na ulicy K, dystans między nią a Kline'em zmniejsza się o połowę. Biegnę za nimi najszybciej, jak mogę, ale wciąż jestem o jedną przecznicę w tyle.

Deptak na ulicy K to szeroki bulwar, zamknięty dla ruchu kołowego z wyjątkiem kolejki, której tory biegną przez środek promenady na odcinku pięciu bloków. Dzisiejszej nocy miejsce to lśni girlandami białych, czerwonych i zielonych lampek bożonarodzeniowych, porozwieszanych na nagich gałęziach drzew, pod którymi snuje się legion bezimiennych pijaczków, żebraków i włóczęgów. Pracujące klasy średnie opuszczają na noc śródmieście.

Przeznicę dalej, po przeciwnej stronie ulicy K, niedaleko Ninth Street Płaza, tłum dzieciaków, głównie nastolatków, walczy o skrawek wolnej przestrzeni na sztucznym lodowisku, które władze miasta otwierają co roku w okresie Bożego Narodzenia. Leonora dostrzegła nagle bezpieczne schronienie - duże skupisko ludzkie, w które może się wmieszać. Skręca więc w kierunku ślizgawki.

Biegnę za nią, z moich ust wydobywają się kłęby białej pary.

Wtem uświadamiam sobie, że straciłem z oczu Kline'a. Musiał się gdzieś przyczaić, kiedy zapatrzyłem się na Leonorę. Włosy jeżą mi się na karku, przyszło mi do głowy, że mogłem go minąć i teraz mam go za plecami.

Odwracam się. Nic, tylko pusta, zimna ciemność.



Przeczesałem wzrokiem deptak, usiłując wypatrzeć jakiegoś gliniarza, cokolwiek w mundurze, nie żeby nam się to na wiele przydało. Kline, złotousty prokurator, bez wątpienia znajdzie odpowiednie słowa, żeby w mig zaprowadzić nas do ciupy, zrewidowanych i pozbawionych jedyne go dowodu rzeczowego, który może wyjaśnić to, co zaszło tamtej nocy w mieszkaniu Brittany Hali. Zwykli posterunkowi nie mają zwyczaju kwestionowania poleceń demokratycznie wybranych prokuratorów okręgowych, a prywatny ochroniarz padłby przed Kline'em na kolana. Szybkim krokiem przechodzę przez obwieszony lampkami deptak. Leonora wtopiła się w tłum na ślizgawce, zniknęła pośród rozradowanych dzieciaków, wystających na skraju lodowiska z łyżwami na nogach. Oblepiają parkan wokół tafli, czekając na swoją kolejkę przy następnym Jingle Bell Rock z głośników udających trąby Sądu Ostatecznego. Zatrzymuję się przy budce telefonicznej, niedaleko przystanku kolejki. Przez chwilę oddaję się złudzeniu, że mógłbym zadzwonić po pomoc. Tylko do kogo? Od lodowiska dzieli mnie jakieś trzydzieści metrów. Moja osoba zaczyna przyciągać pijaczków, którzy otaczają mnie jak stado rekinów, w nadziei na trochę drobnych. W środku nocy każdy facet

377

w garniturze stanowi dobry łup. Jeden z nich dotyka mojego ramienia. Strząsam jego rękę i ruszam przed siebie, wypatrując w tłumie Leonory. Dostrzegam lśniące czarne włosy i ciemny żakiet, zaledwie parę metrów przede mną. Rozglądam się za Kline'em. Nie ma go nigdzie. Doskakuję do Leonory i chwytam ją za ramię. Odwraca się... pryszczata buzia nastolatki, zawzięcie międląca gumę do żucia.

- Hej! Czego pan chce!

Obok niej stoi facet, pryszcz w pryszcz jak jego przyjaciółka.

- Hej, Jeannie ma nowego absztyfikanta - powiada.
- Hej, wujek chce sobie pomacać - mówi jeden z jego kumpli.
- Ja też bym tak chciał - dorzuca dzieciak za moimi plecami, metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, z bródką jak Fu Man Czu.
- Przepraszam. Wziąłem cię za moją znajomą - tłumaczę się przed panienką.
- Jasne. Spływaj - ona na to.
- Spadaj, dupku - warczą na mnie jej przyjaciółki. Zatapiam się w tłum, dziękując niebiosom za głośną muzykę.

Nie zdążyłem jeszcze zrobić nawet pięciu kroków, kiedy dostrzegam Leonorę. Stoi po drugiej stronie lodowiska oparta o barierkę, patrzy prosto w moją stronę. Przeczesuje wzrokiem tłum. Macham do niej, ale mnie nie widzi. I wtedy, niby obiektyw kamery, przestawiony nagle na drugi plan, wyławiam wysoką sylwetkę Kline'a, zbliżającą się do niej od tyłu. Moje oczy skupiają się na nim jak czujnik radaru. Zauważył ją. Dzieli go od Leonory nie więcej niż pięć metrów. Napiera do przodu niby lodołamacz, rozgarniając łokciami zbity tłum ludzki.

Rzucam się na przelaj przez lodowisko, o mało co nie zbijąc z nóg jakiegoś dzieciaka. Wydostawszy się z grupki pod parkanem, pędzę do przodu, co chwila uskakując na boki, z oczami wbitymi w ciżbę po drugiej stronie tafli. Świat wokół mnie został zredukowany do huku głośników, durnej kantyczki elektronicznych dzwonków, szmeru kół po stalowych szynach.

I wtedy dostrzegam ich mocujących się na środku ulicy. W zaciśniętej pięści wyciągniętej przed siebie ręki Leonora trzyma złotą spinę Kli-ne'a

- tę właśnie z wygrawerowanymi inicjałami oraz charakterystycznymi uszkodzeniami mechanicznymi, mogącymi w śledztwie powiedzieć tyle, co odciski palców. Szarpie się jak wściekła kotka, próbując wyrwać z uścisku prokuratora. Kline trzyma ją od tyłu, chwytając za ramię, usiłując przyciągnąć do siebie zaciśniętą jej dłoń.

Gnam przed siebie.

Kątem oka dostrzegam gładki metaliczny połysk, biało-niebieski kształt, jasno oświetlone okna, pięć wagonów kolejki miejskiej, pędzących Dziewiątą Ulicą w kierunku ostrego zakrętu na deptak. Maszynista nie widzi Leonory i Kline'a walczących pośrodku torów.

I wtedy wreszcie udaje jej się uwolnić ramię. Robi nieudolny zamach, coś błyszczącego szybuje w powietrzu, widzę tylko niewyraźną złotą

378

plamkę. Złota spinka od mankietu Kline'a. Przelatuje dwa metry zataczając łuk, odbija się dwa razy od ziemi i ląduje w szczelinie pomiędzy torami i nawierzchnią jezdni.

Jeszcze dzieli mnie od nich pięć metrów.

Kolejka zbliża się gwałtownie. Maszynista dostrzega w końcu parę miotającą się na torach, ale jest już za późno. Przeróżliwy zgrzyt stali, pięć wagonów sunie po szynach. Prawa fizyki są nieubłagane.

Kline wciąż trzyma ją od tyłu, obejmując jednym ramieniem i pcha uparcie w kierunku złotego cacka, leżącego w zagłębieniu torów, prosto pod nadjeżdżającą kolejkę.

Opuszczam ramię i z całą siłą, jaką potrafię jeszcze wykrzesać z mojego ciała, rzucam się pomiędzy nich, chwytam Leonorę za nogi nieco poniżej bioder i ślizgając się na butach wypycham z torów. Impet, z jakim wpadam

na walczącą parę, wyrywa Leonorę z uścisku Kline'a. Siłą rozpędu przelatujemy przez tory i lądujemy na jezdni.

Mam wrażenie, że moje zmysły przestały funkcjonować prawidłowo, ograniczają się tylko do odbierania dźwięku i wibracji: głuchego odgłosu rozpędzonej masy metalu, zderzającej się z ludzkim ciałem. Potem następuje kamienna cisza, tłum zamarł ze zgrozy.

Leżymy rozrzućeni na jezdni niczym dwie szmaciane laleczki. Wreszcie z opóźnieniem zaczynam odczuwać ból. Kolejka toczy się jeszcze przez kilkanaście metrów, zatrzymując dopiero w połowie bloku. Mija nas ostatni wagon.

Żadne krwawego widoku dzieciaki pędzą w naszą stronę, niczym stado spłoszonych antylop.

Plama krwi na betonie - cztery metry przed nami, tam gdzie pociąg wpadł na Kline'a, jest jak szalone malowidło Salvadora Dali. Pomiedzy torami spoczywa samotny but, którego nosek, niby chorobliwa wizja ekstrawaganckiego projektanta mody, zdobi czerwona kometa krwi.

Leonora drży w moich ramionach nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Klasyczne objawy szoku. Zdejmuję marynarkę i otulam jej ramiona.

Wciąż jeszcze oszołomiony, zaczynam posuwać się na czworakach, przeszukując zagłębienie torów. Teraz myśl, że prokurator okręgowy leży martwy na ulicy, dostarczając widowiska hordzie podnieconych gówniarzy, a my nie mamy dowodu rzeczowego, zaprzęta moją głowę.

Spinka zniknęła bez śladu.

Po chwili dołącza do mnie Leonora.

Zastanawiam się głośno nad potęgą determinacji, zdolnej zmusić człowieka do zmierzenia się z trzydziestoma tonami rozpędzonej stali i

szkła.

- Co on, u diabła, miał w głowie? - pytam.

- Pewnie swoją dupę - powiada Leonora.

Podnoszę do góry wzrok, na twarzy trzęsącej się z zimna Leonory pojawił się grymas, podejrzenie przypominający uśmiech. Oto do czego potrafi doprowadzić subtelną kobietę nienawiść do byłego pracodawcy.

Wracam do niewdzięcznego zadania przeszukiwania torów.

- Nie mogę tego znaleźć - mówię. Grzebię gołymi palcami w zagłębieniach koło szyn, babrząc się w smarze i brudzie. Nigdzie ani śladu złotej spinki.

- Jesteś pewien? - pyta.

- Tak. Nie ma jej tutaj. - Czuję, że wpadam w panikę. Bóg jeden raczy wiedzieć, co bez tej spinki powiemy policji.

Leonora pochyła się nade mną i włącza do poszukiwań.

- A niech to szlag - mówi po chwili. - To była moja ulubiona para.

Przestaję grzebać się w lepkiej mazi i patrzę na nią, drżąc z zimna pod chłodnym światłem latarni. Leonora stoi wyprostowana, trzymając w otwartej dłoni samotny złoty kolczyk. W pierwszej chwili nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Wpatruję się w tajemniczy uśmiech, igrający na jej twarzy, aż wreszcie otwiera drugą dłoń i pokazuje mi złotą spinkę od mankietu Kline' a.

## EPILOG

Cóż za okrutna ironia losu podsunęła Leonorze myśl, by w śmiertelnie niebezpiecznym starciu z Kline'em, który pragnął za wszelką cenę odzyskać jedyny dowód swojej zbrodni, dokonać małej sztuczki.

Zręcznym hokus-pokus zamieniła złotą spinkę na jeden ze swoich własnych kolczyków. Złoty przedmiot, który na moich oczach poszybował w powietrzu, żeby wpaść w zagłębienie torów, był właśnie kolczykiem Leonory i to za nim Kline pognął na spotkanie śmierci.

Od tamtej nocy minął już ponad tydzień. Radovich ogłosił, że proces przeciwko Acoście odbył się z naruszeniem zasad prawa i sprawiedliwości. Prasa codziennie przynosi nowe rewelacje. Dowody, że to Kline zabił Brittany Hali, piętrzą się z godziny na godzinę. Na zdjęciach, pokazanych przez policję, Kimberly rozpoznała wreszcie w byłym prokuratorze okręgowym mężczyznę, którego widziała u siebie w domu w noc zabójstwa. To właśnie dlatego Kline'a nie było w Sądzie za pierwszym i drugim razem, kiedy przesłuchiwaliśmy córeczkę panny Hali. Bał się, że dziewczynka może go zidentyfikować.

W sprawę włączył się prokurator generalny. Dwa dni temu oznajmił, że, opierając się na posiadanym obecnie materiale dowodowym, Acosta zostaje zwolniony z zarzutów. Sędzia znowu jest wolnym człowiekiem. Armando i Liii zaszli wczoraj do mojego biura, żeby pogadać. Nie padło żadne słowo na temat wizyty, którą Liii złożyła Brittany Hali w dniu jej śmierci. Pewne rzeczy lepiej pozostawić nie wyjaśnione do końca.

Dzisiejszy ranek Leonora i ja spędzamy u mnie w domu. Oboje jesteśmy wykończeni i potrzebujemy odpoczynku. Harry zgodził się trzymać przez tydzień straż, wobec czego pakujemy majdan do samochodu i zabieramy dzieciaki, Sarę oraz dwie córeczki Leonory, w góry na kilkudniowy biwak. Sara poupychała na siedzeniach swoje pluszowe zwierzaki, więc pewnie przyjdzie nam jechać na dachu.

- Jesteś pewien, że to będzie nam potrzebne? - Leonora trzyma w ręku pudło z kuchenką turystyczną.

- Jeśli będziemy chcieli jeść - mówię.

- Myślałam, że będziemy mogli zadzwonić po chińszczyznę na wynos. -

Powoli zaczyna do mnie docierać, że namiot i śpiwory to nie jest dokładnie to, co Leonora rozumie pod słowem „wypoczynek”. Tak czy inaczej, parę dni w rzeńskim górskim powietrzu, z dala od telewizji, telefonów i dybiących na nas dziennikarzy dobrze nam zrobi.

Choć nadal nie wszystko jest jasne, Tony Arguillo zdołał dostarczyć odpowiedzi na parę pytań zarówno przesłuchującym go detektywom, jak i prywatnie Leonorze.

Brittany Hali opowiedziała mu w łóżku o swoim romansie z Kline'em, co ostatnio nie bardzo się układało. Zaczęła nawet wygłaszać jakieś uwagi na temat molestowania seksualnego. Niektórzy powiadają, że Kline odmówił załatwienia jej pracy. Leonora uważa jednak, że chodziło o coś więcej.

Kobieca intuicja.

Twierdzi, że Kline bez gadania znalazłby pracę dla panny Hali.

- W biurze, zatrudniającym setkę pracowników, wolnych etatów jest na pęczki - powiada.

- W takim razie, co masz na myśli? - pytam.

- Chcesz wiedzieć? Moim zdaniem, panna Hali miała ochotę na złotą obrączkę. Naciskała Kline'a, żeby zostawił żonę, tylko że to właśnie żona finansowała jego karierę.

Znalazłszy się pomiędzy młotem i kowadłem, pomiędzy żoną z kasą i kochanką odgrządzającą się, że oskarży go o molestowanie seksualne, Kline nie wytrzymał nerwowo. Tamtej fatalnej nocy podgrzana namiętnością

wściekłość wybuchła z siłą tysiąca ton dynamitu. Resztę już znamy.

Leonora nie mówi wszystkiego. Unosi do góry brwi, dając do zrozumienia, że kobiety mają swoje tajemnice. Niewykluczone, że Kline miał rację. Czyżby panna Hali rzeczywiście powiedziała jej coś, co daje podstawę do takich domysłów? A może są to po prostu refleksje postfactum! Nigdy się tego nie dowiem.

Z mojej strony to były tylko luźne domysły, które zaczęły się układać w bardziej wyraźną całość dopiero po przesłuchaniu małej Kimberly w obecności ławy przysięgłych. Dlaczego ktoś, kto zaangażował się w prowadzenie tak prestiżowego procesu, bierze wolne i oddaje przesłuchanie najmocniejszego świadka oskarżenia, małej Kimberly, w ręce podwładnej? To było nielogiczne, chyba że ten ktoś miał się czego obawiać. Właśnie niepewność, czy dziewczynka widziała go w swoim domu tamtej nocy, kiedy zamordował jej matkę, powstrzymała Kline'a od wejścia do gry. Jeszcze tego samego dnia uderzył mnie wyraz jego twarzy, gdy po powrocie do sądu przyglądał się spod ściany sali rozpraw, jak mała wkłada misiowi do buzi guziczek od sukienki. Zdumienie i niedowierzanie po chwili ustąpiły miejsca olśnieniu. Znalazł ostatni brakujący element

382

układanki, odpowiedź na pytanie, co się stało z jego zgubioną spinką od mankietu. Aż do tamtego momentu, jak sądzę, podejrzewał, że zguba znajduje się w rękach Leonory. Myślał, że znalazła ją, kiedy zostawiła odcisk kciuka na drzwiach mieszkania Brittany Hali. Niewykluczone, że uważał Leonorę za zwykłą intrygantkę, czekająca tylko na odpowiedni moment, żeby wyciągnąć dla siebie maksimum korzyści. Pamiętam jego tajemniczo brzmiące uwagi na przyjęciu u gubernatora, że Leonora coś



wie, a może coś ma.

Oprócz tego przez cały czas zastanawiała mnie jego natarczywość, żeby wydobyć z Leonory, co było tematem jej rozmowy z panną Hali. Teraz wiem, że musiał obawiać się, że Hali wspomniała coś na temat ich psującego się romansu. W życiu prywatnym Brittany mogła być nieco męcząca, ale kiedy szło o karierę, nie popełniała błędów. Nie mogłem nie zauważyć, że z jej notesu z telefonami wyrwano również kartkę na literę K. Nadal nie wiemy, kto to zrobił, Tony ratujący skórę jakiegoś kumpla czy też Kline we własnej osobie.

Tamtej nocy mieszkanie Brittany Hali niewiele się różniło od Centralnego Dworca Kolejowego. Liczba osób zaangażowanych w późniejszy proces Acosty, które przewinęły się tam przed i po zabójstwie, stanowi najlepsze świadectwo rozmachu życia towarzyskiego i wielkich aspiracji ofiary.

Byliśmy tam wszyscy, choć niekoniecznie w tym samym momencie: Liii i Tony, Leonora i ja oraz, oczywiście, pan prokurator Kline.

Jednym słowem, tylko Phila Mendla brakowało tamtej nocy, chociaż jego nazwisko figuruje w notesie z telefonami. Teraz Mendel siedzi w kiciu.

Harry był przekonany, że Mendel szybko powróci ze swojej wycieczki, ponieważ nigdy na nią nie pojechał. Na lotnisku czekali na niego chłopcy ze służby celnej, o czym niestety Mendel nie został uprzedzony, a co zawdzięczał anonimowemu telefonowi z informacją, że w jednej ze swoich walizek przemyca kilogramową paczkę kokainy.

Po kolejnym najściu na mój dom dałem narkotyki Harry'emu, żeby się ich pozbył. Wyobrażałem sobie, że biały proszek powędruje konwencjonalną drogą do ścieków miejskich, lecz nie przyszło mi do głowy, że za pożyteczniejszą od kibla Harry uzna torbę podróżną Mendla,

pozostawioną bez nadzoru w sekretariacie sądu. Na moje pytania odpowiedział tylko: „odzyskiwanie materiałów wtórnych”. W pojęciu Harry'ego tak powinno się działać na rzecz ochrony środowiska. Już widzę minę Mendla pędzącego przez lotnisko z wrzaskiem, żeby zatrzymali dla niego samolot, kiedy nagle na drodze stają mu agenci federalni. Wszystkie długi zostały spłacone, ciekawość zaspokojona, opowieść zatoczyła pełne koło.